

Stone Katherine
Wymyślona
miłość

Prolog

Zachodni Teksas 18 grudnia

Dwaj chłopcy wyruszyli po północy. Młodszy spał, ale został obudzony przez swojego starszego brata tak delikatnie, że nie wydał żadnego dźwięku.

Tylko starszy chłopiec rozumiał, jak ważne jest absolutne milczenie. Znał również cel podróży, miejsce, do którego mieli dotrzeć, i sens całego przedsięwzięcia.

Rodzice malców spali w sąsiednim pokoju. Zazwyczaj nigdy nie budzili się wcześniej niż nad ranem. Po strasznym dla ich synów wieczorze zawsze zapadali w głęboki sen. Jak daleko starszy chłopiec sięgał pamięcią, żaden hałas nie mącił im snu, nawet jeśli to były rozpaczliwe krzyki ich dzieci.

Ale budząc swojego brata, szepnął mu do ucha, że trzeba być cicho. Powiedział to łagodnie i mały wykonał polecenia bez żadnych pytań, za to z wielką ufnością. Pomimo szoku i bólu, małe nie przestał wierzyć chłopcu. Jakimś sposobem rozumiał, że chociaż mężne wysiłki starszego brata spełzły na niczym, to przynajmniej próbował, jak zawsze, go ochronić.

Jednak zeszłego wieczoru starszemu bratu nie udało się tego dokonać. Po raz pierwszy ich ojciec uderzył swojego najmłodszego syna. Po raz pierwszy... i ostatni.

Zmierzali do postoju ciężarówek na granicy stanów. Starszy chłopiec nie znał odległości w kilometrach. Wiedział jednak z całkowitą pewnością, że braciszek nie da rady pokonać tak dużego dystansu na piechotę, a on sam nie będzie w stanie go nieść. Zdecydował, że będą podróżowali tak jak dotychczas - młodszy brat w wózku popychanym przez starszego.

Wózek był kiedyś połyskujący i czerwony, ale wtedy jeszcze do nich nie należał. W końcu podarował im go sąsiad, który już go nie potrzebował. Wózek był zardzewiały i skrzypiał, bo kółka mocno się powykrzywiały. Jednak dla chłopców był skarbem, czymś w rodzaju magicznego dywanu, na którym mogli polecieć bardzo daleko. W Breaux Bridge, w stanie Luizjana, gdzie mieszkali przed miesiącem, wędrowali po brzegach zatoki, pograżając się w jej ociążałym, błękitnym przepychu; w ciągu tego ostatniego miesiąca spędzonego w Teksasie spacerowali wzdłuż rzeki, podziwiając białą kipieli jej wód.

Zeszłego wieczoru starszy chłopiec niósł zardzewiały wózek aż do chwili, gdy byli już daleko od chaty nad rzeką, która stała się ich nowym domem. Młodszy brat dreptał u jego boku niezdarne, ale z determinacją, ściskając w małych rączkach inny drogocenny skarb. Zszyta z kawałków kołderka była równie zniszczona jak wózek, ale równie ukochana. Uszyto ją z myślą o łóżeczku dziecięcym. Została uratowana ze sterty śmieci. Jeden koniec był bardzo zniszczony, a raczej pogryziony, może przez jakieś gorliwe szczenię, liczne ciemne plamy nie dawały się wywabić, a kolory wyblakły w niezliczonych praniach. Ale dla chłopców wyszywane obrazy szczęścia były olśniewająco wyraziste. Uśmiechnięte słońce błyszczało jak złoto, tulipany kwitły, tworząc jaskrawy

bukiet z fioletu i rózu, wagonik pociągu połyskiwał na ciemnoczerwono, a falujący ocean, na którym tańczyła malutka żagłówka, był niebieściutki jak niezapominajki.

Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od chaty, starszy chłopiec postawił wózek na ziemię i dał bratu znak, żeby się do niego wgramolił. Malec zrobił to chętnie, jak zwykle wypełniając polecenie starszego brata, tym bardziej że rany sprawiały mu ogromny ból. Zarówno jego brat, jak i pobite ciało domagały się, by zasnął. Jednak tej nocy mały chłopiec zbuntował się i jechał tak, jak zawsze, wyprostowany, czujny i pełen zapału, gotowy na spotkanie z przygodą.

Nie chciał spać, nie chciał przegapić ani chwili z tej tajemniczej nocnej eskapady. Wkrótce jednak powieki zaczęły mu się kleić, a potłuczona głowa opadała bezwładnie. Wtedy jego brat przestał popychać wózek, objął zaspanego chłopczyka ramionami i zaczął śpiewać.

Śpiewał ich ulubioną piosenkę, radosne wspomnienie życia w Breaux Bridge. Jej słowa zachęcały ukochanego brata, żeby się obudził, aby nie zasypiał, ale dla tych dwóch chłopców to zawsze była kołysanka, pieśń miłości, która wabiła malucha puszystym płaszczem snu i zapewniała go, iż starszy brat pozostanie przy nim, by kochać go i bronić, gdy nadejdzie chwila przebudzenia.

Ale ta uroczysta obietnica już nie była prawdziwa. Zastąpiły ją słowa jeszcze ważniejszej przysięgi: nasz ojciec już nigdy cię nie skrzywdzi.

Gdy chłopczyk usnął, jego brat delikatnie pocałował go w skroń, tak delikatnie, że chociaż ciało malca było posiniaczone, nie poczuł żadnego bólu. Kiedy starszy brat ostrożnie owijał drzemiącego chłopca w postrzępioną kołderkę, szepnął w ich tajnym języku: „Kocham cię”.

Księżyc skąpał ziemię w bladożółtej mgle. Był to zimowy księżyc, który za tydzień miał wzejść w jasnej, złocistej pełni, jak przystało na porę Bożego Narodzenia.

Starszy chłopiec brnął przez pola i pchał swój drogocenny, śpiący ładunek, a drogę oświetlała mu księżycowa poświata. Czasami musiał się zatrzymać, żeby dać wytchnienie obolałym rękóm i ciężko pracującym płucom, i wówczas spoglądał w górę, na księżyc.

Mogli wtedy zostać sojusznikami. Zimowy księżyc i pełen determinacji chłopiec byli wszak spiskowcami w niesłychanie odważnym akcie miłości. Chłopak mógłby poprosić księżyc, żeby od czasu do czasu kontaktował się z nim, żeby posyłał mu swoje uspokajające, złociste wieści: jak bardzo szczęśliwy jest jego braciszek, jaki bezpieczny i kochany.

Ale chłopiec nie poprosił. To nie miało sensu. Był zupełnie pewien, że nie dożyje nawet pierwszej świetlistej wiadomości.

Kiedy dotarli do granicy stanów, do świtu brakowało jeszcze sporo godzin. Na postoju ciężarówek panował jednak duży ruch, tak samo jak przed miesiącem, kiedy przybyli do Zachodniego Teksasu w środku nocy. Atmosfera wydała mu się taka świąteczna, a miejsce tak jasne na tle wszechobecnej ciemności, że serce chłopca napełniło się nadzieją. Może w tym nowym domu będzie szczęście i spokój. Może tutaj skończy się przemoc.

Ale było jeszcze gorzej. Chłopiec nie do końca orientował się, dlaczego musieli uciekać ze swojego domu w Breaux Bridge. Chodziło o pracę ojca, o jakąś kłótnię z szefem. Ta kłótnia wciąż budziła w ojcu wściekłość, która prowadziła do jeszcze większej przemocy. Poprząsił sobie, że kiedyś wróci do Luizjany. Jednak dopóki nie będzie ich stać na triumfalny powrót, będą mieszkali tutaj, w miejscu, którego ojciec nienawidził. Synowie drogo płacili za jego gniew.

Na postoju wrzała krzątanina, tak jak tamtej listopadowej nocy, lecz tym razem budziła raczej poczucie zagrożenia niż radość. Kierowcy, którzy przed restauracją napętniali baki swoich olbrzymich wozów galonami oleju napędowego, otwarcie gapili się na chłopca popychającego zardzewiały czerwony wózek. Niektórzy śmiali się, a niektórzy nawet szydzili, i może kpin byłoby jeszcze więcej, gdyby któryś zorientował się, że pod zniszczoną kołderką leży jeszcze mniejsze, śpiące dziecko.

Czy wszyscy mężczyźni byli tak okrutni jak ojciec? Jakieś głęboko ukryte uczucie, śmiały przypływ ufności, kiedyś pozwalały mu wierzyć, że tak nie jest. Teraz jednak zastanawiał się. Czy gdyby przeznaczone mu było żyć -gdyby nie musiał wkrótce umrzeć - on również stałby się mężczyzną, który lubi drwić ze słabszych? Czy nadszedłby taki czas, kiedy on również biłby swoich synów ze złośliwą satysfakcją?

A co się stanie z jego ukochanym braciszkiem? Czy na przekór jego odważnemu planowi ta niewinna, młoda istota wyrośnie na potwora?

A co z kobietami? Czy wszystkie były milczącymi współniczkami zbrodni popełnianych przez mężczyzn? Czy, tak jak jego własna matka, patrzyły dziwnie przytępieniem wzrokiem, ze złowieszczą aprobatą, jak ich synom brutalnie uświadamia się, co to znaczy być mężczyzną?

Czy było zwyczajną głupotą wierzyć, że gdzieś musi być lepszy świat? Czy było pełnym szaleństwem wyobrazić sobie, że inni mają w sobie tyle czułości, ile on sam w chwili, gdy po raz pierwszy ujrział swojego malutkiego brata - czułości, która przybierała na sile z każdym dniem?

Nie, powiedział sobie. To nie była głupota. Gdzieś musi istnieć życzliwość, miłość... dla jego brata.

Może nie znajdzie jej tutaj, dzisiejszej nocy, gdy blade, żółte smugi księżycy oświetlają mu drogę do okrutnych drwin i szyderczego śmiechu. Teraz spoglądał na niebo, pragnąc wyrzucić swój gniew fałszywemu bogu owego niebiańskiego światła. Jednak zdradziecki księżyc zniknął z czarnego, zimowego nieba.

- Nie poddam się! - zawołał cichutko w mrok, gdzie kiedyś lśnił księżyc. Nie mogę. Muszę wciąż szukać, wierzyć...

- Hej tam.

Był to męski głos, równie tubalny, jak głos jego ojca, ale przesycony łagodnością, jakiej chłopiec nigdy nie słyszał u dorosłego. A twarz, która znajdowała się teraz naprzeciwko niego, bo mężczyzna przykucnął, by spojrzeć mu w oczy, była uśmiechnięta i życzliwa.

- Mam na imię Sam - powiedział. A ty, pomyślał, musisz być uciekinierem. Odgadł, że była to ucieczka pod wpływem impulsu, wywołana być może kłótnią z rodzicami dotyczącą świątecznego prezentu, którego chłopiec miał nie dostać. W przypływie furii malec zapewne wrzucił swoje rzeczy do zniszczonego wózka i dumnie pomaszerował w noc. Na dziecinnej twarzy malowała się powaga i wyczerpanie, ale teraz Sam zobaczył tam jeszcze promyk nadziei - jak gdyby chłopiec instynktownie zrozumiał, że rozmawia z przyjacielem. - Jak ty się nazywasz?

W odpowiedzi chłopiec zdecydowanie pokręcił głową. Ale wciąż patrzył na swojego rozmówcę z nadzieją.

- Potrzebuję pana pomocy.

- W porządku.

- Czy któraś z tych ciężarówek jest pana?

- Żadna z tych dużych. Moja jest tamta półciężarówka.

- Ale pan nie jest stąd.

- Nie, jestem tu tylko przejazdem. Ale jeśli chcesz dokądś pojechać, chętnie cię podwiozę.

Chłopiec znowu potrząsnął stanowczo głową.

- Czy moglibyśmy podejść do pana wozu i porozmawiać?

Pickup Sama stał w cieniu, z dala od jasno oświetlonego miejsca, w którym tankowano paliwo, i ciekawskich spojrzeń kierowców. Kiedy znaleźli się w tym ukrytym w mroku sanktuarium, chłopiec pokazał Samowi, kto śpi pod kołderką.

- Zabierze go pan?

- Mam go zabrać?

- Do swojego domu?

- Czy będzie pan jego ojcem?

- Co?

- Jego prawdziwy ojciec jest bardzo podły. On go uderzył. Widzi pan? Nawet pomimo cienia Sam zauważył potężnego fioletowego siniaka na rozspanej twarzyczce. Myśl o uderzeniu dziecka była dla Sama tak obca, tak niewyobrażalna, że przez chwilę po prostu wpatrywał się w guza pragnąc, by był jedynie złudą, podobnie jak prowadząca do niego przemoc. Ale fioletowe znamię stało się jeszcze bardziej wyraźne, bardziej oczywiste. Jak gniew mężczyzny.

- Tak, widzę - odparł wreszcie. - Chyba powinienem go zabrać na policję.

- Nie! Nie może pan tego robić.

- Dlaczego nie?

Bo jego ojciec jest gliniarzem, był gliniarzem.

- Przyjaciele jego ojca są policjantami. Nigdy by nie uwierzyli, że on to zrobił. Oddaliby mu dziecko, a on zezłościłby się jeszcze bardziej i... -Obraz przemocy sprawił, że chłopcu na moment załamał się głos. - Proszę, niech pan go ze sobą zabierze - powiedział błagalnie. - On umrze, jeśli pan tego nie zrobi. Jest za mały, żeby się obronić.

- A co z tobą?

- Ze mną? - Nawet nie przyszła mu do głowy myśl o własnym ocaleniu, zdumiewająca możliwość, że on też mógłby uciec. Bo taka możliwość nie istniała. Musiał wrócić do domu, powiedzieć rodzicom, że przyciągnął czerwony wózek zbyt blisko rzeki, do miejsca, w którym wózek przewrócił się na stromym zboczu niczym zmurszały nagrobek, z którego już nie wydobywa się żaden odgłos, żaden pisk. Jego rodzice uwierzą w tę historię i będą go obwiniali... i ojciec go zabije.

Ale jego braciszek będzie bezpieczny.

- Czy ojciec nie zrobi krzywdy także tobie?

Chłopiec potrafił znakomicie kłamać, ale tym razem musiał zamilknąć, żeby uzbroić umierające serce w odwagę przed wypowiedzeniem najważniejszego kłamstwa w swoim życiu.

- My nie jesteśmy braćmi. Ja jestem jego sąsiadem, jego przyjacielem. Mój ojciec jest delikatny i miły.

- Gdzie jest teraz twój ojciec?

- Niedaleko stąd na drodze, czeka na mnie. Nie mógł przyjść ze mną, bo w tym miejscu ludzie mogliby go rozpoznać. - Mówiąc to, chłopiec zrobił nieokreślony gest w kierunku, gdzie rzekomo przebywał jego wymagowany ojciec. - Musimy się pośpieszyć. Musi go pan zabrać teraz.

- Nie mogę go zabrać - odparł łagodnie Sam. - Nikt nie może. Nie wolno mi tak po prostu...

- Ależ wolno panu! Jego ojciec nigdy się o tym nie dowie. On nawet nie będzie go szukał!

- Dlaczego nie?

- Bo będzie myślał, że mały nie żyje. Zostawię wózek nad rzeką, a kiedy on go znajdzie, pomyśli, że mały utonął. Kiedyś i tak utonie, bo nikt go nie pilnuje - oprócz mnie. Utonie albo jego ojciec za mocno go uderzy. On umrze, nie rozumie pan? Tak samo jak jego brat.

- Jego brat?

- Miał starszego brata. - Teraz mówił o sobie, o swojej własnej śmierci, i chociaż od tej śmierci dzieliło go jeszcze sporo godzin, widział ją bardzo wyraźnie. -Ale któregoś dnia ojciec strasznie się na niego rozgniewał. Bił go aż go zabił, a potem bił go jeszcze mocniej - nawet po tym, jak on umarł. Powiedział policji, że to był wypadek, że syn spadł z drzewa, a oni mu uwierzyli.

Chłopiec zadrzał, jakby śmierć już zdążyła się upomnieć o jego ciało, i po raz pierwszy ogarnął go lęk przed lodowatą czarną pustką, w której już tak niedługo miał zamieszkać na całą wieczność. Szybko jednak ponownie skupił uwagę na jedynej rzeczy, która miała znaczenie.

- Czy potrzyma go pan teraz? - zapytał. - Chyba jest mu zimno.

- Tak. W porządku. Potrzymam go. - Tylko przez chwilę, żeby zdecydować, co ma zrobić. Ale kiedy kołysał to zawiniątko - sponiewieranego chłopczyka w zniszczonej kołderce - i patrzył na posiniaczoną buzię, już wiedział, jaka jest prawda. Tulił swojego syna. Chodziło o niewinne młodzieńcze życie i nie mógł dokonać innego wyboru.

Sam nie był całkowicie przekonany o prawdziwości tego, co opowiedział mu chłopiec. Właściwie poważnie wątpił w to, że ojciec chłopca jest w pobliżu jako milczący współnik. Ale nie kwestionował dwóch najważniejszych stwierdzeń chłopca: że to bezbronne dziecko zostało brutalnie pobite przez swojego ojca... i że ten sam ojciec zdążył już zabić innego syna.

A jeśli się mylił? Jeżeli w gruncie rzeczy to nie była prawda? Sam postanowił się dowiedzieć. Gorączkowe poszukiwania zaginionego dziecka przez kochających rodziców znalazłyby się na pierwszych stronach lokalnych gazet, a może nawet w dziennikach całego kraju. Gdyby tak się stało, Sam musiałby wrócić, aby wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za to, co zrobił tej nocy.

Ale ja przecież nie będę wracał, pomyślał, spoglądając najpierw na wielki fioletowy siniak, a potem na zatroskaną twarz chłopca z sąsiedztwa. Przytulam swojego syna.

- Ile on ma lat? - zagadnął cicho.

- Niedawno skończył dwa, w listopadzie.

- A imię?

Coś powstrzymało chłopca przed podaniem imienia swojego braciszka. Czy to nieomylny instynkt ostrzegał go, że ujawnienie prawdziwej informacji w potoku wszystkich tych kłamstw byłoby zbyt niebezpieczne? A może po prostu nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej?

Jego serce wyrwano mu z piersi w chwili, gdy nieznajomy zaczął kołysać młodszego brata w swoich ramionach. Teraz starszy chłopiec dusił się, umierał. Jak długo mógł przetrwać bez serca? Niedługo... tylko tyle, ile trzeba, bo gdyby umarł tutaj, wszystko byłoby stracone.

Musiał odejść, i to zaraz, ale najpierw musiał po raz ostatni dotknąć swego brata, naprawdę musiał. Ta pieszczota podtrzyma go przy życiu przez resztę podróży, przez ostatnie godziny życia. Drżącymi palcami dotknął małego policzka. Wiedział, że dotyka brata, widział swój gest. Nie był jednak w

stanie go poczuć. Palce miał zdrętwiałe, prawie martwe. Uświadomiwszy to sobie, omal nie schwytał ukochanego zawiniątka, pragnąc mocno przycisnąć brata, jakby był on kołem ratunkowym, które uchroni go przed utonięciem.

Szybko cofnął palce, jakby już nie były zdrętwiałe i jakby przed chwilą dotknęły ognia. Potem puścił się biegiem. Ciągnięty przez niego wózek skrzypiał głośno. Chociaż był teraz taki lekki, przez brak ładunku wydawał się nieznośnie ciężki.

Po kilku sekundach pochłonęła go księżycowa poświata. Wyczuł jednak, że mężczyzna podąża za nim, kierując się piskiem zardzewiałych kół.

Chłopiec podniósł wózek i pobiegł bezszelestnie przez pole. Kiedy wreszcie przestał gnać, był sam. Udało mu się uciec.

Uciec? Tak. Uciekł od mężczyzny, który mógł go uratować, a teraz szedł do domu, do miejsca, w którym czekała go śmierć. Ale chłopiec nie umarł. Nie całkiem.

On tylko spędził swoje dzieciństwo pragnąc, by tak się stało.

1

Harlanville, Terrebonne, Luizjana Piątek, 23 grudnia

27 lat później

Dokładnie dwanaście lat temu opuścił Harlanville. Wrócił tu - sześć lat później - ale znowu wyjechał. I dzisiaj wrócił po raz kolejny. I po co się tu zjawił, w dwunastą rocznicę wydarzeń, które odebrały mu marzenia, które odebrały mu ukochaną osobę? Czy przybył po to, by upomnieć się o cudowne marzenia? Oczywiście nie. Wiedział, że te marzenia były niemożliwe do urzeczywistnienia, i znał prawdę o przemocy, która zniweczyła nadzieję.

Tamte chwile uwolniły ją od niego, dały jej wolność, by zakochała się w kimś, kto mógł jej obiecać wszystko, czego on nie był w stanie jej zaoferować. I rzeczywiście zakochała się w kimś takim i poślubiła owego mężczyznę.

Teraz, kiedy Cole zbliżał się do Belle Reve, do domu, a raczej rezydencji pana Andrew Harlana i jego małżonki, walczył z piekącym bólem, jaki powodowała najzupełniej oczywista prawda: to właśnie tu było miejsce Claire. Tutaj. U boku Andrew Harlana. W miejscu nazywanym się Piękne Marzenie. Nie u jego boku. I nigdzie indziej. Już nigdy.

Zatem w jakim celu, jeśli nie w pogoni za swoim pięknym marzeniem, jechał wysadzaną cyprysami aleją, której białe kocie łby tworzyły wspaniały wjazd do Belle Reve? Powodem był koszmar, a nie

marzenie, uporczywie powracający obraz w kolorach cynamonu, karmazynu i śniegu - obraz Claire ugodzonej nożem, krwawiącej, wołającej do niego, zaklinającej go, by nie odchodził.

Ten koszmar towarzyszył mu od dwunastu lat. Czasami był pi-zytłurnio-ny, innym razem krzykliwy, ale nigdy się nie oddalał, a upływ czasu bynajmniej nie zacierał jego ostrości. Wręcz przeciwnie, podczas ostatniego roku stał się bardziej wyrazisty niż kiedykolwiek i bardziej bezlitosny, bowiem dręczył Cole'a nawet w biały dzień.

Udręka mogła już na zawsze wypełniać wszystkie godziny życia Cole'a, czy to na jawie, czy we śnie. To nie miało żadnego znaczenia. Zasługiwał na koszmary, podobnie jak Claire zasługiwała na marzenia. Cole nie wrócił do Harlanville aby pozbyć się koszmarów, lecz dla Claire, ze względu na nią, albowiem te nowe, wyraziste obrazy wiązały się z nieustannym lękiem, że Claire może mieć kłopoty, że potrzebuje pomocy, że potrzebuje jego samego.

Przed sześcioma laty Cole wrócił pierwszy raz. Wierzył wówczas, że odpowiada na ciche wołanie jej serca. Ale tamtego dnia Claire brała ślub. Mylił się wówczas i mylił się również teraz.

Claire zapewne czuła się świetnie w roli szczęśliwej żony, a może i matki. Czy nadal marzyła?

Tak. Jasnyniebieskie oczy, w których lśniły radosne iskierki, kiedy wyobrażała sobie i c h wspaniałąprzyszłość, bez wątpienia wciąż jeszcze roztaczały blask śmiałych wizji. Kiedyś Claire z taką ufnością snuła marzenia o ich wspólnym życiu. Gdyby losy Cole' a Taylora i Claire Chamberlain połączyły się, splotły ze sobą w jednośc - jak niegdyś planowali - wówczas wszystkie cudowne wizje Claire rzeczywiście by się spełniły.

Była mężatką i z tego związku być może już narodziły się córki i synowie, a Cole śpiewał piosenki miłosne. To były marzenia Claire.

Tyle że... to on miał być ojcem jej dzieci.

A piosenki o miłości miały być wykonywane wyłącznie w duetach i tylko z nią.

Czy Claire będzie chociaż pamiętała, jak kiedyś wyobrażali sobie, że zadziwią cały świat piosenkami o miłości? Jeśli tak, owemu wspomnieniu nie będzie towarzyszyła nawet odrobina żalu. Będzie wiedziała, tak jak on, tak jak oboje wiedzieli już wtedy, że liczyło się tylko marzenie, którym żyła, marzenie o rodzinie i miłości.

W tym momencie ujrzał okazałą, dobrze znaną rezydencję. Belle Reve należała niegdyś do pradiadka Andrew Harlana, człowieka, który założył miasto i dał mu swoje nazwisko. Joshua Harlan zrobił majątek na białym złocie, na cukrze, który doskonale się udawał na żyznej glebie. Jednak przed czterdziestoma laty ojciec Andrew i jego partner, Lamont Prentice, zaczęli wydobywać czarne złoto, ropę ukrytą pod ciepłymi wodami zatoki. Zanim cena ropy zaczęła się wahać, spółka Harlan-Prentice zdążyła już ulokować pieniądze w różnych przedsięwzięciach i dwa rody nadal znakomicie prosperowały.

Belle Reve została zbudowana po Wojnie Domowej, ale w stylu przedwojennym, w hołdzie nie dla tamtej epoki, lecz tylko dla jej architektonicznego wdzięku. Majestatyczna budowla wyglądała dokładnie tak samo, jak dwanaście lat temu; utrzymywana w nienagannym stanie, lśniła niby błyszcząca perła na tle szarego grudniowego nieba.

Kiedy Cole wchodził po schodkach prowadzących do drzwi frontowych, rozmyślał o altance na tyłach posiadłości. Czy ona również była utrzymywana w nienagannym stanie? Czy pani domu dbała o to, by co rok pokrywano ją nową warstwą farby?

A może pan Andrew Harlan uparł się, żeby rozebrać domek?

Ani jedno, ani drugie, zdecydował Cole, dotknąwszy dzwonka u drzwi. Claire nie czcila tego przybytku marzeń jak świętości ani go nie zniszczyła. Każdy z tych gestów świadczyłby o zbyt mocnej więzi z przeszłością. Ona zapomniała. Zapomnienie było jej potrzebne.

Właśnie tego dla niej pragnę. Koszmary są przeznaczone tylko dla mnie.

Cole wyobrażał sobie, że Claire będzie potrzebowała trochę czasu, żeby zareagować na dzwonek. Dom był przecież obszerny, a ona zapewne była w pokoju do muzyki, gdzie śpiewała swoim dzieciom.

Jednak potężne drzwi otworzyły się niemal natychmiast, a zrobiła to nie Claire, tylko pokojówka w uniformie.

- Miałem nadzieję, że zastanę panią Harlan. Jestem jej dawnym przyjacielem. Nazywam się...

- Wiem, kim pan jest! - odparła pokojówka. Oczy miała ożywione, szeroko otwarte, a jej ozdobione dołeczkami policzki aż poróżwiały.

Cole poczuł ulgę widząc, jak pełna oficjalnej rezerwy służąca przemienia się w wylewną nastolatkę. Claire bez wątplenia potrzebowała gosposi, bo rezydencja była bardzo duża. Ale pokojówki? To nie pasowało do Claire. Cole utwierdził się w swoim przekonaniu, bo teraz zobaczył, kim pokojówka jest naprawdę: nastolatką zatrudnioną po to, by dać jej zarobić, może na college albo na zakup Remembrance, najnowszej miłosnej płyty Cole'a Taylora.

Nastoletnia pomocnica Claire przyglądała mu się jak urzeczona, promieniując czystą, młodzieńczą adoracją. Takie chwile wciąż jeszcze zadziwiały Cole'a i wprawiały go w zakłopotanie. Śpiewał piosenki o miłości, piosenki odwołujące się do uczuć, liryczne i namiętne, ale nie napisał żadnej z nich, z wyjątkiem jednego utworu, który powstał niedawno. Śpiewał słowa innych ludzi o miłości - zapewniając im wielką sławę - głosem, który obiecywał zapierającą dech w piersiach namiętność i miłość na wieki. Jak gdyby był w tej sprawie autorytetem, a nie szalbierzem.

- Czy pani Harlan jest w domu? - zapytał Cole, pragnąc, aby ta kłopotliwa chwila dobiegła końca.

- Och! Tak, jest w domu. Proszę za mną.

Droga z wykładanego białym marmurem foyer odbywała się pośród świątecznych dekoracji. Normalnie wystrój rezydencji był i tak pogodny, ściany pokryto ręcznie malowanymi bzami, ale w ten poprzedzający Wigilię dzień zadbano o bożonarodzeniowe dekoracje: girlandy ostrokrzewu i szyszek, wieńce z eukaliptusa i zimowych róż, świece zapachowe w kryształowych słupkach, błyszczące srebrne dzwonki zwisające ze złotych wstążek.

Claire zawsze uwielbiała Boże Narodzenie. A Cole? Dopóki nie poznał Claire, dla niego był to czas smutku, zagubienia. Ale ten nieustraszony anioł postanowił odważnie - och, jakaż ona była odważna! - że przekona zapalczywego poganina, iż Boże Narodzenie to czas magii, cudów, radości.

I wreszcie zdołała go przekonać, w tamten skąpany w księżycowej poświacie wieczór w altance... a następnego dnia, dokładnie dwanaście lat temu, oboje zostali surowo ukarani za jego głupotę.

Spacer przez rezydencję zakończył się gwałtownie pod łukowym wejściem do salonu, niebezpiecznie blisko gałązki jemioli. Cole założył, że to tylko chwilowy postój na trasie, żeby dać mu sposobność podziwiania choinki. Nie wydawało mu się, żeby Claire mogła spędzać dużo czasu w takim pomieszczeniu, i zdecydowanie wątpił w to, żeby dziewczyna o różowych policzkach była dość zuchwałą, by zażądać rytuału pod jemiolą.

Drzewko stało w drugim końcu pokoju gościnnego. Czterometrowa jodła była przystrojona kryształowymi ozdobami z Waterford: różowitki-mi szklanymi kulami i srebrnymi lampkami. Oczywiście była wspaniała. Nie mogła się jednak równać z małymi choinkami w skromnym domku Claire, kiedy była dziewczynką. Tamte drzewka były często niewyrośnięte; ratowały je - i kochały - tylko Claire i ciocia Augusta, które wiedziały, że nikt inny ich nie zechce.

Czasami te rozwichrzone drzewka były przystrajane w błyszczące wieczorne kreacje ze srebrnych świecidełek, a innym razem w mniej lśniącej ozdoby - splecione łańcuszki prażonej kukurydzy i girlandy z żurawin. Bez względu na wystrój, akcesoria były zawsze takie same - świeżo upieczone ciasteczka, ręcznie wykonane ozdoby i różnokolorowe światełka, które wesoło jarzyły się i migotały.

Czy to dzieci Claire pomogły ubrać tę wspaniałą choinkę jak z żurnala mody? Nie, zdecydował Cole. Ale będzie jeszcze jedno drzewko, pachnące ciasteczkami, w pokoju do muzyki, z dziećmi i Claire.

- Pani Harlan? Ma pani gościa.

Słowa dziewczyny zaskoczyły Cole'a. Claire tu była? Może za drzewkiem, albo w jednej z licznych wnęk w tym obszernym, odpychającym oficjalnym salonie? Powinien był wyczuć jej obecność. Ale nie wyczuł. I nawet teraz, wiedząc, że ona tu jest, nie miał pojęcia, gdzie patrzeć, nie umiał przewidzieć, z jakiego cienia się wynurzy. Wydawało się niemożliwe, by kobieta, która zajmowała tak ważne miejsce w jego sercu, była kimś całkowicie nierealnym, mimo że znajdowała się tak blisko.

Ale małżonka Andrew Harlana bez wątplenia znajdowała się w głównym salonie Belle Reve. Sunęła ku niemu w stylowym wdzianku z karmazynowego atłasu. Kreacja paryskiego projektanta składała

się ze spodni i tuniki przewiązanej złotym pasem, podkreślającym wąską talię kobiety. Lakier na paznokciach pasował do atłasu, na lewej dłoni pani Harlan lśniły trzy imponujące brylanty. Kiście drobniejszych kamieni połyskiwały w jej uszach i na szyi, włosy zaś, równie czarne jak włosy przybysza, błyszcząły intensywnym światłem.

Najbardziej błyszcząły jednak jej oczy. Promieniowało z nich prawdziwe zaskoczenie i szczęście wywołane widokiem gościa.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że olśniewająco piękna pani Harlan była zachwycona mogąc powitać u siebie najślawniejszego i najbardziej niesławnego w Harlanville wykonawcę piosenek miłosnych.

Tylko że... olśniewająco piękna pani Harlan to wcale nie była Claire.

- Annabelle?

- Witaj, Cole - odparła, krocąc ku niemu z wdziękiem. Nie odrywała wzroku od jego oczu, nawet kiedy wielkopańskim gestem odprawiała swoją pokojówkę. - Dziękuję, Susannah. To będzie wszystko.

Cole zobaczył, że rumieńce odpływają z ozdobionych dołeczkami policzków jego nastoletniej towarzyszki. Ale znowu się zarumieniła, widząc uśmiech przybysza.

- Miło było cię poznać, Susannah.

- Och, panie Taylor. Pana również miło było poznać.

Potem Susannah wyszła i Cole został sam na sam z Annabelle. Nawet gdyby nie stanął pod jemiotą, Annabelle powitałaby go dokładnie tak, jak to uczyniła. Podeszła na palcach i przytknęła wargi do ust Cole'a, pieszcząc jego policzki długimi karmazynowymi paznokciami.

- Mój bohater - wyszeptła.

W odpowiedzi Cole oplótł jej szczupłe nadgarstki mocnymi wysmukłymi palcami lewej ręki. Następnie odsunął jej pieszczotliwe palce z twarzy i trzymając jej dłoń w bezpiecznej odległości powiedział:

- Nie jestem twoim bohaterem.

- Ależ jesteś! Zawsze gryzłam się, że wyjechałeś z miasta, zanim zdążyłam ci odpowiednio podziękować. Ale w końcu wróciłeś. I teraz mogę ci podziękować.

- Przyszedłem zobaczyć się z Claire. Myślałem, że jest żoną Andrew.

Gdyby nie to, że Annabelle była przez niego unieruchomiona, odpowiedziałaby lekceważącym, zamasztyłym ruchem przystrojonej w szkarłat i brylanty ręki. Chwilowo mogła jednak tylko wzruszyć odzianymi w czerwony atłas ramionami.

- Byli małżeństwem. Bardzo krótko. - Zmarszczyła brwi, jakby zastanawiając się, czy powiedzieć coś więcej. Wreszcie najwyraźniej zdecydowała, że powinna milczeć, i zamiast uwodzicielsko marszczyć brwi, wyduła usta robiąc naburmuszoną minę. - Puść mnie, Cole. Obiecuję, że więcej cię nie zaatakuję. To znaczy, dopóki nie będziesz gotowy. Chodź, napij się ze mną martini. Właśnie przyrządziłam cały dzbanek.

Cole puścił ją.

- Nie, dziękuję.

- Och, Cole! Tylko jeden drink, za stare czasy.

Nie było żadnych starych czasów z Annabelle, nie takich, jakie sugerował jej prowokacyjny wyraz twarzy. Fakt, dziedziczka Annabelle Prentice i niegrzeczny chłopak Cole Taylor trochę kiedyś razem popijali. Jednak Annabelle była kochanką ojca Cole'a.

Cole zachował jedno wyraziste wspomnienie o Annabelle. Było to pewnego grudniowego dnia, kiedy krew o barwie równie żywej, jak teraz jej atłasowy strój, lała się obfitym strumieniem, nurzając go w śmierci i pogrążając wszystkie jego marzenia.

Annabelle była tamtego dnia. Właściwie, gdyby nie Annabelle...

- Gdzie jest Claire?

- Skąd mam wiedzieć?

- Czy ona mieszka jeszcze w Harlanville?

- Tak. Mieszka w domku cioci Augusty i uczy muzyki w szkole.

- A ciocia Augusta?

- Och. - Annabelle przybrała zatroskany wyraz twarzy. - To ty o niczym nie wiesz. Zmarła jakieś sześć miesięcy temu, we śnie. Miała prawie osiemdziesiąt lat i stało się to tak, jak każdy by sobie życzył, bardzo spokojnie, lecz mimo wszystko była to ogromna strata. Wiesz, kim była Augusta Chamberlain. Miejscową legendą. Zupełnie jak ty. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko, ale Cole spiorunował ją chłodnym spojrzeniem. - Och, no dobrze, Cole! Pamiętam, że kiedyś byłeś znacznie bardziej rozrywkowy.

- To źle pamiętasz. Nie musisz mnie odprowadzać do wyjścia.

- Jeśli naprawdę opuszczasz mnie, żeby szukać Claire, mam pewną sugestię. Spróbuj w szkole. Prawdopodobnie jest właśnie tam, na próbie przedstawienia.

- Przedstawienie odbywa się zawsze dwudziestego drugiego. - To było spokojne oświadczenie, lecz brzmiała w nim nuta protestu. Tradycyjne bożonarodzeniowe przedstawienie w Harlanville powinno być się odbyć poprzedniego wieczoru, jak zawsze. Właśnie dlatego Cole wrócił dzisiaj, w

dwunastą rocznicę najstraszniejszego dnia swojego życia, a nie wczoraj, w rocznicę najcudowniejszego dnia, jaki mu się kiedykolwiek przytrafił.

- Dotychczas zawsze tak było - uściśliła Annabelle. - Właściwie zmiana nastąpiła przez nas, przez Andrew i mnie. Przekazujemy dar na rzecz szkoły, stały fundusz na program muzyczny i dla jego nauczycieli, trwałe finansowanie, bez względu na to, co ustawodawcy zdecydują o wartości muzyki w szkołach publicznych. Tak czy owak, ponieważ wczoraj wieczorem Andrew musiał być w Nowym Orleanie, przedstawienie zaplanowano na dzisiejszy wieczór. - Znowu się uśmiechnęła. - Właściwie ułożyło się znakomicie, prawda? Któż powinien tu być w wieczór przedstawienia, jeśli nie żywy dowód Harlanville na to, jak skuteczny może się okazać program nauczania muzyki?

2

Pod wpływem niedającego się wymazać koszmaru, Cole wrócił do Harlanville, upewnić się, że Claire prowadzi radosny, szczęśliwy żywot, urzeczywistniając swoje marzenia. Nie miał wątpliwości, że właśnie to ujrzy w Harlanville i że kiedy opuści miasteczko tym razem, opuści je na zawsze.

Adieu, nie au revoir.

A teraz? Nic się nie zmieniło, oprócz miejsca, w którym znowu będzie mógł ją zobaczyć. Pomyślał, że takie miejsce jest wręcz gwarancją, że Claire jest szczęśliwa. Wizja Claire jako pani posiadłości była mało wyrazista. Za to kiedy Cole jechał do szkoły, obraz Claire jako nauczycielki muzyki wydawał mu się całkowicie przekonujący.

Wyobrażał sobie, jak jej delikatne ręce tańczą w powietrzu, kiedy dyryguje śpiewającymi uczniami. Na rękach Claire nie było żadnej biżuterii, z wyjątkiem złotej obrączki - prostego, lecz nader wymownego symbolu jej małżeńskiej przysięgi, lśniącego o wiele większym blaskiem niż nawet najlepiej oszlifowane diamenty. Po chwili jej ręce rezygnowały z powietrznego tańca i poszybowały w dół, ku podbrzuszu, by w pełnym szacunku zachwycie dotknąć niemal niedostrzegalnej wypukłości.

Cole musiał położyć kres tej wizji. Była zbyt wyrazista, zbyt bolesna, w jaskrawy sposób przypominała mu o pełnym miłości życiu, jakie planował kiedyś z Claire. Wizja oddaliła się, ale pustkę szybko wypełniło bardziej przykre wspomnienie, któremu w końcu musiał ulec.

Uświadomił sobie, że jest to konieczne. Musi pamiętać wszystko, musi pozwolić, aby tłący się żar każdego wspomnienia zapłonął mocno ten ostatni raz.

Zanim uda mu się pożegnać na zawsze, będzie musiał jeszcze raz przeżyć ich powitanie...

Był późny czerwiec. Cole przeprowadził się do Harlanville wraz z ojcem przed dwoma tygodniami i te dwa tygodnie były dla niego czasem udręki. Miasto było zbyt blisko zatoki. Nawet przebywając w małym domku niemal dwie mile dalej, Cole czuł, że rozlewisko przywołuje go, budzi uczucia, które są tak przykre, a zarazem tak słodkie...

Chodź do mnie, szeptała zatoka, a jej kuszące wezwanie niósł nasycony parą wietrzyk, w którym pełno było upajających zapachów i rozmaitych dźwięków. Do uszu Cole'a dobiegały dźwięki cykad i świergotanie ptaków i chociaż odległość była spora, wydawało mu się, że słyszy rytmiczny plusk przepływających piróg. Chodź do mnie, Cole. Chodź.

Przez dwa tygodnie Cole opierał się gorącemu zewowi. Zamiast ulec sprawiającemu ból oczarowaniu, włóczył się po chodnikach w pobliżu swojego nowego domu, rzucając pogardliwe spojrzenia tym, którzy zerkali na niego z dezaprobatą.

Ludzie z miasta uważali, że ten chłopak będzie sprawiał kłopoty. Ten gniewny nieznajomy o długich, czarnych włosach i wrogich, szarych oczach, mimo młodego wieku stąpał po rozgrzanych chodnikowych płytach bez żadnej radości. Był wysoki, arogancki i dumny. Jednak wydawało się, że dźwiga na barkach jakieś ogromne brzemię, straszliwy ciężar, z którym ustawicznie musi się zmagać.

W lutym Cole Taylor skończył jedenaście lat. Jednak ci, którzy obserwowali go na ulicach orzekli, że musi mieć co najmniej trzynaście i bez wątplenia ma na koncie przeżycia, jakich nie zaznały dzieciaki w Harlanville. Był to początek lat siedemdziesiątych - dekady, która wciąż jeszcze odczuwała skutki poprzedniego dziesięciolecia, rozwydrzonej epoki seksu, narkotyków i rock and rolla.

Ale nie tutaj. Nie w Harlanville. LSD, marihuana i wolna miłość być może wciąż jeszcze plugawiły inne części kraju, ale nie to senne miasteczko nad zatoką w parafii Terrebonne.

Tylko że to niepokalane miasteczko przeżyło inwazję i nawet dorośli zorientowali się, że Cole Taylor ma w sobie coś, jakiś złowieszczy, zmysłowy magnetyzm. Kiedy mij ał Cypress Café, miej scową kawiarnię i miej sce nieoficjalnych spotkań, przekonywali się, jaki naprawdę jest jego sposób chodzenia: pełen wdzięku, ale drapieżny, jakby był panterą poszukującą łupu. Na pewno będzie sprzedawał narkotyki ich synom, a także w nie-dający się opisać sposób narażał na szwank cnotę ich córek i...

Usiłowali jednak wmawiać sobie, że nie ośmieli się. Zważywszy, czym trudnił się jego ojciec. Nie mógłby, nie odważyłby się, prawda?

W tamten czerwcowy dzień, kiedy mieszkańcy Harlanville patrzyli, jak Cole idzie w kierunku rozlewiska, łączyła ich pewna myśl, której nie wypowiadali głośno. Może chłopak zapuści się zbyt daleko w mroczny, niepokojący las, który otaczał zatoczkę, i będzie tak oczarowany, że zgubi się w nim. Zgubi się na zawsze. To było możliwe.

Nawet w przypadku panter.

Cole wiedział, że w końcu ulegnie gorącym szeptom rozlewiska, jego wonnemu zaproszeniu do magii, do bólu, do wspomnień o innej zatoce i o dawnych czasach, kiedy dane mu było zaznać tak wielkiej miłości i tak wielkiej straty.

Wybrał dzień, kiedy niebo było turkusowe, a świecące słońce karało piekącymi promieniami całe ciało człowieka. Jednak w gęstym lesie, który spowijał umęczone, błękitne wody, to był zupełnie inny dzień. Inny świat. Chłodniejszy, łagodniejszy, ocieniony. Miejsce, gdzie cienkie porosty dzieliły niebo na małe turkusowe skorupki i tłumiliły gniewny blask słońca do kojącej jasności świec.

Rozlewisko znowu mu zaśpiewało, słodko-gorzka serenadę, która poruszała jego serce, rozdrapywała mu rany, łagodnie go zabijała. Właśnie wtedy, kiedy jego serce wzbierało rozpaczą, a dusza była niemal całkowicie w niej pogrążona, usłyszał inny dźwięk. Nowy. Nieznany. Zdumiewający.

To był chyba ludzki głos. Ton był tak wyraźny, tak czysty, i wydawało się, że nawet słowa pochodzą z innego świata.

- Zadziwiająca łaska, jakże słodki to dźwięk...

Cole Taylor nie wierzył w niebo, chociaż jednocześnie był przekonany o istnieniu jego przeciwwagi. Piekło znał z autopsji, było dla niego jak stary przyjaciel, nieodłączny towarzysz. Ale niebo? Dla niego było miejscem niewyobrażalnym-nawet w godzinie śmierci.

- Który ocalił takiego łajdaka jak ja...

Ale teraz, kiedy balsamiczne powietrze wypełniła ta piosenka, ta radość, Cole zaczął wierzyć. Był w niebie i już za następnym eukaliptusem, raptem kilka kroków dalej, miał spotkać anioła. Uświadomił sobie, co się stało. Jego rany wyplakiwały tak wielkie strapienie, że utonął w ich łzach. Był martwy, a ona do niego przyszła.

A jeśli się mylił? Jeśli ona była tutaj z kolejną misją miłosierdzia? Wtedy będzie ją błagał, żeby pozwoliła mu umrzeć, żeby zabrała go ze sobą.

- Kiedyś byłem zagubiony, ale teraz odnalazłem drogę...

Za chwilę zobaczy swojego anioła. Jej włosy będą złociste, tak jak aureola otaczająca całą jej postać. Jednak ta luminescencja nie będzie jedynie skutkiem sączenia się światła słonecznego przez kotarę porostów. To będzie coś innego, coś więcej - prawdziwie niebiańska jasność. Anioł będzie miał szatę ze zwiewnego białego jedwabiu, no i będzie miał skrzydła i...

.. i Cole miał rację co do jednego: pieściły ją smugi światła, które było jak nie z tego świata. Włosy dziewczyny-anioła były cynamonowe. W dodatku miała na sobie bawełnianą koszulę i niebieskie dżinsy, a skrzydeł w ogóle nie było widać.

Wciąż nie odwracała twarzy i nawet głos jej nie zdrzął, kiedy śpiewała, ale Cole odniósł wrażenie, że wiedziała, iż on tu stoi, że jakimś sposobem wyczuła jego obecność. I rzeczywiście tak było, bowiem przed ostatnią linijką piosenki odwróciła się do przybysza, żeby zaśpiewać jego szarym jak kamień oczom.

- Byłem ślepy, lecz teraz moje oczy widzą.

I wtedy anioł Cole'a, a właściwie ośmioletnia dziewczynka, opromienił go swym blaskiem. Chłopiec był obcy i nawet u dorosłych mieszkańców Harlanville budził lęk i poczucie zagrożenia. Ale ta niewinna mała dziewczynka, z którą był teraz sam na sam, nie bała się go ani trochę. Jej piegowata twarzyczka przyjaźnie błyszczała tak jak jasnoniebieskie oczy, i przemówiła do mego melodyjnym głosem.

- Cześć. - Była to pojedyncza sylaba, samotny dźwięk, ale tańczył on dookoła nich w parującym powietrzu, jakby był częścią radosnego baletu. Uśmiechnęła się wtedy anielsko, chociaż brakowało jej co najmniej jednego zęba, jakby na potwierdzenie jej wieku... i człowieczeństwa. - Kto ty jesteś?

- Cole.

- Ja jestem Claire.

To zaczęło się tamtego dnia, magiczna przyjaźń zagubionego chłopca i niewinnej dziewczynki. Byli wtedy dziećmi, które łączył ten cud, ta identyczność

- żyjącymi w błogiej nieświadomości różnic, które już wkrótce miały doprowadzić do ich rozdzielenia.

Nowa przyjaciółeczka Cole'a chciała wiedzieć o nim wszystko. Dzielił się z nią tymi prawdami, które mógł przekazać. Nie było ich zbyt wiele. Nie mógł jej nawet powiedzieć, do której klasy będzie uczęszczał jesienią. Do szkoły chadzał sporadycznie. Nikt go do tego nie zmuszał. Nikomu na tym nie zależało.

Aż do tej pory.

- Wyobrażasz sobie, że kim ty jesteś? Piotrusiem Panem? - zapytała kategorycznym tonem Claire, kiedy Cole powiedział jej, że może w ogóle nie będzie sobie zawracał głowy zapisywaniem się do szkoły. Pogroziła mu paluszkami i zaczęła go żarliwie błagać: - Ty musisz chodzić do szkoły, Cole. To jest bardzo ważne. Od tego zależy cała twoja przyszłość.

Aleja nie mam przyszłości. Ten milczący protest był pełen siły, chociaż Claire właśnie zabierała go na spotkanie z cocią Augustą.

Augusta Chamberlain uczyła piątą klasę w jedynej szkole w Harlanville przez prawie czterdzieści lat. Ukochana i szanowana nauczycielka była legendą- a także bardzo tajemniczą postacią. Porzuciła swoją rodzinę w Lafayette oraz spadek, który przypadłby jej w udziale, i przeprowadziła się do

Harlanville. Już to było godne uwagi. Ale dlaczego ta elegancka kobieta, której urody nie przyćmił wiek, musiała całe życie być sama? Dlaczego to właśnie ona pozostała starą panną? Dlaczego nigdy nie była chciana, pożądana, kochana?

W rzeczywistości Augusta Chamberlain była kochana rozpaczliwą, namiętą wieczną miłością. To uczucie między piękną z południa i chłopakiem Cajunem było trzymane w tajemnicy. Ona była wykształcona, a on nie. Jej rodzina była zamożna, jego zaś ledwo wiązała koniec z końcem. Za to jego szlachetność i poczucie honoru nie znały granic. Poszedł na wojnę i umarł za ojczyznę.

Augusta spędzała każdy dzień swojego życia w poczuciu wdzięczności za to, że oddała mu się całkowicie, nie zważając nawet na najbardziej uświęcone normy społeczne. I każdego dnia żałowała, że owocem tej potajemnej miłości nie było dziecko.

Miała pięćdziesiąt cztery lata, kiedy w pożarze domu niedaleko Baton Rouge zginęli rodzice dwuletniej Claire. Została prawnym opiekunem dziecka. Ponieważ ojciec Claire był siostrzeńcem Augusty, w istocie rzeczy była dla Claire cioteczną babką. Ale nawet przed śmiercią rodziców Claire nazywała ją ciocią Augustą, i to okazało się zaraźliwe, albowiem w rok po pojawieniu się małej Claire w Harlanville wszyscy - z wyjątkiem uczniów z jej klasy - przestali używać ponurego „panno Chamberlain” na rzecz czułego „ciociu Augusto”.

Osierocona dziewczynka i jej samotna stryjenka kochały się i opiekowały sobą nawzajem. Na dodatek Claire i Augusta zatroszczyły się również o Harlanville, dając temu miasteczku poczucie wspólnoty, rodziny.

Claire zawsze przyprowadzała do domu pozbawione opieki dzieci, sieroty takie jak ona sama, istoty potrzebujące miłości. Ciocia Augusta zawsze przyjmowała je z otwartymi rękami. W taki sam sposób potraktowała Cole'a.

Kiedy jednak zauważyła bruzdy smutku znaczące młodą twarz, zaczęła się zastanawiać, czy tego pozbawionego opieki przyjaciela Claire można jeszcze uratować. A może było już na to za późno?

Cole umiał czytać i widać było, że jest niezwykle bystry; i chociaż miał ogromne luki w wiedzy, Augusta zdecydowała, że na jesieni zostanie przyjęty do prowadzonej przez nią piątej klasy. W ten sposób mogła mu pomóc, poza tym zakwalifikowanie go do niższej klasy byłoby niesprawiedliwe. Gdyby do tego doszło, w wieku jedenastu lat byłby najstarszym uczniem.

- Mogę go nauczyć wszystkiego, co powinien wiedzieć z drugiej klasy - zaofiarowała się Claire. -1...

- O nie, nic z tego - przerwała Augusta, przewidując, jakie będą jej następne słowa. - Możesz go uczyć tego, co jest w drugiej klasie, młoda damo, ale ani lekcji więcej. Nie pozwolę, żebyś się nudziła w szkole przez następne dwa lata. Cole, musisz mi obiecać, że nie pozwolisz Claire rozwiązywać żadnych zadań, które dotyczą trzeciej i czwartej klasy.

- Obiecuję - przyrzekł oszołomiony, że ta dziewczynka-anioł i jej elegancka ciotka zajęły się nim i uznały, że warto z nim popracować przez całe lato. Nie zasługuję na to. Nie mam żadnej przyszłości. Czy nie rozumiecie tego?

Ale one nie rozumiały. Ani też nie znudziły się i nie straciły cierpliwości. W każdy poniedziałkowy rano ciocia Augusta zadawała mu lekcje na cały tydzień i po godzinie Cole z Claire już byli w lesie, żeby ciężko pracować w tej katedrze z koronkowego mchu i szepczących liści.

Claire potraktowała swoją rolę bardzo poważnie, jakby edukacja Piotrusia Pana miała ogromne znaczenie. Nieustannie przepytывała Cole'a i była bardzo dumna, kiedy udzielał właściwych odpowiedzi. Co dziwne, wydawało się, że jest równie dumna, kiedy nie znał odpowiedzi. Piegowata nauczycielka wzdychała ciężko tylko wtedy, gdy uczył się przedmiotów zakazanych dla niej.

W takich chwilach Claire czytała swoje książki, te, na które pozwoliła ciocia Augusta, albo krążyła niestrudzenie wokół, choć nigdy nie oddalała się za daleko, tańczyła na powalonych kłodach i czekała, aż Cole zrobi sobie następną przerwę. Czasami nuciła sobie pod nosem lub śpiewała głośno dla publiczności, którą były śnieżnobiałe czaple.

- Jeszcze nie słyszałam twojego śpiewu, Cole - oznajmiła któregoś dnia.

- Nigdy nie usłyszysz.

- Dlaczego nie?

- Może nie umiem śpiewać.

- Wszyscy potrafią śpiewać.

- Wszyscy potrafią odtworzyć melodię?

- Nie, ale w śpiewaniu przecież nie to jest najważniejsze, prawda?

- Nie to?

Claire spojrzała na niego z irytacją i zaczęła intensywnie wymachiwać rękami, opartymi dotychczas na wąskich biodrach.

- Oczywiście, że nie! Ludzie potrzebują śpiewania. Wszyscy ludzie. To jak spanie, jedzenie albo oddychanie. -Nie wydawała się już rozdrażniona, a wyraz jej twarzy zdradzał, że była nad wiek mądra. - Poczujesz się lepiej, jeśli zaśpiewasz, Cole. Wiem, że tak będzie.

Jej słowa zdumiały go. Co jeszcze wiedział ten mądry mały elf? Że jego dusza dawno już umarła? Że kiedyś żył jednak szczęściem i piosenką?

- Poza tym będziesz musiał śpiewać w szkole. Oprócz nauczania piątej klasy, ciocia Augusta prowadzi zajęcia z muzyki dla całej szkoły. Co roku odbywa się kilka przedstawień, przychodzą

ludzie z całej parafii, a czasami nawet z Nowego Orleanu, tylko po to, żeby posłuchać. W Harlanville wszyscy śpiewają, Cole. Nauczę cię śpiewać. To jest bardzo proste. Spróbujesz?

Cole nie był pewien, czy Claire dostrzegła jakiś sygnał w jego oczach -może iskierkę nadziei - czy też po prostu podjęła już decyzję. Ale widział, że na jej ślicznej twarzy malowała się determinacja. Ujęła jego ręce, którymi przytrzymał książkę.

- Teraz skup się Cole i śpiewaj ze mną.

Śpiewaj ze mną. Ależ oni śpiewali! Napełniali las dźwiękami czystymi jak trele ptaków i przejrzystymi jak letnie powietrze. Mieli wysokie, słodkie dziecińne głosy: dziewczynka, która nie bała się niczego i wierzyła we wszystkie marzenia... i chłopak, równie nieustraszony, który nie wierzył w nic - z wyjątkiem tych rajszych chwil w jej towarzystwie.

Śpiewali a cappella w swojej szmaragdowej świątyni. Nie potrzebowali żadnych instrumentów oprócz swoich głosów, ani wsparcia innej orkiestry prócz symfonii rozlewiska. Ale i tak któregoś dnia Claire pojawiła się z gitarą. Była to jej własna gitara, prezent od cioci Augusty. Teraz, jak powiedziała, gitara miała należeć do Cole'a.

- Dla mnie jest za duża - wyjaśniła. - A poza tym bardzo raniłam sobie palce próbując na niej grać. Musisz bardzo mocno dociskać struny do progów. Po jakimś czasie palce przyzwyczajają się. Ale ja postanowiłam, że będę nadal grała na pianinie. Zatem jeśli chcesz, gitara jest twoja.

Cole pragnął gitary, chciał tego podarunku od szczodrej, pełnej radości przyjaciółeczki. Nie przejmował się piekącymi opuszkami palców, nie zwracając uwagi na ból grał znane i nowe melodie, obsesyjne motywy stworzone przez siebie, do których często dodawali słowa wymyślone wspólnie.

Magiczna - i tak niewinna - przyjaźń Cole'a z Claire trwała prawie dwa lata. Ale kiedy Cole skończył trzynaście lat, przestał przychodzić do zaczarowanego lasu. Zmieniał się, z chłopca stawał się mężczyzną, ona zaś wciąż była dziewczynką. Jeszcze zanim zaczął unikać jej towarzystwa, jego zmieniający się głos zapowiedział nadchodzące rozstanie. Czysta, wyraźna, cudowna harmonia, która łączyła ich jako dzieci, zanikała w miarę jak jego głos zaczynał grubieć i osiągać głębokie, zmysłowe bogactwo, które kiedyś miało zauroczyć cały świat.

Przez następne sześć lat Cole i Claire mijali się niemal codziennie na szkolnych korytarzach, udając, że się nie widzą i spoglądali na siebie nawzajem tylko wtedy, gdy myśleli, że druga strona tego nie zauważy. A kiedy już spoglądali na siebie? Dostrzegali zmiany i tęsknili za utraconą niewinnością. .. aż do dnia, kiedy Claire również rozpoczęła podróż ku dorosłości.

Właśnie wtedy Cole musiał w ogóle przestać na nią patrzeć. I zrobił to. Jego tęsknoty były zbyt niebezpieczne - i zbyt egoistyczne.

Dziewczynka, która była jego przyjaciółką, stawała się młodą kobietą, rozkwitała na jego oczach jak odważny kwiat radośnie otwierający się ku słońcu. Ze względu na samą siebie, dla własnego dobra, Claire musiała pozostać dla niego kimś obcym.

Ale Claire nie była dla niego obcą osobą. Ta przykra myśl zaświtała Cole'owi teraz, kiedy hamował wynajętym samochodem, by zatrzymać go przed szkołą. Powinien był trzymać się od niej z daleka, a już z całą pewnością nie powinni nigdy więcej śpiewać w duecie.

Ale przed dwunastoma laty, kiedy ona miała lat szesnaście, a on dziewiętnaście, ich głosy znowu się połączyły, tworząc doskonalszą harmonię niż słodycz dzieci - wspaniały duet miłości między kobietą i mężczyzną, piosenkę śpiewaną na dwa głosy, ale jednym sercem.

Cole i Claire zaśpiewali razem w tamten grudniowy wieczór. Już nie byli dla siebie obcy, a dalsza część tego pogrążonego w księżycowej poświacie wieczoru przyniosła jeszcze więcej magii - i cudownych marzeń.

Jednak następnego dnia magię zniszczyła przemoc i wszystkie marzenia zostały unurzane we krwi.

3

Cole słyszał kolędy już w głównym holu szkoły. Dochodziły z audytorium i płynęły przez puste korytarze jak obsesyjne echo tamtej nocy sprzed wielu lat.

Cole podążał za ich dźwiękiem. Minął stalową szafkę Claire i swoją własną. Na linoleum wciąż było widać ślady butów, które kiedyś nosili. Była też klasa cioci Augusty, która wydawała się teraz o wiele mniejsza niż wówczas, i gabinet dyrektora, który Cole znał tak dobrze, a także stołówka, gdzie dwanaście klas jadło razem lunch i gdzie on i Claire rzucali sobie dyskretne spojrzenia.

W historii ludzkości dwanaście lat liczyło się mniej niż zmruczenie oka, a w tym miejscu, tak bliskim dziewczęgo, sielankowego lasu z Evangeline, wydawało się, że czas w ogóle stanął w miejscu.

To wrażenie uległo zmianie, gdy dotarł do auli. Tutaj czas posuwał się, postęp był widoczny. Aula przeszła kapitalny remont. Siedzenia, dawniej w całości drewniane, teraz były obite pluszem, a niegdyś gołe ściany zostały wymalowane i ozdobione freskami. Akustyka również się poprawiła, i choć nie można było tej zmiany zobaczyć, to ucho utalentowanego muzyka natychmiast ją wychwytiło i doceniło.

Jakby w odpowiedzi na pytanie, które zaświtało mu w głowie - skąd wzięła się tutaj ta nowoczesna sala? - Cole zauważył błyszczącą tabliczkę z brązu. Napisano na niej: Teatr Augusty Chamberlain. Dar Andrew i An-nabelle Harlanów.

Cole miał nadzieję, że teatr został ukończony przed śmiercią ciotki Augusty, że mogła stanąć w miejscu, w którym się teraz znajdował, i podziwiać dobrze rozchodzący się dźwięk, patrzeć na świeżo polakierowaną scenę i na swoją siostrzenicę, dyrygującą chórem uczniów.

Cole prawie zapomniał, a raczej zabronił sobie pamiętać, z jakim wdziękiem poruszały się ręce Claire. Ale w tamten grudniowy wieczór poznał ich subtelne piękno. I były wciąż piękne, pełne desperackiego wdzięku, następnego dnia, kiedy wyciągnęła je ku niemu, kiedy go dotykała, aż on w końcu ją odepchnął.

Ręce Claire były teraz blade, śnieżnobiałe i kobiece. Ale kiedyś były opalone na ciemny brąz i kiedy dziewczynka o duszy elfa i anioła maszerowała w takt pulsującego, wewnętrznego rytmu, nieustannie nimi wymachiwała.

Cole widział tylko rozkołysane białe ręce Claire i pochyloną w zamyśleniu cynamonową głowę. Ale wyobrażał sobie jej twarz. Jej wargi po cichu odtwarzały dobrze znane kolędy i były roześmiane, a jasnyniebieskie oczy lśniły jak letnie niebo rozświetlone słońcem.

Niebawem ujrzy tę twarz. Czy Claire nadal będzie się uśmiechała, kiedy go zobaczy? A może to niebo, to rozpromienione szczęście, zasnuje się obłokiem smutku?

Cole mógł się tego dowiedzieć dopiero po zakończeniu próby. Pragnął, by ta chwila nadeszła jak najszybciej, a zarazem odczuwał strach; zadowalał się czekaniem, obserwowaniem Claire, słuchaniem kolęd i rozpamiętywaniem przeszłości.

Całkiem nagle, bez jakiegokolwiek sugestii pięknych rąk Claire, śpiew ustał i w tym doskonałym pod względem akustyki miejscu zastąpiły go ściszone szepty.

- To on.

- Niemożliwe.

- Ależ tak! To jest...

Claire wiedziała, jeszcze zanim cokolwiek usłyszała, że ludzie szepczą sobie jego imię. Czyż nie wyczuła jego obecności, zanim ktokolwiek zdążył coś mruknąć pod nosem? Czyż całym jej ciałem nie wstrząsnął lodowaty dreszcz? Czyż nie wyczuła nagłego pojawienia się ducha?

Był tutaj. Znowu. W końcu. Za późno.

Dlaczego? Czy wiedział? Czyżby ciocia Augusta jednak złamała uroczystą obietnicę? Czyżby w ostatnich dniach swego życia ukochana ciocia napisała do Cole'a mimo gorących błagań Claire? Czy właśnie to - ujawnienie prawdy przez ciocię Augustę - było powodem, dla którego Cole wrócił do Harlanville po tylu latach?

A może przeżył zaskoczenie, wstrząs? Zresztą, skąd mogła wiedzieć?

- To jest Cole Taylor, panno Chamberlain. Cole Taylor! - Teraz uczniowie zaklinali ją, błagali o pozwolenie, by zejść z polakierowanej sceny i zbliżyć się do najświetniejszego ucznia tej szkoły. - Panno Chamberlain? To naprawdę on. Czy możemy...

Claire dała pozwolenie skinięciem głowy, a jej szczupłe białe ręce, wciąż jeszcze uniesione, powoli opadły w kierunku podium. Ścisnęła wypolerowane drewno i pochyliła głowę nasłuchując dudnienia kroków uczniów, którzy biegli do gwiazdora.

Cole nie chciał, żeby tak się stało. Podjął świadomą decyzję, żeby pozostać w cieniu i ukrywać się aż do zakończenia próby i rozejścia się uczniów. Jednak widok Claire przyciągał go, sprawiał, że czuł się nie jak supergwiazda, lecz jak dziewiętnastolatek, który musi bezwiednie podążać za tym niewidzialnym rozkazem; zbliżał się do niej coraz bardziej, aż w końcu wyszedł z cienia.

Otaczał go teraz chórki uczniów Claire, zbyt nieśmiały, by go dotknąć, ale wystarczająco odważnych, by poprosić o autograf na trzymany przez siebie arkuszach z nutami. Cole zgodził się, mrużąc pod nosem właściwe, grzeczne słowa, skupiając uwagę na pełnych entuzjazmu młodych twarzach, chociaż cały czas pamiętał przede wszystkim o twarzy, której nie mógł zobaczyć.

Claire stała na podium, ale nadal nie odwracała się. Ciało miała usztywnione, a głowę spuszczoną, jakby odczuwała zawstydzenie albo strach.

Było oczywiste, że Claire czeka, aż Cole upora się z autografami, żeby mogli być sami. Ale nawet pomimo dzielącej ich odległości Cole wyczuwał, że była to decyzja podjęta pod wpływem rezygnacji, a nie entuzjazmu. Zgodziła się na widzenie, ale nie chciała tego. Teraz był dla niej kimś obcym... i pragnęła, aby to nie uległo zmianie.

Wreszcie ostatnie kartki zostały podpisane i było jasne, że próba nie może być kontynuowana. Uczniowie byli zbyt przejęci i za wszelką cenę chcieli rozgłosić nowinę o powrocie słynnej gwiazdy do Harlanville.

- Będzie pan tutaj wieczorem, prawda, panie Taylor? Zaśpiewa pan na przedstawieniu?

Nie, ponieważ przedstawienie powinno być odbyć się zeszłego wieczoru, a dzisiaj przypada uroczysta rocznica dnia, który unicestwił wszystkie marzenia, a przecież widać bardzo wyraźnie, że ona nie życzy sobie mojej obecności, nawet pomimo tego, że wreszcie mogłoby dojść do prawdziwego pożegnania.

- Ja... nie wiem.

Nowy teatr, wybudowany na cześć cioci Augusty, był pomnikiem dźwięku, muzyki, piosenki. Nie powstał po to, by panowała w nim cisza.

Teraz jednak było tu cicho i budowała, którą wzniesiono z myślą o wzmocnieniu każdej nuty, o czczeniu nawet najdelikatniejszego dźwięku, uchwyciła ów jego brak i nagłośniła go do niemal ogłuszającego ryku. Powietrze drżało niczym żywa istota o gwałtownie bijącym sercu, a kroki, które zbliżały się do Claire, przypominały grzmot piorunów, jakby Cole był jakimś egzekutorem, zabójcą marzeń.

Potem zabrzmiał głos, a raczej ochryply szept, delikatny, ale surowy. Delikatność była dla niej, surowość dla niego samego.

- Claire?

- Cole.

Jej głos sączył się przez gęstą zasłonę kasztanowych włosów, jak niegdyś dochodził przez gęste girlandy porostów. W tamten czerwcowy dzień wiele lat temu, kiedy pierwszy raz zobaczył swojego anioła w niebieskich dżinsach, Claire patrzyła w inną stronę, tak jak teraz. Jednak wtedy odwróciła się do niego, żeby mu zaśpiewać ostatni wiersz swojej radosnej pieśni.

Byłem ślepy, lecz teraz...

Teraz w końcu powoli zaczęła się odwracać, jakby był to piruet skazanej baleriny, która musi wirować, bo takie jest jej przeznaczenie, ale boi się, że to jest ostatni taniec... kres tańczenia.

Potem stanęła twarzą do niego, a kiedy przechyliła głowę, żeby na niego spojrzeć, cytrynowa kotara rozchyliła się, odsłaniając skórę, która była strasznie biała, uderzająco blada. Wyglądało to tak, jakby Claire wyparła się słońca. Ale to nieważne, pomyślał Cole. Ona zawsze miała swoje własne słońce, swoją gwiazdę, która świeciła w niej jasnym blaskiem.

Szukał teraz dowodu na istnienie tego prywatnego, złocistego słońca. Wciąż tam było, w jej wspaniałych oczach, pośród bursztynowych plamek jarzących siew lśniącym błękitnie. Ale te plamki były ciemniejsze niż we wspomnieniach Cole'a, błyszcząły jak zbrązowiałe, wypolerowane złoto - jak złoto obrączki, która od noszenia staje się ciemniejsza, bardziej potyskująca.

Spojrzenie Cole'a padło na jej śnieżnobiałe ręce. Opuściła je i zacisnęła w pięści. Kłykcie wydawały się niemal przezroczyste, a na palcach nie było żadnej obrączki.

Przecież miałas być żoną, Claire. Miałaś być szczęśliwą mężatką, spełniającą swe marzenie beze mnie.

Patrząc na pozbawione biżuterii palce dziewczyny, Cole uświadomił sobie, że Claire musiała zauważyć jego spojrzenie i zastanawiała się, co oznaczało. Ono nic nie oznacza, Claire. Nic się nie zmieniło. Chcę tego, czego zawsze chciałem - twojego szczęścia... beze mnie.

W tym momencie uderzyła go zarozumiałość tej myśli i, wciąż przypatrując się jej rękom, wyobraził sobie odpowiedź Claire. Spóźniłeś się, Cole! Jeszcze nie wzięliśmy ślubu, ale poznałam kogoś, wspaniałego mężczyznę. Jestem zakochana i teraz naprawdę wiem, co to znaczy miłość, co powinna znaczyć. Dowiedziałam się tego od niego, nie od ciebie. Twoją specjalnością było okrucieństwo, prawda? Okrucieństwo, nie miłość. Och, jakie mam szczęście, że wyjechałeś!

Okrucieństwo było jego specjalnością nie Claire. Poza tym Cole uświadomił sobie, że jeśli nawet czuła, iż ma wielkie szczęście, bo udało jej się uciec od jego miłości, to nie odpłaciłaby mu tym samym.

Odrywając wzrok od bladych, pozbawionych biżuterii palców Cole spodziewał się, że ponieważ tak bezceremonialnie wypatrywał obrączki, Claire pośle mu uważne spojrzenie. Jednak to, co go przywitało, było jak mocne, ostre cięcie, sprawiające większy ból niż wszystkie ataki, które jego serce zmuszone było odpierać w przeszłości.

Claire wciąż się w niego wpatrywała, a jej błyszczące oczy wyrażały nie tylko powitanie, ale i strach. Nie podążała za jego wzrokiem, ani gdy patrzył na jej ręce, ani gdy znalazł śnieżnobiały, podłużny przedmiot, który leżał schludnie złożony na podłodze obok Claire, niczym symbol prawdy. Tylko czekała z niepokojem, aż on sam dokona odkrycia.

Słońce, które mieszkało w uroczym sercu Claire Chamberlain, nadal świeciło. Jego blask wydawał się nawet bardziej olśniewający niż kiedykolwiek przedtem, opromieniał nawet najciemniejsze ze złocistych plamek. Było to cudowne, ale małe słońce. Jego misja polegała na rozświetlaniu wszystkich cieni w sercu Claire, i malutka gwiazda wykonywała to zadanie wspaniale.

Były jednak rzeczy, których małe słońce Claire nie potrafiło dokonać. Na przykład nie było w stanie sprawić, aby jej błyszczące niebieskie oczy widziały.

Nie mogło też wysłać swych złocistych promieni poza serce Claire Chamberlain, by oświetlić świat ciemności, w którym przeznaczone jej było zamieszkać.

On nie wiedział. Claire wyczuwała, jak bardzo jest wstrząśnięty, miała wrażenie, że siła tego szoku wypełnia przestrzeń między nimi.

- Domyślam się, że ciocia Augusta nic ci nie napisała.

- Nic.

Ani razu podczas tych sześciu lat ślepoty Claire nie pomodliła się o przywrócenie wzroku, chociaż potrzebowała go tak rozpaczliwie: żadna cena -ani j ej serce, ani nawet sama dusza - nie byłaby wygórowana. Ale teraz... och, jakże pragnęła zobaczyć twarz Cole'a. Jego twarz. Jego oczy. Czy były teraz zamglone, czy płonęły gniewem z powodu kapryśnego losu, który skazał ją na ciemność?

A może były chłodne, a jego gniew przypominał lód?

I czyjego wściekłość była skierowana nie na okrutny los, lecz przede wszystkim na nią samą, niegdyś dzielną nimfę, która zdradziła oboje, stając się - w jego lodowato zimnych oczach - istotą godną politowania?

- Co się stało, Claire?

Muszę go zobaczyć, proszę! Jego głos brzmi łagodnie, ale...

Człowiek, którego kiedyś kochała, był cieniem i skałą, straszliwą fortecą mrocznych jak noc sekretów. Zapalczywy. Twardy. Nieprzenikniony. Nie do rozszyfrowania. Ale Claire potrafiła go rozszyfrować - czasami, kiedy widziała jak drgają mocne mięśnie szczęki Cole'a, jak pulsują żyłki na szyi, jak kurczowo zaciśnięte są j ego wargi albo jak zimnym blaskiem lśnią jego srebrzyste oczy.

Teraz Claire nie mogła korzystać z żadnej wskazówki. Miała do dyspozycji tylko głos mężczyzny, którego piosenki o miłości uwiodły świat. A w przypadku tego mężczyzny, najciemniejszego z cieni, człowieka, który wierzył, że ma serce z kamienia, nawet najłagodniejszy szept mógł niczego nie oznaczać.

- Dlaczego tu jesteś, Cole?

- Żeby cię zobaczyć.

- Ale nie wiedziałeś.

- Nie. Przypuszczałem, że ty i Andrew nadal jesteście małżeństwem.

- Wiedziałeś o naszym małżeństwie?

- Byłem tutaj tamtego wieczoru. Wszędzie - w witrynach sklepów, a nawet przy wejściu do teatru - znajdowały się afisze ogłaszające twój ślub i życzące tobie i Andrew wszystkiego najlepszego. Wiedziałeś o tym?

Claire skinęła głową nie będąc w stanie wydusić ani słowa. Byłeś w Harlanville w wieczór mojego ślubu? Dlaczego, Cole? Dlaczego? Czy w końcu zamierzałeś do mnie wrócić? Czy powinnam była poczekać jeszcze jeden dzień? Czy powinnam była rozkazać swojemu sercu, żeby wytrzymało jeszcze trochę, aż całkowicie uda mi się pokonać tę cząstkę, która tęskniła za tobą, płakała po tobie, kochała cię tak bardzo?

Jej oczy nie widziały, ale potrafiły mówić. I teraz Cole ujrzał w nich czysty gniew.

- Claire?

- Wiedziałam o tych afiszach. Widziałam je. - Wtedy jeszcze widziałam, Cole! Wciąż jeszcze miałam wzrok. I gdybym zobaczyła ciebie, twoje oczy, twoją zaciśniętą szczękę, gardło pulsujące biciem serca... - Ten wypadek zdarzył się w parę godzin po tym, jak wzięliśmy ślub. Tamtej nocy rozszalała się burza. Drogi były bardzo mokre, śliskie...

- Pamiętam - rzekł cicho Cole. Nigdy nie mógłby zapomnieć grzmotów piorunów tamtej nocy, burzy, która rozszalała się w otaczającym go świecie, i jeszcze sroższej, która kotłowała się w jego sercu.

Opuścił Harlanville natychmiast po tym, jak dowiedział się, że Claire miała wyjść za mąż. Wsiadł do pierwszego samochodu, jaki udało mu się zatrzymać, gotów jechać dokądkolwiek. Kiedy od Harlanville dzieliło go parę godzin, nagle poczuł przenikający do szpiku kości, złowieszczy chłód, który przerodził się w nakaz. Jedź do niej, szeptały lodowate dreszcze. Ona cię potrzebuje.

Nie, odpowiedział sobie stanowczo, opryskliwie. Odczuwam swoją potrzebę. Moje pragnienie, moją rozpacz - nie jej uczucia.

Może jednak popełnił błąd? Może Claire rzeczywiście przywoływała go w tamtą burzliwą noc przed wielu laty?

- Co się stało, Claire?

- Jechaliśmy do Nowego Orleanu.

- Po przyjęciu? -Tak.

- Andrew prowadził? Podczas burzy? Po kilku butelkach szampana?

- Ja... nie. Przyjęcie odbyło się w Belle Reve. Prowadził tylko do momentu, kiedy nie było nas widać z terenu posiadłości, a potem ja usiadłam za kierownicą.

Bo nic nie piłam, nawet w swoją noc poślubną.

Zdarzało się podczas tych lat, kiedy traktowali się nawzajem jak nieufni nieznajomi, że Claire odważnie przekraczała niewidzialną granicę, która ich dzieliła. Z początku działało się tak wówczas, gdy przekazywali sobie jakieś nowiny, jakby nadal byli przyjaciółmi, chłopcem i dziewczynką przesiadującymi w lesie nad zatoczką. Ona opowiadała mu z radością jakąś zabawną historyjkę, którą, jak sądziła, jej przyjaciel miał ochotę usłyszeć, jej oczy były takie ożywione i pełne nadziei, jakby czekały na jakikolwiek gest. Cole odpowiadał szyderczym spojrzeniem, a wtedy Claire oddalała się, zdziwiona i boleśnie zraniona!

W miarę jak Claire zaczynała dojrzewać, wyrównywać dystans między nimi, niewidzialna granica zamieniła się w głęboką i niebezpieczną przepaść. Lecz jeśli musiała naruszyć ową granicę - dla niego - robiła to. Cole przypomniał sobie teraz wieczór, kiedy wykazała się największą odwagą. Miała czternaście lat, budziła się, rozkwitała, jakby lada dzień miała przepoczwaczyć się z małej dziewczynki w młodą kobietę, on zaś miał lat siedemnaście i bardziej przypominał mężczyznę niż chłopca, a w dodatku słynął ze swoich przelotnych, kapryśnych i pełnych seksu związków.

Tamtego wieczoru erotyzm, który towarzyszył związkowi Cole'a z najnowszą dziewczyną, rzucał się w oczy. Byli w miejscu publicznym, rozmawiali z przyjaciółmi, ale ich ciała ocierały się o siebie w sposób, który był nader wymowny, a zarazem nie do końca zrozumiały dla Claire. Wiedziała, że ich zachowanie świadczy o intymnej zażyłości i widok Cole'a napawał ją tęsknym bólem, który starała się wytłumaczyć sobie. Ale nie zważając na to podeszła do niego... do nich dwojga.

Cole pił tak jak dotychczas, tak jak jego przyjaciele. Tamci mieli coraz bardziej ochryple głosy, stawali się buńczuczni i hałaśliwi. Ale Cole, który wypił najwięcej, w ogóle się nie odzywał. Właśnie to niesamowite milczenie sprawiło, że Claire podeszła do niego. To milczenie - i jego oczy. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby spojrzenie Cole'a było tak puste, tak nieobecne. Cole wyglądał tak, jakby umarł i obserwował własnego ducha.

Ale kiedy wysłuchał jej dzielnego wyzwania, jego obojętność ustąpiła miejsca zimnemu jak gład, nieskończone okrutnemu spojrzeniu.

- Wyzwam cię, żebyś już nigdy więcej nie pił, Cole'u Taylorze. - Głos Claire był tak samo odważny, jak podczas szczęśliwych dni, które spędzali nad zatoczką. Wtedy nieustannie rzucała mu wyzwania. Zamknij oczy, Cole, a potem przejdź przez kłodę! Wyzwania Claire zawsze były przeznaczone dla nich obojga. Teraz również zaofiarowała się, że stawi czoło temu wyzwaniu razem z Cole'em. - Nigdy nie będę piła alkoholu. Nigdy więcej.

- Nie powinnaś pić, Claire. Jesteś o wiele za młoda. Idź sobie, dziewczynko.

Cole w tamtym momencie nie był w stanie zaakceptować jej wyzwania. Potrafił tylko sprawiać jej ból, miał potrzebę robienia czegoś takiego - równie silną, jak potrzeba picia alkoholu. Nie umiał sobie wyobrazić, że kiedyś nie będzie pił. Ale taki czas jednak nadszedł: w deszczowy wieczór, kiedy Claire Chamberlain brała ślub. Abstynencja Cole'a była innym rodzajem kary, o wiele dotkliwszym niż samoniszczące popędy, które dawniej zmuszały go do picia. Poprzez abstynencję Cole skazywał się na życie, które było już w pełni świadome, na świat, w którym musiał się zmagać z jasną, porażająco oczywistą prawdą.

Sześć lat temu, w wieczór ślubu Claire, Cole przyjął jej wyzwanie. Ale czy nadal było to wyzwanie dla nich obojga? A może Claire już od dawna знаła upajającą moc szampana?

- Piłś?

- Och, nie. Przecież ja... - Wzruszyła ramionami. - Byłam całkowicie trzeźwa, ale widocznie jechałam nieuważnie, zbyt szybko, jak na śliską jezdnię. Na szczęście nikt inny nie uczestniczył w wypadku.

Szybka, beztroska jazda nie leżała w naturze Claire. Czyżby tak bardzo zależało jej na dotarciu do Nowego Orleanu? Żeby zacząć noc poślubną z Andrew Harlanem?

- Widocznie? - powtórzył Cole. - To nie pamiętasz wypadku?

- Nie. Dość poważny uraz głowy spowodował trwałą amnezję, jeśli chodzi o wypadek i kilka poprzedzających go godzin. Pamiętam, że ubierałam się na ślub. - I pamiętam, że ciocia Augusta zapytała mnie ostatni raz, czy jestem całkowicie pewna, że chcę wyjść za Andrew i wreszcie przestać czekać na ciebie. - Potem już nic, aż obudziłam się dwa dni później.

Nie pamiętasz nic ze swojego ślubu? Tego zwiewnego, romantycznego snu?

- Jesteś pewna, że to ty prowadziłaś? Zawahała się na krótko, a potem wyznała:

- Nie. Nie jestem pewna. Ale to nie ma znaczenia - dodała pośpiesznie. - Andrew zamierza kiedyś ubiegać się o urząd publiczny.

A co z twoimi planami, Claire? Z twoimi marzeniami? Te pytania wychodziły nieproszone wprost z jego serca, były jak krzyk przerywający ciszę. .. wdzierający się w ciemność Claire.

Claire nie mogła usłyszeć myśli Cole'a. Wyczuwała jednak ich moc, jego wściekłość, i znowu poczuła ból, narastający, cichy, udręczony krzyk, którego powodem była bezradność.

- Lekarze namawiali na operację- powiedziała, chcąc zakończyć swoją opowieść, pragnąc, aby Cole wreszcie sobie poszedł. - Żeby spróbować odwrócić ślepotę. Szanse na powodzenie operacji były niewielkie, a w dodatku stanowiła ona spore ryzyko, a ponieważ miałam inne obrażenia, więc i tak nie nadawałam się do tego rodzaju zabiegu.

- Dlatego Andrew nie pozwolił, żeby cię operowali.

Claire wydawała się zaskoczona pewnością, z jaką Cole wypowiedział to zdanie, i dziwnie zmieszana.

- Nie - odparła wreszcie. - To była moja decyzja. Gdyby coś mi się przydarzyło, coś jeszcze gorszego niż wypadek, to byłoby ponad siły cioci Augusty.

To by ją zabiło. Claire nie wypowiedziała tych słów na głos, ale Cole zdawał sobie sprawę z ich prawdziwości. Decyzja Claire świadczyła o jej bezinteresownej miłości do cioci Augusty. A gdyby nie było żadnej cioci Augusty? Czyż Claire nie podjęłaby takiej samej decyzji ze względu na samą siebie, przedkładając utratę wzroku nad śmierć? Wszak była panną młodą, rozpoczynała życie z mężczyzną, którego kochała.

Jej błękitne oczy zalśniły, kiedy wymieniła imię cioci Augusty, ale teraz ten blask przygasiał i nawet połyskujące, złociste plamki stawały się matowe -jak gdyby w rzeczywistości wcale nie były ze złota, jak gdyby nie były prawdziwe, jak gdyby ich piękno było jedynie szalbierstwem.

W Claire nigdy nie było żadnego fałszu, żadnych pozorów ani udawania. Ale teraz na jej ślicznej bladej twarzy pojawiło się nieomal zawstydzenie, jak gdyby została przyłapana na oszustwie.

- Claire?

- Claire?

Usłyszała swoje imię szybujące na obłoku gdzieś wysoko w górze. W tej pierzastej chmurze była ciocia Augusta. Wołała do niej tak jak Andrew.

Claire chciała odpowiedzieć, ale nie mogła. Jej ciało było ociężałe, tak samo jak powieki, które nie mogły się otworzyć.

Śpię. Ale wkrótce się obudzę. Nie zostawiaj mnie, ciociu Augusto! Andrew? Proszę. Ja się obudzę. Już teraz czuję, że mam lżejsze powieki, że właśnie zaczynają się poruszać, a za chwilę cię zobaczę i przekonasz się, że nic mi nie jest, i w waszych głosach - och, ciociu Augusto, zwłaszcza w twoim głosie! - nie będzie już słychać zatroskania i...

Dlaczego nie mogę was zobaczyć? Mam otwarte oczy, wiem o tym, i już nie śpię. Dlaczego wszystko jest takie ciemne? To musi być jakiś sen. Ale niedługo, już całkiem niedługo, obudzę się naprawdę.

Ale Claire nie miała się już nigdy obudzić, wydostać z gęstej zasłony czerni. W ciągu następnych dni doświadczyła jednak kilku przebudzeń, równie załamujących jak utrata wzroku. Albowiem właśnie

w tym okresie Claire poznała prawdziwe oblicze Andrew. Skazana na bycie niewidomą przez całe życie, wreszcie przejrzała mężczyznę, którego poślubiła.

Przez sześć lat Andrew uganiał się za nią niestrudzenie, jego zaloty zaczęły się wkrótce po tym, jak Cole zniknął z Harlanville. Dla Claire było na to o wiele za wcześnie - wtedy i przez większość następnych lat. Ale Andrew rozumiał ją. Był bezgranicznie cierpliwy i uroczy, aż w końcu Claire uległa jego uporczywej - i jakże śmiałej - perswazji. Wiedziała, że nigdy nie pokocha Andrew tak, jak kochała Cole'a. Jednak tamta miłość była niebezpieczną, niszczącą namiętnością. Z Andrew jej serce będzie bezpieczne.

Claire była szczera z Andrew. Wyznała mu, że rzeczywiście ogromnie zależało jej na Cole'u, i wyraziła zdziwienie, że największy bogacz w miasteczku chce wziąć ślub właśnie z nią. Oczywiście ona też cieszyła się pewną sławą w okolicy, wszak była siostrzenicą ukochanej cioci Augusty. Ale mimo wszystko...

Pragnę cię, Claire. I obiecuję ci, że przy mnie z czasem całkowicie zapomnisz o Cole'u Taylorze.

Andrew Harlan pragnął, aby Claire Chamberlain była jego żoną, matką jego dzieci, a także kobietą, która będzie stała u jego boku w trakcie kampanii wyborczych - udanych kampanii, które wyniosą go na urząd gubernatora, a potem jeszcze wyżej.

Andrew był przyzwyczajony do dostawania tego, co chciał. Zawsze.

I z ciemności, która ją za snuła, z tego hebanowego świata, w którym wszystkie inne zmysły ulegały bolesnemu wyostrzeniu, Claire usłyszała, czego Andrew pragnął teraz: żony, która widzi. Która widzi cokolwiek.

Dlaczego? Ponieważ głosy, jakie mógł zebrać w ramach współczucia, nie były wystarczającą rekompensatą za jej kalectwo? Czy dlatego, że Andrew, którego świat był zawsze taki doskonały, czuł okropny dyskomfort w związku z jej ułomnością? A może chodziło o coś innego, coś jeszcze bardziej osobistego?

Któregoś dnia, Claire, spojrzysz na mnie dokładnie tak samo, jak kiedyś spoglądałaś na Cole'a.

Claire nie wiedziała, i nigdy nie miała się dowiedzieć, co kierowało Andrew, który tak stanowczo dążył do tego, by przeszła operację. Mężczyzna, którego poślubiła i którego poznała naprawdę dopiero wtedy, kiedy otoczył ją mrok, nie powiedział jej tego. Claire wiedziała tylko, że Andrew pragnął przywrócenia jej wzroku ze względu na siebie, a nie na nią. Ani razu podczas tych dni ciemności - kiedy świeżo upieczeni małżonkowie mieli rozpocząć swój miesiąc miodowy na pokładzie „Queen Elizabeth 2” - Andrew nie powiedział do swojej świeżo poślubionej żony: „Chcę, żebyś mogła znowu zobaczyć księżyc, Claire, i girlandy mchu w lesie, który uwielbiasz, i nasze dzieci, Claire, nasze maleństwa. Chcę, żebyś zobaczyła tę radość”.

- Claire?

Ustyszała swoje imię, wypowiedziane łagodnie i wyraźnie w akustycznej sali Teatru Augusty Chamberlain. Ta doskonałość była w stylu Andrew Harlana. Teatr był prezentem dla cioci Augusty, a także kosztownym podarunkiem dla Claire - panny młodej, a potem byłej żony, która w momencie rozwodu odmówiła przyjęcia choćby jednego centa z jego fortuny.

Głos, który wyrzekł teraz jej imię z tak cudowną wyrazistością- i zapierającą dech w piersiach troską - należał do Cole'a. Przypuszczał, że Andrew nie pozwolił lekarzom na operację, a ona zdążyła już wyznać, że to ona podjęła decyzję.

Ale Cole domyślał się, że chodziło o coś więcej, o coś poważniejszego... i pragnął poznać prawdę. Przez chwilę Claire odczuwała prawdziwą ulgę, iż jest niewidoma.

- Andrew chciał, żebym poszła na operację.

Jej smutne wyznanie było bardzo wymowne: jako kobieta, która była kochana głęboką, bezwarunkową miłością, była oszustką. Jej małżeństwo nie przetrwało nawet pierwszej próby przysięgi, którą złożyli wraz z Andrew. Na dobre i złe. Oczywiście Andrew nie chciał, żeby Claire umarła. Był przygotowany na uszczuplenie swojego ogromnego majątku, żeby miała najlepszych chirurgów, jakich można kupić za pieniądze.

Jednak fakt pozostawał faktem. Jej mąż, pan młody, mężczyzna, który według wszelkiego prawdopodobieństwa prowadził samochód podczas wypadku, wolał martwą żonę od niewidomej.

Wściekłość, której doświadczał Cole, była niebezpiecznie znajoma. Była to wściekłość niepoohamowana: taka, która mogła zabić. Tak gwałtowna furia doprowadziła już raz do śmierci, szybko... i od tamtej pory cały czas powoli go zabijała.

Kiedy Claire wyczuła gniew Cole'a, iskrzący się jak nieokiełznane płomienie w ciemności między nimi, uświadomiła sobie, że przestaje zaciskać pięści, a jej ręce za chwilę powędrują do niego, aby go dotykać i kochać, tak jak tamtego dnia przed dwunastu laty.

Ale tamtego dnia również zachowała się jak oszustka! Jej miłość okazała się niewystarczająca. Ona sama była nie dość silna i zdecydowana.

Ręce Claire pozostały opuszczone. Czują w nich mrowienie, w miarę jak napływała do nich krew.

- To nie ma znaczenia, Cole. - W gruncie rzeczy nic nie ma znaczenia od dnia, w którym odszedłeś.

Aż do dziś. Teraz dla Claire najważniejsze było to, żeby odszedł. Była tak bezpieczna w Harlanville. Kiedy Cole pójdzie sobie, znowu będzie się czuła bezpiecznie. W końcu jej serce przestanie tak groźnie trzepotać i znowu będzie mogła normalnie oddychać i jakimś sposobem zakaże umysłowi ciągłego odtwarzania tamtych chwil. Nie będzie chciała, nie będzie w stanie zadrećcać się pytaniami, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Dlaczego wrócił sześć lat temu i teraz? Jaką prawdę mogłaby ujrzeć, gdyby nie była niewidoma? Jakie słowa mogłaby sama wypowiedzieć, gdyby była w stanie zobaczyć ich skutek? Kochałam cię, a potem nienawidziłam.

- Jak to miło, że przyszedłeś, Cole.

Claire chciała, żeby wyszedł. Cole słyszał to pragnienie w jej pełnych wdzięku, ale zdawkowych słowach, a sztywność jej szczupłego ciała upewniła go, że Claire chce, aby gość jak najszybciej opuścił pomieszczenie. Stała przed nim jak delikatny żołnierz, uzbrajając się przeciw wrogowi, którego wyczuwała i którego nie mogła zobaczyć.

On był tym niewidzialnym wrogiem, tym spóźnionym intruzem, który kiedyś tak brutalnie spustoszył jej serce i jej marzenia. Musiał odejść, dla niej. I dla własnego serca.

Ale właśnie jego serce przemówiło.

- Chciałbym zaśpiewać w przedstawieniu.

- Och, cóż, to byłoby wspaniałe. Wszyscy byliby zachwyceni.

- Chcę, żebyś ze mną zaśpiewała, Claire.

Tak jak dwanaście lat temu, w tamtą magiczną noc, tamtą wigilię tragedii. Wtedy na ten pomysł wpadła ciocia Augusta, zasugerowała go Cole'owi w ostatniej chwili, podczas przerwy. Był sam, stał w zacienionym rogu auli. Ale ciocia Augusta odnalazła go.

- Tylko jedną piosenkę, Cole. Finałową. Cichą noc - razem z Claire.

- Nie mogłabym - wyszeptła teraz Claire. - Nie mogę. Ludzie będą chcieli słuchać ciebie, nie nas.

Cole usłyszał jej słowa i coś jeszcze - niewypowiedzianą na głos prośbę. Nie rób tego! Nie zmuszaj mnie do podróży w przeszłość.

Prawie potrzebował tej milczącej prośby, prawie wypowiedział słowa ostatecznego pożegnania. Ale kiedy jego umysł zawędrował jeszcze głębiej w przeszłość, znowu zobaczył dziewczynkę-anioła, która tak odważnie snuła marzenia. „Będę pieśniarką”, oznajmiła. „Będę jeździła po całym świecie i nagrywała mnóstwo płyt, a ty możesz jechać ze mną, Cole. Możesz być moim chórkim!” Jej twarz najpierw była uroczysta, a potem rozpromieniła się z radości, bowiem tak wspaniałomyślnie uczyniła tego zagubionego, gniewnego, samotnego chłopca częścią swoich cudownych marzeń. „Nie, znajdziemy kogoś innego, żeby śpiewał nam chórki. My będziemy śpiewać w duecie”. A potem z zapałem, z nieznoszącym sprzeciwu tonem zaczęła błagać. „Obiecujmy coś sobie, Cole. Obiecujmy, że nigdy, przenigdy nie będziemy śpiewali w duecie z kimś innym. Dobrze? Obiecujesz?”

Jedenastoletni Cole obiecał to ośmioletniej Claire.

I obietnicy dotrzymał.

- Nie zaśpiewam bez ciebie, Claire - oświadczył Cole kobiecie, która jako dziewczynka miała dość pewności siebie, by domagać się takiej obietnicy. - Bądź znowu tą dziewczynką, Claire. Bądź tym cudownie śmiałym elfem-aniołem.

Serce Claire niebezpiecznie kołatało; miała wrażenie, że zaraz roztrzaska się w powietrze, albowiem lekko tylko zabliznione rany zostały otwarte i zaczęły na nowo płakać, a nawet wycić z rozpacz.

Jak mogła znowu z nim zaśpiewać?

Jak mogła nie zaśpiewać?

4

Londyn, Anglia Piątek, 23 grudnia

Musiała się go pozbyć: tego gorliwego młodzieńca, któremu polecono strzec ją, chronić przed złem tak odrażającym, że Scotland Yard sprowadził Amerykanina, konsultanta FBI, żeby uzmysłowić jej powagę sytuacji. Nie po raz pierwszy Sarah żałowała, że w ogóle pokazała list władzom.

Gdyby wówczas wiedziała, że złowieszcze przesłanie mordercy ma wyłącznie osobisty charakter, zachowałaby sprawę w tajemnicy. Ale nie wiedziała o tym i czuła się w obowiązku przekazać jej dalej. Był to czas wojny na srebrnym ekranie, kiedy dziennikarze, którzy barwnie komentowali ową krwawą rozrywkę, stawali się nieraz uczestnikami gry. Zabijanie korespondentów wojennych stawało się czymś w rodzaju inicjacji dla najmłodszych żołnierzy, dla wojowników, którzy byli zaledwie chłopcami.

Najczęściej te morderstwa były przypadkowymi aktami przemocy, dokonywanymi przez dzieci. Od niedawna pojawiały się jednak spekulacje, że zabijanie pewnych dziennikarzy mogło być częścią jakiejś zorganizowanej akcji terrorystycznej na skalę światową. Dlatego Sarah niezwłocznie przekazała list Scotland Yardowi.

W ciągu paru godzin elektroniczne kopie zostały rozesłane do organizacji wywiadowczych na całym świecie, a w odpowiedzi można było usłyszeć szum komputerów, które przeszukiwały banki pamięci, aby znaleźć elegancki, acz ponury symbol. W końcu udało się go odszukać, nie za pośrednictwem Interpolu czy CIA, ale w komputerach Sekcji Behawioralnej w siedzibie FBI w Quantico.

Czarne serce miało charakter osobisty, a nie polityczny, było przesłaniem od samotnego zabójcy, od jednego potwora, a nie zorganizowanej ekipy zabójców. Złowieszcza zapowiedź śmierci była skierowana wyłącznie do Sarah, a nie do jej kolegów.

Gdyby o tym wiedziała, wyrzuciłaby list do śmietnika.

Teraz jednak było za późno. W sprawę zaangażował się Scotland Yard. Właściwie to komisarz sam się z nią skontaktował i oznajmił grzecznym, przeproszającym tonem, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Konsultant FBI, specjalista od morderstw, miał się zjawić nazajutrz, w dzień Wigilii, żeby podczas spotkania omówić kolejne sensowne kroki. W tym czasie miano jej przydzielić osobistą ochronę.

Policjant towarzyszył Sarah cały dzień, stojąc przed jej gabinetem, kiedy pracowała, chodził za nią jak cień, kiedy wychodziła z gabinetu i teraz, pod koniec dnia, eskortował ją do wejścia budynku w Mayfair.

Budynku, który był strzeżony, przypomniła mu teraz.

- Nikt nie może wejść do środka, jeśli nie zna kodu budynku i kodu osobistego.

- Chyba że zostanie omyłkowo wpuszczony albo prześlizgnie się, gdy drzwi zostaną otwarte komuś innemu.

- Żadna z tych ewentualności nie wchodzi w grę - odparowała Sarah stanowczym tonem. - Dla mieszkańców tego budynku niezmiernie ważne jest to, żeby nie wchodzili doń obcy ludzie. Wszyscy jesteśmy niezwykle ostrożni. Nigdy nie pozwalamy wchodzić osobom, których nie znamy, a kiedy mamy gości, obserwujemy monitor, aż osoba znajdzie się w środku i zamkną się za nią drzwi. Do tego budynku nikt nie ma szansy się prześlizgnąć. Dlatego nie musi mnie pan odprowadzać na górę, ani też spędzać tutaj całego wieczoru na warcie. Nie oczekuję żadnych odwiedzin, a ponieważ nie mam dyżuru w telewizji, nigdzie nie wychodzę. - Sarah zmusiła się do uśmiechu. - Niech pan posłucha. Do Bożego Narodzenia zostały dwa dni. Porobił już pan wszystkie zakupy?

- No...

- Ja też nie. Może zacznie pan dziś wieczorem, a jutro skończymy je razem, w Harrod'sie.

Czyżby flirtowała? Nie. Sarah nie umiała tego robić. Manipulowała rozmówcą, wykorzystywała swoją sławę, obracała na swoją korzyść fakt, iż ów mężczyzna, zaledwie parę lat młodszy od niej, był pod wielkim wrażeniem słynnej podopiecznej.

Jej głos był tak spokojny, jak wtedy, gdy opowiadała światu o wojnie. Sarah czuła spokój, kiedy w powietrzu rozlegał się huk wystrzałów, a ziemia, po której stąpała, była ciepła od krwi. Ale teraz, kiedy stała przed swoim londyńskim domem i usiłowała przekonać oczarowanego nią oficera, że nie potrzebuje jego ochrony, doświadczała ogromnego lęku.

Nie mogła być obserwowana, chroniona, strzeżona. Nie mogła. Nigdy więcej.

- To co, jesteśmy umówieni? - zapytała.

- Mam pager - powiedział. - Jeśli mimo wszystko postanowi pani gdzieś wyjść albo jeśli ktoś przyjdzie z wizytą...

- Natychmiast zadzwonię do pana na pager.

- A więc w porządku. O której godzinie mam przyjść jutro?

Sarah zdołała ukryć zaskoczenie. Jutro miało jej nie być. Dziś wieczorem opuszczała Londyn, żeby wybrać się na doroczną pielgrzymkę miłości do malutkiego grobu na cmentarzu w Norfolk, rankiem zaś zamierzała dotrzeć do Paryża. Ale ten gorliwy policjant uwierzył w jej kłamstwa: w to, że wybiorą się na zakupy do Harrod'sa, jakby rzeczywiście miała do kupienia jakieś prezenty... jakby Sarah Pembroke naprawdę miała rodzinę i przyjaciół, z którymi mogła wspólnie spędzić Boże Narodzenie.

- Może umówimy się na południe? - zaproponowała. - Myślę, że zrobię sobie przyjemność i pościę dłużej. Dzisiejszy dzień był pracowity, a w dodatku jeszcze te pogrożki czarnego serca.

- Czy będzie pani miała dość czasu na zakupy? Spotkanie z tym gościem z FBI ma się zacząć o trzeciej.

Aleja nie spotkam się z gościem z FBI, pomyślała Sarah. Przynajmniej nie jutro.

- Tak, to wystarczająco dużo czasu. Dokładnie wiem, co zamierzam kupić.

Sarah zdążyła już starannie zapakować do małej torby parę rzeczy na podróż do Paryża. Przed wyjściem musiała jeszcze tylko napisać list do komisarza Scotland Yardu. Wyjaśniła sytuację szczerze i zwięźle.

Obawiam się, że świadomie oszukałam oficera Hewitta. Proszę go o to nie obwiniać. Byłam bardzo zdeterminowana.

Oczywiście doceniam pańską gotowość potraktowania sprawy w tak pilnym trybie. Ale jutro jest wigilia Bożego Narodzenia, a ja mam świąteczne plany. Jestem pewna, że wszyscy je mamy - nie wyłączając konsultanta z Ameryki. Jeśli planuje wylecieć porannym concordem z D.C., lękam się, że ten list nie zostanie doręczony dostatecznie szybko, by go zatrzymać. Jednak załączony czek powinien pokryć koszt jego lotu do Stanów Zjednoczonych i drogi powrotnej.

Będę w Londynie w południe dwudziestego szóstego grudnia i od tej godziny będę do pańskiej dyspozycji.

Sarah zakończyła list jeszcze jedną przeproszącą formułką, błagając na koniec, by nie obwiniano oficera Hewitta, i obiecując, że będzie ostrożna. Nie dodała, że pomimo iż dzisiejszy dzień przyniósł mnóstwo gorączkowej krzątaniny i niepokoju, to jednak w rzeczywistości nie mogło być mowy o nagłym wypadku. List leżał sobie nieotwarty w jej gabinecie przez prawie tydzień, kiedy ona wciąż przebywała w Moskwie, a najnowocześniejsze komputery na świecie potrzebowały aż dwóch dni, żeby zakończyć poszukiwania. Nie podała jeszcze jednej prawdziwej informacji: ponieważ ustalono już, że pogrożki mają charakter osobisty, sprawa nie była pilna ani trochę.

Sarah zadzwoniła po gońca, który spotkał się z nią na rogu Upper Brook i North Audley na Grosvenor Square. Dała mu list z instrukcją, żeby z samego rana doręczyć go Scotland Yardowi. Potem zniknęła w ciemnościach grudniowego wieczoru.

Sarah obiecała, że będzie ostrożna. Jednak nie dotrzymała obietnicy. Poszła najprostszą trasą do stacji King's Cross, nie pamiętając o zagrożeniu, jakie mogło na nią czyhać gdzieś w mroku.

Myślami była już daleko stąd, w miejscu przeznaczenia, na wieczornej randce ze swoim sercem.

Z początku Jack Dalton zamierzał polecieć porannym concorde'em British Airways do Londynu. Jednak kiedy zatwierdzono listą rezerwową na wieczorny samolot 747 linii United, Jack z zadowoleniem zmienił plany. Miejsce, które się dla niego z wolności, było w pierwszej klasie, dzięki czemu miał dość miejsca i prywatności, by obejrzeć drażliwe dokumenty ze swojej walizeczki, ale Jack poleciałby i klasą turystyczną. Chciał jak najszybciej dostać się do Londynu, do niej. Dzięki temu spotkanie, które zaplanowano na piętnastą następnego dnia, mogłoby dojść do skutku wcześniej.

Dokumenty z walizeczki należało przeczytać z wielką dyskrecją. Pomimo luksusu przestronnej kabiny pierwszej klasy Jack musiał zachować ostrożność. Zdjęcia z miejsca zbrodni były zbyt przerażające, zbyt ohydne, by można było na nie patrzeć nawet z dużej odległości.

Akta Wydziału Policji Los Angeles dotyczące „walentynkowych morderstw” dotarły na krótko przed wyjazdem Jacka na lotnisko. Zdążył już przeprowadzić dłuższą rozmowę z zaangażowanymi w sprawę detektywami z wydziału zabójstw, ale nie mógł doczekać się, by obejrzeć fotografie i przeczytać oryginalne dokumenty. Wszak to właśnie była jego mocna strona. Niektórzy mówili nawet, że miał w tej dziedzinie specjalny dar.

Jeszcze przed rozmową z policją Jack zapoznał się z informacjami, które przekazano prasie-a więc i opinii publicznej-w związku ze słynnymi morderstwami. Zakłucie nożem dwóch kasowych aktorek hollywoodzkich stanowiło nie lada sensację. Fakt, że oba morderstwa były wyjątkowo brutalne, przeciekł do prasy. Jednak bliższe szczegóły, np. charakterystyczne rany zadane nożem i złowieszcze czarne serce, pozostały pilnie strzeżoną tajemnicą, policja nie chciała, żeby jacyś maniacy mogli naśladować te zabójstwa. Dwa zagadkowe morderstwa były wystarczająco makabryczne, a obawiano się kolejnych.

Jednak bliźniacze zabójstwa, popełnione w odstępie zaledwie kilku godzin przez tego samego potwora, nie oznaczały nadejścia panowania terroru. Były osobnymi przypadkami, dziwaczными, powielonymi zabójstwami. Mimo to na wypadek, gdyby potwór zaatakował gdzieś indziej, Wydział Policji Los Angeles przesłał kopię charakterystycznej odblaski serca Sekcji Behawioralnej w Quantico. Złowieszczy symbol nie był znany specem od morderstw w FBI, nie miał związku z poprzednimi zbrodniami, ale wprowadzono go do ogromnej komputerowej bazy danych Sekcji Behawioralnej na wypadek, gdyby morderca znowu dał o sobie znać.

I teraz znowu zaatakował. W Londynie. W każdym razie znalazł się tam, wraz z następną ofiarą, symbol będący jego wizytówką, jego wygrawerowanym zaproszeniem do morderstwa. A sam potwór? List do lady

Sarah Pembroke został wysłany z poczty w Los Angeles, z dzielnicy Beverly Hills, ósmego grudnia. Być może jednak morderca nie zdążył jeszcze przepłynąć przez ocean. Może zamierzał się pojawić dopiero w momencie, gdy data śmierci, dzień św. Walentego, będzie niebezpiecznie blisko.

Oczywiście zabójca będzie potrzebował trochę czasu w Londynie, żeby poznać sławną dziennikarkę, zaprzyjaźnić się z nią, uwieść ją- chociaż, być może już był przyjacielem Sarah Pembroke.

Kiedy potężny boeing 747 uniósł się nad pasem startowym, Jack znowu poczuł ogromny niepokój, który dokuczał mu przez ostatnią dobę; niepohamowany niepokój, który nie miał żadnego logicznego uzasadnienia. Walentynkowy zabójca nie zamierzał uderzyć szybko. Było jeszcze dużo czasu, ponad sześć tygodni, żeby go rozszyfrować i powstrzymać.

I właśnie taki cel przyświecał Jackowi Daltonowi. To była jego specjalność. W tym, co Jack robił, nie było niczego tajemniczego, nie istniała żadna podświadoma, psychiczna więź z zabójcą albo jego ofiarą. W dodatku Jack nie uważał swojej umiejętności za nadzwyczajny talent. Chodziło po prostu o rozwiązywanie problemów, o koncentrowanie się na szczegółach, połączone ze stosowaniem logiki.

Fakt był jednak faktem: w każdej kolejnej sprawie Jack dostrzegał trop, którego nie potrafili dostrzec inni, miał bardzo istotne skojarzenia, które jego współpracownikom nawet nie przyszłyby na myśl.

Jack byłby bardzo zadowolony mogąc zaprezentować ową technikę wyjaśniania zbrodni każdemu agentowi FBI i detektywowi od zabójstw na świecie. Zresztą, spędzał niezliczone godziny usiłując dzielić się tego rodzaju wiedzą. Jednak zdolności Jacka nie można było nauczyć ani poprzez dawanie przykładu, ani poprzez bezlitosne powtarzanie mantry: rygorystyczne, beznamienne koncentrowanie się na szczegółach.

Ilekczo Jack prezentował analizy poszczególnych przypadków, reakcją było zdumienie, a nie próba zrozumienia. Ani razu żadnemu z jego studentów nie przyszło do głowy, że książki z biblioteki były kluczowym tropem w rozwiązaniu zagadki morderstw w Bostonie. A notatki przesłane na policję w San Francisco? Jego uczniowie czytali je wiele razy, a mimo to nie zauważyli ukrytego kodu zabójcy, który był tak oczywisty dla Jacka.

Jack prezentował analizę przypadków bez poczucia wyższości. W końcu niczym sobie nie zasłużył na ten dar. Urodził się z nim, odziedziczył go wraz z ciemnobrązowymi włosami i ciemnoniebieskimi oczami. Umiejętność rozwiązywania zagadek okazała się dla Jacka ogromnie cenna. Pozwoliła mu osiągnąć obecną pozycję zawodową; nie pobierającego honorarium konsultanta, który specjalizował się w morderstwach.

Jack nie potrzebował pieniędzy, ale pragnął pomagać w znajdowaniu morderców. W ten sposób robił prezent samemu sobie. Miał poczucie celowości tego, co robi, i coś jeszcze. Traktował swój dar jako wkład w życie ludzkości. To było jego przeznaczenie.

Jack uśmiechnął się ironicznie na myśl o czymś tak kapryśnym, jak przeznaczenie. Mistrz rozwiązywania zagadek, człowiek, który rozszyfrowywał nawet najsprytniejszych morderców dzięki prostej, ale żelaznej logice, niespecjalnie wierzył w przeznaczenie.

Ironiczny uśmiech ustąpił miejsca kolejnej potężnej fali niepokoju. Czy niepokój związany z tym przypadkiem dawał się logicznie uzasadnić? Rzeczywiście, istniały pewne podstawy do odczuwania niepokoju. Przed opuszczeniem Quantico Jack zerknął przelotnie na zdjęcia z miejsca zbrodni i uświadomił sobie, że pragnie zobaczyć obrazy, które nie zmieściły się w kadrze. Jaką zapowiedź nadciągającej rzezi mógłby znaleźć w przeciwległych kątach dwóch zbryzganych krwią salonów? Jakie ślady tożsamości mordercy i tropy przybliżające istotę związku ofiary z mordercą? Czy skazana na śmierć aktorka odczuwała potrzebę usuwania wszelkich śladów bałaganu? Czy, podobnie jak sam morderca, stanowiły one otoczkę dla romansu?

Czy właśnie dlatego Jack miał takie złe przecucia w tej sprawie? Bo już wyczuł, że istniały tropy, być może o kluczowym znaczeniu, których nigdy nie uda mu się dostrzec?

Dar Jacka zawiódł go tylko raz, w najważniejszej zagadce jego życia -w zagadce, której nie można było traktować beznamytnie. ..iw której chłodna logika wydawała się równie abstrakcyjna, jak pojęcie przeznaczenia.

W tej największej zagadce życia nie było zwłok. Umarła tylko nadzieja. A tym razem? Jeśli jego dar znowu go zawiedzie? Teraz również nie będzie zwłok. Lady Sarah Pembroke będzie bezpieczna, jak choćby teraz, gdy chronili ją najlepsi oficerowie Scotland Yardu.

Zatem dlaczego Jack odczuwał taki niepokój? Czy było już za późno, żeby ją uratować? Czy Sarah Pembroke w pewnym sensie już umierała?

Jack nie znał odpowiedzi na te pytania. Tylko wciąż odczuwał złowieszczy niepokój. Zmuszając się do panowania nad sobą, do odrzucenia emocji, zrezygnował z oglądania akt policji na temat dwóch kobiet, które zginęły, i skupił uwagę na tej, która jeszcze żyła - i która nie miała umrzeć, gdyż prawidłowo zinterpretowała ponure znaczenie czarnego serca.

Właściwie lady Sarah Pembroke już uratowała samą siebie. Oczywiście nie mogło dziwić, że kobieta, która była na wojnie, otrzymywała zakamuflowane doniesienia o śmierci. Jack nie był też zbyt zaskoczony, kiedy oficer Scotland Yardu zameldował, że jej reakcja na wiadomość, że ma być ofiarą morderstwa, była lekceważąca.

Jack pamiętał bardzo dobrze, kiedy po raz pierwszy zobaczył sławną obecnie korespondentkę wojenną. Była w Bagdadzie, w hotelu Al-Rashid, w wieczór, kiedy zaczęła się wojna w Zatoce. Przez wiele godzin Jack myślał tylko o jej głosie, jej klasie - i całkowitym braku strachu. Nawet w oku cyklonu była spokojna, chłodna, opanowana.

Jack nie kładł się do łóżka całą noc - został z Sarah, dla Sarah. Trzymał wartę, mając nadzieję, że dziennikarka jest bezpieczna, uświadamiając sobie, że boi się znacznie bardziej niż ona. W końcu

nadszedł świt, niebo w górze trochę się uspokoiło i kamera wreszcie została skierowana na nią. Jej twarz była taka jak głos: uderzająco elegancka, zdumiewająco pogodna, boleśnie poważna.

Od tamtej pory Jack oglądał tę twarz wielokrotnie, kiedy Sarah Pembroke dzieliła się z obserwującym ją światem strachem i tragedią, która nękała innych obywateli. Zawsze wyglądała tak samo: uroczyście i surowo. Nigdy nie miała makijażu ani biżuterii, a jej kruczoczarne włosy były zawsze ściągnięte do tyłu i spięte w długi warkocz. W sercu pustyni nosiła odzież w odcieniach piasku, kremowe, jedwabne bluzki z długim rękawem i spodnie khaki. A podczas wojen toczonych zimą, przy siarczystym mrozie, jej ubranie było dopasowane do koloru włosów: czarna koszula, czarne dżinsy, czarne kowbojskie buty, czarna kurtka z kapturem.

Wyglądała jak wojownik. Była wojownikiem. Wojowniczką. Aristokratką. Wdową. I dziewczyną z okładek magazynów. Wydawcy magazynów z upodobaniem zamieszczali jej twarz na pierwszych stronach. Sarah nigdy nie pozowała do zdjęć, ale to nie miało znaczenia. Jej wizerunki i tak się pojawiały. Była marzeniem fotografa - w każdym ujęciu wyglądała surowo, a zarazem charakterystycznie.

Jack zastanawiał się, jak wygląda lady Sarah Pembroke, kiedy się uśmiecha, jeśli w ogóle się uśmiecha. Śmiech był ozdobą, której ta dziennikarka nigdy nie nosiła, był akcesorium równie bezużytecznym - i równie niestosownym - jak biżuteria w miejscach, w których postanowiła spędzać życie.

Pomimo niekończącej się listy bezpieczniejszych i coraz bardziej lukratywnych ofert, Sarah zdecydowała się spędzać życie w najstraszniejszych i najniebezpieczniejszych miejscach na świecie. O współpracy z nią marzyły wszystkie agencje informacyjne na kuli ziemskiej. Gdyby chciała, mogłaby relacjonować wydarzenia w Białym Domu albo parlamencie, lub prowadzić własny cotygodniowy przegląd wydarzeń, a gdyby zapragnęła być jedyną spikerką w wieczornych wiadomościach, dałoby się to załatwić bez trudu...

Ale Sarah postanowiła zostać w Londynie i pracować dla Global News Network, zawsze lojalna wobec swojego kraju, swojego miasta i wobec

Timothy'ego Asquima, magnata mecuów, który kiedyś ją odkrył. I dotychczas zawsze decydowała się wyjeżdżać na wojnę.

Jednak od drugiego stycznia Sarah Pembroke miała być główną prezenterką wieczornego przeglądu wiadomości ze świata sieci Global, programu transmitowanego na żywo do ponad dwustu krajów. Według komisarza Scotland Yardu, nowa prezeterska funkcja Sarah była rezultatem polecenia służbowego, które wydał sam Timothy Asquith. Magnat doszedł do wniosku, że niebezpieczeństwa, jakie zagrażały Sarah na polach bitew, w końcu stały się zbyt poważne. Jej sława, a także płęć sprawiały, że była pożądanym celem ataków, cenną zdobyczą, którą prędzej czy później ktoś zechciałby porwać albo zabić.

Sieć poinformowała o nowej posadzie Sarah szóstego grudnia. Dwa dni później z Los Angeles nadeszła przesyłka z czarnym sercem. Czy Sarah była tylko jedną z wielu osób, którym morderca

planował zgotować walentynkowarzędź? Czy sporządzając listę, kierował się wiadomością, iż Sarah będzie w Londynie w dniu świętego Walentego? A może zabójca był równie nieustraszony jak ona? Czy podążyłby za nią na przykład do Tuzli, Sarajewa, Kigali albo Port-au-Prince?

Nigdy nie mieli się tego dowiedzieć. Sarah Pembroke będzie przebywać w Londynie, bezpieczna od wojennych agresorów, a także od szaleńca, który mordował kobiety w najbardziej romantyczny dzień roku.

Była bezpieczna, chroniono ją wręcz z przesadną gorliwością, bo przecież do lutego było jeszcze tak wiele tygodni. Jack pomyślał, że te środki ostrożności byłyby zawsze zbędne. Albowiem lady Sarah Pembroke była w stanie sama się uratować.

Zatem dlaczego leciał samolotem, by do niej dotrzeć? Dlaczego tak strasznie się o nią bał?

I dlaczego czuł ten niepokój, tę potrzebę szybkiego działania, tę nie-uniknioność... jak gdyby, w jakiś zdumiewający sposób, właśnie to było jego przeznaczeniem?

5

Tamtego wieczoru, dwanaście lat temu, Cole i Claire wykonali w duecie Cichą noc na koniec przedstawienia. Kiedy zaśpiewali kolędę, kiedy ostatnie echa ich idealnej harmonii zanikły w ciemności, zapadła pełna szacunku cisza i nie było burzy oklasków.

Tamtego wieczoru nikt nie klaskał. Słysząc było jedynie cichy szmer, pełne rezygnacji westchnienie; publiczność nie mogła się pogodzić z tym, że przedstawienie dobiegło końca i że nadeszła pora, żeby zebrać się do wyjścia. Ludzie ruszyli ja kżeden mąż, powoli, spokojnie, jakby próbowali zabrać ze sobą ten czar, ten świąteczny podarunek, którego magia miała trwać cały sezon.

Od dziesięcioleci, począwszy od pierwszej świątecznej szopki - świątecznego prezentu Augusty Chamberlain dla jej nowych sąsiadów - przyjęcie po przedstawieniu urządzano w Belle Reve. Zapraszani byli wszyscy uczniowie występujący w szopce, a także ich rodzice, nauczyciele i elita obywateli Luizjany aż z Nowego Orleanu.

Jed Taylor nie patrzył, jak jego dziesiętnastoletni syn śpiewa Cichą noc z szesnastoletnią kuzynką ukochanej nauczycielki Harlanville. Nie wziął też udziału w przyjęciu. Za to kochanka Jeda uczestniczyła w obu tych wydarzeniach. Jednak w przeciwieństwie do godzin spędzanych z Jedem na nieposkromionych orgiach, tego wieczoru Annabelle Prentice nie zniżała się do prymitywnych sztuczek.

W istocie rzeczy ta młoda kobieta, która pewnego dnia miała odziedziczyć po rodzicach połowę Harlan-Prentice Oil, zachowywała się dokładnie tak, jak przystało na damę i przyszłą panią Belle Reve. To że Andrew Harlan i Annabelle Prentice kiedyś wstąpią w związek małżeński było wiadomo już dwadzieścia dwa lata temu, kiedy przyszli na świat w odstępie jednego miesiąca. Od tamtego czasu Annabelle i Andrew na przemian walczyli z tym przeznaczeniem, albo się z nim godzili.

Na razie zawarli między sobą cichą umowę. Podczas wydarzeń towarzyskich, takich jak tradycyjne przyjęcie bożonarodzeniowe, mieli być razem. Poza tym mogli robić, co im się żywnie podobało, z dowolnie wybraną osobą - dyskretnie, rzecz jasna. Przez większą część roku Andrew i Annabelle mieszkali w różnych częściach kuli ziemskiej. On studiował na ostatnim roku w Princeton i jesienią miał rozpocząć szkołę prawniczą w Tu-lane, podczas gdy Annabelle już w wieku dziewiętnastu lat oznajmiła, że ma serdecznie dosyć edukacji, potem zaś pławiła się w rozkoszach życia w Saint-Tropez, Paryżu i Gstaad.

Annabelle nie wyobrażała sobie takich zmysłowych przyjemności w pocziwym starym Harlanville. Jednak podczas letniej wizyty w domu odkryła Jeda Taylora, a także niezrównane doznania erotyczne. Ponadto Annabelle Prentice odkryła coś jeszcze - niemal nienasyconą żądzę igrania z ogniem.

Już sam romans z Jedem Taylorem był całkiem ryzykowny, zdarzało się jednak, że Annabelle podnosiła stawkę jeszcze wyżej, próbując uwieść jego syna. Jed mógł się zjawić w domu łada moment, a tymczasem Cole pił z Annabelle, dotrzymując jej towarzystwa aż do powrotu Taylora seniora, ona zaś głośno zastanawiała się, kto jest lepszym kochankiem ojciec czy syn. W takich chwilach wyciągała do Cole'a rękę i targała cienkimi palcami jego kruczoczarne włosy. Ale Cole zawsze odsuwał się od niej, a jego szare oczy były zimne i niewzruszone jak granit.

To, że Cole odrzucał ją, budziło w niej wściekłość. Dzisiejszego wieczoru, kiedy Annabelle Prentice stała z Andrew, witając świątecznych gości Belle Reve, patrzyła na Cole'a Taylora z wielkopańską pogardą. Jej spojrzenie mówiło: stał tak nieskończenie niżej od niej, był taki niegodny. Na samą myśl, iż mógłby dotknąć swymi szorstkimi łapami jej delikatnego ciała, Annabelle skręcała się z udręki.

Andrew oceniał Cole'a w równie pogardliwy sposób. Jednak wszelkie oznaki lekceważenia rozwiały się, kiedy zobaczył Claire. Andrew był urzeczony śpiewem Claire i teraz, widząc jąz bliska, przekonał się, że dziewczyna, którą kiedyś zapamiętał jako zabiedzone, piegowate stworzonko, wyrosła na niepospolicie piękną istotę.

Nie była to świadomie pielęgnowana uroda ślicznotki z południa, ani niepokalana doskonałość w typie Annabelle Prentice. Piękno Claire było zupełnie inne, całkowicie odmienne. Było autentyczne, bujne i nieujarzmione, kojarzyło się z lasem nad rozlewiskiem, gdzie hasała w dzieciństwie. Jednak na przekór temu magicznemu miejscu, zmysłowości i porywczoci, Claire chyba nie uświadamiała sobie, jaki roztacza urok, nie myślała o intensywnie błyszczących, miedzianych włosach, o lśniących, jasnyniebieskich oczach ani o różowych, pełnych wargach.

Pragnę cię, Claire Chamberlain. To była zaskakująca, wręcz oszałamiająca myśl. I towarzyszyło jej zdumiewające żądanie. Chcę, żebyś spojrzała na mnie dokładnie tak, jak patrzyłaś na Cole'a podczas waszego duetu - nieśmiało i z podziwem.

Claire wciąż patrzyła na Cole'a w taki sposób. Jej oczy lśniły od uwielbienia. Błyszczały miłością.

Chcę, Claire, żeby pewnego dnia twoje cudowne niebieskie oczy zaśniły dokładnie w taki sam sposób - dla mnie.

Powitanie wymienione z Andrew i Annabelle w marmurowym foyer rezydencji były pierwszymi słowami, jakie wypowiedzieli Claire i Cole po muzycznym życzeniu, które kończyło tekst ostatniego wykonywanego utworu - Śpij w niebiańskim spokoju. Pełna szacunku cisza na widowni, a także pragnienie, by ta magiczna chwila trwała wiecznie, wzruszyła również śpiewaków.

Opuścili scenę razem, połączeni osobliwą, jakby niewidzialną więzią, i dopiero kiedy zaczęli iść do jego samochodu, Claire uświadomiła sobie, co robi i aż podskoczyła z wrażenia. Przecież nigdy nie była w samochodzie Cole'a, nigdy jej tam nie zapraszał. Ale coś niecoś o nim wiedziała. Samochód był sfatygowany, ale funkcjonalny. Został kupiony za pieniądze, które Cole zarobił latem, pracując fizycznie w słonecznym skwarze.

A jakie funkcje spełniał ów gruchot? Dwie funkcje, między którymi istniał pewien związek. Po pierwsze, Cole mógł nim jeździć do tych części parafii Terrebonne, gdzie nie był znany, i gdzie zakładano, iż musi mieć przynajmniej dwadzieścia jeden lat, a zatem z prawnego punktu widzenia może kupować tyle alkoholu, ile zapragnie.

Druga funkcja samochodu również wiązała się z pragnieniem.

Claire zwolniła zbliżając się do auta, w którym tak wiele dziewcząt spędzało wielogodzinne sam na sam z Cole'em. Co ona wyprawia? Jak mogła się na to odważyć? Wydawało się, że te pytania znajdują odbicie na jego twarzy. Kiedy odwrócił się do niej, był jednocześnie zły i zaskoczony. Ale bez słowa otworzył przed nią drzwiczki samochodu; kiedy usadowiła się w środku, zamknął je bardzo delikatnie.

Wciąż przyciągała ich ku sobie jakaś niewidzialna, magnetyczna siła. Po powitaniu z Annabelle i Andrew, zaczęli wędrować razem przez biesiadujący tłum.

Czy ich młode ciała, tak bliskie siebie, choć nie połączone dotykiem, tworzyły pełen wdzięku duet? Czy tworzyły w ruchu tę samą cudowną harmonię, która była obecna w ich głosach, kiedy śpiewali?

Tak... i nie. Powietrze, które poruszało ich płuca, było nagrzane, rozmigotane i nieznośne. I chociaż dyskretnie kłaniali się osobom, na których ich występ zrobił ogromne wrażenie, wcale ze sobą nie rozmawiali. Dopiero kiedy zaferowano im napoje, Cole wreszcie spojrzał na Claire.

Napoje podał ubrany w białe rękawiczki służący, który niósł błyszczącą srebrną tacę, uginającą się pod ciężarem smukłych kryształowych kieliszków. Napoje, spośród których można było wybierać, miały barwę miodu - markowy szampan albo najlepszy musujący cydr Luizjany. Zadaniem służącego była obsługa, a nie ocenianie. Nawet nie uniósłby ze zdziwienia brwi, gdyby młoda para wybrała szampana.

Każdego innego wieczoru Cole z pewnością zdecydowałby się na napój alkoholowy. Ale dzisiaj, mając u boku Claire, ponieważ wiedział, jakie to jest dla niej ważne, wybrał dla obojga musujący cydr. Właśnie w momencie, gdy wręczał Claire jeden z kryształowych kieliszków, popatrzył jej w oczy.

Były jasnoniebieskie i błyszczące, roztaczały tak promienny blask, że oświetlały nawet najmroczniejsze cienie jego serca, wypełniając tę ogromną czarną pustkę płonącym złotem, skłaniając go do uśmiechu, powodując, że pragnął i wierzył; dopóki nie przypomniał sobie, kim jest.

Nachmurzył się, zamieniając jej radość w cienie tak czarne jak jego własne serce. Powietrze między tym dwojgiem iskrzyło się i wysychało, jakby miało za chwilę zapalić się i wybuchnąć; błagało o uwolnienie.

Ale niewidzialne łańcuchy, które pętały Colę'a i Claire, nie rozerwały się. Wręcz przeciwnie, zaciskały się wokół nich coraz mocniej, tak że wciąż zbliżali się ku sobie...

W końcu Cole zakomenderował ochryłym głosem:

- Wyjdźmy na zewnątrz.

- Myślisz, że spadnie śnieg?

To pytanie zadała Claire, kiedy dotarli do altanki na uboczu. Czuła wewnętrzne drżenie, trzepotanie nadziei i strachu, które zaczęły się w momencie, gdy ciotka Augusta powiedziała jej, że będzie śpiewała Cichą noc w duecie z Cole'em, i od tamtej pory wciąż przybierały na sile. Pytania, które rozsadały jej głowę, również pełne były nadziei i strachu, ale odważyła się zadać tylko to jedno.

To pytanie nie miało w sobie nic nowego, stanowiło coś w rodzaju świątecznej tradycji dla chłopca i dziewczyny, którzy byli dobrymi przyjaciółmi. Począwszy od grudnia, Claire zastanawiała się, czy spadnie śnieg. Przypominała mu, że w Harlanville zawsze spadał śnieg. Przed laty, podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia, które ciotka Augusta spędzała w swoim nowym domu, ziemię pokryła mięciutka warstwa bieli.

Być może znowu spadnie śnieg, utrzymywała Claire. Któregoś dnia na pewno tak będzie. Któregoś dnia Boże Narodzenie w ich miasteczku nad rozlewiskiem będzie białe.

Jako dziewczynka Claire pragnęła, żeby padał śnieg, marzyła o nim. Teraz było oczywiste, że dziewczyna wciąż tęskni za tym dawnym, pierwotnym czarem. A Cole potraktował jej pytanie z wielką powagą, tak jak kiedyś, i długo patrzył na niebo, zanim udzielił odpowiedzi.

Niebo było bardzo pogodne, zimowy księżyc świecił w całej pełni.

Głos Cole'a a Taylora był bardzo delikatny.

- W tym roku nie będzie śniegu, Claire.

- Och, no cóż.

Jej roziskrzone światłem księżycy oczy spojrzały na niego bez rozczarowania i w tej olśniewającej luminescencji Cole dostrzegł nowe marzenia, kobiece marzenia. Claire chciała go, chciała go w ten sam zakazany, niebezpieczny, cudowny sposób, w jaki on pożądał jej.

Zakazany. Niebezpieczny. Cudowny. Niemożliwy. Milczące ostrzeżenie w jego umyśle brzmiało jak ogłuszający ryk. Ale ów zgrzytliwy dźwięk nie znajdował słuchacza, zagłuszała go potężna muzyka serca Cole'a.

Dam ci śnieg, Claire. Kiedyś dam ci wszystkie twoje marzenia.

To była nierozsądna obietnica, niemożliwa do spełnienia w przyszłości. Ale Claire nie skupiała uwagi na jakimś odległym marzeniu o śniegu. Patrzyła na niego i mówiła mu spojrzeniem swoich oczu, swoim sercem, duszą, samą sobą, że zawsze będzie pragnęła i potrzebowała tylko jego.

- Och, Claire - szepnął głosem, który był łagodny i chrapliwy, zarazem, czuły i gwałtowny.

Pragnął Claire rozpaczliwie, lecz inny rodzaj desperacji ostrzegał go, że powinien dać jej spokój. Jednak w tę księżycową noc Cole nie chciał dawać wiary ostrzeżeniom. Oniemiały, przejęty czią, wplatał swoje długie palce w pachnącą jedwabistość jej cyrkonowych włosów, z czułością i szacunkiem ujmował w ręce jej śliczną twarz.

Potem pocałował Claire. Musiał. Czuł, jak radośnie i ulegle drżą jej wargi; najpierw zaznał słodczy cydru, a potem wspaniałej słodczy jej ciała.

Całowanie Claire, kochanie jej było dobre, a zarazem tak straszliwie nie na miejscu. Tak, być może rzeczywiście jego serce mogło przetrwać tylko dzięki niej. Ale jaką cenę będzie ona musiała za to zapłacić?

Temu pytaniu towarzyszył gniew. Sprawił on, że pocałunek stał się szorstki, pełen gwałtowności - był jak kara dla niego i ostrzeżenie dla dziewczyny. Uciekaj, Claire, brzmiał nakaz furii. Biegnij już teraz, masz jeszcze szansę.

Ale Claire nie uciekała. Była przychylna kochankowi, nie ustępując mu w rozpaczliwej namiętności, w jego dzikiej żarłoczności. Była nieustraszona i piękna, delikatna i śmiała. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że on był w stanie zgnieść ją swoim pożądaniem? Czyżby nie czuła gwałtowności, która gotowała się w jego żyłach?

Naturalnie, że nie mogła tego odczuwać. Przecież była sobą, małą Claire. I teraz działo się coś naprawdę zdumiewającego. Czuł, że jej nadzieja wlewa się w niego niczym rwący potok,

ogrzewając go i zapewniając z niezmałą radością, że ten sen, ta magiczna chwila będzie trwała wiecznie. Ona wcale nie była zakazana, niebezpieczna czy niemożliwa. Była po prostu wspaniała.

To cudowne, olśniewająco piękne złudzenie szybko się rozwiało pod wpływem prawdy. Jego miłość jągniszczy. Nawet intymność tego pocałunku może na zawsze splamić dobroć Claire jego niegodziwością.

Zakończył pocałunek tak gwałtownie, że nie mogła złapać tchu.

- Nie znasz mnie, Claire. - Zauważył protest malujący się na jej spłoszonej twarzy i powtórzył surowo:

- Są rzeczy, których o mnie nie wiesz.

- Ależ znam cię, Cole. To znaczy, wydaje mi się, że cię znam. Chodzi o twojego ojca, tak? Zrobił ci krzywdę, prawda? Bił cię. Pamiętam twoje siniaki i dni, kiedy nie przychodziłeś do szkoły.

Cole wzruszył ramionami lekceważąco.

- Od bardzo dawna nawet do mnie nie podchodzi. Rzeczywiście, Jed Taylor nie tknął syna od wielu lat, albowiem Cole nabrał wystarczająco dużo siły, by móc się obronić, i solennie zapewnił ojca, że potrafi się bronić i chętnie wykorzysta tę umiejętność.

A jak było przedtem, kiedy Cole jeszcze nie umiał się obronić? Były dwie osoby, jedyne osoby, którym zależało na nim i przynajmniej próbowały go bronić - dziewczynka-elf o piegowatej twarzy i jej elegancka cioteczna babka. Claire broniła Cole'anieświadomie. Po prostu osłaniała go swoją własną radością, jakby to była niewidzialna zbroja, która pomagała mu przetrwać nawet najbardziej karzące ciosy.

A jeśli chodzi o ciotkę Augustę... Domyśliła się, jak brutalne było jego życie, i chciała pomóc. Zaproponowała rozmowę z jego ojcem, a nawet ujawnienie okrucieństwa całemu miasteczku, gdyby okazało się to konieczne. Powiedziała Cole'owi, że bardzo się ucieszy, jeśli chłopak zamieszka u niej. Jej wspaniałomyślność była niesamowita, wręcz przytłaczająca. A jak zareagował Cole? Oświadczył ciotce, że jest w błędzie, że nie ma mowy o krzywdzie, o jakiegokolwiek przemocy. Skłamał, że w domu wszystko jest w porządku. Ale może nie być w porządku, dodał zgodnie z prawdą, jeśli ona wybierze się do jego ojca z oskarżeniami. Wtedy rzeczywiście może dojść do brutalności.

W wieku jedenastu lat Cole nie pojmował, dlaczego tak uparcie odrzuca pomoc ciotki Augusty. Dopiero teraz stało się to dla niego jasne. Zaslugiwał na karę ojca. Zapracował sobie na nią. A kiedy Jed Taylor nie mógł już atakować swojego jedyne syna wedle własnego upodobania, syn wziął sprawy w swoje ręce, prowadząc szalone, niebezpieczne życie, a najokrutniejszą karą była dla niego utrata nadziei, marzeń - utrata Claire.

- Mój ojciec jest bardzo gwałtowny. Cały czas tłumi w sobie furję, która może wybuchnąć w każdej chwili, a kiedy pije, robi się szalony. Jestem jego synem, Claire. Odziedziczyłem po nim geny...

- Ależ ty wcale nie jesteś gwałtowny! A kiedy pijesz...

- Kiedy piję? - powtórzył, zastanawiając się, co u niego zauważyła. - Kiedy piję, Claire?

- Robisz się spokojny. Smutny. Nie szalony.

Naturalnie, miała rację co do jego spokoju. Kiedy pił, robił się cichy, milczący, nie szalał. Uciekał w alkohol, w krótką śmierć, w czas, kiedy przestawał myśleć, przestawał czuć, przestawał istnieć. Ale Cole był zaskoczony, że podczas tych bliskich śmierci chwil Claire wydawało się, że on wygląda na smutnego. Zawsze wyobrażał sobie, że na pewno wygląda wtedy na szczęśliwego, odczuwał ulgę i uspokajał się, świadomy bliskości śmierci.

- Cole, ty nie jesteś taki sam, jak twój ojciec. Ty nigdy byś nikogo nie zranił. Nigdy. Jesteś delikatny, czuły, miły.

- Czy byłem miły dla ciebie, Claire? Przez te wszystkie lata? Kiedy cię ignorowałem? Kiedy popisywałem się, chodząc z innymi dziewczynami? Czy to było czułe? Delikatne? Musisz mnie przejrzeć, Claire. Musisz zobaczyć, kim naprawdę jestem - nie kim chcesz, żebym był.

- Aleja przecież widzę, Cole. Nie jestem ślepa na to, co robiłeś. Rzeczywiście zraniłeś mnie. Rzeczywiście byłeś okrutny. Ja...

- Co takiego?

- Czasami... nienawidziłam cię. Ale dzieliła nas różnica wieku. Ja byłam dziewczyną, a ty dojrzywałeś, i tobie też było ciężko, prawda? Czyż nie nienawidziłeś samego siebie za to, że byłeś dla mnie taki okrutny?

- Tak. Nienawidziłem siebie wtedy, teraz, zawsze. Tak.

- Obojgu było nam trudno. Ja dojrzywałam tak wolno, ty czekałeś.

- Nie czekałem na ciebie, Claire. Usiłowałem trzymać cię na dystans, odepchnąć.

- Ale dlaczego, Cole? Z powodu swojego ojca? Bo tak strasznie się bałeś, że możesz się stać taki jak on?

- Częściowo dlatego.

Częściowo. Czy naprawdę zamierzał jej opowiedzieć całą resztę? Czy miał zadać sobie tę ostateczną karę - sprawić, że ona utraci wiarę w niego? Bo przecież taka byłaby konsekwencja. Jej wiara w niego, jej odważne przeświadczenie, że Cole jest wartościowym człowiekiem, mimo iż wszystko świadczy przeciw niemu, to wszystko zostałoby nieodwołalnie zniszczone. Czy właśnie tego pragnął? Nie. Tak. Ze względu na nią. Bo kiedy ona usłyszy, co zrobił, na pewno ucieknie. Zamierzał jej powiedzieć i już czuł stratę, pustkę, niezgłębione morze czerni, w którym już raz kiedyś omal się nie utopił. Teraz znowu się w nim pogryzał i tym razem czuł, że będzie tak już zawsze. Ale Claire zostanie ocalona.

- Ale głównie ze względu na mnie, Claire, z powodu czegoś, co zrobiłem, jeszcze zanim ty i ja się poznaliśmy.

Przedtem siła pasji Cole'a nie budziła u niej strachu, podobnie jak jego ochrypły głos. Ale teraz, całkiem nagle, Claire poczuła lęk. Jaką przeszłość mógł mieć jedenastolatek? Co takiego mógł zrobić Cole przed osiągnięciem tego wieku, co mogłoby tak nieodwracalnie splamić jego życie?

Claire wiedziała o jego przeszłości bardzo niewiele. Wspomniał swoją matkę tylko raz, i to zagadnięty przez Claire. Odeszła. To było wszystko, co powiedział Claire. Ale zimny, pełen goryczy głos doskonale wyrażał jego uczucia dla matki, która go zostawiła, tak że sam musiał znosić brutalność ojca.

Teraz Claire miała się dowiedzieć czegoś o przeszłości Cole'a, czegoś o wiele gorszego niż zdrada matki. Dostrzegła tę prawdę w jego udręczonych, kamiennych oczach, które jeszcze nigdy nie były takie posępne, takie szare.

Cole zabił kogoś. Chłopak, który uważał, że odziedziczył po ojcu gwałtowność charakteru, miał straszliwy, namacalny dowód owej zabójczej spuścizny.

Nie przestając go kochać, Claire zapytała:

- Co się stało?

- Miałem młodszego brata...

Claire spodziewała się usłyszeć o tragicznej śmierci tego młodszego brata. Na pewno wypadek. Dwaj chłopcy bawiący się pistoletem ojca nie zdawali sobie sprawy, że j est naładowany.

Jednak wyznanie, które usłyszała, wcale nie dotyczyło tragicznego wypadku, tylko odważnej, dyktowanej miłością decyzji. Żeby ocalić swojego braciszka, Cole oddał go.

I teraz Claire poznała prawdę. Cole Taylor jednak zabił kogoś w tamtą księżycową noc w Teksasie.

Zabił samego siebie.

- Kocham cię, Cole - wyszeptwała. - Kocham cię.

- Oddałem mojego brata.

- Bo go kochałeś!

- Oddałem go komuś, kogo zupełnie nie znałem, człowiekowi, który mógł być gorszy od naszego ojca.

- Ale nie był! Widziałeś jego delikatność; jaki był przygnębiony, kiedy zobaczył siniaka na twarzy twojego brata. Na tym świecie są dobrzy ludzie, Cole. Są ich miliony. Właśnie z takimi ludźmi jest twój braciszek. Z dobrymi, kochającymi ludźmi – tacy jak ty. - Wyciągnęła ku niemu rękę i opuszkami palców dotknęła twarzy, która stała się równie surowa jak jego oczy. - Dla ciebie było to

okropne, Cole. Ale dla niego to było najlepsze rozwiązanie. Jest bezpieczny, szczęśliwy i kochany. Wiem, że tak jest. I ty też musisz w to wierzyć. Musisz.

- Och, Claire - rzekł ochryple, pełnym nadziei szeptem.

Wyznał jej swój największy grzech, swój najbardziej wstydlivy sekret, najnikczemniejszą zbrodnię. Spodziewał się, że ona ucieknie z obrzydzeniem, wreszcie rozumiejąc, co się stało.

Ale Claire wciąż tu była, na skąpanym w blasku księżycy balkonie. Wybaczyła mu już dawno.

A teraz jej niebieskie oczy były jeszcze bardziej błyszczące, zaś wysmukłe palce przeczesywały mroczną czerń jego włosów. Po chwili stanęła na palcach, żeby pocałować go w usta.

Pocałunkowi towarzyszył szept:

- Kochaj się ze mną, Cole.

Z jego gardła wydobył się chrapliwy, zduszony dźwięk, który przypominał ni to śmiech, ni to jęk.

- Cole?

- Chcę się z tobą kochać, Claire. Wierz mi, naprawdę chcę.

- W takim razie...

- Nie - powiedział cicho. - Nie teraz. Nie tutaj - i nie w moim samochodzie.

I nie będzie to możliwe, dopóki nie zwalczę całego gniewu, jaki jest jeszcze we mnie. Właśnie narodził się na nowo, obudził z długiego, dręczącego snu za sprawą jej delikatnej miłości. Pulsowały w nim nowe, potężne, oszałamiające emocje. Ale także gwałtowność. Wściekłość, która kipiała w nim od tak dawna, jeszcze nie była gotowa przyznać się do porażki, oddać prymat sercu. Dążyła do jeszcze jednej zaciętej bitwy.

Cole nie chciał kochać się z Claire, zanim nie przezwycięży owej gwałtowności.

- Będziemy się kochali, Claire. Nieskończenie wiele razy. - Jego oczy były teraz srebrzyste, błyszczały miłością. - Aleja chcę, żeby nasz pierwszy raz i każdy następny był idealny. Dobrze?

- Tak.

- Tak - powtórzył i przypieczętował obietnicę pocałunkiem, który był wprawdzie delikatny - niemal niewinny - ale groził złamaniem danego słowa.

To Claire oderwała usta od jego warg. Jej śliczna twarz przybrała tak dobrze mu znany wyraz stanowczości. Czyżby nie chciała, żeby złamał dane słowo? Nie, zdecydował Cole. Chodziło o coś innego. O coś znacznie ważniejszego.

- Odnajdziemy go, Cole. Odnajdziemy twojego brata.

Cole zaczął kręcić głową, ale przestał. To był magiczny wieczór, a ona umiała snuć śmiało marzenia, i chociaż to, co sugerowała, wydawało się niemożliwe.

- Jak, Claire? Jak byśmy to zrobili? On nie zna swojego imienia, a co dopiero nazwiska. Nie wie, że byłem jego bratem, a nie sąsiadem. Poza tym nie uważasz, że jest bardzo prawdopodobne, iż nigdy mu nie opowiedziano o tamtej nocy?

Ten sam zimowy księżyc, który pomagał Cole'owi znaleźć drogę do postoju tirów w tamtą grudniową noc przed wielu laty, teraz oświetlał ich oboje, uśmiechał się do nich, spowijał niebiańską mgiełką, utkaną z czystego złota.

- Nie. Na pewno mu o tym powiedziano. Jestem tego pewna. I na pewno o tobie rozmyśla, pragnie cię odnaleźć. Bez względu na to, czy uważa cię za sąsiada, czy za swojego brata, na pewno zapamiętał miłość, twoją miłość. A kiedy usłyszy, że go poszukujesz... - Uśmiech Claire był tak promienny, że przyćmił księżycową poświatę. -1 usłyszy, Cole. Sam mu to powiesz. Powiesz całemu światu.

Upłynęło tak dużo czasu, odkąd Cole pozwalał sobie pamiętać marzenia wymyślane przez tę pieśniarkę-elfa z rozlewiska, że potrzebował paru chwil, by zrozumieć słowa Claire. Ale w końcu pojął je. Zwróci się do zaginionego przed laty braciszka, ze światowej sceny, na której będzie śpiewał miłosne duety wraz z Claire.

Gdyby rzeczywiście zdobyli sławę, którą Claire tak odważnie im przepowiadała, być może naprawdę zdoła odnaleźć utraconego brata. Ale tego wieczoru, kiedy Cole już zignorował najbardziej złowieszcze ostrzeżenie, kiedy ośmielił się myśleć o pełnym miłości życiu z nią, wyobrażanie sobie czegoś więcej byłoby przesadne, zbyt niebezpieczne, zbyt łańczone.

Osoba, która stała przed nim w aureoli złocistej mgły zimowego księżyca, była wszystkim, czego Cole Taylor mógł kiedykolwiek pragnąć... i kimś, na kogo nie zasługiwał.

- Wiesz, czego chcę, Claire?

- Nie. Powiedz mi.

Od dziewiętnastoletnich mężczyzn oczekuje się marzeń o podboju świata, o wielkiej sławie i jeszcze większej fortunie. Ale marzenia tego dziewiętnastolatka były spokojne, łagodne, proste.

- Ciebie, Claire. Ty i ja razem... I nasze dzieci. Chciałbym uczyć muzyki i mieszkać w małym domku, takim jak domek ciotki Augusty, w pobliżu rozlewiska, gdzie czasami na Boże Narodzenie spada śnieg.

- Ja też tego chcę.

- Naprawdę?

- O, tak. Najbardziej ze wszystkiego. - Nigdy nie zależało jej na sławie, tylko na tym, żeby śpiewać razem z nim - tyle że teraz, ze względu na niego, na jego miłość, nie było powodu, żeby być sławną.
- Ale jest jeszcze twój brat, Cole. Musimy go odnaleźć.

Zdarzało się, że Claire nie potrafiła odgadnąć, co wyrażają szare oczy Cole'a. Ale teraz intensywny ogień, który płonął w jego duszy, przesłaniał cienie, a oczy Cole'a lśniły srebrnym blaskiem miłości. Właściwie ta srebrzysta jasność, ta olśniewająca wyrazistość nie zgasła w sposób, który mógłby dostrzec ktokolwiek poza nią. Jednak ponieważ Claire kochała go tak bardzo, albo może dlatego, że to ona roznieciła ów płomyk nadziei z ledwo tłęcego się żaru, zanim odpowiedział, zobaczyła jak płomyk trzepocze ostatni raz, a potem gaśnie.

- Nie, Claire - powiedział cicho Cole. - Muszę zostawić go w spokoju.

Nie wolno mi snuć więcej marzeń.

6

W tamten grudniowy wieczór, zanim Cole Taylor i Claire Chamberlain opuścili samotną altankę w Belle Reve, snuli plany dotyczące wzajemnej miłości. Cole miał skończyć szkołę w czerwcu, a potem uczęszczać do pobliskiego college'u. Mieli się pobrać za dwa lata, kiedy ona również skończy szkołę. Oboje chcieli zostać nauczycielami muzyki. I chociaż pragnienie jego szczęścia miało na zawsze przepętniać ich serca, postanowili porzucić wszelkie myśli o odnalezieniu młodszego brata Cole'a.

Ich śpiewanie miało przynosić prywatną radość, a nie światowe uznanie; chcieli wspólnie wykonywać piosenki o miłości dla siebie nawzajem i dla swoich dzieci. To marzenie było wspanialsze niż blask marzeń o sławie, było jak idealnie oszlifowany diament, świecący swoim własnym ognistym blaskiem.

Ale następnego dnia Cole stał się sławny... i ich cudowne marzenie przysło, jakby ktoś potłukł nieskazitelny brylant, a niegdyś migoczące szczątki wydawały się równie ponure, bezbarwne i zimne jak szare oczy młodzieńca.

Katastrofa rozpoczęła się od pukania do frontowych drzwi małego domu na Joshua Street, gdzie Cole mieszkał ze swoim ojcem. Cole przebywał w salonie, gdzie grał na gitarze podarowanej mu przez Claire, i komponował piosenkę miłosną. Miał zobaczyć się z dziewczyną już za trzy godziny, na kolacji u ciotki Augusty, i później, przed pożegnaniem ukochanej, zamierzał zaśpiewać jej ten utwór. Wtedy miał być już gotowy, bo chociaż Cole zaczął nad nim pracować dopiero zeszłej nocy, tekst był wryty w jego sercu od wielu lat.

Popołudniowym gościem w domu Taylorów była Annabelle Prentice.

- Wesołych świąt w przededniu wigilii - rzuciła wesoło na powitanie i weszła do środka ocierając się o Cole'a. - Gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia.

Annabelle zmarszczyła brwi i spojrzała na wysadzany brylantami zegarek marki Chopard na swoim przegubie. Była trzecia piętnaście. Jed miał tutaj być, miał na nią czekać, a dzisiejszego dnia akurat liczyła się każda minuta. Boże Narodzenie mogło nie mieć absolutnie żadnego znaczenia dla tych dwóch mężczyzn, którzy mieszkali w tym nieprawdopodobnie malutkim domku. Ale dla reszty Harlanville, a zwłaszcza dla Harlanów i Prentice'ow, był to czas przyjęć, świętowania, rodzinnych zjazdów. Annabelle i jej rodziców spodziewano się w Belle Reve o piątej trzydzieści, co dawało jej najwyżej godzinę na zupełnie inny rodzaj świętowania ze swoim kochankiem.

Jed Taylor i Annabelle Prentice potrafili całkiem niezłe zabawić się ciągu godziny: sześćdziesiąt minut niebezpiecznie smakowitej, ekscytująco dekadentkiej i gwałtownej namiętności. Dlatego dziewczynka, która nie była przyzwyczajona do odmawiania sobie czegokolwiek, chciała każdej z tych minut

- A niech go cholera! - Rozdrażnienie Annabelle uległo wyraźnemu zmniejszeniu, kiedy odwróciła wzrok od złoto-brylantowej tarczy zegarka i skierowała go na poszarzałą twarz syna swojego kochanka. - Co teraz porabiasz, Cole?

- Wychodzę.

- Wcale mi na to nie wygląda. - Zerknęła znacząco na gitarę. - Zagraj coś dla mnie, Cole. Niech to będzie serenada.

W odpowiedzi Cole oparł gitarę o wytartą kanapę.

- Muszę się zbierać.

- Co to takiego?

Cole już odsuwał się od niej i był w połowie drogi do drzwi, ale jej pytanie sprawiło, że się zatrzymał. Wiedział, co wzbudziło jej zainteresowanie. Wcześniej myślał, żeby zabrać ten przedmiot ze sobą albo przynajmniej postawić go w swojej sypialni, ale oba manewry zwróciłyby jej uwagę. .. Zresztą wydawało się, że przedmiotowi temu nic nie grozi, bo leżał w drugim rogu kanapy. Cole wiedział, że kiedy wyjdzie, Annabelle uda się do kuchni, żeby sobie nalać drinka, a gdy tylko zjawi się Jed, oboje wycofają się do jego sypialni.

Jednak Annabelle jakimś sposobem odkryła ów przedmiot i kiedy Cole odwrócił się, serce mu zamarło. Szklana kula, zakupiona tego ranka w Lafayette, była unoszona w idealnie wypielęgnowanych dłoniach Annabelle niczym ofiara dla bogów. Annabelle zapewne z radością upuściłaby ją na ziemię na znak poświęcenia.

Śnieżna, bożonarodzeniowa sceneria wewnątrz szklanej kuli była prezentem dla Claire, namiastką śniegu, który jeszcze nie spadł na rozlewisko.

A odkąd Cole opuścił Lafayette, ta kula nabrała dlań specjalnego znaczenia, stała się świeżym symbolem pamięci i odkupienia.

Cole z pewnością mógł znaleźć ręcznie robione szklane kule w każdym z miasteczek między Harlanville i Lafayette. Pojechał jednak aż do miejsca, które kiedyś było jego domem, przyciągany mglistymi i mistycznymi wspomnieniami niezwykłych sklepów z bożonarodzeniową dekoracją, i dwóch chłopców, dwóch braci, którzy stali trzymając się za ręce i patrzyli na malutkie płatki śniegu, spadające na miniaturowe, otoczone szkłem miasta.

Cole nie odwiedzał Lafayette od czasu, gdy jego rodzina uciekła późną nocą z domu w pobliżu Breaux Bridge. Wątpił, czy kiedykolwiek jego noga postanie w tym miejscu. Jednak kiedy wyruszył przed świtem na poszukiwanie śnieżnego podarunku dla Claire, uznał, że ważny będzie powrót do domu z lat chłopięcych, gdzie może wreszcie uda mu się pojednać z wciąż mieszkającymi tam upiorami.

Upiory były wszędzie, niewidzialne i szydercze, a zarazem nie było ich nigdzie. Nie istniało żadne miejsce, ani w Lafayette, ani w Breaux Bridge, gdzie mógłby stawić im czoła.

Ich domu nie było, podobnie jak wysypiska śmierci, gdzie bracia znaleźli kiedyś ukochaną, podniszczoną kołderkę, i domu sąsiada, który dał im zardzewiały wózek. Nawet rozlewisko zmieniło się. Jego sinobłękitne wody były teraz mroczniejsze, wrogie i zadumane. Ptaki śpiewały przenikliwym świergotem smutne ballady o utracie, listowie zaś było tak gęste i rozrośnięte, że Cole nie potrafił odnaleźć miejsc, które były niegdyś ich sekretnym sanktuarium.

A co z osobliwymi sklepikami w Lafayette, gdzie sprzedawano szklane kule? Takich uroczych sklepów było nadal w bród, jednak żaden z nich nie pasował do mglistego wspomnienia Cole'a. Jego przeszłość odeszła, zagubiła się gdzieś z upływem czasu, w splątanych pnączach prastarego lasu. Albo może owa przeszłość, ten czas kochających się braci, tak naprawdę ogóle nigdy nie istniał. Być może był złudzeniem jego wyobraźni, tak jak upiory.

Cole kupił szklaną kulę, a potem wyjechał z Lafayette, oddalił się od iluzorycznej przeszłości, by ruszyć ku pewnej przyszłości. Ku Claire.

Ale upiory nadal go nie opuszczały. Wyrzucone ze swych starych legowisk w Lafayette i Breaux Bridge, spędziły następne lata miotając się wściekle i niespokojnie, rozpaczliwie poszukując czegoś znajomego, czego mogłyby się ucześcić.

Cole wreszcie powrócił. Upiory odnalazły go i bynajmniej nie zamierzały puścić wolno. Może Claire mu wybaczyła, ale upiory małych Taylorów nie. Pragnęły, aby ich ból został zauważony. Chciały, aby Cole został ukarany - na zawsze - za to, że oddał brata, którego kochał.

Powinieneś być znaleźć inne wyjście! - wrzeszczały. Powinieneś być zatrzymać malca przy sobie i chronić go. Jak mogłeś go oddać, skoro tak bardzo go kochałeś?

Były to upiory wściekłe i pełne udręki, usidłone w piekle miłości i bólu. Miotając się nieustannie, błagały o spokój.

Dam wam spokój. To była śmiała myśl - i tak pełna ufności. Stanowiła wspaniały dowód, że i Cole'owi udzielił się wrodzony optymizm Claire.

Propozycja Cole'a Taylora dla jego umęczonych upiorów nie była dokładnie takim prezentem, jaki podarowałyby im Claire: nie było to uwolnienie ich od nieustannej udręki, od prześladowającego je bólu. Jak Cole mógłby dokonać tak niesłychanego wyczynu? Przemieniając fantomy upiorów w małe płatki śniegu, idealne kryształki szczęścia, które znalazłyby się - wraz z całym jego przeszłością-pod gładką powierzchnią małej szklanej kuli.

Jego upiory będą tam żyły już zawsze. Czasami będą tańczyły, unoszą się w powietrzu, wirowały w delikatnym balecie zapamiętanej radości. Innym znów razem będą odpoczywały, spały błogim snem.

Cole powie Claire, co zrobił ze swoimi zbolałymi upiorami, a ona powita je serdecznie i znajdzie największe pocieszenie wtulając się w łagodne ciepło jej pełnych wdzięku dłoni.

Ale teraz to Annabelle Prentice trzymała w rękach szklaną kulę i rozdrażnienie wyraźnie malujące się na jej twarzy ostrzegało, że w każdej chwili może ją rozbić o podłogę... a wówczas upiory, które podróżowały z Cole'em z Lafayette, znalazłszy spokój w swym szklanym kokonie, już nie będą takie spokojne.

- To prezent na Boże Narodzenie - odparł w końcu Cole. - Dla ciotki Augusty. To podarunek od wszystkich, którzy śpiewali podczas przedstawienia.

- Ach. - Ciotka Augusta była świętością - nawet dla rozdrażnionej dziedziczki. Annabelle trzymała teraz szklaną kulę mocniej, oglądając idylliczną scenkę wewnątrz, łyżwiarzy sunących po zamrażonym lazurowym stawie, dzieci w rękawiczkach, kończące lepić pulchnego bałwana, młodych kochanków mknących po śniegu w saniach zaprzężonych w jednego konia, kołędników wyśpiewujących hulakom wesołe pieśni. - Jest bardzo piękna. Jestem pewna, że bardzo jej się spodoba.

Cole skinął głową, przez chwilę nie mogąc wydusić ani słowa. Serce, które zamarło, znowu zaczęło bić, żarłocznie pochłaniając każdą cząsteczkę tlenu, jaką było w stanie zabrać. A kiedy Annabelle bardzo ostrożnie odłożyła szklaną kulę na stolik, zaczęło walić jak szalone. Białe Boże Narodzenie Claire było bezpieczne, a jego własne upiory żyły sobie spokojnie...

- Proszę cię, nie idź, Cole.

- Przykro mi, Annabelle, ale dziś wieczorem zabieram szklaną kulę do ciotki Augusty, a to oznacza, że trzeba ją będzie zapakować. Mam papier i wstążkę, ale zabrakło nam taśmy klejącej. - Oprócz tego, że szklana kula była w rzeczywistości prezentem dla Claire, Cole mówił całkowitą prawdę. Zamierzał przejść się do sklepu w Harlanville, jak tylko skończy pisać swoją piosenkę o miłości.

Teraz jednak te plany uległy zmianie. - Nie chcę cię opuszczać, Annabelle, ale jestem pewien, że on tu zaraz będzie.

- Lepiej, żeby był. Lepiej żebyśmy byli w jego sypialni, w jego łóżku, zanim ty wrócisz. - Annabelle wygięła idealnie skorygowaną brew. -Nigdy nas nie podstuchujesz, Cole, prawda?

Przez następne lata Cole miał pamiętać z bolesną wyrazistością co myślał, kiedy wrócił do domu po kupieniu taśmy klejącej: że powinien być zabrać ze sobą szklaną kulę, gitarę i opakowanie prezentu. Ale chciał czmychnąć od Annabelle tak szybko, jak to było możliwe, zanim jej żądania stałyby się zbyt nachalne, zanim zaczęłyby go obmacywać, tak jakby należał do niej.

Już kiedy szedł w kierunku domu, skręcając z Bayou Boulevard w Joshua Street, planował swoją ucieczkę. Annabelle i jego ojciec będą w łóżku. Kiedy zabierze szklaną kulę, gitarę i papier do zawinięcia prezentu, pojedzie nad zatokę i będzie śpiewał, aż nadejdzie pora wizyty u ciotki Augusty.

Cole nieco zmienił plan, kiedy zbliżył się do domu. Jed Taylor rzeczywiście był wewnątrz, tylko że jego samochód stał na podjeździe w poprzek drogi, zastawiając auto Cole'a.

Samochód był dla Cole'a czymś w rodzaju sanktuarium. W jakiś inny dzień odkrycie, że utracił dostęp do swojego prywatnego azylu na skutek bezmyślnego albo może świadomego postępowania ojca, przyprowadziłoby go o bezgraniczną wściekłość, która stanowiłaby wymowne świadectwo tego, co budziło w nim największe obawy - że przypomina ojca pod najgorszym względem, że jego krew rozpala furia, która może wybuchnąć w każdej chwili.

Ale tego dnia, kiedy upiory z przeszłości uspokoiły się i zamieniły w niewinne płatki śniegu, a kipiąca gwałtowność już zniknęła za sprawą magicznej miłości, Cole czuł tylko nadzieję, tylko szczęście.

Pójdzie nad rozlewisko na piechotę, a później uda się do ciotki Augusty i...

Dokładnie w tym momencie Cole usłyszał krzyki.

Dzień, który zaczął się tak radośnie dla syna, oznaczał koniec dla ojca. Oficerowie policji w Harlanville wystrzegali się Jeda Taylora od dość dawna.

Wszyscy w mieście wiedzieli, że kiedy pił, robił się szalony. Jednak przez osiem lat nic nie wskazywało na to, żeby pił alkohol na służbie. Mimo wszystko niejednokrotnie Jed zachowywał się bardzo dziwnie, jak gdyby całkowicie nad sobąpanował, a jednocześnie był obłąkany.

Czy to była kokaina? Zastanawiali się jego koledzy z pracy. Czyżby przez jednego z nich małe senne Harlanville zetknęło się z brutalną rzeczywistością miejskiego życia? Czy człowiek, który przysięgał strzec prawa, zbijał majątek sprzedając narkotyki ich dzieciom? Czy to dlatego ich własne nastoletnie dzieciaki zachowywały się tak wyzywająco i buntowniczo?

Inni oficerowie ostatecznie postanowili obserwować go i każdy z nich poświęcał na to zadanie część wolnego czasu poza służbą. W końcu wysiłek się opłacił. Zeszłego wieczoru, wiele godzin po tym jak większość mieszkańców Harlanville zasnęła mając w pamięci duet zaśpiewany przez Claire Chamberlain i Cole'a Taylora, zauważono, że jego ojciec wymienia jakieś paczuski z dwoma nieznanymi. Co mogły zawierać? pieniądze? narkotyki?

Oficer, który był świadkiem podejrzonej transakcji, nie podjął wówczas żadnych działań. Jednak jego raport spowodował gorączkowe dochodzenie już następnego ranka. Szef policji Harlanville natychmiast zadzwonił na posterunek w okręgu St. Martin, gdzie Jed był kiedyś zatrudniony i gdzie, jak się przekonano, przestał pracować, jak tylko jego koledzy zaczęli podejrzewać, że zatrzymuje dla siebie sporą część narkotyków konfiskowanych podczas aresztowań.

Z perspektywy czasu było oczywiste, że taki telefon należało wykonać osiem lat wcześniej, kiedy Jed ubiegał się o pracę. Ale Harlanville potrzebowało go, a nikt nie mógł być bardziej przekonujący niż Jed Taylor, toteż kiedy oświadczył, że dostał wyróżnienie za służbę w okręgu St. Martin, nie zadawano mu dodatkowych pytań.

Kiedy szef policji Harlanville przedstawił Jedowi swoje zastrzeżenia, ten ostatni znowu użył przekonujących argumentów. „Nieznajomi”, których spotkał w cieniach zeszłej nocy, byli starymi przyjaciółmi z czasów, kiedy grał w piłkę w Lafayette, a oficer po prostu się pomylił twierdząc, że widział wymianę paczuszek. A co do przyczyn jego pośpiesznej ucieczki z Breaux Bridge? W grę wchodziła po prostu zazdrość. Udało mu się dokonać imponującej liczby aresztowań, z których wiele zakończyło się skazaniem przestępców, dlatego inny oficer, który również starał się o awans, wymyślił sposób, żeby go ośmieszyć.

Nie było żadnych dowodów. Przynajmniej wtedy. Teraz zresztą również ich nie było. Właściwie jedynym punktem zaczepienia był interesowny kolega ze służby.

Szef policji przyznał, że nie mają dowodów. Jednak „na czas badania sprawy” zażądał, aby Jed oddał broń i odznakę. Zapewnił go, że dostanie wypłatę za okres zawieszenia i że jego koledzy dołożą wszelkich starań, aby o sprawie nie zrobiło się głośno.

Jed zgodził się, wzruszając lekceważąco ramionami, chociaż dosłownie gotowało się w nim od gniewu. Wiedział, czego szef naprawdę chce - jego odejścia, bo wtedy skończyłby się cały problem. No cóż, opuści Harlanville, ale tym razem nie tak szybko. Najpierw zadba o to, aby wieśniaki z tego miasteczka nigdy go nie zapomniały.

Przez wiele lat kokaina była ulubionym narkotykiem Jeda. Poprawiała mu ostrość widzenia, dzięki niej lepiej mu się myślało i czuł się ogromnie silny. Zaraz po zawieszeniu, pobudzony jej magiczną mocą obmyślił niezrównany plan. Po pierwsze należało ukarać oficera, który go śledził zeszłej nocy. Jed rozważał udanie się do domu po strzelbę myśliwską. Jednak po namyśle uznał, że gołe ręce również mogą stanowić śmiercionośną broń, a poza tym załatwienie zdrajcy w tak intymny sposób byłoby całkiem przyjemne.

A potem? Rzeczywiście wyjedzie z Harlanville. Ale nie sam. Zabierze ze sobą swoją rozpieszczoną księżniczkę Harlanville - najbardziej bezwstydną dziwkę w tej miejscinie.

Zanim Jed w końcu się zjawił, Annabelle była już wściekła jak osa. Jednak jej gniew przerodził się w strach, kiedy zobaczyła iskiarki obłędu w oczach Jeda. Widywała już go po zażyciu kokainy. Nieraz dzieliła z nim ten niebezpieczny, ale dodający mocy rytuał.

Jednak tym razem to było coś innego, coś poważniejszego, coś naprawdę przerażającego. W dodatku miał na rękach krew, a skóra na kłykciach była otarta.

Powinna była uciec. Wiedziała o tym. Jednak w trakcie tych kilku cennych chwil, kiedy ucieczka była możliwa, Annabelle stała jak sparaliżowana, urzeczona straszliwą, choć skupioną mocą, jaka emanowała z kroków Jeda.

Przemówił dopiero wtedy, gdy zabrał swoje strzelby, amunicję i nóż myśliwski.

- Idziemy. - To był rozkaz. Surowy i brutalny. W sypialni brzmiałby ekscytująco, ale teraz budził lęk.

- Nie, Jed, ja...

Wybuchnął śmiechem i zanim zdążyła się ruszyć, uwięził ją w swoich ramionach i przystawił do gardła chłodną stal wyszczerbionego ostrza noża.

Kiedy Jed wyczuł jej strach, w jego umyśle nagle zrodził się nowy i o wiele bardziej atrakcyjny plan. Jednak nie zabierze ze sobą skurwionej księżniczki. Nic nie sprawiłoby mu większej rozkoszy, niż pocięcie tego delikatnego ciała i świadomość, że ma na rękach jej gorącą krew. Zaledwie trzydzieści minut wcześniej zabił zdradzieckiego oficera, lecz ta prozaiczna śmierć tylko zaostrzyła mu apetyt. Był gotowy zabić ponownie, jeszcze raz zaspokoić szalony głód.

Nóż wszedł nieco głębiej i Annabelle krzyknęła.

Cole zareagował na jej okrzyk przerażenia natychmiast, instynktownie. Pobiegł do domu, do Annabelle, nie słysząc odleglejszych wrzasków, wycia policyjnych syren, sygnalizujących pościg za człowiekiem, który zabił jednego z nich.

Kiedy jego syn wpadł do domu, Jed Taylor uśmiechnął się od ucha do ucha. Planował zabić Cole'a od bardzo dawna. Wiele razy zostawiał go pobitego do nieprzytomności, poczynawszy od tamtego dnia w Teksasie, kiedy Cole wyznał, że przed chwilą był świadkiem utonięcia młodszego brata.

Ale właśnie od tamtego dnia Cole zaczął ujawniać swoją prawdziwą tożsamość. Był jak feniks. Raz po raz odradzał się z popiołów śmierci, a potem znowu był karany. I po tamtym dniu, tym samym, w którym matka Cole'a odeszła na zawsze, karanie Cole'a stało się dla Jeda ogromnie przyjemną zabawą, najmiłym wyzwaniem, niebezpieczną rekompensatą, która wymagała najwyższej finezji. Musiał zadawać synowi rany ostrożnie, żeby nie było ich ani za dużo, ani za mało. Jed dowiadywał się przy każdej kolejnej - udanej - próbie, ile dokładnie Cole jest w stanie wytrzymać nie umierając.

Ostatecznie brutalna gra została zarzucona. Z bezbronnego chłopca wyrósł silny i gniewny młodzieniec. Ale tak naprawdę gra nigdy sienie skończyła. Jeszcze nie nadeszła pora ukoronowania ostatecznego zwycięzcy.

Cóż. To wszystko miało ulec zmianie dzisiejszego dnia. Nawet jego podobny do feniksa syn nie mógł przeżyć ugodzony nożem w samo serce.

- Puść ją- polecił Cole.

Jed wybuchnął śmiechem i chociaż w tym momencie gorąca struga przelanej krwi syna interesowała go znacznie bardziej niż krew kochanki, nadal więził Annabelle.

- Chodź mi przyłożyć, Cole. Chciałeś tego od tak dawna. Teraz masz szansę. Możesz być bohaterem. Uratuj panienkę z opałów. No, chodź, syneczku. Podejdź bliżej, to ją puszczę. A może wolisz popatrzeć, jak podrzynam jej śliczne gardelko?

Jed Taylor nie blefował. Co do tego Cole nie miał najmniejszych wątpliwości. Żeby położyć kres życiu Annabelle, potrzeba było tak niewiele. Dla umięśnionej ręki ojca była to doprawdy drobnostka. I Jed zrobiłby to, zamierzał to zrobić, aż Cole go powstrzymał.

Cole zaczął iść w kierunku swojego ojca. W tej powolnej podróży była ogromna stanowczość. Pośpiech nie był konieczny. Dopóki spełniał życzenia Jeda, Annabelle była bezpieczna.

Cole był na poły panterą, potężnym stworzeniem podchodzącym swoją ofiarę. I był też na poły więźniem, który włókł za sobą najcięższe z możliwych łańcuchy. Cole nie wiedział, że tego dnia Jed już raz zabił, że nie miał absolutnie nic do stracenia popełniając następne morderstwo. Ale wyczytał z twarzy ojca złowieszczą prawdę: Jed Taylor był zdecydowany toczyć śmiertelną walkę ze swoim synem.

Jed nie miał nic do stracenia, a Cole miał wszystko.

Nie mogę być taki, jak mój ojciec. Muszę zdławić w sobie przemoc, powstrzymać go tak, żeby go nie zabić. Muszę.

Kiedy Cole znajdował się na wyciągnięcie ręki, Jed odepchnął Annabelle, porzucając ją na rzecz bardziej pociągającej ofiary. W już zakrwawionej ręce Jeda błysnął nóż myśliwski. Jego oczy również błyszczały, wprost lśniły od morderczej żądzy, a wyobraźnia przewidywała rozwój wypadków.

Cole starał się unikać jego podstępnych ciosów, cały czas usiłując zdobyć nóż. Nóż nie trafiał w umięśnione ciało syna za każdym razem. Od czasu do czasu jednak sięgał celu, a wówczas lała się krew i każda wyciekająca kropla osłabiała siły Cole'a. W końcu Cole zaczął się chwiać, a jego twarz robiła się coraz bielsza - na skutek utraty krwi, a potem i ze strachu.

Jed zmarszczył brwi. To wydawało się zbyt łatwe. Było zbyt łatwe. Kiedy znalazł wyjście z tej sytuacji, rozpoznał się.

- Potrzebujesz broni, prawda, syneczku? - Jed uśmiechnął się jeszcze szerzej, sięgając po gitarę, którą Cole zostawił opartą o kanapę. - Co powiesz na to? Chyba już czas, żebyś zrobił z tej rzeczy odpowiedni użytek.

Jednym potężnym uderzeniem Jed rozbił gitarę o podłogę. Prezent od Claire wydał ostatni dźwięk, a raczej nieharmonijny jęk, jego struny zadrgały ostatni raz. A może ten jęk agonii pochodził z rozedrganych strun w sercu Cole'a, który był świadkiem zniszczenia ukochanego instrumentu i zaczynał przeczuwać, jak wielkie będą jeszcze zniszczenia.

Drewniane pudło gitary roztrzaskało się. Jednak chociaż gryf wyraźnie się rozłamał, wciąż był połączony z pudłem za pomocą luźnych, niemych strun. Gitara zawisała w ręku Jeda, przetrącona, połamana - i bezużyteczna zarówno jako instrument miłości, jak i... śmiercionośna broń.

Jedowi nie powiodła się próba stworzenia ostrej, kłującej broni. A może jednak było inaczej ?

Czyż niszcząc jedyny cenny dla Cole'a przedmiot nie zdołał przeobrazić swojego opornego syna w śmiercionośną broń?

Tak, uznał Jed, uśmiechając się z zadowoleniem. Tak. Teraz oczy rozwścieczonego Cole'a płonęły jak pochodnie.

- No, chodź - prowokował Jed, odrzucając gitarę. - Walcz ze mną.

Cole wierzył kiedyś - jakże naiwnie - że z jego żył wyparowały wszelkie pozostałości przemocy. Ale mylił się całkowicie. Zawrzała w nim dobrze znana furia, potężniejsza niż kiedykolwiek, podobna do wartkiego nurtu rzeki i popychająca go naprzód. Czy potrafił postawić tamę tej fali przemocy? Czy mógł zapobiec śmiertelnemu zniszczeniu, ku któremu ona płynęła? Nie, brzmiała wrzaskliwa odpowiedź, syk triumfu mocnych, szybkich prądów, które wzbierały w kipieli.

Rozszalała rzeka-rzeka jego własnego gniewu-poniesie go tam, gdzie będzie jej się podobało. A kiedy będzie miała dość, przytrzyma go pod wzburzonymi wodami, aż młodzieniec utonie. Taka była wymagowana śmierć, jaką Cole przyznał swemu bratu; dzięki tej fikcji ukochany malec mógł uciec.

Ale dla Cole'a nie było ucieczki. Takie było jego przeznaczenie. Śmierć, nie marzenia. Przemoc, nie miłość. Morderstwo, nie magia.

A jednak, jakimś cudem, Cole nie wykonał żadnego ruchu. Rzeka przetoczyła się obok niego, wokół niego, niosąc ze sobą własną gwałtowność.

Jeszcze nie jest za późno, obiecywał wewnętrzny głos. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze mogą istnieć marzenia i miłość, i...

W tym momencie zniecierpliwiony Jed gorliwie rzucił się do przodu i ten nagły manewr zaskoczył Cole'a. Nie mogąc uniknąć ciosu, Cole odparł go lewym przedramieniem. Ostra stal zagłębiła się w jego ciało, a struga karmazynowej krwi miała na zawsze pozostać w jego pamięci.

- Punkt dla ciebie? - szydził Jed, bowiem widok krwawiącego syna jeszcze podsylił jego pasję. - To dopiero początek, mój syneczku.

W rzeczywistości następne cięcia były tylko kiepską imitacją tego pierwszego. Większość ciosów przecinała powietrze. Ale ponieważ Cole musiał trzymać się blisko przeciwnika, żeby wyczuć odpowiedni moment i przechwycić jego nóż, otrzymał sporo płytkich cięć w ręce, tors i szyję. Z tych ran kapały tylko małe krople krwi, niewiele w porównaniu ze strugą lejącą się z jego skaleczonego przedramienia.

Cole wiedział, że trzeba złapać nóż i uświadomił sobie, że musi tego dokonać szybko, bowiem nagły skręt ciała wprowadził go w lekkie oszołomienie. Musiał obiema rękami chwycić ojca za nadgarstek, żeby wyrwać mu nóż, a potem należało go przytrzymać, udaremnić dalszą przemoc, aż do przybycia policji.

Chyba jechali, nieprawdaż? Przecież to, co słyszał oprócz łomotu swego serca, to chyba były syreny wozów policyjnych?

Gole dostrzegł szansę dla siebie i postanowił ją wykorzystać. Chwycił Jeda za nadgarstek i przytrzymał go twardą jak stal ręką, wierząc, że za chwilę nóż wypadnie ojcu z ręki...

Była to okrutna bitwa, w której siłę syna potęgowała obietnica magii, ojciec zaś posiłkował się szaleństwem. Syn był ciężko ranny, w przeciwieństwie do ojca. W dodatku Jed Taylor dysponował tajną bronią. Kokaina sprawiała, że był niezwyciężony.

Mimo wszystko Cole wierzył, że wygra. Jego siła woli była mocniejsza, a nadzieja miłości stanowiła najpotężniejszą broń. Nawet kiedy Jed zdołał się wyrwać, Cole nadal wierzył. Ponownie sięgnął po nadgarstek ojca, ale tym razem złapał sam nóż, który przeciął jego prawą dłoń.

Już nigdy nie zagram na gitarze. W ferworze walki uświadomił sobie tę prawdę. To nie ma znaczenia. Mogę nadal śpiewać dla niej. Nadal mogę śpiewać.

Cole otoczył palcami ostrze, zamierzając mocno je ścisnąć i wyszarpnąć z dłoni. Palce zgięły się, ale nie mogły ścisnąć niczego. Niemal zerwane ścięgna odebrały im całą siłę. Ręka, która kiedyś grała piosenki miłosne i która jeszcze przed chwilą była w stanie zabić, była teraz równie bezużyteczna i uszkodzona, jak strzaskana gitara.

Kiedy Jed zdał sobie sprawę, co się stało z jego synem, zaniósł się hałaśliwym, pełnym szaleństwa rechotem. Potem pchnął ostrze noża jeszcze głębiej, tak że rozorało kość.

Cole używał przede wszystkim prawej ręki, dlatego była mocniejsza i bardziej zwinna. Teraz jednak chwycił ojca za szyję lewą ręką, tak że obaj zakręcili się i runęli na podłogę.

Przetaczali się spleceni w zapaśniczym uścisku, z tkwiącym między nimi nożem... aż Jed spadł na porzuconą gitarę. Wygiął się zaskoczony, kiedy ostra i całkiem twarda drzazga wbiła mu się w plecy. Ta pozostałość po roztrzaskanym instrumencie miłości nie ugodziła go śmiertelnie - jedynie

doprowadziła Jeda do zgonu, bowiem kiedy zaczął się wić, śliski od krwi nóż znalazł ostateczne miejsce przeznaczenia w jego sercu.

Ten śmiertelny manewr był najzupełniej przypadkowy, stanowił kaprys losu. Jednak Cole czuł się tak, jakby przestające bić serce ojca było jego własnym sercem. Uderzało gwałtownie, rozpaczliwie, jakby chciało zaprzeczyć nadciągającej śmierci, zbuntować się przeciw niej, chociaż ten silny protest tylko przyspieszał samozagładę, bowiem każde uderzenie powodowało nieodwracalną utratę kolejnej porcji krwi.

I dokąd popłynęła gorąca, umierająca krew Jeda Taylora? Do jego syna. Splywała po ostrzu stalowego noża, sączyła się na pierś Cole'a, plamiąc go, znacząc go piętnem.

Rzezi w domu przy Joshua towarzyszyło kilku świadków. Annabelle widziała wszystko, bowiem śmiertelny pojedynek zagroził jej drogę ucieczki. I właśnie na sam koniec, dokładnie kiedy nóż trafił w serce Jeda Taylora, zjawiła się policja.

Dowodów było aż nadto, aby uznać owo zabójstwo za akt usprawiedliwionej samoobrony. W dodatku był to czyn bohaterski. Cole Taylor uratował życie Annabelle Prentice.

I kiedy Cole wreszcie wstał - kiedy wreszcie uwolnił się od zwłok swego ojca - Annabelle rzuciła się do niego. Wyciągnęła wypiełgnowane palce w kierunku jego poranionej twarzy i odszukała nieliczne miejsca, których można było dotykać: malutkie wysepki szarego jak popiół ciała pośród morza rozbryzanej krwi.

- Uratowałeś mi życie - wymruczała. Potem, uświadomiwszy sobie nagle, że w pobliżu jest nie tylko policja, ale i coraz większy tłum ciekawskich, księżniczka Harlanville cofnęła pieścizotliwe opuszki z zakrwawionej twarzy niegrzecznego chłopaka i wyjaśniła zadyszana:

- Jed Taylor porwał mnie! Wysłałam na spacer, zanim zaczęłam się szykować do kolacji z Andrew, a on siłą wepchnął mnie do swojego samochodu i przywiózł tutaj, a kiedy mu powiedziałam, że nie mam zamiaru być zakładniczką, przyłożył mi nóż do gardła. Ale Cole uratował mnie. Cole jest bohaterem. Moim bohaterem.

Bohater Annabelle nie powiedział nic i nawet na nią nie spojrzął. Ciemnoszare oczy skupiały się na czymś zupełnie innym, na małej szklanej kuli, która leżała na stoliku.

Świąteczny prezent od Claire jakimś cudem nie został uszkodzony. Ale nie był już taki jak przedtem. Śnieżna sceneria wewnątrz kuli była prawie niewidoczna; szkło pokrywały teraz gęste plamy krwi.

Annabelle denerwowało, że Cole ignoruje jej podziw. Mogła naprzeć na niego swoim zmysłowym ciałem, żeby zwrócić jego uwagę. Ale Cole był przesiąknięty krwią, a poza tym dookoła stali aż nazbyt ciekawscy ludzie.

Musiła jednak coś zrobić, wymierzyć Cole'owi drobną, ale nie dającą się wymazać z pamięci karę za to niewybaczalne lekceważenie. Znowu zbliżyła rękę do jego twarzy i rozorała mu ją paznokciem, jakby chciała zostawić pamiątkę po swoim gniewie. Cole nie cofnął się, nawet nie drgnął. W końcu

Annabelle ruszyła władczym krokiem przez mur policjantów, przeszła nad ciałem martwego kochanka i opuściła dom. Tam zrelacjonowała urzeczonemu tłumowi całą historię, nie oszczędzając mu żadnych krwawych szczegółów dramatu. Jej słowa zostały wysłuchane, a potem powtarzano je i upiększono, w miarę jak wieść o wypadku rozchodziła się błyskawicznie po całym mieście.

Claire spędziła popołudnie w swoim domu przy Magnolia Avenue przygotowując kolację, którą miała zjeść w towarzystwie ciotki Augusty i Cole'a. Augusta chciała być z Claire, cieszyć się wraz z nią świątecznym domowym nastrojem, ale jej bliska przyjaciółka zachorowała i bardzo pragnęła, żeby ją odwiedzić w te święta. Claire uściskała ciotkę Augustę na pożegnanie, a potem zaczęła sama polewać pieczeń tłuszczem, mieszać, kroić i mleć. Nuciła, a jej serce odliczało sekundy do spotkania z Cole'em.

Kiedy usłyszała syreny, przestała nucić i zmarszczyła brwi. Już wycie pojedynczej syreny było czymś rzadkim w Harlanville, a tymczasem sądząc po dźwiękach dochodzących przez okna, chyba wszystkie karetki w mieście pędziły do miejsca jakiejś tragedii. Serce Claire zamarło. Gdzie jej bliscy?

Są bezpieczni, zapewniała samą siebie. Obojgu nie grozi absolutnie nic. Ciotka Augusta jest w odległym o trzydzieści mil szpitalu, nowoczesnej placówce medycznej, która obsługiwała Harlanville i kilka innych okręgów, a Cole w domu. Dzwonił po powrocie, a wtedy Claire zaprosiła go, żeby przyszedł i pomógł jej zrobić kolację, ale kiedy usłyszał, że ciotki Augusty nie ma, odmówił.

Oczywiście do niczego by nie doszło. Ale w Harlanville, a być może we wszystkich domach, w których rodzice dbali o niewinność swoich córek, szesnastoletnia dziewczyna nie spędzała popołudnia sam na sam w pustym domu z dziewiętnastoletnim mężczyzną - zwłaszcza gdy był to ktoś o tak mrocznej reputacji, ktoś tak niebezpieczny, jak Cole.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie pomyślą albo powiedzą! - zaprotestowała Claire.

- Ale mnie obchodzi - odparował Cole. - Zależy mi na tobie i na ciotce Augusty.

Claire wciąż słuchała wyjących syren i ogarniał ją coraz większy niepokój. Jej bliscy byli bezpieczni. Miała jednak poczucie winy, bo przecież doznawała ulgi na myśl o tym, że to nie jej tragedia. Po chwili namysłu uśmiechnęła się jednak. Nie było żadnej tragedii dla nikogo, nie w dzień, kiedy ona miała dość radości, by obdarzyć nią cały świat. Ten zgiełk, te pędzące samochody, to zapewne radosna eskorta Millicent Theriot, najmłodszej nauczycielki w Harlanville, która spodziewała się swojego pierwszego dziecka.

Ale kiedy pół godziny później zadzwonił telefon, okazało się, że dzwoni Millicent. Nie mogła wziąć udziału w przedstawieniu; ostatnie dni przed porodem musiała spędzać w łóżku i nie wiedziała ani o odśpiewanym duecie, ani o księżycowej magii w altance w Belle Reve.

Millicent wiedziała tylko, że Cole Taylor ma kłopoty, i że jeśli jest w tym mieście ktoś, kto mógłby do niego dotrzeć, to tylko ciotka Augusta.

Kiedy Claire biegła do niego, przez zasnuty mgiełką deszczu szarzejący zimowy zmierzch, echo słów Millicent pogrążyło ją w coraz większym lęku.

Gdy tylko ciało ojca zostało wyniesione, Cole kazał wszystkim wyjść. Uczynił to w tak gwałtowny sposób, że usłuchał go nawet szef policji. Millicent powiedziała, że Cole jest ciężko ranny. Zanim jeden ze strażaków został wygnany z domu, zdążył opatrzyć sterylną gazą dwie najpoważniejsze rany, na lewym przedramieniu i prawej dłoni Cole'a. Dzięki temu krew przestała kapać dużymi kroplami na już i tak czerwoną podłogę.

Ale Cole pilnie potrzebował opieki medycznej z prawdziwego zdarzenia - transfuzji krwi i dobrego szycia. Zważywszy na okoliczności, strażak przewidywał, że nawet jeśli Cole wybierze się do najlepszego specjalisty od chirurgii kończyn w Nowym Orleanie, to jego prawa ręka będzie trwale uszkodzona.

Claire martwiła się o obrażenia na ciele Cole'a. Najbardziej jednak przerażały ją rany, których nikt nie mógł zobaczyć.

Nikt, z wyjątkiem samej Claire... a ona widziała te głębokie rany bardzo wyraźnie.

Cole stał zupełnie nieruchomo, niczym biały posąg w zakrwawionym płaszczu. Jego oczy były czarne, pozbawione głębi. Przypominały niewidzące kałuże bólu, a zastygłe rysy twarzy były jak granitowy symbol nieokiełznanej furii. Ten czerwono-biały marmur ożywiało tylko drobne poruszenie, jakiś szept życia. Między mocnymi mięśniami szyi, na silnym gardle, z którego jeszcze wczoraj wydobywał się jęk pożądania dla niej, Claire zobaczyła pulsujące żyłki: dowód, że jego ciężko zranione serce wciąż jeszcze biło - mocno, ale w bardzo spowolnionym rytmie.

Serce Cole'a powinno było bić bardzo szybko, doprowadzone do gorączkowego szału przez adrenalinę i utratę krwi. Jednak pracowało ze złowieszczą powolnością, jakby było zrezygnowane, przychylnie śmierci, a nie gotowe przeciwstawić jej się z całą mocą.

A kiedy Claire objęła Cole'a, poczuła chłód jego skóry i kryjącą się wewnątrz zimną stal.

- Kocham cię - szepnęła. - Kocham cię.

Czyżby stal mogła być jeszcze twardsza, a lód jeszcze zimniejszy? Claire nie umiała na to odpowiedzieć, ale przecież czuła, jak staje się to możliwe. Po chwili Cole poruszył się i otoczył jej nadgarstki lodowato zimnymi palcami. Jego intencje były oczywiste. Chciał się wyrwać z jej czułego uścisku i przeszkodził mu w tym jedynie przejmujący ból. Claire nie mogłaby dać rady lewej ręce Cole'a, ale jego prawica, tak przedtem mocna i tak utalentowana, była teraz całkowicie pozbawiona siły i nie mogła odsunąć delikatnej dłoni dziewczyny od zakrwawionej piersi.

Przez chwilę Cole sprawiał wrażenie oszołomionego. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest ranny, ale czuł się dziwnie oderwany od swej cielesnej powłoki. Dopiero kiedy przypomniał sobie wszystko to, co zostało utracone, na jego twarzy znowu zagościła upiorna bledość.

- Chcę, żebyś wyszła, Claire.

To był głos widma. Należał do mężczyzny, który umarł, gdy był jeszcze całkiem młody, którego życie skończyło się, jeszcze zanim mógł zacząć urzeczywistniać swoje marzenia. I ten upiorny głos dokonał tego, czego nie mogła dokonać zraniona ręka. Claire cofnęła się i już go nie dotykała.

- Mam wyjść, Cole?

- Nie chcę, żebyś tu była.

- Nie jesteś taki, jak twój ojciec!

Wtedy się uśmiechnął. Był to lekki uśmieszek zaprawiony goryczą mądrości.

- Ależ jestem. Obaj dokonaliśmy dzisiaj zabójstw. Obaj jesteśmy mordercami.

- Nie zamordowałeś go. Wiem, że tego nie zrobiłeś. Policja nazywa to działaniem w obronie własnej, ale ja znam prawdę. To był wypadek. Walczyłeś o nóż, próbowałeś mu go wyrwać, żeby nikt nie zginął.

W jej głosie nie było ani cienia wątpliwości. Ufała mu bezgranicznie i na moment serce Cole'a zdradziło go, bo zaczęło bić szybciej, ożywione nadzieją. Claire zobaczyła żyłki pulsujące na szyi Cole'a i zaczęła do niego podchodzić.

- Zabiłem go z zimną krwią, Claire. Mogłem wyszarpnąć mu nóż z ręki i czekać na przyjazd policji. Ale nie zrobiłem tego. - Serce Cole'a spowolniło rytm pod wpływem tego koniecznego kłamstwa; zmusił je do tego, by było powolne, ociężałe, bliższe śmierci jeszcze bardziej niż przedtem. - Zabiłem go.

- Nie wierzę ci! A nawet gdyby to było prawdą, a nie jest, i tak by mnie to nie obchodziło! Ja kocham...

- Nie.

- A ty kochasz mnie.

- Nie kocham cię.

Nie mogę. Cole teraz już wiedział to. Claire dała mu... wszystko. A co on dał jej w zamian? Tylko urazę, tylko smutek, tylko ból. Miał w sobie skłonność do przemocy, śmierć. To był jego znak szczególny, dziedzictwo tak głęboko i trwale zakorzenione, że nawet dzisiejszego dnia, kiedy cała jego przyszłość zależała od umiejętności uniknięcia tragedii, zawiódł. Nie był w stanie ochronić swego serca, swoich marzeń - tak samo jak przed wielu laty nie potrafił ochronić swojego brata.

Ale teraz musiał ochronić Claire przed samym sobą, przed swoją miłością. Musiał zranić ją tak, aż znienawidzi go tak bardzo, że poczuje tylko ulgę po jego odejściu.

Ranić ją, ranić ją. Te prowokujące słowa brzmiały jakby wypowiadał je Jed. No, śmiało, syneczku. Raniecie Claire udaje ci się najlepiej. Zrób to.

- Nie kocham cię, Claire. - Cole zobaczył jej ból i poczuł go w swoim własnym umierającym sercu. Ból był tak ostry, tak rozdzierający, że Cole nie mógł nic powiedzieć. Ale ty musisz mówić, syneczku. Mówić okrutne słowa, aż ona ucieknie. - To, co ci powiedziałem zeszłego wieczoru, nie było prawdą. Za dużo wypłem.

- Musujący cydr, Cole. To wszystko.

- Piłem cały dzień - skłamał bez trudu. To kłamstwo było konieczne ze względu na nią. Oczywiście w każdy inny dzień Cole na pewno dużo by pił. Ale wczoraj, jakby przeczuwał, jak magiczne będą czekające go wydarzenia, wybrał się na brzeg rozlewiska, do ich świątyni koronkowych mchów i cyprysowych abażurów. Spędził ten dzień na wspomnieniach, a potem, pod wpływem impulsu, udał się na przedstawienie, gdzie ciocia Augusta poprosiła go o odśpiewanie finałowego utworu w duecie z Claire.

Zeszłego wieczoru Cole nie pił żadnego alkoholu. Był jednak pijany, upojony innym trunkiem - księżycowymi, błękitnymi oczami, które promieniowały miłością

Te śliczne oczy już tak nie błyszczały. Ocieniał je teraz zimowy zmierzch, a okrutne słowa Cole'a smagały je niczym lodowato zimny wiatr. Mimo to Claire jeszcze nie dawała za wygraną. Dziewczyna-aniół była zdeterminowana jak zawsze, wciąż wierząc, że za jego kłamstwami kryje się cudowna prawda.

Cole nie mówił jej jednak i uparcie obstawał przy swoim, aż w końcu Claire odwróciła od niego wzrok, jakby naprawdę wierzyła, że gdzieś w tym zbryzganym krwią pokoju znajdzie dowód jego miłości.

Jej spojrzenie padło na gitarę, którą mu kiedyś podarowała. Instrument leżał potamany na podłodze. Z pewnością to Jed go zniszczył. Jed, nie Cole. Nieco roztrzęsiona, ale wciąż pełna odwagi, kontynuowała poszukiwania, aż w końcu natrafiła na szklaną kulę.

Cole nie widział nic przez umazaną krwią kryształową powierzchnię. W przeciwieństwie do Claire.

- Kupiłeś to dla mnie, prawda? - zapytała, podchodząc w kierunku karmazynowego szkła, jakby była latarnią świecącą w zimowych ciemnościach. Tuląc kulę w dłoniach, odwróciła się do Cole'a. - Zamierzałeś dać mi śnieg na Boże Narodzenie, prawda?

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Planował rozbić kulę, roztrzaskać ją o wykładany cegłami kominek, aby uwięzione w niej gniewne duchy mogły wyjść na wolność. Ale te duchy już były wolne. W rzeczywistości ów spokojny, niebiański sen, na który odważnie je skazał, był czystą fantazją. Duchy nie przebywały w środku nawet przez chwilę. Były z nim przez cały czas, tworzyły niewidzialną aurę zła, zwodniczo milcząc podczas podróży z Lafayette, czekały przyczajone, krzepiąc się świadomością, że niedługo będą miały okazję do straszliwej zemsty.

- Przynajmniej tyle mogłeś zrobić? - powtórzyła Claire.

Przed udzieleniem okrutnej odpowiedzi Cole przez kilka sekund widział Claire z porażającą wyrazistością. Stała teraz odsunięta od niego. Jednak pomimo tego oddalenia i ciemniejącej kotary zmierzchu, zauważył jej udrękę i dumną śmiałość, z jaką ścisnęła oblepioną krwią kulę. Zobaczył też, jak mokra i pokrwawiona jest bawełniana bluzka Claire od przytulania się do jego piersi, zobaczył czerwone plamy na jej cynamonowych włosach.

Była poplamiona, zatruta przez niego, pokryta krwią, którą przelał, krwią, którą odziedziczył.

- Przynajmniej tyle mogłeś zrobić, Cole?

- To są przeprosiny za to, że ostatniej nocy powiedziałem ci rzeczy, których nie miałem na myśli.

- Ależ miałeś je na myśli! Mamy się pobrać, Cole. Mamy uczyć muzyki i mieszkać w domku z białym płotem i ogródkiem, i mamy śpiewać sobie nawzajem i naszym dzieciom.

- Wyjdź stąd, Claire. Mówię serio.

- Kocham cię i ty kochasz...

- Ja ciebie nie kocham, Claire.

Jej serce było teraz całkowicie obnażone, a on wbijał w nie nóż o wyszczerbionym ostrzu. Ale nawet pomimo tego zaciekłego ataku, jej miłość nie potrafiła umrzeć.

- Czy zamierzasz tak po prostu zapomnieć o mnie, Cole? O nas? Tak jak zapomniałeś o swoim bracie?

Tak. Tak. To moja specjalność, żegnanie się z tymi, których kocham. Żegnaj, Claire. Adieu, moja najdroższa.

Cole czuł, że jego serce bije teraz w szalonym, zdesperowanym rytmie, tak jak serce ojca w ostatnich chwilach jego życia. Ale Cole odmówił swemu umierającemu sercu ostatniej walki, spowalniał je uspokajającą mantrą. Nienawidź mnie. Nienawidź mnie. Nienawidź mnie, Claire.

I kiedy było już bezpiecznie, kiedy jego serce stało się zimne jak lód, Cole wreszcie odpowiedział. - Ja już zapomniałem.

Została jeszcze chwilę, wpatrując się w niego, aż w końcu był już tylko cieniem w zmierzchu, a jego sylwetka wydawała się czarniejsza od zimowej nocy i bardziej martwa niż śmierć.

Potem odwróciła się i pobiegła, potykając się w mroku. Cały czas ścisnęła w rękach szklaną kulę i biegła przez noc, która płakała zimnymi, rzewnymi łzami.

Godzinę później, kiedy Claire wróciła z ciotką Augustą do domu Taylorów przy Joshua Street, wciąż było tam mnóstwo śladów rzezi i śmierci. Ale nie czuło się w tym pomieszczeniu życia. Samochód Cole'a stał na podjeździe, zatarasowany przez auto Jeda, i miał tam pozostać jeszcze kilka następnych tygodni.

Cole'a nie było.

Znaleźli siew Harlanville ludzie, którym wydawało się, że go widzieli: ciemną postać kroczącą w deszczu. Nie mogli się jednak zgodzić co do celu jego wyprawy. Jedni utrzymywali, że była nim granica między stanami, gdzie Cole mógł złapać okazję dokądkolwiek. Drudzy wybierali inną wersję.

Zraniona pantera udała się nad zatokę, by umrzeć.

Claire poszukiwała Cole'a w ich zaczarowanym lesie. Szukała go dzień po dniu, zapuszczała się coraz głębiej w gęste, zielone listowie, nawoływała go, śpiewała mu, wykrzykiwała słowa udręki. Nienawidziła Cole'a, bo pragnął, aby go nienawidziła, lecz mimo wszystko kochała go nadal, kochała zawsze, nawet kiedy po sześciu latach w końcu zgodziła się wyjść za An-drew.

Claire sądziła, że już nigdy więcej nie zobaczy Cole'a. I miała rację. Jednak w osiem miesięcy po tym, jak jej własny świat pograżył się w ciemnościach, usłyszała jego głos.

Człowiek-pantera jednak nie umarł. I wciąż był jak feniks. Odrodzony z popiołów śmierci, wzbił się do gwiazd jako wykonawca piosenek miłosnych - uwodząc kobiety na całym świecie z takim samym mistrzostwem, z jakim kiedyś uwiódł ją.

7

Hotel Paradis, Harlanville Piątek, 23 grudnia

Nad Harlanville zapadła noc, spowiła miasteczko niby płaszcz z czarnego aksamitu, który ożywiały migoczące światełka. Niektóre z tych świateł były kolorowe, jak przystało na świąteczną porę. Inne błyszcząły złocistym żarem, który przez cały rok był oznaką zmierzchu nad rozlewiskiem.

Cole stał przy oknie hotelowego pokoju i chociaż intensywnie wpatrywał siew oświetlony na zewnątrz świat, był świadomy ciemniejszego świata, który znajdował się w nim samym. Wcześniej, kiedy zimowy zmierzch zaczynał rzucać cienie w pokoju, wyciągnął rękę do lampy; i zatrzymał się wpół drogi.

Jej świat był czarny w dzień i w nocy. Nie mogły go rozświetlić wszystkie lampy na kuli ziemskiej, cała ich moc razem wzięta.

Czy Claire mimo to zapalała światło? Żeby rozjaśnić ciemność innym ludziom? Światło na ganku skromnego domu cici Augusty przy Magnolia Avenue zawsze paliło się całą noc, jak złocisty symbol ciepła i serdecznego powitania. Czy nadal było zapalone?

Tak, zdecydował Cole. Claire na pewno kontynuowała tę tradycję.

A co z oświetleniem wewnątrz domu? Światła w salonie mogły świecić pogodnie, dając potencjalnym gościom sygnał, że Claire jest w domu i chętnie ich przyjmie. Ale poza tym drogowskazem dla osób widzących, wszędzie panowała ciemność. Claire nie zapalała światła w korytarzu na tyłach domu, ani świetlówek nad piecem, ani lampki przy swoim łóżku.

Claire Chamberlain marzyła, ale nie udawała.

Z pewnością pogodziła się z utratą wzroku, przystosowała do sytuacji, odważnie stawiając czoło codziennym przeciwnościom losu i pokonując je. Cole'owi kręciło się w głowie namysł o owych przeszkodach. Niektóre były poważne, choćby samo przetrwanie, inne zaś wydawały się całkiem nieistotne, na przykład pewność, że wybrany przez nią sweter będzie pasował do spódnicy. Jednak każda z tych przeszkód była na swój sposób ogromna.

Jak robiła zakupy, gotowała posiłki, odróżniała pory dnia? I jak niewidoma nauczycielka muzyki w Harlanville docierała do pracy? Dom cici Augusty znajdował się zaledwie cztery przecznice od szkoły. Cztery przecznice, cztery skrzyżowania. Czy Claire w dalszym ciągu pokonywała ten krótki dystans na piechotę, jak zawsze? Tak, być może nadal chodziła - ale nie w taki sposób, jak kiedyś. Jej kroki na popękany chodniku były teraz niepewne, powolne i ostrożne, nieprawdaz?

Cole'owi przypomniało się coś: zwalona kłoda, piegowata twarz, szeroki uśmiech, niebieskie, mocno zaciśnięte oczy o miedzianych rzęsach. Claire tańczyła na tamtej kłodzie nic nie widząc, lecz stąpała po niej bardzo pewnie, a kiedy jej odważny balet dobiegł końca, rzuciła mu wyzwanie, by zrobił to samo.

Nawet pomimo upływu czasu Cole pamiętał swoją reakcję, a zwłaszcza zimny strach. Ze wszystkich zmysłów wzrok był zawsze najważniejszy dla Cole'a, najistotniejszy dla przetrwania. Musiał widzieć twarz ojca, odczytywać z niej złowieszcze przesłanie, zapowiedź przemocy, której miał użyć wobec syna. Czasami Cole orientował się, że kara nie jest nieuchronna, że Jed jest zbyt pijany - albo zbyt zamroczony narkotykami - by gonić za uciekającym synem. Przeważnie jednak Cole nie miał szansy na ucieczkę i właśnie wtedy naprawdę potrzebował swoich oczu, żeby widzieć pięści ojca.

- Nie - powiedział Cole swojej piegowatej balerinie, która chciała, by zamknął oczy tylko na parę chwil, tylko dla zabawy.

Cole usłyszał strach w swoim głosie - podobnie jak ośmioletnia dziewczynka-elf. Jej twarz zrobiła się poważna, zamyślona. Nie rozumiała jego strachu, ani co oznaczają cienie w jego ciemnoszarych oczach, ale zależało jej na nim, martwiła się o niego i chciała pomóc.

Taniec z zamkniętymi oczami na zwalonej kłodzie wydał się Cole'owi czymś niestychanie odważnym, ale to było nic w porównaniu ze śmiałą wyprawą w ciemność, na którą wyruszyła potem. Wyciągnęła do niego rękę, jakby złociste ciepło jej duszy pragnęło zetknąć się z lodowatą czernią jego wnętrza, i kiedy ścisnęła małymi rękami jego ręce, pociągnęła go za sobą.

- Będę cię prowadzić, Cole. Proszę cię, zaufaj mi. Obiecuję, że nie pozwolę ci upaść.

Wyzwanie, które z początku było tylko zabawą, stało się czymś znacznie poważniejszym: dowodem zaufania, który stanowił istotę ich przyjaźni. Cole odsłonił się przed nią, a Claire nie pozwoliła mu się potknąć. Wędrował na oślep przez las, prowadzony przez Claire; czuł się dziwnie bezpiecznie, ale mimo wszystko doświadczał lęku.

A jeśli ona go puści? Jeśli nagle zniknie, a on nie będzie w stanie otworzyć oczu? Jeśli zostanie sam w ciemności i będzie musiał zamieszkać w niej na zawsze?

Claire oczywiście nigdy go nie porzuciła ani nie zdradziła, i teraz to ona została skazana na ciemność. Czy była sama na tym świecie? I tak, i nie.

Jeszcze pół roku temu była z nią ciocia Augusta. A od śmierci cioci Augusty? Obywatele Harlanville bez wątplenia bardzo ją wspierali. Byli dla niej czymś w rodzaju powiększonej rodziny, osobami, które znała całe życie, życzliwymi ludźmi, którzy bardzo chętnie jej pomagali.

Jednak kiedy Cole pomyślał o dziewczynce, która tańczyła nieustraszenie - z zamkniętymi oczami - na zwalonych kłodach, domyślił się, że Claire w miarę możliwości starała się nie obciążać nikogo swoimi problemami.

Cole odwrócił się od wesoło migoczących świateł Harlanville ku nocnej ciemności własnego pokoju. Zanim odszedł od okna, zasunął ciężkie zasłony, całkowicie odcinając dopływ światła.

Potem zaczął swoją podróż w stronę ciemności, w stronę czerni. Pragnął wiedzieć, co czuła, pragnął czuć to samo.

Uczuciem, którego doświadczał teraz Cole Taylor, był prawdziwy strach. Ale przecież ten strach, to trwożliwe poczucie bezradności, było jego osobistym piekłem, dziedzictwem horroru z lat dziecięcych. Ten pierwotny lęk nie mógł być chyba udziałem wszystkich żyjących stworzeń. Proszę, nie pozwól, żeby ona go czuła. Niech to nie będzie ten strach.

Po omacku natrafił na lampę i to odkrycie obiecywało szybki kres jego udręki. Ale Cole brnął dalej. Ile razy ona wyciągała rękę do najbliższego światła, modląc się, by naciśnięcie guzika obudziło ją z sennego koszmaru?

W szkole, w otoczeniu ludzi, Claire prawdopodobnie czuła się bezpieczna. A co się działo, gdy przebywała sama w domu? Czy paraliżował ją zimny, przenikający do szpiku kości strach?

Niebawem miał się tego dowiedzieć. Jego lewa ręka spoczywała teraz na telefonie obok łóżka, palce lekko dotykały klawiszy, podczas gdy Cole zmuszał się do odtworzenia w pamięci układu cyfr

na aparacie. Tylko tego domagał się teraz od swojej pamięci. Numer telefonu Claire przychodził mu do głowy jakby z własnej woli.

Za pierwszym razem źle wykręcił numer. Zawiniły palce, nie umysł. Potem telefon dzwonił, a on wyobrażał ją sobie w ciemności, spłoszoną nagłym dźwiękiem, jakby telefon był jednym z wielu potworów, których nie mogła zobaczyć. Ale Claire szybko przypomniał sobie, że dzwoniący telefon jest przyjacielem, nie wrogiem - że łączy ją z drugim człowiekiem, stanowiąc wytchnienie od jej samotnego lęku - i pobiegła do aparatu, bojąc się, że dzwoniący zrezygnuje, zanim ona podniesie słuchawkę.

- Halo?

Jej głos był trochę zdyszany, ale całkowicie pozbawiony strachu. Tak nieustraszony, że wydawało się, iż rzuca złociste światło na czarny jak noc pokój, w którym stał Cole.

- Mówi Cole.

- Cole.

Właśnie w tym momencie Cole usłyszał to, co spodziewał się usłyszeć - lęk w jej głosie, kiedy powtarzała pojedynczą sylabę jego imienia.

Albowiem ona zna naprawdę przerażającą ciemność, pomyślał, jedyną ciemność, która może ją naprawdę zranić. I wie, że to ja.

- Czy postanowiłeś jednak nie zaśpiewać na przedstawieniu?

- Nie - odparł cicho. - Chcę zaśpiewać, Claire - z tobą. Ciekaw jestem tylko, czy mógłbym ci towarzyszyć.

Już w momencie, gdy zadawał to pytanie, zastanawiał się, czy przejście parę przecznic w drodze do szkoły jest dla Claire o wiele bardziej niebezpieczne - albo przerażające - w nocy czy za dnia. Dla niej ciemność była taka sama... a jedyny naprawdę niebezpieczny obywatel Harlanville już dawno tu nie mieszkał, albowiem przed laty został zabity nożem myśliwskim podczas walki z własnym synem. Jednak teraz ów syn wrócił i, być może, ulice Harlanville znowu nie były bezpieczne.

Nie zranię cię, Claire. Po prostu przyjechałem tutaj po to, by się upewnić, że ten koszmar jest tylko moim udziałem, że u ciebie wszystko jest w porządku, że nie jesteś przerażona ani oszalała, ani zdesperowana. Potem wyjadę. Potem pożegnaj się.

- Claire?

- Dziękuję, ale paru moich uczniów przyjeżdża po mnie. Właściwie lada moment. Mogłabym...

- Tak?

- Hm, mogłabym skorzystać z twojej propozycji po przedstawieniu, to znaczy, jeśli wybierasz się na przyjęcie. Odbędzie się w Belle Reve jak zawsze.

Jej głos brzmiał tak, jakby nic się nie zmieniło, jakby jej sercu było wszystko jedno, że pan młody, który wolał martwą żonę od niewidomej żony, mieszka teraz w Belle Reve wraz z nową panią Harlan. Albo może serce Claire pamiętało coś innego, coś, co zmusiło ją do powrotu do rezydencji pomimo tego, co stało się z Andrew. Może przypominała sobie skąpaną w blasku księżycy altankę, gdzie dwoje młodych kochanków dzieliło się swoimi czarodziejskimi marzeniami...

- Naprawdę chcesz iść na to przyjęcie?

- Tak. Muszę, zwłaszcza w tym roku, z powodu dotacji Andrew na wydział muzyczny. Andrew i ja zawarliśmy pokój, Cole. Ale dla ciebie nie będą to spokojne chwile, prawda? Każdy będzie chciał z tobą porozmawiać.

- To bez znaczenia. Pójdziemy na to przyjęcie, Claire, a potem odwiozę cię do domu.

W dzieciństwie Cole Taylor i Claire Chamberlain śpiewali w duecie nieskończenie wiele razy, koncertując dla śnieżnobiałych czapli w swojej świątyni cyprysów i mchu. Nigdy nie przeprowadzali prób, nigdy nie było takiej potrzeby. Nie byłoby w stanie poprawić idealnej harmonii, nawet gdyby próbowali. Dwanaście lat temu, kiedy ciocia Augusta zaskoczyła ich oboje, w ostatniej chwili prosząc o zaśpiewanie Cichej nocy w duecie, również nie przeciwiczyli tego utworu - i wiele osób w Harlanville wciąż wspominało z pełnym szacunkiem zachwytem ów bożonarodzeniowy prezent.

Jednak tego wieczoru Cole pojawił się w Teatrze Augusty Chamberlain godzinę przed podniesieniem kurtyny na tradycyjnym świątecznym przedstawieniu w Harlanville. Był teraz przyzwyczajony do wielokrotnych prób z własnym zespołem, dążył do tego, żeby każdy dźwięk był dokładnie taki, jak zapragnął. Oczywiście Cole pamiętał, że nigdy nie robił prób z Claire, i pamiętał także, iż kiedyś wierzył, że nie ma takiej potrzeby. Jednak z pewnością to wspomnienie instynktownie doskonałej harmonii było zwodnicze, upiękkszzone młodością, nadzieją i magią. Czyż nie tak?

Tego miał się dowiedzieć; dziś wieczorem. Albowiem było oczywiste, że nie będzie miał okazji omówić występu z Claire, ani tym bardziej przeprowadzić próby. Claire skupiała uwagę na swoich uczniach, była jak kwoka otoczona stadkiem niespokojnych piskląt. Tego wieczoru ich uroczą mamą miała na sobie świąteczne piórka, a raczej kremową bluzkę i długą, zieloną spódnicę z aksamitu. Uśmiechała się, dodawała wszystkim odwagi i cierpliwie podkreślała szczegóły, które jej podopieczni znali na pamięć.

Ona nie była ślepa, uświadomił sobie Cole. Przynajmniej nie dla swoich zdenerwowanych kurcząt. Wymagali od niej tego samego, co pokolenia uczniów od cioci Augusty, potrzebowali jej pewności, żeby się nie denerwować. Cienka biała laska Claire znajdowała się w przeciwnym rogu sceny, oparta o krzesło, na które rzuciła swoje zimowe okrycie. Laska była tutaj niepotrzebna. Jej umysł już od dawna pamiętał każdy centymetr kwadratowy polakierowanej estrady i jej przepastnych

skrzydeł. Chyba mogłaby tu nawet tańczyć, a jej taniec dorównałby piruetom na zwalonych kłodach w lesie.

Czy tańczysz tutaj, Claire? Czy obracasz się i wirujesz, i zanosisz śmiechem. Nadal? Jak wtedy?

Cole chciał, żeby przeżywała radość, chociaż jego serce ścisnął bolesny smutek. Pełne wdzięku tańce Claire były kiedyś ich wspólną radością. Tańczyła dla niego, pragnąc dzielić z nim radosną wolność, ufając mu tak bardzo, że mógł obserwować jej szczęście i złapać ją w razie, gdyby miała upaść.

Czy Claire znalazła mężczyznę, który obserwował jej taniec na scenie? Jeśli tak, nie było go tu dzisiaj, ani też nie zamierzał jej podwieźć naprzyjście w Belle Reve. Nie, pomyślał Cole. Ona jest sama. Jeśli tutaj tańczy, to robi to na własną rękę... i nikt jej nie złapie, jeśli zdarzy jej się upaść.

Obraz samotnej miedzianowłosej baleriny sprawił Cole'owi taki ból, że musiał z całej siły skoncentrować się na teraźniejszości. Claire nie była teraz sama na scenie, a w dodatku odbywało się tam coś w rodzaju tańca. Stremowani wykonawcy wirowali wokół niej i chociaż ich ruchy wydawały się dosyć chaotyczne, w jednym wypadku ich choreografia była nad wyraz staranna. Ilekroć niespokojne kroki uczniów przybliżyły się do Claire, ilekroć mijali ją albo zatrzymywali się na krótką rozmowę, każdy delikatnie jej dotykał, żeby wiedziała, w którym znajdują się miejscu. Nawet nastoletni chopcy, którzy górowali nad nią wzrostem i niewątpliwie żywili przynajmniej odrobinę młodzieńczego sceptycyzmu wobec wszystkich dorosłych, robili wyjątek dla niej. Ich duże ręce dotykały jej tak delikatnie, jak ręce małych dzieci, gestem, który wyrażał na poły podziw, na poły opiekuńczość.

- Proszę uważać, panno Chamberlain!

Claire, która poruszała się z taką pewnością po dobrze znanej scenie, zatrzymała się gwałtownie.

- Co się stało, Shelley!

- Moja torebka - szepnęła dziewczyna, pochylając się, żeby podnieść czerwonego winowajcę. - Przepraszam. Ależ byłam głupia! O czym ja myślałam kładąc ją tutaj !

Prawda była oczywiście taka, że ta ładna szesnastolatka wcale nie myślała. Wszelkie nadzieje na sensowne myślenie wyparowały w momencie, gdy zobaczyła Cole'a. Zerknęła teraz na niego i jej młode policzki gwałtownie się zaróżowiły.

Cole spojrział na zakłopotaną nastolatkę i uspokoił ją łagodnym uśmiechem. Jednak myśli Cole'a nie były ani trochę łagodne. Uczniowie Claire zdawali sobie sprawę, jak wyjątkowa, kochana i niepowtarzalna jest ich nauczycielka. Jednak dziś wieczorem, przez niego, ta świadomość uległa zaburzeniu. Jego obecność powodowała zamieszanie, krađa jej przedstawienie - tylko z powodu sposobu, w jaki śpiewał piosenki o miłości.

Kiedy Cole przeniósł wzrok z Shelley na Claire, przekonał się, jak wiele jej ukradł. Jej pewność siebie, dumę. Gdyby Shelley nagle nie przypomniała sobie o torebce, którą zostawiła tak

nierozważnie, Claire byłaby się potknęła i wyrznęła o lakierowany parkiet. Gładko wypolerowany mahoń nie wyrządziłby jej dużej krzywdy. Żadne zdradzieckie drzazgi nie wbiłyby się w jej śnieżnobiałe dłonie. Jednak coś innego uległoby roztrzaskaniu na drobne kawałki: złudzenie, że żadna pomoc nie jest jej potrzebna.

Nieszczęściu udało się zapobiec, ale nie w sercu Claire. Osamotniona w mroku, doświadczała upadku duchowego, a jej zbolące, niewidzące oczy mówiły Cole'owi jeszcze więcej. Gdyby zaczęła się przewracać, nie złapałby jej. Zresztą nie oczekiwała tego od Cole'a. Jej ufność zniknęła wiele lat temu, zraniona tak nieodwołalnie, jak prawa ręka Cole'a, której talent i siłę zniszczył myśliwski nóż Jeda Taylora.

Claire była sama w ciemności, gdzie przebywała od bardzo dawna -na długo przed wypadkiem, który pozbawił wzroku jej błyszczące niebieskie oczy. To właśnie w tym świecie samotnej ciemności Cole zostawił ją dwanaście lat temu, w krwawy zmierzch przed wigilią Bożego Narodzenia.

Złapałbym cię, Claire. Możesz mi ufać w dalszym ciągu. Milczący protest Cole'a był zarazem prawdą i kłamstwem. Gdyby zobaczył torebkę leżącą tak niebezpiecznie na drodze Claire, ruszyłby do niej i poprowadził obok torebki, nie wspominając nawet słowem o jej istnieniu.

Ale Cole nie zauważył torebki Shelley. Jego wzrok koncentrował się na dzielnej, uroczej twarzy Claire, a nie na fałdzystym zielonym aksamicie, który zakrywał dreptające pewnie nogi baleriny.

A gdyby powiedział jej, że może mu zaufać? Jej niewidzące oczy zrobiłyby się żarliwe i smutne, i zapytałaby bardzo cicho: zaufać ci w czym, Cole? Ze mnie zranisz? Że złamiesz mi serce? Tylko pod tym względem mogłabym kiedykolwiek na ciebie liczyć.

Znowu ją ranił, teraz i zawsze. Jednak na jego oczach przygnębienie Claire ustępowało miejsca determinacji, którą tak dobrze u niej znał. Claire podźwignęła się ze swojego wymagowanego upadku, otrzepała się i szła dalej. Jeden z nastoletnich chłopaków z ekipy obsługującej scenę potrzebował jej - chciał usłyszeć od kobiety zamieszkującej ciemność, pod jakim kątem powinien ustawić reflektory, które miały oświetlać scenę.

Tym razem, w ten wyjątkowy wieczór, Cole Taylor i Claire Chamberlain powinni byli przeciwyczyć swój duet. Jednak nie zrobili tego. W związku z tym byli kompletnie nieprzygotowani na to, co się stało z ich głosami przez ostatnie dwanaście lat.

Śpiewali jako dzieci, głosami czystymi i niewinnymi, i jako nastolatki - dość duże, by kochać mocno i na zawsze, lecz mimo to wciąż jeszcze całkiem młode. Ale teraz... on był mężczyzną, a ona kobietą, zaś lata rozłąki napełniły ich dusze tęsknotą i zmysłowością która niezmiernie zaskoczyła oboje.

Publiczność słyszała tylko ich wspaniały duet. Ale Cole i Claire znali prawdę. Ich głosy kochały się ze sobą, splatały w niebywale intymny sposób i obiecywały, że gdyby ich ciałom dozwolona była taka radość, właśnie w taki sposób zetknęłyby się, połączyły i stały jednością.

A po tym cudownym połączeniu? Przytulaliby się, niezdolni przemówić, choć słowa nie byłyby im potrzebne. Ich czułe kochanie, ten wspaniały duet serc, wystarczyłby za wszystkie słowa.

Żadne z nich nie odezwało się po zakończonym przedstawieniu. Żadne z nich nie było w stanie, ani też nie chciało się odezwać, kiedy jechali w milczeniu do Belle Reve. Oboje zwalczali zapamiętany cud miłości przypominając sobie ponurą prawdę.

Kocham cię, Claire. Ale nic się nie zmieniło. Nadal nie mam ci nic do zaofiarowania, tylko inny rodzaj ciemności, swoje serce.

Kocham cię, Cole. Ale nie byłam dla ciebie dość dobra już wtedy, kiedy mogłam oglądać twoją twarz, kiedy - czasami - potrafiłam nawet wyczytać z niej ból. I teraz nie mam ci nic do zaofiarowania, tylko swoje serce i swój świat ciemności.

- Zastanawiam się... - zaczęła, kiedy Cole zatrzymał samochód na wybrukowanym białymi kamieniami podjeździe rezydencji.

- Nad czym się zastanawiasz, Claire?

Jego głos był równie łagodny jak jej i przez chwilę Claire wyobrażała sobie dalszy ciąg tej wypowiedzi: „Zastanawiasz się, Claire, czy nadal cię kocham? Kocham. Nigdy nie przestałem cię kochać. Okłamałem cię w dniu, w którym wyjechałem. Skłamałem...”

Nie rób tego! Ten rozkaz przyszedł gdzieś z wnętrza Claire, przekazany surowym głosem mądrości. Nawet nie zaczynaj fantazjować. To sienie może zdarzyć. Nie zdarzy się. Jest już o wiele za późno. Wiesz, że nie mogłabyś przetrwać kochając go znowu, nie w sytuacji, gdy nie widzisz, gdy nie jesteś w stanie zobaczyć jego szarych jak kamień oczu. Wiesz o tym. Ledwo przeżyłaś ostatnim razem.

Surowemu ostrzeżeniu towarzyszył łomot mocno bijącego serca. Serce zaczęło szaleć już parę godzin temu, w momencie, gdy po raz pierwszy wyczuła obecność Cole'a, i od tamtej pory nie zwolniło ani trochę, nawet kiedy się rozstali.

I nie zwolni, ostrzegł złowieszczy głos. Dopóki on nie odejdzie. Lepiej miej nadzieję, że zrobi to szybko, ponieważ to kołatanie serca jest bardzo niebezpieczne. Żadne serce nie może bić w tak szybkim tempie zbyt długo.

- Nad czym się zastanawiasz, Claire?

Czy dziś wieczorem umrę z tobą - albo czy śmierć nadejdzie jutro, kiedy ciebie już nie będzie.

Claire zaczerpnęła powietrza, przypomniała sobie, kim jest, czym jest, i kiedy wreszcie udzieliła odpowiedzi, jej ton był rzeczowy, jak zawsze, gdy rozmawiała o ograniczeniach wywołanych swoją ślepotą.

- Niezręcznie mi używać laski w takich warunkach, kiedy pokoje są zatłoczone i wszyscy trzymają w rękę napoje. Lepiej, żebym po prostu usiadła. Właśnie tak zazwyczaj robię. Zostawiam moją laskę w samochodzie i ktoś, kto mnie przywozi na przyjęcie, pomaga mi dotrzeć do salonu, do kanapy najbliższej choinki. Czy mógłbyś... czy zechciałbyś mnie tam zaprowadzić?

- Tak, oczywiście. Chyba że... - Cole nachmurzył się. Claire usłyszała, że jest zasepiony.

- Chyba że...?

- Chyba że chciałybyś zmieszać się z tłumem. - Chyba że zaufasz mi i będę twoim przewodnikiem, będę trzymał cię za rękę i nie puszcę, i już nigdy nie zostawię ciebie samej w ciemności. Właśnie to obiecała mu w ich zaczarowanym lesie i nigdy nie zdradziła jego zaufania. Ale on zdradził jej zaufanie - i za sprawą tej okrutnej zdrady to on został potępiony. - Claire?

- Bardzo bym chciała.

Trochę się chwiała na kocich łbach, ale on podtrzymywał ją ramieniem i zanim zaczęli wchodzić po schodach do frontowych drzwi, powiedział:

- Stopnie.

- Tak, dziękuję. Dwanaście. - Wzruszyła ramionami. - Nauczyłam się całkiem dużo o liczbie schodków w wielu przybytkach w Harlanville.

Musiła się skoncentrować, przypomnieć sobie wysokość stopni na tych właśnie schodach, i po cichu odliczać jeden po drugim. Ale jak mogła się skupić, skoro Cole trzymał ją tak delikatnie i skoro czuła jego siłę, ciepło jego ciała, nawet pomimo grubej warstwy swojego zimowego okrycia?

Nie była w stanie, a on jakimś sposobem wiedział o tym albo może również zaczął liczyć stopnie i stracił rachubę. Bez względu na powód, kiedy dotarli na górę, powiedział:

- Gotowe, wszystkie stopnie.

- Zatem osiem kroków - moich kroków, nie twoich - aż dojdziemy do wycieraczki, a potem jeszcze jeden stopień i wchodzimy do domu.

- Dobrze - odparł cicho, nienawidząc schodków ze względu na Claire, chociaż mówiła pogodnym głosem. Claire stanęła na wysokości zadania, tak samo jak w przypadku innych wyzwań w swoim życiu - z optymizmem i odwagą. - Idź pierwsza, ja się dostosuję.

Po kilku chwilach pokonywali ganek i jego długie kroki z łatwością dopasowywały się do jej drobnych kroczków. Powitał ich lokaj, który wziął od nich okrycia, co zmusiło ich do rozłączenia się. To fizyczne oddalenie trwało zaledwie parę sekund, ale dla obojga było wiecznością- wiecznością mroku, samotności, do której mieli wrócić pod koniec wieczoru.

Potem Cole odnalazł jej rękę i położył ją sobie na lewym przedramieniu. Z dala od żaru jego ciała Claire przez moment doświadczyła dotkliwego chłodu, ale teraz znowu czuła ogień i lód. Był to wręcz lodowiec, twardy, masywny wzgórek zimna. Uświadomiła sobie, że jest to blizna, grobowiec rany zadanej nożem, który rozorał mu ciało.

Cole nie poszedł do lekarza. Była tego pewna. Co oznaczało, że ta poważniejsza rana, na prawej dłoni, również nie została opatrzona. Jak długo tak płakała, rozjątrzona, otwarta i niezdolna do zbliżenia? I co się stało z ręką, która kiedyś muskała struny gitary z taką subtelną czułością?

Claire omal nie dotknęła tej utalentowanej ręki, żeby poczuć, jak bardzo jest uszkodzona, żeby skłonić Cole'a do rozmowy na ten temat. Zrobiłaby to, gdyby byli sami, gdyby nikt na nich nie patrzył.

Lecz Cole i Claire nie byli sami, a w dodatku patrzyli na nich wszyscy, nie wyłączając mężczyzny, z którym kiedyś wzięła ślub. Rozmowa z Andrew była na szczęście krótka i uprzejma. Jednak Claire wyczuła reakcję Cole'a. Jego ręka była twarda jak stal, a potężne mięśnie wręcz pały chęcią przemocy. Wydawało się, że nawet blizna Cole'a ożywa, i choć nadal jest zimna, to pragnie ulec rozdarciu.

Cole był gotowy bronić Claire, zranić człowieka, który tak bardzo ją zranił.

Och, Cole, to nie ten mężczyzna.

Spędzili godzinę, rozmawiając z gośćmi w Belle Reve, choć między sobą zamienili raptem parę słów. Tak jak przewidywała, gwiazda Harlanville nie mogła liczyć choćby na chwilę spokoju. Ciekawscy ludzie chcieli wiedzieć o nim wszystko. Przy okazji Claire otrzymała odpowiedzi na pytania, które sama miałaby ochotę zadać.

Cole opuszczał Harlanville jeszcze tego wieczoru, by udać się do Nowego Orleanu. Stamtąd rankiem wylatywał do Londynu, który miał być jego miejscem zamieszkania przez następne pół roku. Jego następny album miał być nagrywany w studio Gemstone w pobliżu Hyde Parku, a promujące muzykę wideoklipy miały być kręcone w najwspanialszych zamkach Anglii. Oczywiście Cole'a czekały koncerty w całej Europie.

Zapowiedź wydania nowego albumu Cole'a Taylora wzbudziła największe zainteresowanie. Czy będzie zawierał więcej oryginalnych piosenek, zastanawiali się mieszkańcy Harlanville? A może, zapytywali cicho, znacząco, Wyobraź sobie światło księżyca będzie jedynym napisanym przez niego utworem?

Chociaż Cole Taylor nigdy tego nie potwierdził - wręcz zaprzeczał - wszyscy jego fani na kuli ziemskiej wiedzieli, dlaczego napisał Wyobraź sobie światło księżyca i dla kogo. Ta zapierająca dech w piersiach piosenka o miłości była bolesnym pożegnaniem na zawsze z Pauliną Bliss, uroczą aktorką, która stała się miłością jego życia. Kinomani wprost uwielbiali Pauline. Jeszcze przed ukazaniem się Wyobraź sobie światło księżyca jej śmierć, a ściślej brutalne zamordowanie Pauliny w dniu św. Walentego, wywołała prawdziwą żałobę.

Wyobraź sobie światło księżyca pobiła wszelkie dotychczasowe rekordy sprzedaży płyt. Przewidywano, że zrobi furorę na ceremonii rozdania nagród Grammy, a ponieważ przebój firmy Gemstone Records został umieszczony na ścieżce dźwiękowej do filmu Gemstone Pictures Wind Chime, był także murowanym kandydatem do Oscara.

Zainteresowanym obywatelom Harlanville Cole odpowiedział, że nie zamierza pisać kolejnych utworów i że jeśli piosenka dostanie nominację, zaśpiewa ją na żywo na obu ceremoniach: Grammy i Akademii Filmowej. Słyszając jego ciche odpowiedzi na temat Wyobraź sobie światło księżycy Claire dowiedziała się o losie prawej ręki Cole'a.

Nie była pewna, jak to się stało, w jaki sposób jej ręka splotła się z jego ręką. Zagubiła się w jego emocjach, dzieliła z nim jego milczący ból i odczuwała ogromny smutek na myśl o tym, że w jego życiu znowu pojawiła się brutalna przemoc. Może wyciągnęła do niego dłoń bezwiednie, z miłością...

W istocie to Cole wyciągnął rękę i tulił małą piąstkę Claire w swojej własnej, wplatając w nią palce, tak że jej dłoń pieściła jego poranioną dłoń.

Czując szorstkość tej ręki, odniosła wrażenie, że gdyby Cole był w stanie, zmiażdżyłby jej dłoń. Ale nie mógł. Jego ręka została okaleczona na zawsze i była skazana na łagodność.

Jednak nie było ani trochę łagodności w głosie, który nagle oznajmił, że muszą już iść. Był to głos ochryple i ponury, szept równie surowy jak przed dwunastu laty, kiedy musiał być z nią sam i kiedy znaleźli sanktuarium i magię w odosobnionej altance w Belle Reve.

Czy teraz pójdą do altanki, zastanawiała się Claire, kiedy wzięli swoje płaszcze. I czy w tym niegdyś magicznym miejscu Cole wyzna jej swój ból, swój bezbrzeżny smutek - i wściekłość - na wieść o utracie Pauliny Bliss? Czy przyzna, że wrócił do Harlanville, ponieważ potrzebuje rozmowy z dziewczyną, która była jego przyjaciółką, ponieważ chce się z nią podzielić tą bolesną pustką.

Jeśli tak było, jeśli Cole potrzebował jej po to, by pomogła mu przetrwać śmierć jedynej kobiety, którą kiedykolwiek naprawdę kochał, to ona zrobi dokładnie to, czego od niej oczekiwał.

Ale Claire nigdy nie miała się dowiedzieć, czy Cole planował takie wyznanie w altance... ponieważ to nie był ten kojący, rozświetlony księżycem grudniowy wieczór sprzed dwunastu lat. Właściwie...

- Cole? - zapytała, z trudem łapiąc powietrze, kiedy pokonali połowę z dwunastu schodków ganku. - Czy teraz pada śnieg?

Czy myślisz, że na Boże Narodzenie będzie biało? Jej głos był teraz tak samo niewinny, jak wtedy, gdy zadawała to żarliwe pytanie będąc dziewczynką. Równie niewinny, pełen nadziei, przesycony ciekawością. Do ich miasteczka nad zatoką wreszcie zawiał śnieg, świąteczny prezent dla tych, którzy widzieli - jednak o sześć lat za późno dla kobiety, która najbardziej ze wszystkich marzyła o oglądaniu tej zimowej rozkoszy.

Ale jej niewidzące oczy i tak pały blaskiem. Zadarła twarz ku śnieżnemu niebu i uśmiechnęła się.

- Cole?

- Tak. Pada śnieg.

- Powiedz mi, jak wygląda - szepnęła. - Powiedz mi, co widzisz. Widzę anioła o płomienistych włosach, przystrojonego płatkami śniegu.

- Czy jest pięknie, Cole?

- Bardzo pięknie.

- Czy wszędzie jest biało i czysto? Tak czysto, tak biało, tak ślicznie.

- Właśnie tak się staje.

- A drzewa? Czy są jasne i wyglądają jak śnieżne koronki?

- Tak - odparł Cole, zadziwiony, że Claire widzi więcej niż on, więcej niż jemu udało się zobaczyć kiedykolwiek w życiu. Śnieg nie był dla niego niczym nowym. Ośnieżone sosny nad Lake Tahoe wyglądały równie pięknie, jak odziane w biel cyprysy Belle Reve. Ale dopiero teraz uświadomił sobie, że można je porównać do zwiewnych koronek. A co do jasności? Zimowa kraina czarów jarzyła się ognicie, a sylwetki jej drzew opromieniało błyszczące srebrne światło. Widzę kaplicę ślubną. - Dokładnie tak wyglądają, Claire. Koronkowo, jasno i bardzo delikatnie.

Obróciła się wtedy od zaśnieżonego nieba ku niemu. Zobaczył niewidzące oczy okolone kasztanowatymi rzęsami, które muskał śnieg, czuprynę cyrkonowych włosów pod śnieżnobiałym welonem.

Widzę pannę młodą.

Patrzyła teraz w jego stronę tak pełna nadziei, tak niewinna. Po cichu błagała go, by dokładniej opisał jej niepokalany cud, którego ona nie mogła oglądać. Ale Cole nie miał już nic więcej do powiedzenia. Gdyby nie jej sugestia, te srebrzystobiałe drzewa byłyby dla niego jedynie uprzykrzonymi widmami z dawno umarłych marzeń.

- Czuję kształt płatków śniegu - powiedziała w końcu Claire. - Każdy małe krysztalek. Każdy jest inny, niepowtarzalny, wyjątkowy i charakterystyczny jak odcisk palca. - Potrząsnęła głową, żeby uwolnić delikatne płatki od swoich różanych policzków i cyrkonowego blasku włosów. - Nie chcę, żeby się roztopiły - wyjaśniła. - Nie chcę, żeby ich magia się skończyła.

Ale magia kończy się. Cole pamiętał o tym przez całą drogę do domu Claire. Było to przypomnienie, ostrzeżenie, a także prawda. Wiedziony prześladowającym go koszmarem, wrócił do Harlanville, żeby ją zobaczyć, żeby się upewnić, że u Claire wszystko jest w porządku, a potem pożegnać się z nią.

Claire nie żyła marzeniem, które było zgodne z jego wyobrażeniami. Ale wszystko było u niej w porządku. Życie w ciemności było dla niej wyzwaniem, ale nie był to całkowicie mroczny świat strachu. Poza tym mieszkańcy miasteczka kochali ją tak samo, jak kiedyś ciotkę Augustę, a jej niewidzące oczy dostrzegały o wiele więcej piękna niż jego własne oczy, i...

- Chcesz wejść do środka, Cole? Mogę zrobić kawę albo gorącą czekoladę.

Byli w wynajętym przez niego samochodzie, zaparkowanym przed jej domem. Światło na ganku było zapalone, tak jak Cole sobie wyobrażał. W salonie również było jasno, a ponadto mrugały różnokolorowe światełka.

Miała choinkę.

- Jak to robisz, Claire?

- Co?

Wszystko. Uśmiechasz się. Śmiejesz. Dajesz sobie radę.

- Jak robisz kawę albo gorącą czekoladę. Robisz zakupy w sklepie spożywczym. Orientujesz się, która godzina.

Uśmiechnęła się w tym momencie.

- Radzę sobie z niewielką pomocą moich przyjaciół - a także zegarów i zegarków, które do mnie mówią. - Jej twarz zrobiła się poważna, albowiem milczenie Cole'a uświadomiło jej, że naprawdę chciał wiedzieć. - Jeśli chodzi o produkty spożywcze, dzwonię z zamówieniami do Pelican Pantry. Znasz te maszynki do wytwarzania nalepek, te, które tworzą wypukłe litery na plastikowych paskach? Widzisz, pan Gautreau, chyba go pamiętasz, znaczy każdy produkt dla mnie.

- A ty odczytujesz słowa za pomocą palców?

Claire skinęła głową. Dobrze, że jako dziewczynka oddała gitarę swojemu przyjacielowi - chłopcu, którego już wtedy kochała. W ten sposób uniknęła zgrubień na opuszkach palców. Gdyby ten ukochany przyjaciel nadal grał na gitarze, gdyby jego ręka nie została na zawsze okaleczona aż do kości ostrzem noża myśliwskiego, mogłaby wspomnieć tę szczęśliwą okoliczność.

Zważywszy na sytuację, powiedziała tylko:

- Produkują takie maszynki również z alfabetem Braille'a, ale ponieważ spędziłam dwadzieścia dwa lata zaznajamiając się z literami, i ponieważ wszyscy ludzie, którzy znaczą dla mnie produkty, nie mają kłopotów ze wzrokiem, tak jest łatwiej. Wszystko jest oznaczone. Moje jedzenie, moje ubrania, moje buty.

I wszystkie twoje kompakty.

- A co z czytaniem? - zapytał Cole, przypomniawszy sobie, że dziewczynka kiedyś dosłownie pożerała książki.

- Są książki w alfabecie Braille'a, ale tak naprawdę nie jestem dość dobra, żeby je przeczytać. Na szczęście jest też sporo książek nagranych na taśmie. - A poza tym, dopóki ciocia Augusta żyła, czytała mi na głos każdy artykuł, jaki o tobie napisano. - Oprócz tego w radiu i telewizji jest tyle programów informacyjnych, że jestem całkiem na bieżąco, jeśli chodzi o wydarzenia w kraju i na świecie.

- Przystosowałaś się tak dobrze. Claire wzruszyła ramionami.

- Po co walczyć z czymś, czego nie mogę zmienić?

W jej głosie brzmiała mądrość, nie było zaś słycać ani odrobiny goryczy, a już z pewnością nie było w nim gniewu. Jednak jej spokojne godzenie się z losem nie mogło uciszyć wzbierającej w Cole'u furii. Claire Chamberlain nie powinna była stracić wzroku. To było bez sensu, tak strasznie niesprawiedliwe.

Ale nic jej nie jest i nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo - chyba że postanowisz zostać; że pozwolisz, aby egoistyczne zachcianki twojego serca stworzyły dla niej największe niebezpieczeństwo, najgorszą ze wszystkich ciemność.

- Myślę, że powinienem już jechać, Claire, żeby dotrzeć do Nowego Orleanu, zanim zrobią się jeszcze większe zasy.

- Och, tak, oczywiście. - Musisz jechać, a ja nigdy się nie dowiem, dlaczego przyjechałeś. Czy, chciałeś, żebym ci pomogła udźwignąć smutek po śmierci Pauliny? Czy może, ewentualnie, przyjechałeś ze względu na mnie i na wspomnienia o naszej miłości? Wspomnienia o dziewczynie, która nie była niewidoma?

Musisz jechać, Cole... a ja, och, jak bardzo chcę, żebyś pojechał.

Cole odprowadził ją do frontowych drzwi. Była to tak dobrze znana trasa, że Claire nie potrzebowała ani laski, ani jego ręki. Obserwował, jak wkładała klucz do zamka. Pomyślał, że jej ręce trochę drżą. Jednak klucz gładko wszedł do zamka, jakby kierował nim najdoskonalszy wzrok.

Zanim Claire zniknęła w domu, który dla niej był ciemny, lecz w którym migotała tęcza świętecznych lampek, odwróciła się do Cole'a.

- Miło było cię... zobaczyć.

Claire wciąż używała tego zwrotu, robiąc to swobodnie, beztrosko. Właściwie naprawdę widziała wszystkich w Harlanville oczyma wyobraźni.

Wydawało się, że zastygli w czasie, ich twarze były równie młode, albo stare jak w dniu jej ślubu.

A jeśli chodziło o uczniów, o świeże twarze, który nigdy nie widziała? Chłopcy byli Cole'em, a dziewczynki były nią, i niewątpliwie właśnie dlatego panna Chamberlain była równie uwielbiana, jak kiedyś jej cioteczna babcia - bo uśmiechała się do nich z taką czułością i okazywała wszystkim, jak bardzo w nich wierzy.

Ale Claire nie mogła powiedzieć wesoło: „miło było cię widzieć” pod adresem Cole'a. W jej umyśle nie istniał żaden ustalony obraz jego osoby, lecz raczej mieszanina niezliczonych wizerunków, od rozpaczki do miłości, i były tam najważniejsze obrazy, te, których miała nigdy nie poznać i nad którymi zawsze będzie się zastanawiać - niewidoczne obrazy tego dnia, dzisiejszego wieczoru, tej ostatniej chwili.

Jaki był wyraz twarzy Cole'a, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest niewidoma? A kiedy ich głosy połączyły się w piosence, gdy kochały się? A kiedy jej jedwabista dłoń ucałowała jego pokaleczoną dłoń? I teraz, kiedy wyjeżdżał, ponownie, na zawsze?

Claire chciała wyciągnąć do niego rękę, dotknąć zawsze miękkimi opuszkami palców twardych płaszczyzn i zgrubiałych rysów jego twarzy, w miarę możliwości odczytać coś z silnych mięśni szyi i szczęki Cole'a oraz z żył pulsujących mocno.

Ale nawet gdyby Cole pozwolił na takie gesty, najważniejszy teren pozostałby dla niej niedostępny, na zawsze pogrążony w mroku - albowiem gdyby nawet muskała czarne jak węgiel rzęsy i malutkie linie wyryte wokół ich brzegów, gdyby dotykała gładkich, ciepłych, nieruchomych powiek, nigdy nie byłaby w stanie dowiedzieć się, co zamieszkuje w cieniach jego kamiennie szarych oczu.

Mimo wszystko Claire poczuła, że jej ręce zaczynają się poruszać. Śmiałe, zdradzieckie, głupie ręce. Tylko paniczny strach umożliwił jej przerwanie szaleństwa. Strach-wspomnienie.

Wyciągnęła ku niemu rękę dwanaście lat temu, kochając go tak bardzo. A Cole odrzucił ją. I teraz, nawet nie dotykając go, Claire czuła, jak bardzo jest spięty, jak bardzo chce odejść.

Gdyby pozwoliła mu odejść już w tej chwili, gdyby nie szukała głupio czegoś, czego i tak nie zdołałaby znaleźć, mogłaby stworzyć w swoim umyśle taki obraz ostatnich chwil, który byłby zgodny z jej życzeniem. Mogłaby udawać - już zawsze - że kanciaste rysy jego twarzy zmiękły pod wpływem czułości, i że w jego oczach oprócz litości była też odrobina tęsknoty.

Już niedługo, obiecała swoim rękom, już bardzo niedługo obejmiecie coś bezpiecznego, przedmiot, który znacie tak dobrze.

Szklana kula znajdowała się obok jej łóżka. W jej wnętrzu, w malutkich płatkach śniegu krystalizowały się jej wspomnienia o Cole'u, o marzeniach, o miłości. Dziś wieczorem, wkrótce, otoczy rękami tę kulę, zupełnie jak wróżka przepowiadająca przyszłość.

Claire nie zamierzała jednak podróżować w przyszłość, lecz w przeszłość. I dziś wieczorem, już niedługo, miała odtworzyć więcej zaklętych w szkle wspomnień. To miały być jej wspomnienia, nie jego, te wspomnienia, w które chciała wierzyć: że mimo wszystko istniała miłość. Oczywiście, niewystarczająca. To nigdy nie miało ulec zmianie. Niemniej jednak była to miłość.

- Żegnaj, Cole.

Przyjechał tu, aby powiedzieć jej te słowa.

Ale zanim Cole powtórzył pożegnanie Claire, jego ręce zbliżyły się do jej twarzy, i ta okaleczona, i jej bliźniaczka: poruszały się doskonałej harmonii, razem dygotały... aż do ostatniej chwili, kiedy w jednej chwili odsunęły się od dziewczyny.

- Żegnaj, Claire. Adieu.

Przed opuszczeniem Harlanville zatrzymał się jeszcze tylko w jednym miejscu, na Joshua Street, żeby po raz ostatni popatrzeć na mały dom, w którym mieszkał kiedyś wraz z ojcem. Przypadkowemu obserwatorowi to miejsce przemocy, udręki i śmierci mogło się teraz wydawać oazą spokoju, przykrytą czyściutkim płaszczem świeżo spadłego śniegu, jaśniejącą pogodnym blaskiem.

Jednak Cole'a trudno byłoby nazwać przypadkowym obserwatorem. Widział swój dom przez karmazynowa kotarę, przez krwistą mgłę wspomnień i szafu.

Zamknął oczy szukając ulgi. Jednak wciąż widział czerwoną łunę. Dlatego podniósł twarz ku niebu, ku pierzastym pieszczotom śniegu, i próbował czuć to, co czuła Claire: niepowtarzalny, doskonały kształt każdego malutkiego kryształka.

Ale Cole Taylor nie umiał poczuć rozkosznej delikatności płatków śniegu. Czuł tylko ich śmierć. Topiły się na jego policzkach, niszczone żarem jego gniewu, a potem robiły się zimne i wilżyły mu twarz jak łzy największej gorczy.

Magia się kończy.

8

Hotel Drake, Hyde Park, Londyn Sobota, 24 grudnia

Jack uprzejmie odrzucił propozycję boya hotelowego, który chciał pokazać gościowi jego apartament w Drake, dał mu suty napiwek i ruszył do telefonu już w momencie, gdy mężczyzna zamykał za sobą drzwi. Połączył się z komisarzem policji w Scotland Yardzie.

- Tak, już tu jestem - potwierdził Jack. - Wyleciałem wieczorem z Dulles. Miałem nadzieję, że może uda nam się spotkać nieco wcześniej, niż planowaliśmy.

Mięśnie jego szczęki zafalowały, kiedy słuchał przeproszającej odpowiedzi.

- Nie mieliśmy powodu sądzić, że ona może uciec - wyjaśnił komisarz. W jego głosie wyczuwało się zdumienie, że Sarah Pembroke, lady Sarah Pembroke wymyśliła tak zuchwały podstęp.

- Ale musi pan mieć jakieś pojęcie, gdzie ona przebywa - odparł Jack, głosem równie elokwentnym, pełnym nieubłaganej stanowczości. Postanowił sobie, że spotka się z Sarah Pembroke, czy to będzie Wigilia, czy jakiś inny dzień. Piękna arystokratka, która stała się nieuchwytną dziennikarką, z

pewnością zademonstruje swoją arystokratyczną osobowość na czas świąt. Na pewno przebywa na wsi, zaszyła się w jednej z najwspanialszych posiadłości Anglii, gdzie popija zaprawiony masłem gorący rum przed wesoło buzującym kominkiem. Świetnie. Właśnie w takim miejscu się spotkają. - Na pewno jest z rodziną albo przyjaciółmi.

- Nie z rodziną - odpowiedział komisarz. - Ona nie ma żadnej rodziny. To znaczy, z wyjątkiem krewnych zmarłego męża. Ale trudno tu mówić o przyjaznych stosunkach. Jako wdowa po Simonie Beckwith-Jonesie, odziedziczyła znaczną część rodzinnego imperium nieruchomości. Rodzina chciała wykupić jej udziały, a ona zgodziła się, ale za cenę znacznie wyższą od wartości rynkowej. Potem wszystkie wpływy co do grosza przeznaczyła na cele dobroczynne.

- To dlatego poszła do pracy? - Na wojnę?

- Chodzi panu o to, czy stała się żebraczką? Gdzież tam. Miała, a właściwie ma fundusz powierniczy o znacznej wartości. Przez wiele lat nie może ruszać głównego kapitału, ale już same roczne odsetki stanowią małą fortunę. Mówi się, że ich większość, a także swoją pensję, również oddaje na swoje ulubione instytucje dobroczynne.

- Jakie są jej ulubione instytucje dobroczynne? - zagadnął Jack, znowu odbiegając od tematu, pragnąc wiedzieć więcej.

- Nie mam zielonego pojęcia. Nikt nie ma. Jej darowizny są zawsze anonimowe - obawiam się, że tak samo anonimowe, jak jej przyjaciele. Bez wątplenia jest z kimś związana, ale naprawdę nie wiemy, kto to może być.

- A jej właśnie o to chodzi.

- Najwyraźniej, czego dowodem jest to zniknięcie. W każdym razie czuje się trochę winna w związku z tym, co zrobiła. Nawet podpisała dla pana czek in blanco, żeby mógł pan podjąć sumę wedle własnego uznania.

- Czek in blanco?

- Na powrót do Stanów na Boże Narodzenie z rodziną. Jeśli pan chce, może pan wyczarterować prywatny samolot. Ona jest gotowa zapłacić.

I zapłaci, przyrzekł sobie Jack. Ale nie czekiem in blanco. Gwałtowność tej myśli wprawiła go w osłupienie. Co zamierzał zrobić? Nakrzyczeć na nią za to, że jest taką egocentryczną dyletantką? Pienić się, złorzeczyć, szaleć i krzyczeć?

To nie był znany samemu sobie Jack Dalton: zimny jak lód, po mistrzowsku panujący nad sobą. Jack był zdolny do gniewu - na śledzonych przez siebie zabójców, na każdą osobę, która sprawiała ból bliźniemu. Ale żeby czuć takie emocje w stosunku do kobiety, której nawet nie znał, do osoby, która sama miała paść ofiarą brutalnego mordercy?

To nie miało sensu, ale było faktem. Całkowicie pozbawionym logiki, równie niewytłumaczalnym jak niepokój, który Jack odczuwał podczas nocnego lotu do Londynu, i zdumiewająco silnym.

Jack zakończył rozmowę z komisarzem policji głosem niezdradzającym swoich emocji. Z niezmaconym spokojem zgodził się, że godzina trzynasta w poniedziałek, dwudziestego szóstego, to odpowiednia pora, by spotkać się z kapryśną dziennikarką, a kiedy życzył komisarzowi szczęśliwych świąt, w jego głosie była nawet serdeczność.

Potem Jack został sam. Niestrudzenie krążył po pokoju i czuł się jak w klatce, uwięziony niczym zakładnik - przez nią; przez kobietę, której nawet nie znał.

Z powodu tej kobiety - z powodu złowieszczonego listu z emblematem czarnego serca - znajdował się w Londynie, a nie na Maui, i musiał zrezygnować z własnych planów świątecznych. Oczywiście można było dotrzeć z Londynu na Maui i wrócić przed trzynastą dwudziestego szóstego. Właściwie mógł spędzić parę godzin Bożego Narodzenia ze swoimi rodzicami, siostrami i szwagrami. Ale rodzinne święta nie polegały na symbolicznym pokazaniu się bliskim.

A ponadto znowu ogarnęło go wrażenie, że powinien tutaj być. Tutaj? Spacerować po swoim pokoju w Drake'u? Ogarnięty niewytłumaczalnym gniewem? Nie... niezupełnie.

Jack przestał krążyć po pokoju i przez dłuższy czas w ogóle się nie poruszał. Teraz to on miał władzę i więził swą zapalczywą energię, hamował ją, kontrolował i ostatecznie zmuszał, by znalazła cel, skupiał jej chaotyczną moc we właściwy sposób.

Musiał zdecydować, co zrobić z dwoma następnymi dniami, jak i gdzie spędzić Boże Narodzenie. Odpowiedzi przyszły ze zdumiewającą pewnością i godnym podziwu spokojem. Spędzi te święta w pojedynkę. Taka samotność wydawała się czymś odpowiednim i wcale niepowodującym osamotnienia.

A gdzie chciałby spędzić tę porę spokojnej, osobistej refleksji? W mieście Dickensa? Najwyraźniej nie, bo już w momencie, gdy jego plan się krystalizował, Jack zaczął przekładać dwudniowy zapas ubrań do najmniejszej walizki. Złość całkowicie mu minęła i nie czuł się już uwięziony, tylko wolny. Jeśli odczuwał niepokój, to jedynie dlatego, że chciał jak najszybciej rozpocząć krótką podróż do Paryża.

A co z lady Sarah Pembroke? Była bezpieczna. Na pewno zaszyła się gdzieś ze swoim kochankiem. W gruncie rzeczy najbliższe tygodnie mogły się okazać najbezpieczniejszymi w życiu nieustraszonej dziennikarki. Prowadzenie wieczornych wiadomości z Londynu było czymś zupełnie innym niż uchylanie się przed kulami snajpera w Goraźde, i chociaż jej osobisty prześladowca, potwór, którego wizytówką było eleganckie czarne serce, miał się pojawić przed czternastym lutego, jego zabójcza ręka nie chwyci ostrego noża wcześniej niż w ten romantyczny dzień.

Lady Sarah Pembroke rozkoszowała się świętami w objęciach kochanka. A Jack? On będzie się rozkoszował samotnym Bożym Narodzeniem w Paryżu, w objęciach miasta, do którego nigdy jeszcze nie zawitał, a które zawsze ogromnie go nęciło.

Jack wiedział, jaka jest przyczyna jego fascynacji Miastem Światła: Monique Villeneuve, nauczycielka francuskiego w jego liceum, rodowita paryżanka. Uwielbienie madame Villeneuve dla swojego miasta - i języka - było zaraźliwe. Pod kierunkiem tej entuzjastki uczniowie ślęczeli nad mapami miasta, opisując na głos, po francusku, jak doszliby z Montmartre do Wieży Eiffla, i co dokładnie by zobaczyli idąc Polami Elizejskimi od Łuku Triumfalnego do placu Zgody, a potem do Luwru.

Za sprawą madame cała generacja nastolatków z Denver mówiła płynnie po francusku, chociaż żaden z nich nie miał wcześniej kontaktu z tym językiem. Zwłaszcza Jack radził sobie świetnie. Madame uznała, że chłopak ma wybitny talent. Sugerowała, że być może ten dar dotyczy wszystkich języków.

I rzeczywiście. Na uczelni Jack wykazywał równie imponującą biegłość w rosyjskim i włoskim. Ale wrócił do języka francuskiego, zapisując się do najbardziej zaawansowanej grupy. Francuski był jego ulubionym językiem, językiem o nieodpartym uroku.

Jack nie rozmawiał po francusku od ukończenia studiów. I wiedział od madame Villeneuve, że Francuzi żywili bezbrzeżną pogardę wobec wszystkich - zwłaszcza Amerykanów - którzy kaleczyli ich piękną mowę. Ale mimo tego ostrzeżenia madame przewidywała, że Jack Dalton będzie w stanie mówić po francusku w Paryżu. Oczywiście, będzie rozpoznawany jako Amerykanin, ale paryżanie będą tak zachwyceni jego opanowaniem języka, że zgodzą się konwersować z nim po francusku.

W niespełna dwie godziny po wylądowaniu samolotu na lotnisku Charlesa de Gaulle'a Jack zdążył zauważyć, że przewidywania madame Villeneuve były słuszne. To, co mówił, było rozumiane, chociaż nie bez trudności, a pierwszym nieuniknionym sprawdzianem była rozmowa z taksówkarzem na lotnisku. W odpowiedzi słyszał potok słów, wygłaszanych niedbale, w szybkim tempie, i przetykanych idiomami. Jack przeszedł tę próbę pomyślnie, rozumiejąc wszystko i nie kalecząc ani jednego słowa, aż kierowca w końcu wspaniałomyślnie wrzucił ramionami i odtąd zabawiał Jacka ożywioną konwersacją przez całą drogę do miasta.

Portier w Ritzu był równie uprzejmy i teraz, kiedy Jack przekraczał ulicę Rivoli, w drodze nad Sekwanę, podjął decyzję, że będzie mówił wyłącznie po francusku. Dlaczego miałby nie mówić w tym języku?

Pourquoi pas, poprawił się w duchu, wędrując przez ogród Tuileries, mijając fontanny i posągi, które wyglądały jak tajemnicze widma w zamglonym zmięczeniu zimy. Ici, a Paris, je parlerai, et penserai, exclusivement en français.

Jack nie wyobrażał sobie żadnego powodu, dla którego miałby zrezygnować z tego planu, nawet - spécialement - kiedy zobaczył ją.

Emocja wyprzedziła myśl, uczucie przyszło wcześniej niż percepcja, tak że zwolnił kroku, pomimo iż w tym samym czasie serce zaczęło bić w oszałamiającym tempie. Ona, ta Francuzka stojąca nad Sekwaną, była przyczyną, dla której zjawił się Paryżu.

Jack wiedział to wszystko całym sercem już po paru sekundach, a ta niezwykła wiedza opierała się na zaledwie jednym przelotnym widoku. Francuzka spoglądała w dół, na rzekę. Jej smukłe ciało wychylało się ku rzece, jak gdyby pod magnetycznym wpływem wodnych głębin. Pochyliła głowę w zamyśleniu, a wówczas długie, gęste, czarne włosy zasłoniły jej twarz. Ta zasłona, bujna fala błyszczącego hebanu, była sama w sobie czarująca. Lecz w ten zachodzący mgłą zimowy wieczór było widać nawet więcej: malutkie kropelki mgły ozdabiały czarny jedwab niczym lśniące galaktyka jasnych jak diamenty gwiazd.

Muszę zobaczyć twoją twarz. Muszę wiedzieć, czy te zdumiewające uczucia są w ogóle możliwe... i czy ty również ich doświadczasz.

Spójrz na mnie.

Regardez moi.

Właśnie w tym momencie, kiedy milczący nakaz serca został wydany w języku francuskim, czarodziejka usłuchała. Odwróciła się do niego powoli. Rezygnacja mieszała się ze zdziwieniem, jak gdyby nie była w stanie odmówić wykonania jego rozkazu, a jednocześnie obawiała się, że powinna była stawiać opór ze wszystkich sił.

Mgła, która zmieniała jej włosy w brylantowe niebo, przywierała do jej długich, czarnych rzęs niczym małe łezki. A oczy okolone tymi błyszczącymi rzęsami? Były ciemnozielone, wyglądały jak zacienione szmaragdy, i chociaż w tych cieniach ukrywały nieskończenie wiele tajemnic, ujawniały najważniejszą prawdę. Ona wiedziała. Ona również to czuła.

Przeznaczone im było znaleźć się w tym miejscu, dokładnie w tej srebrzystej chwili zmierzchu, na zamglonych brzegach Sekwany. To właśnie dlatego mówił nienaganną francuszczyzną i właśnie dlatego jego spotkanie z lady Sarah Pembroke zostało odwołane, i właśnie dlatego odczuwał taki niepokój, dopóki nie podjął decyzji, by udać się w podróż do Paryża, teraz zaś doznawał tak wielkiego spokoju ducha.

Ona to sprawiła. To właśnie jej szukał całe życie. To ona była brakującym elementem układanki, który mógł doprowadzić do stworzenia całości, do uleczenia dziury w jego sercu.

Jack wiedział o niej to wszystko natychmiast, był świadomy tej potężnej prawdy, tej cudownej radości. Ale dopiero kiedy ruszył ku niej, aby wyszeptać niepotrzebne powitanie - niepotrzebne, bo ich serca już wyśpiewywały radosne „witam” - zdał sobie sprawę z tego, kim ona jest.

Jego przeznaczeniem. Tak.

I kimś więcej.

To była lady Sarah Pembroke.

Czy mistrz w układaniu puzzli wiedział, że odnajdzie nieuchwytną dziennikarkę w Paryżu? Czy istniały jakieś wskazówki w artykułach, które o niej czytał, jakaś subtelna wzmianka, która

dawałaby się rozszyfrować dzięki przymiotom jego logicznego umysłu? Jeśli tak, spostrzeżenie było tak niejasne, tak instynktowne, że znajdowało się głęboko pod powierzchnią świadomości.

Ale jakiś niepokój, jakiś pośpiech zmusił go do wyjazdu do Londynu, jakby chciał jak najszybciej do niej dotrzeć, a potem kazał mu udać się w podróż jeszcze dalej, kiedy dowiedział się, że w Londynie jej nie ma.

A teraz? Teraz tajemnicza niecierpliwość przerodziła się w pełen satysfakcji spokój. Lady Sarah Pembroke została odnaleziona.

I tutaj, na zasnuwających się mgłą brzegach Sekwany, była tą Sarah Pembroke, której świat nigdy nie oglądał. Nieuzbrojoną wojowniczką. Kobieta bez zasłony.

Jack widział twarz znanej korespondentki wojennej na wielu zdjęciach. Teraz jednak po raz pierwszy czuł, że naprawdę widzi ją w kolorze. Uświadomienie sobie tego było wstrząsem i czymś niewłaściwym. Jej reportaże z terytoriów zniszczonych działaniami wojennymi były zawsze kolorowe, czyż nie? Ależ naturalnie, że tak. A jednak miało się dziwne wrażenie, iż są czarno-białe - a przynajmniej, że ona taka jest. Kiedy stała na polu bitwy, gdzie szalało nieszczęście i śmierć, wszystko dookoła niej było poważne i stłumione, jakby swą ponurością dopasowywało się do opowiadanych przez nią mrocznych historii.

Ale w ten pochmurny paryski dzień lady Sarah Pembroke wyglądała jak lśniąca tęczę na tle matowoszarego nieba. Jej dżinsy były niebieskie, golf żółty, a kurtka - w sosnowym kolorze. A na szyi, niczym bożonarodzeniowa girlanda, połyskiwała rubinowoczerwona apaszka z jedwabiu.

Jednak blask jej stroju bladł w porównaniu z zaróżowionymi policzkami i roziskrzonymi jak klejnoty ciemnozielonymi oczami. A jej włosy? Nawet jeśli nie błyszcząły jak brylanty, ich czerni rozjaśniał ciemny ogień, jakby między węglami tlił się żar, i były ułożone tak, by dopełniać tego błyszczącego przepychu. Opadały jedwabistą, kręconą kaskadą, swobodnie jak nieopanowany żywioł, i w niczym nie przypominały skromnego warkoczyka, jaki zaplatała na czas bitwy.

Sarah Pembroke nie była teraz wojownikiem.

Jack uświadomił sobie, że nigdy nie była wojownikiem. W każdym razie nie całkiem. Jej wojownicza osobowość, surowy sposób bycia, który miał wyraźnie dawać do zrozumienia, że nikogo nie potrzebuje, stanowiły jedynie maskę, zbroję niezbędną do tego, by chronić uroczą wrażliwość schowaną w środku.

Co czyniło ją osobą tak wrażliwą, zastanawiał się Jack. Co zmuszało ją do odprawiania tej przygnębiającej maskarady?

I dlaczego lady Sarah Pembroke wierzyła w to, że sama dla siebie musi być wojownikiem, warowną twierdzą? Czy nie było nikogo, kto miałby ochotę chronić ją przed napierającym światem?

No cóż, teraz istniał już ktoś taki.

- Witaj-powiedział do niej po angielsku.

Sarah zaczęła dygotać jeszcze zanim zaczęła się do niego odwracać. Zdawała sobie sprawę z obecności mężczyzny. To nagłe olśnienie pojawiło się z nadzwyczajną wyrazistością i dawało poczucie ciepła-jak gdyby za jej plecami płonęło ogniste słońce, które dotychczas chowało się za najciemniejszymi chmurami. Obróciła się myśląc, że nic nie zobaczy, mając nadzieję, że tak będzie. Wiedziała, że każdy widok będzie mirażem, złudzeniem jej umysłu, przerażającym dowodem jej największego lęku.

Ale on nie był złudzeniem. Wręcz przeciwnie, stanowił bardzo niepokojący widok - był wysokim, ciemnowłosym nieznanym, który wlepił w nią kobaltowo-niebieskie oczy w taki sposób, jak nikt inny dotąd.

Sarah dobrze знаła spojrzenia mężczyzn, groźną mieszaninę pożądania i pogardy. Chcieli ją mieć na własność i zawsze byli trochę rozszoszczeni, że tak bardzo jej potrzebują, jakby to była jej wina, jak gdyby świadomie uwodziła ich i odbierała im zdolność stawiania oporu. Chcieli ją karać za to bezczelne uwodzenie, chcieli zwyciężyć i zadawać ból.

Minęło bardzo dużo czasu, odkąd Sarah spojrzała prosto w oczy jakimkolwiek mężczyźnie. Taki pojedynek był zbyt niebezpieczny, skoro jego ogromne pożądanie ścierało się z jej bezbrzeżną pogardą. Nigdy by się nie przychyliła do życzeń takiego mężczyzny. Ale sama bitwa nadwątliliby jej siły i przywiodła jeszcze bliżej na skraj przepaści, gdzie kotysała się zaledwie o krok od obłądzenia.

Sarah nie odważała się wyrażać swej pogardy bezpośrednio. Ale kiedy spoglądała w kamerę, to pozbawione twarzy oko, które nie mogło udzielić szyderczej odpowiedzi, patrzyła na wszystkich mężczyzn. A jakie było jej przesłanie, kiedy dzieliła się ze światem szaleństwem i okrucieństwem wojny? Że mężczyźni to nikczemne istoty, brutalne bestie, które są zdolne jedynie do przemocy i terroru.

Ale teraz Sarah miała przed sobą tego nieznanego i nie mogła się zmusić do oderwania wzroku od jego oczu. Widziała jego siłę, jego moc, jego gwałtowność - a jednak była to tak delikatna gwałtowność, tak intensywna czułość... jakby obiecywał, że będzie chronił, a nie wyrządzał krzywdę, że będzie dawał, a nie brał. Że będzie pielęgnował, a nawet kochał...

Fantazja! Halucynacja. Przerażający dowód na twój niebezpieczny taniec z obłądzeniem.

Musiała uciekać, odbiec daleko stąd i szybko. Ale nogi pozostały nieruchome i wyczuła, że gdyby skłoniła je do wysiłku, poniosłyby ją ku niemu, a nie w przeciwnym kierunku.

Jack dostrzegł zmieszanie na pieszczonej przez mgłę twarzy dziewczyny. Wydawało się, że jest skłócona sama ze sobą i że nawet nie jest w stanie wydusić ani słowa. Gdyby nie to, że Jack znał prawdę, że wiedział, iż lady Sarah Pembroke zalicza się do śmietanki angielskiej arystokracji, mógłby przypuszczać, że ona, ta urzekająca Francuzka, usiłuje sobie przypomnieć jakieś mizerne resztki angielszczyzny.

Jack nie wiedział, co począć, ale nie chciał jej stracić, toteż odezwał się impulsywnie:

- Bonsoir.

- Bonsoir - powtórzyła bezwiednie. I z nienagannym akcentem. To był jeszcze jeden wymiar jej szaleństwa, potrzeba ucieczki do Paryża, zniknięcia w tym mieście. Sarah Pembroke, najlepiej opłacana korespondentka wojenna na tej planecie, była znana w większości domów we Francji. Ale kobieta, którą Sarah stała się w Paryżu, w niczym nie przypominała telewizyjnego wizerunku. Tutaj, w Paryżu, ta kobieta była wolna, prawie wolna.

W trakcie pobytu w Paryżu Sarah ani razu nie została rozpoznana. Podobnie było i teraz.

Ten mężczyzna, ten nieznajomy, mówił do niej po francusku. Do kobiety, która była prawie wolna.

-Jem 'appelle Jacques. Et vous?

Sarah nie miała imienia dla kobiety, która uciekła do Paryża. W małych hotelikach, gdzie się zatrzymywała, na lewym brzegu albo na wyspie de la Cité, zawsze płaciła za pokój z góry, gotówką. A kiedy proszono ją, żeby wpisała się na listę gości? Podpisywała się inicjałem imienia i francuskim nazwiskiem, nigdy nie używając tego samego nazwiska dwa razy.

Ważne było, żeby nigdy nie określiła imieniem kobiety, którą się stała w Paryżu, żeby nie pozwoliła sobie na tożsamość niezależną od Sarah. Taki podział świadomości byłby szalenie niebezpieczny, zanadto odrywałby ją od rzeczywistości i zbliżałby ku otchłani szaleństwa.

Sarah dużo czytała o zaburzeniach rozszczepiających osobowość i o osobowościach wielokrotnych, które rozwijają się na skutek traumatycznych przeżyć w dzieciństwie. Tego rodzaju segmentacja stanowiła mechanizm przetrwania, pierwotny instynkt samozachowawczy. Czasami małe dziecko jest w stanie poradzić sobie z okropnościami życia jedynie rozbijając swoją jaźń na wiele osobowości, z których każda stawia czoło wyzwaniom, a wspólnie umożliwiają przetrwanie.

Sarah miała prawo mówić o przerażających przeżyciach, i w tamtym czasie wydawało się, że jej młode serce ulegnie całkowitej dezintegracji. Być może tak się stało. Ale Sarah - jej osobowość - nie uległa rozbiciu; była zbyt rozbudowana, jej osobowość była zbyt dobrze ukształtowana, kiedy nastąpiło najbardziej traumatyczne przeżycie.

To była Sarah, tylko Sarah. A kobieta, którą się stała w Paryżu? Była częścią Sarah, delikatnym cieniem, który pojawiał się, gdy świat był pogodny, i znikał, gdy na świecie znowu zalegała ciemność.

Świat był teraz pogodny, pomimo mglistości zimowego dnia. I teraz mężczyzna, który spowodował tę błyszczącą jasność, chciał poznać imię cienia.

Imię przyszło j jej do głowy bez zastanowienia. Na chwilę przed j ego wypowiedzeniem Sarah miała nadzieję, że jego właściciel nie miałby nic przeciwko temu pomysłowi. A raczej właścicielka. Nie, zdecydowała Sarah, na pewno nie miałaby nic przeciwko temu. Nie ta piękna, szczodra, radosna dziewczyna.

- Claire - szepnęła. - Jem 'appelle Claire.

Wiatr powiał mocniej, a j ego przenikliwy, mroźny szum wydał się Sarah czymś w rodzaju złowieszczonego ostrzeżenia. Jak śmiesz podawać się za kogoś, kim nie jesteś? Zwłaszcza za nią, zwłaszcza za Claire. Tak czy owak, to czyste szaleństwo, o czym doskonale wiesz. Róża pod każdą inną nazwą. To, że pożyczysz sobie jej imię, nie oznacza, że możesz sobie rościć prawa do jej nadziei i jej radości.

Zimny wiatr wydawał się Sarah przypomnieniem jej szaleństwa. Ale Jack widział w tym wietrze jedynie zwiastun zapadającej nocy - nocy, podczas której, według portiera w Ritzu, miała się rozpętać gwałtowna zimowa burza.

- Chodź ze mną, Claire. Znajdziemy ciepłe miejsce, jakąś kafejkę. Voulez-vous diner avec moi?

Zapraszał ją, żeby zjadła z nim wigilijną kolację. Ale Sarah jego propozycja wydawała się czymś o wiele poważniejszym - zaproszeniem do życia, do miłości... do życia wypełnionego miłością.

Powiedz „no”. Zanim będzie za późno. Zanim on odkryje, że naprawdę nazywasz się Sarah, a nie Claire. Sarah, Sarah, powiedz...

- Oui - szepnęła opornie i niepewnie skinęła głową.

Był to nieznaczny gest, ledwo dostrzegalne kiwnięcie przyozdobionej brylantami głowy, które jednak zasnuło jej twarz mgiełką. Te kropelki powinny być równie zimne jak zacinający wiatr, równie lodowate jak ostrzeżenia, których nie słuchała.

Lecz one były zupełnie inne. Osobliwie ciepłe. Jak łzy radości.

9

Znaleźli kafejkę na rue de la Paix i spędzili Wigilię zakochując się w sobie nawzajem. On był Jacquesem, biznesmenem z Quebecu, który przyjechał do Europy po to, by nadzorować otwarcie biur w Londynie i Paryżu.

Ona miała na imię Claire, urodziła się w Cannes i teraz mieszkała w Paryżu, gdzie redagowała literaturę dziecięcą dla dużego francuskiego wydawnictwa.

Te kłamstwa właściwie nie miały znaczenia. Były raczej trywialne, wręcz błahe w porównaniu z prawdą, która łączyła tych dwoje. Przekazywali sobie tę cudowną prawdę za pomocą spojrzeń i uśmiechów, które wybaczały każdy wydobywający się z ust fałsz. Je t'aime. Je t'aime.

Niepokój, którego Jack wcześniej doświadczał, myśli o odkryciu, o przeznaczeniu, to wszystko wreszcie się wyjaśniło. Kobieta została odnaleziona. Jack czuł niezwykle spokojny, ale wciąż jeszcze rozsadzała go niecierpliwość, pragnienie, by zakończyć tę maskaradę, by ujawnić jej swoją prawdziwą tożsamość.

Powie jej po angielsku: „Mam na imię Jack. I wiem, że ty w rzeczywistości nazywasz się Sarah. Przybyłem tu, żeby cię ochronić przed nieokreślonym złem, i zrobię to. Ale chcę o wiele więcej, Sarah. Chcę ciebie, chcę nas”.

Postanowił, że wypowie te słowa. Ale nie teraz. Jeszcze nie teraz. Ta maskarada była dla niej strasznie ważna. Było to rozpaczliwe, niezbędne oszustwo. Chwytała się każdej rozświetlonej chwili szczęścia, jakby to był miraż; złocisty, lecz w gruncie rzeczy fałszywy blask, który musiał zgasnąć.

To nie jest miraż, Sarah. Naszym przeznaczeniem jest blask. Ciemnoniebieskie oczy Jacka przekazywały te słowa nader wymownie i przez dłuższy czas spojrzenia były dla kochanków jedyną pieszczotą. Wreszcie Jack bardzo delikatnie dotknął dziewczyny. Jego rozkochana dłoń spoczęła na miękkim niby kremowy atłas policzku, jak gdyby w pełnym czci pocałunku.

Jednak ta pieszczota mogłaby być przesywającym pchnięciem najostrzejszego z noży. Dziewczyna odsunęła się, natychmiast doświadczając lęku.

Był to lęk instynktowny, poprawił się w myślach Jack. Znowu ogarnęło go wzburzenie, niszczące jego spokój ducha niczym ostry nóż, który zostawia tylko strzępy.

Pieszczotliwa ręka, która spowodowała ten strach, powróciła na stół. Była teraz blisko ręki dziewczyny, ale jej nie dotykała.

- Powiedz mi, co jest nie tak.

Podczas tej Wigilii zakochiwania się Jack oglądał uśmiech bezgranicznej radości na twarzy najślawniejszej na świecie dziennikarki. Teraz, kiedy siłą woli odpędziła lęk, zobaczył nowy uśmiech, dzielny, drżący - i równie fałszywy jak udzielona przez nią odpowiedź.

- Bien - wyszeptła kłamstwo, patrząc mu prosto w oczy. - Wszystko jest w porządku.

To właśnie od tego momentu lady Sarah Pembroke zaczęła pić. Nie piła cały wieczór, podobnie jak jej partner. Ich miłość była dostatecznie upajająca. Ani on, ani ona nie chcieli zaćmiewać jej olśniewającej wyrazistości.

Ale teraz zapragnęła szampana.

Potrzebowała tego, ocenił Jack, patrząc, jak Sarah pije.

Brała małe, subtelne łycki, jak przystało na prawdziwą damę. Ale robiła to często. I za każdym razem, gdy przetykała płyn z afektowaną skromnością, wyczuwało się u niej oczekiwanie, wręcz nadzieję, że zdarzy się coś dobrze znajomego, jakaś beztroska euforia, która doda jej odwagi.

Wreszcie ta udawana odwaga przyszła i dzięki niej cienkie białe palce znalazły rękę Jacka. On zaś przyjął ów dotyk z zadowoleniem i oplótł jej palce, żałując, że nie może ująć jej drugiej ręki. Lecz ta druga ręka zajmowała się zupełnie innym rodzajem uścisku. Była zaciśnięta na szyjce kieliszka, kurczowo lgnęła do fałszywej magii złocistego płynu.

My jesteśmy jedyną magią, jakiej potrzebujesz, pragnął wykrzyknąć do niej Jack. Jack, który nigdy nie krzyczał.

Sarah podziała tak na niego już wcześniej, zanim się poznali. Przywołała nowe, nieznane emocje, pełne niepokoju, potężne i nieokiełznane. Te emocje były ukryte w nim głęboko i teraz, za jej sprawą, zostały uwolnione.

Być może lady Sarah Pembroke wyzwoliła pierwotne emocje Jacka, ale jemu samemu nie przyniosła żadnego wyzwolenia. Wiedział, że nie krzyknie na nią. Nie mógł. Będzie ją trzymał za rękę i modlił się, aby wyczuła miłość w jego pieszczocie pomimo szampana i zaczęła ufać jego dotykowi, zamiast doświadczać strachu.

A on będzie więził w sobie wszystkie uczucia oprócz miłości.

Sarah stawiała się coraz bardziej wyzywająca. Jack uświadomił sobie, że kobieta próbuje go uwieść. Ta próba była odważna i nieśmiała zarazem, a przy tym tak strasznie niezdarna, tak boleśnie niewinna, że gdyby nie wiedział, iż ma przed sobą wdowę po Simonie Beckwith- Jonesie, mógłby jej przypisać brak doświadczenia.

Jack przyciągnął do ust rękę, którą pozwolono mu trzymać. Całując otwartą dłoń Sarah, wpatrywał się w jej oczy. Nie odrywał od niej wzroku, nawet gdy odkrył tajemnicę na jej nadgarstku.

Zawsze nosiła bluzki z długimi rękawami, nawet w największe upały. Teraz, muskając wargami wyraźną bliznę pod pofałdowanym rękawem jej żółtego golfa, Jack już wiedział, dlaczego.

Próbowała się zabić. Kiedyś. Dawno temu. Blizna była spora. Stanowiła świadectwo bezsprzecznie poważnej próby samobójczej i była całkowicie wygojona. Ale co działo się z ranami jej duszy, owymi głębokimi nacięciami, które doprowadziły dziewczynę do aktu takiej desperacji?

One wciąż były otwarte, niezaleczone, obolałe, zapłakane.

Ucałuję twoje rany, śliczna Sarah. Jeśli tylko mi pozwolisz. Będę kochał je wszystkie.

Jack najchętniej przypieczętowałby swą milczącą obietnicę całując tę starannie ukrytą bliznę. Jednak dostrzegł u niej lęk, gdy jego wargi zaczęły penetrować okolice nadgarstka, i ogromną ulgę, kiedy powędrowały z powrotem do dłoni dziewczyny. Wierzyła, że jej sekret jest bezpieczny, że Jack nie dokonał ponurego odkrycia.

Nie wydam twoich tajemnic, Sarah. I któregoś dnia, moja ukochana, poczujesz się tak bezpiecznie, że wyjawisz mi je.

Przez chwilę bezpieczeństwo Sarah wydawało się nietrwałe, podtrzymywały je małe bąbelki szampana. Wzięła ostatni, duży haust, przełknęła go i zapytała:

- Możemy iść?

- Dokąd?

- Do twojego hotelu?

Jack uświadomił sobie, że to była dla niej jedyna możliwa odpowiedź. Gdyby przyznała, że jej paryskim domem jest w rzeczywistości hotel, wydałoby się, że wcale nie mieszka w Paryżu. Za to kłamstwo Jacka wydawało się całkiem niezagrażone. Logika nakazywała, by poważny kanadyjski biznesmen zatrzymał się w Ritzu.

Zapowiadana burza zimowa wreszcie nadeszła; towarzyszył jej zacinający wiatr i rzęsy deszcz. Ritz był niedaleko kafejki, po drugiej stronie Place Vendôme, ale mimo to Jack zapytał ją, czy chce czekać na taksówkę.

- Non - odparła Sarah. I nie było w tym nic dziwnego. Dla kobiety, która spędziła ostatnią Wigilię w trzaskającym mrozie Sarajewa, ta paryska ulewa nie była absolutnie żadnym problemem. - Courons-nous.

I rzeczywiście pobiegli. To ona dyktowała tempo, a jej szybkie, pełne wdzięku kroki dobitnie świadczyły o znakomitej kondycji fizycznej. Była zgrabna i ładnie umięśniona, tak jak on. Jednak dla Jacka dobra forma była wyborem, luksusem, konsekwencją decyzji, by codziennie przebiegać wiele mil na porośniętych bujną zielenią wzgórzach Virginii. A dla Sarah? Taka zaprawa fizyczna była raczej koniecznością niż wyborem, albowiem wojownik musiał być szybki. Przybyli do Ritzu prawie niezadyszani, ale całkowicie przemoczeni, i zanim dotarli do pokoju Jacka, zapomnieli, że przez chwilę było im ciepło, i czuli tylko chłód mokrej od deszczu skóry.

Jack byłby od razu przyniósł stertę miękkich ręczników z wykładanej marmurem łazienki, ale jego uwagę przyciągnęła dziewczyna - ona zaś skupiła się na czymś zupełnie innym, na łożu z baldachimem. Obsługa hotelowa starannie je pościeliła, tak że było gotowe. Aksamitna narzuta była zagięta, odsłaniając puchowe poduchy, na których w otoczeniu orchidei leżały luksusowe czekoladki.

Tak powinna była wyglądać kusząca scena wprost z romansu. Jednak oczy Sarah były czujne, jakby oglądała stos pogrzebowy, a nie miejsce miłości. Czujne... i pełne determinacji. Sarah zdecydowała, że znajdzie się w tym łóżku razem z nim.

Wreszcie przestała się wpatrywać w łóżko i dostrzegła obficie zaopatrzone barek. Rozpromieniła się i poczuła wyraźną ulgę.

Lady Sarah Pembroke będzie się kochać z Jackiem Daltonem. Ale potrzebowała odrobiny wzmocnienia, trochę więcej odwagi, trochę więcej alkoholu.

Jack dobrze wiedział, ile szampana wypija Sarah w kawiarni. Jednak gdyby tego nie widział na własne oczy, nigdy by się nie domyślił, że wypija choćby kropelkę. Wyglądała na całkowicie trzeźwą. Jej błyszczące zielone oczy patrzyły zupełnie wyraźnie, a elegancka modulacja głosu w niczym nie różniła się od tej, której Sarah używała przemawiając do świata. A sposób poruszania się? Pełna wdzięku gazela, która śmigała przez skąpany w deszczu Place Vendôme, nie mogłaby stąpać pewniej niż Sarah.

A więc tak wyglądała bolesna prawda: lady Sarah Pembroke piła, żeby zachowywać się normalnie, żeby być taka jak inne zakochane kobiety, żeby być w stanie znieść pieszczoty kochanka.

Alkohol był dla niej lekarstwem, które miało zwalczać albo przynajmniej łagodzić jakąś straszną chorobę, tkwiącą gdzieś w głębi jej psychiki. Czy Jack miał jej dolewać tego narkotyku? Żeby móc kochać się z kobietą, której pożądał bardziej niż którejkolwiek innej kobiety?

Za nic w świecie.

Ale Sarah właśnie zmierzała do tego, żeby dolać sobie owego medykamentu, a jej delikatne dłonie obejmowały nienapoczętą butelkę courvoisie-ra, jakby to było koło ratunkowe na targanym sztormem morzu.

- Wiesz, to mit.

Była rozdarta - między butelką, którą kurczowo trzymała, i głosem, który zdawał się obiecywać jej jeszcze większe wybawienie. Zwróciła się ku niemu, ściskając butelkę, i powtórzyła:

- Un mythe?

- Picie brandy, kiedy jest ci zimno. Tak, brandy rozgrzewa. Ale jest to niebezpieczne ciepło. Ostatecznie tracisz ciepło zamiast je gromadzić. -Jack rozwiązał mit - mit, który ta wojownicza dobrze znała - za pomocą słów. A co z tym drugim mylnym przeświadczeniem? Jack rozwiązał je czułym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu. To mit, Sarah, czysty wymysł, że musisz pić, aby być przeze mnie dotykana, kochana.

- Późno już - szepnęła z nagłym niepokojem w głosie. - Może powinnam...

- Może każde z nas weźmie gorący prysznic? A potem, może po prostu pójdziemy spać?

- Tylko spać? Nie chcesz...?

- Czy nie chcę ciebie? O, tak, chcę. Ale pragnę, żeby nasze pierwsze kochanie trwało całą noc. -1 chcę kochać się z Sarah, nie z Claire. Z Sarah, która nie potrzebuje alkoholu, aby znieść moje dotykane. - A dzisiaj, no cóż, odczuwam skutki zmiany strefy czasowej i szampana.

To było największe ze wszystkich kłamstw tego wieczoru. Rzeczywiście, Jack nie spał ostatniej nocy. Podczas nocnego lotu do Londynu studiował policyjne akta na temat morderstw w dniu św. Walentego i rozmyślał z niepokojem o intrygującej dziennikarce, którą zabójca wybrał na swoją następną ofiarę.

Ale czy Jack był naprawdę zbyt zmęczony, żeby spędzić noc na kochaniu się z Sarah? Raczej nie.

Inna kobieta poczułaby się urażona, że jej powab nie jest w stanie przewyciężyć jego zmęczenia. Ale nie Sarah. Wydawało się, że odczuwa ulgę, a nawet nadzieję, dopóki jej wzrok nie spoczął na łóżku.

- Może powinnam iść do siebie - mruknęła. - Beze mnie lepiej będzie ci się spało.

- Wcale nie - odparł Jack. - Proszę cię, zostań. Pośpimy długo, spędzimy Boże Narodzenie razem, a jutro wieczorem będziemy się kochać.

Inna kobieta, doświadczona w kwestii prawideł i rozkoszy namiętności, wiedziałaby, że gdy on się obudzi, od razu będzie chciał się kochać. Taka kobieta wręcz nalegałaby, aby już teraz zaplanowali spędzenie całych świąt w łóżku.

Ale słowa Jacka brzmiały jak uroczyste przyrzeczenie, a Sarah zareagowała na nie tak, jakby stanowiły odroczenie egzekucji. Jakby to on, a nie zabójca o czarnym sercu, zamierzał zanurzyć wyszczerbione ostrze noża w jej sercu.

Obiecywał jej noc bez intymności, ale czy rzeczywiście tak było? Nie, uświadomił sobie Jack. Obiecywał jej noc nieskażonej intymności, która niemniej jednak pozostawiała intymnością.

Jack doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy samo spanie jest niezmiernie intymne, bardziej osobiste niż to, co dotychczas robił. Przedtem gdy tylko dał upust namiętności i nasycił swoje żądze - tak jak jego partnerka - opuszczał łóżka swoich kochanek. Teraz uświadomił sobie, że coś go zmuszało do takiego postępowania. Przypominał sobie, że doświadczał wówczas niepokoju, niewytłumaczalnego poczucia, iż pomimo przyjemności zrobił coś niewłaściwego.

Och, Sarah. Szukałem ciebie od bardzo dawna.

I teraz pragnął z nią dzielić intymność, która była zapewne o wiele większa niż czysto cielesne rozkosze. Uśniecie w obecności innej osoby wymagało ogromnego zaufania, przyzwolenia na to, by obnażyć swoje słabe punkty, ujawnić nie dające się kontrolować godziny koszmarów sennych i marzeń.

- Spędź tę noc ze mną. Śpij ze mną. - Dziel ze mną łóżko... i marzenia. - Nie mogę ci zaofiarować góry od piżamy. Kiedy śpię, mam na sobie tylko spodnie, a wszystkie nieużywane koszule są w domu. Ale mam świeżo upraną koszulę. Weź ją.

Jack obserwował, jak Sarah pochłania przekazywane przez niego informacje, opis tego, co zamierzał włożyć do łóżka, i zapewnienie, że jej własna skromność pozostanie zachowana. Jego

koszula będzie dla niej duża i długa, nie odsłoni niczego, a mankiety zapewnią całkowitą ochronę bliznom.

Jack dostrzegł jej lęk i nadzieję. Odwagę i...

W tym momencie Sarah przeniosła wzrok na brandy, którą wciąż ścisnęła w dłoni. Teraz przemawiała do szklanej buteleczki z bursztynowym medykamentem.

- Jeśli zabiorę ze sobą kieliszek brandy pod prysznic, kiedy będę się rozgrzewała, to nic się nie stanie, prawda?

Spojrzała na niego i jej zielone oczy, promieniejące odwagą i nadzieją, wyznawały mu: Jacques, jeśli trochę się wzmocnię, jeśli wypiję jeszcze jeden kieliszek, wtedy będę mogła spać z tobą, zostać z tobą, a ja pragnę zostać.

Sarah chciała z nim zostać. Ale, pomyślał Jack, jeśli odrzucę jej prośbę o następną porcję brandy, ona odejdzie, będzie musiała odejść.

Nie musisz pić, Sarah. Nie przy mnie. Gdzieś w głębi jego serca wrzały takie emocje, że miał ochotę wykrzyknąć swoją wściekłość.

Jack stłumił je jednak, uwięził we własnym wnętrzu.

- Nalej sobie szklaneczkę, a ja pójdę poszukać koszuli, dobrze?

Jack wziął prysznic po tym, jak zrobiła to Sarah. Wynurzyła się z kabiny zarumieniona, nieśmiała i odważna zarazem, w koszuli, którą jej podarował. Koszula była jasnoniebieska, z drogiego, dobrze utkanego materiału; doskonale zastępowała dziewczynie koszulę nocną. Sięgała jej do kolan i odsłaniała tylko część nóg - szczuptych, białych kończyn, które nieraz stąpały po przesiąkniętej krwią ziemi i biegły przez deszcz, jakby ich właścicielką była rozradowana gazela.

Jack miał ochotę zapakować ją do łóżka, ucałować jej skronie, policzki, wilgotne, pachnące włosy. Zamiast tego tylko się uśmiechnął, szepnął Bonne nuit i zostawił ją samą.

Czy należy sobie jeszcze jednego drinka? Zastanawiał się. A może przypadnie gdzieś w mroku?

Jack poznał odpowiedź dopiero następnego ranka. Tak, wypija jeszcze brandy. Tej nocy, kiedy wyszedł spod prysznica, wiedział jedynie to, że leżała w jego łóżku, zupełnie nieruchomo, na samym brzegu... ale jednak leżała.

Czy już zasnęła? A może tylko udawała, że śpi?

Dopiero później Jack usłyszał lekką zmianę w jej oddechu i uświadomił sobie, że przez cały czas czuwała.

Jednak teraz spała, a on wciąż czuwał, trzymał wartę, martwił się, popadał w zdumienie i obiecywał sobie, że czekający ich pierwszy dzień świąt będzie dniem prawdy, a nie kłamstw.

W końcu Jack również zapadł w sen. Była to świadoma decyzja, doskonały wybór, pragnienie dzielenia nieznaną dotąd intymności. Pozwolił, aby oddech dziewczyny niby kołysanka skusił jego zmęczone ciało do drzemki, nie bojąc się własnej słabości ani marzeń.

Wszystkie sny Jacka były o niej i wszystkie były cudowne. Jednak zapamiętał tylko ten ostatni, który tak bezceremonialnie przywiódł go do świata jawy. Zbliżyła ku niemu twarz, którą otaczał błyszcząca kremowy obłok, i śpiewała francuską piosenkę, którą znała dzieci na całym świecie.

W ten świąteczny poranek w Paryżu, kiedy Jack wciąż jeszcze spał, wydawało się, że ta piosenka została napisana specjalnie dla niego. Jej słowa zostały trochę zmienione, tak że tekst był bardziej osobisty, bardziej intymny.

- Mon cher Jacques, mon cher Jacques, dormez-vous, dormez-vous?

Jack obudził się gwałtownie. Jego serce wyśpiewywało odpowiedź, oczekując na spotkanie z nią, oczekując miłości. Ale dziewczyny nie było.

Słońce nawet jeszcze nie wzeszło. Pomimo szampana i courvoisiera, lady Sarah Pembroke nie przetrwała nocy.

Kiedy oczy Jacka przywykły do niewyraźnego mroku, zobaczył liścik zostawiony przez Sarah. Oparty o ręcznie malowaną porcelanową lampę, przypominał bielusińskie widmo.

Widmo snu, albowiem liścik Sarah zaczynał się od tego samego zwrotu, który przyśnił się Jackowi w piosence śpiewanej mu przez dziewczynę.

MON CHER JACQUES,

Je suis mariée. Mój mąż i ja przeżywamy kłopoty małżeńskie. Mam świadomość, że muszę teraz do niego wrócić, spróbować uporządkować sprawy. Wiem, że wyczujesz moją niepewność, kiedy mnie dotkniesz. Pragnęłam, żebyś mnie dotykał - proszę, uwierz mi - ale czuję się taka winna. To tłumaczy historię z szampanem. Chciałam stłumić poczucie winy. Ale nie byłam w stanie, nie całym.

Proszę, wybac mi, Jacques. Chciałam być z tobą. Ale wiem, że to nigdy nie będzie możliwe. Zachowam w pamięci ostatni wieczór na zawsze.

Claire

Kłamstwa! Ta konstatacja pojawiła się natychmiast, niczym nieprzejednana dzika bestia, którą zbyt długo trzymano w klatce. Przez pewien czas Jack czuł rozsadzającą go wściekłość, jakby w jego żyłach płynęła rzeka stopionego srebra, aż w końcu umysł, który służył z chłodnej logiki, znowu zapanował nad sytuacją.

Czy w tym, co napisała Sarah, było choć trochę prawdy? Zapytywał trzymany w ryzach umysł. Czy naprawdę było możliwe, że wciąż wiązało ją wspomnienie o mężu, który zmarł?

Z artykułów o Sarah Jack dowiedział się niektórych szczegółów na temat jej małżeństwa. Wzięła ślub z Simonem Beckwith-Jonesem mając zaledwie siedemnaście lat. Simon był wówczas mężczyzną czterdziestodwuletnim i przyjaźnił się z jej rodzicami. Trzy lata później Simon zginął w katastrofie lotniczej w Szkocji, wraz z nimi.

Od dnia, w którym gęsta szkocka mgła zabrała męża i rodziców Sarah, minęło osiem lat. Być może te osiem lat nie wystarczyło, by młoda żona - i córka - otrząsnęła się całkowicie po tak straszliwej stracie. Tylko że istniały bardzo przekonujące dowody negujące nieutulony żal młodej wdowy.

Sarah i rodzina jej zmarłego męża serdecznie sienie znosili. Komisarz Scotland Yardu nie pozostawił w tym względzie żadnych wątpliwości. Ród Beckwith-Jonesów musiał wydać fortunę, aby wykupić spadek Sarah. Zresztą sumę tę Sarah niezwłocznie przekazała na cele dobroczynne.

A potem pani Simon Beckwith-Jones znowu stała się lady Sarah Pembroke, wracając do panieńskiego nazwiska i odrzucając nazwisko męża.

Nie trzeba było genialnego umysłu, by dojść do wniosku, że nie jest to zachowanie typowe dla zrozpaczonej wdowy.

A więc ta część upiornie białego liściku, wzmianka o jej mężu była całkowicie nieprawdziwa. A reszta? Niepewność, którą czuła, gdy jej dotykał? Kolejne kłamstwo. Jack wiedział, że to nie była niepewność. Ani poczucie winy.

Był to strach.

Chciałam być z tobą. Zachowam w pamięci ostatni wieczór - na zawsze.

Kłamstwo? Czy jedyna prawda?

Jack dowie się tego jutro, kiedy znowu się spotkają, kiedy lady Sarah Pembroke zostanie oficjalnie przedstawiona mężczyźnie, który zamierzał ochronić jej serce przed wyszczerbionym ostrzem noża.

Jack ją uratuje; to nie ulegało wątpliwości.

Ale kiedy pomyślał o kobiecie, która nie mogła znieść jego dotyku, która uciekła pod osłoną nocy, aby go uniknąć, doznał takiego uczucia, jakby jego własne serce zostało boleśnie ugodzone.

Hyacinth House, Kornwalia, Anglia Dzień Bożego Narodzenia

Świat na zewnątrz był wciąż spowity ciemnością, kiedy Emma wstała z łóżka. Wnętrze domu również tonęło w mroku, ale było tu ciepło dzięki piecowi, który już od dawna działał za sprawą Lucasa.

Emmę powitało nagrzane powietrze i uczucie ogromnej wesołości. Tego roku po raz pierwszy w ciągu jedenastu lat od narodzin ich córki, Hyacinth.

House był zamknięty na Boże Narodzenie. Żadni obcy ludzie nie spali w obszernym skrzydle przeznaczonym dla gości, nikt nie wstał wcześniej, nie mogąc się doczekać Bożego Narodzenia i rozkoszując się gościnnością, z której słynął ten kornwalijski pensjonat.

Dzisiaj miał być rodzinny dzień i Emma wprost nie mogła się go doczekać. Nie musiała się zrywać przed świtem, nie dzisiaj. Jessie będzie spała jeszcze co najmniej godzinę, a Lucas już krzątał się w swojej pracowni, a więc to rodzinne Boże Narodzenie zacnie się na dobre dopiero około dziesiątej, kiedy z St. Ives przyjadą rodzice.

Emma mogła się wylegiwać w przytulnym łóżku, wrócić do snu, do marzeń. Ale nie chciała ani snu, ani marzeń. Pragnęła przeżyć ten dzień intensywnie, rozkoszować się każdą chwilą.

Wiesz dlaczego, prawda? Ponieważ wiesz, że to nie będzie trwało długo. Ponieważ każda sekunda, każde radosne bicie serca przybliży cię do chwili, w której całe to szczęście się skończy.

Ta myśl sparaliżowała jej ruchy, przeobraziła w ocieniony posąg w mroku, zmroziła tak mocno, jak gdyby w ten chłodny zimowy poranek Lucas zapomniał włączyć ogrzewanie. Emma mogła zmusić się do ruchu, do tego, by szybko pójść pod ciepły prysznic, aby zostawić tę mrozącą myśl za sobą. Ale nie uczyniła tego. Nadeszła pora, by zmierzyć się z tą wizją. By stawić czoło prawdzie.

Od prawie dwunastu lat Emma była absolutnie pewna, że jej życie z Lucasem dobiegnie końca. Wiedziała nawet, kiedy ów koniec nastąpi: z chwilą gdy dotrzymają uroczystych obietnic, jakie złożyli sobie w związku z ich córką, z ich ukochaną Jessie.

Już w dniu ślubu Emma zdawała sobie sprawę z tego, że jej małżeństwo z Lucasem nie będzie trwało wiecznie. Jednak dotychczas ta pewność była ukryta gdzieś w najgłębszych zakamarkach jej świadomości. Tyle że nie można już było wypierać się jej - w ciągu ostatniego roku tak wiele się zmieniło.

Jessica dojrzewała, rozpoczynając dramatyczną i nieuniknąłą przemianę z dziewczynki w młodą kobietę. Och, tak, Jessie była wciąż jeszcze młodziutką, zaledwie jedenastoletnią osobką, uroczą i niewinną. Jednak w jej ruchach można było zaobserwować nowy wdzięk, a pulchna dotąd

twarzyczka bardzo wyszczuplała, i jak nigdy przedtem dziewczynka była świadoma tego, co dzieło się poza jej domem, wyczuwała istnienie świata pełnego wspaniałych możliwości.

Wszystkie matki od zarania dziejów obserwowały dorastanie swoich ukochanych dzieci z mieszanymi uczuciami, doświadczając zarówno dumy, jak i poczucia utraty. Emma wiedziała o tym. Ale wiedziała też, że niebawem straci jeszcze więcej.

Teraz, w ciemnym pokoju, który stał się taki zimny, Emma zmusiła się, by zmierzyć się z tym, by pogodzić się i ostatecznie usunąć tę perspektywę ze swych myśli. Wyobrażała sobie całą scenę z niezwykle wyrazistością. Osiemnastoletnia Jessie będzie z dala od domu, w college'u, może na pierwszym roku w Cambridge albo nawet Stanford; Emma będzie w kuchni, zajęta dekorowaniem urodzinowego tortu, a wtedy Lucas pojawi się w korytarzu...

Przez chwilę wszystko będzie się wydawało całkiem normalne - ot, Lucas zrobił sobie przerwę w pracy, żeby spędzić ten czas z nią. Ale ona zobaczy jego poważny wyraz twarzy, i chociaż nie będzie tego chciała-bo przecież nagle zrozumie, o co chodzi - spojrzy mu w zielone niby las oczy, oczy, które nigdy jej nie okłamywały... i te ciemnozielone, przenikliwe oczy będą uczciwe, jak zawsze, i bardzo delikatne, kiedy jej ukochany mężczyzna wypowie słowa pożegnania.

- Udało nam się - powie Lucas. - Nasza córka jest bezpieczna, szczęśliwa, kochana. Dokładnie tak, jak sobie obiecaliśmy. Dotrzyliśmy tego zobowiązania, Emmo, i teraz przyszła pora, żebyśmy zaczęli żyć własnym życiem.

Podczas tego przełomowego roku Lucas właściwie już zaczął żyć własnym życiem, życiem bez niej, życiem według planu, który porzucił bez wahania, kiedy ciąża Emmy zmusiła ich do wzięcia ślubu.

Od dnia, w którym Lucas Cain dowiedział się o tej ciąży, bez żalu poświęcił swój talent dla innych celów. Przed narodzinami Jessiki, kiedy Emma była chora, ręce, które potrafiły wykuwać ciało w kamiennej bryle, które powinny były rzeźbić, zajęły się przebudową rozpadającego się pensjonatu rodziców w miejscu, które mogło zapewnić im wszystkim utrzymanie, tak że Hyacinth House ostatecznie stał się chlubą Kornwalii.

A kiedy Jessie przyszła na świat, te mocne i delikatne ręce znalazły nowy wspaniały cel, ojcowską miłość do własnego dziecka. Będąc niemowlęciem, Jessie zaznała kołysania w tych czułych rękach; kiedy zaś uczyła się chodzić, kiedy jej małe, mocne nóżki chciały się wybierać na rozmaite, bardzo ważne wyprawy, Lucas umożliwiał ich podejmowanie, ale nigdy nie pozwalał jej upaść, a kiedy ich mała bystra dziewczynka zaczęła mówić, zawsze miał czas, żeby wysłuchiwać jej słów. Klękał przed nią, lekko kładł swoje utalentowane ręce na ramionach córeczki i wsłuchiwał się w jej pełen zapachu szczebiot z wielkim skupieniem, nigdy nie okazując ani trochę zniecierpliwienia

Największym cudem Lucasa Caina, największym powodem ich chwały było wychowywanie córki. Ale to była osobista radość - cenna i przemijająca. Jessie dorastała. Nie potrzebowała go tak bardzo jak kiedyś, nie chciała go mieć całutki dzień, toteż jego ręce w poczuciu pustki wreszcie powróciły do sztuki, do pasji, która niegdyś była dla niego wszystkim. Już w zeszłym roku sukcesy Lucasa

pozwalają im zamykać pensjonat przed gośćmi, ilekroć tak sobie postanowili. W przyszłym roku o tej porze można byłoby zamknąć pensjonat na dobre, jeśli przyszłaby im taka ochota.

Emma wiedziała, że tego nie chce. Potrzebowała Hyacinth House i właściwie ten pensjonat należał bardziej do niej niż do niego, stał się symbolem jej samodzielności. Czy po odejściu Lucasa będzie nadal prowadziła Hyacinth House? Czy osiągnie mniejszą sławę jako miejscowa gospodyni, która asystuje przy najromantyczniejszych ślubach w Anglii?

Po odejściu Lucasa. Miniony rok dał Emmie gorzki przedsmak tej przyszłej samotności. Lucas robił jednodniowe wypadki do Londynu, a raz udał się w pięciodniową podróż do Stanów. Bardzo za nim tęskniła podczas jego nieobecności, spała niespokojnie, rzucała się na łóżku, którego chwilowo nie mogła z nim dzielić. Zauważała, że i Lucas miał podkrążone oczy, kiedy wracał - jak gdyby on również nie mógł spać spokojnie bez niej.

Ale podczas nieobecności Lucasa Emma przynajmniej miała Jessikę. To się skończyło przed dwoma tygodniami. Wtedy Lucas, dosłownie bez żadnego uprzedzenia, zabrał Jessikę ze sobą do Londynu. Podróż została zaplanowana na jedenastego grudnia, akurat w dniu, w którym Emma musiała być w Kornwalii, a Lucas oznajmił jej ze zdumiewającą surowością, że jego spotkania w Londynie nie da się przełożyć tak samo, jak jej przyjęcia w Kornwalii.

Rzeczywiście, przyjęcie Emmy zostało zaplanowane parę miesięcy wcześniej. Nie mogła zostawić na lodzie dwadzieścioro ludzi, którzy mieli tłoczyć się w jej obszernej wiejskiej kuchni, aby patrzeć, jak robi piernikową chatkę. I nie zostawiła ich. Otworzyła kuchnię i wspaniałomyślnie pokazywała wszystkie stosowane przez siebie kucharskie sztuczki, od tajemniczych składników wspaniałego lukru aż po sposób na to, by polewane okna z karmelu świeciły ciemnym bursztynowym blaskiem.

Tradycyjne piernikowe szaleństwo w Hyacinth House było wydarzeniem, podczas którego Emma miała najzdolniejszą i najbardziej entuzjastyczną pomocnicę w osobie swojej córki. Jednak w tym roku było inaczej.

Jessie była w Londynie ze swoim ojcem i wróciła do Kornwalii z wesołymi anegdotami o ich eskapadzie. Ale głos jej zadrżał, kiedy podziwiała piernikową chatkę zrobioną w trakcie jej nieobecności. Zgodnie z sugestią Emmy zrobili jeszcze jedną chatkę, dokładną replikę ich ukochanego domu - w tym roku Lucas również brał udział w przedsięwzięciu.

Zdolne ręce, które kiedyś przeobraziły rustykalną pstrokaciznę Hyacinth House w majestatyczną elegancję, pieczołowicie odtworzyły w piernikowej masie jego dachy i ściany. Lucas zajmował się budowaniem, podczas gdy Jessie i Emma robiły dekoracje. Jak gdyby nic się nie zmieniło i nie miało się zmienić, wprowadzali ostatnie poprawki, żeby domek wyglądał naturalnie, dodawali schludne rzędy żywopłotu wykonane z pulchnych, zielonych, gumowych dropsów.

Emma zadrżała przypomniawszy sobie, jak boleśnie odczuwała samotność, kiedy Jessie i Lucas byli z dala od domu. Jej reakcja wydawała się wtedy skrajna i okropnie egoistyczna. Zrozumiała jednak, że podświadomie wyobrażała sobie przyszłość, w której nie będzie miała ani męża, ani córki.

Gdzie Lucas zacznie nowe życie? - zastanawiała się Emma. Czyjej mąż Amerykanin wróci do swoich kalifornijskich korzeni? A może ten utalentowany rzeźbiarz zechce poszukać miejsc, które zawsze były dla niego ważniejsze, gdzie czuł się związany z mistrzami marmuru, którzy żyli przed wiekami? Czy wybierze się do Włoch? Może do Florencji, miasta przepychu, gdzie on i Emma się poznali?

Albo do Wenecji, gdzie... zakochali się w sobie? Nie, Emma wiedziała, jak to było naprawdę. Ona i Lucas nie zakochali się w sobie przebywając w mieście kanałów. On się nie zakochał. I prawdę mówiąc na długo przed tym weekendem romansu, ona już była w nim beznadziejnie zakochana.

Dla niej, dziewiętnastoletniego niewiniątka, była to miłość od pierwszego wejrzenia. On był dwudziestodwulatkiem, zmysłowym, obytym w świecie, doświadczonym, ona zaś zadurzyła się w nim po uszy, natychmiast i nieoczekiwanie. Byłaby całkiem usatysfakcjonowana, gdyby mogła poświęcić się adoracji na odległość, obserwować go, podziwiać, tracić głowę na widok jego uśmiechu. Właściwie nigdy nie wyobrażała sobie niczego więcej, nawet nie snuła fantazji. Była przecież zwyczajną Emmą, Lucas zaś był czarnowłosym, zielonookim bogiem. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, że kiedykolwiek poczuje dotyk jego rąk albo że nadejdzie taki czas, kiedy jego przychylnie spojrzenie będzie skupione wyłącznie na niej, jakby to ona była dziełem sztuki, równie intrygującym jak posągi, którym przyglądał się z takim podziwem.

Jednak podczas tamtego weekendu w Wenecji Lucas naprawdę patrzył na nią i dotykał jej. I wtedy stworzyli najcudowniejsze dzieło sztuki, najdroższy skarb, dla którego zdecydowali się pobrać.

Co Emma wiedziała wówczas o mężczyźnie, którego miała poślubić? Bardzo niewiele - i wszystko. Jakimś sposobem ta niewinna wiejska dziewczyna wyczuła prawdę o człowieku, w którym się zakochała. Jakimś sposobem dostrzegła szlachetność, która kryła się pod niebezpiecznie zmysłową powierzchownością.

Lucas Cain planował poświęcić życie swojej jedynej pasji, jedynej prawdziwej miłości. Sztuce. Oczywiście w jego życiu istniały kobiety, i to całkiem wiele kobiet, z którymi łączyły go żywiołowe związki i zapierająca dech w piersiach rozkosz. Artysta był wszak kochankiem i samotnikiem. Poetą i łajdakiem.

Ale o Lucasie można było powiedzieć inne rzeczy, których on sam sobie nie uświadamiał: o tym, jakim będzie ojcem, o jego poczuciu honoru i konsekwentnej uczciwości. Zanim wzięli ślub, podjął kilka poważnych zobowiązań wobec Emmy i ich nienarodzonego dziecka. I dotrzymał każdego z nich.

I będzie ich dotrzymywał nadal. W tym rzecz. Emma ufała mu całkowicie. Ich pakt, uroczysta przysięga, jaką sobie złożyli, dotyczył wspólnego wychowywania córki. Nigdy nie rozmawiali ze sobą o tym, co nastąpi, kiedy Jessie dorośnie. Ta pora wydawała się tak odległa. Ale wnioski były dość oczywiste.

Lucas odejdzie.

Emma i Lucas byli młodzi, kiedy brali ślub. I będą jeszcze młodzi, kiedy się rozstaną. Będą mieli tylko trzydzieści siedem i czterdzieści lat. Wielu ludzi dopiero zakładało rodziny w tym wieku.

Emma wędrowała myślą ku przyszłości: Lucas w wieku czterdziestu lat. Będzie nadal przystojny. Będzie nawet przystojniejszy niż kiedykolwiek. Jego kruczoczarne włosy trochę posiwieją, a osiemnaście lat spędzonych w roli kochającego ojca odciśnie ślad na jego twarzy. Już było na niej widać powagę, mądrość, cichą radość.

W wieku czterdziestu lat Lucas będzie miał w sobie pogodę ducha płynącą ze świadomości, iż miał wiele do zaoferowania i że dał te podarunki swojemu dziecku. Tak liczne podarunki, tak głębokie pokłady miłości. W wieku czterdziestu mógłby nawet...

Emma przestała rozważać tę myśl. Była zbyt bolesna. Ale serce Emmy już kołatało. Szkoda już została wyrządzona. Dlatego Emma pozwoliła dręczącej myśli swobodnie się rozwijać. Mógłby nawet mieć więcej dzieci. Ona nie mogła, ale on mógł i być może kiedy odejdzie...

Jesteś taka pewna, że on cię zostawi? To pytanie zaskoczyło Emmę. W poprzedzających świt cieniach świątecznego dnia pozwoliła ujawnić się najmroczniejszym myślom. Ciemność zimowej nocy ulegała teraz rozproszaniu, przeszywana pierwszym szarym światłem dnia, a wraz z tą srebrną poświatą pojawiła się zdumiewająco optymistyczna myśl, która również pragnęła zostać wysłuchana. Czy jesteś tak bardzo pewna, że Lucas cię nie kocha?

Ja wiem, że on mnie kocha. Jestem matką córki, która jest dla niego największym skarbem, a poza tym on i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, najlepszymi przyjaciółmi. Szanujemy siebie nawzajem, mamy do siebie zaufanie, możemy na sobie polegać.

Ale jesteś także jego żoną, i jego kochanką. Czy zapomniałaś, co dzieje się w łóżku?

Nie. Nigdy. Przez ostatnie dwanaście lat jego dłonie, które potrafiły rzeźbić ciało w kamieniu, zamieniały ciało Emmy w dygoczące pożądanie. Upływ czasu bynajmniej nie zmniejszył oddziaływania jego dotyku, a w ostatnim roku, kiedy tak wiele się zmieniło, napiętność Lucasa - och, tak, to była napiętność - była bardziej intensywna niż dotychczas, gwałtowna i czuła zarazem. Zupełnie jakby on również wyczuwał przyszłość -to, że ich rozstanie jest nieuniknione - i również przeżywał z tego powodu udrękę, ale nie był w stanie powstrzymać tego.

A co z wyrazem twarzy, który czasami dostrzegasz, kiedy on patrzy na ciebie, kiedy przygląda ci się, tak urzeczony, że zapomina, iż ty również na niego patrzysz? Przecież wiesz, że to czysta emocja. Jakaś dzika napiętność, której nie pojmujesz.

Emma nie potrafiła zinterpretować tego wyrazu twarzy. Wiedziała tylko, że budzi w niej przerażenie. Sugerował tajemnice, a przecież ona i Lucas nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. Czasami tak bardzo pragnęła, by przestał robić tę minę, że omal nie zaczynała krzyżeć, co mogłoby zniszczyć ów hipnotyczny urok. Jednak zamiast krzyżeć, bardzo cicho i bardzo łagodnie wymawiała jego imię. Lucas słyszał wówczas zew jej serca i w napięciu wpatrywał się w nią swoimi ciemnozielonymi oczami, których pieśczośliwa miłość sprawiała, że chciało j jej się płakać z radości.

On cię kocha, obwieszczą srebrzysta myśl. Może zмага się z tym, jest przecież artystą, który wierzy, że aby osiągnąć wyżyny sztuki, musi być sam. Ale podczas następnych siedmiu lat, kiedy razem będziecie prowadzić ukochaną córkę w stronę dorosłości, on uświadomi sobie, jaka jest prawda.

Jeszcze siedem lat.

Jeszcze siedem Bożych Narodzeń.

Nie zamierzam spędzić następnych siedmiu lat odliczając kolejne święta, Emma przyrzekła sypialni, która teraz lśni światłem. Będę przeżywała każdy dzień, każdą sekundę każdego dnia kochając go, kochając Jessie. I nie będę myślała o przyszłości.

W ten sposób Emma odepchnęła od siebie ponure myśli. Owinęła je szczelnie i z wielką starannością, jakby to były świąteczne prezenty, a nie świąteczne lęki. Przyozdabiała te najmroczniejsze myśli srebrzystym opakowaniem nadziei. Ale nie dam się nabrać, obiecała sobie. Nie będę oczekiwała niczego ponad ten wspaniały podarunek, który już mi dano.

W tym momencie uśmiechnęła się i kiedy przeszła przez sypialnię w kierunku prysznicy, powróciły do niej uczucia, które obudziły ją tego dnia, i znowu poczuła ciepło i radość oczekiwania na rodzinne Boże Narodzenie.

- Och, mamó, już nie śpisz. Mieliśmy cię zaskoczyć!

- Ależ jestem zaskoczona - powiedziała Emma, witając się z córką.

Emma była w szlafroku i jeszcze wycierała mokre włosy. Jessie i Lucas byli już ubrani. I tak podobni do siebie, pomyślała Emma, obserwując ojca i córkę. Jessie odziedziczyła po Lucasie jego błyszczące czarne włosy i oszałamiającą urodę. Jakimś sposobem rysy, które na jego twarzy były takie męskie, takie wyraziste i twarde, u niej przeradzały się w łagodne piękno.

Ale oczy Jessiki są twoje, Emmo. Wszyscy to mówili, zaraz po tym, jak zauważali uderzające podobieństwo między Lucasem i Jessie. Jakby Emma mogła się przejmować, że jej córka tak wiele po nim odziedziczyła. Naturalnie, Emma chciała tego dla Jessie, pragnęła, żeby jej córka miała po ojcu elegancko zarysowane kości policzkowe i fascynujący kolor skóry, a nie rzucająca się w oczy pospolitość urody matki.

W rzeczywistości kolor oczu jej córki pochodził od obojga rodziców i stanowił rzadką mieszankę jasnego błękitu Emmy i intensywnie ciemnej zieleni Lucasa. Ale ich kształt i blask z pewnością był taki, jak u Emmy.

Teraz, kiedy Jessie podeszła, jej niebiesko-zielone oczy lśniły.

- Szczęśliwego Bożego Narodzenia, mamó!

- Szczęśliwego Bożego Narodzenia, kochanie - powtórzyła Emma, przyjmując od Jessie duże pudełko.

To był prezent dla niej i Emmie aż zaparło dech w piersiach, kiedy spojrzała na opakowanie: czyste srebro, pełne nadziei niby pierwsze światło tego świątecznego dnia: ten sam błyszczący kolor, w który tak ostrożnie i na zawsze zapakowała swoje mroczne myśli.

- Co to takiego, Jessie?

- Prezent! Tata i ja kupiliśmy ci to w Londynie. To właśnie dlatego polecieliśmy do Londynu, mamó.

Żeby kupić mi prezent? Serce Emmy znowu zamarło. To po to poleciałaś do Londynu? Nie chodziło o to, żeby przygotować mnie na dzień, kiedy stracę was oboje, kiedy ty postanowisz spędzić studenckie wakacje we Włoszech, razem ze swoim ojcem?

- Najpierw musisz otworzyć kartę - powiedziała Jessie. - Wtedy zrozumiesz, co to za prezent.

- Dobrze - mruknęła Emma. Postawiła błyszczące pudełko na łóżku, a potem wyciągnęła kopertę zza fiołkowo różowej atłasowej kokardy.

Na eleganckim, drogim pergaminie wytłoczono złożonymi literami zaproszenie. Państwo Lillith i Timothy Asquith mają zaszczyt zaprosić was na uroczystą i romantyczną imprezę sylwestrową...

Romantycznych przeżyć miał dostarczyć Cole Taylor podczas koncertu w Royal Albert Hall, po którym zaplanowano suto zakrapiany szampanem bankiet w Imperialnej Sali Balowej w hotelu Drake przy Hyde Parku.

Emma wiedziała o zbliżającym się koncercie noworocznym Cole'a Taylora. Czytała o nim w „Sunday Times”. Nie było tam jednak wzmianki o uroczystej gali, której gospodarzem miał być miliarder i właściciel Gemstone Records oraz jego arystokratyczna żona. Miała to być impreza zamknięta dla osób postronnych i bardzo ekstrawagancka, wspaniałe przyjęcie, na które zaproszono elitę towarzyską Londynu... a także Cainów z Kornwalii. Przez wiele lat Lillith i Timothy byli wiernymi patronami Hyacinth House - i rozszerzyli ów patronat na Lucasa i jego sztukę.

Kiedy Emma zmarszczyła brwi, słysząc o zaproszeniu, Lucas odezwał się pierwszy raz:

- Lillith zapamiętała waszą rozmowę w czerwcu zeszłego roku, o tym, jak bardzo podoba ci się sposób śpiewania Cole'a Taylora. Podoba ci się, prawda?

Oczywiście Emma lubiła śpiew tego supergwiazdora. Emocje, tęsknota i miłość przypominały jej o tym, co sama czuła do Lucasa. Mogłaby słuchać miłosnych utworów Cole'a Taylora w nieskończoność - z wyjątkiem jednej, najstynniejszej piosenki, zatytułowanej Wyobraź sobie światło księżycy. Ta piosenka była niewątpliwie fantastyczna. Liryczna. Wzruszająca. Nieodparta. Ale rozdzierała Emmie serce. Albowiem Wyobraź sobie światło księżycy była piosenką o nich, o Lucacie i Emmie, o namiętym pożegnaniu miłości, która nie chciała umrzeć. A jednak umarła.

Cole napisał Wyobraź sobie światło księżycy na cześć Pauliny Bliss, aktorki, która została brutalnie zamordowana w zeszłoroczny dzień św. Walentego. Tak przynajmniej słyszała Emma. Jednak miała

wrażenie, że nie jest to pożegnanie z kobietą, która zginęła, lecz z kobietą, która żyje, ale jest dla niego niedostępna - z kobietą, której nie wolno mu było kochać.

- Emma? Ty przecież lubisz Cole'a Taylora, prawda?

- O tak.

- Ale nachmurzyłaś się - powiedział łagodnie Lucas.

- Nie chcesz lecieć, mamusiu? Myśleliśmy, że będziesz chciała. Macie spędzić z tatą dwie noce w Londynie, w hotelu Drake, a ja zostaję z babunią i dziadkiem, i kupiliśmy ci nawet suknię wieczorową z cekinami, a tata założy smoking...

- Naturalnie, że chcę lecieć-przerwała Emma, uśmiechając się promiennie, pomimo że entuzjastyczne słowa córki przyprawiły ją o kolejną falę niepokoju. - Po prostu jestem wzruszona. Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz, mamusiu - nalegała Jessie. - Obejrzyj teraz suknię. Kupiliśmy ją w butik o nazwie Pearl Moon. Będzie wyglądała na tobie tak pięknie.

Emma wciąż uśmiechała się promiennie sięgając po owinięte błyszczącym papierem pudło. Jednak, jak gdyby nagle znalazła się w środku swojej własnej paczki świątecznej, tej, która kryła najmroczniejsze myśli, poczuła, że traci odwagę.

- Co byś powiedziała na pokaz mody, Jessie? Pozwól, że wysuszę włosy, a potem zejdę na dół i założę sukienkę. Nawet nie chcę jej oglądać, dopóki moje włosy całkowicie nie wyschną.

- To chyba dobry plan-zgodził się Lucas.

- Ale teraz-trochę cię poprzytulam, panno Jessiko Cain - oświadczyła Emma i objęła córkę. - Dziękuję ci, kochanie. Jaki wspaniały świąteczny prezent.

- Cała przy emność po mojej stronie, mamó - odparła Jessie. Po chwili, wiedzioną skrupulatną uczciwością, której nauczyła się od swoich rodziców, wyznała: - To był pomysł taty.

Emma nie była w stanie spojrzeć na niego. Wszak przyrzekła sobie, że nie będzie się dręczyć ani ponurymi myślami, ani rosnącą nadzieją. Skupiła wzrok na czymś innym, podczas gdy Lucas zaproponował Jessie, żeby popędziła na dół i przygotowała się do pokazu mody. Obiecał, że sam zaraz zejdzie, ale najpierw musi porozmawiać z mamą.

Kiedy byli sami, a Lucas stanął przed Emmą, ona wciąż miała spuszczone oczy.

- O co chodzi, Em?

- O nic. Po prostu... naprawdę jestem wzruszona.

- Myślę, że jest coś jeszcze - szybko zripostował Lucas. - Wolałabyś tego nie robić? Przecież nie musimy.

- Ależ chcę. - Emma w końcu popatrzyła na Lucasa, na jego kruczoczarne włosy, posrebrzone promieniami porannego światła. Lucas w wieku czterdziestu lat. - A ty?

- Oczywiście, że chcę. To był mój pomysł, pamiętasz?

- Dlaczego? - zagadnęła, uzbrajając swoją psychikę, przygotowując serce do usłyszenia prawdy: że to tylko interesy, okazja, by przy szampanie obracać się w towarzystwie najbogatszych mężczyzn i kobiet na Wyspach Brytyjskich, kolekcjonerów sztuki, potencjalnych klientów, których Lucas miał poznać zgodnie z życzeniem Timothy'ego Asquitha. - Dlaczego, Luc?

- Dlaczego? - powtórzył, dotykając jej, wodząc zręcznym palcem po wgłębieniu jej policzka. Ten dotyk był jak szept, ale rozgrzał jej policzki, jej krew, jej serce. - Cóż, nigdy nie wyjeżdżaliśmy razem tylko we dwoje, przynajmniej od ślubu. Nigdy nie mieliśmy miesiąca miodowego. No i pora wydawała się idealna.

- Pora?

- Po Bożym Narodzeniu zawsze sprawiasz wrażenie trochę przygnębionej.

- Naprawdę? - Czy odliczałam Boże Narodzenia przez wszystkie te lata, bezwiednie rozpaczając nad utratą każdego z nich i w jakiś sposób ujawniając smutek mężczyźnie, który tak dobrze mnie zna?

- A nie jest tak?

- Chyba rzeczywiście jestem smutna.

- Więc zrobmy to, Em. Powitajmy nowy rok radośnie i hucznie. Ten rok powinien być dla nas udany. To będzie cudowny rok. - Uśmiechnął się. - Dobrze?

- Tak, dobrze.

Teraz jej serce tańczyło, wirowało, podskakiwało, ale w końcu zgasła jej myśl, że będzie z nim sama przez cały weekend. Co mu powie podczas tego miesiąca miodowego w Londynie?

Tu, w Hyacinth House, rozmowa była możliwa. Z łatwością, swobodnie gawędzili o szczególnych nawykach swoich gości albo o strzyżeniu żywołotu czy jadłospisie na niedzielny obiad. Zdarzały się też o wiele poważniejsze konwersacje, te, które naprawdę się liczyły, dotyczące córki, ich miłości do niej, ich nadziei, ich marzeń.

Któregoś dnia, być może właśnie w nadchodzącym roku, przedyskutuje z Lucasem sposób, w jaki przekażą Jessie wszelkie informacje - i ostrzeżenia - jakie powinna otrzymać każda dziewczyna stająca się kobietą. O miłości. O seksie. O gwałtownych popędach młodych mężczyzn i romantycznych wyobrażeniach nastoletnich dziewcząt.

Emma i Lucas wiele wiedzieli o takiej nierozważnej namiętności.

I kiedy będzie naradzała się z Lucasem co do tych rodzicielskich rad, Emma będzie taka dojrzała, tak straszliwie obiektywna, że nawet nie zaboli jej serce, kiedy rozważy z nim, jak powie córce, aby uniknęła takiego romantycznego błędu, który oni kiedyś popełnili.

Do tej rozmowy dojdzie niebawem i Emma postąpi jak dorosły człowiek - jak dojrzała kobieta, żona, matka będzie mogła coś powiedzieć mężowi podczas weekendu piosenek miłosnych w Londynie...

Ale teraz, w jasno oświetlonym pokoju, Emma znowu miała dziewiętnaście lat i pragnęła tylko być blisko niego, oddychać powietrzem, którym i on oddychał, czuć jego chłodny cień. I była tak oszołomiona, że nie mogła wydusić ani słowa.

Oszołomienie odebrało mowę obojgu. Lucas wpatrywał się w żonę, zachwycony jej urokiem. Jej wilgotne po prysznicu włosy zaczynały się kręcić, okalając twarz niesfornymi puklami. Emma rzadko mówiła o sobie, a zwłaszcza o swoim wyglądzie, ale kiedy była do tego zmuszona - na przykład gdy on mówił jej, jak bardzo podobają mu się jej włosy - w odpowiedzi Emmy wyczuwało się prawdziwe zaskoczenie. Beznadziejnie potargana strzecha, mruzczała, marszcząc czoło w odruchu lekceważenia dla samej siebie. Przecież wiesz, Luc. Bez względu na długość i na to, jak bardzo staram się je ujarzmić.

Potargana strzecha z tkanego złota, odpowiadała, znowu budząc w niej zakłopotanie. A po cichu dodawał: wybują symbol ciebie, moja śliczna Emmo. Naturalny, pozbawiony afektacji i lśniący.

Och, Em, jak ja cię kocham. Ciekaw jestem, czy masz pojęcie, jak bardzo.

Nie, pomyślał Lucas, kiedy stali niemi i oszołomieni w ten świąteczny poranek. Naturalnie, że nie wie, nie może wiedzieć... ponieważ ja nie jestem w stanie wyznać jej najbardziej druzgocącego dowodu swojej miłości.

Lucas chciał ją zabrać do łóżka, już teraz, żeby kochać się z nią, żeby ich bliskość nie zostawiała ani trochę miejsca na tajemnicę.

Ale zawsze będzie między nimi tajemnica - jego tajemnica - zdrada, która mogłaby na zawsze zniszczyć urną promiennosc jej błyszczących niebieskich oczu. A ich córka była na dole i czekała, aż jej matka zaprezentuje szatę z cekinami w kolorze bzu i lawendy. Teraz, kiedy milczenie się przeciągało, Lucas zobaczył, że po ślicznej twarzy Emmy przemyka cień zakłopotania, jak gdyby jakimś sposobem wyczuła niebezpieczny mrok tajemnicy, której on musiał dochować na zawsze.

Dlatego Lucas uśmiechnął się i wyszeptał:

- Szczęśliwych świąt, Em.

To była prywatna świąteczna tradycja, zapoczątkowana przed dwunastoma laty między naiwną, romantyczną angielską dziewczyną i jej atrakcyjnym, nierozważnym, amerykańskim mężczyzną

Teraz ta angielska dziewczyna uśmiechnęła się, wciąż naiwna, wciąż romantyczna. A potem szepnęła, jakby to ona była jankeską: - Wesołych świąt, Luc.

Mówi Cole, Claire. Wesołych świąt. - Cole - szepnęła, ściskając słuchawkę i zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy jest tylko wytworem imaginacji. Od momentu, gdy zniknął w śnieżnej nocy, dręczyły ją pragnienia, nadzieje, marzenia. Była obolała, zrozpaczona, umierająca. - Wesołych świąt. Jesteś w Londynie?

- Tak.

- Połączenie jest takie wyraźne. - Jeśli słuchasz uważnie, Cole, to usłyszysz bicie mojego serca. To ten oszałały, trzepoczący, narastający dźwięk. - Spędziłeś Boże Narodzenie przyjemnie?

- Jasne. Jadłem kolację z zespołem. A ty?

- Byłam z Millicent Theriot - prawdopodobnie pamiętasz ją ze szkoły -i z jej rodziną. - Dlaczego do mnie dzwonisz, Cole? Proszę cię, powiedz mi to szybko, żeby moje serce znowu mogło zwolnić. Ono już boli, nie może złapać tchu, błaga, by pozwolono mu smuć się spokojnie jak dawniej.

Ale słowa Cole'a nie zwolniły tempa rozpedzonego serca Claire. Wręcz przeciwnie, stały się wyzwaniem. O ile szybciej jesteś w stanie bić? Jak długo jeszcze potrafisz utrzymać to zabójcze tempo, balansując na skraju wyczerpania, na samej krawędzi nadziei?

- Przyjedź do Londynu, Claire. Przyjedź zaśpiewać ze mną. Będziemy śpiewali w duecie, tak jak zawsze planowaliśmy. - Tak jak ty zawsze marzyłaś. To było twoje marzenie, Claire, marzenie, które tak szczerze dzieliłaś ze mną, jedyne marzenie, które teraz mogę ci dać w zamian.

- Ja... Cole, ty chyba...

- Co? Chyba nie mówię poważnie? Ależ mówię poważnie. Dużo o tym myślałem. Teraz kolej na ciebie.

- Nie.

- Nie?

- Nie. Nie muszę o tym myśleć. - Nie jestem w stanie o tym myśleć. -Ale przyjadę do Londynu, żeby z tobą zaśpiewać.

- Począwszy od sylwestra? W Royal Albert Hall?

Royal Albert Hall? Na koncercie z Cole'em? Już za sześć dni? Claire zareagowała beztrąsko, chociaż przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Czemu nie?

W tym momencie stado małych ptaków, które trzepotały w jej piersi - i brzmiały jak burza w jej uszach - na krótko uspokoiło się, tak że była w stanie usłyszeć z cudowną wyrazistością szczęście w jego głosie.

- Tak się cieszę - powiedział cicho.

- Ja... ja też. Londyn.

- Byłaś już tam, prawda? Kiedy odwiedzałaś Sarah.

Cole nie musiał dokładnie określać daty pobytu Claire w Londynie. Oboje wiedzieli, kiedy to wyczekiwane spotkanie korespondencyjnych przyjaciółek miało nastąpić - letnią porą, przed dwunastoma laty, sześć miesięcy po tym, jak opuścił Harlanville.

- Tamtego lata jednak nie pojechałam do Londynu. Straciłam kontakt z Sarah. - Straciłam Sarah tak samo, jak straciłam ciebie, i to w ten sam grudniowy dzień. Oczekiwałam od niej zbyt wiele, zbyt wiele wymagałam od naszej przyjaźni, i tamtego lata zamiast polecieć do Europy zostałam w domu z ciocią Augustą - na wypadek, gdybyś wrócił.

- Ale wiesz o Sarah, prawda? Że jest dziennikarką, korespondentką wojenną?

- Tak, wiem.

- A czy wiesz również o tym, że począwszy od stycznia będzie główną prezydentką wiadomości z Londynu?

- Tak. - Głos Claire zdradzał, że się uśmiecha. - Wiadomość o tym jest ogłaszana mniej więcej co pół godziny w Global News Network.

- Podczas pobytu tam będziesz chciała się z nią spotkać, prawda? Czy chciałabym? Tak. Ale...

- Nie, nie sądzę.

- Co się stało, Claire? Byłyście sobie takie bliskie.

Byłam również tak blisko ciebie, Cole. Kochałam cię. Claire zadrżała, jakby pod wpływem lodowato zimnego ostrzeżenia. Nie możesz wrócić do tamtej miłości. To się skończyło. Zbyt wiele zaszło. Zbyt wiele się zmieniło. Ty się zmieniałaś. On prosi cię, żebyś z nim zaśpiewała, to wszystko. Nie waż się wyobrażać sobie czegoś więcej.

- Claire?

- Po prostu dorostaliśmy i już. Oddaliśmy się od siebie.

Oboje umilkli, przypominając sobie dwoje innych najlepszych przyjaciół, zbuntowanego chłopaka i niewinną dziewczynę, którzy dorośli i oddalili się od siebie, a potem, w pewien przepiękny księżycowy wieczór jeszcze raz się zeszli.

- A zatem - głos Cole'a przerwał ciszę swym uroczym, delikatnym brzmieniem - kiedy mam po ciebie przyjechać?

- Och. Nie musisz tego robić?

- Chciałbym.

- To naprawdę nie jest konieczne.

Jak spokojnie to mówiła. Jak gdyby była doświadczoną podróżniczką, jak gdyby od wypadku zaliczyła tysiące niewidzialnych mil. W rzeczywistości Claire nigdy dotąd nie leciała samolotem, ani przed, ani po wypadku.

Skąd zatem brał się spokój w jej głosie? Z jakiejś głęboko ukrytej mądrości, która pozwalała jej zrozumieć, dlaczego musi polecieć do Londynu sama - po to, by mogła wrócić do Harlanville sama, kiedy nie będzie już mogła znieść więcej, kiedy bycie z Cole'em i niemożność ujżenia tego, co mówią jego szare jak kamień oczy, ostatecznie okażą się bardziej bolesne niż widmo przeżycia reszty dni bez niego.

Wtedy Claire opuści Londyn i odbędzie długą podróż powrotną do Luizjany w ten sam sposób, w jaki odbywała nawet najkrótsze wyprawy - odtwarzając starannie odliczane kroki, które ją tam sprowadziły. A czy mogła odtworzyć te niezatarte wspomnienia z podróży do Londynu mając u boku Cole'a?

Nie, doradzał jej głos mądrości. Nie mogłabyś. Gdyby Cole ci towarzyszył, twoje serce - ta dziko kołająca istota - nie byłoby w stanie dostarczyć twemu mózgowi dość tlenu, by zarejestrował jakiegokolwiek wspomnienia

- Dam radę sama, Cole. Dziękuję ci.

- Ale przynajmniej chciałbym wyjechać po ciebie na lotnisko. Czy tak będzie dobrze?

Czy będzie? Claire zastanawiała się nad tym. A może jego pojawienie się u kresu podróży pokrzyżuje jej ostateczną ucieczkę, wymazując nawet te dawne wspomnienia, jak gdyby były one równie nietrwałe, jak owa dróżka z okruszków, wysypana przez Jasia i Małgosię. Z pewnością nie. A kiedy już znajdzie się w Londynie, w razie potrzeby będzie mogła przećwiczyć ostatni etap podróży: jazdę taksówką z lotniska Heathrow do hotelu Drake przy Hyde Parku.

Ustalili, że Cole wyjedzie po nią na lotnisko. Ona zaplanowała przylot na trzydziestego i miała mu podać numer lotu i porę przybycia, jak tylko dokona rezerwacji. Zakończyli tę bożonarodzeniową rozmowę dość nagle, za sprawą Claire, która poczuła, że musi jak najszybciej się pożegnać.

Już i tak zaczęła nerwowo dygotać, w równie niebezpiecznym tempie, co jej kołające serce, a teraz nękał ją jeszcze chłód wåtpliwości.

Nie dasz rady tego zrobić. Nie jesteś w stanie. Bycie niewidomą w Har-lanville to jedna rzecz. Znałaś to miasto tak dobrze, że mogłaś się w nim poruszać z zamkniętymi oczami nawet po zapadnięciu zmroku. Ale Londyn? Europa? Czyś ty zwariowała?

A co z Cole'em? Chłopak, którego kochałaś - no, dobrze, mężczyzna, którego wciąż kochasz - jest teraz supergwiazdą, a także człowiekiem interesu. Jako utalentowany muzyk słyszy, tak jak ty, wspaniałą harmonię waszych głosów. Ale co będzie, jeśli rzesze jego wielbicielek nie polubią tych duetów, nie zechcą dzielić kuszącej intymności z żadną inną kobietą? Co wtedy? Ile czasu upłynie między chwilą, w której Cole, człowiekiem interesu, zapragnie twojego odejścia, i chwilą, w której ty wreszcie domyślisz się prawdy? A jeśli nawet te duety zostaną dobrze przyjęte, czy nie będziesz się zastanawiała o każdej porze dnia, jakie uczucia kryją się w szarych cieniach, których nie możesz ujrzeć? Czy nie będziesz wiecznie się zastanawiała, co wyrażają jego oczy - gorącą litość, a może zimne obrzydzenie?

Pytania bombardowały ją niczym zdalnie sterowane rakiety, które znajdowały cel w jej sercu. Jak mogła się bronić przed tak zajadłym - i tak logicznym - atakiem?

Tylko jedną, delikatną bronią, wykonaną ze szkła i znajdującą się na stoliku obok łóżka, a także wspomnieniami miłości.

Claire wędrowała do swojej sypialni mnóstwo razy i zawsze stąpała w ciemnościach bardzo pewnie. Jednak teraz zachwiała się i potknęła, a potem przewróciła o mebel, który nie był przesuwany od sześciu lat. Nagle przestała panować nad wyczuciem kierunku, tak jak nie panowała nad emocjami. Jakiś niewidzialny magnes niszczył jej wewnętrzny kompas.

Jakiś magnes? Nie, tylko jedna osoba. Był nią Cole, za sprawą którego cały świat wymknął się jej spod kontroli.

Kiedy Claire w końcu dotarła do sypialni, objęła drżącymi palcami gładką kulę wypełnioną sztucznym śniegiem. Uspokajała się, dotykając szkła; czerpała ciepło i siłę ze wspomnień o zamieszkującej to wnętrze miłości. Wspomnienia o Cole'u tańczyły pośród malutkich płatków śniegu, których nie mogła zobaczyć, a szkło przechowywało jeszcze pamięć o ciotecznej babce, którą Claire bardzo kochała.

W okresie między zniknięciem Cole'a i śmiercią cioci Augusty relacje między paniami Chamberlain zmieniły się, dojrzały, pogłębiły i wzbogaciły.

Nie były już dla siebie nawzajem cioteczną babką i siostrzenicą, ale po prostu dwiema kobietami, pod wieloma względami podobnymi do siebie, zwłaszcza jeśli chodziło o mężczyzn, których kochały. Augusta opowiedziała Claire o swoim ukochanym chłopaku, o tym, jak bardzo była zadowolona, że mogła mu się oddać, zanim zginął, i o tym, jak zawsze żałowała, iż ta zakazana namiętność nie przyniosła owocu w postaci dziecka.

- Och, ciociu Augusto - szepnęła Claire w ciemności. - Czy naprawdę dam radę to zrobić?

Tak. Odpowiedzią nie był głos, lecz ciepło i siła płynące ze szklanej kopyły, którą tak mocno ścisnęła w dłoniach. Dasz radę, Claire. I musisz to zrobić. Idź do niego. Bądź z mężczyzną, którego kochasz - i kochaj go tak, jak możesz i jak długo się da.

- Zrobię to - przyrzekła Claire. - Zrobię.

Claire miała wrażenie, że ciepło pod jej rękami jest jeszcze większe i że rozciąga blask w powietrzu. Czuła, że się unosi, unosi... aż w końcu znowu była nad niebieskimi głębinami rozlewiska, spowita wonnym, parującym żarem.

To był ten czerwcowy dzień sprzed wielu lat, kiedy poznała Cole'a. Jakaś tajemnicza magia sprawiała, że Claire czuła się dokładnie tak, jak wówczas: była bezgranicznie zdumioną istotą zdolną do niezłomnej radości, ośmioletnią dziewczynką, która nie wiedziała, co to strach.

Lecę do Londynu. Ta odważna zapowiedź padła z ust tamtej dzielnej dziewczynki. Claire wręcz czuła, jak dumnie unosi swój niegdyś piegowaty podbródek. Będę z nim śpiewała i kochała go, i dam mu jedyny podarunek, jaki mogę dać. Ten dręczący smutek wciąż mieszka w jego sercu. Wiem, że tak jest. Teraz mam szansę uleczyć tę obolałą ranę i dokonam tego.

Claire uśmiechnęła się promiennym uśmiechem dziewczynki, która kiedyś wierzyła we wszystkie marzenia.

I może, no, może, kiedy będę w Londynie, zdobędę się nawet na odwagę, żeby zadzwonić do Sarah.

Sarah, Sarah, Sarah. Gdzie jesteś, suko, w ten świąteczny wieczór? Wpatrzone w nóż o wyszczerbionym ostrzu oczy zabójcy załśniły i wydawało się, że błyszcząca broń odpowiada migotaniem, srebrzystą obietnicą pociętego ciała, rozlewu karmazynowej krwi, triumfu i strachu. Ciesz się Bożym Narodzeniem, lady suko. To będą twoje ostatnie święta.

12

Scotland Yard Poniedziałek, 26 grudnia

Może konsultant FBI doradzi jej opuszczenie Londynu, ucieczkę do miejsca nękanego wojną, dokąd zabójca nie mógłby albo nie zdecydowałby się za nią udać.

To przypuszczenie pojawiło się w umyśle Sarah już nie pierwszy raz, i teraz, kiedy jej limuzyna podjeżdżała pod siedzibę Scotland Yardu, żeby dowieźć ją na zaplanowane na godzinę pierwszą

spotkanie, wywoływało jeszcze większą nadzieję. Może ten konsultant wręcz będzie nalegał na jej wyjazd.

Sarah nie obawiała się zabójcy, tylko Londynu. Jej decyzja o powrocie do tego miasta, decyzja o życiu wśród wszystkich jego upiórów i demonów, wydawała się dość śmiała. Jednak w istocie rzeczy był to ostateczny, konieczny akt desperacji.

Zdecydowała, że pozwoli sobie tylko na jeden weekend w Paryżu raz na miesiąc - tylko jeden weekend całkowitej ucieczki. I powita nowy rok mocnym postanowieniem, żeby w ogóle przestać pić, i z czasem stanie się mocniejsza, twardsza, odporniejsza. Może lepsza?

Nie, nie lepsza. Ale, miejmy nadzieję, przynajmniej chociaż trochę będzie panowała nad swoim życiem. Długo, zbyt długo, poruszała się na skraju szaleństwa i korzystała z każdej sposobności, by ukrywać się, uciekać, nie być sobą, nie być Sarah.

A co to oznaczało, ów brak kontroli, ta systematyczna negacja - zagłada- samej siebie? To oznaczało, że tamci wygrali. Oni. Jej mąż, jej rodzice, trzech brutalni nieznajomi. Wszyscy sześcioro nie żyli. Ale ich upiory wciąż jąniszczyły i zmuszały do tego, by wymierzała karę samej sobie.

Sarah musiała odzyskać część tego, co jej zabrali. Musiała, bo inaczej pozostałoby jej w końcu tylko szaleństwo. Już i tak ilość miejsc na ziemi, gdzie Sarah Pembroke była w stanie przetrwać, uległa drastycznemu ograniczeniu

Oczywiście istniała wojna, miejsce, gdzie Sarah czuła się najbezpieczniej. Pole bitwy było dla niej azylem, gdzie nigdy nie poddawano w wątpliwość jej zdrowia psychicznego, ponieważ wszystko było tam nienormalne, i gdzie, jak sądziła, mogła przydać się światu. A kiedy nie żyła w bezpiecznej izolacji spowodowanej wojennym obłędem? Uciekała do Paryża i jako anonimowa Francuzka błąkała się po ulicach z rozpuszczonymi włosami i w jaskrawych strojach.

Podczas swoich pobytów w Mieście Światła, tak jak w odległych, skąpanych we krwi regionach, Sarah Pembroke nigdy nie brała alkoholu do ust. W Paryżu nie odczuwała potrzeby picia... aż do spotkania z nim... z Jacquesem.

Paryż przestał być bezpieczną przystanią. On był tutaj i nawet kiedy opuścił hotel Ritz, wciąż można go było znaleźć. Musiała tylko poprosić portiera o przekazanie listu mężczyźnie, który zapłacił za pokój, z którego ona sama czmychnęła w samym środku nocy.

I co potem? Czy miała pójść do niego i wyznać wszystko? Każde kłamstwo i każdą prawdę? Czy miała mu powiedzieć, że żaden inny mężczyzna nie wywołał w niej takich uczuć, jak on? Takiego poczucia bezpieczeństwa. I takiego strachu. Czy miała przyznać, że bała się jego dotyku, że miała powody, by się go bać, a jednocześnie pragnęła tego dotyku - i że kiedy doznawała tak czułej pieczy, jej własne rozdygotane pożądanie napępniało ją całkowicie nowym strachem?

Takie wyznania były niemożliwe. Sarah wiedziała o tym. Ale jej cień, Francuzka, która była prawie wolna, nie podzielała w pełni tego przekonania. Nie można było jej ufać. Mogła spróbować odnaleźć mężczyznę, który nazywał się Jacques. Co oznaczało, że Paryż nie był już miejscem bezpiecznym, nawet przez jeden weekend w miesiącu.

Sarah będzie musiała pozostać w Londynie, każdą noc i każdy dzień, bez nadziei na ucieczkę zmagając się z duchami, które wyrządziły tyle szkód. Zamierzasz stawić im czoło bez alkoholu, szydził jej wewnętrzny głos. Bez niczego, co uśmierzyłoby dawne wspomnienia bólu - i te nowe, jeszcze boleśniejsze wspomnienia o Jacques'u?

Nie dasz rady. Jesteś zbyt zraniona, zbyt krucha. Ta odwaga obróci się przeciw tobie i wkrótce przekonasz się, że robisz szalony skok - szalony skok, Sarah - ku otchłani, której tak bardzo się lękasz. I będziesz sunęła tak zawzięcie, tak szybko, że siłą rozpędu zostaniesz zepchnięta nad krawędź.

Wybierz swoje szaleństwo, lady Sarah Pembroke. Bezdenną otchłań albo unurzane we krwi sanktuarium wojny.

Może konsultant FBI zaproponuje, żebym wróciła na wojnę, pomyślała opuszczając limuzynę. Jeśli nie, to ja wysunę taką propozycję.

Sarah powitała komisarza Scotland Yardu pełnymi wdzięku przeprosinami.

- Proszę mi wybaczyć moje zniknięcie. Mam nadzieję, że miał pan udane Boże Narodzenie?

- Tak, rzeczywiście.

- Dobrze. Czy ten konsultant FBI nadal przebywa w Stanach?

- Nie, jest tutaj. Nie wrócił do domu. Co przypomina mi, że... - Komisarz wręczył jej kopertę w kremowym kolorze. - Tu jest pani czek.

- Dziękuję - wymamrotała Sarah. - Gdzie on jest? Myślałam, że będziemy mieli wspólne spotkanie.

- Jest w gabinecie parę drzwi dalej. Postanowiliśmy, że najpierw ja spotkam się z panią, żeby wyjaśnić jego rolę w dochodzeniu, a potem zostawię was samych, żebyście mogli omówić szczegóły. Przejdę więc do rzeczy. Jest zainteresowany tą sprawą i wspaniałomyślnie zaofiarował się, że pozostanie w Anglii aż do jej rozwiązania. Ze względu na wiedzę i doświadczenie będzie naszym szefem, a my będziemy korzystać z jego rad i blisko z nim współpracować.

Sarah uśmiechnęła się lekko, ironicznie.

- My wszyscy?

- Pani udział jest niezbędny.

Sarah uśmiechała się nadal, chociaż powoli traciła nadzieję. Nikt nie planował wystać jej na wojnę. Będzie musiała zostać w Londynie, żeby stawić czoło trywialnym pogrożkom bezlitosnego zabójcy i znacznie poważniejszym pogrożkom ze strony swoich bezlitosnych duchów.

- Od tej pory spróbuję być częścią zespołu - obiecała. Komisarz wreszcie się uśmiechnął.

- Dobrze, czy mam zatem przedstawić panią panu Daltonowi?

- Okłamałeś mnie. Poleciałeś za mną do Paryża, nieprawdaż? Dokładnie wiedziałeś, kim jestem, ale udawałeś, że nie wiesz.

- Nie tylko ja udawałem, chérie. Nie ja jeden kłamałem.

- Wyjeżdżam do Paryża, żeby się wyrwać. Jeśli ktoś mnie nie rozpoznaje, tak jak ty to udawałeś, nie ujawniam swojego imienia.

- Nie mówię o tym kłamstwie. - Mam na myśli inne kłamstwa, Sarah. Te istotne. Na przykład udawanie, że się zakochujesz, i obiecywanie, że powierysz mi duszę nękaną koszmarami i swoje sny. A potem ten liścik, Sarah, te kłamstwa zapisane na białutkim papierze. - Nie jesteś mężatką, prawda?

- Nie jestem.

- Nawet nie zachowujesz swojego męża w czułej pamięci?

- Nie.

Stała przed nim i spoglądała na niego z furią. W jej wspaniałych zielonych oczach było coś jeszcze: mroczny cień rozpacz, która była w nich od chwili, gdy szepnęła: „Okłamałeś mnie”. Jack zobaczył teraz ów cień bardzo wyraźnie, pośród płomieni gniewu: ciemność skrywającą ból - nie wściekłość - z powodu jego zdrady.

- Nie wiedziałem, że jesteś w Paryżu, Sarah. - Prawda? Czy jeszcze jedno kłamstwo?

W pewnym sensie prawda. Nie wiedział o tym, w każdym razie nie świadomie. Może jego przenikliwy umysł dostrzegał jakiś trop. A może jego niepokój powodowało coś zupełnie innego - coś niewytłumaczalnego i kapryśnego - i cudownego. Tak czy owak, bez względu na to, czy ich paryskie rendez-vous był konsekwencją jego daru albo czegoś znacznie bardziej mistycznego, stał się możliwy dzięki temu, kim był on i kim była ona... kim byli oboje.

A teraz mężczyzna, którego chłodna logika była tak dobrze znana, dorzucił cicho:

- To było przeznaczenie.

Nie jest moim przeznaczeniem kochać albo być kochaną. Była to przykra myśl, gorzka prawda, i kiedy Sarah przemówiła znowu, jej głos powinien był zabrzmieć ostro i nerwowo. Jednak w

ostatniej chwili zatriumfowała w niej francuska tożsamość, która zdużyła wszelkie oznaki surowości, i Sarah usłyszała w swoim głosie tylko pełną zdumienia nadzieję.

- Przeznaczenie?

- Mais oui.

Jego głos brzmiał jak czuła pieszczota, wypowiedziana pod adresem kobiety, którą kiedyś odważyła się być, paryską oszustką, kobietą-cieniem, dla której haute couture były lśniące tęczowe i falujące czarne włosy. Sarah czuła teraz w sobie jej obecność. Ta kobieta chciała dokonać zuchwałego przewrotu, całkowicie oderwać się od Sarah Pembroke i śmiało - a zarazem z taką radością - rzucić się w otchłań szaleństwa, która była jej jedynym prawdziwym przeznaczeniem. Spadanie trwałoby krótko, ale byłoby wspaniałe. Przez tych kilka olśniewających chwil mogłaby całkowicie puścić wodze wyobraźni. Mogę kochać znowu i nie zostać zniszczona. I mogę być kochana, po raz pierwszy w życiu.

Oui, Jacques, oui.

Nie, rozkazała Sarah. No. Kiedy odezwała się znowu, czar prysł, delikatne odbicie tęczowego cienia znikło.

- Przejdziemy do rzeczy, agencie Dalton?

Jack chciał wziąć w objęcia mocną, a jednocześnie wrażliwą wojowniczkę, która stała przed nim. Szczupłe ciało Sarah było spięte, czujne i ostrożne - gotowe odeprzeć delikatność, która zdawała się zagrażać jej życiu.

Jego wojowniczka była nawet ubrana w taki sposób, jakby miała toczyć bój. Nie był to wprawdzie strój nadający się na pole bitwy, ale miał uroczysty charakter. Bardzo elegancki - i ponadczasowo gustowny - kostium Sarah był czarny jak noc, a jego surowość w niewielkim stopniu łagodziła włożona pod spód kremowa bluzka z jedwabiu. Jej włosy były jak uwięzione; zamiast warkocza noszonego na wojnie, miała lśniący węzełek mocno upięty na karku. Ta spikerska zbroja Sarah miała trochę ozdób: perły w uszach i na szyi, a także bardzo subtelny, nienagannie wykonany makijaż.

Wyglądała jak lady Sarah Pembroke, patronka walki o ważne kwestie, która usłyszała, że Scotland Yard pragnie sponsorować bezpieczny ośrodek dla dzieci uciekających z domów, i pragnie zaoferować swoją pomoc. Jakby chciała odegrać rolę gospodyni wystawnego balu dobroczynnego. Na przykład gali walentynkowej.

Ale Sarah nie została zaproszona do Scotland Yardu, żeby omawiać swoją rolę w oficjalnym przyjęciu, które miało się odbyć w najbardziej romantycznym dniu w roku. Zjawiała się tutaj, by rozmawiać o zabójstwie, które zostało zaplanowane właśnie na ten dzień, morderstwie, w trakcie którego miała być zarówno gospodynią, jak i honorowym gościem.

Teraz chciała przejść do konkretów, omówić z nim czekającą ich bitwę, i była uzbrojona po zęby, okryta niewidzialną zbroją, która stanowiła dla Jacka ostrzeżenie, by zachowywał należyty dystans.

- Nie agent Dalton. Ja jestem tylko konsultantem FBI, osobą prywatną, a nie pracownikiem rządowym. Nazywam się Jack, lady Pembroke... Sarah.

Nigdy nie słyszała, żeby ktoś wypowiedział jej imię z taką czułością, ani jako córka, ani jako kobieta, ani jako żona. W ten sam sposób mężczyzna imieniem Jacques wyrzekł imię Claire, jakby wierzył, że i Claire, i Sarah są takie same, równie wartościowe, że nie są ani zjawą, ani cieniem.

On jest taki niebezpieczny, ostrzegł jakiś głos. O wiele bardziej niebezpieczny, niż prześladowające ją upiory Londynu albo pociski eksplodujące na wojnie. Musisz z nieubłaganym okrucieństwem zwalczać potężną pokusę ofiarowania mu swojego serca, swojego zaufania, swojej miłości. Zbyt dobrze znasz konsekwencje takiej nierozwagi. Jesteś tak strasznie skrzywdzona, tak okropnie rozczarowana, że każdy dar od ciebie zostanie niezwłocznie ci zwrócony. Jakbyś przeżyła coś takiego?

A przecież musisz przeżyć, pamiętasz? To była stała prawda w życiu Sarah, albo może ostateczny dowód jej szaleństwa. W każdym razie Sarah była przekonana, że musi pozostać przy życiu, że jeszcze nie nadszedł czas, by ulec nęcącemu pragnieniu wiecznego spoczynku obok malutkiego grobu w Norfolk.

Jack widział udrękę Sarah i rozpaczliwie chciał ją ratować. Jednak Sarah nie chciała ani jego pomocy, ani miłości, jeszcze nie teraz. Była wręcz nimi przerażona.

Dlatego Jack postanowił skupić swój gwałtowny niepokój na próbie ocalenia jej życia.

- Usiądź, proszę-powiedział cicho.

Siedzieli w gabinecie Jacka, oddzieleni tylko blatem jego drewnianego biurka. Odległość między nimi była niewiele większa od tej w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy rozmawiali przy oświetlonym świeczkami stoliku w paryskiej kawiarni.

Ale teraz nie było świec. I nie było zakochujących się w sobie nawzajem Claire i Jacques'a, tylko Sarah i Jack rozmawiający o śmierci. Jack rozpoczął od prośby, która wprawiła ją w zdumienie.

- Powiedz mi, dlaczego przekazałaś tamten list Scotland Yardowi.

- Bo wydawał się tak pełen zła.

- Serce jest symbolem romansu, miłości, i chociaż to serce jest odbite w czarnym atramencie, mimo wszystko jest stylowe - eleganckie i sympatyczne. Przynajmniej takie określenia usłyszałem, kiedy pokazałem je kilku kobietom w Quantico. Uważały, że jest bardzo piękne i nie od razu skojarzyły je z przemocą. Ale ty dokonałaś tego skojarzenia. Dlaczego?

Ponieważ dla mnie miłość i przemoc zawsze były powiązane ze sobą.

- Po prostu wydało mi się złowieszcze, groźne. Może z racji swojego zawodu jestem bardziej wyczulona na niebezpieczeństwo.

Teraz to Jackowi udało się zaskoczyć rozmówczynię.

- Bardziej wyczulona niż Paulina Bliss albo Ashley Alexander? Sarah zmarszczyła brwi.

- Paulina Bliss i Ashley Alexander?

- Poznajesz ich nazwiska?

- Tak. Oczywiście. - Sarah wiedziała, że obie były sławnymi aktorkami, chociaż nigdy nie widziała filmów z ich udziałem. Sarah Pembroke wolała ucieczkę w alkohol - albo podróże do Paryża czy na wojnę - a nie do świata celuloidowych fantazji, oferowanego przez Hollywood. Nie wiedziała, że te aktorki zmarły, ani tym bardziej, że zostały zamordowane. Czternastego lutego zeszłego roku i przez kilka poprzedzających tę datę miesięcy znana dziennikarka przebywała daleko stąd, pogrążona w innej brutalności, która przyćmiła miasto blichtru w tamten romantyczny dzień. -Nie miałam pojęcia...

- Obie kobiety były bardzo bystre i całkowicie świadome zagrożeń wiążących się z ich sławą, a poza tym nigdy nie wahały się kontaktować z policją, ilekroć jakieś wydarzenia czy ludzie budziły ich niepokój. Obie otrzymały taki sam list, jak ty. Ale żadna z nich nie powiadomiła policji ani nawet wynajętych przez siebie prywatnych firm ochroniarskich. Sarah wzruszyła ramionami.

- Może jestem medium. Jak ty.

- Medium?

- Według komisarza, jesteś ekspertem od morderstw. Powiedział, że jesteś w stanie odkryć tożsamość zabójcy nawet w przypadkach, kiedy inni są bezradni. Wywnioskowałam z tego, że masz z nimi jakiś psychiczny kontakt

- Nie. Stosuję logikę, rozwiązywanie problemów, a nie psychologię.

- Wierysz, że istnieje metoda na wszystko, nawet na obłąd morderstwa?

- Właśnie w to wierzę - potwierdził Jack. - Jest to przeświadczenie, które wymaga rygorystycznej koncentracji na szczegółach, Sarah, nawet na tych, które są pozornie nieistotne. I to dlatego teraz naciskam na ciebie, chcąc się dowiedzieć, dlaczego wyczułaś niebezpieczeństwo. Czy ten symbol wyzwolił coś w tobie? Odległe wspomnienie jakiegoś czarnego serca?

- Nie. Nic szczególnego. - Po prostu całe życie spędzone na próbach kochania ludzi o czarnych sercach.

- Dobrze - ustąpił Jack, dość łatwo, ponieważ tego właśnie chciała, a jednocześnie z zakłopotaniem, gdyż wiedział, że ta pełna tajemnic kłamiąca kobieta coś przed nim ukrywa. - Zatem idźmy dalej. Chcę, a raczej powinienem ci podać kilka faktów dotyczących tamtych morderstw. Obie aktorki

otrzymały trzy listy. Żadna nie zachowała kopert, ale wystąpiła bardzo wyraźna konsekwencja w otrzymywanych listach. Najpierw sama odbitka czarnego serca, dokładnie taka, jaką ty dostałaś. Potem dodatek w postaci wydrukowanych słów - „Bądź moja” na zapewne drugim w kolejności liście i „Walenty” na trzecim.

- Nie mogę uwierzyć, że te listy nie wydały im się groźne.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że każda z tych kobiet sądziła, iż wie, kto przysłał te listy, i dlatego nie czuła się zagrożona. W istocie obie знаły zabójcę. Każda z nich wpuściła go do swojego domu w wieczór czternastego lutego i wypła z nim butelkę szampana, zanim zginęła. - Jack starał się mówić chłodnym tonem profesjonalisty. Jednak w tym momencie w jego wyobraźni zrodził się niezmiernie osobisty i niewymownie bolesny obraz: Sarah pijąca szampana, by móc znieść jego dotyk... jakby to on był zabójcą, jakby to on planował brutalne zamordowanie jej ślicznego serca. - Zabójca wydaje się cierpliwy, wyrachowany, zorganizowany. Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że zamierza zaatakować jeszcze raz, w dzień św. Walentego. To będzie ktoś, kogo będziesz znała, Sarah, ktoś, kogo będziesz chciała gościć w swoim domu.

W takim razie on nie istnieje. Nie było nikogo, żadnego mężczyzny i żadnej kobiety, których Sarah mogłaby chętnie wpuścić do sterylne go miejsca nazywanego przez siebie domem.

- Wciąż mówisz o tym zabójcy „on”. Czy on... czy one były...? Nie zadrzała w widoczny sposób, ale Jack wyczuł u niej spazm lęku.

Wcześniej, kiedy lady Sarah Pembroke wypowiadała słowa związane ze śmiercią - morderstwo, zabójca, ofiara - tego lęku się nie wyczuwało. Wymawiała te słowa bez wysiłku i bez jakiegokolwiek obawy. Bezosobowym, analitycznym tonem. Jak wojowniczką-dziennikarką podczas pracy.

Teraz jednak pojawił się lęk, a dotyczył słowa, którego nawet nie wypowiedziała. Czy było to dla niej określenie, które przywoływało na pamięć inwazję bardziej intymną, bardziej brutalną, niż śmierć?

- Zgwałcone? - dokończył spokojnie Jack. -Nie. Nie zostały zgwałcone. To, że zabójca jest mężczyzną, to tylko domysł, chociaż ma pewne podstawy.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnych dowodów, żadnych śladów jego bytności?

- Żadnych odcisków palców, żadnego śladu warg, krwi czy skóry -absolutnie nic. Kieliszek do szampana ofiary był pusty. Ale kieliszek zabójcy był pełny i starto z niego wszelkie odciski. Policjanci sądzą, że pili razem, ale przed wyjściem on umył i ponownie napełnił kieliszek.

- Policjanci - powtórzyła Sarah. - Ale nie ty.

- Ponowne napełnienie kieliszka wydaje się dosyć dziwnym i wykalkulowanym posunięciem. Jakby chciał stworzyć wrażenie, że nic nie pił.

- I w ten sposób zostawić ślad? Mimo że tak bardzo uważał, żeby nie zostawić żadnych śladów?

Jack uśmiechnął się.

- Nawet w szaleństwie mordowania jest metoda. Muszę się tylko domyślić, jaka to metoda.

- Ale muszą istnieć jakieś inne ślady. Papier? Maszyna do pisania? Na pewno sam symbol.

- Papier to wysokiej jakości pergamin, sprzedawany we wszystkich markowych sklepach papierniczych, a wliczając adres, który wydrukował na kopercie do ciebie, użyto trzech różnych maszyn do pisania. Jednak symbol jest kluczowym tropem, a raczej mógłby nim być, gdybyśmy byli w stanie ustalić, gdzie został wykonany i przez kogo. Został wyrzeźbiony w kamieniu i jest równie charakterystyczny, jak odcisk palca. Wydział Policji Los Angeles nie może znaleźć w tym mieście żadnych rzeźbiarzy w kamieniu, którzy przyznaliby się do wykonania czegoś takiego, zatem albo zabójca wyrzeźbił ów symbol sam, albo kazał go wykonać gdzieś indziej -może nawet poza granicami USA.

- Na przykład w Hongkongu.

- Tak. - Dokładnie tak, jak w Hongkongu. - Dlaczego to mówisz?

- Z powodu... mojego męża. Mieszkał w Hongkongu, zanim się pobraliśmy, i przywykł do używania ręcznie rzeźbionego stempla zamiast podpisu. Pozostał przy tym zamiłowaniu nawet po powrocie do Anglii. - W swojej wyobraźni Sarah zobaczyła obraz: symbol będący w języku chińskim nazwiskiem Simona Beckwith-Jonesa, wytłoczony złotym atramentem i błyszczący jaskrawo na ich akcie małżeństwa. Zbyt jaskrawo. Nawet teraz jego blask powodował oślepiający ból. - Jak myślisz, czy ten zabójca jest bogaty? Czy podróżuje po świecie?

- Czy podróżuje? Może. Bogaty? Myślę, że tak. Wygląda na to, że żadna z aktorek nie odczuwała niepokoju pozwalając mu wejść do domu. Szampan, który pili, nosił nazwę Cristale i prawdopodobnie został zakupiony przez niego, i najwyraźniej zjawiał się z różami o długich łodygach. Typowe wizyty w dniu św. Walentego, ale w obu przypadkach dosyć kosztowne.

- I skuteczne - mruknęła Sarah. Oczywiście w jej przypadku nie byłyby skuteczne. Uwiedzenie szampanem i różami? Nigdy. Najwyraźniej zabójca nie znał jej - jeszcze jej nie znał. - To powinno być łatwe, nieprawdaż? Zabójca jest prawdopodobnie mężczyzną z Los Angeles, kimś, kogo poznam do dnia św. Walentego. Przypuszczam, że będzie kimś znanym, jakimś aktorem, dziennikarzem, kimś, kto wymyśli wiarygodny powód, żeby się ze mną spotkać. A ponieważ ostatnim razem żadna z ofiar nie udała się na policję, będzie się czuł całkowicie bezpieczny. Nie będzie miał pojęcia, że go namierzamy.

- To jest idealny scenariusz. I może okazać się taki prosty. Ale on wcale nie musi mieszkać w Los Angeles. Obie aktorki dużo podróżowały, mogły go spotkać gdziekolwiek. Wiemy z całą pewnością tylko to, że był w Los Angeles czternastego lutego zeszłego roku. Nawet list, który dostałaś, nadany z poczty w Beverly Hills, mógł zostać wysłany przez kogoś innego na jego prośbę. On może być już w Londynie, Sarah. To może być ktoś, kogo już znasz i komu ufasz.

Jack spodziewał się, że Sarah przez chwilę zastanowi się nad jego słowami i przeanalizuje listę londyńskich znajomych, żeby znaleźć mężczyznę, który mógł zetknąć się z pozostałymi ofiarami i który cieszył się jej zaufaniem. Jednak Sarah natychmiast potrząsnęła głową.

- Będę potrzebował nazwisk, Sarah - nalegał Jack. - Kochanków, wielbicieli... zwłaszcza tych odrzuconych.

Jej czarnowłosa głowa nie poruszała się teraz przez dłuższy czas. Jednak zielone oczy udzieliły porażająco jasnej odpowiedzi. Nie było takiej listy. Żadnych wielbicieli. Żadnych kochanków. Odrzuconych czy też nie-odrzuconych.

Z wyjątkiem mnie.

- Proszę cię, pomyśl o tym, Sarah. Jestem pewien, że ktoś przyjdzie ci do głowy.

Jack zorientował się, że ją traci. Przez chwilę byli zgraną ekipą, pracowali wspólnie nad rozwiązaniem tej zagadki śmierci, bardzo skupieni, harmonijni w swej determinacji. Jednak kiedy rozmowa przybrała naprawdę osobisty charakter - bardziej osobisty, jak się wydawało, niż grożące Sarah morderstwo - zaczęła się wycofywać pod swoją niewidzialną zbroję.

Jack musiał znowu skłonić ją do zaangażowania, raz jeszcze zmusić jej bystry umysł do skupienia się na bieżącym problemie. I uświadomił sobie, że będzie to łatwe. O wiele łatwiejsze niż prośba, aby ta kobieta wymieniła z nazwiska odrzuconych przez siebie adoratorów. Po prostu musiał się zwrócić do wojowniczkę, nie do kobiety, musiał wciągnąć ją w dyskusję na temat strategii potrzebnej w walce ze śmiercią.

- Może omówimy szczegółowe plany?

- Plany?

- Dotyczące twojego bezpieczeństwa.

- Ależ ja już jestem całkowicie bezpieczna. Powiadomię Scotland Yard w momencie, gdy otrzymam następny list, albo jeśli wyczuję, że ktoś -jakiś stary albo nowy znajomy - próbuje się do mnie zbliżyć. I jeśli nie będzie można go aresztować zawczasu, jeśli trzeba go będzie przyłapać na gorącym uczynku, oficerowie mogą na niego zaczekać w moim domu w dniu św. Walentego.

Jack zezłościł się na nią za tę pogardliwą nonszalancję, ale jego głos był zimny jak lód.

- Oto plany, lady Pembroke. Będziesz strzeżona, chroniona dwadzieścia cztery godziny na dobę. W pracy, w domu i o każdej porze. Z tego, co wiem, system ochrony w Global jest niezwykle szczelny, ale tak czy owak wyznaczę oficera, który będzie przebywał tam z tobą. Będzie to kobieta, oficjalnie pracująca dla ciebie jako asystentka. W innych godzinach będziesz chroniona przez mężczyznę. - Jack machnął ręką, widząc jej natychmiastowe oburzenie z powodu tego, co wydawało się jawną, niezaprzeczalną dyskryminacją. - Ten mężczyzna morduje kobiety, lady Pembroke. On uwielbia je mordować. Mamy już jedną kobietę w niebezpieczeństwie - ciebie - i nie będziemy wystawiać

kolejnej na niepotrzebne ryzyko. Ogromnie by nam pomogło, gdybyś nie bawiła się w gierki z oficerami, którzy mają cię chronić. Ale tym razem będą przygotowani. Nie zgubią cię.

Nie zgubią cię. Nie wyrwiesz się. To były słowa z przeszłości, z tamtego strasznego okresu, kiedy była nieustannie pilnowana. Dla jej własnego dobra, mówili, żeby nie stało jej się nic złego. Żeby nie zrobiła krzywdy samej sobie. Ale nawet wtedy Sarah wiedziała, że trzymano ją w zamknięciu z innego powodu, że były inne osoby - ważniejsze od niej - które chciano chronić. Jej rodzice. Jej mąż. Ukrywając ją, unikali kłopotliwego zażenowania, jakie powodował jej obłąd.

- Nie - wyszeptała Sarah. - Proszę.

Było to ciche, ale pełne desperacji błaganie. Jack uświadomił sobie również, że Sarah nawet nie mówiła do niego. Jej wzrok błędził gdzieś w oddali.

- Sarah?

Jego łagodny głos potrzebował chwili, by dotrzeć do miejsca, w którym się znalazła, ona zaś wróciła do niego również po pewnym czasie.

- Proszę, Jack, nie każ mnie pilnować. Przecież nie jestem przestępczynią, prawda?

- Oczywiście, że nie jesteś.

- A on przecież nie zaatakuję mnie nagle na ulicy. Wyśle mi parę listów przed dniem św. Walentego, kiedy to pojawi się na progu mojego domu z różami i szampanem.

- Prawdopodobnie nie zaatakuję cię nagle - poprawił Jack. - Ale co będzie, jeśli on się zniecierpliwi, Sarah? Albo wpadnie w złość? Jest szaleńcem, a więc osobnikiem nieobliczalnym. Może nie panować nad sobą w taki sposób, jak rok wcześniej.

- Będę ostrożna.

- Ostrożna? A cóż to ma znaczyć?

- Że potrafię sama o siebie zadbać.

- Nosisz ze sobą broń?

- To nie jest Ameryka. My tutaj nie mamy zwyczaju nosić broni. Nie mamy takiej potrzeby.

Lady Sarah Pembroke mówiła mu właśnie, że w przeciwieństwie do niego, mieszka w cywilizowanym kraju; że zrodzone w wyniku rewolucji kolonie najwyraźniej nigdy nie wyrzekły się tego dziedzictwa przemocy. Jack nie zamierzał jej udowadniać, że amerykańskie obyczaje są lepsze.

Ale miał pytanie do kobiety-wojownika.

- Jak będziesz się chronić?

- Skończyłam kurs samoobrony. I jestem silna, Jack. Bardzo silna. -Siedziała przed nim, zdeterminowana i dumna, niczym samodzielna armia, która nie chce polegać na nikim innym. - Będę nosiła przy sobie gaz łzawiący, jeśli to poprawi ci samopoczucie.

- I co zrobisz, Sarah? Jedną ręką naciśniesz spray, a drugą wyrwiesz nóż?

- Nóż?

- Nóż myśliwski.

Jack zakładał, że wiedziała o tym, wyobrażał sobie, że kiedy komisarz poinformował ją, iż będzie następnym celem mordercy, mógł ją zainteresować sposób, w jaki ten potwór zabijał. Najwyraźniej jednak nie była tego ciekawa. Czy rzeczywiście tak obojętnie podchodziła do własnej śmierci? A może była przekonana, że Scotland Yard jest w stanie ją ochronić?

Dotychczas jej śliczne zielone oczy patrzyły na niego odważnie, wyzywająco. Teraz jednak spuściła głowę i wpatrywała się w swoje ręce, które grzecznie położyła na kolanach. Czy myślała o bliznach zakrytych mankietami kremowej bluzki z jedwabiu? O miejscach na jej delikatnym ciele, które już kiedyś zetknęły się z ostrym nożem? Czy to wspomnienie w połączeniu z odkryciem, że szalencie wybrał sobie na broń nóż o wyszczerbionym ostrzu, sprawi, iż potraktuje sprawę ochrony z większym rozsądkiem?

Jack miał taką nadzieję. Ale w oczach, które w końcu zwróciły się ku niemu, znowu ujrzął bunt i osobliwe poczucie triumfu.

- Właściwie - rzekła Sarah - przed nożem łatwiej się obronić. O wiele łatwiej niż przed bronią palną.

- Nie było to łatwe ani dla Pauliny Bliss, ani dla Ashley Alexander, a obie trzymały broń w domach.

- Nie były przygotowane, nie oczekiwały...

- To i tak nie miałyby znaczenia. Chciałabyś zobaczyć, dlaczego? Jack Dalton nie planował pokazywać Sarah Pembroke zdjęć z miejsca zabójstwa. W gruncie rzeczy nawet nie brał takiej możliwości pod uwagę. Teraz jednak wydawało się to nieuniknione.

Była na wojnie, oglądała na własne oczy wszelkie możliwe potworności. Mimo to Jack był przeświadczony, że te fotografie zrobią na niej wrażenie.

I rzeczywiście tak się stało. Na jej ślicznej twarzy zagościł ogromny smutek. Smutek i oburzenie. Ale nie wydawała się ani trochę wstrząśnięta.

A kiedy w końcu się odezwała, mówiła tonem chłodnej analizy.

- Najpierw poderznął im gardła, tak? Zanim zrobił... pozostałe rzeczy.

Pozostałe rzeczy. Zadane w szale pchnięcia, dziesiątki pchnięć. A potem, w trakcie przerażającej ciszy, która nastąpiła po furii, jego ręce, już spokojne, zostawiły idealną odbitkę wyrzytego w

kamieniu serca. Atrament nie był tym razem czarny, ale czerwony, tak jak krew ofiary. No i symbol nie został umieszczony na drogim pergaminie, tylko na jasnej jak kość słoniowa lewej piersi martwej kobiety.

- Potwór-wyszeptała Sarah.

- Tak, Sarah. To potwór. I właśnie dlatego potrzebujesz ochrony dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Sarah położyła kolorowe zdjęcia na dzielącym ich drewnianym blacie, spłótła ręce na podołku, jak dama, i spojrzała mu w oczy.

- Nie, Jack. Kategorycznie odmawiam zgody na tego rodzaju naruszenie mojej prywatności.

- Błahe naruszenie w porównaniu z morderstwem, nie uważasz?

- Ale to ja decyduję, nie uważasz?

W tym momencie Jack Dalton poczuł sporą ulgę na myśl o tym, że nie jest oficjalnym przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych. Gdyby nim był, musiałyby znać wszystkie angielskie przepisy i rozmaite swobody przyznawane na ich mocy, a w dodatku miałyby obowiązek stosować się do tutejszego prawa. Podobnie jak w Stanach, bez wątplenia zakazywano tu używania takich środków jak podsłuch telefonu czy elektroniczny dozór, a może nawet nie pozwalano na osobistą inwigilację.

Ale jako prywatny obywatel Jack Dalton miał na głowie tylko jeden problem: całodobowe bezpieczeństwo lady Sarah Pembroke.

I będzie bezpieczna.

- Wybór należy do ciebie - zgodził się. - Aleja chcę tego potwora, Sarah.

- Ja też go chcę, Jack.

- Dobrze. W takim razie w zamian za swoją prywatność obiecasz mi kilka rzeczy. Musisz być bardzo ostrożna, bardzo czujna. Nie wolno ci wpuszczać do domu nikogo - nikogo - bez uprzedniego powiadomienia Scotland Yardu. I chcę być na bieżąco informowany o listach, telefonach, o wszystkim, co jest choć trochę dziwne, nawet jeśli wyda ci się nieważne. Zgoda?

- Tak, zgoda.

Wydawała się taka pełna nadziei, taka wdzięczna. Okłamuję cię, Sarah. Oszukuję twoją kruchą ufność, twoją delikatną nadzieję. Muszę.

- Nadal jest konieczne, żebym obejrzał twoje miejsce pracy i twój dom. Przykro mi, jeśli to wydaje ci się natrętne. Ale jeśli nagle będziesz potrzebowała pomocy, policja musi wiedzieć, jak bezzwłocznie do ciebie dotrzeć. W porządku?

- Tak.

- No to od czego zaczniemy?

- Muszę wrócić do biura dopiero jutro rano. Czy możemy to zrobić wtedy?

- Zajmiemy się twoim biurem jutro. Ale dzisiaj załatwmy sprawę twojego domu.

13

Jej dom. Sarah nie chciała, żeby Jack kiedykolwiek go zobaczył. Ale Sarah Pembroke zbyt dobrze znała impulsywne niekiedy przejawy szaleństwa. Pomimo iż zabójca zamierzał urządzić rzeź w dzień św. Walentego, mógł złożyć niezapowiedzianą wizytą wcześniej.

Policja musiała mieć do niej dostęp przez elektronicznie zabezpieczone drzwi od frontu budynku, a także dwa zamki na rygle, które zagraadzały drogę do samego budynku.

- Kto jeszcze ma zapasowe klucze? - zapytał Jack, kiedy stali w foyer na górnym piętrze budynku. Trzy korytarze wdzierały się w gładkie granitowe ściany. Jeden, na drugim końcu, wychodził na klatkę schodową i mógł być używany w razie pożaru, drugi umożliwiał wejście do apartamentu Sarah, trzeci zaś, dokładnie naprzeciw mieszkania Sarah, należał do drugiej części, stanowiąc jakby lustrzane odbicie jej apartamentu. - Twój sąsiad?

- Co? Och, nie. Tam nikt nie mieszka. Ten apartament jest pusty.

- Dopóki nie wprowadzi się tam zabójca. - Albo dopóki ja tego nie zrobię. Dopóki ja nie postąpię wbrew twoim życzeniom, kolejny raz.

- Nie wprowadzi się. Nie może.

- Bo?

- Bo to ja jestem właścicielką.

- W porządku - odparł spokojnie Jack. - Zatem wróćmy do sprawy kluczy. Dozorca budynku na pewno ma swój komplet.

- Niema.

- No to ślusarz. Muszę poznać jego nazwisko.

- Dobrze. Ale... szczerze mówiąc, wynajęłam dwóch ślusarzy, każdy z nich zrobił jeden zamek. - Jej spojrzenie wyrażało to, czego nie dopowiedziała: nie ufam nikomu.

Ale Sarah musiała zaufać Jackowi. Będzie musiała dać mu zestaw kluczy, którego nie dała nikomu innemu. Kiedy odwróciła się, żeby otworzyć drzwi, wydawała się przytłoczona jakimś niewidzialnym ciężarem, jak gdyby wielka ręka z nieba napierała na nią, usiłując ją zgnieść.

Jack zobaczył delikatne ramiona, które nie chciały się ugiąć pod tym ogromnym ciężarem. Ta wycieczka po domu mogła zostać zaplanowana na jutro, zanim obejrzeliby jej biuro, albo później. Przez noc Sarah byłaby całkiem bezpieczna. Już on by o to zadbał.

Ale Jack chciał z nią być, z tą kobietą-wojowniczką, która zdobyła jego serce. Cóż za egoistyczne pragnienie, uświadomił sobie teraz. Przecież było oczywiste, że Sarah nie życzy sobie jego obecności.

- Widziałem już wiele zabałaganionych mieszkań - zapewnił ją. - A muszę zobaczyć twoje mieszkanie od środka. Ale jeśli wolisz to odłożyć do jutra rano, po prostu zaczekam tutaj, a ty załatwisz dla mnie zapasowy zestaw kluczy. Naprawdę szanuję twoją prywatność, Sarah. Staram się.

Sarah zawahała się, zanim odpowiedziała na jego propozycję. Oczywiście w jej apartamencie wcale nie było bałaganu. Wręcz przeciwnie. Jak ona sama, mieszkanie było idealnie czyste, wymuskane; każdy przedmiot stał na swoim miejscu. W tym sterylnym, martwym pomieszczeniu mieszkała, a raczej wegetowała, ilekroć znajdowała się w Anglii.

Czy mogłaby je przeobrazić z dnia na dzień? Zdecydowanie tak. Za pieniądze można było zdziałać wszystko. Do jutra rano w mieszkaniu mogłyby się znaleźć meble w jaskrawych kolorach, odpychająco białe ściany dałoby się ozdobić kolekcją pogodnych obrazów, a ponadto można by było poustawiać rozmaite świecidełka i drobiazgi, a każdy wyglądałby tak, jakby był dla właścicielki ważną, drogocenną pamiątką.

Prawdę o jej egzystencji można byłoby zakamuflować za pomocą olśniewającej fasady. Jednak tego rodzaju zabiegi byłyby kolejnym kłamstwem, kolejną maskaradą. W dodatku Jack znowu mógłby poczuć fascynację, tak jak to się stało w Paryżu, za sprawą kobiety-cienia, ubranej w strój w żywych kolorach tęczy.

Nie chcesz, żeby on był zaintrygowany. Nie masz odwagi.

- Nie - odparła wreszcie. - Może być teraz. Proszę, wejdź.

Jack spodziewał się rozgardiaszu i nawet wyobrażał sobie, co zastanie. Sarah oficjalnie zaczynała pełnić swoją nową rolę jako spikerka Global dopiero od drugiego stycznia, dlatego teraz była jakby w okresie przejściowym. Jednak Jack sądził, że wszędzie będą się walały gazety, poranne wydania z całego świata, a także notatki, sporządzone przez nią własnoręcznie na liniowanych bloczkach z żółtymi kartkami. I chociaż nie do końca potrafił sobie wyobrazić stertę brudnych naczyń w

kuchennym zlewie, to kubek z jej poranną kawą mógł przecież chwiać się na szerokiej poręczy przeciążonej kanapy.

Krótko mówiąc, Jack zakładał, że ujrzy dowód na to, że Sarah jest oddaną swej pracy dziennikarką, harującą nawet wówczas, gdy tego od niej nie wymagano.

Jednak powitała go odpychająca schludność, a nie bałagan. Elegancka czystość, podobna do zimnej, surowej elegancji jej wyrzeźbionego w kamieniu serca. Jack zauważył czarny lakierowany stolik, ale nie było na nim śladu porannej kawy. A co do przeciążonej kanapy? Nie było tutaj mowy o obszernej przytulności. Meble w ponurych, hebanowo-kremowych odcieniach aż lśniły od czystości, i nawet jarzące się światło dochodziło z poważnie wyglądającej lampy z czarnej porcelany ze złotymi malunkami.

W salonie lady Sarah Pembroke nie było rozgardiaszu, ani też koloru. Jack zaczął spontanicznie tworzyć w swoim umyśle niechcianą przez nikogo wizję o olśniewających kolorach. Był to obraz logiczny, albowiem dom zamieszkiwany przez Sarah wyglądał jak miejsce, w którym można by było umrzeć. Właściwie śmierć wtopiłaby się w ten ponury pokój, przydając mu koloru i jeszcze więcej elegancji: kryształowe kieliszki do szampana lśniące od złocistego jak miód Cristale, piękny bukiet krwistoczerwonych róż, śnieżnobiałe ciało o kruczoczarnych włosach... i ta najważniejsza ozdoba, najbardziej jaskrawa plama.

Sarah miała coś takiego na sobie w Paryżu: jedwabną apaszkę w kolorze rubinów. Ale tutaj, w scenie śmierci, ten odcień pochodziłby z wewnątrz, byłaby to błyszcząca ciecz, płynąca z poderżniętego jedwabistego gardła; i zamiast mgiełki drobniutkich brylancików pieścących jej włosy, kiedy stała nad Sekwaną, kropelki byłyby czerwone jak szlachetne kamienie -byłyby to rubinowe łzy, szlochające nad ranami wyrytymi głęboko w jej ciele.

Muszę cię stąd wydostać, pomyślał Jack. Bo chociaż planuję powstrzymać zabójcę na długo przed tym, zanim tu się zjawi, ty - twoje serce i twoja dusze - z pewnością tutaj umrą.

Jack starał się nie patrzeć na Sarah, bo nie ufał sobie, nie w tym momencie, jeszcze nie. Sarah od razu wyczytałaby z jego twarzy, jak niespokojne są jego myśli. Zamiast spojrzeć na nią, obrzucił uważnym wzrokiem jej pokój, mając nadzieję, że znajdzie coś, co wyciszy jego niepokój, złagodzi niecierpliwość, z jaką pragnął ją przytulić, chronić, kochać.

Jack sądził, że będą to daremne poszukiwania, aż zobaczył statuetki na czarnym obramowaniu kominka. Ich widok nie sprawił, że jego serce zaczęło bić wolniej, ale przynajmniej stłumił niepokój. Mamy być tutaj razem. Będziemy razem. Któregoś dnia widmo śmierci będzie za nami i nie będzie już więcej kłamstw. Będą tylko prawdy miłości dzielone przez Claire i Jacques'a... i wyznawane, po angielsku, przez Sarah i Jacka.

Obramowanie kominka było masywne. Jednak w tym apartamencie, gdzie było tak wiele ponurej i pustej przestrzeni, wydawało się dziwne, że owe statuetki, w sumie trzynaście, zgromadzono w jednym miejscu. Ale były tam, stłoczone jakby z własnej woli, jak gdyby ta eklektyczna społeczność, złożona ze statku kosmicznego i łabędzia, baleriny i motyla, kolibra i arlekina, pantery i pawia,

dalmatyńczyka i sztyletu, kłowna i kowboja, ożyła i zażądała, by postawić jej przedstawicieli razem. A może przywiódł je tutaj tętent kopyt ich skrzydlatego przywódcy, mitologicznego Pegaza.

Jack wiedział wszystko, co trzeba, o owym zbiorowisku figur, tłoczących się w tym lodowato zimnym miejscu, jakby pragnęły ciepła. Wszystkie zaczęły swój żywot jako małe strużyny, trójwymiarowe elementy, które należało odpowiednio ułożyć, aby tworzyły stylowe, eleganckie figury.

Firma Pegasus Enterprises wypuszczała na rynek nową układankę co roku, pierwszego grudnia, tuż przed początkiem świątecznego szaleństwa zakupów. Najpopularniejsza i najmniej kosztowna była wersja z drewna tekowego. Jednak ponieważ puzzle Pegasus były coraz bardziej cenione, ciągle rósł popyt na wersje z bardziej egzotycznych materiałów - srebra, kryształu, obsydianu i złota. Raz, w limitowanej edycji dla najbardziej zagorzałych kolekcjonerów, ukazała się pierwsza układanka: skrzydlaty koń z białego marmuru.

W końcu Jack odwrócił się do Sarah, kobiety, która najwyraźniej należała do takich żarliwych kolekcjonerów.

- Masz nową? Żaglówkę?

Naturalnie, że miała. Złożyła zamówienie na tę układankę, w wersji z kryształu, już w czerwcu. Po powrocie z Moskwy, jeszcze zanim udała się do swojego gabinetu, gdzie czekał na nią list od zabójcy, poszła do sklepu na Bond Street, żeby ją odebrać. Pragnęła, odczuwała potrzebę trzymania w rękach pudełka z kryształowymi elementami. Jednak odłożyła przyjemność - a może ucieczkę - związaną z ich układaniem. W styczniu, powiedziała sobie, i był to rozkaz, a zarazem obietnica. Wtedy, podczas długich, spokojnych wieczorów w Londynie, będzie tego potrzebowała.

Ale Sarah zapragnęła ułożyć kryształową żaglówkę wczoraj, w Boże Narodzenie, kiedy było dla niej tak ważne, żeby całkowicie zająć czymś swój umysł... i kiedy potrzebowała czegoś jeszcze, co układanki Pegasus dawały jej od samego początku - śmiałej obietnicy, że nawet z tysięcy roztrzaskanych odłamków można stworzyć coś wspaniałego.

Układanie kryształowej żaglówki było doskonałym - i być może jedynym - sposobem na przetrwanie dnia i nocy po tym, jak opuściła mężczyznę imieniem Jacques.

Skończyła układankę tuż przed świtem i temu osiągnięciu towarzyszyła rozpacz, nie triumf. Zastanawiała się, jak spędzi dzisiejszy wieczór. A jutrzejszy? I noc po nim? Sarah nie umiała znaleźć odpowiedzi na te pytania. Nie wówczas. Ale teraz знаła odpowiedź. Spędzi czekające ją długie wieczory na odmawianiu sobie alkoholu i na rozmyślaniach o mężczyźnie imieniem Jack... oraz na przypominaniu sobie, jak bardzo był niebezpieczny dla jej serca.

- Mam tę żaglówkę. Nawet jest ułożona.

- Już?

Jego głos był łagodny. Zauważyła u niego wielką czułość i coś, co wyglądało jak duma z niej. Och, Jack, ale byś się rozczarował, gdybyś poznał prawdę. Gorycz tej prawdy uzbroiła ją w przekorę.

- Zabrało mi to szesnaście godzin, trochę mniej niż przy pozostałych, z których każdą układałam w niecały dzień. Czy to cię szokuje, Jack?

- Wcale nie.

Nie był zszokowany. Nic, co miało związek z nią, nie szokowało go. Ale Jack dobrze znał dane statystyczne dotyczące milionów ludzi, którzy niecierpliwie oczekiwali na doroczną przedświąteczną układankę firmy Pegasus Enterprises. Przeważającą większość klientów stanowili mężczyźni. Czyżby zdolność rozwiązywania takich zagadek była uwarunkowana genetycznie, czyżby stanowiła wrodzoną, zależną od płci umiejętność? A może była nabyta, może była przewidywalnym skutkiem zdeterminowanego płcią życia społecznego? Tego rodzaju pytania były przedmiotem niekończących się domysłów i sporów. Fakt pozostawał faktem: mali chłopcy spędzali niezliczone godziny składając modele łódek, samolotów i aut, natomiast małe dziewczynki nie robiły tego.

Układanki Pegasus pozwalały dorosłym na realizowanie dziecięcych fascynacji, a jednocześnie zmuszały ich do zaprezentowania najwyższych umiejętności. Jako prezent świąteczny dla człowieka, który miał wszystko, figurki stały w gabinetach kierowników na całym świecie, niczym ozdobne trofea, zaświadczające o tym, że ich właściciele posiadli w stopniu mistrzowskim ową tajemniczą zdolność układania ich w całość.

Lady Sarah Pembroke miała swój gabinet. Ale jej układanki były prezentowane tutaj, w surowym, ponurym wnętrzu jej domu. Dlaczego? Zastanawiał się Jack. Czyżby nie chciała zwracać na siebie uwagi? Ta sama rezerwa, która sprawiała, że jej szczodre datki na cele dobroczynne były anonimowe?

A może chodziło o coś innego? Może Sarah martwiła się, że za sprawą tajemniczej zdolności, którą najwyraźniej posiadała, będzie zanadto przypominała wojownika?

A kto dał jej te układanki? Jeden z wielbicieli, którzy, jak utrzymywała, nie istnieli? A może dała je samej sobie jako wyzwanie dla dociekliwego umysłu, którą widział w akcji w swoim gabinecie w Scotland Yardzie?

- Wcale nie jestem zszokowany - powtórzył Jack. - W gruncie rzeczy, jako jeden z właścicieli Pegasusa, jestem zachwycony, że jesteś dostatecznie zadowolona z układanek, skoro masz je wszystkie.

- Jeden z właścicieli? - Jesteś odpowiedzialny za układanki, które tak wiele dla mnie znaczą? Które pomagają mi uciec i dają mi nadzieję?

- Pegasus to rodzinne przedsięwzięcie- moich rodziców, moich sióstr i mnie. Oni wykonują lwią część pracy. Ja jestem tylko królikiem doświadczalnym, testuję produkt w domu. Mój ojciec tworzy puzzle, a potem przysyła mi je do układania, żebym zanalizował każdy element i zdecydował, czy

konieczne są jakieś zmiany. Chcemy, żeby każda nowa układanka była trochę trudniejsza od poprzedniej, ale nie za trudna, żebyśmy nie tracili klientów. Ostatecznie, to jest biznes.

- A ty jesteś biznesmenem w wolnych chwilach?

- Nie, chociaż swojego czasu miałem taki plan. Zacząłem naukę w college'u, myślę o zrobieniu studiów ekonomicznych.

Na jej ślicznej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Ale skierowano cię na boczny tor, w świat zbrodni. Jack uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Tak. Zapisalem się na kurs kryminologii i połąkalem haczyk. To inny rodzaj rozwiązywania zagadek, ale zasada jest taka sama - zaczynasz od pozornie przypadkowego zestawu elementów, które można również określić jako tropy, i starasz się dopasować je wszystkie do siebie.

- Ale...

- Ale?

- Hm, kiedy masz do czynienia ze zbrodnią, nikt ci nie daje elementów, czyli tropów, prawda? Musisz je znaleźć samodzielnie, zdecydować, które z nich ostatecznie da się ułożyć w całość, a które można bezpiecznie odrzucić.

- Dokładnie tak jest. Musisz postępować bardzo ostrożnie, żeby nie odrzucić czegoś tylko dlatego, że wydaje się, iż dany element nie pasuje, a kiedy będziesz uparcie obstawała przy jakimś tropie, kiedy jesteś przekonana, że stanowi on istotną część układanki, musisz znaleźć dla niego miejsce, bez względu na to, jak trudne może się to okazać. Weźmy puzzle Pegasus. Jest tam zawsze kilka elementów, które na pierwszy rzut oka nie mogą pasować, tak jak fałszywe ślady robione przez mordercę dla zmylenia policji.

Cały czas dostajemy listy od klientów, którzy doszli do wniosku, że właśnie tak zrobiliśmy. Czy kiedykolwiek odczuwałaś pokusę, żeby do nas napisać?

- Nie. Ty.. twoja firma... nie zrobiłaby tego.

- Ufasz nam.

Usłyszawszy te słowa, Sarah zmarszczyła brwi w zamyśleniu, a potem uśmiechnęła się niepewnie.

- Tak. Chyba można tak to określić.

Więc zaufaj mi, Jack błagał w myślach kobietę, dla której przyznanie się, że komuś ufa, było jak zdrada samej siebie. Zaufaj mi, abym mógł odnaleźć wszystkie elementy w tej zagadce śmierci. Pomóż mi je znaleźć, Sarah. Podziel się ze mną obserwacjami swojego wnikliwego umysłu. A kiedy rozwiążemy tajemnicę zabójcy o czarnym sercu, ufaj mi nadal, powierz mi najbardziej intrygującą zagadkę. Samą siebie.

Wydawało się, że Sarah odczytuje ten milczący rozkaz i przez ułamek sekundy Jack zobaczył iskierkę nadziei w jej oczach. Potem Sarah znowu zmarszczyła brwi, z roztargnieniem usiłując sobie coś przypomnieć.

- Co takiego, Sarah?

- Pamiętam, że słyszałam - a może czytałam - że tę firmę założył jakiś szesnastolatek. To byłeś ty, Jack, prawda? Właściwie Pegasus należy do ciebie.

- Tak, to byłem ja. Ale od powstania firmy, co nastąpiło trzynaście lat temu, firma należy do mojej rodziny, każdy z nas jest jej właścicielem. Ja tylko dostrzegłem komercyjny potencjał układanki, którą zrobił mój ojciec. Kostka Rubika już była sensacją, a ja uważałem, że skrzydlaty koń mojego ojca jest o wiele bardziej interesujący. Nie mówiąc już o tym, że po ułożeniu przynajmniej jest co pokazać. - Jack wzruszył ramionami. - Po prostu rozwiązałem zagadkę, jak założyć firmę, otrzymać patent i uruchomić dystrybucję produktu - nic wielkiego w porównaniu ze stworzeniem samej statuetki.

Może i nic wielkiego, pomyślała Sarah. Ale to coś doprowadziło do powstania ogromnego majątku, którym Jack podzielił się ze swoją rodziną.

- Twój ojciec nie zrobił Pegaza na sprzedaż?

- Nie. Zrobił go tylko dla mnie.

- Dla ciebie? Dlaczego?

- Z powodów sentymentalnych. Kiedy byłem mały, ciągle robił dla mnie puzzle. Miałem prawie cztery lata i oprócz swojego imienia jeszcze nie umiałem albo nie chciałem powiedzieć prawie nic. Ale moje zdolności motoryczne były ponad wiek rozwinięte. Zamiast zamartwiać się o to, że nie mówię, rodzice skupili się na moich zdolnościach manualnych i, jak sądzę, zdolnościach umysłowych. Nie mieliśmy zbyt dużo pieniędzy, szczerze mówiąc było ich bardzo mało, toteż mój ojciec, z zawodu stolarz, robił dla mnie zabawki. Najpierw wymyślny zestaw klocków do budowania, a potem układanki. Te układanki były o wiele bardziej skomplikowane, niż puzzle sprzedawane wówczas w sklepach, a także bardziej interesujące i bardziej osobiste.

- Osobiste?

- Tworzył sceny z naszego życia, portrety naszej rodziny. Nasz dom, naszego psa, moje siostry, nas wszystkich. Teraz możesz zamówić takie personalizowane puzzle przysyłając odpowiednie zdjęcie. Ale one są wykonane z tektury, w najlepszym razie ze sklejki, a układanki mojego ojca były robione z drewna i wygładzane papierem ściernym, żeby nie wbiły mi się żadne drzazgi, a potem ręcznie malowane przez moją matkę.

- Masz jeszcze te układanki?

- Sąw domu moich rodziców w Denver, czekają na ich wnuki. Pierwszych dwoje ma przyjść na świat w marcu.

- Jedna z twoich siostr spodziewa się bliźniąt?

- Nie. Obie moje siostry bliźniaczki, Marcy i Krystal, spodziewają się narodzin dziecka w tym samym miesiącu - to pierwsza naprawdę bliźniacza rzecz, jaką Krys i Marcy kiedykolwiek zrobiły. Uważa się, że bliźnięta są całkowicie zaabsorbowane swoim własnym światem, zwłaszcza w dzieciństwie. Ale moje siostrzyczki - są ode mnie jedenaście miesięcy młodsze - spędziły dzieciństwo kierując całą swoją bliźniaczą energią na mnie. Miałem swój osobisty zestaw stereo w postaci moich siostr, które kontrolowały mnie, zachęcały do mówienia, i w ogóle mną komenderowały.

Sarah usłyszała czułość w jego głosie i zauważyła iskierki w jego indygowych oczach. Jack pozwalał swoim siostrzyczkom, żeby nim komenderowały. Starszy brat pozornie dawał im się kontrolować, jednak przez cały czas, nawet kiedy prawie się nie odzywał, to on panował nad sytuacją.

- Nadal jesteście sobie bardzo bliscy, prawda?

- Wszyscy pięcioro jesteśmy wciąż bardzo ze sobą związani.

Wcześniej, kiedy Jack pierwszy raz zobaczył surowe wnętrza domu Sarah, w jego umyśle pojawił się karmazynowy obraz rzezi i śmierci. Teraz to Sarah wyobrażała sobie scenę z odległej przeszłości: małego chłopca, bystrego, lecz z niewiadomych powodów milczącego, chłopca siedzącego na czystym, choć sfatygowanym dywanie i patrzącego z radosnym entuzjazmem na porozrzucone przed sobą barwne elementy. Towarzyszyli mu jego rodzice: utalentowany stolarz, który tak starannie wyczyścił drewno, i kochająca matka, która pomalowała je żywymi kolorami, i jeszcze siostry bliźniaczki, gorliwie zachęcające starszego brata, który był tak okropnie inteligentny, a nie potrafił mówić.

Jack bardzo chciał usunąć Sarah z obrazu podsuwanego mu przez wyobraźnię. Jednak Sarah nie miała podobnego pragnienia w związku z wizją, która powstała w jej świadomości. Był to wszak radosny portret miłości, rodziny - coś, czego nie zaznała, chociaż bardzo jej się to coś podobało.

Sarah nie chciała wykradać Jacka z tego wspaniałego obrazu miłości.

Ale przecież już to zrobiłam.

- Planowałaś spędzić Boże Narodzenie ze swoją rodziną, prawda? Gdyby nie czarne serce... gdyby nie ja. Przykro mi, Jack. Przykro mi, że przeze mnie nie mogłeś z nimi być.

- Nie jesteś odpowiedzialna za czarne serce - przypomniał jej Jack. Potem łagodnie, znaczącym tonem, przypomniał jej coś jeszcze. - Ale jesteś odpowiedzialna za sposób, w jaki spędziłem Wigilię Bożego Narodzenia. I wcale nie jestem z tego powodu nieszczęśliwy, Sarah. Z wyjątkiem zakończenia.

- To był... - Fantazja, złudzenie, urojenie dzielnego cienia wariatki. -...błąd.

- Co było błędem, Sarah? Wigilia Bożego Narodzenia? Czy opuszczenie mojego łóżka przed świtem w pierwsze święto?

- Wigilia.

Jack wpatrywał się w kobietę wojowniczkę, która potrafiła tak umiejętnie kłamać. Czy kłamała i teraz? Jack nie był w stanie tego odgadnąć. Była całkowicie zasłonięta zbroją.

- No cóż, ja się z tym nie zgadzam. Myślę, że jedynym błędem było twoje wyjście. - A błędem, który mogę teraz popełnić, uświadomił sobie Jack, jest naleganie na ciebie. Widzę twój strach, Sarah. Nienawidzę tego strachu, ale widzę go. - Zatem, lady Pembroke, może oprowadzisz mnie po pozostałej części domu.

Pozostała część miejsca, które Sarah nazywała domem, była równie obszerna - i równie spartańska - jak salon. Sarah miała swój gabinet, urządzone bardzo nowocześnie i sterylnie. Była tam jeszcze sypialnia. Z tego pomieszczenia biła rozpaczliwa wręcz samotność, a jedyną ozdobą była dopiero co zmontowana kryształowa żaglówka i niebieska koszula Jacka.

Jack odkrył, że ta koszula gdzieś mu się zawieruszyła, jeszcze w Boże Narodzenie, kiedy pakował się przed powrotem do Londynu, kiedy rozważał zarówno przyjemne, jak i cyniczne powody jej braku. Sarah chciała, żeby ta koszula była drogocennym wspomnieniem ich wieczoru albo tak bardzo jej się śpieszyło, żeby uciec przed jego obudzeniem, że po prostu chwyciła swoje ubranie i wybiegła. W tym cynicznym scenariuszu jego koszula leżała zmięta w jakimś koszu na śmieci gdzieś na Polach Elizejskich albo spoczywała na dnie ciemnej Sekwany.

W rzeczywistości koszula, która posłużyła jej za skromną piżamę, nie była ani wygnieciona, ani przemoczona. Leżała starannie wygładzona na wezgłowiu nienagannie pościelonego, śnieżnobiałego łóżka, jakby Sarah miała ją na sobie zeszłej nocy i zamierzała nałożyć również i tego wieczoru.

- Miałam zamiar oddać ją do pralni - Sarah pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Chciałam ją wysłać do Ritza, żeby przekazali ją tobie.

- Zatrzymaj ją, Sarah.

- Ale ja...

- Zatrzymaj ją, Sarah - powtórzył Jack. - Noś ją.

Widzę twój lęk, Sarah. Nie mogę ścierpieć tego widoku. Widzę twój lęk... i nadzieję.

W duszy tej wojowniczkę toczyła się walka lęku z nadzieją. Jack uświadomił sobie, że lęk może wkrótce przeważać. Za chwilę Sarah wepchnie mu koszulę do rąk, w końcu jednak jęcząc, pogrążając przy tym wszelką nadzieję.

Jack odsunął się od niej i podszedł do rzędu okien po drugiej stronie łóżka. Widok potwierdził jego wcześniejsze przypuszczenia - ten pokój był równie dobrze zabezpieczony przed intruzami z zewnątrz, jak wszystkie inne pomieszczenia.

Skromny wystrój domu Sarah mógł stanowić duże zagrożenie dla jej serca. Jednak ewentualny atak zabójcy musiałby nastąpić po sforsowaniu zamkniętych na dwa zamki drzwi frontowych.

Apartament lady Sarah Pembroke był jak twierdza. Ale czy Jack mógł zaufać samej portierce?

Nie. Będzie tylko udawał, że może jej zaufać.

- Jesteś pewna, że nie chciałabyś całodobowej ochrony?

- Jestem pewna.

- W porządku. Nie będziesz wpuszczala nikogo, absolutnie nikogo, nie powiadomiwszy wcześniej Scotland Yardu.

- Przecież już to obiecałam.

- Tylko się upewniam. Nalegam, żebyś nosiła przy sobie gaz łzawiący, a także urządzenie alarmowe. Oprócz tego wyposażenia, chcę, żebyś włączyła do swojej fotograficznej pamięci kilka ważnych numerów telefonicznych - do mojego biura w Scotland Yardzie, do mojego pokoju hotelowego w Drakę, na mój pager, który będę miał przy sobie. Zgoda?

- Tak. Zgoda. Dziękuję, Jack.

Jack spojrział na tę nienagannie wychowaną damę, która wprawdzie oferowała mu wyrazy wdzięczności, oficjalne podziękowanie, ale sprawiała wrażenie prawdziwie zdumionej tym, że on jest zatroskany jej sytuacją.

Wciąż byli od siebie oddzieleni ponurą przestrzenią białutkiego łóżka, na którym Sarah śniła - albo była dręczona przez koszmary - w całkowitej samotności.

Ale przy tym miała na sobie moją koszulę, pomyślał Jack.

Wciąż dotykała jego koszuli, jej ręce spoczywały na jedynym kolorowym przedmiocie w tym ogromnym, białym pomieszczeniu.

To nie był jedyny kolor, poprawił się Jack, spoglądając w jej zielone oczy, które lśniły promiennie, odważnie, z nadzieją. W odpowiedzi na jej grzeczne, pełne zdumienia słowa wdzięczności, uśmiechnął się i odparł bardzo łagodnie:

- Cała przyjemność po mojej stronie, lady Pembroke.

Studio nagraniowe Gemstone, Waverton Street, Londyn Wtorek, 27 grudnia

Cole postanowił zaczekać do końca wieczornej próby, aby poinformować zespół, że postanowił zaśpiewać w duecie z Claire. Tylko on mógł podjąć taką decyzję. Ostatecznie to jego nazwisko, jego głos sprawiły, że członkowie zespołu stali się bogaci.

Jednak ponieważ Cole wiedział, że zespół zareaguje zdziwieniem, a może nawet złością, uznał, że ogłosi im tę nowinę dopiero pod koniec jednej z kilku ostatnich prób przed sylwestrem. Przede wszystkim liczył się nadchodzący koncert, liczyła się muzyka Cole'a. Tak było od samego początku, który nastąpił przed sześciu laty, kiedy Cole zaprezentował się przed renomowaną hollywoodzką agencją talentów.

Droga Cole'a Taylora do sławy stała się legendą w muzycznej branży, dobrze znaną w elitarnych kręgach, ale nienagłaśnianą poza nimi. Cole stanowił wyjątek łamiący wszelkie zasady, stał się prawdziwą sensacją dosłownie z dnia na dzień. Gdyby łowcy talentów albo firmy płytowe w mieście blichtru wierzyli, że po ulicy może spacerować jakiś nowy Cole Taylor - kolejna żyła złota - mieliby otwarte drzwi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ale było to mało prawdopodobne. A nagłaśnianie wyczynu Cole'a tylko zachęciłoby do działania rzeszę naśladowców. Dlatego ludzie z branży zachowywali jego legendę dla siebie...

- Jestem piosenkarzem. Chciałbym podpisać kontrakt płytowy.

Takie były pierwsze słowa Cole'a. Wypowiedział je zaraz po tym, gdy znalazł się sam na sam z Elayne Seymour w sanktuarium jej luksusowo urządzonego gabinetu. Pojawił się w Agencji Talentów Meteor bez uprzedzenia. Takich przypadkowych gości zazwyczaj pozbywano się na dwa sposoby. Jeśli perspektywiczny klient przynajmniej wyglądał obiecująco, a tę cechę przypisywano nielicznej garstce, mówiono mu, jakie wymagania musi spełnić, żeby liczyć na spotkanie – profesjonalną teczkę, życiorys i zdjęcia. Częściej jednak osoba aspirująca do statusu gwiazdy była wypraszana na skąpany w słońcu chodnik Wilshire Boulevard, żeby już nigdy nie zasłaniała wejścia do agencji Meteor.

Ale przemykająca przez recepcję Elayne dostrzegła kątem oka czarnowłosego mężczyznę o granitowych oczach, które dosłownie ociekały zmysłowością, i sama wprowadziła go do gabinetu.

Podczas tej krótkiej podróży w myślach już zaczynała mu robić kampanię marketingową, wyobrażając sobie, jak lukratywne mógłby dostawać zlecenia. Drukowane reklamy, zdecydowała. Zaszedłby na sam szczyt. Wyglądał oszałamiająco w tym, co miał na sobie, w wytartych dżinsach i roboczej bluzie, i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że prezentowałby się równie zabójczo, gdyby był skąpo odziany. To nie miałoby znaczenia. Z takim wyrazem twarzy i z takim ciałem

mógłby sprzedać dosłownie wszystko. A gdyby produkt przez przypadek nazwano „Piekłem namiętności” albo „Pożądaniem o północy”, sprzedaż osiągnęłaby niebotyczne rozmiary.

Elayne zastanawiała się, czy umiałby zagrać jakąś rolę. Ale to również nie miało znaczenia. Wystarczy, żeby był sobą, uosobieniem seksu, niebezpieczeństwa, arogancji i gniewu. Łajdakiem, pomyślała. Buntownikiem. Jednak gdy zobaczyła, z jak surową miną obwieszcza jej, że pragnie śpiewać, była zmuszona nieco zmienić swoją ocenę. To nie był typ rozdrażnionego, nie mającego celu - i zapewniającego ogromne zyski - hollywoodzkiego buntownika. Ten mężczyzna miał w sobie coś innego, niezwykle rzadkiego: uzasadniony bunt.

- Piosenkarz? - powtórzyła. W muzyce panowały już nowe czasy, era MTV. Wideoklipy stały się niezbędną częścią przemysłu rozrywkowego. Oczywiście na tym polu on wypadłby świetnie; każde pokazanie się zdumiewająco zmysłowej istoty, która przed nią stała, zwiększałoby sprzedaż płyt. Jednak kariera supergwiazdy w muzyce wiązała się z wieloma niebezpieczeństwami. - Kiedyś może tak, ale może zaczniemy od tego, że będziesz pozował, co? A może nawet załatwimy ci lekcje gry aktorskiej?

- Nie.

- Nie? Pozowanie może być bardzo dochodowym zajęciem, nawet dla mężczyzny. W tej branży jest ogromna konkurencja. Mordercza. Ale już teraz mówię ci, że mogę ci załatwić zlecenia - i to dobre zlecenia -nawet dziś.

- Żadnego pozwania. Żadnego aktorstwa. Tylko śpiewanie.

Elayne odetchnęła głęboko, żeby zapanować nad sobą, i uśmiechnęła się.

- Dobrze. Powiedz mi, gdzie koncertowałeś.

Nad błękitnymi wodami rozlewiska... na świątecznym przedstawieniu w Harlanville. - Nigdzie.

Cole nie zaśpiewał ani jednej nuty od sześciu lat, dokładnie od popołudnia, kiedy ćwiczył nigdy nie wykonaną piosenkę miłosną dla Claire. Co zatem robił Cole Taylor od tamtego grudniowego wieczoru, kiedy zniknął w burzy, kiedy pozwolił, aby siekący deszcz zmył grubą warstwę krwi z jego rozdygotanej skóry? Tamte lata przeważnie tonęły we mgle - za sprawą narkotyków, alkoholu, poczucia utraty. Zdarzały się jednak bardziej sensowne okresy, które Cole pamiętał bardzo wyraziście, pomimo przykrywających wszystko oparów mgły.

Przed wszystkim Cole musiał wyleczyć skaleczoną prawą rękę. Opatrywał ranę sam, tak jak by to robiło zwierzę, polegając na instynkcie i nie zważając na ból. Utrzymał ją w czystości za pomocą środków dezynfekujących - alkoholu i jodiny. Taka kuracja powodowała potworny, palący ból, ale jakimś cudem uchroniła Cole'a przed poważną infekcją.

Wiedział, że jego ręka już nigdy nie będzie całkowicie sprawna ani tak silna, jak dawniej, ale okazało się, że istnieją dwa sposoby na jej ostateczne wyleczenie. Gdyby unieruchomił rękę na czas

zabliźniania się rany, co nie wiązałoby się z prawie żadnym bólem, w rezultacie wyglądałaby jak zastygły na zawsze, lekko zaciśnięty i całkowicie bezużyteczny pazur.

Cole wybrał bardziej bolesne rozwiązanie. Narzucił sobie fizyczną terapię, jakiej nie przepisałby mu nawet najbardziej rygorystyczny lekarz. Bezlitośnie otwierał ranę, rozdrapywał tkankę, zanim zdołała stwardnieć, zmuszał ją, by się rozluźniała i poszerzała. W efekcie miał słabą, ale poruszającą się rękę. Nie mógł już pisać ani grać na gitarze, ani nawet utrzymać pełnej butelki whisky, ale za to jego ręka mogła wciąż pieścić, dotykać, czuć i kochać.

W czasie, gdy Cole pracował nad uratowaniem tego, co dało się uratować w prawej ręce, jednocześnie zaczął ćwiczyć lewą rękę. Przez dziewiętnaście lat była mocna, ale niezbyt zwinna, i stanowiła jedynie uzupełnienie prawej ręki. Wytrenowanie lewej ręki okazało się zdumiewająco trudne i frustrujące, ale pomimo że Cole nieraz dostawał szału, w końcu dopiął swego.

Prawa ręka Cole'a zachowała sprawność powyżej nadgarstka, a lewa stała się silna i zwinna na całej długości. Cole zaczął zmuszać obie ręce do pracy, która była trudniejsza i bardziej niewdzięczna niż to, czego mógłby się spodziewać w więzieniu, gdyby udowodniono mu, że zabił ojca rozmyślnie, i skazano na ciężkie roboty. Harował przez sześć lat, wędrując od zajęcia do zajęcia, od stanu do stanu, coraz bardziej oddalając się od Luizjany.

Aż do dnia, w którym powrócił do Harlanville, nie mogąc, a może nie chcąc opierać się dłużej. To był niezwykle dzień. Dzień jej ślubu.

Cole spędził niecałe dwadzieścia minut w mieście nad rozlewiskiem, które kiedyś było jego domem, i kiedy odwracał się od Harlanville, to, co dostrzegał ciemnoszarymi oczami było strasznie zamazane. Ale Cole dokładnie wiedział, dokąd zmierza i czego chce dokonać. Będzie śpiewał, tak jak przewidywała Claire dla nich obojga, będzie olśniewał publiczność na całym świecie, sprzedawał płyty w rekordowych nakładach, zdobywał nagrody Grammy i statuetki Oskarów i... po co?

Żeby jej dokuczyć? Nie. Nie. Może na jej cześć, aby urzeczywistniając jej marzenie wciąż pamiętać o niej. Claire właśnie spełniała ważniejsze marzenie, jedyne naprawdę znaczące marzenie o rodzinie i miłości. Ale to mniej ważne marzenie zostało dla Cole'a.

Bez niej było jak gdyby połową marzenia. Nawet nie połową. Ale wolno mu było realizować tylko ten ułamek marzenia.

Elayne Seymour patrzyła na zdeterminowanego buntownika, który stał przednią.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Cole Taylor.

- No dobrze, Cole'u Taylorze, chcesz być piosenkarzem? A czemu by nie, do diaska? A tak w ogóle to umiesz śpiewać?

- Tak, umiem śpiewać.

Cole zaśpiewał a cappella dla trzech czołowych producentów Gemstone Records. Przesłuchanie było czymś w rodzaju przysługi dla Elayne, która zajmowała się ich najbardziej kasowymi artystami, i wszyscy trzej producenci zdążyli już wymyślić przeprosiny pod jej adresem.

Mieli powiedzieć, że jej klient potrzebuje doświadczenia. Kilku lat śpiewania w zadymionych knajpach. Musiał zapłacić frycowe - tak jak wszyscy inni.

Ale zanim Cole Taylor zaczął dla nich śpiewać, w głowach trzech producentów zaświtała ta sama myśl. Ten poważny dwudziestopięciolatek nie spędził wielu godzin w zadymionych knajpach, ale z pewnością zapłacił już frycowe i to o wiele poważniejsze niż większość pięćdziesięciolatek.

Ale mimo to nie potraktowali go ulgowo. Poprosili, żeby zaśpiewał I Will Always Love You, piosenkę, która odniosła niespotykany sukces w branży i której nikt inny nie odważył się zaśpiewać. Kiedy słuchali jego zdumiewająco emocjonalnego wykonania, kolejny raz pomyśleli to samo: co by było, gdyby Cole nagrał tę piosenkę?

Od razu zaproponowali mu bardzo korzystny kontrakt z Gemstone, on zaś przyjął to z niezmaconym spokojem, jakby oczekiwał co najmniej tyle, jakby miał misję, której nie można było zdyskredytować. Postawił im warunki, choć to oni mieli zrobić z niego gwiazdę.

Chciał uniknąć rozgłosu, a także mieć prawo do prywatności i do wykonywania tylko wybranych przez siebie piosenek. Ponadto zażądał klauzuli w kontrakcie, że zawsze będzie śpiewał w pojedynkę. Żadnych duetów. Nigdy.

- Ale twój głos w połączeniu z głosem Barbry dałby wspaniały efekt. A co z Dolly? Albo Whitney?

- Żadnych duetów. Śpiewam sam.

- Ale będziesz śpiewał z chórkami, prawda? Będziesz chciał koncertować z zespołem? To jest naprawdę konieczne, Cole, zarówno na koncertach, jak i na płytach. Możesz wziąć kogo chcesz, grupę swoich przyjaciół, kogokolwiek.

Cole nie miał przyjaciół. Ale zgodził się na życzenie Gemstone w sprawie zespołu. Chcieli mu ułatwić zadanie, pokazać mu grupy muzyczne -a nawet poszczególnych muzyków - żeby mógł z nimi porozmawiać, przekonać się, czy pasują do niego, czy akceptuje ich, czy nie.

Zgodność charakterów nie miała dla Cole'a znaczenia, podobnie zresztą jak wiek, płeć, rasa czy powierzchowność. Jedynym kryterium były kwestie muzyczne. W rezultacie wybrał swój zespół po prostu słuchając taśm z jego nagraniami.

Zespół nosił nazwę Amethyst i od jakiegoś czasu należał do stajni Gemstone Records. Raczej nie liczone na sukces Amethystu. Pomimo iż jego troje członków miało talent, a dwójka spośród nich była niezaprzeczalnie atrakcyjna, publiczność nie dała się zauroczyć. Brakowało im tego magicznego składnika, wokalisty, którego głos byłby absolutnie nieodzowny dla milionów serc.

Cole miał do zaoferowania właśnie taki głos, taką magię, i teraz, po sześciu latach i po wydaniu sześciu albumów, dotychczas mało znani członkowie Amethystu osiągnęli wyżyny sławy w zawrotnym tempie. Dzięki rozgłosowi, jaki towarzyszył Sydney Quinn, Mickowi Maitlandowi, a nawet, co ciekawe, Davidowi Slaterowi, Cole mógł się cieszyć tak ważną dla niego prywatnością. Był zadowolony z popularności Amethystu i chętnie się do niej przyczyniał. Dzięki Cole'owi Davida uważano za najlepszego i najbardziej utalentowanego gitarzystę solowego, który mógł śmiało rywalizować z Erikiem Claptonem; ponadto w ostatnich trzech albumach znalazły się piosenki napisane i wykonane przez Sydney i Micka. I, oczywiście, wszyscy trzej członkowie zespołu stali się bajecznie bogaci.

Kiedy Cole nie przebywał w towarzystwie swojego zespołu, był prawdziwie anonimową postacią, kameleonem, który tak sprytnie upodabniał się do otoczenia, że prawie go nie zauważano. Na estradzie zawsze występował ubrany na czarno. Jednak w innych sytuacjach zawsze nosił markowe dżinsy albo spokojne zestawienia marynarek i spodni. Jego kruczoczarne włosy były długie, ale bez przesady, i chociaż miał całkiem dobry wzrok, często zakładał okulary w rogowej oprawce, podarunek od Ashley Alexander, aktorki, z którą zaprzyjaźnił się najbardziej od czasu Claire.

- Ostatecznie takie okulary wystarczyły, żeby oddzielić Clarka Kenta od Supermana - droczyła się z nim Ashley. - Będą dobre, Cole. Sam się przekonasz. Nie będziesz rozpoznawany przez nikogo - zwłaszcza jeśli założysz któryś z tych uniwersyteckich mundurków.

Ludzie, zwłaszcza kobiety, oczywiście zerkali na niego. Nawet najbardziej konserwatywny strój i nobliwe okulary nie mogły ukryć jego atrakcyjnego wyglądu. Rzadko jednak rozpoznawano w nim człowieka, którego głos uwodził ich serca i poruszał wrażliwość.

Relacja Cole'a z zespołem, tak jak z publicznością, była serdeczna, ale pełna dystansu i jasno określona. Firmowali swoje występy nazwą Cole Taylor i Amethyst, piosenkarz i jego zespół, a nie grupa muzyczna, w której wszyscy czterej członkowie są równi. Nie przyjęli nazwy Obsidian - zmiany zasugerowanej na cześć Cole'a, nazwy wydawałoby się idealnej, zważywszy na kruczoczarne włosy i szare jak kamień oczy wokalisty, a także na jego wulkaniczny temperament.

Cole sprzeciwił się temu pomysłowi spokojnie, ale z naciskiem - nie chciał być jednym z członków grupy. Pozostał odrębną indywidualnością. Cole Taylor przetrwałby - i świetnie prosperował - bez zespołu Amethyst. Odwrotność tej sytuacji raczej nie była możliwa, pomimo sławy poszczególnych członków grupy. To oznaczało, że Cole kierował całym przedsięwzięciem. Akceptował wkład zespołu, przystosowywał się tak często, jak to było możliwe, ale ostateczna decyzja należała do niego.

I teraz, o szóstej rano, kiedy ich całonocna próba dobiegała końca, Cole poinformował członków Amethystu o swojej najnowszej, jednostronnej decyzji.

- Począwszy od sylwestrowego koncertu ktoś będzie ze mną śpiewał.

Tak jak się spodziewał, jego słowa wywołały zdumienie. Sydney, Mick i David wiedzieli, że Cole stanowczo sprzeciwiał się śpiewaniu w duetach. Niespełna miesiąc temu na własne oczy widzieli,

jak odmawia uwodzicielskiej, a potem już otwarcie agresywnej propozycji zaśpiewania „tylko jednej piosenki miłosnej” z jedną z najlepiej sprzedających się wokalistek na świecie.

- To jednak się poddałeś? - Sydney uniosła brew. Była to niezwykle piękna brew, jak wszystko inne w Sydney Quinn. Jej oczy, od których wzięta się nazwa zespołu, były naprawdę olśniewająco fioletowe, a włosy, których nie splamiła żadna farba, miały prawdziwie platynowy blond. Była naturalną piękną, tak naturalną i świeżą, że dla zabawy wystąpiła gościnnie w odcinku Słonecznego patrolu, gdzie zagrała rolę opalonej, szczupłej, promiennej, zwinnej ratowniczkę, która przybywa z wizytą z Honolulu. Ale to okładka magazynu „Cosmopolitan”, a także jej oszałamiająca uroda sprawiły, że nadano jej przydomek Elle Syd, który rozstawił ją na całym świecie. Teraz perkusistka, keyboardzistka, a czasami aktorka i modelka grupy Amethyst, wyduła wargi prowokacyjnie. - Jak mogłeś nam to zrobić, Cole? Przecież znasz jej reputację, jej ego...

- To nie ona.

- To znaczy, że w kopcu przejrzałeś na oczy i zamierzasz śpiewać w duecie z naszą Syd?

To pytanie było bezpretensjonalne, jak wszystkie pytania, które zadawał David Slater. David wyglądał jak śmierć na chorągwi. Był okropnie chudy i miał niepokojąco ziemistą cerę. W muzycznej branży ponure diagnozy wygłaszano z dużą łatwością: dieta bogatsza w amfetaminę - zwłaszcza krystaliczną metamfetaminę - niż w kalorie; spustoszenia wywołane AIDS; kacheksja będąca skutkiem nocnego, rozwiązłego trybu życia, całkowicie niezgodnego z jakimkolwiek normalnym biorytmem. W rzeczywistości David był okazem zdrowia, rygorystycznym wegetarianinem i biegaczem o kondycji maratończyka. Dążenie do czystości ciała - i duszy - sprawiło, że całkowicie zrezygnował z zażywania chemicznych substancji.

Cole czuł, że z trzech członków Amethystu to właśnie David jest mu najbliższy. Nie żeby kiedykolwiek zdobywali się na coś w rodzaju osobistych zwierzeń. Jednak Cole doszedł do wniosku, że on i David są najbardziej podobni do siebie - byli muzykami z pasją, niewiele mówili i starali się unikać rozgłosu wokół swojego życia prywatnego.

Wszelako istniała jedna rzecz, której David nie potrafił ukryć. Jego uwielbienie dla Sydney. Cole domyślał się, że kiedyś David i Sydney byli kochankami, podobnie jak wcześniej ona i Mick, i że David nadal kochał się w niej bez wzajemności. Ilekroć chodziło o jakąś sprawę związaną z Sydney, David przerywał zwyczajowe milczenie, tak jak teraz, kiedy pytał, czy kobieta, z którą Cole postanowił śpiewać w duecie to sama Elle Syd.

Kampania na rzecz wspólnego śpiewania Cole'a i Sydney, po cichu sterowana przez Davida i intensywnie wspierana przez Micka, nie była niczym nowym. Ale ponieważ dla członków Amethystu było niezmiernie ważne, żeby nie złościć swojej supergwiazdy, kruczata polegała raczej na delikatnym poszturchiwaniu niż na otwartym drażnieniu. Na przykład nikt nie zapytał, dlaczego taki utalentowany muzyk jak Cole nie potrafi pojąć, że jego głos i głos Syd, oba tak romantyczne i zmysłowe, razem zabrzmiałyby oszałamiająco.

- Najwyraźniej nie - podsunęła w końcu Sydney z uśmiechem, ponieważ zobaczyła, że Cole ma przepraszającą minę. - A więc kim jest ta szczęściara, Cole? Bo przecież zamierzasz śpiewać w duecie z kobietą, prawda?

- Nazywa się Claire Chamberlain.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

Mick Maitland nawet nie próbował ukryć sceptycyzmu. Z całego tria Amethyst Mick był jak dotąd najmniej taktowny, najmniej ostrożny w kwestii drażnienia ich supergwiazdy. Cole znał powód odczuwanej przez Micka pogardy. Jako wokalista przed nadejściem Cole'a, to właśnie on powinien był poprowadzić Amethyst ku choćby lokalnej sławie. Ale Mick poniósł porażkę - niewytłumaczalną, albowiem głos Micka Maitlanda, podobnie jak jego umiejętność gry na gitarze były bez zarzutu. W dodatku nie dało się zaprzeczyć, że był uderzająco przystojny, reprezentował klasyczny, a zarazem zmysłowy typ urody.

W przeciwieństwie do Davida, Mick wyglądał jak okaz zdrowia. Jego długie do ramion brązowe włosy jeszcze błyszcząły od pocałunków kalifornijskiego słońca, a każdy mięsień jego ciała był wyrzeźbiony z nadzwyczajną pieczołowitością. Z nieoczekiwaną zgodnością redaktorzy tak różnych od siebie pism, jak „Rolling Stone”, „Vanity Fair” i „Gentleman's Quarterly” określili jego wygląd jako „nienaganny, całkowicie męski”. W roku debiutu kalendarz Micka na większości rynków sprzedawał się lepiej niż oferta Fabio, a producenci filmowi nieustannie do niego wydzwaniali. Jednak Mick bynajmniej nie zamierzał rezygnować z muzycznej kariery - ani z grupy Amethyst. Cole zastanawiał się nad jedną rzeczą: czy Mick czekał na dzień, kiedy fani zaczną się domagać, żeby to on, a nie Cole, stał się głównym odtwórcą miłosnych piosenek? Na dzień, w którym Cole Taylor upadnie, zawiedzie?

- Nie, Mick - zgodził się Cole. - Na pewno nie słyszałeś o Claire. Uczy muzyki w miasteczku w stanie Luizjana.

- Co takiego? Czyżby urządzono jakiś konkurs, o którym nie słyszeliśmy i w którym nagrodą jest zaśpiewanie z supergwiazdą?

- Claire i ja znamy się od dzieciństwa. Śpiewaliśmy wtedy razem. - Cole przewidywał, jakie będzie następne pytanie, i od razu na nie odpowiedział. - I zaśpiewaliśmy razem jeszcze raz, dwa dni przed Bożym Narodzeniem. - Potem, odnosząc się do innych kwestii, które musiały przyjąć muzykom na myśl, a może nawet zostałyby wypowiedziane na głos, oświadczył: - To nie będzie miało żadnego wpływu na wasze dochody. Zapłacę Claire z mojej gaży.

- Jakie piosenki zamierzacie razem zaśpiewać?

- Jeszcze nie jestem pewny, będę musiał się z nią skonsultować, ale myślałem o Somewhere Over the Rainbow i When You Wish Upon a Star.

- Że co proszę? - Mick nawet nie starał się ukryć wrogości, a brakowi kontroli i rozsądku sprzyjało uzależnienie od narkotyków. Mick Maitland, ten okaz zdrowia, był prawdziwym koneserem

nieprzyjaznych organizmowi substancji. Regularnie wdychał, palił, wąchał, a nawet wstrzykiwał sobie najmodniejsze używki. Cole, który pod tym względem kiedyś również był ekspertem, a także koneserem, dobrze wiedział, jak bardzo niebezpieczne są takie substancje i jak podstępnie uszkadzają organizm. Jednak Mick nie był zainteresowany mądrymi radami od śpiewaka, który osiągnął wszystko to, czego on nie był w stanie osiągnąć.

- To w gruncie rzeczy nie są piosenki miłosne, Cole - zauważyła Sydney.

- Nie są.

To dwie z piosenek, które ona i ja śpiewaliśmy w lesie obok rozlewiska. Dwa utwory, które należały do jej ulubionych.

Claire kochała wszystkie gatunki muzyczne, ale szczególnie przepadała za musicalami. Znała je chyba wszystkie, a Cole - który przedtem usuwał muzykę ze swojego życia, nie znał żadnego. Jednak ta okoliczność nie miała wpływu na Claire. Była pełną entuzjazmu nauczycielką, a on chwycił wszystko w lot. Ilekroć śpiewali jej musicale, upierała się, że muszą wykonać całą ścieżkę dźwiękową, w takim samym porządku, jak w oryginalnej wersji, i że nie mogą pominąć żadnej piosenki.

Co oznaczało, że Cole i Claire śpiewali wówczas, raczej przypadkowo, piosenki o miłości. Some Enchanted Evening z South Pacific. Till There Was You z Music Man. Somewhere z West Side Story. Ale wówczas, kiedy byli dziećmi, liczyła się tylko czystość ich młodych głosów. Słowa piosenek miały niewielkie znaczenie.

Cole i Claire byli teraz dorośli i nawet ich duet Cicha noc dosłownie emanował intymnością. A gdyby śpiewali piosenki o miłości, tęsknocie, pragnieniu? Claire wiedziałaby, że każda miłosna piosenka, którą kiedykolwiek śpiewał, była śpiewana dla niej, że była namiętnym wyznaniem miłości. Miłości, która była wieczna. Miłości niemożliwej.

Nie mam jej nic do zaofiarowania. To przypomnienie było surowe jak kara. Nic, oprócz tego nieistotnego marzenia, którym żyję, i mrocznej jak noc gwałtowności serca.

- Zdecydowałem, że Somewhere Over the Rainbow i When You Wish Upon a Star będą dobrymi piosenkami na sylwestra.

- Są wspaniałe, Cole - rzekł drwiąco Mike. - Naprawdę inspirujące. Ale chyba pamiętasz, że nie pracujemy w koncercie życzeń? A sylwester? Żartujesz sobie? Mamy opanować dwie nowe piosenki raptem w cztery dni?

- Nie, Mick, nie oczekuję tego. Claire i ja nie będziemy potrzebowali akompaniamentu muzycznego do naszych duetów.

- W przeddzień Nowego Roku? Czy w ogóle? Czy ty próbujesz nam coś powiedzieć, Cole? Czy mariaż Cole'a Taylora i grupy Amethyst zmierza ku ohydnyemu rozwodowi?

- Nie. Claire i ja po prostu zaśpiewamy dwie piosenki w sylwestra. Pozostała część koncertu będzie dokładnie taka, jak planowaliśmy - oprócz tego, że wycofuję Wyobraź sobie światło księżycy.

- Wycofujesz Wyobraź sobie światło księżycy! - powtórzyła Sydney, wstrząśnięta. - Nie możesz. Jest nadal na szczytach wszystkich list przebojów. Wszyscy będą oczekiwali, że wykonasz tę piosenkę.

- Wszyscy mogą usłyszeć, jak śpiewam tę piosenkę na okrągło w radiu, i to codziennie. - Poza tym nie mogę zaśpiewać Wyobraź sobie światło księżycy, nie wtedy, gdy Claire będzie w pobliżu. Jeśli to zrobię, uświadomi sobie, że napisałem tę piosenkę dla niej, że to ostateczne pożegnanie z naszą miłością.

- Czy Timothy Asquith wie, że zamierzasz pominąć przebój wszechczasów wytwórni Gemstone?

- Timothy nie decyduje, jakie piosenki śpiewam. Nikt o tym nie decyduje. - W głosie Cole'a zabrzmiała wyraźnie ostrzegawcza nuta. - Spodziewam się, że wszyscy potraktujecie Claire życzliwie.

Sydney uśmiechnęła się.

- Naturalnie, potraktujemy ją życzliwie, Cole.

- I chcę, żebyście wszyscy jej pomagali.

- Pomagali?

Jakże trudno było mu wypowiedzieć te słowa. Cole pragnął, by zabrzmiały łagodniej, by w tej okrutnej prawdzie o Claire krył się choćby najmniejszy promyk nadziei. Ona nie widzi zbyt dobrze. Jej świat jest trochę szary, trochę zacieniony.

Ale to nie była prawda. Ona w ogóle nie widzi. Jej świat jest czarny.

- Będzie potrzebowała waszej pomocy - powiedział cicho, nienawidząc własnego głosu... głosu, który przyniósł im wszystkim sławę i bogactwo. - Claire jest niewidoma.

15

Ósma czterdzieści pięć. Taką godzinę ustalili, zanim Jack wyszedł wczoraj po południu. Właśnie o tej godzinie pojawi się w Mayfair, żeby towarzyszyć jej w drodze do pracy. Jack znał kod zabezpieczający budynek, ale punktualnie o ósmej czterdzieści pięć nacisnął inną kombinację cyfr, która sprawiała, że dzwonił telefon w jej apartamencie.

- Cześć, tu Jack. Mam zaczekać tutaj czy wejść na górę?

- Możesz wejść na górę, jeśli chcesz, ale wpuszczę cię dopiero za minutę. Muszę najpierw zadzwonić do Scotland Yardu, żeby ich powiadomić, że mam gościa.

Jack zareagował uśmiechem na przekorę w jej głosie.

- Bardzo miło z twojej strony, Sarah. Świetnie współpracujesz.

- Mówiłam ci, że będę współpracować. Czy limuzyna już czeka na dole?

- Tak.

- No to schodzę.

Limuzynę rolls-royce dostarczył pracodawca Sarah. Ten luksusowy środek ostrożności został przekazany jeszcze przed pogroźkami czarnego serca. Sarah była znaną osobistością, dlatego mogła być celem ataków. Timothy Asquith postanowił sobie, że zapewni swojej czołowej reporterce tyle bezpieczeństwa i tyle szczęścia, ile będzie mógł.

Jack zamierzał powiedzieć Sarah podczas jazdy z Grosvenor Square na Belvedere Road, kim będzie, jakiego pretekstu użyje, aby wytłumaczyć swoją częstą obecność w jej biurze - i w jej życiu. Plan miał już akceptację zarówno komisarza Scotland Yardu, jak i miliardera oraz dyrektora naczelnego Global News Network; biorąc pod uwagę przekorny ton dziewczyny, Jack miał nadzieję, że Sarah zaakceptuje go bez protestów, a może nawet zareaguje uśmiechem.

Ale jej przekorność była już tylko czarującym wspomnieniem. Sarah Pembroke, która siedziała obok niego w limuzynie, była teraz milczącą, bardzo poważną i załęczoną istotą, a jej niepokój narastał, kiedy przejeżdżali Tamizę mostem Waterloo i ich oczom ukazywały się błyszczące srebrne tafle fasady Asquith Towers. Ten olśniewający gmach był miejscem pracy Sarah, tam była gwiazdą. Czyżby obawiała się dnia, który dopiero się zaczynał?

Kiedy stanęli na chodniku Belvedere Road, przed budynkiem, który mieścił najbardziej wpływową agencję informacyjną na świecie, Jack wreszcie przerwał milczenie. Zadał pytanie, na które miał już odpowiedź, ale mimo to pragnął je zadać - konspiracyjnym tonem - żeby przypomnieć Sarah, iż wspólnie zamierzają rozwiązać zagadkę mordercy i czarnego serca.

- Kim mam być, Sarah? - Znajomym z Ameryki? Kochankiem z Paryża? Ponieważ to pytanie nie zostało zrozumiane, Jack wyjaśnił: - Zabójcą może być ktoś, z kim pracujesz. Przecież nie możesz mnie przedstawić jako konsultanta FBI, który przyleciał tu po to, by pomóc Scotland Yardowi.

- Nie. Ale ten temat nie będzie poruszany.

Powiedziawszy to, Sarah przeniosła wzrok z rozmówcy na pełen wdzięku łuk głównego wejścia budynku. Miała bardzo osobliwy wyraz twarzy. Jack miał wrażenie, że tak - z wielką odwagą i dumą - mógłby patrzeć ktoś stojący przed plutonem egzekucyjnym; z taką odwagą, dumą i strachem.

To nie miało sensu. Asquith Towers powinno stanowić symbol wszystkiego, co Sarah Pembroke osiągnęła. Powinna się tu czuć jak u siebie w domu. Wcześniej Jack zakładał, albo przynajmniej miał

nadzieję, że tak właśnie jest. Nękany przykrymi wspomnieniami jej apartamentu, przekonywał samego siebie, że we własnym gabinecie Sarah żyła naprawdę, uśmiechała się i rozkwitała.

Jednak najwyraźniej było inaczej. I już po kilku chwilach od wkroczenia do błyszczącego granitowego holu, Jack wiedział dlaczego. Przyczynę można było zobaczyć na twarzach wszystkich napotykanym osób: lady Sarah Pembroke nie lubiano. W ogóle nie była lubiana. Ani troszkę. Kiedy powitanie było konieczne, kiedy nie można było w ogóle się nie odezwać, jej współpracownicy wyrażali się lakonicznie i oziębłe.

Jack zastanawiał się, czy Sarah jest znana z despotyzmu. Może ta dama o nienaganych manierach dawała upust zjadliwości i rozgoryczeniu? Czy traktowała swoich podwładnych wyniośle i bez litości, czy wylewała ich za nawet najmniejszy błąd?

Jack nie wątpił w to, że Sarah jest perfekcjonistką. Domyślał się jednak, że jest wymagająca przede wszystkim wobec siebie.

Jack uświadomił sobie również, że na twarzach jej współpracowników nie ma strachu, nie ma utajonego lęku, iż lady Sarah Pembroke może nagle wydać polecenie, które kosztowałoby utratę pracy. Jeśli w ogóle istniał tutaj lęk, to należało go szukać w Sarah. To ona była przybyszem w tym obcym świecie, pariasem, wyrzutkiem. To ona nie pasowała do otoczenia.

W tym miejscu powinni byli pracować przyjaciele Sarah, koledzy, którzy ściskaliby ją podziwem i szacunkiem, z którymi mogłaby dzielić bardziej osobiste sprawy ze swojego życia. Ale ta dziennikarska gwiazda nie miała tutaj przyjaciół. Nie miała ich nigdzie.

Jack powinien był wiedzieć o tym wcześniej. Kobieta, która samotnie spędzała Boże Narodzenie, była samotna cały czas.

Już nie jesteś, Sarah. Jestem tutaj. Zależy mi. Chcą być twoim przyjacielem. ... jeśli mi pozwolisz.

Uspokajający uśmiech Jacka nie został zauważony. Sarah była zbyt zaferowana, żeby zwrócić na niego uwagę, zbyt ostrożna. Była wojownikiem brnącym przez pole minowe. A jeśli na tym polu minowym czyhał na nią zabójca z nożem? Dostrzegłaby śmiertelne zagrożenie w momencie, gdy byłoby już za późno.

Ale Sarah Pembroke nie mogła zostać zaatakowana w tym budynku

0 błyszczących srebrnych ścianach. Nawet gdyby zabójca tu się znajdował

1 postanowił ją uwieść w jej biurze, a nie w domu, nie mogłoby do tego dojść. Po prostu ochrona w Asquith Towers była zbyt dobra.

To prawda, można było wejść do środka z butelką Cristale i krwistoczerwonymi różami. Jednak nóż myśliwski, a nawet szczyrzyk, nie mogłyby zostać nie wykryte przez superczułe, obsługiwane przez uzbrojonych strażników bramki, przez które musieli przechodzić wszyscy goście.

Tutaj nie mogło dojść do zamordowania Sarah. Co najwyżej mogli ją boleśnie ranić ludzie, którzy tak demonstracyjnie okazywali jej, że nie chcą być jej przyjaciółmi.

Kiedy wjechali na dwudzieste ósme piętro, Jack zrozumiał, że Sarah w pewnym sensie już poddała się surowej krytyce. Kiedy zbliżyli się do jej gabinetu, przyspieszyła kroku, jakby już prawie jej się udało. Niedługo, bardzo niedługo, będzie mogła schować się za szczelnie zamkniętymi drzwiami.

Czy w ogóle pamiętała, że on cały czas jej towarzyszy? Będzie pamiętała, poprzysiągł sobie Jack. Jak tylko znajdą się na osobności, w wewnętrznym sanktuarium jej gabinetu. Zaczeka, aż ona skupi na nim uwagę, ujrzy go w prawdziwym świetle, a potem powie jej prawdę.

Jestem twoim przyjacielem, Sarah. Jej oczy zabłysną i będą wyrażały zaskoczenie, niedowierzenie, małe promyczki nadziei. I oprócz tej nadziei, powtarzał sobie Jack, tym razem bardzo wolno, dam jej jeszcze uroczystą obietnicę. Jestem twoim przyjacielem.

Plan Jacka napotkał na przeszkodę zaledwie cztery metry od wejścia do sanktuarium Sarah.

- Adrian chce się z tobą widzieć - oświadczyła sekretarka. To było wszystko, co powiedziała na powitanie. W słowach dziewczyny kryła się nuta wyczekiwania, jak gdyby czerpała potajemną radość z faktu, iż jej szefowa prawdopodobnie ma kłopoty. - Jest w twoim gabinecie.

Jack doszedł do wniosku, że Sarah była tak pochłonięta swoją prywatną wojną, że zapomniała o jego obecności. Mylił się jednak. Odwróciła się do niego i zaoferowała dyskretne przeprosiny.

- Chyba będę musiała cię poprosić, żebyś poczekał tutaj parę minut.

- Nic nie szkodzi. - Jack uśmiechnął się czule. Ten uśmiech zrodził się w Paryżu i był tylko dla niej. - Jestem do twojej całkowitej dyspozycji.

Jack wybrał ze stosu gazet w recepcji londyński „Times” i rozsiadł się na pobliskiej kanapie. Zdawał sobie sprawę z tego, że każdy jego gest jest obserwowany z wielką ciekawością, i zanim zdążył przeczytać choćby jedno słowo, odezwała się do niego sekretarka Sarah.

- Chciałby pan kawę, panie... a może officerze?

- Panie. Nazywam się Jack Dalton. I dziękuję za kawę, ale nie chcę. Jack szybko ocenił kobietę, która, ujmując rzecz delikatnie, nie lubiła być sekretarką Sarah. Młoda. Ładna. I inteligentna, doszedł do wniosku. A także ciekawska. Odłożył „Timesa”, o wiele bardziej zainteresowany informacjami, które ona mogłaby mu przekazać, niż wiadomościami ze świata.

- Był tutaj oficer policji - upierała się. - Przed wakacjami.

- Tak, wiem. To był fałszywy alarm.

- Ach. A więc kim pan jest, panie Dalton? - naciskała, potwierdzając wrażenie Jacka, iż bez wątplenia aspirowała do posady Sarah i nie mogła oprzeć się pokusie wykorzystania swoich umiejętności detektywistycznych. - Kimś, z kim ona przeprowadza wywiad do artykułu?

- Nie. I proszę mi mówić Jack.

- Dobrze. Ja jestem Frances. - Przechyliła głowę w pytającym geście. - Sarah nie przeprowadza z panem wywiadu? - zagadnęła. - Nie. Jest wręcz na odwrót. To ja będę przeprowadzał wywiad. Piszę książkę o Sarah,.

- Ale...

- Ale?

- Chodzi mi o to, czy ona wie. Pan Asquithwie?

- Tak. - To była półprawda. Sarah nie wiedziała o oszustwie, o fałszywej tożsamości, jaką Jack Dalton miał przybrać. Ale wiedział o tym właściciel Global. - Dlaczego to panią zaskakuje?

- Po prostu pomyślałam sobie, że przecież Sarah stanowczo odrzucała propozycje napisania książki o niej. Zawsze. Ostatnim razem, kiedy tę kwestię podniósł sam pan Asquith, powiedziała zdecydowane nie. - Frances uniosła brew prowokacyjnie. - Zawsze wydawało mi się, że Timothy Asquith ma największy dar przekonywania na całym świecie. Ale wygląda na to, że to pan jest takim człowiekiem.

- Frances, ja jestem przyjacielem Sarah.

Jack planował powiedzieć te słowa Sarah i spodziewał się zaskoczenia i niedowierzania. Teraz wypowiedział je jednak do Frances, która była oszołomiona. Przyjaciół Sarah? Niemożliwe! Królowa śniegu nie miewa przyjaciół, zwłaszcza mężczyzn takich jak ty.

Dość nagle osłupiały wyraz twarzy niedosłej reporterki przerodził się w triumfującą minę.

- To ty jesteś nadawcą czerwonych róż, prawda? To ty jesteś tajemniczym mężczyzną Sarah. Tak naprawdę to nigdy nie wierzyłam... - Frances urwała, zdyszana. - To znaczy, hm, masz świetny gust. Jeśli chodzi o róże.

- Dziękuję - odparł Jack ze zwodniczym spokojem w głosie. - Myślisz, że podobają się Sarah?

- Wiem, że jej się podobają. Ale dlaczego nigdy nie podpisuje pan bileciku?

- Nie sądzisz, że Sarah wie, kto jest ich nadawcą?

- Ależ tak, oczywiście wie.

- Ale?

- No... po co ta cała tajemnica? Po co wysyłać do kwiaciarni instrukcje i gotówkę, nie podpisując się nazwiskiem? Chyba sama sobie odpowiem na to pytanie, prawda? Sarah chciała, żeby nikt nie wiedział o waszym związku. Na pewno powiedziała panu, że ekstrawaganckie bukiety róż wzbudzą tu pewne zaciekawienie. Ze ktoś zechce sprawdzić, kim jest nadawca.

- Ktoś taki jak ty.

- Proszę jej nie mówić, panie Dalton. Jack? Mogę o to prosić?

- Nic nie powiem - obiecał, zdobywając się na uspokajający uśmiech, chociaż gotowało się w nim ze złości. Żadnych odrzuconych zalotników, powiedziała mu Sarah. Żadnych tajemniczych wielbicieli. Tylko kosztowne bukiety krwistoczerwonych róż, przekazywane przez anonimowego nadawcę.

W tym momencie drzwi do gabinetu Sarah otworzyły się gwałtownie. Miało się wrażenie, że ten martwy przedmiot, wykonany z drewna, żyje własnym życiem, że dręczą go równie silne emocje, jak gniew Jacka. Jeszcze zanim Adrian Gilbey pokazał swoją zaczerwienioną twarz, już było słychać, jaki jest wściekły.

- Suka - syknął Adrian i byłoby to jego ostatnie słowo, tyle że Jack zaszedł mu drogę. - Kim u diabła jesteś?

- To jest Jack Dalton - podsunęła Frances. - Jack, to jest Adrian Gilbey. - Spoglądając znacząco na Adriana, dorzuciła z afektacją: - Jack pisze książkę o Sarah. Oni są przyjaciółmi.

Frances nadała słowu „przyjaciele” wyraźnie seksualne zabarwienie, jakby chciała powiedzieć „kochankowie”.

- Niech panu Bóg dopomoże.

To rzekłszy, Adrian minął go. Jack nie obserwował odejścia rozłoszczonego mężczyzny. Skupił uwagę na otwartych drzwiach, na Sarah.

Jej twarz była popielata, a szare oczy wyrażały taki ból, że wydawały się niemal zupełnie czarne. Jack dostrzegł jej udrękę i rozumiał ją bardzo dobrze. Sarah doskonale wiedziała, co wszyscy o niej myślą, i chociaż strasznie ją bolało to, że jest tak bardzo nielubiana, godziła się z tym, jakby rzeczywiście była królową śniegu, a nie istotą z krwi i kości, jakby całkowicie zasługiwała na tę pogardę.

Z oczu Sarah można było wyczytać coś jeszcze, coś przeznaczonego wyłącznie dla Jacka: w tym momencie najbardziej bolało ją to, że Jack jest świadkiem tej zawstydzającej sytuacji.

Jack szybko przestał się gniewać na Sarah za to, że go okłamała w kwestii wielbicieli - wcale nie mniej tajemniczych wielbicieli. Uśmiechnął się łagodnie i w równie łagodny sposób położył dłoń na jej zeszywniałej ręce i zaprowadził ją do zacisznego gabinetu.

Kiedy byli sami i zamknęli za sobą drewniane drzwi, Jack powtórzył słowa, które podsłuchiwała Sarah.

- Jestem twoim przyjacielem, Sarah. - Frances nadała słowu „przyjaciel” prowokacyjnie seksualną konotację. Jednak dla Jacka to słowo kryło w sobie coś znacznie bardziej intymnego: miłość.

Jego oświadczenie wywołało w niej dobrze znajome zmieszanie, a raczej zaciekną walkę między siłami, które kazały jej potrząsnąć głową w geście stanowczej odmowy, i siłami, które sugerowały,

że nawet pomimo niedowierzania trzeba mieć nadzieję. Ostatecznie jednak w jej głosie zabrzmiał surowy ton.

- Powiedziałeś Frances, że piszesz o mnie książkę?

- To moja przykrywka, wiarygodne wytłumaczenie mojej ciągłej obecności, rozmów z twoimi kolegami i spotkań z tobą. - Dlaczego to cię dręczy? Zastanawiał się Jack. Przecież sama jesteś mistrzynią pozorów. A jednak to kłamstwo, tak błahe w porównaniu z innymi, wyraźnie cię przygnębia. - To konieczne kłamstwo, Sarah. Jeśli chcesz, jeśli poczujesz się lepiej widząc, że pozory są zachowywane, z przyjemnością zacznę o tobie pisać.

- Nie. Nie. Zastanawiam się tylko, czy możemy dokonać małej poprawki i powiedzieć, że to część książki o wszystkich dwudziestowiecznych korespondentach wojennych, albo o czymś w tym rodzaju?

- Jasne-zgodził się chętnie Jack.

Ale jej prośba zdumiała go. Przecież to nie miało znaczenia. Ta książka nigdy nie powstanie. To wszystko było robione tylko dla zmyłki. A jednak sam pomyślał, że ktoś miałby o niej pisać, był tak dręczący, że chciała nieco zmienić to kłamstwo. Dlaczego? Czy Sarah bała się tego, co mogłaby ujawnić jej biografia? A może po prostu była przeświadczona, że na jej temat da się powiedzieć tak niewiele interesujących rzeczy? Najwyżej rozdział, ale nie cała książka.

Jack mógłby pisać całe tomy o lady Sarah Pembroke, i to już od tej chwili, nawet przed otrzymaniem choćby jednej z zamówionych w Scotland Yardzie informacji: dossier na temat następnej ofiary, walentynkowe-go zabójcy, wszystkiego, co mogłoby naświetlić przeszłość Sarah. Czy była to konieczna prośba? Istotny element zawodowej układanki? A może chodziło o coś osobistego, o szukanie tropów, które wyjaśniłyby tajemnicę kobiety-wojownika?

Czy Jack Dalton, spec od morderstw, przedstawiłby podobną prośbę, gdyby następna ofiara była kimś innym, kimś, w kim nie byłby zakochany? Tak. Ponieważ właśnie w taki sposób odnajdował zabójców: nie przeocząc niczego, analizując każdy możliwy związek przyczynowo-skutkowy. Konsultant FBI, posiadający dar odnajdowania morderców, musiał wiedzieć wszystko, czego można było się dowiedzieć o lady Sarah Pembroke.

Ale nienawidziłaby mnie, gdyby się dowiedziała. Czułaby, że nadużyto jej zaufania, że złamano dane obietnice. Tak jak inne obietnice, których nie dotrzymuję. Aleja muszę to robić, Sarah. Naprawdę muszę.

- Ta historia o książce może jest zmyślona, Sarah, ale kiedy powiedziałem Frances, że jestem twoim przyjacielem, mówiłem całkowitą prawdę.

Te słowa, a raczej surowość w jego głosie, sprawiły, że znowu rozgorzała w niej walka. Nadzieja - zmaltretowana, ale nie całkiem martwa - mężnie włączyła się do boju. Przez jakiś czas walka była bezpardonowa, ale wreszcie nastąpiła chwila spokoju, niepewny rozejm. Jej policzki, dotąd białe jak flaga kapitulującej armii, nieco się zaróżowiły.

- Dziękuję - wyszeptwała, tak samo jak szeptała w swojej sypialni, okazując wdzięczność, ale i niedowierzanie.

I tak samo jak wtedy, łagodnie, z uśmiechem na twarzy, odparł:

- Cała przyjemność po mojej stronie. Zatem pierwsze pytanie, które zadaję jako twój biograf - i jako twój przyjaciel - jest następujące: kim, u diabła, jest Adrian i o co mu chodzi?

Sarah zareagowała na gwałtowność Jacka drżącym uśmiechem.

- On jest producentem International News Hour, a jego problem to ja. Adrian i ja różnimy się w kwestii tego, co stanowi stosowny - odpowiedni do wiadomości - komponent wizualny.

- Niech zgadnę. Adrian uważa, że barwne obrazy trupów - im bardziej wyraziste, tym lepiej - podnoszą wartość informacji. - To nie były tylko czcze domysły. Wojenne relacje Sarah Pembroke wyróżniały się brakiem nieuzasadnionej przemocy. - A ty uważasz, że takie fotografie w niedopuszczalny sposób naruszają prywatność...

- Tak, a poza tym...

- Poza tym?

- Martwi ludzie nie są przecież najważniejsi, prawda? Liczą się ci, którzy przetrwali. Oni wciąż cierpią, wciąż odczuwają ból. Ale martwi mają szczęście. Zaznaj ą wiecznego spokoju.

Szczęście? Jack był zdumiony tym określeniem, a także absolutną powagą, z jaką Sarah je wypowiedziała. Rzeczywiście, umarli już nie cierpią, nie odczuwają bólu.

Ale twierdzenie, że ci, którzy już zakończyli życie, mają lepiej niż ci, którzy żyją, brzmiało bardzo ponuro w ustach dwudziestoosmioletniej kobiety. Najwyraźniej jednak Sarah wierzyła w to, co mówiła. I to nie tylko w kontekście wojny. Jej słowa miały niezwykle osobisty charakter.

Jack wiedział, że była żona Simona Beckwith-Jonesa bynajmniej nie zadręcza się śmiercią swego małżonka. Kogo zatem utraciła i dla kogo wciąż cierpiała, i kto według niej był takim spoczywającym w pokoju szczęściarzem? Jej rodzice? A może ktoś inny, kogo kochała?

- Twój ton świadczy, że wiesz, o czym mówisz.

- Przeżyłam to, Jack. Byłam na wojnie.

I znowu wybierała się na wojnę, kolejny raz stawiała się wojownikiem, osłaniała się, zamykała przed nim. Dlatego Jack podjął na nowo dyskusję na pozornie bezpieczny, bo mało osobisty temat zmagania z producentem.

- Jak zostaną rozwiązane artystyczne nieporozumienia z Adrianem?

- No cóż, zrobię to po swojemu. Zgodziłam się zostać główną prezydentką sieci z zastrzeżeniem, że mam kontrolę redakcyjną nad wszystkim - nad tekstem i elementami wizualnymi. Najwyraźniej

memorandum od Timothy'ego Asquitha, wyszczególniające punkty umowy, zostało wysłane wczoraj po południu.

- A jeśli Adrian uda się do biura Timothy'ego Asquitha?

- Prawdopodobnie zrobi tak. Ale to nie będzie miało znaczenia. Kiedy Timothy zgadza się na coś, to jest to nieodwołalne.

Jack i Sarah spędzili następne dwie godziny, chodząc po jej miejscu pracy. Na każdym kroku, od przepastnych, opustoszałych korytarzy z granitu aż po ogromne, podobne do grobowca archiwum filmowe i dokumentacyjne, Jack przypominał sobie o supernowoczesnym systemie ochrony budynku. Nawet jeśli zabójca działał w tych srebrzystych ścianach, nie mógłby jej zaatakować - a przynajmniej nie mógłby tego zrobić za pomocą swojego ulubionego narzędzia zagłady. Poza tym, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ten nożownik szaleniec nawet jeszcze nie pojawił się w życiu Sarah.

Miał przybyć z Los Angeles, miał być tak sławnym człowiekiem, że Sarah będzie oczekiwała tego spotkania z wielkim zaciekawieniem.

Jednak kiedy stali na planie wieczornego programu informacyjnego Global, gdzie panowała całkowita ciemność i pustka - wymarzone warunki dla potencjalnego zabójcy - Jack zapytał:

- Masz gaz łzawiący?

- W swoim gabinecie.

- Powinnaś zawsze go mieć przy sobie.

- Przecież on nie przyjdzie do mnie tutaj.

- Ustąp mi, Sarah. Proszę.

- Dobrze... niech będzie.

Ostatni przystanek na tej wycieczce był o wiele bardziej złowieszczy niż nawet najmroczniejsze cienie studia transmisyjnego. Dotarli na dach, do jej sekretnego azylu. Jeden mały krok od śmierci czyhającej czterdzieści pięter niżej.

Mogłyby tak się zapatrzeć na piękny widok, albo być tak odprężona z dala od pełnych dezaprobaty spojrzeń, że zapomniałyby o ostrożności, nie usłyszałyby skradającego się zabójcy...

- Obiecay mi, że nie będziesz tutaj wchodziła beze mnie, Sarah, dopóki to wszystko się nie skończy.

- Tylko z tobą?

- Tylko ze mną - potwierdził Jack. - Wydaje mi się, że to dla nas dobre miejsce do spotkań. Możemy tutaj porozmawiać bez świadków, a będziemy musieli rozmawiać, Sarah, żeby dzielić się informacjami o wydarzeniach ważnych i nieważnych.

- Chodzi ci o moje kłótnie z Adrianem?

- Dokładnie o coś w tym rodzaju.

- To nie miało żadnego znaczenia.

Czyli tego rodzaju spotkania były na porządku dziennym, pomyślał Jack. Ot, małe potyczki w ramach nieustannej bitwy o to, co uważała za słuszne.

- Może nie - zgodził się Jack. - Prawdopodobnie nie. Ale osądzmy to razem. Muszę słyszeć o wszystkim, Sarah. O wszystkim.

A ty nie masz zamiaru mi o tym mówić, prawda? Za bardzo się wstydzisz tego, co te dyskusje oznaczają, jak bardzo jesteś nielubiana. Nie chcesz, żebym wiedział... nawet jeśli miałoby cię to zabić.

- Powiedz mi, kto przysłała ci róże.

- Róże?

- Do diabła, Sarah. Wiem, że ktoś ci przysłał drogie bukiety róż. Krwistoczerwonych róż. I wiem nawet, że są przesyłane anonimowo. Ale mam przecucie, że ty znasz tożsamość nadawcy. Nie mylę się?

Nie była w stanie na niego patrzeć, spojrzeć mu w niebezpiecznie natarczywe - i niebezpiecznie czułe - ciemnoniebieskie oczy.

Zamiast tego odwróciła się i obserwowała majestatyczną sylwetkę Westminster Abbey na drugim brzegu Tamizy.

- Tak - przyznała, zwracając się do wieżyc, które przesywały pstrokate, cynowe niebo. - Masz rację. Znam go. Ale po prostu musisz mi uwierzyć na słowo, że osoba, która przysłała mi kwiaty... nie jest zabójcą. - Nie jest kimś, kim musiałbyś się przejmować.

Nie jest zabójcą. Sarah użyła tych słów, by nie wypowiedzieć jeszcze jednego kłamstwa. W rzeczywistości nadawca róż był zabójcą, i to najgorszego sortu, zabójcą, którego ofiarą padło niewinne nienarodzone życie. Nie było to morderstwo zaplanowane z zimną krwią. Tak bardzo starała się żywić tę małą istotę, tego ukochanego syna. Ale w końcu poniosła klęskę.

- Nadawca róż nie jest kimś, kim musiałbyś się przejmować, Jack - powtórzyła głosem tak szarym, tak chłodnym i zimowym jak grudniowe niebo.

Jack usłyszał w tych słowach udrękę i rozpacz - stałych lokatorów zranionego serca kobiety. I znał prawdę. Och, przecież to ona sama, pomyślał. Nadawcą róż jest osoba, o którą najbardziej się martwię i troszczę.

Sarah wysyłała róże do samej siebie. Co do tego Jack nie miał najmniejszych wątpliwości. Ale dlaczego? Oczywiście istniało wiele świetnych powodów. Taki hojny prezent dla samej siebie mógł symbolizować zdrowe poczucie własnej wartości - uzasadnioną dumę z własnych osiągnięć i niezachwianą pewność siebie, która była okupiona ciężką pracą i zasłużona.

Ale Jack nie wierzył, że to pogodna ufność we własne siły skłoniła Sarah do wysyłania sobie róż. W grę wchodziła raczej desperacja, smutek, osamotnienie i ból. Musiała coś udowodnić ludziom, z którymi pracowała, tym kobietom i mężczyznom, którzy nie byli jej przyjaciółmi. Nie musiała ich przekonywać o swojej inteligencji. Gdyby musiała, już dawno zademonstrowałaby wszystkim swoje układanki Pegasus. Personel sieci Global News wiedział, że Sarah Pembroke jest osobą błyskotliwą, niezrównaną wojowniczką. Współpracownicy Sarah nie wiedzieli jednak czegoś, co rozpaczliwie pragnęła im udowodnić: że ich szefowa jest kobietą, którą warto pokochać. Nawet jeśli to było kłamstwo.

- W porządku - powiedział Jack. Potem zdecydował, że sam skłamię. - Ufam ci - dorzucił. - Nie będę na ciebie naciskał. Ale dla twojej informacji, od dzisiaj rano Frances - a za jej sprawą pewnie wszyscy inni - wierzy, że to ja jestem twoim tajemniczym wielbicielem. A ja, Sarah, nie zamierzam teamu zaprzeczać.

Sarah zdrząła pod wpływem jego delikatności. Jack Dalton stanowił ogromne zagrożenie dla jej serca, był o wiele bardziej niebezpieczny niż ciosy zadane podstępnie nożem o wyszczerbionym ostrzu. Czy zorientował się, że przysyłała róże samej sobie? Tak, chyba rzeczywiście się zorientował. Mistrz od rozwiązywania zagadek wykrył jej godny pożałowania defekt, a mimo to nie wzdrygnął się z obrzydzeniem i wydawało się, że nie przywiązuje do tego faktu większej wagi.

Dlaczego był dla niej taki miły? Bo naprawdę mu na niej zależało?

Nie! On potrzebuje twojej pomocy, to wszystko. Jest w Londynie, żeby schwytać zabójcę, a tak się składa, że to ty jesteś przynętą dla tego szaleńca, najważniejszym tropem w tej ambitnej, zahaczającej o śmierć zagadce. Jest w tobie coś, co przyciąga zabójcę, jakaś ukryta tęsknota, a może potajemne życzenie, które dzielisz z innymi ofiarami.

I chyba dobrze wiesz, w jaki sposób Jack zamierza odkryć to najważniejsze brakujące ogniwo, prawda? Będzie chciał się dowiedzieć absolutnie wszystkiego o tobie i o twoim sercu. Rozbierze je na rozdygotane kawałki, jakby to były elementy układanki Pegasus. A kiedy znajdzie resztki, które nigdzie nie pasują i które on uzna za bezużyteczne dla siebie, po prostu wyrzuci. Przecież tobą można rozporządzać, pamiętasz?

Sarah wpatrywała się w spiczaste wieżycy Westminsteru, a nie w jego przenikliwe błękitne oczy. Ale teraz odwróciła się do Jacka i ujrzała łagodność, która pasowała do jego głosu. Fałszywą łagodność, napomniała samą siebie. To tylko intryga, mająca mnie skłonić do tego, żebym odkryła swoje zdruzgotane serce, żebym ujawniła jakieś elementy, które pomogłyby rozwiązać zagadkę śmierci.

- Wiesz, co byłoby naprawdę sprytne, Jack?

Ta wojowniczką była teraz w ofensywie, a jej dzielny - i w jakimś sensie konieczny - atak był powodowany ślełą furią. Jak gdyby była generałem, który właśnie odkrył szpiega w szeregach swojej armii.

- Nie, Sarah. Co takiego?

- Gdyby zabójcą był człowiek wyznaczony do rozwiązania tej sprawy, ekspert, który na pozór jest poza wszelkim podejrzeniem, który ma klucze do domu ofiary, zadaje jej takie pytania, jakie chce zadać, a to co sam robi, nigdy nie jest kwestionowane.

- Chcesz zakwestionować to, co robię?

- Tak. - Nie. Chcę ci wierzyć, bo coś mi mówi, że tobie chodzi o coś znacznie więcej, niż tylko zagadkę czy grę... to coś mi mówi, że nawet gdy to wszystko się skończy, ty nadal tu będziesz.

- Śmiało, lady Pembroke. Czekam na twoje wyzwanie. Nie będzie go tutaj. Przecież wiesz, że go nie będzie.

- Dobrze. Powiedz mi, gdzie byłeś w ostatnie Walentynki. Jack westchnął.

- Co ty wyrabiasz, Sarah?

- No i co, Jack, nie masz alibi?

- Byłem w Wirginii, z kobietą, prawniczką, która pracuje w Waszyngtonie.

- A więc spędziłeś noc kochając się przed płonąącym kominkiem?

- Nie. - W jego głosie aż kipiało od frustracji. - Miałem tylko nadzieję, że spędzę noc w ten sposób. Ale pokłóciliśmy się. Ona postanowiła sobie, że przyszła pora na bardziej określone plany dotyczące naszego związku, a ja nie byłem tym zainteresowany.

- Byłeś zainteresowany tylko zaciągnięciem jej do łóżka? Czy to twoja specjalność, Jack?

- Po co to robisz, Sarah? Jaki to ma cel? Sarah zmarszczyła brwi, a potem uśmiechnęła się.

- Nie ma w tym żadnego celu. Po prostu rozmawiamy. Po prostu chcę cię lepiej poznać. Ale mam naprawdę dużo pracy. Powinnam wracać do biura.

W tym momencie odsunęła się od krawędzi gmachu, od miejsca, gdzie wystarczyło się potknąć albo zostać popchniętym - albo wykonać desperacki skok - aby trafić do wieczności. Przeszła ocierając się o mocne męskie ciało, które zeszywniało pod wpływem starannie ukrywanej furii.

Jack mógł gniewnie spoglądać na cynowe niebo, widząc jak przez mgłę nie tylko z powodu wściekłości, ale także dlatego, że był pochmurny, zimowy dzień. Zamiast tego patrzył, jak dziewczyna pośpiesznie odchodzi - i widział, co się z nią dzieje, widział niemal niedostrzegalne zgarbienie dotąd dumnie wyprostowanych ramion, lekkie pochylenie kruczoczarnej głowy... i wreszcie klus gazeli, który robił się coraz wolniejszy, aż wreszcie Sarah przystanąła.

Jack podszedł do niej i stanął za jej plecami tak blisko, że mógł jej dotknąć. Jego ręce zawisły w powietrzu, nad ramionami Sarah. Mimo to wyczuła ich energię, ich moc. Może była jak marionetka, połączona z nim za pomocą niewidocznych sznureczków, bowiem po chwili zaczęła się wyprostowywać i w końcu odwróciła się do niego z wdziękiem baleriny.

- Przepraszam, Jack.

- Nie, Sarah. To ja przepraszam. Nie powinienem był złościć się na ciebie.

- Ależ skąd.

- Nie powinienem. - Jack uśmiechnął się. - Powiedziałem ci, jaka jest najważniejsza zasada przy wyjaśnianiu zbrodni, Sarah. Nie wolno ci przeoczyć niczego, nawet najdrobniejszego albo najmniej istotnego szczegółu. Takiego jak moja osoba.

Wreszcie uśmiechnęła się przez chwilę byli w Paryżu i zakochiwali się w sobie nad Sekwaną w tamten zamglony dzień brylantów i tęcz, kiedy kłamstwa nie odgrywały prawie żadnej roli, a groźba morderstwa wydawała się bardzo odległa.

Ale to był Londyn, a nie Paryż, przypomniał sobie Jack. I w grę wchodziły tutaj zasadnicze kłamstwa, tak potworne nadużycie jej zaufania. Było to konieczne, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. A jeśli wiedziała o tym?

Jack zadygotał z zimna, a potem, w nerwowej ciszy, poczuł gorący przyptyw niepokoju. Pokaż się, rozkazał w myślach zabójcy o czarnym sercu. Żebym mógł położyć kres zagrożeniu z twojej strony, zanim moje oszustwo wobec Sarah położy kres wszelkiej nadziei na miłość między nami.

Jack wcale nie oczekiwał, że ta pełna pasji komenda zostanie wysłuchana. Ale podczas gdy on i Sarah stali na dachu, szykując się do wojny -i ponownie zakochując się w sobie - do jej gabinetu zadzwonił pewien mężczyzna z Los Angeles, supergwiazdor, któremu nie mogła odmówić.

16

- No, proszę! - Jeszcze wczoraj powitalna formułka Frances mogła brzmieć szyderczo, oskarżycielsko. Teraz jednak kryło się za nią tylko podniecenie, a wyraz jej twarzy świadczył o szacunku. Dzisiejszego dnia Frances dowiedziała się niesamowitych rzeczy o Sarah. Po pierwsze, dowiedziała się o istnieniu Jacka, wspaniałego kochanka Sarah. A teraz jeszcze ta historia. - Dzwonił Cole Taylor. Ten Cole Taylor. Chce się z tobą zobaczyć. Zaproponował kolację dziś wieczorem, w hotelu Drake, ale mówi, że jeśli to ci nie pasuje, to dostosuje się do ciebie. Cole Taylor, Sarah! Czy znasz go dobrze?

- Co takiego? Nie. Właściwie... nie, nie znam go. Myślę, że to sprawka Timothy'ego - mruknęła Sarah, jednocześnie marszcząc czoło. Być może Timothy chciał zaaranżować randkę koronowanego księcia Gemstone Records z księżniczką Global. Tylko że Timothy Asquith raczej nie zrobiłby tego w taki sposób. Zaproszenie zostałoby wystosowane przez niego, a nie przez Cole'a.

Frances całkowicie się z nią zgadzała.

- Nie sądzę, żeby to był pomysł pana Asquitha - powiedziała. - To wydawało się znacznie bardziej osobiste. Cole Taylor podał nawet powód, dla którego chce się z tobą widzieć. Pragnie porozmawiać z tobą o kimś, kto nazywa się Claire.

- Jak dobrze znasz Cole'a Taylora?

Pytanie zadał Jack, tonem łagodnym, ale jednocześnie dociekliwym, i to w momencie, gdy byli sami.

- Ja... Myśmy nigdy się nie poznali.

- Czy Claire go poznała?

Sarah wiedziała, o co chodzi Jackowi, i że ze zrozumiałych względów mógł się na nią zezłościć.

- Czy używasz imienia Claire wobec wszystkich? Wobec Cole'a Taylora i mnie, i niezliczonej rzeszy innych mężczyzn? -Mimo wszystko mówił ze spokojem w głosie, pragnąc poznać odpowiedź. - Sarah?

- Claire to Claire Chamberlain. Pisywałyśmy kiedyś do siebie, kiedy byłyśmy dziewczętami. Chyba można powiedzieć, że byłyśmy korespondencyjnymi przyjaciółkami. Claire mieszkała w Luizjanie, w małym miasteczku o nazwie Harlanville, i mieszkał tam również Cole. W Paryżu, kiedy zapytałeś mnie, jak się nazywam, przyszło mi do głowy tylko jej imię. Wcześniej nigdy go nie używałam.

- W porządku. - Swobodny uśmiech Jacka uratował ich wszystkich. Sarah i Jacka, Jacques'a i Claire. - Dlaczego Cole miałby chcieć rozmawiać z tobą o Claire?

- Naprawdę nie wiem. Claire i ja przestałyśmy do siebie pisać dwanaście lat temu.

- Bo?

- Bo... - Moje życie zostało zdruzgotane, rozprysło się w drobne kawałki szaleństwa. -... oddaliłyśmy się od siebie.

- A co z Claire i Cole'em?

- Nie mam pojęcia, co u nich teraz słychać. Czytałam kilka artykułów o Cole'u, ale jej nazwisko nigdy nie było wymieniane.

- Ale kiedyś w Harlanville doszło do tego, że Cole i Claire byli blisko ze sobą?

Sarah zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Listy, które wymienialiśmy z Claire, były jak pamiątniki.

- To znaczy, czujesz, że odpowiadając mi na to pytanie zdradziłabyś jakieś tajemnice?

Wyraz twarzy Sarah był przeproszący jak ton jej głosu.

- Chyba tak, zwłaszcza że to nie ma... - Urwała gwałtownie. - Och, może to jednak ma jakieś znaczenie.

- Może - przytaknął cicho Jack. - Może Cole Taylor jest elementem tej układanki, a może nie. Ale w tej fazie byłoby nierozsądne nie przyjrzeć mu się jako osobie, która może być w to zamieszana. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę jego związek z Paulina Bliss i Ashley Alexander.

- Znał je?

- Tak. Obydwie. Bardzo dobrze. Zanim Paulina została zamordowana, była kochanką Cole'a Taylora. Jego nazwisko często się pojawia w raportach policyjnych.

- Jako nazwisko podejrzanego?

- Jako nazwisko kogoś, kto był dokładnie przesłuchiwany. Najwyraźniej Cole spodziewał się, że późnym wieczorem Paulina odwiedzi go w jego domu w Malibu, a kiedy się nie pokazała i nie odbierała telefonów, pojechał do jej domu w Bel Air. Nie mógł się dostać do środka, twierdził, że nie miał klucza, i wezwał policję z telefonu w samochodzie.

- Ale nie postawiono mu zarzutów?

- Nie. Ku zmartwieniu wielu osób w prokuraturze. Ale nie mogli go o nic oskarżyć. Po prostu nie było wystarczających, a właściwie żadnych dowodów na to, że coś go łączyło z tą zbrodnią. Proces byłby całkowicie poszlakowy, a to przecież koszmar dla prokuratora w przypadku zbrodni głównej, a zwłaszcza gdy oskarżony jest znaną osobistością. - Specjalista od rozwiązywania zagadek zmierzył Sarah przenikliwym spojrzeniem swoich kobaltowych oczu. - Nie wiedziałas o związkach Cole'a z tymi aktorkami, a jednak odnoszę wrażenie, że uważasz, iż mógłby być zabójcą. Powiedz mi dlaczego.

Sarah wzruszyła ramionami.

- On jest z Los Angeles, jest tą znaną postacią, na którą czekaliśmy. Chodziło o coś więcej. Jack był tego pewien. Sarah ukrywała coś przed nim, może jakąś tajemnicę, którą kiedyś dzieliła z Claire.

- Rozumiem, że Claire i Cole kiedyś, w Harlanville, byli blisko ze sobą?

- Jej zależało na nim. I to bardzo. A on straszliwie ją zranił. Ale to było dawno temu. Kiedy byli nastolatkami.

- A teraz Cole jest tutaj i chce porozmawiać z tobą o niej.

- Tak. A ja rozmawiam z nim, Jack. Zjem z nim dzisiaj kolację, tak jak zaproponował.

- I będziesz ostrożna?

Nawet nie zmrużyła oczu. W tych błyszczących zielonych głębinach Jack dostrzegł prawdę, której Sarah nie była w stanie ukryć. Było coś jeszcze, jakiś kłopotliwy, a może nawet śmiertelnie niebezpieczny sekret, którego nie chciała ujawnić.

- Tak - obiecała. - Będę ostrożna.

Od urodzenia Sarah Pembroke była rozczarowaniem dla swoich rodziców. Chcieli, aby tylko jedno dziecko odrywało ich od bardziej istotnych przyjemności życiowych, i żywili ogromną nadzieję, że ich legalny potomek będzie płci męskiej. Jednak urodziła się dziewczynka i to tak krucha, tak słabowita, że trudno było uwierzyć, iż to ich dziecko. Co się stało z genami, które pozwalały im brylować we wszelkich rozkoszach ciała, od polowań na lisy po seksualną ekstazę?

W dodatku lady Sarah nie wyglądała tak, jak powinna była wyglądać ich córka. Jej skóra miała niezdrowy blady odcień, a włosy były kruczoczarne, a nie złociste i błyszczące. I chociaż już od okresu niemowlęcego rzucała się w oczy jej niezwykle arystokratyczna uroda, to nie wystarczyło, ona nie wystarczyła. Dla nich nie była dość udana.

Robert i Geneva Pembroke nie mogli sobie pozwolić na marnowanie dużej ilości czasu na swoją rozczarowującą córkę. Sarah wiedziała o tym. Ale mimo wszystko starała się. Och, jak bardzo się starała!

Ćwiczyła słowa, które do nich wypowie, kiedy ujrzy ich następnym razem, kiedy na krótką, przelotną chwilę zagoszczą w jej życiu. Te słowa były pełne desperacji, gorączkowe, i często towarzyszyły im pełne desperacji, gorączkowe czyny.

- Spójrz na mnie, mamusiu! Nauczyłam się jeździć na rowerze zupełnie sama. Popatrz na mnie, proszę cię. Jestem wysportowana, naprawdę jestem wysportowana, zupełnie jak ty i tata!

Ale kobieta, która miała w przyszłości biegać z gracją gazeli, nie była tak zwinna i elegancka w dzieciństwie. I podczas tych rzadkich, jakże ważnych sekund, kiedy udawało jej się skupić na sobie uwagę rodziców, jej już i tak słaba koordynacja ruchowa zupełnie zawodziła. Dziewczynka chwiała się i przewracała, rozczarowując ich jeszcze bardziej - balerina, która nie umiała zatańczyć choćby jednego kroku, tenisistka, która nie była w stanie trafić w piłeczkę, amazonka przerażona silnym rumakiem, nad którym miała panować.

To, że lady Sarah Pembroke była niezmiernie inteligentna, nie miało znaczenia. Tego należało się spodziewać. Jej rodzice również byli inteligentni. Ważne było to, że zamiast wdzięku dziewczynka

przejawiała niezdarność, że zamiast sukcesów ponosiła porażki, że zamiast pewności, samozadowolenia i spokoju biła z niej rozpacz.

Właśnie taka jestem, błagało serduszko Sarah. Kochajcie mnie taką, jaka jestem, proszę was, dobrze?

Na ósme urodziny Sarah lord i lady Pembroke'owie zrobili sobie prezent, oświadczając, iż zdecydowali wysłać córkę do szkoły z internatem, do prestiżowej L'Académie des Jeunes Filles w Vald'Is're, w południowej Francji. Tak będzie najlepiej, powiedzieli, a Sarah zgodziła się. Może we Francji, w miejscu, gdzie nikt nic o niej nie wiedział, będzie mogła zacząć od nowa, nawiązać przyjaźnie...

Ale desperacja, która stała się częścią Sarah w takim samym stopniu, jak jej kruczoczarne włosy i biała jak śnieg skóra, natychmiast została zauważona przez jej nowych kolegów i koleżanki z klasy. To, że tak strasznie chciała być lubiana, odpychało od niej wszystkich. Sarah nie miała przyjaciół w Vald'Is're, tylko szkołę pełną dziewcząt, które wyczuwały, że gdyby Sarah miała szansę, chciałyby od nich o wiele więcej, niż one były gotowe jej dać.

Podczas trzeciego roku nauki w szkole zjawiła się nauczycielka z Harlanville. Nowa nauczycielka zdecydowała, że jej uczniowie mieliby uciechę, a także wiele by się nauczyli, gdyby korespondowali z dziećmi w Stanach Zjednoczonych. Napisała do Augusty Chamberlain, swojej ulubionej nauczycielki, i razem wymyśliły plan. Ponieważ płynna francuszczyzna była równie ważna dla uczniów w Harlanville - na obrzeżach francuskiej Luizjany - jak dla dziewcząt w Vald's're, przynajmniej część każdego listu miała być pisana w języku francuskim.

Sarah wyznała Claire, że jest osamotniona, a wspaniałomyślna dziewczynka zza oceanu w odpowiedzi zaoferowała jej wsparcie i nadzieję. Claire opowiedziała Sarah o ciotce Augustcie, odmalowując tak żywy portret, że Sarah niemal czuła gościnne ciepło Augusty. Ponadto Claire opowiedziała swojej przyjaciółce z dalekich stron o innej osobie, którą kochała, o chłopcu, którego poznała w lesie za rozlewiskiem... o chłopcu, który w okresie, gdy korespondowały ze sobą, oddalił się od Claire, stał się młodym mężczyzną i okazywał szydercze okrucieństwo uroczej dziewczynce, która kiedyś była jego przyjaciółką.

Portret Cole'a został odmalowany z miłością, bez względu na to, jak się zachowywał w stosunku do niej. Sarah przeżywała każde nielojalne zachowanie Cole'a wobec Claire, czuła je głęboko we własnym sercu. Istniała jednak pewna różnica. Claire zupełnie nie dostrzegała okrucieństwa Cole'a Taylora. W przeciwieństwie do Sarah. Okres dojrzewania, stawania się wyjątkową, choć trochę posępną piękną, stanowił dla Sarah kolejną bolesną lekcją na temat miłości, na temat tego, jak samolubne i egocentryczne może być to uczucie.

Młodzi arystokraci, z którymi miała się zadawać zgodnie z życzeniem rodziców, pożąдали jej rozpaczliwie. Jednak ich uczucie było równie warunkowe, jak w przypadku rodziców. Pragnęli jej tylko wtedy, gdy przy niej wyglądali lepiej, tylko jeśli ona dawała przyjemność im. Sarah traktowała niekończące się zaloty z lodowatą pogardą, lecz ta maska skrywała prawdziwe osamotnienie i

narastającą desperacją. Ci chłopcy nie chcieli się z nią zaprzyjaźnić ani poznać jej, zupełnie jak koleżanki ze szkoły.

Lady Sarah Pembroke miała jedną przyjaciółkę: dziewczynę z Luizjany, z którą korespondowała. W kwestii Cole'a Sarah czuła się rozdarta. Czy powinna zdradzić Claire, co myśli o Cole'u, ujawnić pełen goryczy pogląd, oparty na własnych doświadczeniach z „miłością”? A może powinna nadal wierzyć, tak jak zawsze wierzyła, że w przypadku Claire będzie inaczej - powinno być inaczej - że dziewczyna o tak promiennym sercu znajdzie pełnię szczęścia? Być może Claire miała rację co do Cole'a, być może zasługiwał na jej miłość, był czuły i kochający, chociaż wszystko świadczyło przeciw niemu.

Sarah nie podzieliła się z Claire niepokojem w kwestii Cole'a. Trudno było jej o tym pisać, nawet po francusku. Poza tym uznała, że jeśli ma wyrazić wątpliwości, powinna to zrobić osobiście, twarzą w twarz; co było całkiem możliwe, albowiem przyjaciółki zamierzały się spotkać, i to z udziałem ciotki Augusty. Claire i Augusta wybierały się do Londynu w czerwcu. Sarah postanowiła sobie, że pokaże im wszystko, i że będą nieustannie rozmawiały, i...

Sześć miesięcy przed tak oczekiwanym spotkaniem zdarzyła się tragedia. Dotknęła obu dziewcząt. To były zupełnie odmienne przypadki potwornej brutalności, osobne i całkowicie różniące się od siebie akty przemocy, które łączył jednak zdumiewający zbieg okoliczności: te oddzielne dramaty nastąpiły w ten sam grudniowy dzień, dokładnie o tej samej godzinie.

Dla Claire dzień, który zakończył się śmiercią ojca Cole'a, był bardzo udany i radosny. Sytuacja wyglądała inaczej w przypadku szesnastoletniej Sarah. Dwudziesty trzeci grudnia zaczął się złowieszczo, a potem było już coraz gorzej.

Tuż przed zimowym świtem Sarah i jej rodzice zostali porwani. Trzech uzbrojonych po zęby mężczyzn włamało się do ich posiadłości w Norfolk, uśpiło ich chloroformem i przewiozło pozbawioną okien furgonetką do zatęchłej piwnicy, gdzie mieli być przetrzymywani aż do wypłacenia okupu.

Pieniądze, duże pieniądze, były jedynym motywem zbrodni. Wszyscy trzej porywacze byli Brytyjczykami. Żadnemu z nich nie chodziło kwestie polityczne, z wyjątkiem odwiecznej walki między bogatymi i uciskanymi.

- Jesteśmy współczesnymi Robin Hoodami - oświadczyli przestępcy, a ich szydercze uśmiechy były dobrze widoczne, mimo iż zasłonili sobie twarze pończochami.

Ta kwestia została podniesiona jeszcze raz, po paru godzinach, kiedy czekali na ostatni telefon do Simona Beckwith-Jonesa. Jako bliski przyjaciel i adwokat rodziny Pembroke'ów, Simon otrzymał zadanie zebrania okupu bez kontaktowania się ze Scotland Yardem.

- Fajna z ciebie laska, co nie, dziewczeczko Marian? - porywacz mówił do Sarah, a spomiędzy nylonowych szczelin prześwitywały jego roześmiane, drwiące, przerażające oczy. Skonsultował się ze swoimi współnikami, a potem zagadnął: -No, to jak, koledzy? Zgodzicie się chyba, że zasługujemy na nagrodę? Na nasz prywatny okup? Cóż może być lepszego, niż ta śliczna dziewczica? Jesteś dziewczicą, prawda, lady Sarah?

Sarah nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Ale czekała z bijącym sercem, aż usłyszy dwa inne głosy.

Dotkniesz mojej córki po moim trupie, ostrzeże jej ojciec z takim przekonaniem, że porywacze ze wstydem odstąpią od swojego planu.

Weźcie mnie, będzie błagała jej matka. To okaże się zupełnie niepotrzebne po kategorycznej odmowie ze strony ojca, ale będzie takie usilne i szczere. Weźcie mnie, a nie moją niewinną dziewczynkę.

W swoim sercu Sarah naprawdę słyszała te głosy. Uświadomiła sobie jednak, że to tylko halucynacje, zaledwie szydercze złudzenia własnej głupiej nadziei.

W piwnicy panowała cisza i kiedy Sarah spojrzała na swoich rodziców, ich miny były dobrze znajome i tak wyraziste, nawet pomimo tego, że znajdowali się w cieniu.

Barbarzyński akt odbył się na betonowej posadzce, u stóp jej rodziców. Z obiektywnego punktu widzenia czas trwania gwałtu na Sarah Pembroke można było odmierzyć w minutach. Jednak według niewidzialnego zegara w jej sercu i w jej duszy, te minuty bólu - i zdrady - trwały nieskończenie długo.

Sarah pragnęła śmierci, modliła się o nią. Na pewno straciła tyle krwi, że śmierć nastąpi wkrótce. Gdyby tylko mogła stracić przytomność w międzyczasie.

Ale Sarah nie straciła przytomności. Nie mogła. Jej umysł był niesamowicie czujny, niewiarygodnie świadomy - już w tym momencie Sarah miała złowieszcze przeczucie, co oznacza ta zdrada. Nadejście obłędu.

Istniało prawdopodobieństwo, że Sarah może umrzeć, albo gwałtciele mogli się znudzić jej niemal pozbawionym życia ciałem i skierować gwałtowną żądzę na jej matkę. Być może Sarah zobaczyłaby wtedy odwagę ojca, zaciętą walkę na śmierć i życie o to, by nie zdołali tknąć jego żony. Jednak zanim napastnicy znudzili się nią, kiedy wciąż jeszcze czerpali przyjemność z rozrywania jej niewinnego ciała, rodzina Pembroke'ow została uratowana.

Kidnaperzy gwałcili Sarah na zmianę, a ci, którzy czekali na swoją kolejkę patrzyli, a także pilnowali rodziców Sarah. To ostatnie zadanie nie było szczególnie wymagające. Było najzupełniej oczywiste, że żaden z rodziców nie zamierza podejmować prób ratowania córki, a żeby uciec, musieliby gramolić się po ofierze seksualnej rzezi.

Mężczyźni prawie nie zwracali uwagi na swoich jeńców. Byli jednak bardzo wyczuleni na inne, bardziej odległe dźwięki. Usłyszeli, że otwierają się jakieś zewnętrzne drzwi, a potem dudnienie zbliżających się kroków. Zanim zjawiła się policja, kidnapерzy zdążyli się przygotować do konfrontacji. Właściwie wyszli jej na spotkanie, otwierając ogień.

Strzelanina, która się wywiązała, była długa i bardzo donośna, przypominała gwałtowną burzę, podczas której Pembroke'owie byli zupełnie sami. Z punktu obserwacyjnego w ciemnym pokoju nie było wyraźnie widać, kto wychodzi z tej walki zwycięsko: przestępcy czy policja. Jednak nawet przy założeniu, że wygrają ci ostatni, widok lady Sarah Pembroke, zgnawionej i krwawiącej, nie byłby odpowiedni.

Jak przystało na filary społeczeństwa i znawców etykiety, rodzice Sarah uwijali się szybko, żeby usunąć ze sceny wszelkie ślady skandalu - całą prawdę. Używając strzępków koszuli nocnej i szlafroka swojej córki, Geneva Pembroke stała najbardziej charakterystyczne ślady krwi, a potem, po skończonej pracy, wepchnęła zakrwawione resztki do kieszeni swojego jedwabnego szlafroka. Następnie matka i ojciec wspólnie postawili nagą córkę na nogi i spełnili rodzicielski obowiązek, owijając ją obszernym jedwabnym szlafrokiem lorda... dokładnie w chwili, gdy zbliżał się do nich pierwszy policjant.

Czy Robert i Geneva Pembroke odczuwali wyrzuty sumienia? Czy przebywając w wilgotnej, ciemnej piwnicy, zdawali sobie sprawę, że przekroczyli linię, która dzieli rodziców niedoskonałych - pochłoniętych sobą i niedbałych - od rodziców budzących wyłącznie grozę? Czy przyrzekli sobie, że odpokutują swoje postępowanie?

Może tak. Może nie. Wszelkie ślady rodzicielskiej skruchy szybko zniknęły, podczas gdy Sarah spędzała ferie świąteczne w całkowitym milczeniu. Ich rozczarowująca córka znowu, w dalszym ciągu, źle się zachowywała. Musiała zapomnieć o tamtym niefortunnym wypadku. Przecież było już po wszystkim. Jednak Sarah nie reagowała zgodnie z oczekiwaniami Roberta i Genevy i w miarę upływu czasu to ona, a nie jej rodzice, zaczynała dźwigać brzemień całej porażki, całej winy.

Sarah podsłuchiwała, jak rodzice dzielą się ciężkimi przejściami - w ocenzonej wersji - ze swoimi przyjaciółmi. Była to zapierająca dech w piersiach, dramatyczna opowieść, która nieodmiennie kończyła się stwierdzeniem, że chociaż może to zabrzmieć niezyczliwie, to jednak bardzo się cieszą, że wszyscy trzej porywacze zginęli na miejscu.

Niestety, dodawali ściszonymi głosami, widok martwych ludzi, ich ciał porozrywanych kulami, ich pozbawione życia twarze bez masek były zbyt dużym przeżyciem dla Sarah. Po prostu nie mogła się otrząsnąć po tej tragedii tak, jak powinna.

Kiedy nadeszła pora, żeby Sarah wróciła do West Heath, ekskluzywnej szkoły z internatem w hrabstwie Kent, do której przeniesiono ją, gdy miała trzynaście lat, dziewczynka stała się, według słów własnej matki, „wprost nieznośna”.

- Nie je, nie odzywa się - Geneva skarżyła się Simonowi Beckwith-Jonesowi. - Właściwie nawet się nie rusza, chyba że ktoś ją szturchnie. Po prostu gapi się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Podświadomie Sarah żałowała, że nie może patrzeć na swoich rodziców, że nie jest w stanie zakomunikować im z niemą, ale wymowną jasnością, iż to oni są prawdziwymi przestępcami, złodziejami i mordercami, którzy ukradli swojemu dziecku każdą nić nadziei, a potem zabili tę nadzieję na zawsze. Sarah pomyślała jeszcze, że jej rodzice są również kidnaperami. Przez wszystkie te lata więzili jej serce jak zakładnika, mając obietnicą, że może być kochana, że jeśli naprawdę się postara, zasłuży na ich miłość.

Lord i lady Pembroke'owie popełnili ohydne zbrodnie emocjonalne. Nie byli jednak winni bardziej błahych przestępstw, mniejszych kłamstw. Właściwie przez całe życie Sarah słyszała od nich, że nie jest warta, by ją chronić i kochać. Poświęcenie ich dziewiczej córki na zimnej betonowej posadzce było jedynie ostatecznym potwierdzeniem słuszności ich tezy.

Sarah nie była kimś wartościowym, po prostu można nią było rozporządzać.

A teraz stawała się utrapieniem, osobą kłopotliwą. Nie stanowiła dużego problemu w Londynie, w domu przy Regent's Park, gdzie rodzina Pembroke'ow mieszkała w tygodniu. Tam była kimś w rodzaju kwiatu doniczkowego. Gospodyni mogła od czasu podlewać go i zestawiać z okna, ilekroć robił się przeciąg.

Jednak w wiejskiej posiadłości w Norfolk, gdzie jedną z wielkich przyjemności jej rodziców było urządzenie weekendowych przyjęć, Sarah zdecydowanie zawadzała, była kłopotem, który coraz trudniej dawało się wytłumaczyć.

Państwo Pembroke znowu musieli się pozbyć swojej rozczarowującej córki.

- Pomóż nam, Simonie - błagała Geneva. - Ostatecznie, to ty jesteś temu winien. Gdybyś sprzeciwił się życzeniom kidnaperów i nie wezwał Scotland Yardu...

- Nie zostalibyście uratowani.

- Zgadza się. Umarlibyśmy na amen i może lepiej byśmy na tym wyszli! - W głosie Genevy nie było już rozdrażnienia, tylko złowróżbny syk. - Myślę, że ona oszalała, nie jest obłąkaną wariatką, jeszcze nie, tylko niemą wariatką. Nie ma jakiegoś miejsca, dokąd mogłaby pójść?

Miejsce, do którego miano odesłać lady Sarah Pembroke, musiało spełniać specjalne wymagania. Najważniejsze było to, żeby wszyscy członkowie personelu, od psychiatrów po kucharzy, zachowali dyskrecję. Oficjalna wersja miała głosić, że Sarah jest w Szwajcarii i uczęszcza do szkoły w pobliżu Lucerny. Mieli powiedzieć, że ona sama postanowiła opuścić Anglię. Sarah tęskniła za spokojem Alp, chciała oddalić od siebie nieprzyjemne wspomnienie bożonarodzeniowego porwania.

W rzeczywistości Sarah była w Anglii, w Avalon, drogim i ekskluzywnym zakładzie dla obłąkanych w Kornwalii. Okolica rzeczywiście była górzysta: olbrzymie białe hałdy w pobliżu St. Austell utworzone z sypkich odpadów po przerobieniu gliny porcelanowej.

A co do spokoju? Czy można go było znaleźć w kamiennych murach Avalon, twierdzy pośród porośniętych wrzosami granitowych skał Bodmin Moor? Taki błogostan byłby tutaj możliwy dla

tych, którzy osiągnęli spokój ducha i umysłu. Wszak była to kraina króla Artura, magii Merlina i czystości Galahada. Na północy znajdował się zamek Tintagel, gdzie urodził się legendarny król, a zaraz na południe od zakładu mieściło się Dozmary Pool, gdzie oddano Ekskalibura Damie Jeziora. Nawet nazwa, Avalon, przywoływała legendę. To właśnie na tę wyspę udał się Artur po swojej ostatniej bitwie, aby opatrzyć rany i zostać uleczonym przez czarodziejkę Morgan Le Fay.

Czy ten współczesny Avalon był miejscem, gdzie dawało się uleczyć śmiertelne rany? Nie dla Sarah. Dla niej było to raczej więzienie niż sanktuarium. Ale tak jak dawny Avalon, azył był wyspana wrzosowym morzu, z której nie można było uciec.

Nie żeby Sarah rozważała możliwość ucieczki. Dlaczego miałaby to robić? Nie miała dokąd pójść. Ale pragnęła prywatności, choćby chwili z dala od mrocznych postaci, które śledziły każdy jej ruch, donosiły o wszystkim, co zaobserwowały: jej narastający obłąd, jeszcze bardziej splątane włosy, nieustanne spacerowanie po ogrodach - i które nadstawiały uszu, czekając, aż Sarah wreszcie przerwie milczenie i wypowie jakieś słowa.

W niespełna miesiąc po wydarzeniu, które skazało ją na obłąd, Sarah poczuła czyjąś obecność oprócz tych mrocznych pasterzy. Była to cudowna obecność i wydawało się, że pochodzi z jej wnętrza - malutki płomyk nadziei, który oświecił jej drogę i obiecywał, że już nigdy nie będzie sama... jeśli tylko zechce się nim cieszyć.

I rzeczywiście odczuwała radość. Znowu zaczęła jeść, odpoczywać i spać dla swojej córki. Swojej córki. Sarah wierzyła bez najmniejszych wątpliwości, że jej dziecko jest małą córeczką, bożonarodzeniowym cudem, niewinnym i czystym, a nie symbolem przemocy, która zniszczyła jej życie dwa dni przed świętami.

Sarah mówiła do swojej córki, najpierw po cichu, a potem szeptem. Ochronię cię, przysięgała. Nikt nigdy cię nie zrani. Będziesz bezpieczna, szczęśliwa i kochana, i będziemy tak wspaniale się bawiły, prawda? Będziemy się śmiać, rozmawiać i bawić. I nigdy nie zdarzy się, że będę zbyt zajęta, żeby być z tobą. Nigdy. Zawsze będziesz najważniejszą częścią mojego życia.

Zawsze.

Wygląda lepiej - donosił jeden z aniołów stróżów Sarah. - Wreszcie wyszczotkowała włosy, rozczesała je. Są teraz gładkie, jedwabiste, umyte i błyszczące, i nawet przewiązała je kolorową wstążką. - Opiekun westchnął. - Obawiam się jednak, że ze wszystkim innym jest gorzej. Fakt, zaczęła się odzywać. Ale wymyśliła sobie urojonego przyjaciela, z którym nieustannie rozmawia, i to z wielką pasją. Z fragmentów, które podsłuchałem, wynika, że coś planuje.

- Ucieczkę?

Pytanie zadał psychiatra Sarah. Jako pierwsza zareagowała na nie Geneva Pembroke, nieznoszącym sprzeciwu, ostrzegawczym tonem.

- Lepiej żeby nie uciekała.

- Te plany były bardzo nieokreślone - zapewnił ją strażnik Sarah. -Niespójne. Pełne złudzeń. Ona z pewnością ma halucynacje.

Sarah udało się zmylić wszystkich. Rumieńce na policzkach przypisywano długim spacerom, podobnie jak nadmierne uwielbienie dla świata fantazji, w którym żyła. A ciężę ukrywała bez trudu pod luźnymi strojami, które obowiązywały wszystkich pensjonariuszy zakładu.

Sarah pozwalała swoim nieodłącznym opiekunom podsłuchiwać urywki jej wypowiedzi, które brali za urojone rozmowy. O najważniejszych planach mówiła tak cicho, że mogła usłyszeć ją tylko jej córeczka.

Będziemy musiały mieszkać z moimi rodzicami przez jakiś czas, dopóki nie skończę osiemnastu lat. Wtedy dostanę pieniądze z funduszu powierniczego i będziemy mogły zamieszkać same. Ale i tak będziemy same, nawet kiedy będziemy z nimi mieszkaly. Nie pozwolę, żeby się do ciebie zbliżali.

Ale będą musieli nas przyjąć, powitać z otwartymi rękami. Właściwie będą musieli zrobić wszystko, co im każę. Wiesz dlaczego? Bo teraz, kiedy mam ciebie w swoim ciele, jestem silniejsza. Już czuję to, co powinien czuć rodzic - jestem gotowa zrobić wszystko, żeby ochronić swoje ukochane dziecko, gotowa poświęcić własne życie, by cię ocalić.

Moi rodzice zasługują na pogardę. Teraz już to wiem. I dowie się o tym świat, jeśli nie zrobią tego, co im każę. To szantaż, aleja mam to gdzieś! Szantaż to drobiazg w porównaniu z ich zbrodnią. Jest taki gość, nazywa się Timothy Asquith. Kiedyś przychodził na ich przyjęcia, chociaż od paru lat już tego nie robi. Może po prostu jest zbyt zajęty. Albo może więcej oni są naprawdę.

Widzisz, pewnego razu, kiedy miałam dziewięć lat, chcieli, żebym przejechała się na koniu przed ich przyjaciółmi. Przypuszczam, że chodziło o to, żeby wprawić mnie w zakłopotanie, aby wstyd pomógł mi przezwyciężyć obawy. Ale ja byłam zbyt przerażona, żeby wsiąść na konia, a co dopiero jeździć na nim. Zaczęłam płakać, nie mogłam się powstrzymać, i chociaż w głębi duszy byli na mnie wściekli, wyśmiewali się z moich łez, szydzili ze mnie.

Był tam Timothy Asquith i szepnął coś do moich rodziców, i w ciągu paru sekund wszystko się zmieniło. Zaczęli odgrywać swoje własne przedstawienie, przytulali mnie, jakby rzeczywiście im na mnie zależało, zapewniali, że jazda konna wcale nie jest ważna. Nie wiem, co Timothy Asquith im powiedział, czy stanął w mojej obronie, czy może po prostu oświadczył, że oglądanie dziewięcioletniej dziewczynki na koniu niewymownie go nudzi. Tak czy owak, to, co powiedział, uratowało mnie: on mnie uratował. A moi rodzice byli wzburzeni, właściwie bali się, jak gdyby wiedzieli, że działanie Timothy'emu Asquithowi na nerwy jest szczytem głupoty.

Dlatego postanowiłam zrobić tak: jeśli moi rodzice nie pozwolą nam zamieszkać z nimi, zagrozę im, że powiem panu Asquithowi, co naprawdę wydarzyło się podczas porwania. Teraz nie chciałabym już za nic w świecie cofnąć czasu, dzięki tobie. Ale moi rodzice nie będą o tym wiedzieli. Dowiedzą się tylko, że jeśli nas nie wpuszczą, poproszę Timothy'ego Asqui-tha, by powiedział światu, co zrobili. Widzisz, on jest w stanie ogłosić to całemu światu, ponieważ jest właścicielem całej sieci telewizyjnej.

Te plany były odważne, ale całkowicie możliwe do urzeczywistnienia, albowiem malutkie życie dorastające w łonie Sarah dawało jej wielką moc. Wtedy wszystko wydawało się możliwe. Szczęście. Miłość. Radość.

Ale takie szczęśliwe życie nie było jej pisane.

Według wyliczeń Sarah jej córka miała przyjść na świat mniej więcej we wrześniu. Ale kiedy poczuła bóle porodowe dziesiątego sierpnia, wprawiając w osłupienie personel zakładu, wcale nie była przerażona, nie miała żadnych złych przeczuc. Wręcz przeciwnie. Najwyraźniej jej córka była już gotowa do przyjścia na świat i, tak samo jak Sarah, nie mogła się doczekać chwili, w której rozpocznie pełne miłości życie. Poza tym mała dziewczynka była zdrowa i dobrze odżywiona, więc mogła się urodzić nieco przed terminem.

Jednak pomimo obietnic Sarah, pomimo jej śmiałych, radosnych planów, jej dziecko musiało dojść do wniosku, że nie warto żyć razem z Sarah.

Dziecko Sarah - jej nadzieja, jej światło, jej miłość - przyszło na świat martwe.

A więc to wszystko było jednak wytworem fantazji, złudzeniem. Wymownym, druzgoczącym dowodem jej szaleństwa. O tak, była w ciąży. Przynajmniej to nie było iluzją. Ale jej dziecko było chłopczykiem, a nie córeczką, którą sobie wyobraziła, a poza tym nawet w momencie, gdy przychodziło na świat, Sarah miała halucynacje.

Była jeszcze oszołomiona i zaspana na skutek znieczulenia, ale wydawało jej się, że słyszy płacz swojego dziecka. To była muzyka, wyraźna i czysta, melodyjne powitanie, pierwsza nuta w pieśni życia... a nie bolesne napięcie requiem.

Ale nie było żadnej muzyki, ani uwertury, ani pieśni pogrzebowej. Ten krzyk był jedynie halucynacją. Tylko złudzeniem, tylko kaprysem wyobraźni, szaleństwem, śmiercią.

Wiadomość, że jej synek zmarł jeszcze przed opuszczeniem łona, przekazała Geneva Pembroke. Na twarzy matki malował się smutek, jakiego Sarah nigdy wcześniej nie widziała - być może Geneva byłaby jednak kochającą babcią. Ojciec Sarah również był na miejscu, przy jej łóżku w szpitalu w Penzance. Wydawało się, że lord również jest zrozpaczony - podobnie jak Simon Beckwith-Jones.

- Nie-wołała Sarah.-On nie jest martwy. To niemożliwe. Nie wierzę w to! Chcę go zobaczyć.

Pozwolono jej zobaczyć go i potrzymać. Jej ślicznego martwego synka. Kiedy drżącymi wargami czule całowała jego zimną, alabastrową twarzyczkę, pasemka jej długich czarnych włosów splątały się z jego włoskami, równie czarnymi i błyszczącymi.

- Kocham cię - wyszeptała. - Zawsze będę cię kochała.

Sarah nie wróciła do zakładu dla obłąkanych. W końcu nie była tak szalona, jak przypuszczali. Nie przemawiała do wymyślonego przyjaciela, tylko, całkiem sensownie, do swojego nienarodzonego dziecka.

Chociaż psychiatrzy z Avalon orzekli, że pacjentka zachowuje się nieco dziwnie, ale jest zdrowa na umyśle, to jednak Sarah zdawała sobie sprawę, jak dalece zaawansowany jest jej obłąd. Rodzice dziewczyny również sobie to uświadamiali. Mimo to zakładowi lekarze nie wyrazili zgody na ponowne przyjęcie lady Sarah Pembroke do swojego klasztorowego sanktuarium na wrzosowiskach. Uznali, że z medycznego punktu widzenia nie są już jej potrzebni. W dodatku bardzo się oburzyli słownym atakiem lorda Pembroke'a, kiedy ten odkrył, że nie zauważono ciąży Sarah.

Poszukując innego rozwiązania, jakiegoś odległego miejsca, gdzie Sarah mogłaby marnieć, jej rodzice wynajęli stałą opiekę dla swojej dziwacznej córki.

Dziwacznej? Upiornej, oznajmiła Geneva. Sarah miała obsesję na punkcie śmierci - przynajmniej jeśli chodziło o jej zmarłe dziecko. Chłopczyk został pochowany na cmentarzu w pobliżu ich posiadłości w Norfolk. Gdyby Sarah mogła, spędzałaby tam wszystkie dni - i noce - wciąż z nim rozmawiając.

Ich córka stała się upiorem, a nawet kimś jeszcze gorszym. Obsesja dawała jej siłę. Wcześniej była milcząca i potulna, jak roślina w doniczce. Teraz jednak wygłaszała przemowy i piekliła się, dręcząc ich tak bardzo, że udzielali jej pozwolenia na kolejną wizytę na cmentarzu.

W każde sobotnie popołudnie, obiecywali jej rodzice, będziemy spędzali tydzień w mieście, a weekend na wsi, a więc, Sarah, masz gwarancję, że będziesz mogła oglądać go - jego grób - w każdy weekend, w każdą sobotę.

Sobotę i niedzielę, odpierała buntowniczo Sarah i jej życzenie było uwzględniane dla świętego spokoju.

W zwykłe dni, kiedy spędzała czas wyłącznie w murach ich londyńskiego domu, Sarah odkryła alkohol. Alkohol tak bardzo jej pomagał, uśmierzał ból, zagłuszał krzyki serca, uspokajał jej myśli. Ci, którym płacono za pilnowanie dziewczyny, nawet nie próbowali uniemożliwić jej picia. Ich praca stawała się taka łatwa, naprawdę nie wymagała żadnego wysiłku, kiedy ich zwirowana podopieczna piła. Sarah spędzała całe godziny w jednym miejscu, milcząca jak alabastrowy posąg i równie nieruchoma - z wyjątkiem pełnego wdzięku, rytmicznego ruchu prawej ręki, która raz po raz przystawiała do warg kryształowy kieliszek z bourbonem.

Sarah miała nieokreślone uczucie, że picie bardzo ją niszczy, ale nie przejmowała się tym. To po prostu nie miało znaczenia. Tylko dzięki alkoholowi mogła przetrwać niekończące się dni w

Londynie, natomiast w weekendy, kiedy całymi godzinami siedziała przy małym grobie, nie brała do ust ani kropli.

Poza tym uświadomiła sobie wreszcie - i to z takim spokojem - że nie będzie przez całe życie uzależniona ani od alkoholu, ani od niczego innego.

- Chcę ją poślubić.

- To jest w bardzo złym guście, Simon. I nie jest ani trochę śmieszne.

- Mówię całkiem poważnie.

- Chcesz poślubić naszą nienormalną córkę? To samo w sobie jest nienormalne. - Geneva zmrużyła przenikliwie oczy. - Chyba nie przepuścisz swojego majątku, co?

- W dalszym ciągu mam więcej pieniędzy niż wy oboje razem wzięci. Ale nie mam tego, czego pragnąłem od dłuższego czasu, czyli Sarah.

- Ona nie wyjdzie za ciebie, Simon. Dawna Sarah być może zechciałaby, ale ta nowa Sarah nie jest już taka uległa. Chyba że oświadczysz jej się w Londynie, kiedy będzie tak pijana, że da się ją namówić do wszystkiego.

- Potrafię ją przekonać i zamierzam zrobić to tutaj, w najbliższy weekend, kiedy będzie zupełnie trzeźwa. Nie potrzebuję waszego błogosławieństwa, naprawdę. Ale przez grzeczność...

- Ależ masz nasze błogosławieństwo, Simon. I jeśli uda ci się to załatwić, będziemy ci dozgonnie wdzięczni. Tylko jestem ciekawa, w jaki sposób zamierzasz ją przekonać?

- Obiecując jej to, czego pragnie najbardziej-uśmiechnął się Simon. -Dziecko.

- Ale Simon, przecież miałeś...

Protesty zaskoczonego Roberta Pembroke'a przerwało nagłe pojawienie się pielęgniarki Sarah. Pochodziła z okolicznej wioski, na co dzień pracowała w klinice i była zachwycona, że może dorobić do pensji pilnując stukniętej córki Pembroke'ów.

Jednak tego wieczoru na twarzy pielęgniarki malowało się zmartwienie, a nie zachwyt.

- Widzieliście państwo Sarah?

- To przecież pani praca.

- Tak, wiem. Ale chciała się wykapać i wydawało mi się, że nic się nie stanie, jeśli pozwolę jej na samotność i zaczekam za drzwiami, a że sama lubię długo się moczyć, minęło sporo czasu, zanim zaczęłam się martwić. Kiedy w końcu do niej zawołałam i nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, wpakowałam się do środka. Teraz rozumiem, dlaczego pozdejmowaliście zamki ze wszystkich jej drzwi. Bałam się tego, co mogę tam znaleźć. Ale jej nie było w środku, a okno było otwarte na oścież.

Robert zaklął, ale użył znacznie łagodniejszych słów niż jego żona. Wreszcie Geneva ciężko westchnęła i zdobyła się na wyznanie:

- Sądzę, że będzie tragicznie tylko wtedy, gdy znajdą ją biegnącą nago przez wioskę. Do czego, na szczęście, nie dojdzie. Przecież wiemy, gdzie jest, prawda? Na cmentarzu, rozmawia ze swoim gnijącym synem. - Geneva wygięła arystokratyczną brew, zerkając na Simona. - Chyba nie chcesz wziąć tego na siebie, prawda?

- Ależ chcę. Sarah potrzebuje kogoś, kto naprawdę się o nią zatroszczy.

- Zatrószczy, Simon? - przedrzeźniała go Geneva - Naprawdę zatroszczy? Był dwudziesty trzeci grudnia, pierwsza rocznica dnia, w którym został poczęty jej ukochany syn. Sarah wybrała ten dzień na ponowne połączenie z nim, czekała z taką rozpaczliwą, pełną zapału, niecierpliwą radością na nadejście tego wieczoru.

Ale nie powinna była czekać! Ziemia, która otaczała jego trumienkę, była teraz, zamrznięta. Na pewno musiało mu być strasznie zimno.

- Jeszcze tylko chwilka, moje małe kochanie - szeptała, pośpiesznie nacinając nadgarstki aż do kości. - Zaraz będzie ci ciepło i już nigdy nie będziesz sam.

Sarah patrzyła, jak z jej okaleczonych nadgarstków tryska krew, która leje się na zlodowaciałą iemę i topi kryształki szronu strumieniem karmazynowego ciepła i promieniejącej miłości, rozpoczynając podróż w dół, do zakopanego chłopczyka, aby go ogrzać.

Ale droga jej krwi, jej miłości, do zamrzniętej ziemi była zdecydowanie za wolna. Jemu nadal było tak zimno. Sarah zaczęła gorączkowo kopać, próbując rozorać ziemię poranionymi czubkami palców i pozbawionymi krwi rękami.

Wreszcie kiedy więcej krwi Sarah Pembroke połało się na zamrzniętą ziemię, niż płynęło jeszcze w jej żyłach, ruchy dziewczyny stały się mniej gwałtowne, ona sama była mniej rozgorączkowana. Kiedy Simon ją znalazł, Sarah uśmiechała się uśmiechem czystej radości. Była prawie martwa, zaledwie chwile dzieliły ją od śmierci, odwiecznego spoczynku.

Sarah nie poznała Simona. Nie opierała się jednak, kiedy jej dotykał ani kiedy pośpiesznie, bezceremonialnie obwiązywał jej krwawiące nadgarstki. W jej swobodnie szybującej świadomości on był aniołem, dlatego było logiczne, że nie chciał, aby w drodze do nieba ociekała krwią. Mężczyzna-anioł szeptał jej czułe słowa - „Sarah”, „kochanie”, „dziecino” -i Sarah zamknęła oczy, wiedząc, że nareszcie jest bezpieczna. Jej smutek wreszcie się skończył, a kiedy się obudzi, będzie ze swoim synkiem.

Ale ocknęła się w szpitalu i była tą samą smutną i obolałą Sarah - chociaż zaszła w niej pewna zmiana. Nic nie umarło, ani odrobina kłującego bólu. Ale coś się narodziło: głębokie i trwałe poczucie celu. Nie było jej pisane umrzeć już teraz. Ten spokój był odległą obietnicą. Na razie miała pozostać na ziemi, znosić ból.

Dlaczego?

Odpowiedź była zaskakująca i radosna: żeby mieć następne dziecko. Wydawało się niemożliwe, że dostanie jeszcze jedną szansę. Ale tak się stało. Simon chciał ją poślubić i wierzył, że ona urodzi mu dzieci, które przeżyją i rozkwitną dzięki jej miłości. Simon nie uważał, że jest szalona, tylko co najwyżej okropnie smutna, i przysiągł, że da jej szczęście.

Ale całe to szczęście - cała przyjemność - należały do Simona. -Państwo Beckwith-Jonesowie mieszkali w Londynie, w rezydencji w Belgravii. W ich eleganckim domu był pokój dziecienny, urocze, kolorowe pomieszczenie ozdobione przez Sarah i oddalone zaledwie o parę kroków od głównej sypialni... gdzie wraz z Simonem usiłowała - bezskutecznie - stworzyć nowe życie.

Seksualne upodobania Simona, przynajmniej jeśli chodziło o pożycie z nią, były całkiem nieskomplikowane. Nie był ani brutalny, ani gwałtowny, ani ekscentryczny. Jednak z racji okropnych wspomnień Sarah za każdym razem miała wrażenie, że jest gwałcona. Ukrywała przed swoim mężem tę prawdę, ten strach. Była chętną zdesperowaną uczestniczką. A ponieważ bardzo pragnęła dziecka, obietnicy tej nienarodzonej radości, nie brała do ust alkoholu, nawet jeśli jej udręczona dusza gwałtownie się go domagała.

Beckwith-Jonesowie byli bezdzielnym małżeństwem trzy lata, kiedy rodzice i mąż Sarah wyruszyli w brzemiennej w skutki podróż do Szkocji. Sarah zdecydowała, że nie będzie spędzać z nimi weekendu polowań i przyjęć. Oczywiście, nikt jej nie zachęcał, by wzięła udział w imprezie, a ona wcale nie chciała być namawiana.

W weekendy, które Simon i jej rodzice poświęcali na rozkosze ciała, Sarah jechała na grób w Norfolk. Te wizyty były ostrożnie racjonowane i Sarah również w tym względzie chętnie się przystosowała. Wiedziała, jak dużą rolę w płodzeniu dziecka odgrywają czynniki emocjonalne. Zbytne skupianie się na synku, który zmarł, mogło niekorzystnie wpłynąć na zdolność do zajścia w ciążę.

Jednak w ten weekend, kiedy zdarzył się wypadek, Sarah przebywała na cmentarzu w Norfolk, gdzie rozmawiała ze swoim synem.

Mgła spowijająca Balmoral była gęsta. Tak gęsta że Simon Beckwith-Jones nie powinien był podejmować prób wylądowania. Ale, podobnie jak Geneva i Robert, pamiętał o czekających ich przyjemnościach. Tak łapczywie pragnęli rozkoszy - zbyt łapczywie, by poświęcić choć chwilę przyjemności w imię bezpieczeństwa.

Zdrada. Taki był jej spadek, takie było jej dziedzictwo po rodzicach i mężu. Jednak nie można było mówić o zdradzie finansowej. W tej jednej kwestii Simon Beckwith-Jones oraz lord i lady Pembroke'owie byli niezmiernie szczodrzy - albo niezmiernie lekkomyślni, bowiem nie przywiązywali wagi do testamentów, skoro perspektywa śmierci wydawała się tak odległą.

Zdrada była emocjonalna, wykalkulowana, niewymownie okrutna; została ujawniona Sarah w parę godzin po ich śmierci. Doktor, który przyjechał zobaczyć pogrążoną w smutku wdowę, należał do

tego samego ekskluzywnego klubu dla mężczyzn, którego członkami byli Simon i Robert, i był także prywatnym lekarzem Simona.

- Przywiozłem trochę pigułek, Sarah. Te środki uspokajające pomogą ci zasnąć.

- Dziękuję, ale nie. Lepiej będzie niczego nie brać, w razie gdybym była w ciąży, prawda?

- W ciąży? Ależ ten cud nie nastąpi, Sarah. Wiesz, że nie może. Och, drogie dziecko, może jednak nie wiesz.

Simon Beckwith-Jones nie mógł zostać ojcem. Dokonał tego wyboru na długo przed małżeństwem, poddając się skalpelowi chirurga - i potwierdzając skuteczność zabiegu na krótko przed ślubem z Sarah.

Simon wiedział, że jego żona nie zajdzie w ciążę. Jej rodzice również o tym wiedzieli. Przez trzy lata Simon właściwie gwałcił ją, a rodzice swoim milczeniem dawali przyzwolenie na to, by ich córka znowu była niszczone.

Sarah odkryła jeszcze więcej przykładów zdrady, kiedy przejrzała dokumenty w londyńskiej posiadłości swoich rodziców. W zakamarkach zamkniętej na klucz szuflady w zabytkowym biurku matki znalazła list od Claire. Znajdował się w grubej, nienaruszonej kopercie. Został napisany przed czterema laty, zaledwie w parę godzin po tym, jak życie obu szesnastoletnich dziewcząt zostało zniszczone przez przemoc.

List Claire zaczynał się po francusku, w romantycznym języku, który służył przyjaciółkom do ujawniania sercowych tajemnic. Za pomocą potocznej, eleganckiej, pełnej liryzmu francuszczyzny, Claire dzieliła się magią swej miłości dla Cole'a, pisała o duecie, który zaśpiewali wspólnie podczas imprezy bożonarodzeniowej, i o cudownej księżycowej nocy, która zdarzyła się potem w altance w Belle Reve. Claire pisała, po francusku, o wyznaniu Cole'a na temat brata, którego tak bardzo kochał - i oddał - i o tym, jak wyznali sobie miłość.

Potem Claire raptownie przeszła na angielski, aby, już bez prostoty, z wielkim bólem, szczegółowo zrelacjonować wydarzenia następnego dnia, przemoc i wypadek, który oznaczał kres wszelkich marzeń.

Wcześniej Sarah rozmyślała o swojej przyjaciółce i o listach z Luizjany, które przestały przychodzić dokładnie w tym samym czasie, kiedy ona przeżyła tragiczną w skutkach świąteczną tragedię. Czyżby Claire w jakiś sposób wyczuła, co jej się przydarzyło? Może nie sam gwałt, ale jego wymowę - to, że Sarah przekroczyła linię oddzielającą niewinność od szaleństwa?

W dodatku Claire przestała pisać dokładnie w tym samym czasie. Właściwie gdyby Claire nie przerwała korespondencji, zrobiłaby to Sarah.

A jednak Claire nie przestała pisać. Wysłała bardzo intymny list, w którym dała upust swoim emocjom i rozpaczy. Teraz, po czterech latach, Sarah odwzajemniła się tym samym, ujawniając wszystko, wszystko, zapisując kolejne strony w języku angielskim, bezdenne morze zdrady i

rozpaczy. Na tym bezkresnym morzu bólu była wysepka radości; kiedy pisała o swoim dziecku, o płomyczku szczęścia, który kiedyś w niej się palił, używała języka francuskiego.

Sarah nigdy nie wysłała tego listu do Claire. Ich przyjaźń przeminęła dawno temu. Po co ją wskrzeszać kroniką smutku i obłędu? Po co psuć szczęście Claire opowieścią pełną goryczy i bólu?

Teraz Claire jest szczęśliwa. Z pewnością już dawno przeboleła utratę Cole'a. Znowu jest szczęśliwa, zakochana w kimś nowym. Na pewno była zakochana. Tylko takie przeznaczenie Sarah mogła sobie wyobrazić dla uroczej, szczodrej Claire.

A co z Sarah? Co z jej przeznaczeniem? Jakiś wewnętrzny głos wciąż jeszcze istniał i żądał od niej, by żyła. Jej celem nie było urodzenie następnego dziecka. Jakaż była głupia, wierząc w coś takiego. Było jednak coś, co miała zrobić, coś, co nie pozwoli jej znowu podciąć sobie nadgarstków aż do kości. Przynajmniej na razie.

Było to coś nieokreślonego, ale ważnego.

Może miała opowiadać światu o wojnie, demaskować jej szaleństwo w nadziei, że pomoże całej planecie osiągnąć pokój. To była godna misja, która przerodziła się w coś, co wydawało się przeznaczeniem, w przypadkowe spotkanie, po tylu latach, z Timothyem Asquithem, człowiekiem, który - zapewne - wystąpił w jej obronie, kiedy była niezdarnym, wystraszonego dzieckiem.

W tamtym czasie znowu nazywała się Sarah Pembroke. Podjęła tę decyzję nie z miłości dla rodziców, ale dla swojego syna, żeby jej nazwisko pasowało do nazwiska wyrytego na marmurowym nagrobku w Norfolk. Sarah brała udział w gali dobroczynnej na rzecz osieroconych ludzi. Był tam również Timothy i ośmielona szampanem Sarah usłyszała samą siebie mówiącą do niego, jak bardzo pociąga ją kariera dziennikarska.

Sarah nie sprecyzowała w rozmowie z Timothyem powodów tej fascynacji. Sama dobrze je знаła. Wiadomości były realne, konkretne i namacalne. Choćby były straszne czy tragiczne, sprawiały, że człowiek był związany z rzeczywistością - daleko od przywołującej go otchłani szaleństwa. Gdyby było się takim obserwatorem, skupionym na wydarzeniach zewnętrznego świata, może z czasem krzyk płynący z duszy stałby się nieco przytłumiony albo ustałby zupełnie.

Egoistyczne powody? Tak. Ale Sarah postanowiła sobie, że będzie dobrze wykonywać swoją pracę i całkowicie się jej poświęci.

Timothy Asquith przydzielił swoją nową eporterkę do brytyjskiej ekipy Global, żeby zajmowała się nieustannym spektaklem w wykonaniu rodziny królewskiej. Któż inny mógłby być pałacowym korespondentem, jeśli nie arystokratka lady Pembroke?

Ale Sarah nie zgodziła się na ten królewski przydział i pomimo że Timothy nie był przyzwyczajony do sprzeciwów, w końcu ustąpił. Skoro wygadana, fotogeniczna reporterka chciała opowiadać swoim rodakom o najbardziej odrażających zbrodniach Londynu, medialny magnat pomyślał: niech

jej będzie. A kiedy ta sama reporterka poprosiła, żeby ją wysłać do Bagdadu, w przeddzień operacji Pustynna Burza, Timothy Asquith znowu przychylił się do życzeń Sarah.

Teraz pola bitwy, na których czuła się tak bezpiecznie, tak normalnie, stały się dla niej zbyt wielkim zagrożeniem, toteż zgodnie z życzeniem Timothy'ego wróciła do Londynu. Żeby być daleko od wojny? Wcale nie. Sarah Pembroke miała w tym mieście swoje własne bitwy do stoczenia. Musiała zmierzyć się ze swoimi demonami, albo przynajmniej zdobyć nad nimi kontrolę i w miarę możliwości pokonać je, zanim będzie za późno. Zanim one pokonają ją.

I było coś jeszcze - znowu ten głos, który zdawał się obiecywać, że w Londynie wreszcie zostanie odkryty prawdziwy cel jej życia.

Po powrocie do Londynu Sarah powitał liścik od mordercy. Czy takie było jej przeznaczenie? Złapanie zabójcy? Pomszczenie śmierci dwóch nieznanych jej kobiet?

Nie, bo teraz chodziło o coś znacznie więcej, o związek z Claire. A więc czy to dzięki niemu Sarah przeżyła? Żeby zdemaskować Cole'a Taylora jako zabójcę? Żeby pomścić nie tylko śmierć dwóch aktorek, ale także Claire, swoją przyjaciółkę, uroczą dziewczynę, dla której Cole był taki okrutny?

Fakt, był okrutny. Ale czy był mordercą?

Sarah nie wiedziała.

I zamierzała poznać prawdę.

18

Hotel Drake, Hyde Park Wtorek, 27 grudnia

On wygląda jak zabójca. Ocena Sarah była natychmiastowa i zdecydowana, nastąpiła już w momencie, gdy dziennikarka zerknęła na niego pierwszy raz. Siedziała już przy stoliku w Sali Kolumnowej, a Cole szedł w jej kierunku. Jego silne ciało poruszało się z drapieżnym wdziękiem i złowrobną dyskrecją. Był ubrany na czarno. Sama również bardzo często nosiła stroje w tym posępnym i mrocznym kolorze śmierci.

Sarah stłumiła narastający niepokój, przypominając sobie, że tutaj, w eleganckiej sali jadalnej hotelu, nic nie może jej się stać. Bez najmniejszych protestów przystała na prośbę Jacka, by

pozwoili policjantowi w cywilu jeść kolację w gdzieś w pobliżu. I obiecała, że nie zgodzi się na jakąkolwiek propozycję ze strony Cole'a, żeby udać się w bardziej ustronne miejsce.

I pamiętaj, powiedział Jack, będę na górze, w swoim pokoju. Wezwij mnie, Sarah, a ja zaraz do ciebie zejdę. Powiedz Cole'owi, że chcesz mu przedstawić swojego biografa, albo że jako biograf sławnych ludzi chciałbym osobiście go poznać.

Sarah zgodziła się na ochronę i na środki ostrożności, a także, na tyle, na ile było to możliwe, przygotowała się psychicznie na zjedzenie kolacji z mordercą.

Teraz Cole Taylor był tutaj, a bruzdy na jego twarzy oświetlał płomień świec. Zamiast ciężko dyszeć z przerażenia, Sarah niemal wstrzymała oddech, tak bardzo była zaskoczona. On nie miał oczu zabójcy. Sarah widywała już oczy zabójców, widywała je w zamaskowanych twarzach tych, którzy ją zgwałcili, a potem jeszcze nieskończenie wiele razy, na wojnie. Te oczy wyglądały rozmaicie, czasami aż błyszcząły z pożądania, a innym razem były apatyczne, niewiążące i martwe.

Ale bez względu na to, czy iskrzyły się, czy były mętne, oczy wszystkich zabójców były takie same. Nie było w nich sumienia, nie było duszy.

Ciemnoszare oczy, które powitały ją teraz, należały do człowieka, który miał duszę, chociaż była to udręczona dusza, i pomimo że intensywnie błyszcząły, była w nich także delikatność.

Delikatność? W oczach mężczyzny? Kiedy spoglądały na nią? Przed Wigilią Bożego Narodzenia takie wrażenie byłoby czymś zupełnie niedorzecznym, optycznym złudzeniem, halucynacją jej omamionego umysłu. Ale w Paryżu mężczyzna o imieniu Jacques wpatrywał się z subtelną czułością w kobietę o imieniu Claire... a w Londynie mężczyzna o imieniu Jack patrzył w ten sam sposób na kobietę o imieniu Sarah.

- Witaj, Sarah.

Jego głos również był delikatny. Tak delikatny, że zupełnie zapomniała o widoku poderżniętych gardel śnieżnobiałych kobiet.

- Witaj, Cole.

- Dziękuję, że zgodziłaś się spotkać ze mną.

- Oczywiście. Z wielką przyjemnością.

Gdyby Cole Taylor był zabójcą o czarnym sercu, o co wcześniej go podejrzewała, skupiłby się całkowicie na niej, chciałby wiedzieć o niej wszystko, udawałby, że ma przed sobą najbardziej fascynującą kobietę na świecie. Wykonawca piosenek miłosnych z pewnością zabrałby się za uwodzenie jeszcze tego wieczoru, aby móc doprowadzić do jej śmierci czternastego lutego.

Jednak gdy tylko podziękowali za koktajle i zamówili dania na kolację, Cole powiedział cicho, z namaszczeniem:

- Chciałem porozmawiać z tobą o Claire. Wiem, że już od wielu lat nie piszecie do siebie, i z tego, co mówi Claire, czuję, że stało się tak za twoją sprawą. Proszę, nie zrozum mnie źle. Nie mam zamiaru przekonywać cię, żebyś ponownie rozważyła tę decyzję. Ale Claire wybiera się do Londynu. Będzie na koncercie sylwestrowym, a także na przyjęciu. Wiem od Timothy'ego, że zostałeś zaproszona na oba wydarzenia, i jeśli planujesz się na nie wybrać, istnieje prawdopodobieństwo, że spotkacie się z Claire. Chciałem powiedzieć ci o tym, ponieważ nie chcę, żeby ona poczuła się niezręcznie.

On nie próbuje mnie uwieść i wcale nie stara się stworzyć pozorów, że jestem dla niego fascynująca. Przyszedł tutaj tylko dlatego, że chce mnie ubłagać, abym nie zraniła Claire kolejny raz.

- Rzeczywiście, zdecydowałam, że nie będę już pisać do Claire. Ale to nie była kwestia wolnego wyboru, Cole. Po prostu nie można było kontynuować naszej korespondencji. Miało to związek ze mną, a nie z Claire. Czy ona naprawdę wierzy, że ja chciałam tego?

- Myślę, że tak. Nie podała mi szczegółów, ale takie odniosłem wrażenie.

Szczegóły. Sarah знаła je. I teraz po raz pierwszy uświadomiła sobie, co znaczyły dla Claire. Jej przyjaciółka wysłała bardzo emocjonalny list, a kiedy Sarah nie odpisała na niego, Claire doszła do wniosku, że tragedia - i brutalność - którą tak odważnie ujawniła, była dla Sarah czymś odpychającym.

Powinłam była do niej napisać, nawet pomimo upływu czterech lat. Powinłam była się domyśleć, dodać jej otuchy.

- To jest nieporozumienie, Cole, które bardzo chciałabym wyjaśnić. Czy ona zechce się ze mną zobaczyć?

Spodziewała się zobaczyć jego uśmiech, potwierdzenie największej prawdy o Claire: jej wspaniałomyślności, jej gotowości do wybaczenia. Najwyraźniej Claire wybaczyła Cole'owi to, że w okrutny sposób odrzucił jej miłość w tamten odległy grudniowy dzień. Z pewnością Claire będzie gotowa wybaczyć także swojej korespondencyjnej przyjaciółce? Albo przynajmniej zechce jej wysłuchać?

Ale na twarzy Cole'a Taylora nie było uśmiechu, a jego szare oczy pociemniały. Był teraz zabójcą, panterą o kamiennych oczach, gotową szarpać, kaleczyć, zabijać.

Ale to nie ja jestem jego łupem, uświadomiła sobie Sarah. Jego mroczny, zabójczy gniew jest skierowany na kogoś innego.

- Cole? - zapytała cicho, bez strachu. Czyż przed chwilą nie uznała go za zabójcę? Tak i nie. Ponieważ mimo tego strasznego gniewu była w stanie dostrzec subtelność jego duszy. - Cole?

- Claire będzie chciała z tobą porozmawiać, Sarah. Jestem tego pewien. Ale nie będzie w stanie cię zobaczyć.

Była już prawie dziesiąta, godzina, o której Cole Taylor miał rozpocząć nocną próbę w studiu nagraniowym wytwórni Gemstone na pobliskiej Waverton Street. W każdej chwili mógł zadzwonić telefon od Sarah, z meldunkiem, że kolacja już się skończyła i Cole wyszedł, albo od zakamuflowanego oficera policji, z równie uspokajającymi wieściami.

Jack nie mógł się doczekać tego telefonu, był niespokojny od chwili rozpoczęcia kolacji dwadzieścia sześć pięter niżej. Ale przez ostatnie dwie godziny dobrze wykorzystywał nadmiar energii i zdenerwowania.

- Chcę wszystkich informacji, jakie uda ci się znaleźć o Cole'u Taylorze - powiedział prywatnemu detektywowi w Los Angeles. - Każdy artykuł, jaki został opublikowany, każda taśma wideo, wszystko, co uda ci się zdobyć, choćby wydawało się zupełną błażostką. Chcę też informacji na temat Pauliny Bliss i Ashley Alexander.

Koledze w FBI Jack oświadczył:

- Potrzebuję danych biograficznych Cole'a Taylora od momentu jego narodzin. Czy mógłbyś też sprawdzić jego podróże zagraniczne?

Jack wybrał na rozmowy kraj owe drugą z trzech linii telefonicznych w swoim pokoju. Pierwsza linia była święta, zarezerwowana wyłącznie dla Sarah, trzecia zaś służyła do przekazywania przez faks danych, o które prosił.

Wreszcie pierwsza linia zadzwoniła pięć minut po dziesiątej.

- Mówi Sarah. Jestem w holu z Cole'em Taylorem. Musi wyjść za parę minut, żeby poćwiczyć ze swoim zespołem, ale chciałam, żebyś go poznał. Czy to byłoby możliwe? Jesteś wolny?

- Zaraz tam będę.

Zjeżdżając na dół windą do holu, Jack myślał o głosie Sarah. Był taki odprężony, tak wolny od lęku. Było całkiem możliwe, wręcz prawdopodobne, że Cole znajdował się bardzo blisko Sarah, kiedy przeprowadzała rozmowę telefoniczną. Jeśli rzeczywiście tak było, to Sarah musiała mieć wielkie zdolności aktorskie, których Jack nawet sobie nie uświadamiał, albowiem to, co usłyszał, zabrzmiało jak prawdziwe zaproszenie na spotkanie z przyjacielem, a nie podstęp, który wymyślili na wypadek, gdyby Sarah przestraszyła się zabójcy.

Wrażenie, że podczas ostatnich dwóch godzin Sarah przestała się bać Cole'a Taylora, potwierdziło się w momencie, gdy Jack zobaczył ich dwoje stojących w holu. Chociaż Sarah nie rozmawiała z Cole'em, wydawało się, iż jest całkowicie swobodna, odprężona jak wcześniej jej głos... dopóki nie zobaczyła Jacka.

W tym momencie zeszywniała, nagle zrobiła się czujna i przywitała go głosem, w którym wyczuwało się napięcie.

- Jack.

- Cześć.

- Jack Dalton, poznaj Cole'a Taylora.

Kiedy Jack podał rękę mężczyźnie, który znał obie ofiary zeszłorocznych morderstw - i był kochankiem jednej z nich - spojrzął prosto w mroczne, szare oczy Cole'a... i przez jedną bardzo intensywną chwilę nieprzenikniony błękit mierzył się z czystą stalą. Spojrzenia obu mężczyzn były pełne powagi, taksujące i uporczywe: pewno nie oderwaliby od siebie nawzajem wzroku, gdyby ich ręce nie zetknęły się w uścisku.

Z grymasem uśmiechu, jak gdyby prosząc Jacka o pójdzie w jego ślady, Cole popatrzył na swoją prawą rękę. Kiedy Jack również to zrobił, Cole odwrócił dłoń, żeby pokazać bliznę w kształcie gwiazdy, która stanowiła dostateczne wyjaśnienie, dlaczego jego uścisk był zdumiewająco słaby jak na panterę.

To odkrycie bynajmniej nie uspokoiło Jacka. Absolutnie nie. Wszak teraz poznał niepokojącą odpowiedź na jedno z wielu pytań, które sobie stawiał w kwestii Cole'a Taylora.

Mam nadzieję, że odgrywasz rolę, Sarah, pomyślał. Ponieważ wiara, że ten uwodzicielski wykonawca piosenek o miłości jest niewinny, to szalenie nierozważna i niebezpieczna przedwczesna konkluzja.

- Sarah mówi, że pisze pan książkę...

- Cole!

Nikt nie musiał się odwracać w kierunku, z którego dobiegł głos przybysza, ponieważ już po paru sekundach Sydney stanęła między Cole'em i Jackiem, a jej ametystowe oczy aż błyszczały, kiedy z ciekawością i wyraźną aprobatą spoglądała na Sarah i na Jacka.

Oczywiście Sydney znała Sarah, sporo o niej wiedziała i ogromnie podziwiała jej pracę. Powiedziała to, kiedy zostały sobie przedstawione. Potem, zwróciwszy całą uwagę na Jacka, Sydney zagadnęła:

- A pan jest...

- Jack Dalton. Piszę książkę o Sarah i innych wojennych...

- Biografię Sarah? To brzmi tak...

- Tak ostatecznie? - podsunęła Sarah. Sydney wybuchnęła śmiechem.

- Wcale nie. Raczej imponująco. Myślę nawet, że chyba nadszedł już czas, żeby ktoś przygotował biografię Cole'a Taylora, supergwiazdy. Sprzedawałaby się jak świeże bułeczki, dopóki fani nie odkryliby, że wszystkie kartki w środku są niezadrukowane. Cole jest trochę tajemniczy, jeśli chodzi o jego przeszłość - zresztą podobnie jest z teraźniejszością.

- Ale nie z przyszłością - odparł uprzejmie Cole. - To będzie dość ponura przyszłość, Syd, z dwoma niezbyt szczęśliwymi gitarzystami, jeśli nie udamy się zaraz do studia.
 - Myślisz, że Mick i David są już w studiu? Że przyszli punktualnie na próbę?
 - Wiem, że tam są. Przechodzili obok, kiedy Sarah i ja czekaliśmy na Jacka.
 - No, to masz rację. Lepiej chodźmy już. Sarah? Jack? Wy też idziecie? Jestem pewna, że Cole się zgodzi na waszą obecność.
 - Z wielką chęcią.
 - Dziękuję - odpowiedziała Sarah. - Może kiedyś po przyjeździe Claire?
 - Znasz Claire, Sarah? -zapytała Sydney.
 - Tak. - Byłyśmy, jesteśmy, być może, przyjaciółkami.
 - No, to może takie trzy dziewczyny zrobiłyby coś eleganckiego i dystyngowanego? Kolacja w Claridge's albo podwieczorek w Savoyu? Bez facetów? Chciałabyś?
- Sarah poczuła nagły przyptyw wdzięczności, a nawet podziw. Sydney Quinn była nie tylko oszałamiająco piękna. Była inteligentna. Jej skłonność do przesady była grą, wykalkulowaną jaskrawością, która miała kontrastować z mrocznym stylem bycia Cole'a - a może i z milczeniem Davida i kapryśnym usposobieniem Micka.
- Słynna Elle Syd była dla zespołu barwną wizytówką, uroczym ambasadorem, a teraz z wdziękiem oferowała to samo Sarah i Claire - bycie pogodnym, godnym zaufania powiernikiem.
- Tak - odparła wreszcie Sarah. - Jasne, że tak, Sydney. To byłoby bardzo miłe.
-
- Cole jest bardzo uprzejmy. - Słowa Sarah przerwały milczenie, które zapadło zaraz po odejściu Cole'a i Sydney.
 - Naprawdę?
 - Tak. Naprawdę.
 - O czym rozmawialiście?
 - O Claire. - Sarah zmarszczyła brwi przypominawszy sobie uroczyste wyznania tego wieczoru. - Cole i ja rozmawialiśmy tylko o Claire.
 - Możemy pójść w jakieś bardziej ustronne miejsce?
 - Po co?

- Żebyś mi powiedziała, o czym mówił Cole.

- To jest nieistotne. On nie jest... nie mógłby być.

Jack westchnął, wziął Sarah za ramię i delikatnie, choć stanowczo, poprowadził ją do pustego kąta w hotelowym holu.

- Wiedzieliśmy, że będzie sprytny, Sarah. Że będzie mistrzem uwodzenia.

- On nie próbował mnie uwieść, Jack!

- Ale udało mu się to, prawda? Wbrew wszystkiemu, po jednej kolacji przy świecach, jesteś całkowicie przekonana o jego niewinności.

- Wbrew wszystkiemu?

- On jest z Los Angeles - powiedział cierpliwie Jack. - Znał obie ofiary bardzo dobrze. A poza tym, Sarah, Cole Taylor jest leworęczny.

- Zabójca jest mańkutom?

- Prawdopodobnie. W obu przypadkach śmiertelne cięcie na gardle zostało wykonane od prawej do lewej strony. Co oznacza, że przynajmniej w tym momencie nóż był trzymany w lewej ręce mordercy. Pozostałe rany nasuwają wątpliwości,

- A więc nie wykluczyłbyś praworęcznego zabójcy?

- Nie. Ale, Sarah, nie wykluczyłbym od razu leworęcznego zabójcy, który pojawia się jak na zawołanie. - Jego spokojna przestroga nie wywołała zaskoczenia, tylko rozczarowanie. Dlatego poczuł, że musi jeszcze coś wyjaśnić. - Nie mam pojęcia, czy Cole Taylor jest mężczyzną, którego szukamy. Z pewnością nie twierdzę, że nim jest. Tylko po prostu jest o wiele za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków na tak lub na nie.

Sarah wiedziała, że Jack ma rację. Człowiek nie mógł rozwiązać zagadki chwytając się pierwszego znalezionej tropu albo całkowicie go ignorując. Zwłaszcza człowiek taki, jak Jack Dalton, uosobienie chłodnej, beznamiętnej logiki. Był teraz taki spokojny, taki rozsądny, tak denerwująco racjonalny.

W całkowicie irracjonalnym przypiływie emocji –związanych z Cole'em i z Claire - Sarah powtórzyła:

- To nie Cole. Po prostu to nie on. Poza tym, on nawet nie jest...

- Jaki, Sarah?

- Już nic. - Wzruszyła ramionami, a potem westchnęła. - Jestem bardzo zmęczona. Muszę iść do domu.

- W porządku. Pojadę z tobą. Będę milczał.

- Nie. Dziękuję. Właściwie chyba się przejdę. To niedaleko stąd, a poza tym nic mi nie grozi, prawda? Zwłaszcza, że główny podejrzany przebywa w studiu nagraniowym aż do rana?

Sarah Pembroke mogła absolutnie bez żadnych obaw spacerować nocą po ulicach Londynu, bez względu na tożsamość zabójcy o czarnym sercu. Jack wiedział o tym, gdyż zadbał o bezpieczeństwo Sarah. Mimo to gdyby Sarah tak bardzo chciała odejść i rozpocząć samotną podróż w ciemnościach, Jack mógłby jej przypomnieć, iż obiecała być ostrożna, i jeszcze mógłby powtórzyć, że nie obwieścił, iż Cole Taylor jest winny, tylko że należałoby dokładniej mu się przyjrzeć... i że jeśli supergwiazdor był niewinny, to szalenię z nożem mógł czyhać w mroku zaraz przed hotelem.

Ale Jack wiedział, jak jest naprawdę. Tego wieczoru ostrożność nie miała dla Sarah większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że była wolna i mogła samodzielnie oddalić się w zamgloną czerni.

Cóż takiego, u diabła, powiedział jej Cole Taylor?

Róże były różowe i białe, zostały przysłane w srebrnym wazonie, a liścik tym razem był podpisany.

- Jack! - Frances oszalała w momencie, gdy go zobaczyła. - Strasznie mi się podobają!

Jack uśmiechnął się. Dobrze. Ale czy podobały się Sarah?

- Gdzie oni są?

- W gabinecie Sarah, naturalnie. Była naprawdę zaskoczona, miałam wrażenie, że nawet trochę zmartwiona. Ponieważ wcześniej zawsze przysyłałaś czerwone, przypuszczam, że zastanawiała się, czy ma innego tajemniczego wielbiciela.

- Wyobrażam sobie, że ma ich wielu, a ty?

- Och! No, tak, oczywiście. Przyznaję, że brałam pod uwagę możliwość, że ten bukiet został przysłany przez Cole'a Taylora.

- Czy byłaś rozczarowana? - Czy ona była rozczarowana?

- Oczywiście, że nie! Pan Taylori ja szybko zaczynamy się zaprzyjaźniać podczas rozmów telefonicznych.

- Znowu dzisiaj dzwonił?

- Rozmawia z nim w tej chwili. - Frances zerknęła na telefon, żeby uzyskać potwierdzenie, - Poprawka. Wygląda na to, że właśnie skończyła rozmowę.

- Skończyła - potwierdziła cicho Sarah, stanąwszy w drzwiach. - Witaj, Jack.

- Witaj, Sarah.

Jej oczy były jasnozielone, zaś alabastrowe policzki mocno się zaróżowiły.

Nie był to taki sobie odcień różu, uświadomił sobie Jack, kiedy byli sami w jej przesiąkniętym różanym zapachem gabinecie. To był pastelowy róż, który Jack zapamiętał - i wybrał jako kolor kwiatów.

Sarah zwracała się właśnie do tych kwiatów, do tego starannie wybranego podarunku.

- Są śliczne, Jack. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wydawały się podobne do ciebie. - Łagodne, delikatne i o wiele lepsze niż krwiste róże, które postanowiłaś przysłać samej sobie.

Byłoby tak przyjemnie nieustannie rozmawiać o różach, o różowych pączkach, które były takiego koloru jak jej policzki, i o białych, które były białe jak śnieg i przypominały odcień jej jedwabistej skóry. Ale w gabinecie Sarah wyczuwało się coś więcej niż tylko zapach róż. Krążyło tutaj widmo skończonej niedawno rozmowy telefonicznej z Cole'em.

Cole, kłamstwa, sekrety... i śmierć.

Z westchnieniem, które wlało nadzieję w serce Jacka, bo był to pełen tęsknoty sygnał, że ona również pragnęłaby myśleć tylko o tych różach, Sarah przeniosła wzrok z kwiatów na niego.

- Zdecydowałam, że powinnam ci opowiedzieć o Claire i o tym, co się jej przydarzyło. Wtedy zrozumiesz.

- Dobrze - zgodził się Jack. A kiedy skończysz opowiadać mi o Claire, ja opowiem tobie, czego dowiedziałem się o Cole'u - a wtedy i ty zrozumiesz.

Poszli do sanktuarium Sarah na dachu Asquith Towers. Perłowoszary, zimowy zmierzch oznajmił swą obecność wiatrem, który był przejmująco zimny i straszliwie przenikliwy.

Ale lodowaty chłód, który ich otaczał, dobrze pasował do bieżącej chwili. Albowiem informacje Sarah o Claire były przejmująco zimne i strasznie przenikliwe, podobnie jak fakty, których Jack dowiedział się o Cole'u.

- Ona jest niewidoma, Jack, i to rozdziera mu serce. Mówi, że ona świetnie daje sobie radę - a ja jestem pewna, że to prawda, bo Claire zawsze taka była - ale on nie może tego ścierpieć. Potwór nie miałby w sobie tyle współczucia. Mordercy tak bardzo by nie zależało. Właśnie dlatego mam pewność, że Cole nie byłby w stanie...

- Cole zamordował swojego ojca, Sarah. Nożem.

Ta mroząca krew w żyłach informacja spłynęła do niego faksem z samego rana i jak tylko rozpoczął się dzień roboczy w Harlanville, Jack zaczął rozmawiać przez telefon z szefem miejscowej policji,

dowiadując się wszystkiego o niedobrym chłopcu z zatoki. Ta historia zaczęła się, kiedy Cole miał jedenaście lat, w roku, w którym pojawił się wraz z Jedem Taylorem w Harlanville. A co z wczesnym dzieciństwem Cole'a? Urodził się w Breaux Bridge, na tydzień przed ślubem rodziców, a kilka lat później wypisano kolejną metrykę, w związku z narodzinami drugiego chłopca Taylorów.

Wkrótce po tym, jak ten drugi synek skończył dwa lata, Jed Taylor został oskarżony o kradzież narkotyków. Czteroosobowa rodzina uciekła z okręgu St. Martin i właściwie zniknęła, aż Jed i Cole pojawili się w Harlanville. Wyglądało na to, że w którymś momencie w ciągu tych lat żona Jeda Taylora też uciekła, zabierając ze sobą młodszego syna i zostawiając Cole'a na pastwę brutalnego ojca.

Te brakujące lata z wczesnego dzieciństwa Cole'a Taylora nie były szczególnie istotne. Potwierdzały tylko to, co Jack już wiedział: że stanowiły one zapowiedź klęski, że było to dzieciństwo, które wręcz gwarantowało przyszłość pełną lekkomyślnego gniewu i ataków przemocy.

Przemoc przybrała bardzo dramatyczny kształt, kiedy Cole miał dziewiętnaście lat. Jack uświadomił sobie, że ten znaczony śmiercią rozdział wcale nie wywołał szoku u lady Sarah Pembroke.

- Wiedziałaś, Sarah? Wiedziałaś, że Cole już kiedyś zabił, i to nożem?

- Jack, to był wypadek! Policja mogła to nazwać samoobroną, ale nawet to określenie jest zbyt mocne.

- Nie mogę uwierzyć, że wiedziałaś o tej sprawie i nic mi nie powiedziałaś.

- Przecież to żadna tajemnica! Całe Harlanville...

- Dla mnie to była tajemnica, Sarah. Tajemnica, którą ukrywałaś przede mną. Zeszłego wieczoru, kiedy powiedziałem ci, że Cole jest leworęczny, zaczęłaś protestować - ponieważ wiedziałaś, czyż nie, że to nie jest leworęczność wrodzona, tylko spowodowana brutalnością?

- Jack, on nie jest zabójcą.

- Szczerze mówiąc, guzik mnie obchodzi, czy Cole Taylor jest winny czy niewinny. Nie o to w tym wszystkim chodzi. - Chodzi o nas. Jack zmierzwił silną ręką swoje gęste, czarne włosy i spojrzał na wciąż ciemniejące zimowe niebo. - Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zaufamy sobie nawzajem.

Było to raczej retoryczne pytanie, zadane nie jej, tylko posępny niebiosom. Jedyna odpowiedź, jakiej Jack się spodziewał po tym mrocznym, nachmurzonym niebie, to zdecydowane „nie”.

- Tak.

Jack przeniósł wzrok z nieba na Sarah. Chciał zobaczyć kobietę, która tak zuchwale oznajmiła, że kiedyś będą sobie ufali i której namiętny głos zdawał się obiecywać jeszcze więcej. Ale ta rzeczniczka ze snów Jacka już gdzieś zaginęła. Widział teraz tylko zmieszanie - jak gdyby Sarah była prawdziwie oszołomiona, iż z jej ust popłynęły tak zdumiewające słowa.

Nie poruszając się, zapytał cicho:

- Naprawdę, Sarah?

Wcześniej przemawiała do niego kobieta-cień. To idiotyczne widmo. Ten ulotny symbol czystego szaleństwa.

- Tak - wymamrotała Sarah, bez przekonania w głosie. Kobiety cienia już nie było, jej odwaga była zaledwie wspomnieniem, jej fantazje przerodziły się w chroniczny strach. - Naprawdę.

- Ciekaw jestem, kiedy. - Tym razem Jack nie doczekał się żadnej odpowiedzi, a przynajmniej nie usłyszał jej. Zobaczył jednak lęk Sarah i mroczne cienie wszystkich tajemnic, które zamierzała zachować dla siebie. - Czego jeszcze mi nie mówisz, Sarah? Że ulubiony szampan Cole'a to Cristale? Ze zeszłego wieczoru wypiliście razem butelkę?

- Nie. Zeszłego wieczoru ani on, ani ja nic nie piliśmy.

- Nie musisz pić, żeby być z Cole'em Taylorem, żeby jeść kolację z człowiekiem, który może być mordercą, ale musiałaś wypijać kieliszek za kieliszkiem, żeby być ze mną?

W tym momencie Sarah dostrzegła gniewne błyski w jego oczach, parzące, błękitne ogniki. Wiedziała, że czai się w nich furia. Tak być musiało. Do tej chwili pozostawała w ukryciu, tłumiona chłodnym opanowaniem Jacka.

Ale teraz... teraz błękitnego płomienia furii już nie było, piekło zostało zgaszone, pokonane tak szybko, że wydawało się jedynie gorejącym mirażem.

- Myślę, że jest jeszcze coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć, Sarah. Jeszcze jedna bomba na temat Cole'a. Na przykład fakt, że jego urodziny przypadają na dzień czternasty lutego?

- Wiedziałam o tym - wyznała szeptem. - Ale naprawdę zapomniałam.

- Zatem coś innego.

- Hm, rzeczywiście, jest coś. Ale to nie żadna bomba, Jack, i nie ma nic wspólnego z morderstwem. - Ponieważ jesteśmy podobni do siebie, Cole i ja. Łączy nas miłość dla Claire. Była światłem dla nas obojga - dla Cole'a, gniewnego, osamotnionego chłopca, i dla Sarah, samotnej, zdesperowanej dziewczyny. A teraz... - Chodzi o przysługę, o jaką poprosił mnie Cole. O coś, co zamierzam zrobić.

Jack widział jej opór. Tak było od samego początku. Kobieta-wojownik dzielnie broniła swego terytorium, buntowała się przeciw niemu, broniąc Cole'a.

Sarah była wciąż zbuntowana, wciąż niezachwiana w swym oporze. Ale nagle zrobiła się bojaźliwa. Jak gdyby bała się, że Jack spróbuje jej przeszkodzić w wyświadczeniu owej tajemniczej przysługi Cole'owi.

Ona boi się mnie... ale nie boi się Cole'a.

W jego żyłach znowu zawrzał gniew. Tym razem jednak ugasił ogień, zanim rozszalał się w jego oczach.

Jego furia tkwiła gdzieś głęboko, zmrożona. Teraz Jack doświadczał nowego ciepła, bardzo potężnej fali gorąca. To nie był szal ani wściekłość. Tylko miłość.

Kochał ją, kochał tę skomplikowaną kobietę, która wypowiadała tyle kłamstw, i teraz jego zmrożone serce znowu zaczęło bić, tylko dla niej.

- Powiedz mi, Sarah - rzekł cicho. - Powiedz mi, czego Cole od ciebie chce.

19

Moisant Field, Nowy Orlean Piątek, 30 grudnia

Claire Chamberlain nigdy przedtem nie leciała samolotem, ani jako osoba widząca, ani potem, kiedy straciła wzrok. Kiedy rezerwowała bilet do Londynu - bez daty powrotu - wspomniała, że jest niewidoma, w razie gdyby miało to znaczenie. Pracownik z działu rezerwacji zapewnił, że to ma znaczenie. Claire otrzyma specjalne miejsce, na wypadek zagrożenia, a obsługa samolotu zostanie o wszystkim uprzedzona.

Prawdę powiedziawszy, Claire w ogóle nie podróżowała. Spakowała rzeczy na wycieczkę tylko raz w życiu, kiedy wybierała się w podróż poślubną z Andrew. Teraz, z myślą o Londynie i Cole'u, te same walizki zostały ponownie napełnione, i to tymi samymi, nigdy nienoszonymi rzeczami, które zapakowała sześć lat temu: pozostałościami małżeństwa, które nawet nie zdążyło na dobre się zacząć. Oszałamiającymi pozostałościami, które wreszcie miały się na coś przydać. Na scenie Royal Albert Hall miała wystąpić w powłóczystej, szmaragdowej sukni z jedwabiu i atłasu, zaś na galę Timothy'ego Asquitha czekała kreacja z atłasu w kolorze kości słoniowej - sięgająca do ziemi suknia wieczorowa z długimi rękawami.

Claire spakowała też stare, noszone na co dzień rzeczy, dostatecznie miękkie i zajmujące wystarczająco dużo miejsca, by móc włożyć między nie szklaną kulę. Jednak Claire zostawiła kulę w swojej sypialni w Harlan-ville, żeby mieć do czego wrócić... zamknięte w szkłe wspomnienia miłości, których nic nie mogło zniszczyć.

Claire zarezerwowała miejsce w klasie turystycznej. Jednak kiedy dotarła na lotnisko w towarzystwie Millicent, dowiedziała się, że będzie leciała pierwszą klasą, i że zmiany dokonał i zapłacił za nią jakiś pan C. Taylor.

W przedziale pierwszej klasy oferowano duże fotele, przekąski i szampana, a także bardzo sympatyczną obsługę. Jednak nawet te luksusowe warunki nie były w stanie zmniejszyć przerażenia Claire.

Silniki maszyny wydawały się takie hałaśliwe, z pewnością zbyt głośne. Potem samolot zaczął sunąć po pasie startowym, co przypominało gorączkowy sprint rozdręganego stali. Potem uniósł dziób do góry, szukając niebios, tocząc bitwę z prawem ciężenia, której chyba nie można było wygrać. Następnie ten stworzony przez człowieka olbrzym wzbił się w powietrze, jakby był niepożądanym gościem na niebie, który swym zuchwałym wtargnięciem ściąga na siebie karę w postaci okropnej burzy.

Claire odczuwała każde przechylenie i drganie maszyny, jakby miały to być jej ostatnie manewry. W każdej chwili samolot mógł roztrzaskać się w powietrzu, a odłamki jego srebrzystego cielska runęłyby na ziemię niczym spadające gwiazdy. Albo mogli się rozbić o górę - o wysoką masę granitu, którą dostrzeżenie się dopiero w momencie, gdy jest już za późno.

Kapitan przemówił do pasażerów rzeczowym głosem, który dobiegał gdzieś z góry. Określił lot jako „nieco wyboisty” i poprosił, żeby nie odpinali pasów. Ale, jak gdyby naprawdę wierzył, że wszyscy przetrwają tę ciężką próbę, mówił o przewidywanym punktualnym przylocie i o aktualnych warunkach atmosferycznych na miejscu. Stewardesy również były spokojne i pomimo „wyboistości” serwowały wystawny obiad, na który Claire się nie zdecydowała.

Claire odnosiła wrażenie, że tylko ona zna prawdę. Nie widziała, ale słyszała to, czego nie słyszeli inni pasażerowie: stal pękającą na krawędziach, nieomal rozpadające się nity, szum skrzydeł, które miały zaraz oderwać się od korpusu.

Podczas tej monumentalnej bitwy między kruchym samolotem i rozsierdzoną naturą, Claire słyszała odgłosy każdej utarczki, a w dodatku sama również toczyła wielkie zmagania z własnym strachem.

Będę z Cole'em. Pewnego dnia, w jakiś inny dzień, mogę zginąć w katastrofie lotniczej - może podczas powrotu z Londynu, kiedy nastąpi koniec marzenia.

Ale nie teraz.

Kiedy Claire poczuła, że samolot zaczyna opadać, na długo przed oficjalnym komunikatem pilota, pomyślała, że wszystko jest stracone.

Samolot pędził w kierunku ziemi i chociaż serce Claire nie było gotowe na śmierć, ciało przygotowywało się na zderzenie, mięśnie robiły się jeszcze bardziej napięte, a paznokcie jeszcze mocniej wpijały się w już i tak miękkie dłonie.

Potem samolot wylądował, gumowe opony ucałowały asfalt w zdumiewająco zgrabnym geście powitania, i przez chwilę Claire czuła ulgę, wręcz euforię. Ta chwila była jednak przelotna, ponieważ kiedy przedstawiciel obsługi klienta prowadził ją do poczekalni pierwszej klasy, zaczęła dygotać ze zdenerwowania, przejęta złowieszczym wspomnieniem. Właśnie wylądowali na lotnisku Johna F. Kennedy'ego. Wciąż czekała ją długa podróż za ocean ku ciemności.

Ale u kresu tej przerażającej wyprawy będzie Cole.

A wtedy rozpocznie się naprawdę straszliwa podróż.

- Claire?

Głos był znajomy, o eleganckiej artykulacji i brytyjskim akcencie. Często go słyszała w programach telewizyjnych, kiedy już była niewidoma.

- Sarah?

- Tak, to ja - zapewniła Sarah, nie mogąc się nadziwić temu, co widziała, chociaż Cole ją uprzedzał. „Ona nie wyda ci się niewidoma. Jej oczy będą jasne, wyraziste, skoncentrowane, i będzie patrzyła wprost na ciebie”. To się działo właśnie teraz, jak gdyby Claire nie miała żadnych kłopotów ze wzrokiem. Lata normalnego widzenia sprawiły, że skierowała wzrok nie na usta Sarah, źródło dźwięku, ale wyżej, na jej oczy. Dokładnie tak, jak zapowiedział Cole. Ale było w tych niewiążących oczach coś jeszcze, coś, czego Cole nie dostrzegł: one wydawały się uśmiechnięte. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Przeciwno czemu, Sarah?

- Cole powiedział, że uparłaś się, żeby odbyć tę podróż na własną rękę, ale...

- Cole? On cię przysłał?

- Hm, nie. Nie przysłał mnie. Chciałam przyjechać, Claire, żeby z tobą porozmawiać, wyjaśnić, dlaczego nigdy nie odpisałam na twój ostatni list. Zgadzasz się? Tak się składa, że w samolocie lecącym do Londynu mam miejsce obok ciebie. Czy może tak być?

Claire zareagowała wielką ulgą.

- Och, Sarah, nie tylko może tak być. To jest wspaniałe.

Sarah dowiedziała się, że nie tylko ten jeden list nie doczekał się odpowiedzi. Było ich wiele.

- W końcu napisałam do twojej matki, żeby się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku. Odpowiedziała natychmiast, wyjaśniając, że uczęszczasz do liceum w Szwajcarii i że jesteś tam tak bardzo szczęśliwa, tak pochłonięta nowym kręgiem przyjaciół, że dawne przyjaźnie - takie jak nasza - najwyraźniej przeminęły.

- Wiedziałam tylko o jednym liście, Claire, o tym, który napisałaś w noc śmierci ojca Cole'a. Musiała wyrzucić pozostałe.
- Ale przeczytałaś tamten list, Sarah? - Ten, w którym wyznałam wszystko, zbyt wiele, by mogła to udźwignąć nasza przyjaźń?
- Przeczytałam go, Claire, ale dopiero po czterech latach. Po czterech latach. Miałam wrażenie, że upłynęło całe życie. Tyle się wydarzyło. Zbyt wiele. Ale napisałam odpowiedź.
- Naprawdę? Nigdy jej nie dostałam.
- Bo nigdy jej nie wysłałam. Powinna była, Claire, żeby cię powiadomić, dlaczego przestałam pisać, żeby się upewnić, że wiesz, iż to nie ma nic wspólnego z tobą, ani z listem, który do mnie przysłałaś. Ale mój list - i to, co myślałam o życiu w tamtym czasie - był tak pesymistyczny, tak straszliwie pozbawiony nadziei, że wydawało mi się, iż najlepiej będzie zachować ten pesymizm dla siebie.
- Twój list nie mógł być bardziej pesymistyczny czy bardziej pozbawiony nadziei, od tego, który ja ci wysłałam.
- Ależ był - sprzeciwiła się Sarah, opierając to zapewnienie na fakcie, a nie na zniekształconym wspomnieniu. Sarah zachowała oba listy, ostatnie listy korespondencyjnych przyjaciółek, które miały ze sobą tak wiele wspólnego. I zeszłego wieczoru przeczytała oba jeszcze raz. Mimo wszystko w twoim liście był promyk nadziei. I miałaś rację, Claire, że nie porzucałaś nadziei, że wierzyłaś, iż ty i Cole jeszcze będziecie razem.
- My nie jesteśmy razem, Sarah. Cole jest po prostu miły. Uprzejmy.
- Chodzi o coś więcej, Claire. Słyszałam, jakim głosem mówił o tobie. Widziałam...
- Jego oczy? - dokończyła cicho Claire. I pomyślała: czy Sarah mogłaby zastąpić jej oczy? Czy Sarah mogłaby odczytywać dla niej przesłanie ukryte w tej mrocznej, cienistej szarości? Nie, ponieważ Sarah już dała się oszukać Cole'owi. Już zobaczyła przesłanie, coś więcej niż uprzejmość: coś, co nie mogło być prawdą. - Cole'a bardzo trudno przejrzeć, Sarah. Poza tym mieliśmy szansę i nic z tego nie wyszło.
- Ale przecież jesteśmy tutaj, Claire, w samolocie lecącym do Londynu. Masz znowu zaśpiewać z Cole'em. On chce, żebyś to zrobiła.
- Tak. Ale to nostalgia, sentyment dla chłopca i dziewczyny, którzy byli dobrymi przyjaciółmi i którzy marzyli o śpiewaniu w duecie dla całego świata. Cole daje mi teraz to marzenie, Sarah, a w zamian... Czy pamiętasz to, co ci napisałam o bracie Cole'a? Było o tym w liście.
- Oczywiście, że pamiętam. - Przeczytałam o tym odważnym akcie miłości dopiero zeszłego wieczoru.

Pomimo późnej godziny, Sarah była wręcz gotowa zadzwonić do Jacka, żeby mu przeczytać ten fragment. Posłuchaj tego, Jack. Posłuchaj, jakim człowiekiem jest naprawdę Cole Taylor, jaki jest kochający, jak bohaterski. On nie jest mordercą, Jack! Chłopiec, który oddał swojego brata, ponieważ kochał go tak bardzo, nie mógł wyrosnąć na zabójcę.

Ale Sarah nie zdecydowała się na tę późną rozmowę. Z dwóch powodów. Nie, istniały trzy powody. Po pierwsze, ta rewelacja była sekretem, który znało dwoje młodych zakochanych w oświetlonej księżycem altance. To była tajemnica Claire i Cole'a, i tylko oni mogli się nią dzielić. Po drugie, na zdrowy rozum Jack mógł twierdzić, że bez względu na ten odosobniony akt miłości Cole idealnie pasował do portretu mordercy: wychowywany w przemoc, brutalnie maltretował samego siebie; porzucony przez matkę musiał sam znosić okrucieństwo i napady szału ojca.

Istniał jeszcze jeden powód, by nie dzwonić w środku nocy. Sarah chciała rozmawiać z Jackiem z jakiegokolwiek powodu, pod jakimkolwiek pretekstem. Nawet kiedy doprowadzała go do furii, nawet kiedy miał powód, by odczuwać frustrację na skutek jej oszustw, mimo wszystko była w nim łagodność, czułość. Jak bardzo potrzebowała Jacka? Rozpaczliwie, niebezpiecznie. Była to potrzeba potężniejsza - i może bardziej destrukcyjna - niż pragnienie ucieczki w alkoholowe otępienie albo azył wojny, czy śmiałe fantazje kobiety-cienia w Paryżu.

- Cole nie odnalazł swojego brata?

- Jestem pewna, że nawet nie próbował. Te poszukiwania musiałyby zostać nagłośnione. Wiedziałabym o tym.

- Musi być jakaś przyczyna, dla której nie szukał go. Przypuszczam, że boi się tego, co mógłby znaleźć. Na przykład mógłby odkryć, że nowy dom jego brata nie jest lepszy niż dom Taylorów. Albo że jego brat nienawidzi go za to, co Cole mu zrobił.

- Tak, ale myślę, że chodzi o coś więcej. Chociaż to był wypadek, Cole obwinia się o śmierć ojca o to, że nie zdołał jej zapobiec - jakby to dowodziło, że nosi w sobie brutalność Jeda, jakby on również był mordercą. Sądzę, iż Cole zdecydował, że dla jego brata będzie lepiej, jeśli nic nie będzie o nim wiedział. Ale nie ma racji, Sarah. Wierzę w to z całego serca. Właśnie dlatego zamierzam zaaranżować ich ponowne spotkanie.

- Sama wygłaszając taki publiczny apel?

- Tak. - W złocistych płamkach niewidzących, błękitnych oczu Claire załśniły iskierki determinacji. - Wyobraź sobie światło księżycy bez wątplenia otrzyma kilka nominacji do nagród Grammy, a także do Oscara. Jeżeli będę na scenie z Cole'em na którejś z tych uroczystości, sama przekażę ogłoszenie. A jeśli nie, jeśli będę już z powrotem w Harlanville, poproszę kogoś innego, żeby zrobił to za mnie.

- Ale te ceremonie mają się odbyć już wkrótce, prawda, Claire? W lutym i w marcu. Z pewnością do tego czasu jeszcze nie wrócisz do Harlanville.

- Nie wiem, Sarah. - Nie wiem, jak długo będę mogła znieść bycie z nim, kochanie go, zastanawianie się nad jego litością, martwienie się, że on zechce mnie opuścić. - Jeśli do tego czasu znajdę kogoś godnego zaufania, kto wygłosi ten apel, moja misja zostanie wypełniona i będę mogła wrócić do Luizjany, żeby uczyć muzyki. - Claire wzruszyła ramionami, a potem uśmiechnęła się. - Tak czy owak, mój plan odnalezienia brata Cole'a powiedzie się. Publiczności na takich ceremoniach jest mnóstwo, a media z pewnością podchwycą tę historię, nie uważasz?

- Absolutnie tak. Ale w tego rodzaju historii mogą się pojawić całe zastępy uzurpatorów. Wielu pozbawionych skrupułów mężczyzn może stwierdzić, że bajecznie bogaty supergwiazdor to ich od dawna zaginiony brat.

- Tak, ale wiesz, kiedy zostaje popełniona zbrodnia, kiedy morderca jest na wolności, a policja celowo utrzymuje w tajemnicy kluczowe informacje?

Tak, wiem, pomyślała Sarah. Wiem na przykład, że Wydział Policji Los Angeles zadbał o nieujawnianie symbolu czarnego serca i informacji, że zabójcze cięcie zostało zadane lewą ręką.

Cole Taylor nie jest tym człowiekiem. Nie jest nim.

- Planujesz zataić pewne informacje, Claire? Claire skinęła głową.

- Tylko opiszę okoliczności. Postój tirów w Zachodnim Teksasie późną grudniową nocą dwadzieścia siedem lat temu - to powinno wystarczyć, nie uważasz? Inne szczegóły, na przykład zardzewiały wózek i podarta kołdra, mogłyby pozostać tajemnicą. I była jeszcze piosenka, ulubiona kołysanka, którą Cole śpiewał tamtej nocy. Nie wiem, jaka to była piosenka, ale może pamięta ją jego braciszek. No, może nie. Miał tylko dwa lata.

- A jeśli bratu Cole'a nigdy nie opowiedziano o tamtej nocy?

- Mężczyzna, który został jego ojcem, będzie pamiętał. Cole opisał go jako człowieka całkiem młodego w tamtym czasie, nie starszego niż jego własny ojciec, a więc...

- A więc on nadal żyje i ty naprawdę masz zamiar to zrobić, tak?

- Tak. Muszę. - Widziałam płomień, który umarł w sercu Cole'a, kiedy porzuciliśmy tamto marzenie. To był mały płomień, spowity olśniewającym blaskiem innych marzeń, które dzieliliśmy. Ale tamte marzenia przepadły, spaliły się na popiół, i teraz pozostaje tylko jedno tłące się marzenie; aby odnaleźć jego brata.

Lot przebiegał zdumiewająco gładko. Nawet ryczące silniki wydawały pełen ukontentowania pomruk. Oczywiście sprawiała to obecność Sarah, jej łagodny głos, który natychmiast uspokajał Claire, ilekroć samolot choć trochę obniżał lot. Pomogło również to, że burza, która pustoszyła wschodnie wybrzeże, nie podążyła za nimi nad morze.

Ale gdzieś w duszy Claire wciąż występowały turbulencje. Claire słyszała je, wyczuwała je, kiedy Sarah opisywała swój bożonarodzeniowy dramat, miłosiernie krótkie, ale przerażające godziny,

podczas których ona i jej rodzice byli trzymeni jako zakładnicy. Przyznała, że po tym wszystkim „trochę zwariowała”. Właściwie, przyznała, całkowicie oszalała.

I pod koniec tamtego roku szaleństwa zrobiła coś jeszcze bardziej szalonego. Wyszła za Simona Beckwith-Jonesa, mężczyznę w wieku jej rodziców, którego nie kochała i który zginął, wraz z jej rodzicami, trzy lata po ślubie.

- Jest coś jeszcze, prawda, Sarah? - zapytała Claire, kiedy jej przyjaciółka zakończyła krótką i beznamiętną relację z tamtych czterech lat. - Coś straszliwie bolesnego - jeszcze bardziej bolesnego niż to, co już mi opowiedziałaś.

- Tak, Claire, jest coś jeszcze. - Gwałt, zdrada, strata ukochanego dziecka; a potem kolejny gwałt i kolejna zdrada. - Ale naprawdę nie warto o tym mówić. To stara historia.

- Ale ta historia sprawiła, że napisałaś do mnie list, który był zbyt pesymistyczny, by móc go wysłać.

- Tak, no cóż, moje listy były zawsze bardziej pesymistyczne niż twoje. Ten akurat był najgorszy ze wszystkich. Tak czy owak, jakoś żyję.

- Cieszę się. - Mam nadzieję, że to prawda. - Czy jest ktoś w twoim życiu, Sarah?

- Nie.

To „nie” zostało wypowiedziane kategorycznie i natychmiast. Ale Claire uśmiechnęła się.

- W ciągu ostatnich sześciu lat bardzo mi się wystrzył słuch. Dla mnie to brzmiało jak „tak”, Sarah, albo przynajmniej „może”?

- Rzeczywiście masz dobry słuch - mruknęła czule Sarah. - On jest... to sprawa służbowa.

- Sprawa służbowa?

Tak. Widzisz, mam być ofiarą morderstwa, a on zamierza rozwiązać tajemnicę przed moją śmiercią. Jego podejście jest niezwykle logiczne, takie jak powinno być. Chłodne, beznamiętne, spokojne. To nie jest typ człowieka, który wydaje pochopne sądy. I nigdy tego nie robił. Ale zgadnij czyje nazwisko - spokojnie i logicznie - umieścił na liście podejrzanych? Oczywiście musiał. Mistrz w rozwiązywaniu zagadek nie ma wyboru.

Tak jak nie mam teraz wyboru i muszę wypowiedzieć niezbędne kłamstwo.

- On pisze książkę o korespondentach wojennych w dzisiejszych czasach, również o mnie.

- Naturalnie, że również o tobie, Sarah! A jak się nazywa?

- Jack Dalton.

- Czy ja go poznam?

- Tak, będzie mi towarzyszył podczas sylwestra, zarówno na twoim koncercie w Royal Albert Hall, jak i na późniejszym przyjęciu Timothy'ego.

- To brzmi bardziej jak romans niż sprawa służbowa.

Och nie, Claire. Chodzi tylko o interesy. To tylko bezowocne poszukiwania bezlitosnego zabójcy. Nieprawdaż?

20

Lotnisko Heathrow, Londyn Piątek, 30 grudnia

Jedna kobieta była nauczycielką. Jej niebieskie oczy nie widziały i nigdy wcześniej nie była zagranicą. Druga była sławną korespondentką wojenną. Jej zielone oczy widziały zbyt wiele, unurzana we krwi ziemię narodów na całym świecie, pustoszonej przez wojnę.

Ale tego dnia dwie kobiety dzieliły się doświadczeniem, które dla obu było całkowitą nowością. Obie zostały powitane na lotnisku przez mężczyzn, którzy je kochali.

Jacka miało tutaj nie być! Tak, zaofiarował się, że przyjedzie. Jednak Sarah oświadczyła, całkiem kategorycznie, jak jej się zdawało, że nikt nie musi po nią wychodzić. „Jestem przyzwyczajona do tego, że sama przyjeżdżam z lotniska do domu, Jack! Przyzwyczajona do powrotów z wojny - do samotnych powrotów”.

- Aleja chciałbym się z tobą spotkać, Sarah.

- Nie, naprawdę. To nie jest konieczne. – I brzmi to zbyt niebezpiecznie, zanadto przypomina miłość. - Poza tym będzie tam Cole. Pojadę do miasta z Cole'em i Claire.

Cole. Oczywiście, to był rzeczywisty powód, dla którego Jack zaproponował to lotnicze rendez-vous. Żeby poobserwować Cole'a, uważnie mu się przyjrzeć i nie kierując się emocjami poszukać tropów. Sprawa służbowa, nie romans.

Tyle że teraz, kiedy ona i Claire podchodziły do nich, Jack nie obserwował Cole'a. Patrzył na nią i z łagodnym wyrazem twarzy zadawał milczące pytania, które nie miały żadnego związku z morderstwem. Czy dobrze poszło, Sarah? To najważniejsze na świecie spotkanie z twoją przyjaciółką?

Claire położyła rękę na ramieniu Sarah. Jednak Sarah pomyślała, że to ona przywiera do niej, to ona czerpie siłę i odwagę od Claire.

Uśmiech Sarah stanowił wymowną odpowiedź. Tak, poszło dobrze... dziękuję.

- Udało nam się.

- O tak. Dobry lot?

- Bardzo dobry. Zupełnie bez wstrząsów. Och, Claire Chamberlain, to jest Jack Dalton. Jack, Claire.

- Witaj, Jack. - Claire wyciągnęła do niego rękę, dokładnie tam, gdzie powinna była być jego ręka, a jej kasztanowa głowa odchyliła się nieco w górę, dokładnie pod takim kątem, jaki był potrzebny, kiedy wymieniali życzliwe powitania.

- Spałaś? - zapytał Cole. To były jego pierwsze słowa, łagodne i pełne troski.

- Nawet nie zmrużyłam oka - odparła Claire w stronę, z której dobiegały łagodność i ciepło. - Nawet nie próbowałyśmy. Za dużo było do nadrobienia. To było dobre, Cole, wspomniała, że Sarah wyjechała mi na spotkanie w Nowym Jorku.

- Zauważyłeś, w jaki sposób Cole na nią patrzył, Jack? Na lotnisku i przez całą drogę do miasta.

- Zauważyłem. -1 widziałem także twój wyraz twarzy, kiedy ich obserwowałeś. W zamyśleniu. Z nadzieją. I teraz, w surowym wnętrzu twojego apartamentu, widzę, z jaką pasją walczysz o szczęście swojej przyjaciółki.

- Zatem zauważyłeś, musiałeś zauważyć, że Cole nie jest zabójcą. Nie mógłby nim być.

Nie jest zabójcą. To znaczące i śmiałe zapewnienie tańczyło w umyśle Jacka, kiedy czekał z Cole'em na przyłot samolotu z Nowego Jorku. To że Jack Dalton i Cole Taylor będą mieli coś wspólnego ze sobą, wydawało się niemożliwe, podobnie jak teza, iż w ich milczeniu nie było żadnej niezręczności, lecz coś w rodzaju porozumienia. Ale podczas oczekiwania na Heathrow Jack i Cole nie przypominali myśliwego i zdobywcy, nie wyglądali jak spec od morderstw i ewentualny szaleniec. Byli po prostu dwoma mężczyznami, czekającymi na kobiety, które kochali, martwiącymi się o nie i mającymi nadzieję, że ich ponowne spotkanie okazało się udane.

A kiedy te kobiety się pojawiły, Jack zauważył, w jaki sposób Cole wita Sarah - z wdzięcznością za to, co Sarah zrobiła dla Claire. To była wdzięczność, nie żądza krwi, podstęp czy uwodzenie.

Ale Jack wiedział, że to wszystko nic nie znaczy. Gdyby można było zdiagnozować psychopatę za pomocą spojrzenia, ten świat byłby doprawdy bezpiecznym miejscem. Niebezpieczną cechą psychopatów, kluczem do ich ponurych sukcesów, było właśnie to, że potrafili wyglądać zupełnie normalnie. Właśnie na tym polegał ich podstęp, najbardziej mistrzowska forma uwodzenia.

- Nie mógłby nim być-powtórzyła Sarah.

- Może nie.

- Może nie?

- Przyznaję, że to wydaje się zbyt łatwe. Cole Taylor przybywa jak na zawołanie z Los Angeles. Znał obie ofiary i nie ma najmniejszych trudności z dotarciem do ciebie. Jest leworęczny, jego urodziny przypadają na dzień św. Walentego, i, na domiar złego, zjawia się mając ładny dorobek: kusząco gwałtowną przeszłość, śmierć - chociaż być może przypadkowa - w której zabójczym narzędziem okazał się nóż myśliwski.

- Zgadza się, Jack. To jest zbyt łatwe.

Stała blisko kominka, jej oczy błyszczały nadzieją. Za jej plecami, na marmurowym obramowaniu kominka, stały figurki Pegasusa i wydawało się, że one również błyszczą... aż Jack przypomniał sobie, czym są: układankami, układanymi cierpliwie, uważnie, z zastosowaniem rygorystycznych zasad logiki.

- Rozwiązujemy zagadki, Sarah. Ty i ja. Lubimy, kiedy nasze układanki stanowią duże wyzwanie - właśnie taka byłaby ta układanka, gdybyś tak szybko nie rozpoznała znaczenia czarnego serca. To jest powód, dla którego sprawa wydaje się tak łatwa. Ponieważ czekaliśmy na niego.

- A więc nie wyklucasz Cole'a z kręgu podejrzanych?

- Wiesz, że nie mogę.

Chociaż chcę. To była zdumiewająca konstatacja. Emocjonalna. Irracjonalna. Nietypowa w przypadku Jacka. A jeszcze bardziej wstrząsający był powód, dla którego Jack pragnął, aby Cole okazał się niewinny. Dla Sarah, rzecz jasna, ze względu na Claire. Ale przede wszystkim pragnął tego dla samego Cole'a. Jack zauważył, w jaki sposób Cole patrzył na Claire: to był emocjonalny duet pożądania i udręki, tęsknoty i miłości.

I czego chciał Jack? Szczęścia Cole'a? Czystej radości dla człowieka, którego największą tęsknotą i pragnieniem mogło być rozbryzanie karmazynowych kropli krwi Sarah Pembroke po całym hebanowo-kremowym apartamencie? Czyja udręka dobiegnie końca, kiedy te błyszczące układanki Pegasus pokryją się krwią?

- Ty również nie możesz wykluczyć Cole'a z kręgu podejrzanych, Sarah.

- Mogę... ale nie zrobię tego.

- Dziękuję.

- A ja dziękuję za to, że wyszedłeś po mnie na lotnisko.

- Chciałem. I nie mogę się doczekać jutrzejszego wieczoru.

- Ja też. Wiem, że kiedy usłyszysz, jak Cole śpiewa piosenki miłosne z Claire...

- Słuchanie, jak Cole śpiewa miłosne piosenki, nie jest powodem, dla którego nie mogę się doczekać tego wieczoru - przerwał łagodnie Jack. -Mówię o tym, co będzie po koncercie. O przyjęciu Timothy'ego.

Prawie nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Czułość, intymność zaparły jej dech w piersiach. Ale musiała odzyskać to, co zostało ukradzione, albowiem za chwilę Jack mógłby uwierzyć, że to był podarunek, ofiarowany łatwo i z taką radością. Możesz mieć mój oddech, Jack, i moje serce, i moją duszę, i moje...

Dla niego to sprawa służbowa, pamiętasz? Niezmiernie fascynująca kwestia złapania zabójcy. Właśnie to fascynuje Jacka Daltona. Ta skomplikowana łamigłówka śmierci, a nie rozczarowujące tajemnice związane z twoją osobą.

- Chcesz zobaczyć, kto do mnie podejdzie? Jacy mordercy będą czyhali na mnie w cieniach?

Jack odpowiedział uśmiechem i w głębinach jego indygowych oczu Sarah zobaczyła nieskrywane w cieniu pożądanie mężczyzny, który potrafił bez jakiegokolwiek broni, szybko i brutalnie zamordować jej serce.

- Nie, Sarah. Nie mogę się doczekać, kiedy z tobą zatańczę.

Pokój Claire w hotelu Drake był apartamentem z jedną sypialnią na osiemnastym piętrze. Cole'owi pokazano wszystkie wolne apartamenty w hotelu i wybrał właśnie ten.

Lokalizacja była dobra: szło się krótko i prosto do rzędu dosłownie bezszelestnych wind. Dwanaście jego kroków; doszedł do wniosku, że to będzie osiemnaście kroków Claire. A układ apartamentu był najlepszym, jaki Cole oglądał: tu najłatwiej było poruszać się w ciemności - teraz nawet jeszcze łatwiej, ponieważ przestawiał meble.

- Pozwól, że opowiem ci o pokoju - zaproponował Cole, kiedy boy hotelowy postawił bagaż Claire w sypialni i wyszedł.

- Dobrze.

- A więc wszystko znajduje się na lewo od miejsca, w którym stoimy. Najpierw jest salon, a potem...

- Cole przerwał widząc, że Claire zdecydowanie potrząsa głową. - Co?

- Mogę poznać te szczegóły sama. Właściwie powinnam nauczyć się ich w ten sposób. Ale chciałabym wiedzieć, w jakim kolorze są ściany, dywan, meble i zasłony, i... są tu gdzieś blisko róże, prawda?

- Tak, jest ich całkiem sporo. Claire uśmiechnęła się.

- Proszę cię, najpierw opowiedz mi o nich.

- Dobrze. No cóż, są różowe -tak jak dywan i zasłony, jeśli już pytasz.

- Jaki odcień róży, Cole? Czy kwiaty, dywany i zasłony są w tym samym odcieniu róży?

Och, Claire, za dużo ode mnie wymagasz. Proszisz mnie, żebym był twoimi oczami, żebym widział świat tak, jak ty byś go widziała. Ale dla mnie, z wyjątkiem czasu, który spędzałem z tobą, świat był całkowicie szary.

Teraz Claire prosiła go, żeby opisał jej kolory. Ku swojemu zdumieniu Cole przekonał się, że zna kolory. Właściwie był ekspertem od pewnych odcieni błękitu, różu, miedzi i złota-kolorów związanych z Claire: kolorów jej oczu, jej warg, lśniącego ognia jej włosów.

Jaką barwę miały róże? Cole wiedział to bardzo dokładnie: promienne zaróżowienie jej policzków w tamtą księżycową noc w Belle Reve, kiedy ujął w ręce jej ukochaną twarzyczkę. Ale gdyby powiedział jej o tym, Claire nie miałyby z tej informacji żadnego pożytku. Takie wyznaczenie nie zabarwiłoby jej czerni. Tylko on widział kiedyś ten czarujący róż, ten olśniewający odcień czystej radości.

Claire prosiła go teraz, by był jej przewodnikiem, tak jak ona prowadziła go kiedyś przez ich dziewiczo zielony las, kiedy on miał zamknięte oczy i wierzył, że Claire nie porzuci go w ciemności.

Ale to on ją porzucał - ponieważ bez Claire, Cole znał tylko ciemność. Tylko że teraz, tak jak wówczas, Claire ratowała go, wyprowadzała go z jego świata ciemności do jej cudownego królestwa barw i światła.

- Czy są jasnoróżowe? - zapytała. - Czy to szczęśliwy, wesoły odcień różu?

- Tak. - Dokładnie taki róż - odcień szczęścia, radości... miłości. -Szczęśliwy róż, Claire.

Dywany i zastony również były szczęśliwe, uznali, chociaż trochę bardziej stonowane niż róże, ot, stosowna domieszka dobrych angielskich manier; meble zaś, „widziane” przez Claire wrażliwymi opuszkami palców, były obite brokatem w kwiaty, a...

- Słyszę deszcz.

- Tak, słyszysz go.

W rzeczywistości nagły opad deszczu przypominał raczej ulewę, której szum został jednak stłumiony do niemal zupełnej ciszy za sprawą podwójnych szyb. Właściwie gdyby okna w apartamencie Claire były małe, nawet jej wyczulone uszy mogłyby nie usłyszeć bębnienia deszczu o ich powierzchnię.

Ale cała jedna ściana pogodnego, różowego apartamentu Claire była zrobiona ze szkła. Claire odkryła to przysuwając się do chóru kropel deszczu.

- Muszę mieć jakiś widok - mruknęła, dotykając szklanej tafli i czując pod rękami dobrze znajomą i uspokajającą gładkość.

Jej szklana kula była w domu, ale tutaj znajdowała się cała ściana ze szkła. I zamiast otaczać jej malutkie miasteczko zimowych świąt, to szkło obiecywało zupełnie nowy świat - świat pękających, rozśpiewanych kropel deszczu i bogatą przyszłość, która była przed nią... i widok.

Widok z apartamentu Claire był najlepszym, jaki miał do zaoferowania hotel Drake. Czy Cole chciał tego pięknego widoku dla niej? Tak, uświadomił sobie teraz. To był czynnik wpływający na wybór tego apartamentu, podobnie jak wesołe odcienie różu. Jak gdyby ona widziała.

Ona wierzy, że widzi, że będzie w stanie widzieć z moją pomocą. Och, Claire, mam tak niewiele do zaoferowania, tak marną pomoc. Bez ciebie ja również jestem ślepy.

- Widok Hyde Parku. Teraz nic nie widać, bo jest noc i pada deszcz...

- Ale muszą być jakieś światła.

Rzeczywiście były światła, jasny jak klejnot blask Londynu po zmierzchu. I w tę mokrą noc światła zostały przyćmione kroplami deszczu, tworząc płynny potok barw. Po chwili Cole usłyszał jakiś głos. Czy to naprawdę był jego własny głos?

- Są światła, Claire, i jest tak, jakby każde było małym słońcem, a każda kropla deszczu - burzą samą w sobie. I kiedy one się spotykają, tworzą się tęcze. A te światła, które nie mają swoich własnych kropel deszczu, migoczą jasnym blaskiem jak gwiazdy.

A więc teraz wiedziała coś o swojej ścianie ze szkła, o wspaniałościach tuż za jej gładką powierzchnią. Tam nie tańczyły płatki śniegu. Żadne malutkie, doskonałe kryształki zapamiętanej miłości. Ale były tu tęcze i gwiazdy, symbole jej przyszłości, nie przeszłości... Albowiem jutrzejszego wieczoru, wraz z Cole'em, miała śpiewać o miejscach nad tęczą i życzeniach w związku ze spadającymi gwiazdami.

21

Sobota, 31 grudnia

Spędzili popołudnie w British Museum, snując się pośród bogactwa eksponatów, podziwiając oglądane wspaniałości. Kiedy stali w pełnym czci milczeniu przed marmurami Elgina, Emma powędrowała myślą w przeszłość, do innych marmurowych skarbów... i do początków jej miłości dla Lucasa.

Był to eksperyment w sferze edukacji... i dobrej woli - społeczny i akademicki mariaż studentów z dwóch wybitnych w skali światowej uczelni. Przez wiele lat Uniwersytet Stanford utrzymywał kampus we Włoszech, trzypiętrową Villa San Paolo we Florencji. Jednak dotychczas osiemdziesięcioro studentów zakwaterowanych w pokrytych freskami murach zawsze było narodowości amerykańskiej, zawsze importowano ich z głównego kampusu uczelni w Palo Alto.

Jednak podczas tamtego eksperymentalnego roku połowa studentów pochodziła z Anglii, gdzie kończyła studia w Cambridge. Zostali zaproszeni na semestr zimowy do Florencji jako goście Stanford i mieli odwzajemnić tę gościnność w styczniu, w Anglii, gdzie czterdzieścioro Amerykanów miało spędzić pozostałą część roku akademickiego.

Emma Louise Lloyd była ostatnią brytyjską studentką, która dowiedziała się, że wyrusza w podróż do Firenze. Jako najmłodszy członek grupy była na liście rezerwowej jeszcze dwadzieścia cztery godziny przed tym, jak czarter z San Francisco miał wylądować w Heathrow, żeby zabrać angielski kontyngent.

Ale Emma znalazła się na Heathrow następnego dnia, przejęta, pełna zapału, w towarzystwie nieco wstrząśniętych rodziców. Zeszły rok, pierwszy rok Emmy w Cambridge, już i tak naraził ich na bolesną rozłąkę. Teraz ich ukochana - i taka niewinna - córka wyruszała w o wiele dalszą podróż, i zmierzała do ostatecznej i nieuniknionej niezależności od nich.

Czy Eleanor i Jonathan Lloydowie okazywali niepokój? Nie. Czy mogli, skoro oczy Emmy błyszczały tak jasno, gdy wyobrażała sobie czekającą ją wielką przygodę?

Czterdzieścioro studentów, którzy wsiedli na pokład samolotu w Heathrow, zostało poddanych bacznej obserwacji ze strony swoich amerykańskich rówieśników. Studenci ze Stanford zdążyli już ocenić się nawzajem podczas długiego lotu z San Francisco i teraz lustrowali angielską połowę grupy, w poszukiwaniu przyszłych przyjaciół... i przyszłych kochanków.

Emma była tak podekscytowana chwilą, że zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tych obserwacji, a poza tym nawet nie wpadłaby na pomysł, żeby gapić się na nieznanomych w tak wyrachowany sposób. Wyobrażała sobie, że wszyscy w grupie będą przyjaźnie nastawieni, i strasznie by się zarumieniła na myśl o tym, że ktoś mógłby zostać jej kochankiem.

Jeden stanfordzki student nie uczestniczył w wydarzeniu, które ostatecznie przybrało formę burzliwego powitania kolegów i koleżanek z Cambridge. Był pochłonięty lekturą przewodnika po Florencji i wydawało się, że nie interesuje go odbywająca się wokół niego impreza. Znacznie później Emma miała zrozumieć, że on nie musiał się przyglądać angielskim dziewczynom, żeby jeszcze przed startem samolotu z Heathrow zdecydować, czy jest wśród nich ktoś, za kim warto byłoby się uganiać. Znacznie później pojęła, że Lucas Cain może mieć każdą, której zapragnie, i kiedy tylko zechce.

Jednak podczas dwugodzinnego lotu z Londynu do Mediolanu Lucas nie miał wyboru, jeśli chodziło o partnerkę. Emma miała bilet na miejsce obok niego.

Kiedy usadowiła się w fotelu, Lucas podniósł wzrok znad książki i po-witał ją:

- Buon giorno.

Dosłownie odebrał jej oddech. Nie mogła oddychać, nie mogła mówić, nie byław stanie nawet myśleć. Kradzież zrobiła się jeszcze bardziej dokuczliwą kiedy jego błyszczące zielone oczy spojrzwały z naciskiem na milczącą dziewczynę.

- To znaczy „dzień dobry” po włosku.

Jego słowa wywołały lekki uśmiech między coraz mocniej różowiejącymi policzkami, a potem, wreszcie, krótką zdyszana odpowiedź:

- Tak, wiem.

Naturalnie, że wiedziała. Wszyscy, włącznie ze studentami z listy rezerwowej, przez co najmniej jeden semestr uczyli się intensywnie języka włoskiego. Emma rozumiała ten język świetnie i potrafiła w nim pisać bezbłędnie.

Czuła się jednak bardzo niepewnie, kiedy musiała mówić po włosku. Buon giorno, grazie, prego i ciao należały do najczęściej używanych wyrażení. Najczęściej używanych i, dla Emmy, niezmiernie trudnych do wymówienia. Buon miało brzmieć jak „błon”, a nie „bon”, giorno wymagało zaś wypowiedzienia głoski „r” z wysuniętym językiem, a to wymagało odwagi, której ona nie miała. Spędziła to lato życząc radośnie buon giorno mewom, które wlatywały ku szafirowemu niebu nad Kornwalią, wrzosom, żywopłotom, chmurom i falom. I zdarzało się, że te słowa brzmiały prawie tak jak trzeba.

Ale kornwalijskie mewy to było coś zupełnie innego, niż ten czarnowłosy, zielonooki Amerykanin. Jego wymowa nie była doskonała. Po prostu nie miał zahamowań i był trochę rozbawiony, jakby rozmaite odmiany nagości nie stanowiły dla niego absolutnie żadnego problemu. Zresztą, dlaczego miałyby być problemem?

- Wiem- mruknęła Emma jeszcze raz. -Cześć. Lucas uśmiechnął się.

- Cześć.

Emma nie mogła rozmawiać z Lucasem Cainem podczas lotu do Mediolanu, a słowa nie przychodziły również podczas zajęć, na których byli razem, albo kiedy mijali się w korytarzach pałacyku, albo gdy on pojawiał się w jadalni w ostatniej chwili i znajdował wolne krzesło przy stole - na osiem osób - gdzie siedziała ona.

Emma nie była w stanie mówić w jego obecności, prawie nie mogła oddychać. Ale jej nogi pracowały bardzo dobrze - i to samowolnie. Śmiałe, zdradzieckie, głupie nogi. Na miłość boską, chodziła za nim jak szczenię, podekscytowana samą bliskością Lucasa.

To zdarzało się przeważnie przypadkowo, za pierwszym razem, a przynajmniej tak sobie wmawiała. Rozkład zajęć sprzyjał zwiedzaniu świata za stiukowymi ścianami pałacyku: ćwiczenia odbywały się tylko rano, od poniedziałku do czwartku. Popołudnia w tygodniu były poświęcane na odkrywanie cudów Florencji, zaś długie weekendy miały umożliwiać podróże do pobliskich skarbów Sieny, Rzymu, Vinci, Neapolu.

Było wtorkowe popołudnie, późny październik, rześki, pogodny, jesienny dzień w Toskanii. Po ośmiu tygodniach pobytu we Florencji wielu studentów czuło, że już zapoznało się dostatecznie dobrze z bogatą ofertą miasta. Wspięli się na dzwonnice Giotto i znali na pamięć każde renesansowe arcydzieło przechowywane w Duomo. Podziwiali Drzwi do raju Ghi-bertiego, każdą z jego wykutych w brązie scen, i odwiedzili barokowe mauzoleum, gdzie byli pochowani wielcy książęta rodu Medycich. Każdy student potrafił dokładnie wskazać miejsce na Piazza della Signoria, gdzie fanatyczny mnich Savonarola rozniecił swoje fajerwerki próżności, i wszyscy byli w stanie szczegółowo opisać Narodziny Wenus Botticellego.

Zdarzały się teraz popołudnia, kiedy niektórzy studenci zostawali w pałacyku, pili cappuccino w kantynie i wspominali niedawne przygody na Oktoberfest albo chciwie planowali kolejne wycieczki. Inni opuszczali willę nie dla muzeów i pałaców, ale po to, by odwiedzić któryś z licznych bazarów miasta. Tam targowali się - po włosku - o artykuły skórzane, swetry i błyskotki zrobione ze złota, potem zaś świętowali swój kupiecki spryt jedząc gelato w Perche Non. Byli i tacy, którzy spacerowali po Ponte Vecchio, obserwując, jak przybiera Arno, przewidując z ponurą pewnością, że powtórzy się powódź z 1966 - i zastanawiając się głośno, dlaczego nikt nic z tym nie robi. A niektórzy udawali się do starożytnej osady Fiesole, żeby dzielić się karafkami wina i rozkoszować panoramicznym widokiem ze wzgórz.

Emma wiedziała, że nie przejrzała jeszcze wszystkich skarbów, jakie miała do zaoferowania Florencja. Dla niej był to niewyczerpalny zasób. Za każdym razem, gdy stawała przed Fontanną Neptuna albo wędrowała przez Giardino di Boboli, albo oglądała Hołd Trzech Króli Da Vinciego, dostrzegała coś nowego, coraz głębsze pokłady znaczenia, bogactwa.

W to jasnoniebieskie październikowe popołudnie postanowiła raz jeszcze zwiedzić Palazzo Strozzi. Ale kiedy zobaczyła, że Lucas idzie o przecnicę przed nią, zmieniła plany. Poszła za nim, nie mogła nie pójść: ta sekretna podróż przywiodła ją aż do Gallerie dell'Accademia.

Lucas chciał znowu zobaczyć Dawida Michała Anioła. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. To, że w ogóle zauważył Emmę, było niezwykle. Kiedy przebywał w tym miejscu, zawsze koncentrował się na wspaniałości sztuki - było to skupienie maksymalne, wykluczające wszelkie inne zainteresowania.

Jednak z jakiegoś powodu oderwał wzrok od cudownie wyrzeźbionej stopy gigantycznego zabójcy i spojrzął na alabastrowe oblicze nieśmiałej angielskiej dziewczyny. Stała po drugiej stronie wspaniałego posągu, patrzyła w górę z zachwytem w oczach.

Powodowany czymś, czego nie umiał nazwać, Lucas dołączył do niej i kiedy Emma przeniosła wzrok z rzeźbionego marmuru na niego, na jej twarzy wciąż malowało się oczarowanie.

- Buon... - Uśmiechnął się. - Cześć, Emma.

- Cześć, Lucas.

Emma sądziła, że wie całkiem sporo o mistrzach Renesansu. Ostatecznie miała przecież zajęcia z historii sztuki w Cambridge i dużo czytała na własną rękę, a poza tym w pałacyku codziennie urządzano odczyty dotyczące sztuki i artystów Renesansu.

Ale tamtego popołudnia z Lucasem Cainem, Emma uświadomiła sobie, jak niewiele wie o Michale Aniele albo o Ghibertim, Donatellu czy Cellinim, i jak wiele wie o nich Lucas. Zupełnie jakby spotkał tych utalentowanych artystów z przeszłości, jak gdyby był czarodziejem, który podróżował przez stulecia i zaprzyjaźniał się z tymi niezwykłymi ludźmi. Dokładnie wyjaśniał, jakby wiedział to z pierwszej ręki, w jaki sposób ci mistrzowie rzeźby sprawiali, że twardy marmur stawał się posłusznym ludzkie ciało.

W ciągu następnych trzech tygodni spotkali się -a raczej ona chodziła za nim - ośmiokrotnie. Jednak Emma nie pojechała za Lucasem do Wenecji. To spotkanie było zupełnie przypadkowe, stanowiło prawdziwy kaprys - a może zrzędzenie - losu.

Był to ostatni weekend listopada. Większość pozostałych studentów ruszyła na południe, w poszukiwaniu słońca. Północne Włochy tonęły w deszczu od dwóch tygodni, za to pogoda w Neapolu była ponoć całkiem przyjemna. Capri przyzywała, obiecując złociste ciepło i jasnoblękitne morze. Albo można było udać się w podróż do Pizy, żeby się upewnić, iż wieża wciąż się przekrzywia, że naprawdę się przechyla, potem zaś ruszyć dalej, do Portofino, klejnotu włoskiej Riwiery.

Pod koniec listopada Wenecja była bardzo mało prawdopodobnym celem wizyt. Sezon turystyczny już dawno się skończył, i to nie bez powodu. Fabryki szkła były zamknięte, a na placu Św. Marka chodziło się po kolana w wodzie; większość flotylli czarnych jak noc gondoli już była w stanie przedzimowej hibernacji i nawet słynne gołębie placowe poleciały na wyżej położony teren.

Lucas i Emma już byli w Wenecji. We wrześniu cała grupa spędziła pięć dni w Mieście Kanałów. Mimo to z jakiejś przyczyny w ten mokry listopadowy weekend oboje zdecydowali się tam wrócić.

Lucas odkrył, że nie jest sam już w momencie, gdy wysiadł z pociągu. Najwyraźniej Emma jechała tym samym pociągiem z Florencji, kilka przedziałów dalej, i teraz mrużyła oczy na widok unoszących się szarych mgieł Wenecji, jakby była Dorotką mrugającą z powodu olśniewającego blasku krainy Oz. Ze swoim nieśmiałym, uroczym uśmiechem, wydawała się zachwycona i przytłoczona oglądanymi przez siebie wspaniałościami.

Emma nie miała pojęcia, że jest obserwowana, nawet nie podejrzewała, że Lucas również znajduje się na dworcu w Wenecji. Mógł po prostu zniknąć. Nigdy by się o tym nie dowiedziała.

Ale Lucas nie zniknął - tak jak nie próbował od niej uciec we Florencji. Wiedział doskonale, że ona czasami za nim chodziła. Pozwalał jej na to, chciał, żeby to robiła, stawiał wolniejsze kroki, żeby nie straciła go z oczu, a nawet wracał do pałacyku, kiedy uświadamiał sobie, że rozpoczął swoją popołudniową wyprawę trochę za wcześnie.

To, że ucieszył się z towarzystwa Emmy, prawdziwie go zdumiało. Ale rzeczywiście cieszył się. Był zadowolony, że może dzielić najważniejsze dla niego sprawy z tą śliczną Angielką.

- Cześć, Emma.

- Och! Lucas.

- Cześć-powtórzył cicho.

Emma czekała, aż on odejdzie z gracją. Ciao, Emmo. Do zobaczenia we Florencji. Ale podczas gdy oczekiwała słów pożegnania, wspólnie popłynęli vaporetto przez Kanał Grande, a potem znaleźli pensione na Riva degli Schiavoni. Następnie zaplanowali obiad, i przy lazanii ze szpinakiem rozmawiali o tym, co zobaczą nazajutrz i pojutrze.

Oczywiście, Bazylikę św. Marka. Z łatwością mogliby spędzić cały weekend w tym egzotycznym miejscu, podziwiając złożone mozaiki, błyszczące jakimś tajemniczym sposobem w tym niepokojącym mroku. Ale był jeszcze Pałac Dożów z dumnymi skrzydlatymi lwami na zewnątrz i niemal dekadencckim przepychem w środku. Poza tym jak mogliby opuścić Wenecję nie przeszedłszy się raz jeszcze po Accademia di Belle Arti?

Przy cappuccino i blasku świec rozmawiali o innych rzeczach. Naciskana przez Lucasa Emma opowiedziała mu o swoim domu w West Country, i usłyszał od niej znacznie więcej : o jej uwielbieniu dla ojczystej Korn-walii, zaczarowanego miejsca Artura, Ginewry, Merlin i Camelotu, a także przede wszystkim o tym, jak bardzo kochała swoich rodziców.

Lucas nie opowiedział Emmie o swoim domu. Niewiele było do powiedzenia, a i to nie miało związku z miłością. Jednak w tamten wieczór mgły i magii w La Serenissima, Lucas Cain opowiedział Emmie Lloyd o swoich marzeniach.

- Chciałbym być rzeźbiarzem.

Emma już wiedziała, kim Lucas jest. Rzeźbiarzem, jeśli chciał, kimkolwiek chciał być. Ale przede wszystkim Lucas Cain był współczesnym Mer-linem, czarodziejem, który potrafił wyczarowywać wszelkiego rodzaju magią, który umiał podróżować w czasie, okazując przyjaźń mistrzom Renesansu, i którego mądrość wydawała się pradawna i światowa, zmysłowa i...

- Naprawdę?

- Nie jest to specjalnie nowoczesny ani praktyczny wybór profesji, Emmo. Chciałbym rzeźbić w marmurze.

- Jak Michał Anioł.

- No...

- Zajmowałeś się już rzeźbieniem?

- Rzeźbię w drewnie od lat, od dzieciństwa. I wykonałem trochę prac w kamieniu.

- I jesteś w tym dobry, prawda? Lucas wybuchnął śmiechem.

- Kto wie? Ale mam nadzieję dowiedzieć się tego.

- Dowiesz się. I będziesz wspaniały. - Ty jesteś wspaniały.

Ty też, pomyślał Lucas, patrząc na jasnoniebieskie oczy, które odbijały blask świec, ale przede wszystkim lśniła w nich wiara w jego możliwości.

Prawdę mówiąc, Lucas nie potrzebował wiary Emmy. Już wiedział, że ma wielki talent. Jednak talent nie wystarczał. Lucas zdawał sobie sprawę również z tego. Aby realizować dawne, a zarazem teraźniejsze marzenia musiał włożyć wszystko: swoje serce, swój umysł, swoją duszę. Musiał być nieustępliwy, niezachwiany, pełen pasji. Naturalnie, to była łatwa część, gdyż Lucas nie pragnął niczego innego... nic innego nie miało dla niego znaczenia.

Ale przecież nie było niczego złego w całowaniu tej uroczej angielskiej dziewczyny, prawda? Lucas całował wiele dziewcząt, a one wszystkie entuzjastycznie odwzajemniały mu pocałunki. Całowały go, kochały się z nim - i pragnęły znacznie więcej, niż on był gotów dać. Ale przynajmniej było łatwo. Tak bardzo łatwo powiedzieć „żegnaj”.

Lucas pragnął całować Emmę, pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale nawet jej nie dotknął. Nie tamtego wieczoru. I nie podczas tych tysięcy razy następnego dnia, kiedy pragnął ją całować i kiedy podziwiali błyszczące złoto św. Marka; ani później, kiedy jej twarz zwilgotniała od mgły i zaróżowiła się ze szczęścia, bowiem patrzyła z uznaniem i zachwytem na pełen wdzięku łuk Mostu Westchnień.

Cóż złego mogło się zdarzyć? Tak łatwo powiedzieć „żegnaj”, nieprawdaż? Tak. Tak.

Ot, pocałunek na dobranoc, uczczenie wspaniałego dnia, który właśnie spędzili, i zapowiedź jeszcze lepszego jutra.

Ale to nie był zwyczajny pocałunek. Jak mógłby być, skoro on pożądał jej tak bardzo, a ona zareagowała tak pełną zdumienia, a zarazem tak gorliwą radością?

Emma była ciepła i słodka, i miękka, i równie wygłodniała, jak on.

- Lepiej przestańmy - szepnął chrapliwym z pożądania głosem. Jego słowa nie powinny były wywołać żadnego zamieszania. Ale Lucas zauważył uroczą nadąsaną minę na jej zaczerwienionej z namiętności twarzy.

- Nie chcesz...?

- Czy nie chcę? - Jego śmiech był spragniony. - Och, tak, Emmo. Chcę ciebie. Ale ty nigdy tego nie robiłaś, prawda?

Potrząsnęła swoją złocistą główką, a roztańczone loki lśniły jaśniej, niż całe złoto św. Marka. Jej oczy też udzieliły odpowiedzi: były jasnoniebieskie i nieustraszone.

- Nie boję się, Lucas. Chcę.

- Nie mam nic przy sobie, Emmo. Żadnego zabezpieczenia.

- To nic. To znaczy, możemy. Właśnie skończyła mi się... nie zajdę w ciążę.

Możemy, Lucas. Ileż to razy słyszał te słowa - aczkolwiek wypowiedziane innym tonem? Przedtem zawsze były wypowiedzane prowokacyjnym szeptem, któremu towarzyszyły nader wymowne gesty pewnych siebie rąk. No, chodź, Lucas. Kochaj się ze mną.

Ale w tej młodej Angielce, która przed nim stała, nie było nic prowokacyjnego, choć zarazem wszystko wydawało się prowokacją. Była tylko uczciwość. Tylko olśniewająca, smutna szczerość. Tylko nieśmiałość, ale odważne pożądanie.

Nigdy dotąd Lucas Cain nie narażał na ryzyko swojego marzenia. Nigdy dotąd nie przedkładał przelotnych rozkoszy cielesnych nad swoją trwałą namiętność do marmuru.

Ale teraz zrobił to bez chwili namysłu.

- Jesteś pewna, Emmo. Właśnie tego chcesz?

Emma nie była bardziej pewna niczego w swoim życiu. A teraz on patrzył na nią, jakby to ona-zwykła mała Emma-była dziełem sztuki, alabastrowym posągiem niezwyklej piękności; jego oczy zaś, te lśniące zielone oczy czarodzieja, obiecywały, iż pokaże jej magię. - Tak - szepnęła. - Tak.

Nie czuła bólu, nawet przez tę zapierającą dech w piersiach chwilę, kiedy złączyli się w jedno. Powiedziała mu, że się nie boi, ale bała się, a on wiedział o tym, i był taki czuły, taki łagodny i ostrożny, że jej lęk zupełnie stopniał.

A utalentowane ręce, którym starczało siły, by rzeźbić posągi w kamieniu? Pieściły ją, jakby była porcelanowa, delikatna, krucha i drogocenna.

Dla Emmy w ten magiczny weekend w Wenecji ręce Lucasa Caina były wypełnione jedynie miłością.

- Spałaś z nim, prawda?

22

Emma popatrzyła na swoją amerykańską koleżankę z pokoju. Ashley Alexander zawsze była oszałamiająca. Nawet teraz, kiedy była tak wyraźnie niezadowolona.

- Uprawiałaś seks z Lucasem, prawda, Emmo? - naciskała Ashley. Potem, wyprowadzona z równowagi milczeniem Emmy, zapytała: - Czyżbyśmy miały kłopoty językowe? Mogę to wyrazić jaśniej, bardziej wulgarnie, jeśli sobie życzysz. Czy ty i Lucas...

- Tak. - Nie. To nie był seks. Myśmy się kochali. - Tak.

Ashley westchnęła i jej niezadowolenie przerodziło się we współczującą minę.

- O rany. I to miało dla ciebie jakieś znaczenie, prawda? Nie odpowiadaj. Widzę to po twoich oczach. - Ashley znowu westchnęła. - Ale dla niego, Emmo, nie miało to żadnego znaczenia.

Ależ miało! Jak mogło nie mieć znaczenia.

- Usiądź - zakomenderowała Ashley. - Już czas, zbyt późny, żebyś dowiedziała się prawdy o Lucasie Cainie.

O Lucasie wiem wszystko: jaki jest wspaniały, jaki delikatny i kochający...

- Znam Lucasa od pierwszego roku studiów. Mieliśmy wtedy romans. Tak, Emmo, spałam z nim. Wszystkie z nim spały. On jest fantastycznym kochankiem. Ale ty nie masz w tej kwestii żadnego punktu odniesienia, prawda? Lucas był twoim pierwszym, prawda? - Kiedy Emma lekko skinęła głową, Ashley kontynuowała beznamiętnym głosem. - To moja wina. Powinam była cię przed nim ostrzec. Nie żeby coś było z nim nie w porządku. Po prostu chodzi o to, że on jest nieodpowiedni dla takiej osoby jak ty, dla kogoś, kto spodziewa się po nim czegoś więcej oprócz seksu. Dla Lucasa seks jest przyjemnością, i niczym więcej. A także niczym mniej, jak z pewnością zdążyłaś się przekonać. Jest koneserem, a w dodatku ma klasę. W przeciwieństwie do innych znanych mi mężczyzn Lucas nie rozmawia o swoich seksualnych doświadczeniach. On nie karbuje rowków na słupku łóżka. Seks nie jest dla niego podbojem. Jak mógłby być, skoro kobiety zawsze przychodzą do niego? Spał prawie ze wszystkimi dziewczętami z naszej grupy, Emmo. To prawda - chociaż do tej pory nie wiedział o tym nikt oprócz mnie i Lucasa.

- Powiedział ci?

- Nie, przecież dopiero co powiedziałam ci, że jest szalenie dyskretny. On nie rozmawia o seksie, po prostu go uprawia. Często wiem o innych, ponieważ znam Lucasa. I miałam rację, jeśli chodzi o was dwoje, prawda? Poza tym, uwodzenie tylu kobiet, ile się da, to główny powód, dla którego Lucas spędza ten rok za granicą.

- To nieprawda!

- Och?

- Jest tutaj z powodu sztuki, artystów, renesansowych rzeźbiarzy.

Ashley wytrzeszczyła oczy.

- No, no, słowo daję, jestem pod wrażeniem. Lucas opowiedział ci nawet, że planuje zostać rzeźbiarzem? Chyba rzeczywiście starał się jak mógł, co? Silny, milczący, seksowny Lucas Cain postanowił, że musi trochę pogadać, trochę się pozwierzać, żeby zaciągnąć cię do łóżka. To powinno ci pochlebiać, Emmo. Zazwyczaj nie zadaje sobie tyle trudu, bo nie musi.

- To on nie zamierza zostać rzeźbiarzem?

- Ależ tak, zamierza. Widziałam jego prace. Jest utalentowany, Emmo, bardzo, ale to bardzo utalentowany. - Piękna młoda kobieta, która miała w przyszłości zdobyć Oscara za główną rolę żeńską, urwała. Ta pauza była krótka, ale znacząca, stanowiła bowiem dramatyczną zapowiedź kolejnej rewelacji. - Nie przypuszczam, żeby Lucas w trakcie uwodzenia ciebie wspomniał coś o Daphne?

- Daphne?

- Tak też myślałam. Tak się składa, że jest jego narzeczoną, a także moją najlepszą przyjaciółką. Kocha Lucasa, a Lucas kocha ją- na tyle, na ile będzie kochał wszystko to, co nie jest z kamienia. I dzięki Daphne będzie mógł się poświęcić swojej namiętności. Ojciec Daphne robi filmy, co sprawia, że Daphne jest bardzo bogata. Lucas nie będzie musiał robić nic oprócz rzeźbienia całymi dniami - i, oczywiście, kochania się z Daphne, tylko z Daphne. Planują się pobrać w czerwcu, a on obiecał jej wierność po ślubie. Dlatego ta europejska przygoda to jego ostatnia szansa, żeby się wyszumieć, a on, jak widać, w pełni z niej korzysta. Daphne wie, co on robi, chociaż nie zna szczegółów. W swoich listach do niej zawsze piszę, że Lucas wydaje się samotny, i jestem pewna, że jego listy są pełne miłości do niej i Michała Anioła, i nikogo więcej. Co zresztą jest prawdą, Emmo. Przynajmniej to trzeba oddać Lucasowi Cainowi. Może pomija pewne szczegóły - na przykład swoje zaręczyny z Daphne - ale nie kłamie. Nie powiedział ci, że cię kocha, prawda?

Nie... ale przytulał mnie i dotykał w taki sposób...

- Nie - przyznała Emma. - Nie powiedział tego.

- Och, Emmo. Tak mi przykro. Musiałaś się jednak o tym dowiedzieć, prawda? Im prędzej, tym lepiej. Zaliczyłaś noc - weekend - z Lucasem i nigdy nie powinnaś tego żałować. Teraz, kiedy wiesz,

jak fantastyczny może być seks, nie zadowolisz się byle czym. I będziesz też wiedziała, że nie powinno się mylić efektownego seksu z obietnicami miłości.

- Emma?

Wydawało się niemożliwe, żeby była w stanie odczuwać jeszcze większy ból. Ale jego głos, jego uśmiech i te zatroskane zielone oczy sprawiły, że nóż, który przesywał jej serce, wbijał się jeszcze mocniej.

Dlaczego w ogóle Lucas mówił do niej tutaj, w tym pałacyku? Przecież miał z nią skończyć, skoro ją zaliczył, i zająć się jakąś inną dziewczyną.

- Lucas.

- Cześć. Unikasz mnie.

- Przygotowywałam się do końcowych egzaminów.

- Pojedziesz ze mną do Asyżu w ten weekend? Myślałam, że po drodze moglibyśmy się zatrzymać w Perugii, żeby zaopatrzyć się w czekoladę, która nas wzmocni, kiedy będziemy spacerowali po Asyżu. Oprócz katedry chyba byłoby interesująco wspiąć się na górę Subasio. Co na to powiesz?

Tak, zaklinało jej bolejące serce. Powiedz tak. Zresztą, dlaczego miałabyś odmówić? Przecież nie masz nic do stracenia. Już i tak nie możesz się czuć bardziej zraniona. Przecież właśnie po to jest college, Emmo! Żeby doświadczać nowych rzeczy, poznawać nowych ludzi, zakochiwać się.

Rozchmurz się! Jak powiedziała Ashley, po Lucasie nigdy nie zadowolisz się byle kim.

Ale Emma nie była w stanie powiedzieć „tak”. Nie mogła się zgodzić tylko na uprawianie seksu z Lucasem... nie mogła przystać na mniej niż miłość.

- Nie, dziękuję. Myślę, że zostanę tu na weekend.

- W takim razie zostanę z tobą. Będziemy się uczyć razem.

- Nie, dziękuję. - Nie, nie, nie. Zostaw mnie w spokoju! Proszę.

- Powiedz mi, co się stało, Emmo. – Pieścił ją wzrokiem tak samo, jak w Wenecji, jakby rzeczywiście mu na niej zależało, jakby istniało jeszcze więcej magii, którą ten czarownik pragnął jej zademonstrować. - Żałujesz ostatniego weekendu? Czy sprawiłem ci ból? A może krwa...

- Nie. Nie sprawiłeś mi bólu. - Tylko zabiłeś mnie. - Muszę iść, Lucas. Mam się spotkać z Ashley, żeby się z nią uczyć. - Pamiętasz Ashley, prawda, Lucas? Jednąz twoich licznych kochanek, a w dodatku najlepszą przyjaciółkę Daphne?

Lucas nie dawał za wygraną. Jednak Emma nie chciała z nim rozmawiać. Im bardziej naciskał, tym bardziej wydawała się słaba - to osłabienie wzmógł wirus, który wpędził w chorobę połowę studentów w ostatnim tygodniu przed świętami Bożego Narodzenia, ich ostatnim tygodniu we Florencji.

Lucas życzył jej wesołych świąt, Emma zaś wyszeptwała w odpowiedzi „Szczęśliwych świąt”. Obiecał sobie, że porozmawiają w styczniu, kiedy znowu się zobaczą w Cambridge.

Ale Emma nie pojawiła się w Cambridge. Sekretariat uniwersytetu potwierdził, że oficjalnie zrezygnowała z nauki w pozostałej części roku akademickiego. Lucas nie miał jej adresu domowego, ale wiedział, gdzie dziewczyna mieszka - w pensjonacie swoich rodziców, zwanym Hyacinth House, w Kornwalii, zaraz na południe od St. Ives.

Lucas miał w głowie wyrazisty obraz Hyacinth House. Opierając się na pełnym czułości opisie Emmy, spodziewał się uroczego, olśniewającego domku nad morzem, majestatycznej budowli, która z królewską godnością znosi porywiste wiatry i wzburzone fale, podmywające nieregularny kornwalijski brzeg.

Hyacinth House miał zadatki na olśniewającą budowlę. Jednak w swoim obecnym wcieleniu był nieco zaniedbany, zawilgocony i nadszarpnięty zębem czasu, chociaż mimo wszystko gościnny.

Wrażenie Lucasa, że jest to gościnne miejsce, od razu zostałyby zburzone, gdyby wszedł po schodach na wałącą się werandę i zadzwonił do drzwi. Wówczas na spotkanie wyszliby mu Eleanor i Jonathan Lloydowie, a ich powitanie byłoby zdecydowanie chłodne.

Jednak zanim Lucas dotarł do domu, ujrzał Emmę. Pomimo nieprzyjemnej styczniowej pogody stała na nadmorskim klifie, a jej włosy połyskiwały jak złoto w bladym świetle zimowego słońca.

Nie słyszała, jak podchodził. Jego kroki zagłuszał łoskot fal i donośne wycie przenikliwie zimnego wiatru. Kiedy przemówił, był już bardzo blisko niej.

- Emma?

Odwróciła się zbyt szybko. Zawroty głowy, które towarzyszyły jej stale od sześciu tygodni, sprawiły, że organizm musiał zaprotestować.

Zachwiała się, a on podtrzymał ją i badawczo spojrzął w jej ostrożne niebieskie oczy.

- Jesteś w ciąży, tak?

Emma zrobiła krok w tył, wydostając się z jego objęć.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Ma, jeśli nosisz w sobie moje dziecko. A to przecież moje dziecko, prawda?

Karzący wiatr sprawił, że pasma miękkich jak jedwab, złocistych włosów zasłoniły jej oczy. Ale nie zmrużyła powiek.

- Tak, ale to ja ponoszę odpowiedzialność, nie ty. To ja powiedziałam, że możemy się... -.. .Że możemy się kochać. - Naprawdę wierzyłam, że to dni niepłodne, Lucas. Naprawdę byłam wtedy zaraz po miesiączce. Chcę, żebyś to wiedział.

Lucas myślał, że udało mu się przygotować na usłyszenie prawdy, na wytłumaczenie choroby Emmy we Florencji i jej nieobecności w Cambridge. Powiedział sobie nawet, co zrobi, co będzie musiał zrobić, jeśli jego przecucia okażą się prawdą. Ale te założenia były abstrakcją, która dopiero teraz przybrała realny kształt.

Lucas musiał wziąć głęboki oddech, lecz przekonał się, że wdychane powietrze jest zimne jak lód. Wszystko zamarzało. Czuł, jak to się dzieje, czuł, że jego marzenie skuwa lód, lodowiec monsturalnych rozmiarów, który nigdy się nie roztopi.

Jego marzenie zakrzepło jak lód, a za chwilę coś podobnego stanie się z krwią w jego żyłach, i nawet jego serce przestanie bić. Jednak kiedy Lucas patrzył na śliczną, umęczoną twarz dziewczyny, poczuł ciepło topiące lód, a potem usłyszał słowa, własne słowa, wypowiedane tak delikatnie, że z trudem rozpoznał swój głos:

- Wiem, że tak myślałaś, Emmo. Ale ja wiem, wiem od wielu lat, że kobieta może zajść w ciążę dosłownie w każdy dzień cyklu. Wiedziałem o tym, Emmo, chociaż ty być może nie wiedziałaś. Zdecydowałem, że zaryzykuję. Jestem odpowiedzialny, być może bardziej niż ty, i akceptuję tę odpowiedzialność.

- Urodzę to dziecko! - Wygłosivszy to buntownicze oświadczenie, Emma cofnęła się jeszcze dalej i położyła ręce na podbrzuszu, jakby chciała ochronić nienarodzone życie - przed nim. - Urodzę go, będę go wychowywać i kochać.

- Nie proszę cię, żebyś usunęła ciążę, Emmo. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Mówisz: jego?

Emma wzruszyła ramionami, nie cofając rąk z brzucha.

- To chyba jest głupie, ale czuję tak mocno, że to chłopiec. - Że jest twoim synem.

Lucas odwrócił wzrok od jej smaganej wiatrem twarzy i popatrzył na targane wiatrem morze. Emma widziała jego twarz z profilu, surowe oblicze na tle bladego zimowego nieba. Zacisnąwszy zęby, mierzył wzrokiem gwałtownie atakujący wiatr. Czy odpierał także atak od wewnątrz? Zastanawiała się. Czy te mocne mięśnie zmagaly się z gniewnymi słowami, którymi miał ochotę ją asypać?

- Lucas -szepnęła.- Nie musisz...

- Ależ tak, Emmo, muszę. - Jego głos był chrapliwy, szorstki, zniekształcony przez zimowy wiatr. A także własnymi zimowymi wspomnieniami. - Mój ojciec podjął kiedyś takie samo ryzyko, w noc, gdy

zostałem poczęty. Ale nie czułem się odpowiedzialny za dokonany przez siebie wybór. Zniknął, zanim przyszedłem na świat, zostawiając moją matkę z dzieckiem, którego nie chciała - zwłaszcza że to dziecko tak bardzo jej go przypominało.

- Przykro mi, Lucas. Musiało ci być strasznie ciężko.

Patrzył na morze, przyjmując na siebie całą siłę wyjącego wiatru. Emma zauważyła jednak seksowny półuśmiech na jego wargach.

- Nie było aż tak źle. Nie miałem nic przeciwko samotności. Nawet mi się to podobało. Moja matka twierdziła, że tę cechę również odziedziczyłem po nim. - On był samotnikiem, Lucasie. Aroganckim egoistą, kompletnie niezdolnym do miłości. A ty jesteś dokładnie taki jak on.

Emma patrzyła, jak znika jego seksowny uśmiech, a wargi, które kiedyś pieściły ją tak czule, zaciskają się w ponurym grymasie.

- Ale nauczyłem się czegoś w swoim dzieciństwie, Emmo. Syn potrzebuje ojca. - Lucas odwrócił się od morza i spojrzał na nią. Był jak to morze: spustoszony, lodowaty i wzburzony. - W każdym razie mój syn go potrzebuje.

Ale on jest także moim synem! Jak mogę bez niego żyć? Serce Emmy podsunęło błyskawiczną, pozbawioną wątpliwości odpowiedź. Ponieważ ponad wszystko ubóstwiasz Lucasa.

- To weź go sobie - powiedziała tak cicho, że wiatr porwał ze sobą jej słowa.

- Co powiedziałaś?

- Weź go. Ty i Daphne będziecie małżeństwem do czasu, kiedy on się urodzi...

- Kim, u diabła, jest Daphne?

- Wszystko o niej wiem, Lucas. Ona jest twoją narzeczoną.

- Nie znam żadnej Daphne, Emmo. Ale na pewno wiem, że nie mam żadnej narzeczonej. Pozwól, że zgadnę - rzekł z lodowatym spokojem. - Ash za tym stoi, prawda? To ona opowiedziała ci o tej nieistniejącej Daphne?

- Tak.

- To ona jest Daphne, Emmo, albo chce nią być. Chodziliśmy ze sobą parę lat temu. Nie ułożyło się, przynajmniej jeśli o mnie chodziło. Ashley chciała więcej, niż ja chciałem dać. Ale pozostaliśmy przyjaciółmi - w każdym razie tak sądziłem. Co jeszcze ci powiedziała?

Emma zareagowała wzruszeniem ramion. To jednak nie była wystarczająca odpowiedź. Czarodziej chciał całej prawdy.

- Co jeszcze, Emmo?

- Hm, powiedziała, że twoją jedyną miłością, jedyną prawdziwą n-miętnością jest sztuka i posągi, które zamierzasz wyrzeźbić.

- To prawda. - W jego cichym wyznaniu zabrzmiała przepraszająca nuta. - Właśnie taką osobą jestem. - Mężczyzną, który nigdy się nie zakocha. - Ale jestem jeszcze kimś innym. Teraz. Jestem ojcem. I chcę być dobrym ojcem, Emmo. Chcę dać mojemu synowi dom, w którym będzie się czuł bezpiecznie, gdzie będzie chciany i kochany przez swoich rodziców. - Jego wzrok spoczął na bledych rękach, które wciąż zaśnaniały podbrzusze, a potem powrócił do twarzy dziewczyny. - Ty go chcesz, prawda?

Skinęła głową. Wyglądało to jak powolny taniec błyszczącego złota w blednących promieniach zimowego słońca.

- To wyjdź za mnie. Pomóż mi go kochać. Będę potrzebował twojej pomocy.

Ale ty jesteś koneserem seksu, czarodziejem rozkoszy, czarnoksiężnikiem magii, a ja jestem tylko Emmą.

- Co, Emmo? Powiedz mi, nad czym rozmyślasz.

- Że będziesz chciał innych kobiet i że to będzie bardzo trudne dla mnie.

- Innych kobiet? Ach, rozumiem. To kolejne użyteczne informacje od Ash, prawda? Miałem kochanki, Emmo, nie będę zaprzeczał. Stało się, było to dla mnie przyjemne. I nigdy nie było istotnego powodu, by się opierać.

- Spałeś... chyba prawie z każdą dziewczyną w grupie.

Lucas zaklął, wreszcie dając upust nieokiełznanej furii. Emma obserwowała jak urzeczona to rozszalałe piekło, które niebawem zostało jednak przezwyciężone jego leniwym, seksownym, złośliwym uśmiechem.

- Może po prostu będę musiał zabić panią Ashley Alexander.

- Ależ Lucas, przecież widać, że jej tak bardzo na tobie zależy!

- Nie, Emmo. Ashley zależy na Ashley. Ona ma w zwyczaju zdobywać to, czego chce, bez względu na to, kto i co stanie jej na drodze.

Zupełnie jak Lucas Cain, pomyślał. Zupełnie tak jak mężczyzna, który nigdy nie pozwalał, aby cokolwiek - a zwłaszcza ktokolwiek - mogło mu przeszkodzić w realizacji marzeń. Zawsze był taki ostrożny. Aż do Wenecji. A teraz? Teraz jego marzenie zostało unicestwione, zniszczone za sprawą jego pożądania.

Lucas odwrócił się od Emmy i spoglądał na linię widnokregu daleko za marszczącymi się falami, gdzie słońce, ta błyszcząca kula czystego złota, powoli spadało w zimne, ciemne morze. Ta ognista

gwiazda miała utonąć, pogrzyźć się w wodnym grobie, tak jak jego własne złociste marzenie. ... i wszystkie wspaniałe słowa, które kiedyś określały jego życie.

Marmur. Dłuto. Rzeźba. Kamień. Jakże Lucas uwielbiał te słowa, ich dźwięk, sposób, w jaki smakowały jego wargom i sercu. Ale teraz powoli znikwały, spadały w zimowe morze, gdzie traciły oddech, dusiły się i tonęły; i gdy słońce nieodwołalnie zegnało się i traciło swoją złocistą wspaniałość, bezbarwny zmierzch zaczęły wypełniać nowe słowa.

Odpowiedzialność. Zaangażowanie. Ojciec. Syn. Te słowa nie miały przedtem nic wspólnego z Lucasem Cainem, z jego namiętnością, z jego duszą. Były słowami zniechęconymi i przerażającymi, a teraz znowu mroziły mu krew w żyłach. Jak mógł to zrobić? Jak mógł spędzić resztę życia bez jedynej rzeczy, która kiedykolwiek miała znaczenie?

Nie mógł. Ale musiał.

Odpowiedzialność. Zaangażowanie. Ojciec.

Syn. Słońce. Złocista gwiazda była już teraz tylko wspomnieniem. Jego marzenie było wspomnieniem. A nieograniczone obietnice na horyzoncie już nie były jego udziałem. Istniał tylko nagi szary zmierzch, przenikliwy zimowy wiatr i ona.

Ona. Kobieta, która nosiła w łonie jego dziecko i która pragnęła tego dziecka tak bardzo, a jednocześnie była gotowa oddać swego ukochanego syna Lucasowi, ze względu na Lucasa.

Przestał myśleć o utraconym horyzoncie. Odwrócił się do dziewczyny i w cieniach zmierzchu dostrzegł jej lęk. Ona również była przerażona. Jej życie również uległo nieodwracalnej zmianie.

Jesteśmy w tym razem, ona i ja. Jako ojciec, jako matka, jako mąż i żona.

Lód, który ścinał mu żyły, zaczynał topnieć, jak gdyby ona była gorejącym słońcem, dającym mu ciepło i zaklinającym go, by poszedł za jej światłem ku zupełnie nowemu - i może wspaniałemu - horyzontowi.

- Od ostatniego lata, od czasu przed Florencją, nie kochałem się z nikim oprócz ciebie, Emmo. Przyjechałem do Europy, żeby obejrzeć dzieła mistrzów. Była to samotna wyprawa i nawet nie wyobrażałem sobie, że będę ją dzielić z kimkolwiek. Ale chciałem ją dzielić z tobą i to sprawiło, że była jeszcze lepsza. A jeśli chodzi o to, co zaszło w Wenecji, ja również tego chciałem, Emmo. Chciałem się z tobą kochać. Myślę, że wiesz, jak bardzo.

- Lucas...

- Jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, zawsze będę ci wierny. Obiecuję. Łatwo to obiecać i tej obietnicy dotrzymać, Emmo. - Bardzo łatwo, pomyślał patrząc na dziewczynę. To była zdumiewająca myśl, zdumiewająca świadomość. - Musimy być wobec siebie uczciwi. Zawsze. Chcę się z tobą ożenić, wspólnie wychowywać naszego syna. Taka jest prawda. Ale muszę wiedzieć, czego ty chcesz. Czego naprawdę chcesz.

Czego chciała naprawdę. Chciała za niego wyjść, za mężczyznę, którego kochała... za mężczyznę, który nigdy nie kochał nikogo tak bardzo, jak kamień, którego dotykał mocnymi, utalentowanymi rękami.

- Ale co z twoją sztuką, Lucasio? Z tymi wspaniałymi posągami, które masz zamiar wyrzeźbić?

- Najważniejsze jest dziecko, Emmo. Liczy się przede wszystkim nasz syn. Znajdę jakąś pracę, stałe źródło dochodu. - Jego uśmiech był skrzywiony, a głos nieco przekorny. - Czemu się tak martwisz? Przecież jestem prawie absolwentem college'u. Powinno się coś dla mnie znaleźć.

- Nie o to się martwiłam. - Ona również się uśmiechnęła, ale w jej uśmiechu nie było ani śladu przekory. - Kiedy dziecko podrośnie, pójdę do pracy i wtedy będziesz mógł rze...

- Do tego nie dojdzie, Emmo. Nie taki scenariusz. Później będziemy go szczegółowo rozpisywać. Na razie najważniejsze pytanie brzmi: czy wyjdiesz za mnie?

Lucas nie kochał jej. To Emma wiedziała. Ale lubił z nią przebywać, dzielić się z nią, kochać się z nią. Będzie uczciwy i wiemy. A ona miała w sobie dość miłości dla obu mężczyzn.

- Tak-wyszeptwała.- Wyjdę za ciebie.

Eleanor i Jonathan Lloydowie nie przyjęli entuzjastycznie wieści o bliskim ślubie córki. Jeszcze przed poznaniem Lucasa Caina serdecznie zniechęcili mężczyznę, który tak pospolicie wykorzystał ich niewinną córkę. A kiedy Lucas stanął przed nimi w zatęchłym saloniku, Eleanor i Jonathan byli ciężko przerażeni.

On był całkowicie nieodpowiedni dla ich ukochanej córki. Dla rodziców Emma była delikatnym kwiatkiem o oryginalnej, chociaż nie rzucającej się w oczy urodzie. Nie była olśniewająca, nie oszałamiała. Po prostu była ładna. I aż nazbyt tradycyjna, zbyt pogodna dla tego niebezpiecznie przystojnego i niebezpiecznie seksownego Amerykanina.

Lucas był nieodpowiedni dla Emmy, dla każdej kobiety, która miała nadzieję na kochającego ojca dla swojego dziecka albo na wiernego męża dla samej siebie.

Nic dobrego z tego nie będzie.

Eleanor i Jonathan pragnęli szczęścia dla swojej najdroższej córki. A ponieważ nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Lucas Cain nie zaoferuje jej szczęścia, przyrzekli sobie, że kiedy to małżeństwo się rozpadnie, złagodzą ten cios dając jej jeszcze więcej miłości. Z myślą o takim rozwoju wypadków zaproponowali, żeby nowożeńcy zamieszkali z nimi w Hyacinth House - w skrytości ducha liczyli, że ta oferta sprawi, iż Lucas natychmiast weźmie nogi za pas. Nie pasował do sielankowego, spokojnego otoczenia w Kornwalii tak samo, jak nie pasował do Emmy. Jego miejsce było gdzie indziej, w żyjącym w szybkim tempie świecie wyrafinowania, zmysłowości, seksu.

Ale pomysł zamieszkania w Hyacinth House przypadł ich przyszłemu zięciowi do gustu, nawet kiedy dowiedział się, że będzie musiał zamieszkać wraz z Emmą i dzieckiem w domku ogrodnika, a w dodatku dochód z obskurnego pensjonatu jest tak skromny, iż z trudem wystarczy na utrzymanie całej rodziny.

Lucas nie wziął nóg za pas. Wręcz zdumiał ich własną propozycją. Czy pozwoliliby mu odnowić ich dom? Miał doświadczenie, przez kilka lat w porze letniej pracował dla człowieka, który remontował domy w Kalifornii, a przecież gdyby mieli kilka dodatkowych pokoi sypialnych, świeżo pomalowane ściany i parę przerbek tu i ówdzie, może interes zacząłby się lepiej kręcić, nieprawdaż?

Lucas przedstawił tę propozycję tonem powagi, a nie zuchwale, arogancko, czego Lloydowie się po nim spodziewali. Właściwie Eleanor i Jonathan nie potrafili rozgryźć Lucasa. Wyobrażali sobie, że jest uwodzicielem, oszustem, bawidamkiem składającym rozrzutne obietnice, których nie zamierza dotrzymać.

Ale stojący przed nimi młody człowiek wcale nie był taki. A może był? Czy ta surowa powaga mogła być jednak największym oszustwem, najbardziej mistrzowską formą uwodzenia?

Eleanor i Jonathan nie wiedzieli. Uznali jednak, że muszą się przekonać, czy to prawda, i nalegali, aby Lucas ukończył rok akademicki w Cambridge. Do czerwca uzyskałby dyplom, istotny atut na wypadek, gdyby wraz z Emmą postanowili zrezygnować ze staroświeckiego uroku Kornwalii na rzecz nowoczesnego wyrafinowania Londynu czy nawet Stanów Zjednoczonych.

Eleanor i Jonathan założyli, że któregoś wiosennego dnia Lucas czmychnie, i to nawet po ceremonii ślubnej. Jednak on ułożył sobie rozkład zajęć tak, by wypełniać zobowiązania w Kornwalii. Przynajmniej trzy dni tygodnia spędzał w Hyacinth House, gdzie zawzięcie pracował młotkiem, kładł tynki i przerabiał ogromne, zatęchłe przestrzenie w luksusowe sypialnie. I zaraz po ukończeniu studiów pomagał im prowadzić nadmorski pensjonat, który wyglądał teraz świetnie i zdobywał sobie wielu nowych klientów.

Czy ufali mu? Niezupełnie. Na pewno wyjedzie przed narodzinami dziecka.

Jednak te przewidywania opierały się na niepełnych informacjach, na prawdzie, której nie znali ani Eleanor, ani Jonathan Lloyd, ani nikt inny, nawet Lucas, aż do momentu, kiedy omal nie było za późno... aż do nocy, podczas której Emma urodziła swoje dziecko... aż do nocy, podczas której sama omal nie umarła.

Jaka była ta prawda? Lucas Cain, który nigdy nie zamierzał się zakochać, zakochał się w swojej młodej ciężarnej żonie. Wydawało się to całkowicie niemożliwe, zwłaszcza że przez wiele miesięcy Emma była tak strasznie chora. Zaniepokojeni lekarze kazali jej leżeć w łóżku. Przez większość czasu kręciło jej się w głowie od lekarstw, które miały obniżyć ciśnienie do bezpieczniejszego poziomu, zaś jej ciało, tak niegdyś delikatne, było opuchnięte.

Emma odczuwała zakłopotanie swoim wyglądem. Jednak dla Lucasa wyglądała wspaniale, olśniewała go bardziej niż kiedykolwiek, promieniała pięknem swojej duszy, tym azyłem miłości, który oddawał każdą cząstkę jaźni nienarodzonemu dziecku.

Lucas był artystą. Znał prawdziwe piękno.

A jako mężczyzna Lucas poznał prawdziwą miłość w pewną sierpniową noc, kiedy Emma obudziła się z panicznym przerażeniem, albowiem ich łóżko było zalane krwią...

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, Em.

- Jakiej rocznicy, Luc?

- To nie wiesz?

Naturalnie, że wiedziała. Rok temu, w wilgotnym, ale urokliwym Mieście Kanałów pierwszy raz kochała się z Lucasem.

- Tak, wiem.

- Pomyślałem, że to dzisiaj, a nie czternastego lutego, powinniśmy obchodzić naszą rocznicę. Ze względu na Jessie.

- Ja też tak uważam.

- Dobrze. Wobec tego każę wyrycić tę datę na naszych obrączkach.

- Na naszych obrączkach?

- Chyba już pora, nie sądzisz? Twoje palce nie są już opuchnięte, a zważywszy na sukces ostatniego lata, z pewnością możemy sobie pozwolić na ślubne obrączki. Twoi rodzice zgadzają się.

Jej rodzice. Jak bardzo zmienił się pogląd Eleanor i Jonathana na temat Lucasa! Oczywiście Emma wiedziała o ich sceptycyzmie. Wprawdzie wydawało im się, że sprytnie go kamuflują, ale ich zatroskanie było widać jak na dłoni. Ale jeszcze zanim zobaczyli, jak Lucas przytula ich wnuczkę czułym gestem, który wzruszył ich do łez, Eleanor i Jonathan przestali się zamartwiać swoim zięciem.

A Emma? Kochała Lucasa jak nigdy dotąd. I bardziej się niepokoiła. Jej ciąża była trudna i przerażająca. Bała się, że utraci i dziecko, i jego. Nie mogła się kochać z Lucasem. Lekarze odradzali współżycie. Zresztą Lucas i tak nie nalegał.

Ale dotykał jej podczas tych niekończących się miesięcy, kiedy wyglądała jak gruby, obrzmiały kloc. Delikatnie całował jej policzki i niewinnie pieścił na powitanie i pożegnanie, na dzień dobry i dobranoc. Jego ręce, utalentowane ręce, dotykały z niewysłowioną czułością rozdętego brzucha Emmy, a ciemnozielone oczy błyszczały z zachwytu, ilekroć czuł lekkie kopnięcie, wymowną oznakę życia syna, który okazał się córką.

Emma nie pamiętała momentu narodzin Jessie. Pamiętała strach przed tym wydarzeniem - gorącą, obfitą strugę swojej własnej krwi i przelotną świadomość, iż umrze, i jeszcze lęk, który Lucas tak bardzo starał się przed nią ukryć. Emma zapamiętała także późniejszą radość, kiedy Lucas kołysał w ramionach ją i ich nowo narodzoną córeczkę i szeptał łagodnie, ochryplym głosem: „Kocham was”.

Emma nie wątpiła w te słowa. Była matką ich najdroższego skarbu. Lucas zawsze będzie ją za to kochał.

Teraz był listopad. Minęły cztery miesiące od narodzin Jessie, cztery miesiące miłości dla ich córeczki. Na zmianę przytulali ją, pocieszali, całowali mięciutkie, jedwabiste, kruczoczarne i lśniące włoski i gładkie jak atlas, pulchne, różowe policzki. A kiedy nadchodziła pora, kiedy Jessica Cain musiała napełnić swój brzusek pożywным mlekiem matki, Lucas robił tyle, ile mógł jako ojciec: wstawał z łóżka w środku nocy, przynosił ją do piersi Emmy, patrzył na cud natury, a potem zanosił Jessie z powrotem do kołyski, kiedy cud karmienia dobiegał końca.

Emma i Lucas pobrali się dla swojego dziecka, ze względu na nie. A co było z innymi płaszczyznami małżeństwa, z intymnymi chwilami między mężem i żoną? Te chwile nie istniały. Nie kochali się od czasu Wenecji. Nie kochali się od roku.

Lucas obiecywał, że będzie wierny. Ale czy rzeczywiście zamierzał żyć w celibacie?

Nie, ponieważ teraz, w pierwszą rocznicę nocy, podczas której połączyli się w jedno, jego ciemnozielone oczy błyszczały z pożądania.

- Jak to uczymy, Emmo?

Emma zobaczyła jego pożądanie i to ośmieliło ją.

- Kochając się.

- Jesteś pewna, Em? Wszystko w porządku? Jesteś wyleczona?

- Tak.

Tak. Zanim zaczęli się kochać, nie była wyleczona, naprawdę wyleczona. Ale Lucas uleczył ją... czułą namiętnością i delikatnością swej miłości.

- Ziemia do Emmy.

Powiedział to ściszym, roześmianym głosem, jak gdyby byli w bibliotece, a nie w galerii Duveen w British Museum. Emma odwróciła się od kawałka marmuru, na który patrzyła niewidzącym wzrokiem od dłuższego czasu, i spojrzała na Lucasa.

- Buon giorno - powitał ją Lucas, jakby wiedział, gdzie przebywała. Potem, jak to zawsze robił z tą niewinną dziewiętnastolatka, której brakowało odwagi, by powiedzieć „r” z wysuniętym językiem, poprawił się. -Cześć, Emmo. O czym myślałaś?

- Tysiąc myśli.

- Szczęśliwych. Nie chciałem przeszkodzić. Ale jeśli mamy zdążyć na koncert Cole'a Taylora-i wystroić się na tę okazję-lepiej chodźmy już.

- Dobrze.

- Zechciałabyś podzielić się jedną z tysiąca myśli, zanim pójdziemy?

Tysiąc myśli. Ale tak naprawdę tylko jedna: jak bardzo go kochała. Wtedy. Teraz. Zawsze. Z każdym dniem coraz bardziej.

- Po prostu myślałam sobie... o wszystkim.

Lucas uśmiechnął się, przyciągnął do siebie i, ocierając wargi o jej złociste, miękkie jak jedwab włosy, szepnął:

- W takim razie cieszę się, że wszystko tak świetnie się układa.

23

Royal Albert Hall Sylwester

- No proszę, Claire. Idealnie - powiedziała Sydney pogodnym głosem. - Oczywiście, jak na rzeczywisty świat, masz przesadny makijaż, ale na scenę, na twój debiut koncertowy, jest go w sam raz.

- Dziękuję, Sydney. Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Sydney przerwała na moment. - A co zrobimy po koncercie, Claire? Będziesz chciała zmyć to wszystko z siebie, ale czy zgodzisz się, żebym cię umalowała na przyjęcie? Nie potrzebujesz dużo, twoja cera jest fantastyczna, ale przydałoby się trochę tuszu, szminki, może szczypta rózu?

- Och, to byłoby... - Claire zmarszczyła brwi. - Planowałam wrócić do hotelu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Cole powiedział, że przebierze się w smoking, a ja mam suknię wieczorową. - Claire nachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Nie martw się, Claire! Ja też zamierzam zdjąć swoje koncertowe ciuchy. Mogłabym mieć na sobie obciste skórzane spodnie i aksamitną kamizelkę bez rękawów z okazji kolejnego bankietu - szczerze mówiąc, miałabym na to ochotę - ale gospodarzem tej gali jest mój szef. Stosowny ubiór to dla Timothy'ego Asquitha rzecz najważniejsza. On ma strasznie wielkopańskie manieri, nie wiesz o tym? - Sydney zaczęła bezbłędnie imitować akcent wyższych sfer. Potem znowu mówiła jak typowa mieszkanka Kalifornii. - Tak czy siak, będę miała na sobie niewiarygodnie stonowaną i odpowiednią suknię wieczorową, i z wielką przyjemnością wpadnę do ciebie do pokoju, kiedy się przebiorę. Możemy zrobić wielkie wejście razem.

- Wielkie wejście - Cole powtórzył słowa Sydney.

Stał w otwartych drzwiach jasno oświetlonej garderoby, jak wielki cień, i spoglądał na odbicie ujrzone w lustrze, mierzył je nieprzyjemnym wzrokiem. Cole nigdy nie widział Claire umalowanej, i chociaż makijaż został wykonany fachowo i znakomicie pasował do scenicznego występu, nie podobał mu się. Nie należało dodawać farby do obrazu, który już był idealny.

- Na przyjęcie Timothy'ego - uściśliła Sydney. - Zamierzam pomóc Claire zrobić makijaż i przyjdziemy razem. Kiedy się pojawimy, oczekuję wstrzymania oddechów i szoku.

Na umalowanej twarzy Claire pojawił się pełen wdzięczności uśmiech. Wcześniej doszła do małodusznego wniosku, że sławna Elle Syd nie będzie sojusznikiem. Ta konkluzja została oparta na artykułach przeczytanych jej przez ciotkę Augustę, a także na doniesieniach Entertainment Tonight i MTV.

Sydney była wolnym duchem, olśniewającym, zuchwałym, dzikim: wirującym derwiszem, który potrafił zostawić ślepią kobietę w obłoku kurzu i którego zdumiewające ametystowe oczy mogły zabłysnąć ze zniecierpliwienia - i zakłopotania - na widok ograniczeń Claire.

Ale Sydney była uprzedzająco miła i wcale nie okazywała niezdarności. Pomagała, ale nie narzucała się.

- Ty nie potrzebujesz makijażu, Claire.

Claire usłyszała te słowa po raz drugi w ciągu tego ostatniego dnia roku. Przed paroma godzinami wypowiedziała je Sarah. „Chętnie bym ci pomogła zrobić makijaż na przyjęcie Timothy'ego”, powiedziała. Dodała jednak: „Twoja cera jest tak rumiana, Claire, tak promieniejąca życiem, że w ogóle nie potrzebujesz makijażu”.

Teraz to samo oświadczenie padło z ust Cole'a, i było surowe, gdyż potwierdzało nie wewnętrzną pogodę ducha Claire, lecz fakt, że mieszkała w nie dającym się przezwyciężyć mroku.

Jaki to ma sens, zdawała się pytać surowość. Po co przyozdabiać oczy, które nie widzą? Po co przyciągać uwagę do tej ślepoty? I jaka była przyszłość takiego nierozumnego czynu? Przecież Claire nigdy nie będzie potrafiła zrobić sobie dobrego makijaż, prawda? Czy taki wysiłek nie będzie nieustannym źródłem zakłopotania, na przykład z powodu rozmazanego tuszu do rzęs czy szminki?

W garderobie zapadła cisza, potęgująca napiętą atmosferę. Claire domyślała się, całkiem słusznie, że Sydney i Cole w milczeniu mierzą się wzrokiem. Olśniewająca perkusistka zespołu Amethyst patrzyła groźnie na wykonawcę piosenek o miłości, rozwścieczona gruboskórnością jego uwagi, i domagała się, żeby przeprosił Claire.

Czy Sydney przeważą? Czy była w stanie zmusić go do tego?

Najwyraźniej nie, ponieważ następne słowa, które zostały wypowiedziane - z wymuszoną wesołością - padły z ust Syd.

- No cóż, zostawiam was, dzieciaki, sam na sam. Muszę sprawdzić sprzęt, a wy macie duety do przećwiczenia. - Palce, które zręcznie wykonały makijaż Claire, teraz ścisnęły jej ramię. - Nie mogę się doczekać, Claire, kiedy zaśpiewasz. Wiem, że będziesz po prostu fantastyczna.

Cały czas tylko cię ranie. Teraz również sprawił jej ból, zniszczył jej pewność siebie, przytłumił promieniejący z niej blask.

- Przepraszam - powiedział, przysuwając się do niej. - Źle zrozumiałaś to, co miałem na myśli. Wyglądasz wspaniale bez makijażu. W ogóle go nie potrzebujesz. Ale jeśli chcesz go mieć, to też w porządku. Rób, jak chcesz, Claire.

Och, Cole. Przecież ja nie mogę mieć tego, czego chcę.

Claire wzięła oddech. Jej rozdygotane serce rozpaczliwie potrzebowało tlenu, a ona sama potrzebowała czasu, by odnaleźć głos, który zabrzmiałby pogodnie i spokojnie.

Ale w garderobie Royal Albert Hall nie było tlenu. Każdy kolejny nerwowy oddech sprawiał, że brakowało jej powietrza. Serce, które już szalało, biło coraz szybciej. Claire miała zawroty głowy i gdzieś w głębi swego jestestwa doznawała osobliwego i złowieszczonego uczucia. Było to przecucie klęski. Trudno było je opisać w inny sposób, a opis pozwolił jej zdać sobie sprawę, co odczuwa.

Miała atak paniki. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczała, ale rozpoznała objawy, gdyż słyszała o atakach paniki w telewizyjnych talk-show. Większość tematów poruszanych w takich programach nie dotyczyła Claire. Interesowała się nimi jednak, chętnie przeżywając liczne przygody i niebezpieczne sytuacje, których nigdy nie miała zaznać osobiście.

- Dwa lata temu Oprah - a zatem również ciotka Augusta i Claire - spędziła godzinę z pisarzem, który święcie wierzył w to, że kobiety są najbardziej pewne siebie, najbardziej odważne, zuchwałe i wyzwolone w latach dziewczęcych. Nie odczuwają wtedy lęku, a ich marzenia nie znają granic. Ale kiedy te swobodne dziewczęta stają się kobietami, ich zuchwała pewność siebie i szczytne

marzenia zaczynają być ograniczane i kształtowane przez oczekiwania skrupowanego społeczeństwa.

Śmiałe marzenia Claire zostały ograniczone w bardzo zdecydowany sposób. Jednak nie za sprawą społeczeństwa, tylko losu. Za sprawą Cole'a. Mimo wszystko pod jednym względem ten pisarz miał rację. Był kiedyś taki czas, kiedy Claire była bezgranicznie pewna siebie, a jej marzenia nie znały granic. To był czas, kiedy była dziewczyną, tamte cudowne dni opromienione słońcem, kiedy śpiewała z Cole'em nad zatoką.

Ten odcinek show Oprah bez wątpienia dotyczył Claire, a były jeszcze inne: show poświęcone związkom, nieodwzajemnionej miłości i zagrożeniom dla tych, którzy kochają zbyt mocno, a także programy ujawniające ogromny wpływ dzieciństwa na zachowanie w życiu dorosłym. Synowie ojców stosujących przemoc bywali brutalni w stosunku do swoich bliskich znacznie częściej, niż ci, którzy wychowywali się w domach bez przemocy. To prawdopodobieństwo w ich przypadku wzrastało wielokrotnie...

Ale nie Cole, zaprotestowała Claire, wysłuchując wstrząsająco ponurych statystyk. Nie Cole. Nigdy Cole. Bez względu na to, co on myśli na ten temat.

Claire wysłuchiwała ze współczuciem historii ludzi dręczonych różnymi formami paniki, chociaż nie do końca je rozumiała. Były to wyznania aktorów i aktorek, którzy doświadczali panicznego lęku za każdym razem, kiedy musieli grać. Zdarzali się też zwyczajni ludzie, którzy przyznawali się do paraliżującego strachu przed ciemnością nocy albo jasnością dnia, albo zwróceniem się do komitetu rodzicielskiego, albo pójściem do sklepu spożywczego, albo, w przypadku agorafobii, nawet przed wyjściem z domu.

Claire znała „przecucie klęski”, gorączkowe oddechy tych, którym brakowało powietrza i którzy wydychali tylko strach, ale nigdy nie wyobrażała sobie, że ona sama doświadczy tego uczucia. Dotychczas nawet pomimo ślepoty nie czuła się jak w więzieniu. Teraz było inaczej.

- Claire?

Był blisko niej. Wydawało się, że klęka na podłodze przed nią. Claire czuła tłący się w nim żar, czuła, że jego szare oczy badawczo lustrują jej teatralnie umalowaną twarz.

Potem dotykał jej, kołysał jej dłonie w swoich rękach, a ona czuła te ręce: jedna była taka silna, druga zaś delikatna, niesprawna na skutek przemocy.

- Claire. Co się stało? Powiedz mi.

- Nie mogę śpiewać. - Claire zmarszczyła brwi słysząc własne słowa. Powinna była zbyć całą sprawę wzruszeniem ramion, spróbować się uśmiechnąć i zdobyć na wyznanie: „Ja... nie mogę oddychać. To głupie, prawda? To nie jest atak paniki... niezupełnie... po prostu odrobina paniki”.

Ale zamiast tego, jednym pozbawionym powietrza tchem, powiedziała mu, że nie jest w stanie śpiewać. I to było prawdą. Nie mogła. Nie dzisiejszego wieczoru. Być może w ogóle już nie będzie w stanie.

Ale przecież po to tutaj jestem. Żeby śpiewać w duecie z Cole'em.

Nie - to niezupełnie tak. Jesteś tutaj po to, by odnaleźć brata Cole'a, pamiętasz? Tu chodzi o Cole'a, nie o ciebie, a teraz musisz wziąć się w garść. Dla niego.

- W porządku - powiedział Cole. - Nic nie szkodzi, Claire. Nie musisz śpiewać dzisiejszego wieczoru.

- Czuję się... głupio. - Głupio. Ale też nagle poczuła się spokojniejsza. Ze względu na Cole'a. Zdobyła się nawet na niepewny uśmiech. - To chyba trema.

Jakże Cole pragnął, żeby to była prawda, żeby w grę wchodził tylko zrozumiały lęk przed występem w Royal Albert Hall. Ale Cole wiedział, że strach Claire wcale nie dotyczy tylko widma sceny. Widział jej przerażenie i wiedział, że to on jest przyczyną.

Co ja ci zrobiłem, Claire? Zabrałem cię ze świata ciemności, który wcale cienie przerażał, i sprowadziłem cię tutaj, żebyś była ze mną, a teraz jesteś przerażona. I tak zatroskana, że łatwo domyśleć się przyczyny.

- Trema - zgodził się łagodnie. - To nie jest niczym zaskakującym, Claire. Naprawdę nie.

- No cóż. - Wzruszyła ramionami. - Dziękuję. Zastanawiam się, czy powinnam wracać do hotelu. Czuję się trochę zmęczona. Przypuszczam, że to z powodu zmiany czasu. Chciałabym trochę dojść do siebie przed przyjęciem. - Teraz ledwo oddycham i obawiam się, że przecucie kłęski znowu mnie dopadnie, i to ze zdwojoną siłą, kiedy usłyszę, jak śpiewasz Wyobraź sobie światło księżycy.

Tak naprawdę pragnęła wrócić do domu, do Harlanville, do tego bezpiecznego miejsca, gdzie mogła wziąć w dłonie szklaną kulę i marzyć, pamiętać, udawać.

Nie, rozkazał jakiś głos. Był to głos oporu i brzmiał tak, jakby należał do ośmioletniej dziewczynki o niezłomnej odwadze. Wrócisz do swojego pokoju w hotelu Drake, nigdzie indziej, a potem będziesz stała pod prysznicem, aż upewnisz się, że starłaś z twarzy cały makijaż, następnie zaś skoncentrujesz się na pamiętaniu tylko o jednej rzeczy. Tu nie chodzi o ciebie. Chodzi o Cole'a. O jego brata. O tamto marzenie.

- Czy tak będzie dla ciebie dobrze, Cole?

- Oczywiście. Zabiorę cię tam.

- Nie. Gdybyś mógł tylko kazać komuś przywołać taksówkę, to ja bez trudu przejdę z holu do swojego pokoju.

Ostre światło reflektorów padało na niego jak gorące słońce Luizjany, nieosłonięte cieniutką kotarą mchu i liści. Parzące. Palące. Karzące. Oślepiające.

Przez tę jasność Cole nie widział skrytego w ciemności teatru, wypełnionego po brzegi publicznością, która przyszła wysłuchać jego miłosnych piosenek. W tej jasności, w tym oślepiającym świetle, Cole widział tylko obraz lęku, strachu, przerażenia - z trudem oddychającego anioła o niewidzących, oszołomionych błękitnych oczach.

Claire nie była w stanie zaśpiewać. Nie dzisiaj wieczoru. Nie z nim.

On też nie był w stanie zaśpiewać. Nie dzisiaj wieczoru. Nie w sytuacji, gdy jej przy nim nie było.

Och tak, poruszał wargami i z jego mocnego gardła wydobywał się jakiś dźwięk. Ale ten występ mógł być w najlepszym razie przeciętny. Ta myśl była nieokreślona, nie wywoływała u niego emocji.

Jego muzyka nie liczyła się. Nic się nie liczyło. Z wyjątkiem Claire.

A trwoga, którą poczuł, to niesamowite, złowieszcze przeczucie zagłady? Było dla niego, zasłużył na nie. On również doświadczał czegoś w rodzaju tremy, bardzo osobistego lęku, bolesnego wrażenia, iż przeznaczone mu jest śpiewać w pojedynkę, na zawsze... i że będzie się do tego zmuszał, że będzie to gorsza kara niż nawet najbardziej piekące słońce, że w ten sposób zawsze będzie pamiętał, iż nawet gdy próbował dać swojemu aniołowi marzenie, sprawił jej jedynie wielki ból.

Takie było jego przeznaczenie, jego kara. Udręczona samotność na scenie i rozdzierająca pustka w jego samotnym głosie.

Cole Taylor nie zaśpiewał Wyobraź sobie światło księżycy tamtego sylwestra w Royal Albert Hall. Jednak pominięcie tego utworu nie miało znaczenia. Nikt tego nie zauważył. Nikt nie odczuł jego braku. Publiczność otrzymała pełnowartościowy spektakl, nawet bez tej słynnej piosenki. Co więcej, była świadkiem najlepszego występu w solowej karierze Cole'a a Taylora.

Jednak nikt z publiczności, nawet sam Cole, nie zdawał sobie sprawy, że wcale nie był to solowy występ. W sercu Cole'a i w głosie, który urzekał i czarował, każdy utwór o namiętności - o tęsknocie i miłości - był jak duet śpiewany wraz z Claire.

- Hm, przypomnij sobie bal kostiumowy, gdzie miała na sobie tę samą suknię, którą nosiła Rebecca? I jaki wściekły był Max, kiedy ją zobaczył?

- Tak, pamiętam. Ale Cole nie był zły, że nie zaśpiewałaś z nim dzisiejszego wieczoru, Claire.

- Wiem. Chyba porównuję jak głupio się czuła, i jak ja się czuję. Spanikowałam, Sarah. Nie mogłam mówić, nie mogłam oddychać, nie byłabym w stanie zapamiętać choćby jednego tekstu, nawet gdybym podjęła taką próbę.

- Któż nie odczuwałby paniki na myśl o występie z najlepiej sprzedającym się wokalistą przy pełnej sali w Royal Albert Hall? I nie zapominaj, co zrobiła druga pani de Winter, Claire. Po prostu włożyła nową suknię i poszła na bal.

Z głosu Sarah wciąż bił optymizm, pomimo iż miała ponure myśli. Nie należało zanadto się wgłębiać w ewentualne podobieństwa między Claire i panią de Winter. Wieczór po tamtym fikcyjnym balu w Manderley zakończył się tragicznie, odkryciem zwłok zamordowanej Rebeki.

Nie, powiedziała sobie Sarah. Dokonywanie porównań nie miało żadnego sensu w przypadku tych dwóch bohaterek, a już z pewnością nie w przypadku dwóch mężczyzn. Maxim de Winter może i zamordował swą niewierną żonę, ale Cole Taylor bez wątpienia nie zadźgał swojej przyjaciółki, aktorki Pauliny Bliss.

Nie zrobił tego.

Sarah odegnęła myśli o morderstwie i przypomniała sobie najświeższy obraz Cole'a, za kulisami po koncercie. Otaczał go tłum wielbicieli i dziennikarze prasy rozrywkowej. Ale gdy tylko się zjawiła, wyrwał się z podziwiającego go tłumu, zupełnie jakby jej wypatrywał, jakby na nią czekał, a na jego twarzy było widać zaniepokojenie i ulgę.

Czy Sarah zechce zatrzymać się w hotelowym apartamencie Claire w drodze na przyjęcie Timothy'ego? Zastanawiał się. Może Claire będzie spała, powiedział. A potrzebowała snu. Było oczywiste, że Cole również czegoś potrzebował: pewności, że Claire czuje się dobrze.

Claire nie spała, kiedy zjawiła się Sarah. Świeżo wymyta, w obszernym płaszczu kąpielowym, była w rozterce. Czy powinna iść do łóżka, aby zażyć potrzebnego jej snu? Czy też zamiast zasnąć miała iść na sylwestrową galę?

Nie chodziło o prosty wybór między bezsennością i snem. Sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Sen obiecywał bezpieczeństwo, przytulność atłasowej pościeli i puchowych poduszek, pociechę marzeń, podczas gdy formalny bankiet oznaczał przyspieszone bicie serca, utratę tchu w piersiach i najmroczniejszy ze wszystkich cień.

Jednak zachęcona przez Sarah, i przez dzielną ośmioletnią dziewczynkę w samej sobie, Claire ubrała się na przyjęcie.

- Z pewnością nie wyglądasz głupio, Glaire Chamberlain - zapewniła z uśmiechem Sarah. - Wyglądasz uroczo. - Sarah doszła do wniosku, że w tej zwiewnej szacie z kremowego atłasu jej przyjaciółka wygląda jak anioł o miedzianorudych włosach. - Pójdziemy już? Cole i Jack czekają na nas.

Claire wzięła głęboki oddech, żeby czuć w sobie tlen, a nie panikę, i odparła:

- Tak.

Musiała pójść na to przyjęcie. No bo jak, u licha, miała odnaleźć brata Cole'a, jeśli nawet nie mogła być z nim?

Pierwsze wrażenie, jakie odniosła Claire podczas spotkania z Timothyem Asquithem, było niemal zgodne z jej oczekiwaniami. Wyobrażała sobie nienaganną elegancję, pełen wdzięku arystokratyczny styl bycia połączony z aurą spokoju, którą zapewniała ogromna władza i sukces. Gdyby jednak Claire mogła zobaczyć Timothy'ego, zastanawiałaby się nad tym spokojem. Rzeczywiście, wydawał się spokojny. Jednak gdyby jej bystre niebieskie oczy widziały, zauważyłyby to, co kryło się pod tą fasadą spokoju: ogromne pragnienie, bezdenną udrękę, męczącą troskę.

Jednak zważywszy sytuację, Claire poznała tylko pełen wdzięku urok Timothy'ego Asquitha - który skłonił go do wymienienia również jej nazwiska, kiedy obwieścił Cole'owi, że księżniczka bardzo pragnie go poznać.

- Dziękuję, Timothy - odparła Claire. - Ale myślę, że po prostu zaczekam tutaj.

Claire podobało się miejsce, w którym stała razem z Cole'em; z dala od ścisku, miała wrażenie, że wietrzyk napływający przez otwarte okna gładzi jej skórę- że jest jak chłodna, ożywcza pieśczoła.

Cole powiedział jej, że okna mają około czterech metrów wysokości, klamki wyglądają tak, jakby zostały zrobione ze szczerzego złota, a ciężkie aksamitne zasłony są w jakimś odcieniu różu.

- W jakimś odcieniu różu? - naciskała odważnie, zachęcona jego roześmianym głosem.

- Ciemny róż - uściślił. Potem, po chwili wahania, dodał: - Czy pamiętasz zachody słońca późnym latem? Ten róż, zanim niebo staje się ciemnofioletowe? Zasłony są dokładnie w tym odcieniu, Claire, to dokładnie taki róż.

- Fiołkowy róż-szepnęła.

- Fiołkowy róż-powtórzył cicho.

Teraz Claire stała w Imperialnej Sali Balowej hotelu Drake, blisko okien okolonych fiołkowo różowym aksamitem zachodu słońca nad rozlewiskiem, czekając, aż Cole zostanie przedstawiony księżniczce. Claire była tutaj... a także w ocienionych lasach nad zatoką, przeniesiona do tamtego

magicznego miejsca łagodnym zachwytem w głosie Cole'a. Co czuła? Spokój. Nadzieję. Czuła, że ma osiem lat i jest nieskończenie odważna.

Muszę być właśnie nią, powiedziała sobie. Dziewczynką, której wspaniała wizja życia jeszcze nie została ograniczona, która nie bała się niczego, która nie wiedziała, co to strach.

- Muszę być tą dziewczyną. Będę nią.

Już nią jestem.

Wieczorne powietrze stało się rześkie i Claire usłyszała szum wiatru między cyprysami, chlupot wioseł na niebieściutkiej wodzie i melodyjną pieśń mewy gdzieś w górze.

Potem dość nieoczekiwanie Claire usłyszała dźwięk, który zupełnie nie pasował do jej rozlewiska. Ochrypty i groźny. Ten dźwięk sprawił, że wróciła do Londynu, gdzie wieczorne powietrze nie było naprawdę rześkie lecz tylko rumieniło jej policzki, gdzie szumiący wiatr był w rzeczywistości szelestem jedwabnych kreacji, a pluskały jedynie roztańczone fontanny szampana, zaś radosny śpiew mewy ustąpił miejsca skrzypcom w orkiestrze.

A ten groźny dźwięk, który nie miał żadnego odpowiednika nad rozlewiskiem? Był to ludzki śmiech, którym zanosił się Adrian Gilbey.

Właściwie nie był groźny, doszła do wniosku Claire, raczej zgrzytliwy. Mimo wszystko wspomnienie człowieka, który miał być producentem programu International News Hour z Sarah Pembroke sieci Global, było zdecydowanie odpychające. Uświadomiła sobie, że z powodu Sarah. Albowiem kiedy Adrian wymówił nazwisko Sarah, w jego głosie zabrzmiała pogarda.

Kiedy ochrypty śmiech Adriana ucichł, Claire postarała się zapomnieć o niemiłym doznaniu i znowu nasłuchiwała dźwięków z sali balowej - z sali balowej, nie z rozlewiska - aż usłyszała całkowicie inny rodzaj muzyki. Jedwab i szampan śpiewały razem, tworząc duet wyrafinowania i przepychu, serenadę do kosmopolitycznego świata, w którym przez jakiś czas miała zamieszkiwać dziewczyna znad rozlewiska.

I jak sobie radziła ta dziewczyna znad rozlewiska? Świetnie. Wciąż była spokojna i rozkoszowała się stylową symfonią dźwięku.

Potem dobiegł do niej znajomy dźwięk, ukochany i straszliwy, zapierająca dech w piersiach harmonia mocy i wdzięku. Ten sam dźwięk wprawił jej serce w gwałtowne bicie przed wielu laty. Teraz jej serce również waliło jak młot.

Ale teraz jestem nieustraszona, przypomniała sobie. Tak jak byłam nieustraszona wówczas.

Claire odwróciła się od umizgów nocnego powietrza ku znajomym odgłosom kroków swojej pantery.

- To nie trwało długo.

- Jestem Jack, Claire.

- Och! Jack. - Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej w tym nowym świecie nawet zapamiętane odgłosy rozlewiska ulegały zniekształceniu. - Myślałam, że to Cole.

- Cole i Timothy wciąż krążą między gośćmi, a Timothy właśnie zagarnął także Sarah.

- Cena sławy.

- Tak.

- Żadne z nich nie przepada za tego rodzaju ceną, prawda?

- Nie - zgodził się Jack. Ta niewidoma kobieta widzi tak wiele, pomyślał. Ale czyjej wspaniałe niewidzące oczy potrafią wypatrzeć potwora? Dostrzegały coś teraz, coś niepokojącego. - O co chodzi, Claire?

- Czy oni cię poprosili, żebyś przyszedł mi towarzyszyć?

- Absolutnie nie. Jestem tutaj, bo chcę. Chyba że wolisz, żebym wyszedł?

- Nie, oczywiście, że nie. - Claire potrząsnęła głową. - Co za noc. Pierwsza trema, a teraz paranoja.

- Trema była całkowicie zrozumiała. A co do paranoi, hm, jaka paranoja?

Claire uśmiechnęła się.

- Dzięki, Jack. - Żadnego strachu, żadnej paranoi, nie w przypadku dziewczyny znad zatoki.

- To dla ciebie dość duża odmiana, Claire.

- Tak. I jest dość oczywiste, że muszę zdobyć orientację, dobrze zapoznać się z moim nowym miastem tak szybko, jak to jest możliwe.

- Sarah pomoże.

- Już pomaga. Jutrzejszy dzień spędzamy razem. A następnego dnia, w którym oficjalnie zacznie swojąnowąpracę, sama rozpocznę zwiedzanie. Jestem pewna, że w Londynie jest mnóstwo wspaniałych rzeczy do obejrzenia - do usłyszenia. Nie uważasz?

- Na pewno jest ich mnóstwo.

- Wiem, że w ten sposób dużo się nauczę - rozwinęła swoją myśl Claire. - Dowiem się rozmaitych interesujących informacji.

- Rozmaitych - zgodził się Jack. Uznał, że Claire pozna ich o wiele więcej niż widzący turysta, bo będzie słuchała uważnie każdego słowa. Jesteś niesamowitą osobą, Claire Chamberlain. Ty i Sarah. Niesamowite przyjaciółki korespondencyjne.

Rozmawiali o widokach, które Claire planowała usłyszeć, od zmiany warty w Pałacu Buckingham do dzwonienia Big Bena. Była to ożywiona dyskusja, podczas której często wybuchali śmiechem, ale skończyła się bardzo nagle, kiedy Jack oznajmił, że Cole ma do nich dołączyć.

Claire zeszytniała usłyszawszy tę wiadomość. Potem, jakby wzięła się w garść, rozluźniła się, a jej jasnoniebieskie oczy ożywiły się jeszcze bardziej.

- Lubię Jacka - powiedziała Claire, kiedy została sama z Cole'em, a Jack poszedł, żeby znaleźć Sarah.
- A ty?

Czy go lubię? Cole nie myślał o większości ludzi w takich kategoriach, w tak intymny sposób. A jednak jego reakcja w stosunku do Jacka Daltona znacznie się różniła od ponurego dystansu, który zazwyczaj odczuwał. Jack miał w sobie coś, skupienie, pewność siebie, spójność. Kiedy pytania Claire zmusiły go do próby zdefiniowania, co to takiego, odpowiedź przyszła z niezwykłą jasnością: Jack Dalton był człowiekiem w pełni panującym nad swoimi emocjami i nad swoimi marzeniami. Jack Dalton pod żadnym pozorem nie pozwoliłby Jedowi Taylorowi umrzeć, nawet nie w przypadkowych okolicznościach, nie w momencie, gdy taka śmierć oznaczałaby kres wszystkich jego marzeń.

- Cole? Czy coś cię niepokoi u Jacka?

- Nie. Wcale nie. O czym rozmawialiście?

- O mnie i moich planach zwiedzania Londynu. Ponieważ zespół ćwiczy wieczorami, dni będę miała wolne, prawda?

- Planowałem zmienić porę prób na dzienną.

- Ze względu na mnie. To nie jest konieczne, Cole. A może nawet okazać się katastrofalne. Sydney twierdzi, że zawsze była nocnym markiem, i że Mick przed dziesiątą wieczorem jest wprost nie do wytrzymania. - Dla mnie dzień i noc nie stanowią żadnej różnicy, Cole. A tutaj, w miejscu, gdzie duety śpiewa się w otoczeniu jedwabistych szat i gdzie szampan leje się strumieniami, nie jestem już nauczycielką. - Proszę cię, nie zmieniaj rozkładu prób ze względu na mnie. Bez trudu dostosuję się. I naprawdę cieszę się, że będę miała całe dni na zwiedzanie miasta.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

- Dobrze.

Zapadła krępująca cisza. Wydawało się, że ucichły nawet wspaniałe dźwięki i Claire słyszała tylko szum chłodnego zimowego wiatru.

Wreszcie Cole powiedział: „Pomyślałem, że moglibyśmy zwiedzać Londyn razem...” i świat znowu się zmienił. Nocne powietrze ociepliło się i pobrzmiwało radością, a oni znowu byli nad rozlewiskiem, samotny chłopak i pogodna dziewczyna.

Zamknij oczy, Cole, a ja pokażę ci nasz zaczarowany las w zupełnie nowy sposób. Nie bój się! Tylko weź mnie za rękę. Nie puszczę jej. Obiecuję. Zaufaj mi.

25

Chcę z tobą zatańczyć. Chcesz zobaczyć, kto do mnie podchodzi? Zobaczyć, czy wśród gości zaproszonych na formalny bankiet Timothy'ego są jacyś zabójcy o czarnym sercu?

Nie, Sarah. Chcę z tobą zatańczyć.

Ona i Jack jeszcze nie zatańczyli. Ale dojdzie do tego. Jego kobaltowe oczy wysyłały to niebezpieczne ostrzeżenie od początku wieczoru. Dlatego teraz zamierzała pić. Musiała.

Jack zatrzymał się pewnej odległości od niej, zanim wyczuła jego obecność, i po prostu wpatrywał się w nią. Sarah miała na sobie elegancką czarną suknię z atłasu - oczywiście z długimi rękawami. Jedwabiste sploty zakrywały i podkreślały zarazem śnieżnobiałą bladość jej szczupłych ramion. Ale nadgarstki znowu spowijał czarny atłas, nie pozwalając na dostrzeżenie blizn. Lady Sarah Pembroke miała włosy upięte wysoko, w hebanowy, błyszczący niczym korona kok, a szyję i uszy ozdabiała brylantowa biżuteria.

Wyjaśniła, że suknię wieczorową wydobyla z głębin szafy, a brylanty ze swojej skrytki w podziemiach banku. Od lat nie brała udziału w takich oficjalnych przyjęciach. Ale była tutaj dzisiaj ze względu na Claire, uroczą kobietę, której imię pożyczyła w tamten paryski wieczór mgły i miłości.

W tamtej chwili, kiedy Jack przypominał sobie Wigilię Bożego Narodzenia w Mieście Światła, Sarah odwróciła się w zgrabnym, powolnym piruecie od srebrnej fontanny złocistego szampana ku niemu - ku Jacques'owi.

Znowu był Jacques'em, a ona Claire. Teraz była w czerni, lecz nad brzegami Sekwany przypominała tęczę. Ale Jack wciąż widział tęczę, tęczę o północy, kiedy różnobarwne światła kryształowych kandelabrow pieściły czarny atłas jej sukni i błyszczący jedwab jej włosów. Paryska mgła lśniła jak brylanty, a tutaj były prawdziwe brylanty i teraz, tak jak wtedy, oczy, które odpowiedziały na milczący zew jego serca, promieniały z zachwytu.

- Bonsoir, Sarah.

- Bonsoir... Jack.

Sarah i Jack mieli nie mówić po francusku. Ten magiczny język miłości należał do Jacques'a i Claire, do tych złudnych cieni, które nie istniały.

Ale one istnieją naprawdę, pomyślał Jack. My istniejemy, bez względu na to, gdzie jesteśmy i w jakim języku mówimy.

Łagodnie, po francusku, zagadnął:

- Co tutaj robisz, Sarah, obok tej rzeki szampana?

Jej wzrok spoczął na kryształowym kieliszku, który trzymała za delikatną nóżkę. Kieliszek do szampana był wypełniony musującą cieczą o miodowej barwie.

- Ćwiczę... przed dniem św. Walentego.

W języku angielskim jej słowa byłyby przeszywająco ostre jak nóż mordercy, brzmiałyby jak buńczuczne przypomnienie wojowniczkii, która wierzy, że spotka zabójcę sama i że nikt inny oprócz niej samej nie zdoła jej uratować. Ale po francusku te słowa zabrzmiały zdumiewająco łagodnie.

Jack uświadomił sobie z przerażeniem, że były całkowicie fałszywe.

- Jest inny powód, dla którego pijesz, prawda? - zapytał łagodnym, ale kategoriycznym tonem, żądając prawdy.

- Tak - wyznała Sarah musującym złocistym bąbelkom, a potem jemu. - Przygotowuję się na taniec z tobą.

- Czy to jest takie przerażające?

- Oui. Et non.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego?

- Nie. Nie mogę, Jack. Jeszcze nie.

- Ale kiedyś?

- Peut-être. - Jej „być może” nie było prowokacją, czarującym zaproszeniem dla niego, by wydobył z niej nęcące sekrety, którymi jeszcze się z nim nie podzieliła. Raczej było to pełne nadziei życzenie kobiety-cienia. Może zdołam ci powiedzieć, Jacques, w jakiejś odległej przyszłości. I może, 5 'il vous plaî, kiedy dowiesz się o mnie prawdy, nie uciekniesz ode mnie z obrzydzeniem. -Peut-être.

- Bon - odparł Jack, biorąc od niej kryształowy kieliszek do szampana. - Nie musisz ćwiczyć picia szampana na dzień św. Walentego, Sarah. On nigdy nie znajdzie się tak blisko ciebie. Nie pozwolę mu. - Ochronię cię przed tym potworem. -1 nie musisz pić szampana, żeby zatańczyć ze mną.

- Ja...

- Nie musisz, Sarah. - Ochronię cię przed samym sobą, przed potężną siłą mojej miłości, aż będziesz gotowa. - No, chodź, pokażę ci.

Lucas Cain tańczył w sposób, w jaki przemierzał planetę. Zmysłowo. Z wdziękiem. Energicznie. Emma była świadoma jego ciała i nagłej zmiany, która w nim zaszła. Teraz emanowała zeń inna siła. Było twarde jak stal, a Lucas nie był już kochankiem, tylko uzbrojonym wojownikiem.

Spojrzała na niego z przestrawieniem. Ale Lucas zupełnie nie zwracał uwagi na jej niepokój, na nią samą. Na jego twarzy zagościła mina, którą widywała w tych rzadkich chwilach, kiedy się nie pilnował: ten bardzo namiętny i prawdziwie przerażający duet tęsknoty i wściekłości.

Czyżby spoglądał gniewnie, jak zawsze, na widmo, które tylko on mógł dostrzec?

Nie, uświadomiła sobie Emma podążając za jego wzrokiem. Wydawało się, choć to na pewno była nieprawda, że Lucas patrzy na kobietę, a nie na widmo; na oszałamiającą istotę, której alabastrowe ciało było okryte czarnym atłasem i ozdobione lśniącymi jak gwiazdy brylantami.

Lady Sarah Pembroke miało tutaj nie być. Emma i Lucas przeprowadzili nawet rozmowę na ten temat. Czy księżniczka Timothy'ego weźmie udział w jego przyjęciu? - zastanawiała się Emma, mając nadzieję, że tak będzie. Chciałaby poznać sławną korespondentkę wojenną. Emmie Cain starczyłoby nawet odwagi, żeby powiedzieć kilka słów do Sarah Pembroke. Kilka szczerych słów szacunku, podziwu i wdzięczności.

Powiedziałyby: stałaś się głosem wszystkich matek na ziemi. My, matki, ponad wszystko pragniemy pokoju dla naszych dzieci, i tocząc wojnę przeciwko tym, którzy wolą przemoc od pokoju, śmierć od miłości, wyrażasz nasze najgorętsze pragnienia.

Ale Lucas powiedział jej, jakby konsultował się z Timothyem, że Sarah nie będzie obecna na sylwestrowych uroczystościach w hotelu Drake. Owszem, miała być w Londynie i szykować się do podjęcia obowiązków prezenterki sieci. Ale najwyraźniej lady Sarah Pembroke nie przepadała za imprezami.

Tyle że teraz była tutaj, tańczyła w pobliżu i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z zimnego, pełnego furii spojrzenia Lucasa. Sarah była pochłonięta swoim własnym tańcem miłości - tak samo jak jeszcze przed chwilą Emma, która dopiero teraz poczuła, że mocne mięśnie jej męża napinają się jak stal, a zmysłowy wdzięk przeradza się w sztywność.

- Jest bardzo piękna, prawda?

Plusk szampana i muzyka orkiestry mogły zagłuszyć cicho wypowiedziane słowa Emmy. Zresztą, tak by się stało, gdyby zdołała wypowiedzieć je obojętnym tonem, tak jak zamierzała. Jednak pomimo

najlepszych wysiłków Emmy w jej głosie pojawiła się nuta desperacji i właśnie tę desperację usłyszał Lucas.

Popatrzył na nią pytającym wzrokiem, spłoszony, delikatny.

- Kto, Emmo?

- Lady Sarah Pembroke. Myślałam, że patrzyłeś na nią.

- Nie.

On kłamię. Ta prawda przeszła jej serce. Lucas kłamał. Człowiek, który nigdy nie kłamał. Człowiek, który pewnego dnia powie do niej z porażającą uczciwością: „Udało nam się, Em. Zrobiliśmy wszystko, co obiecywaliśmy zrobić dla naszej ukochanej córki. A teraz, Emmo, muszę odejść”.

- Wydawało się... Czy ty ją znasz, Lucas? - Dlaczego to robiła? Dlaczego starała się udowodnić mu kłamstwo?

- Nie. Nie znam jej.

Emma musiała odwrócić wzrok, naprawdę musiała. Lucas kłamał. Czy naprawdę mógł to zrobić? Czy mógł ją pieścić z taką czułością i jednocześnie kłamać? Czy już zdarzało mu się ją okłamać? Emma nie wiedziała. Jak mogła wiedzieć, jak mogła wiedzieć, skoro jego spojrzenie, nawet teraz, było takie szczere?

W tym momencie jedna z jego utalentowanych rąk odnalazła jej podbródek i podniosła go.

- To ty jesteś piękna, Em.

- Lucas...

- Jeszcze nie poznałaś Cole'a Taylora. Masz ochotę.?

Oczywiście nie zależało jej. Miała swojego własnego czarnowłosego wykonawcę piosenek o miłości. Czyż nie? Tak, proszę.

Albowiem dopóki jesteśmy razem, muszę mu ufać, wierzyć w niego, tak jak zawsze ufałam i wierzyłam.

- Nie. Nie zależy mi na poznaniu Cole'a.

- W takim razie chodźmy. Chcę być z tobą sam na sam, Emmo. Chcę się z tobą kochać.

To była miłość i żądza. Była żoną i metresą. Narzeczoną... i kurtyzaną.

A on był rycerzem i czarodziejem. Mężem... i zdobywcą.

Nigdy dotąd nie kochali się w ten sposób. Mogliby. Ta zuchwała namiętność była dosłownie bezgłówna, stanowiła ściszoną symfonię szeptów i westchnień. Mogli kochać się w ten sposób w zaciszu ich sypialni w Hyacinth House. Ale nigdy się tak nie kochali.

I kiedy skończyli miłosny rytuał, leżała w jego objęciach, a on dotykał jej rękami, zagarniał w tych miejscach, które mu się podobały. Emma czuła rozweselające przyływy radości, euforie, poczucie całkowitego spełnienia.

Była w pełni kobietą, jego kobietą; zdolną zaspokoić każdą potrzebę, każde pragnienie, każdy namiętny kaprys tego najwspanialszego na świecie mężczyzny. A jej potrzeby? Jej pragnienia? Och, zostały spełnione z wyrafinowaną troskliwością. Z oszałamiającą troskliwością. Z zapierającą dech w piersiach troskliwością.

Ale właśnie to, kim dla niego była, kimś tak ważnym, w jakimś sensie tak istotnym, liczyło się najbardziej.

To niezbyt nowoczesne myślenie, doszła do wniosku Emma, podczas gdy on wyciskał pocałunki na jej karku, a jego utalentowane ręce pieściły ją w tak intymny sposób. Posiadanie. Poddanie. Ekstazy pod wpływem słów, jestem jego", jakby to było najbardziej znaczące osiągnięcie jej życia.

Nieważne, że w ciągu swojej krótkiej kariery w Cambridge osiągała najwyższe oceny, albo że jeśli chodziło o jej małżeństwo, to ona świetnie posługiwała się komputerem; albo że była znana wśród wszystkich rodziców w Kornwalii, zarówno matek, jak i ojców, jako bezdyskusyjny geniusz matematyczny. I nieważne, że jej ręce, tak jak ręce Lucasa, były obdarzone specjalnymi talentami, że jej torty weselne, przystrojone cukrowymi bukietami róż i bzu, były prawdziwymi dziełami sztuki.

Jestem jego.

- Emmo? Dobrze się czujesz?

- Dobrze? - powtórzyła głosem, którego nigdy przedtem nie słyszała, głosem, który uśmiechał się pod wpływem nowej ufności i odwiecznej mądrości. On jest czarownikiem, a ja jestem jego bajkową czarodziejką i mam dla niego dary, dary, których ode mnie potrzebuje. - Tak, czuję się dobrze. A ty?

- Czuję się świetnie, Em.

Wtedy odwróciła się w jego objęciach i przysunęła wargi do jego ust.

- Naprawdę?

Jego śmiech był gardłowy, pełen zaskoczenia i pożądania.

- Jeszcze, Em? Już?

- Jeszcze - szepnęła bajkowa czarodziejka między pocałunkami. - Już.

I ta niezwykła namiętność rozpoczęła się na nowo i kiedy kochali się tym razem, myśli Emmy stały się kompletne, całkowite jak ona. Jestem jego, a on jest mój.

- Que pensez-vous, Sarah?

O czym myślała? Miała odważne i takie niebezpieczne myśli. Gdybym tylko mogła tańczyć z nim w ten sposób, na zawsze. Gdyby tylko jedyną znaczącą prawdą była prawda tej chwili. Nie ma przeszłości. Nie ma przyszłości. Jest tylko teraz.

Powiedz mu to, pomyślała pod wpływem impulsu. Ostatecznie to nie jest strasznie ryzykowne wyznanie. Co najgorszego może się zdarzyć? Miło byłoby tak tańczyć już zawsze, Sarah - mógłby powiedzieć - ale niestety musimy rozwiązać zagadkę morderstwa. Albo... ale niestety, Sarah, ta niewinna intymność przemawia do mnie w ograniczonym stopniu. Będę chciał znacznie więcej, chérie, a jeśli ty nie będziesz skłonna...

- Sarah? - powtórzył Jack, widząc, jak nadzieja na twarzy Sarah, która skłoniła go do delikatnego zapytania o jej myśli, ustępuje miejsca czystej rozpacz.

- Kieliszek szampana, który mi zabrałeś, był moim ostatnim kieliszkiem. Już na zawsze. - Te słowa zostały wypowiedziane po angielsku. Stanowiły brutalne przypomnienie, a właściwie karę dla kobiety-cienia i jej śmiałych, głupich fantazji. Widzisz, Jack, ja muszę przestać pić. Zdecydowanie za bardzo uzależniłam się od alkoholu. To mój płynny azyl, kiedy nie mogę uciec do Paryża albo na wojnę, i kiedy następnej układanki Pegasus można się spodziewać dopiero przed następnymi świętami.

Jej myśli, karzące i surowe, nie zostały wypowiedziane na głos. Jednak wydawało się, że Jack Dalton widzi je i martwi się, przejmując.

- Czy to będzie dla ciebie trudne, Sarah? Rzucenie alkoholu? - Oczywiście, znał odpowiedź. Dla niej alkohol był lekiem, a nie przyjemnością. Bez niego rany, które należało złagodzić, ukoić, pozostawały rozjątrzone, krwawiące i otwarte. Abstynencja musiała być trudna. I samotna. Jego dzielna, uroczą wojowniczką miała toczyć tę bitwę na własną rękę.

Powiedz mu, że to będzie łatwe, nalegała nieubłagana kobieta-cień. Powiedz mu, że alkohol nigdy nie miał dla ciebie znaczenia. Okłam go, Sarah! To twoja jedyna nadzieja na tańczenie - nie na zawsze, to przecież czyste szaleństwo - ale przynajmniej jeszcze trochę, przynajmniej aż do początku nowego roku.

- Tak - powiedziała. - To będzie dla mnie trudne. Ale konieczne.

Idiotka! Czy ty zdajesz sobie sprawę, do czego właśnie mu się przyznałaś? Taniec skończony, Sarah. Najpierw uciekasz z jego łóżka w Paryżu, bo się boisz i pragniesz jego dotyku. Potem pokazujesz mu

swój dom, to surowe miejsce pozbawione życia; potem on odkrywa wstydlivą prawdę, że wysyłasz samej sobie róże; a teraz jeszcze to.

Adieu, Jacques. Adieu, mon cher.

- I przerażające? - zapytał miękko, wciąż tańcząc, wciąż martwiąc się, wciąż okazując troskę.

- Tak.

Jack uśmiechnął się, jakby to była najczulsza pieszczota, wymowna obietnica, że zostanie i będzie jej pomagał, jeśli ona mu na to pozwoli.

- Równie przerażające, jak tańczenie ze mną?

W odpowiedzi na ustach Sarah pojawił się uśmiech, przekorna i wymowna obietnica paryskiego widma, śmiałe przyrzeczenie, że ona nie zniknie, jeszcze nie.

- Nie - odparła. - Nic nie jest tak przerażające ani tak cudowne, jak to.

Ależ jesteś sprytna, lady suko. Och, tak, widziałam cię dzisiaj wieczorem, wiedzmo. Udawałaś, że się nie przejmujesz. Ale podobała mi się twoja suknia. Czerń pasuje do ciebie, Sarah Pembroke. Tak jak będzie pasowała śmierć.

Zastanawiam się, jakiego koloru jest twoja krew? Całkiem możliwe, że wiedzmo wato czarna. Wcale by mnie to nie zdziwiło. No, cóż. Przekonamy się o tym, prawda?

26

Scotland Yard Czwartek, 5 stycznia

- Właśnie otrzymałam list. Jeszcze go nie otworzyłam, bo w środku mogą się znajdować odciski palców. Myślę, że to list od niego, Jack. Adres został wydrukowany, jak na poprzedniej kopercie, i nie ma adresu nadawcy, a poza tym jest napis „Osobiste i poufne”.

- A znaczek?

- Londyn. Wczoraj.

- Może otworzymy go razem, Sarah? - Może w końcu znowu się zobaczymy, co?

Minęło pięć dni od czasu, gdy życzył jej dobrej nocy i szczęśliwego nowego roku na progu drzwi do jej apartamentu. Pięć dni, podczas których rozmawiali ze sobą codziennie przez telefon o śmierci, morderstwie i wszystkich potencjalnych mordercach, których Sarah mogła znać, o tych licznych mężczyznach, którzy mieliby ochotę poderżnąć jej gardło.

Sarah nie miała dla niego listy adoratorów. Ale podała Jackowi inne nazwiska, wiele nazwisk mężczyzn, którzy wpadali w szal z powodu kobiety-wojowniczką, jej stanowczości i lodowato zimnego sposobu bycia, oraz sławy, która dawała jej moc upierania się, by robić rzeczy po swojemu.

Był tam oczywiście Adrian. Może jego furia w związku z kontrolą programową miała jednak jakieś znaczenie. I było jeszcze co najmniej sześciu kamerzystów, z którymi mocno zadarła, oraz producent, z którym pracowała w Mogadishu, aż doprowadziła do jego zamiany na kogoś innego. Ta lista ciągnęła się w nieskończoność.

Jack wiedział, co robi Sarah: oczyszczała Cole'a, próbowała to zrobić ze względu na Claire i kosztem własnej osoby. Czy Sarah celowo marnowała czas Jacka wymyślając dziwaczne tropy, fałszywe elementy tej śmiertelnej układanki?

Wcale nie. Jack nie był przywiązany do pomysłu, że to Cole Taylor jest okrutnym mordercą; au contraire. I jak Sarah sama zauważyła, ilekroć dzwoniła, logicznie myśląc ci liczni mężczyźni, którzy nią pogardzali, byli potencjalnymi podejrzanymi - zwłaszcza gdy wzięto się pod uwagę ewentualne powiązania z Ashley Alexander i Paulina Bliss. Fakt, świat, w którym pracowała Sarah, był brutalnie rzeczywisty, a zamordowane aktorki osiągnęły swoją sławę w królestwie czystej fikcji. Ale scenariusz był właściwie ten sam. Wszystkie trzy kobiety były pokazywane przez kamerę, co wymagało małej armii za kulisami. Może kamerzysta, z którym Sarah pokłóciła się w Bośni, na początku ćwiczył swoje fotograficzne zdolności w Hollywood? A może był jakiś szef nadzoru, kierownik czy reżyser.

Jack nie mógł dyskutować z logiką Sarah i pilnie analizował każde nazwisko. A ponieważ miała słuszność, ponieważ każdy z tych mężczyzn mógł być zabójcą, nie mógł przerwać codziennej recytacji imion wrogów, jakich miała. Ale nie znosił jej wyznań, słyszał ból pomimo eleganckiego opanowania w jej głosie - jej ból, wstyd, kiedy dzień po dniu przypominała mu, że jest tak strasznie niekochana.

Wreszcie wczoraj Jack powiedział jej, że ci mężczyźni, którzy jej nie lubią, to zboczeńcy. Potem sam zdobył się na wyznanie: że zna jednego mężczyznę, który chętnie tańczyłby z nią całe życie. Reakcją na to wyznanie było milczenie, a potem Sarah pośpiesznie oświadczyła mu, że spóźnia się na spotkanie z Timothyem.

Od tamtego czasu Jack nie miał od niej wiadomości i zastanawiał się, kiedy to się zmieni. Ale teraz ona dzwoniła, musiała zadzwonić, gdyż zabójca o czarnym sercu najwyraźniej przesłał jej drugie ostrzeżenie.

- Sarah? Otworzymy ten list razem?

- Tak. Dobrze. Mogę zaraz przyjechać. Mam czas przed audycją, a poza tym chyba byłoby najlepiej otworzyć ten list bez świadków, a potem od razu przesłać go do laboratorium.

- Myślę, że tak. Dobrze. Do zobaczenia wkrótce. A w międzyczasie schowam dwie z tych zapisków.

To nie były tylko dwie informacje, o których istnieniu Sarah nie wiedziała. Po prostu Sarah - tego Jack był pewien - przyjęłaby je z dużym dyskomfortem psychicznym. Z pewnością nie byłaby zadowolona z istnienia kartoteki na jej temat, garstki faktów na temat jej życia osobistego. Jack wyobrażał sobie również, że nie byłaby szczęśliwa widząc dokument opatrzony nazwiskiem mężczyzny, którego dobrze знаła i którego powinna była wymienić ze względu na jego oczywiste powiązania z zamordowanymi aktorkami.

Ale Sarah nie wymieniła nazwiska tego mężczyzny. Co oznaczało, że w jej analitycznym umyśle istniał słaby punkt, jeśli o niego chodziło - dokładnie taki sam słaby punkt, który, być może, okazał się zabójczy dla Ashley Alexander i Pauliny Bliss.

SZANOWNNA LADY PEMBROKE, Nazywam się Enid Duckworth-Parker. Przez prawie czterdzieści lat mój mąż, Albert prowadził praktykę położniczą na Bishop's Avenue w Hampstead. Dzielił gabinet z internistką pani matki, Jeremy Sloan, co wyjaśnia, dlaczego skontaktowano się właśnie z Albertem jedenaście lat temu, dziesiątego sierpnia, i poproszono o odebranie porodu pani dziecka. Oczywiście natychmiast się zgodzili w ciągu godziny był już w prywatnym odrzutowcu lecącym do Penzance.

Sześć lat temu, wkrótce po tym, jak zaczęła pani karierę dziennikarki telewizyjnej, mój mąż i ja spędziliśmy weekend w Kornwalii, w uroczym pensjonacie o nazwie Hyacinth House, zaraz na południe od St. Ives. Od tamtej wizyty wracaliśmy przynajmniej raz do roku, aczkolwiek jeszcze trzy miesiące temu nie miałam pojęcia, dlaczego. Nie żebym miała jakieś obiekcje. Hyacinth House jest cudowny, tak jak jego właściciele, Lucas i Emma Cainowie i ich córka, Jessica.

Jessie jest pani córką, lady Pembroke.

Mój mąż oczywiście wiedział, że będzie adopcja. Wyjaśniono mu okoliczności - ferie na nartach w Gstaad, trzech młodzi ludzie, wszyscy arystokraci, ich fascynacja panią, zrozumiały pociąg pani do nich i pani brak doświadczenia z alkoholem, a także z płcią przeciwną. Te okoliczności wzbudziły w nim współczucie - pani była taka młoda - a poza tym powiedziano mu, że wszyscy, włącznie z panią, zgodzili się, iż zważywszy na wszystko najlepszym rozwiązaniem będzie adopcja.

Albert nigdy nie rozmawiał z panią o adopcji. Nie chciała pani o tym więcej rozmawiać, tak mu powiedziano, już podjęła pani decyzję. A ponieważ poród zaczął się w parę chwil po jego przybyciu - potem zaś natychmiast wrócił do Londynu - właściwie w ogóle nie miał szansy z panią porozmawiać. I dlatego, jak sądzę, kiedy zobaczył panią w telewizji, zobaczył, jak bardzo troszczy się pani o dzieci, zaczął się zastanawiać i niepokoić. Skontaktował się z położniczkami w Penzance,

odszukał człowieka, który zaaranżował adopcję, i skłonił tego mężczyznę do ujawnienia nazwisk przybranych rodziców.

Widzi pani, to dlatego robiliśmy te wyprawy do Kornwalii. Albert chciał mieć pewność, że Jessica czuje się dobrze. I rzeczywiście czuje się dobrze, lady Pembroke. Jest szczęśliwym, radosnym, uroczym dzieckiem. Przypomina panią, to nie ulega wątpliwości. Ale jej podobieństwo do przybranego ojca jest tak uderzające, że gdyby mi o tym nie powiedziano, nawet nie przyszłoby mi do głowy, że jesteście spokrewnione.

Mój ukochany Albert zmarł w zeszłym tygodniu. Jego ostatnim życzeniem było, żebym napisała ten list do pani. To była dla niego udręka widzieć, ile jest w pani współczucia dla dzieci, a jednocześnie mieć świadomość, jak szczęśliwa jest mała Jessie z Cainami.

Może już pani wie o Jessice. Mam taką nadzieję. Ostatecznie to pani mąż, Simon Beckwith-Jones zajął się adopcją. Prawdopodobnie wie pani o tym, wiedziała cały czas. Jednak Albert miał wrażenie - może to kaprys podeszłego wieku - że nic pani nie wie. I uważał, tak jak ja, że powinna pani wiedzieć.

Proszę wybaczyć mojemu Albertowi, lady Pembroke. Był dobrym i porządnym człowiekiem.

Jack otworzył list ostrożnie, szczypcami, i w trakcie lektury nie dotykał go, podobnie jak Sarah.

Teraz jednak Sarah go dotykała, musiała go dotykać, jakby jej drżące palce mogły jakimś sposobem dosięgnąć córki, która została oddana.

To nie było szaleństwo. Jej dziecko było małą dziewczynką, a muzyka, którą słyszała na sali porodowej, była radosnym powitaniem jej córeczki. A wewnętrzny głos, który obiecywał cel w życiu? I który zakazał jej spuszczenia krwi, tym razem całej, do małego grobu w Norfolk? To również nie było dzieło imaginacji.

To było wytłumaczenie tamtego głosu.

Jej córka była potwierdzeniem.

Ale teraz zaczynało się nowe szaleństwo - krzychało gdzieś w głębi duszy Sarah, i wydawało się, że upiory, które wyrządziły już tyle szkody, chichoczą z tego wszystkiego, śmieją się z najwspanialszej zdrady. Ależ się śmiałyśmy, kiedy opłakiwałaś tego martwego chłopczyka, Sarah! I kiedy postanowiłaś otworzyć sobie żyły, ogrzać zamarznąłą ziemię - i jego - swoją własną krewią. To było naprawdę głupie, Sarah. Naprawdę szalone, naprawdę fantastyczne!

Sarah słyszała rechoczące upiory. Swoją matkę. Swojego ojca. Simona Beckwith-Jonesa. Oni wygrali. I wiedzieli o tym. Nigdy nie przeżyłaby tej zdrady. Po prostu krzychałaby aż do śmierci.

Potem pojawił się nowy dźwięk, mocny i łagodny i emanujący miłością.

- Sarah? - Tańcz ze mną, moja ukochana. Pozwól mi objąć twój ból, twój smutek. - Mów do mnie.

Ustąpiła jego czułego rozkazu: nie tańczyła, jeszcze nie, ale przynajmniej zaczęła mówić.

- Powiedzieli mi, że ona nie żyje... i że to był chłopiec... i nawet dali mi przytulić malutkiego chłopczyka, żebym mogła go pocałować, ukochać. Muszę ją zobaczyć, Jack!

- Wiem.

- Muszę! - powtórzyła Sarah, nie słysząc jego cichych słów, albowiem rechoczące upiory wszystko zagłuszały., „Muszę go zobaczyć”, krzychała przed wielu laty, do owych upiorów. „Muszę pójść na jego grób i porozmawiać z nim”.

- Wiem, że musisz, Sarah.

Podniosła oczy i spojrzała na niego, chociaż upiory przesłaniały jej świat. I właśnie wówczas rozpoczął się taniec, delikatny walc serc.

- Wiesz? - Rozumiesz?

- Oczywiście, że wiem. - Kocham cię.

- Kiedy powinnam ją zobaczyć? - zapytała, już nie tak zdesperowana, nie w sposób, w jaki zaklinała upiory - „Kiedy mogę pójść na jego grób?” - lecz z nadzieją i ufnością. - Kiedy, Jack?

- W ten weekend. Mamy jeszcze dwa dni, ale przynajmniej będziesz miała trochę czasu, żeby się z tym oswoić.

W ten weekend? I w każdy weekend? Tak jak pozwalały jej upiory, aż do tamtej grudniowej nocy, kiedy próbowała się zabić, a Simon złożył obietnice, których nie zamierzał dotrzymać.

- Wyjedziemy w sobotę, z samego rana - powiedział Jack.

- My?

- Zawiozę cię. - Nie możesz jechać sama. Nie puszczę cię. Tańczymy razem, Sarah - odtąd już zawsze.

Ale walc zaczynał się psuć, Sarah potykała się o własne lęki, o wspomnienia dawnego obłędu i strach przed nowym szaleństwem, które ją czekało.

Nie możesz ze mną jechać, Jack. Nie wiem, co zrobię, kiedy ją zobaczę. A jeśli zacznę krzyczeć i nie będę mogła przestać? Jeśli będę musiała skończyć to, co zaczęłam w tamtą grudniową noc przed wielu laty? A jeśli mam ją zobaczyć tylko ten jeden raz, a potem umrzeć?

Aleja nie zamierzam umierać. Nie mogę. Jeszcze nie. Mam przyjaciółkę, która jest niewidoma i bardzo zakochana, i muszę jej pomóc.

- Claire, Sydney i ja planowałyśmy, że w najbliższą sobotę zjemy razem kolację. Jestem pewna, że Sydney nie będzie miała nic przeciwko przełożeniu tego spotkania, a Claire...

Claire. To imię tak wiele dla niej znaczyło. Jej korespondencyjna przyjaciółka. Jej urocza, wspaniałomyślna przyjaciółka. Kobieta-cień uwielbiana przez Jacques'a. Lecz nagle słowo „Claire” zabrzmiało jak przenikliwy zgrzyt, a upiory znowu zaczęły rechotać.

I ty mówisz o zdradzie! Co powiesz na to: pewna matka, nazwijmy ją Sarah, zabiera swoją przyjaciółkę Claire, żeby zobaczyć dawno zaginioną córkę Sarah. I któż jeszcze będzie wiedział o tej sentymentalnej podróży do Kornwalii? Cole. A jeśli mylisz się co do jego niewinności? Jeśli jesteś w całkowitym błędzie?

W porównaniu z takim postępowaniem zbrodnie Genevy wydałyby się całkiem prozaiczne, nieprawdaż? Matka, która pozwala, aby zgwałcono jej córkę, to jedna rzecz. Ale to wykroczenie zupełnie błędne, jest tylko drobnym matczynym zaniedbaniem w porównaniu z czynem matki, która sprowadza mordercę wymachującego nożem, żeby podciął bielutkie gardło jej córeczce.

Jack patrzył w milczeniu, jak na twarzy Sarah z wolna pojawia się zrozumienie. Zrozumienie i udręka.

- Pozwól mi zawieźć cię do Kornwalii, Sarah.

Nie będziesz krzyczała. Nie będziesz. Jakoś zatrzymasz to szaleństwo gdzieś w głębi duszy. I powinnaś mieć przy sobie Jacka. Potrzebujesz jego siły i spokoju.

- Dziękuję, Jack. Uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie, lady Pembroke. Zatem zadzwonię do Kornwalii, żeby zarezerwować dla nas dwa pokoje w Hyacinth House na najbliższą sobotę.

- Nie.

- Nie?

- Pozostanie tam mogłoby być dla mnie zbyt trudne. Nie będę wiedziała, dopóki tam nie dotrę... dopóki jej nie zobaczę.

Śliwka. Bordo. Pawi błękit. Jadeitowa zieleń. Sjena palona.

- Sjena palona, Claire? - powtórzył Cole, kiedy obwieściła mu to z triumfalnym uśmiechem.

W tamto deszczowe popołudnie przechadzali się po Ogrodzie Azjatyckim w hotelu Drake. Poświęcony kwiatom Orientu, ten wielki ogród pod dachem rozkwitał wonną obfitością nawet w środku zimy.

- Myślę, że tak - odparła Claire. - To znaczy, jeśli to jest taki sam czerwono-brązowy odcień, jak pigment w środku tygrysiich lili cioci Augusty, to z pewnością jest to sjena palona.

Właśnie w ten sposób, razem, Cole i Claire oglądali Londyn. Cole myślał, że jedyne kolory, które znał, były kolorami Claire. Jednak kiedy w sylwestra opisywał jej zasłony z fiołkoworóżowego aksamitu - przypominając jej letni zachód słońca nad rozlewiskiem - uświadomił sobie, że w Harlanville, z Claire, cały jego świat był w jaskrawych, żywych barwach.

Przez ostatnie pięć dni oglądali kolory Londynu dzięki wspólnym wspomnieniom odcieni i barw, które poznali w dzieciństwie - niezliczonym odmianom zieleni ich lasu, czerwieniom i fioletem, które zwiastowały spadnięcie słońca z niebios, i radosnym pastelom, które obwieszczały jego powrót. Doszli do wniosku, że litery na znakach drogowych w Harlanville są szare jak kret, a hotel Paradis, pomalowano przed wieloma laty na kremowo i brązowo.

Tylko raz Claire nachmurzyła się słysząc, jaki obraz opisuje Cole.

- Pamiętasz tę spódniczkę, którą nosiłaś, Claire? To chyba była spódniczka w szkocką kratę, w kolorach ciemnej zieleni, czerwieni i żółci.

Oczywiście, że pamiętała tę spódniczkę, a Cole zbyt późno przypomniał sobie, kiedy Claire ją nosiła. Tym razem to on przekroczył niewidzialną granicę, która ich dzieliła. Kiedy Claire kupiła ową spódniczkę, miała trzynaście lat, a Cole szesnaście, byli dla siebie jak nieznajomi, a w każdym razie mieli nimi być. Mieli nie patrzeć na siebie nawzajem, nie zwracać na siebie uwagi - to właśnie tamtego roku Claire odważnie rzuciła mu wyzwanie, aby przestał pić, a on tak okrutnie ją odepchnął.

Ale teraz, w Londynie, kiedy Cole opisywał plisowaną spódniczkę, której nie powinien był zauważyć, kiedy opisywał barwny relikwiarz tamtego zakazanego czasu, w jego głosie było tyle czułości, tyle tęsknoty... i, och, w tej ciemności i w roziskrzonym powietrzu między nimi, wydawało się, że w jego łagodnym głosie pobrzmiwa nuta miłości.

Claire widziała barwy Londynu szarymi oczami Cole'a. Ale to ona, radosny elf-anioł, stworzyła paletę cudownych wspomnień, która pozwoliła jego oczom widzieć je. I to Claire sprawiła, że Cole odkrył w Londynie inne zmysły, których do tej pory nigdy nie wykorzystywał w taki sposób.

Ryba z frytkami, Cole. Czyż to nie pachnie tak cudownie brytyjsko? A smak, Cole. Posmakuj morza.

Posłuchaj, zażądała podczas zmiany warty w Pałacu Buckingham. Posłuchaj tętentu kopyt, jaki jest żwawy i rytmiczny. Czy słyszysz, jak skrzypią skórzane siodła? A to brzęczenie, jakby dźwięczały dzwonki sań?

Posłuchaj, Cole. Zamknij oczy i naprawdę posłuchaj.

Przed laty, razem z nią, Cole Taylor rzeczywiście zamknął oczy. Wziął jej rękę i zaufał jej, gdy prowadziła go przez ciemność. Podczas zwiedzania Londynu Cole i Claire dotykali się; on trzymał ją za łokieć, ona zaś położyła dłoń na strasznie zimnej bliznie na jego ręce. Jednak Cole nie zamknął oczu, nie miał odwagi - gdyby to zrobił, oboje byłiby niewidomi.

Teraz to Cole prowadził Claire przez ciemność, lecz, tak jak wtedy, to on widział największą jasność, albowiem promienna radość towarzyski Cole'a oświetlała najmroczniejsze miejsca w jego sercu.

Claire wciąż była dziewczyną znad rozlewiska, tym aniołem o cynamonowych włosach, aniołem słonecznego światła i marzeń. Ale tutaj, w Londynie, nieustraszona dziewczyna znad rozlewiska nie potrafiła już śpiewać.

„Dziś wieczorem”, oświadczyła z brawurą, którą znał tak dobrze, „dziś wieczorem zaśpiewam na próbie”.

Ale już w momencie, gdy wygłaszała to odważne oświadczenie jej głos zaczął się załamywać. Traciła oddech tak samo, jak wcześniej w Royal Albert Hall, czuła się oszołomiona i zdradzona.

Śpiewanie było częścią jej ratury, symbolem jej szczęśliwej duszy, a teraz to szczęście wykradano jej tak samo nieuchronnie, jak wykradzono wzrok jej błękitnym oczom.

Cole wiedział, kto ukradł Claire zdolność śpiewania. On sam: Cole Taylor, wykonawca piosenek miłosnych i złodziej marzeń.

Zwrócę Claire jej muzykę, poprzysiągł sobie. Wysyłając ją do domu w Harlanville? To oczywiście poskutkowałoby, pozwoliłoby Claire odzyskać skradziony kawałek duszy.

Ale Cole wierzył, że Claire pragnie więcej, tak samo jak on. Nie tylko swojego głosu, ale obu głosów, połączonych ze sobą... kochających się.

- Udało ci się zdrzemnąć?

Pytanie Cole'a, zadane w momencie, gdy otworzyła przed nim drzwi, nie było zaskakujące. Dawna Claire - tamta młoda, odważna, widząca dziewczyna - nigdy nie uciąłaby sobie drzemki. Jej energia była wówczas niewyczerpana, tak jak jej marzenia. Ale w tym obcym miejscu, gdzie każdy krok w ciemności był zupełnie nowy i mógł się okazać zgubny, Claire szybko się męczyła

W tym obcym miejscu, razem z Cole'em.

Claire wiedziała doskonale, że jej zmęczenie należało przypisać nie tylko londyńskim wyzwaniom, wyostrzonej świadomości - i koncentracji -jakiej wymagało od niej to całkowicie nieznane miasto.

Znacznie bardziej niż jej umysł, odpoczynku domagało się jej serce, ten koliber trzepoczący w niej zapamiętałe, ilekroć Cole był blisko niej.

Dlatego Claire drzemała, drzemało jej kolibrze serce, by obudzić się wzmocnione, pełne zapachu, lecz teraz, kiedy powitała Cole'a, znowu zaczęło kołatać.

- Miałam cudowną drzemkę. - Uśmiechnęła się, a ponieważ wypadło odwzajemnić pytanie, zagadnęła: - A ty?

Zastanawiała się, czy Cole w ogóle spał. Zespół nie ćwiczył każdego wieczoru, ale kiedy odbywały się próby, Claire wracała do hotelu, odprowadzana przez Cole'a. Spała aż do świtu, on zaś kończył próbę właśnie o tej porze, lecz mimo to jadł z nią śniadanie o ósmej rano, potem zaś wędrowali po ulicach Londynu, gdzie przydzielala egzotyczne, magiczne nazwy kolorom, które poznali w dzieciństwie.

Pantery nigdy nie spały. Jakby mogły? Niemniej jednak pantera towarzysząca Claire zazwyczaj odpowiadała na jej pytanie nieokreślonym, ale przyjemnym „Jasne. Wystarczająco dużo”.

Zazwyczaj. Ale nie teraz.

Teraz Cole milczał; musiał przestać patrzeć na jej naturalnie promienną twarz i skoncentrować uwagę na jasnym, ale sztucznym oświetleniu, które powodowało jego niepokój. Claire przeważnie zapalała dwie lampy - ze względu na niego - żeby oświetlić mu drogę w zimowej ciemności.

Jednak dzisiejszego wieczoru w hotelowym pokoju Claire paliła się inna lampa.

- Cole? Czy coś jest nie w porządku?

- Czy dzisiaj zapalałaś dla mnie światła?

- Tak. Czyż nie?

Tak, pomyślał Cole. Ale ponieważ były już zapalone, razem ze wszystkimi innymi źródłami światła w tym pokoju, kiedy myślałaś, że je zapalałaś, tak naprawdę wyłączałaś je.

- Palą się wszystkie światła, Claire. Z wyjątkiem tych dwóch.

- Och. - Na jej twarzy pojawiło się zamyślenie, a potem stanowczość. - Pamiętasz, jak po południu mówiłaś, że niebo jest takie ciemne? Że zmierzch zapada tak szybko? Kiedy kobiety z obsługi przyszły, żeby posprzątać, widocznie zapaliły wszystkie światła, a potem po prostu zapomniały je wyłączyć.

- Ale mimo to marszczysz czoło, Claire.

- Naprawdę?

- Tak, marszczysz czoło. Czy coś jest poprzestawiane? Wyczułaś, że ktoś był w pokoju?

- Nie - odparła z naciskiem i z przekonaniem, i jeszcze uśmiechnęła się uroczo. Czy coś było poprzestawiane? Nie. Z wyjątkiem jej kontaktu z rzeczywistością. Czy wyczuła czyjąś obecność w pokoju? Nie, nie kogoś, tylko coś - złocisty blask.

Weź się w garść, Claire. Ty nie widziałaś złocistego blasku; ani srebrzystych iskier, kiedy patrzyłaś na niebo w tamtą śnieżną noc w Harlanville. A wczoraj, kiedy wydawało ci się, że przed pałacem Buckingham mignęło ci coś szkarłatnego, jasnoczerwony mundur jednego z wartowników, również uległaś złudzeniu. Jesteś ślepa, Claire. Na zawsze. Po prostu ta ośmioletnia dziewczynka w tobie wierzy w rzeczy niemożliwe. Ta dziewczyna znad rozlewiska nie potrafi już śpiewać... ale nadal potrafi marzyć.

Przestań marzyć.

- Nie, Cole, nic się nie dzieje, oprócz tego, że dzwoni mój telefon. Prawdopodobnie Syd- dodała, pewnie krocząc w kierunku aparatu.

Dzwoniła Sydney w odpowiedzi na telefon Claire.

- Operatorka nie zadzwoniła do ciebie, prawda, Syd? Poprosiłam ją, żeby zachowała wiadomość, aż odśluchasz ją, w razie gdybyś już spała...

- Och, dobrze. No właśnie, oto powód, dla którego zadzwoniłam: Sarah jednak nie może zjeść z nami kolacji w sobotę... Co? Nie, jestem pewna, że chodzi o coś innego, coś związanego z jej pracą. Nie zrobiłaby tego... Nie, nawet dla niego. W każdym razie zastanawiałam się, czy powinnyśmy przełożyć spotkanie. Sarah naprawdę chce z nami iść. Mówi, że pasuje jej każdy dzień w przyszłym tygodniu, oczywiście po jej programie, więc pomyślałam, że może we środę, bo tego wieczoru zespół nie będzie miał próby? Chyba że masz inne plany... Och, dobrze. W takim razie zaplanujmy ten dzień. Środa o dziewiątej. Świetnie... Dziś wieczorem? Mieliśmy z Cole'em wypróbować ten lokalik na Waverton, wiesz, ten zaraz obok studia. Chciałabyś z nami pójść? Bardzo byśmy się ucieszyli... Tak, absolutnie. No, to załatwione. Będziemy czekać w holu za dwadzieścia minut

Claire odłożyła słuchawkę i odwróciła się do miejsca, w którym stał Cole. Czy nadal tam był? A może pantera odeszła tak cichymi krokami, że nawet wyczulone uszy Claire nie usłyszały tego czmychnięcia na łowy?

Nie, zdecydowała. Jest tam, gdzie był. Ja go widzę. Ciemny cień na tle złocistego blasku.

Nie ma żadnego cienia.

Nie ma żadnego złocistego blasku.

Przestań marzyć i uśmiechnij się!

- Syd zje z nami kolację. - Wzruszyła ramionami. - Zdaje się, że słyszałeś.

- Słyszałem wszystko. Nic nie mogłem na to poradzić.

Głos Cole'a dochodził do niej dokładnie z tego miejsca, w którym, jak sobie wyobrażała, znajdowały się jego usta. Jego zmysłowe usta, które opisywały z taką skrupulatnością i z taką czułością - a może miłością? - barwy ich dzieciństwa; które kiedyś tak wiele jej wyznały, tak bardzo jej zaufały; które kiedyś pomogły mu pokazać Claire, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo jest głodny jej ciała.

- Nie szkodzi, Cole. Nie było w tej rozmowie niczego, czego nie powinienesz być usłyszeć.

- O co pytała się Sydney w związku z Sarah? Mówiłaś, że Sarah czegoś by nie zrobiła.

- Och. Snuła domysły, że prawdziwą przyczyną, dla której Sarah odwołała swoje przyjęcie na kolację w tę sobotę, jest randka z Jackiem. - „Ostra randka z tym fantastycznym Jackiem” - tak brzmiały słowa Sydney. - Jestem pewna, że to nie jest przyczyna.

Cień milczał w złocistym blasku. Był milczący i nieruchomy.

- Może pojedziesz ze mną do Monte Carlo?

- Do Monte Carlo?

- Timothy chce, żebym poleciał tam jutro na spotkanie z promotorem naszego koncertu w Sporting Club w kwietniu. Spotkanie będzie krótkie. Szczerze mówiąc, zaplanowałem tę wyprawę na jeden dzień. Ale ponieważ nie mamy prób aż do poniedziałkowego wieczoru, moglibyśmy zostać na weekend.

- Chciałabym - Claire usłyszała swój głos, chociaż zagłuszało go oszalałe kołatanie jej serca.

Oczywiście to było czyste szaleństwo. Właśnie zaczynała się dobrze czuć w obcym Londynie, a teraz Cole zapraszał ją w podróż do innego obcego miejsca, proponował, by spędziła z nim cały weekend.

Ale musiała polecieć z nim do Monte Carlo teraz. Dlaczego? Ponieważ nie będzie jej z Cole'em w kwietniu, po jego powrocie. Do tego czasu świat dowie się o zaginionym bracie Cole'a i być może ten ukochany brat zostanie nawet odnaleziony, a Claire Chamberlain będzie uczyła muzyki w Harlanville, jeśli będzie jeszcze w stanie uczyć muzyki, zaś jej rozdygotane serce uspokoi się... na zawsze.

- Może zdrzemniesz się podczas mojego spotkania z promotorem? Claire skinęła głową, zbyt zmęczona, żeby mówić. Jej serce kołatało całą

noc, tak że nie mogła zmrużyć oka, i chociaż krótki lot z Londynu do Nicei przebiegał bez żadnych wstrząsów, niemniej jednak był wyczerpujący.

Czy będzie mogła zdrzemnąć się w Monte Carlo? Czyjej rozpędzone serce usłucha? Tak, ponieważ morska bryza była rześka jak wiatr nad rozlewiskiem, nawet w ten styczniowy dzień; a mewy śpiewały cichą kołysankę.

Claire obudziło ciche pukanie do drzwi jej hotelowego pokoju. Jej włosy były roztrzepane i miała na sobie tylko kusą bawełnianą koszulę nocną. Ale on za chwilę by sobie poszedł, skazując ją na dodatkowy sen, którego nie potrzebowała.

- Cole? - zawołała gramoląc się z łóżka. - Nie śpię. Zaczekaj chwilkę.

Pokój zarezerwowany dla niej przez Cole'a w Loew's był raczej nieduży, zgodnie z jej życzeniem. Przez weekend mogła się go nauczyć o wiele łatwiej, niż gdyby miała do czynienia z obszernym apartamentem. Jednak na razie Claire nie znała szczegółów rozkładu pokoju, toteż jej krótka podróż odbywała się po omacku.

- Cole? - zapytała raz jeszcze, dotarłszy do drzwi.

- Tak, Claire. To ja. - Claire otworzyła drzwi. Jej zmierzwione cyrkonowe włosy, błyszczące oczy i zaróżowione policzki tak bardzo kontrastowały z wyczerpaniem, jakie widział u niej dwie godziny wcześniej. - Zdrzemnąłaś się - powiedział z ulgą.

- O, tak. Okno było otwarte, a wiatr był taki ciepły i taki pachnący. Gdzieś w pobliżu są gardenie, prawda?

- Na balkonie.

- I mewy też? I może nawet fale podmywające brzeg? Czy to możliwe? Morze Śródziemne jest tak blisko?

- Tak blisko.

Balkon Claire, ocieniony, samotny, pełen kwitnących gardenii, wychodził na morze.

- Co mogę zobaczyć z mojego balkonu?

- Na prawo i w dole znajduje się przystań.

- Zatłoczona wielkimi jachtami?

- Całkiem zatłoczona - przyznał Cole. - Są dość spore. Przynajmniej dwa z nich mają własne helikoptery.

- Widzisz bandery?

- Bandery, Claire?

- Przecież na każdym statku powinna powiewać bandera danego państwa. Znowu to robiła, znowu sprawiała, że widział więcej niż kiedykolwiek

przedtem. Naturalnie, były tam bandery. I tak jak wyobrażała sobie Claire, w tym porcie morskim, do którego przyplądali bogaci i sławni ludzie, żeby zajmować się hazardem i innymi rozrywkami, stały jachty z całego świata.

- Są bandery - powiedział Cole. - Wszelkich rozmiarów, kolorów i kształtów. Będziemy mogli dokładniej się im przyjrzeć, kiedy pójdziemy na przystań.

Cole opowiedział jej o widoku za przystanią, o postrzępionych nadbrzeżnych klifach, zwieńczonych bajecznym pałacem, i o krajobrazie ciągnącym się dalej, o willach i wieżowcach usadowionych, chyba trochę wbrew zasadom bezpieczeństwa, na obficie porośniętych wzgórzach.

- A wszystko inne, pozostała część krajobrazu, to morze.

Claire odwróciła się ku niemu przechylając głowę w pytającym geście. Jej niewidzące oczy uśmiechały się.

- Czy to akwamarynowe morze? Czy szmaragdowe? A może to lazurowy błękit?

Morze Śródziemne było niebieskie. Ta niebieskość była nakrapiana złocistymi smugami za sprawą promieni zimowego słońca.

- Niebieskie, ale nie lazurowe - powiedział Cole. Ani indygo, kobalt, lapis czy chaber. Właściwie żaden z tych magicznych kolorów, które on kiedyś opisywał, a ona opatrywała nazwami. Ten błękit - czysty, błyszczący, radosny błękit - nie miał nazwy aż do tej pory. - Błękit Claire. Błękit twoich oczu.

- Och - wyszeptała, nagle tracąc oddech. Czy brak oddechu był wywołany paniką? Owym widmem strachu, które tak wiele zabrało? Nie. Ten brak tchu był czymś innym. Czymś cudownym.

- Jest też złoto - ciągnął Cole, łamiąc każdą ze swoich przysięg, niezdolny ich nie łamać, zmuszony do tego pragnieniami swego serca. - Iskrzenie w tym błękicie. Zupełnie jak złociste iskiereki w twoich oczach.

- Ja nie mam złocistych iskierek.

- Ależ masz. Zwłaszcza kiedy jesteś szczęśliwa. Widzę je teraz, Claire, są jaśniejsze niż słońce na morzu. I o wiele piękniejsze.

- Cole...

Jego głos dotykał Claire z pieszczotą łagodniejszą od tchnienia rzeźkiej bryzy, i kiedy opisywał jej wspaniałość słonecznych smug na morzu, naprawdę wierzyła, że widzi to migoczące złoto. A potem dziewczyna znad rozlewiska, odważna i zuchwała marzycielka snująca niemożliwe marzenia, uwierzyła, że widzi coś jeszcze bardziej olśniewającego - coś srebrzystego, jaśniejszego miłością i topiącego się od pożądania, ogień płonący w zmysłowych oczach pantery.

Potem on dotknął jej i zaczęło się święto barw, rzeka tęczy, która popłynęła w jej żyłach ciepłym, parzącym, kipiącym nurtem.

A potem Cole pocałował ją. Wargi, które uwodziły świat piosenkami o miłości, wyruszyły w powolną podróż, by odkryć jej skronie, jej oczy, nos, policzki, jak gdyby to on był niewidomy i tylko w ten sposób mógł poznać każdy centymetr jej ciała.

Ale ta podróż była zbyt powolna! Wargi Claire drżały, wygłodniałe swojej własnej miłosnej piosenki. Odnalazła jego usta, zdumiewając go i wywołując cichy, gardłowy dźwięk czystego pożądania.

- Och, Claire. Pragnę cię.

- Ja też ciebie pragnę.

Kochali się na jej łóżku, pieśczeni wonią gardenii, niewinną i czystą niczym weselny bukiet.

- Claire? - Byli jednością. Już. Stało się to szybko, musiało tak się stać dla obojga. Była wygłodniała tak jak on, równie zdecydowana, a jednak. .. - Nigdy przedtem nie kochałaś się?

Tak, tysiąc razy, milion, w moim sercu, z tobą. Tylko z tobą.

- Nie.

- Dobrze się czujesz?

- Och, tak.

Dziewczyna znad rozlewiska nie mogła już śpiewać z mężczyzną, którego kochała. Ale to nie miało znaczenia. Teraz tworzyli inny duet, nową i cudowną harmonię. Kochając Cole'a, w tym najwspanialszym dzieleniu się sercami, umysłami, ciałami i duszami, Claire śpiewała, śpiewali oboje -najdoskonalszą miłosną piosenkę, jaka istniała.

28

Hyacinth House Sobota, 7 stycznia

Jazda z apartamentu Sarah w Mayfair do odległych granic kornwalijskie-go wybrzeża zabrała niespełna sześć godzin. Cichych godzin, podczas których Sarah przeważnie była myślami zupełnie gdzie indziej. Wspornina przeszłość, uznał Jack. I wyobraża sobie przyszłość.

Czasami jednak Sarah wynurzała się z tego transu spłoszona, zatroskana i całkiem mocno skupiona na teraźniejszości.

- Nadal nikogo nie widzisz?

- Nikogo, Sarah-zapewnił Jack.-Nie jesteśmy śledzeni.

Nie doprowadzamy mordercy do twojej córki. Jack był tego pewien. Przez całą podróż nieustannie spoglądał w lusterko wsteczne. Nie byli śledzeni.

Dlatego że Cole był w Monako? Może tak. A może nie. Pomimo iż Jack żywił zdumiewająco silne pragnienie, żeby supergwiazdor okazał się niewinny, jeszcze nie był w stanie usunąć nazwiska Cole'az listy podejrzanych.

Jednak na owej liście mistrza od łamigłówek znajdowały się także inne nazwiska, inne przekonujące i sugestywne możliwości. Na szczęście żadna z osób figurujących na owej liście nie wybrała się dzisiaj do Kornwalii.

Kiedy dotarli do St. Ives, kiedy od Hyacinth House dzieliło ich już tylko kilka minut jazdy, Sarah zupełnie ocknęła się z zamyślenia. Teraz była w stanie najwyższej gotowości, jej twarz wyrażała niepokój i zapał, a palce mocno wbijały się w dłonie.

- Dobrze się czujesz?

- Nie - wyszeptła, skinąwszy głową w odważnym, przytakującym geście. Potem jednak potrząsnęła głową. - Tak - przyznała.

Jack uśmiechnął się.

- Nie mogłabyś dobrze się czuć, Sarah.

- Chyba masz rację.

- Jeśli chcesz wiedzieć, wyglądasz, jakbyś czuła się świetnie. Wyglądasz wręcz pięknie. Podobajami się twoje włosy.

Długie, jedwabiste czarne włosy Sarah były dzisiaj niemal całkowicie rozpuszczone i luźno przepasane na karku kolorową apaszką, a nie wstążką, którą nosiła w Avalon - chociaż uczesanie się nie zmieniło. W taki sposób układała kiedyś włosy dla swojego niemowlęcia, dla swojej córeczki.

Myślisz, że ona rozpozna ten rozpuszczony kucyk? Że rozpoznaje dziecko, które znało cię tylko z łona? To szalone, Sarah. Ty jesteś szalona. Szalona, w dalszym ciągu obłąkana.

- Sarah?

- Boję się, Jack.

- Powiedz mi, co najbardziej cię przeraża. Boję się, że zacznę krzyczeć i nigdy nie przestanę.

- A jeśli będę musiała jej dotknąć, przytulić ją? Jeśli oszaleję, chwycę ją i nie będę chciała puścić?

- Nie dojdzie do tego, Sarah.

- Myślisz, że całkowiec panuję nad swoją psychiką? - Oczywiście, że nie, chichotały złośliwie jej upiory. Gdyby tak było, gdybyś panowała nad nią choć trochę, nie sugerowałabyś Jackowi - akurat jemu! - że może jesteś troszkę obłąkana. Mów o czystym szaleństwie.

- Wiem, że panujesz nad nią - odparł Jack. - Kwestionowanie własnej normalności to najlepszy dowód, że ona istnieje i jest nienaruszona. Jesteś zdrowa psychicznie, Sarah Pembroke. To, że boisz się tego, co mogłabyś zrobić, jest absolutnie normalne.

- Ale wyładowywanie się nie jest normalne.

- I tego właśnie nie zrobisz. Zablokujesz wszystkie impulsy, bez względu na to, jak będą silne.

- Masz taką pewność w głosie. - Pewność mnie.

- Mam pewność. Jeśli to jakaś pociecha - a mam egoistyczną nadzieję, że tak - będę z tobą przez cały czas.

Zadrżała, ale uśmiechnęła się.

- To jest pociecha. Ja... - ..potrzebuję cię, Jack. - Naprawdę tak jest.

Och, jakże potrzebowała Jacka Daltona. Albowiem zaledwie po kilku krokach na brukowanej krętej drodze do frontowego ganku eleganckiego domu wszystko się rozpadło.

ZAMKNIĘTE. Taką mniej więcej informację przekazywała tabliczka na drzwiach. Napis był wykonany z wdziękiem, ładnym, pełnym zawijasów charakterem pisma. Ale nic nie mogło złagodzić ciosu.

Hyacinth House był zamknięty aż do kwietnia.

- Zapukamy tak czy owak-powiedział Jack.

- I co powiemy? - zapytała Sarah z cichą rozpaczą w głosie. - Że nie umiemy czytać? Albo że chcę zobaczyć moją córkę?

Zanim Jack zdążył odpowiedzieć, ich uwagę odwrócił warkot samochodu na zwirowym podjeździe.

- Och- szepnęła Sarah, kiedy pojawił się jeden z mieszkańców, jedyna osoba, która się liczyła. Jej córeczka. - Och, Jack.

Żeby uspokoić Sarah, trzymał ją w talii i nie puszczał jej, gdy tymczasem Jessica zbliżała się do nich. Miała na sobie dżinsy i kurtkę, szła krokiem radosnym i pełnym wdzięku. A podobieństwo między matką i córką, które, jak twierdziła Enid Duckworth-Parker, „nie ulegało wątpliwości”?

Rzeczywiście było widoczne w elegancko zarysowanych kościach policzkowych Jessiki, w jej ładnym, prostym nosie i wykroju warg. I nie ulegało wątpliwości, że zdumiewająco, zadziwiająco podobna była jej fryzura - lśniące, jedwabiste czarne włosy, związane luźno w kucyk, jak u Sarah, długą kolorową apaszką.

Ale ja nigdy tak nie wyglądałam, doszła do wniosku Sarah. Nigdy nie byłam tak pełna wdzięku, nie jako dziewczynka, i nigdy nie byłam tak szczęśliwa, tak bezpieczna, tak kochana. Nigdy w życiu.

Nawet kobieta kierująca wozem dbała o to, żeby Jessica Cain nie musiała przeżywać stresu. Czekwała z gromadą dziewcząt, aż Jessie minie obcych ludzi, którzy stali na ganku, i bezpiecznie wejdzie do środka.

Dziewczęta jeździły na łyżwach, uświadomiła sobie Sarah, kiedy jej córka podeszła bliżej.

Kochana mamo i tato, uczę się jeździć na łyżwach. W pobliżu Akademii w Vald'Isere znajduje się lodowisko. Kiedy wrócę do domu na ferie, chciałabym wam pokazać, co potrafią. Mam nadzieję, że będziecie ze mnie dumni.

- Ja panią znam! - wykrzyknęła Jessica, kiedy dotarła na ganek. Jej głos był czystą muzyką, tak jak w dniu, w którym przyszła na świat, i teraz Sarah zobaczyła wyraźnie kolor jej oczu, niepowtarzalne połączenie zieleni i błękitu. Czy był to nieprawdopodobny - choć tak wspaniały - podarunek od zdradzonej nastoletniej dziewczynki i jej bezmiennego, świątecznego gwałciciela? A może ta wspaniała harmonia odcieni pochodziła z zupełnie innego źródła, z samej Kornwalii, tego mistycznego miejsca z szafirowym niebem i szmaragdowym morzem?

- Znasz mnie?

- Pani nazywa się lady Pembroke, prawda?

- Tak, ale... - Jestem twoją matką, twoją matką!-Tak się nazywam. Ale proszę, mów do mnie Sarah.

- Ja nazywam się Jack. A ty?

- Jessie.

- Cześć, Jessie.

- Cześć. - Uśmiechnęła się promiennie do obojga gości. Potem uprzytomniła sobie, że wóz, z którego wysiadła, wciąż stoi na żwirowym podjeździe, a kierowca chce mieć pewność, że nic jej nie grozi, toteż pomachała w tamtą stronę. Ten gest oznaczał: jestem bezpieczna z tymi przybyszami. Całkowicie bezpieczna. Kiedy samochód odjechał, znowu przemówiła do Sarah. - Przyjechała pani, żeby zatrzymać się u nas?

Tak. Chcę zostać z tobą. Na zawsze.

- Taki był nasz plan - odparł Jack. - Ale nie zaplanowaliśmy naszego pobytu dość starannie. Hyacinth House jest zamknięty.

- Ale nie dla was! - nalegała Jessica, wciąż skupiając uwagę na Sarah. - Mama ma pomocników we wsi, wystarczy, że do nich zadzwoni, i będziecie mogli mieć apartament narożny, z dwoma widokami na morze, i...

- Jessie?

Jessica odwróciła się od matki, której nie znała, do tej, którą znała.

- Patrz, kto przyjechał, mamó! Lady, to znaczy Sarah...

- Chcesz powiedzieć: lady Pembroke - przerwała łagodnie Emma, uśmiechając się najpierw do swojej córki, a potem do kobiety, którą podziwiała od tak dawna.

- Poprosiłam Jessie, żeby mówiła do mnie Sarah, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. A to jest Jack Dalton.

- Ja nazywam się Emma Cain i chyba czuję to, co Jessie: że panią znam, że jest pani jak członek rodziny. Jest pani w naszym domu tak często, w każdy wieczór, i od samego początku pani kariery Jessie jest jedną z pani najzagorzalszych wielbicielek.

- Mamó.

- To prawda, kochanie, i jestem pewna, że lady - Sarah - nie ma nic przeciwko temu, co usłyszała. Zanim Jessie rozumiała jakiegokolwiek słowa, była oczarowana pani głosem. Siedziała jak urzeczona i tylko słuchała, nawet jeśli pani twarzy nie było na ekranie.

To dlatego, że rozpoznaje mój głos! Przez osiem miesięcy byliśmy razem, kiedy ona była malutkim płomykiem nadziei we mnie, mówiłam do niej cały czas. I teraz pragnę ją przytulić, kochać, nigdy nie wypuścić z objęć. Pomóż mi, Jack! Jestem szalona, naprawdę obłąkana, i za chwilę...

- Widać, że jesteś łyżwiarką, Jessie - powiedział Jack, pokazując jasno-białe łyżwy, które wyglądały na nowe, jakby zostały kupione pod choinkę.

Jessica skinęła głową, a Emma powiedziała z dumą:

- Ależ ona jeździ nieustannie.

- Czy to nie rani ci kostek? - głos Sarah był spokojny, wcale nie obłąkany, a ręce miała opuszczone. Ale wciąż czuła się tak niepewnie, zwłaszcza w tej chwili, kiedy przypominała sobie własne doświadczenia na lodowisku w Val d'Isère, delikatne kostki nóg, które były posiniaczone i nieustannie obolałe.

Jessica odpowiedziała po namyśle:

- Są ćwiczenia, które można i należy robić: takie, które wzmacniają kostki. - Uśmiechnęła się po chwili. - Potem to wcale nie boli.

- Czy dzisiaj dobrze poszło, kochanie?

- Naprawdę dobrze. - Tytułem wyjaśnienia dla Sarah i Jacka, Jessica dodała: - Mama nie mogła przyjść, ponieważ musiała zrobić tort weselny.

- A poza tym - dorzuciła Emma - tata Jessie i ja nie jesteśmy - zachęceni do patrzenia, jak ćwicz.
 - Dlaczego nie? - zapytała Sarah. Bo złościsz się za każdym razem, gdy upadnie? Kiedy ponosi porażkę? Bo za dużo od niej wymagasz? Marnujesz nasz czas, Sarah! Mówiłaś, że umiesz jeździć na łyżwach, a tu proszę-jesteś okropna.
 - Bo za bardzo się przejmują! Za każdym razem, gdy się przewrócę, chcą, żebym w ogóle przestała jeździć na łyżwach.
- Emma czule pogładziła Jessie po błyszczących czarnych włosach.
- Po prostu lód jest taki twardy i taki zimny. Taki zimny jak wiatr w tej chwili. Proszę, wejdźcie do środka. Bardzo byśmy chcieli, żebyście zostali tutaj na noc. Zresztą, możecie zostać jak długo zechcecie. Jak powiedziała Jessie, nie ma absolutnie żadnego problemu.
 - Tylko na dzisiejszą noc - zdecydowała Sarah po namyśle. Nie była pewna, czy będzie w stanie zatrzymać się w Hyacinth House, spać pod tym samym dachem, co jej córka. Ale będzie kurczowo trzymała ręce przy sobie, nie będzie obejmowała Jessie, nie będzie jej dotykała ani gładziła jej jedwabistych czarnych włosów. I nie wykrzyczy na głos pragnień swojego serca. Teraz Sarah najbardziej obawiała się widma jutrzejszego dnia, konieczności pożegnania.
 - A co do kolacji...-Emma zmarszczyła brwi.
 - Proszę się o to nie martwić. Jestem pewna, że w wiosce są jakieś restauracje.
 - Szczerze mówiąc, trzeba jechać do St. Ives.
 - Moglibyście pojechać z nami. Prawda, mamó? Z tobą, ze mną i z dziadkami.
 - Jessie i ja jemy dziś kolację z moimi rodzicami w Sloop Inn - wytłumaczyła Emma. - Sprawiliby nam ogromną przyjemność, gdybyście się do nas przyłączyli.
 - Nie chcielibyśmy przeszkadzać - to znaczy, już i tak wam przeszkadziliśmy.
 - Wcale nie będziecie przeszkadzali. Jak już mówiłam, traktujemy panią jak członka rodziny. Moi rodzice będą bardzo przejęci mogąc panią poznać.
 - Tata nie będzie jadł z nami kolacji - oświadczyła Jessica, błyskawicznie oprowadzając Sarah i Jacka po domu, podczas gdy Emma dzwoniła do swoich pomocników w wiosce. - Musi pracować, prawdopodobnie zajmie mu to całą noc. Ale na pewno będzie chciał was poznać.
 - A my chcielibyśmy poznać jego.
 - Moglibyśmy zrobić to teraz - zaproponowała Jessie. - Jest na zewnątrz, w domku ogrodnika, i jest prawie czwarta, pora na herbatę. Albo, w przypadku taty, na gorącą czekoladę.
- Skoro Jessica szła do domku ogrodnika, żeby zanieść gorącą czekoladę swojemu ojcu, to Sarah również chciała tam być. Z Jessie. Za sprawą córki zaniknęły u niej wszelkie cechy Sarah Pembroke,

kobiety-wojowniczką. Przeszła być również korespondentką wojenną, słynącą z daru wyostrzonej obserwacji. Sarah była teraz matką zahipnotyzowaną własnym dzieckiem i nie zwracała uwagi na nic innego - nawet na małe, ale bardzo złowieszcze w swej wymowie dzieła sztuki, które stały na postumentach w salonie i ozdabiały wyfroterowane parkiety korytarzy w Hyacinth House.

Jack czuł, że powinien ją przygotować, ostrzec. Musiał jednak wygospodarować kilka chwil, aby oddalić się od pełnej wdzięku małej gospodyni, która była ukochanym dzieckiem Sarah.

I właśnie dzięki tej ukochanej córce nadarzyła się okazja. Kiedy dziewczynka zniknęła w spiżarni, skąd miała wziąć termos na gorącą czekoladę, Jack złapał Sarah za rękę, żeby udaremnić jej pójście za Jessie.

Odwróciła się do niego, spłoszona.

- Musisz być bardzo ostrożna, Sarah.

- Co? Och, Jack, czyja zachowuję się zbyt demonstracyjnie? Myślisz, że Emma może podejrzewać, jaka jest prawda?

- Nie, Sarah, świetnie sobie dajesz radę i jestem pewien, że Emma nie ma pojęcia, kim jesteś. - Obie jesteście matkami, skoncentrowanymi na swojej córce, nie zwracającymi uwagi na nic innego. - To musi być dla ciebie strasznie trudne.

- Ona jest taka śliczna, Jack.

- Jak ty, Sarah. Zupełnie jak ty. Ale kiedy spotkamy... jego... musisz być bardzo ostrożna.

- Dlaczego?

Chwila dobiegła końca. Jessica wróciła.

I już wkrótce Sarah sama miała poznać odpowiedź na swoje pytanie.

- Tu mieszkałam z mamą i z tatą, kiedy byłam mała – powiedziała Jessie kiedy zbliżyli się do domku. Mały budynek emanował romantycznym urokiem, wydawał się osobliwie przytulny, stał w cieniu opiekuńczej, majestatycznej wierzby. - Potem moi dziadkowie wyjechali do St. Ives, a my przeprowadziliśmy się do głównego domu, domek zaś służył tacie jako pracownia.

Wybrukowana kocimi łbami droga prowadziła do drzwi frontowych. Jednak przed samym wejściem Jessica skręciła i okrążyła domek, by dotrzeć do mniej czarującego zakątka, który skrywały opadające konary mamuciego drzewa.

Najwyraźniej owa pozbawiona polotu przybudówka znajdowała się tu tylko tymczasowo. Był to jakiś toporny twór ze sklejki, zdecydowanie wyższy od reszty domku, ale pod względem powierzchni dosłownie identyczny. W ścianach nie było okien, tylko pojedyncze szerokie drzwiczki.

- To z powodu Peggy - wyjaśniła Jessica, nie wyjaśniając niczego, ale jej zielone jak morze oczy błyszczały z podniecenia na myśl o tym, że podzieli się ze swymi gośćmi czymś wręcz cudownym. - Zobaczycie ją za chwilę. Kiedy nadejdzie czas jej wyprawki, to wszystko zostanie zburzone. - Potem, kiedy dotarli do drzwi, Jessie zniżyła głos do szeptu, a jej lśniące oczy zrobiły się jeszcze bardziej przejęte. - Zawsze najpierw pukam, bardzo cicho, w razie gdyby akurat robił jakiś szczególnie trudny detal. Ale jemu i tak nigdy nie zadrży ręka!

I nigdy nie odrzuca cię? Zastanawiała się Sarah, przypominając sobie własne próby przynoszenia rzeczy dla swojego ojca. „Nie przeszkadzaj mi teraz, Sarah. Jestem zajęty. Postaw herbatę na stole i wyjdź”.

Ale głęboki męski głos, który odpowiedział na ciche pukanie Jessie, wyrażał jedynie miłość.

- Jessie?

- Cześć, tato - odparła, uśmiechając się do Sarah i Jacka, kiedy otwierała drzwi ze sklejki. - Nigdy nie zgadniesz, kto jest ze mną! Lady Sarah Pembroke i jej przyjaciel Jack.

Ani Sarah, ani Jack nie mieli okazji zobaczyć pierwszej, spontanicznej reakcji Lucasa Caina na tę nowinę. Całkowicie zastąpiła go Peggy, ogromny posąg Pegaza wyrzeźbiony w idealnie białym marmurze.

W innych warunkach - gdyby nie trzeba było myśleć o czarnych sercach wyrzeźbionych w kamieniu i karmazynowych nacięciach na alabastrowej skórze - Jack byłby się zachwycał cudownym skrzydlatym rumakiem, a także niezwykle zbiegiem okoliczności.

Pegaz. Ta wspaniała mitologiczna istota, wykonana dla Jacka przez jego ojca jako rodzaj łamigłówki, jako wyzwanie. Ale przede wszystkim jako dar miłości. Na skrzydłach tego szlachetnego stworzenia rodzina Daltonów poszybowała ze skromnej egzystencji do wielkiej fortuny.

A teraz ten mitologiczny koń, symbolizujący tak wiele w życiu Jacka, został przez niego znaleziony tutaj, w tym uroczym domku w Kornwalii. Ten Pegaz był tutaj i wyglądał jak żywy. Wydawało się, że to muskularne, tchnące energią ciało z marmuru za chwilę wzbije się w powietrze na swoich pierzastych skrzydłach. To mityczne stworzenie potrafiło latać i zaraz miało tego dowieść.

Ale w ten zimowy dzień czarnych serc i karmazynowych gardeł Jack widział tylko pracownię rzeźbiarza i narzędzia do rzeźbienia w kamieniu: ostre jak nóż dłuta, porzucane między odłamkami marmuru na ziemi.

Jack wiedział, co znajdą w domku. Podczas zwiedzania Hyacinth House, kiedy Sarah utkwiała oczy w swojej córce i była ślepa na wszystko inne, Jack zobaczył dumnie prezentujące się posągi. Były małe, niewiele większe od układanek sprzedawanych przez jego rodzinę. W posągach rzeźbionych w kamieniu przez Lucasa Caina nie było ukrytej łamigłówki. Tylko mroząca krew w żyłach, zatrważająca poszlaka.

Pomimo ostrzeżenia Jacka, Sarah nie była przygotowana. Starła się uzbroić swoją psychikę i swoje serce w związku z tym, co już wiedziała o Lucasie Cainie - że podobieństwo między Jessicą i jej przybranym ojcem jest tak uderzające, iż nikomu nie przyszłoby do głowy poddawać w wątpliwość jego biologiczne ojcostwo.

Sarah zobaczyła go teraz, cień wynurzający się spod śnieżnobiałego skrzydła. Włosy miał równie czarne jak ona, a jego oczy, tak jak jej oczy, były ciemne, ciemnozielone. Ręce miał puste, nieuzbrojone w żadną broń, ale była w nich tak duża siła, i jeszcze ta niesamowita dzikość w kamiennej, znieruchomiłej twarzy.

- Dzień dobry. - Jego uśmiech był ledwo zauważalny, grzeczny, ale chłodny. - Jestem Lucas Cain.

- Ja nazywam się Jack Dalton, a to jest Sarah Pembroke. Przyjechaliśmy bez rezerwacji, nie wiedząc, że pensjonat jest zamknięty, ale pańska żona wspaniałomyślnie zaproponowała, że nas przenocuje.

- I wybierają się z nami na kolację!

- Och? Jak miło. - Lucas Cain uśmiechnął się, naprawdę uśmiechnął się do Jessiki.

Ale dzikość nie zniknęła.

- To jest Peggy. - Jessica poklepała biały pysk skrzydlatego konia, jakby to był ciepły aksamit, jakby to cudowne stworzenie z marmuru było ukochanym zwierzęciem rodziny. Z tęsknym westchnieniem, które potwierdzało jej ciepłe uczucia dla posągu, dodała: - Jest prawie skończona. Potem opuszcza nas.

- A dokąd się wybiera? - zapytał Jack.

- Do lobby Asquith Towers.

Gdzie będę go - a raczej ją - widzieć codziennie, pomyślała Sarah.

- Musi pan znać Timothy'ego.

- To właśnie on zamówił tę rzeźbę.

- W gabinecie Timothy'ego jest kupidyn z czarnego marmuru - powiedziała Sarah półgłosem. Potem, jakby usłyszała echo ostrzeżenia Jacka, że musi być bardzo ostrożna, zmusiła się do pogodnego tonu. - To musi być pańskie dzieło.

- Rzeczywiście.

- A tamte posągi? - zapytał Jack, wyciągając rękę w kierunku mniejszych, częściowo wyrzeźbionych posągów pod ścianami prowizorycznego pomieszczenia.

- Timothy ma przyjaciół. Był tak uprzejmy, że pokazał im moje prace, i tak się zaczęło.

- Tata jest niewiarygodnie zapracowany! Wszyscy chcą mieć jakiś posąg jego dłuta. Właśnie dlatego dzisiaj nie może zjeść z nami kolacji. - Dumny uśmiech Jessiki przerodził się w zmartwioną minę. - Ale Wolalabym, żebyś mógł, tato. Pracujesz o wiele za ciężko.

- Wiesz co, Jessie? - zagadnął łagodnie Lucas. - Myślę, że masz rację. Twoje życzenie właśnie się spełniło.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Musimy ją stąd wydostać.

29

Ich apartament z dwiema sypialniami mieścił się na drugim piętrze Hyacinth House, w skrzydle dla gości, z dala od pokoi zamieszkiwanych przez rodzinę. Jego ściany, wzniesione silnymi rękami Lucasa Caina, były grube, solidne, dosłownie dźwiękoszczelne.

Mimo to Sarah wypowiedała te słowa błagalnym szeptem.

- Teraz, Jack. Musimy ją zabrać teraz. Odpowiedź Jacka zabrzmiała jeszcze ciszej.

- Nie, Sarah.

- Nie? Ale przecież wierzysz, że to on, prawda? - zagadnęła. Jednak kiedy patrzyła ze zdumieniem na jego denerwująco beznamiętną twarz, uświadomiła sobie, że Jack nie zamierza jej wyjawiać, w co wierzy. - To znaczy, wiem, że nie lubisz wyciągać pochopnych wniosków, ale on rzeźbi w kamieniu. I jest oczywiste, że on wie, kim jestem, nie uważasz?

- Tak. Wie.

- Nie widzieliśmy, jak zareagował na moją obecność tutaj. Ale założę się, że nie był ani trochę zaskoczony. On się mnie spodziewał, Jack. Prawdopodobnie sam napisał ten list. Enid Duckworth-Parker może nawet nie istnieje.

- Ona istnieje, Sarah. I to jest jej charakter pisma.

- Sprawdziłeś? Dlaczego?

- Ponieważ należy zwracać uwagę na wszystko. Każdy drobiazg może się okazać ważnym tropem.

- Z wyjątkiem rzeźbiarza? Lucas poprosił ją o napisanie tego listu, Jack, żebyśmy się spotkali. Bez wątplenia zaproponował jej, że w zamian wyrzeźbi dla niej coś ładnego. Może serce albo następnego kupidyna z czarnego marmuru.

- Lucas nie musiał wymyślać sposobu, żeby cię spotkać, Sarah. Był razem z Emmą na sylwestrowym przyjęciu Timothy 'ego.

- Widziałeś ich?

- Zauważyłem ich tuż przed tym, jak zaczęliśmy tańczyć. A potem, Sarah, zwracałem uwagę tylko na ciebie.

Jego ciemnoniebieskie oczy przypominały jej intymną prawdę. Rozmawiamy o morderstwie, Sarah, ale ty i ja jesteśmy tancerzami. Tancerzami, tancerzami, nie wrogami.

- Nie twierdzę, że Lucas nie jest zabójcą, Sarah. Ale nasuwają się pewne pytania, które wymagają odpowiedzi. - Pytania dotyczące Lucasa, Sarah, ale nie nas. Nam jest przeznaczony tańczyć, kochać.

- Pytania? - powtórzyła, odwracając się od niego. Ten pełen wdzięku piruet był formą tańca, ale oddalał ją od niego. - Jakie pytania?

- Hm, zacznijmy od tego, że Lucas Cain prowadzi pensjonat w Anglii. Co go łączy z dwiema najsławniejszymi aktorkami Hollywood?

- Nie wiem.-Sarah stała twarzą do morza i przemawiała z cichą pasją do tej szmaragdowej wspaniałości. - Ale coś go łączy. Jestem tego pewna. Dowiemy się tego. Dowiem się tego.

A potem zabiorę moją ukochaną córkę daleko stąd.

Właściwie to Jack odkrył powiązania Lucasa Caina z Hollywood. Wiadomość nadeszła po kolacji w St. Ives, wydarzeniu, które bardzo przypominało Jackowi jego rodzinne kolacje, krąg miłości, w którym dzieci były równie ważne jak dorośli, a nawet ważniejsze.

Zanim wrócili do Hyacinth House, zrobiło się bardzo późno i Jessica musiała iść spać. Poszła niechętnie, chociaż nie okazywała niezadowolenia; zostawiła swoich rodziców, Sarah i Jacka w salonie, żeby mogli się rozkoszować świeżo zaparzoną czarną kawą oraz dorosłą rozmową pośród wyrzeźbionych w kamieniu posągów.

Na zewnątrz kłębiły się bardzo ciemne chmury - zapowiedź ożywczej i gwałtownej burzy, która nabierała impetu w tę zimową noc, by od czasu do czasu zagłuszać albo tylko podkreślać słowa wypowiedane w czterech ścianach salonu. Kiedy Jack opisywał książkę, którą zamierzał napisać o

Sarah i innych korespondentach wojennych dwudziestego wieku, ogołoczone za sprawą zimy gałązki forsycji stuknęły lekko o szyby, jakby wyrażały aplauz. Kiedy zaś mówiono o życiu Sarah w okopach śmiertelnych zmaganiach, niebiosy syczały i grzmiały. Potem zaś, kiedy Emma wyrażała ulgę, że Sarah zostawiła za sobą śmierć i zagrożenie, znowu się uspokajały, pozwalając sobie na bardziej stonowany entuzjazm.

Właśnie wówczas, w chwili wręcz niesamowitego spokoju, Sarah zagadnęła przyjazną gospodynię:

- A teraz opowiedz nam o was dwojgu, Emmo. Gdzie się poznaliście?

- We Florencji. Lucas studiował w Stanford, a ja w Cambridge, i obie uczelnie miały wspólny program wymiany.

- Ashley Alexander uczestniczyła w podobnym programie.

Emma otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Ashley była w naszej grupie. Ale skąd o tym wiesz, Jack?

Ponieważ ja odnajduję morderców dzięki skrupulatności. Ta informacja o studenckiej karierze Ashley Alexander przyszła faksem - jedno zdanie ze sterty tomów przekazanych przez prywatnego detektywa w Los Angeles. Stosowny artykuł pochodził z „Vahity Fair”. Był to wywiad ze sławną aktorką, ilustrowany interesującymi zdjęciami Annie Leibovitz.

- Od jej śmierci, od czasu, kiedy została zamordowana, trochę interesowałem się jej przeszłością.

- Czy planujesz napisać o niej książkę?

- Nie. I myślę, że nikt jej nie napisze, dopóki nie zostanie wyjaśniona tajemnica tego morderstwa.

- Chciałabym, żeby to zostało wyjaśnione - mruknęła Emma.

Podczas tych słów wiatr znowu zaczął wiać, oddychać. Burza wstrzymywała oddech - Sarah uświadomiła sobie, że ona sama zachowywała się tak samo. Ale teraz Sarah Pembroke znowu oddychała, i to ze zdumiewającym spokojem. Potrzebne powiązanie między Lucasem Cainem i rzezią w mieście blichtru zostało prawie całkowicie wyjaśnione.

- Czy Ashley była dobrą przyjaciółką, Emmo?

Po chwilowym wahaniu Emma powiedziała z emfazą:

- Tak. Mieszkałyśmy w jednym pokoju, a z Lucasem znali się od pierwszego roku studiów w Stanford.

- Kontaktowałyście się ze sobą przez te lata?

- Nie. Ale niezwykłym zbiegiem okoliczności Lucas był w Los Angeles w ostatnie walentynki.

W tym momencie znikły wszelkie ślady spokoju, zarówno w duszy Sarah, jak i w miotanym przez burzę świecie na zewnątrz. To nie jest zbieg okoliczności! Krzyczał wiatr. Lucas Cain jest mordercą.

Cicho, rozkazała swoim krzyczącym myślom i szalejącemu wiatrowi. Niech on nie wie, że został zdemaskowany, że zabójca tajemnica została odkryta.

Jednak ani burza, ani jej myśli nie usłuchały naglącej komendy. Sarah nie patrzyła na Lucasa, nie miała odwagi. Wyczuła jednak, że on jej się przygląda i że za chwilę wszystko będzie stracone. Zorientuje się, że ona zna prawdę o czerni jego serca i żądzy krwi jego utalentowanych rąk, które zamieniały kamień w ciało, a ciało w strzępy.

Potem Sarah usłyszała głos, ten głos, i spojrzała na zimne jak lód, błękitne oczy.

- Czy widziałeś Ashley, kiedy tam przebywałeś, Lucas? - zapytał Jack.

Wiatr znowu wstrzymał oddech, wstrząśnięty samą śmiałością tego pytania - albo jego nieodgadnionym spokojem. Teraz istniała tylko jedna burza, gwałtowna i groźna, i ta burza szalała we wnętrzu Lucasa Caina.

- Tak - odparł wreszcie. - Bardzo krótko. W przeddzień jej śmierci.

- On znał Ashley i był tam, kiedy zginęła. Nie zapytaliśmy o Paulinę -nie mogliśmy, bo ujawnilibyśmy, że wiemy - ale ona i Ashley były przyjaciółkami, więc bez trudu mogła poznać Lucasa. To on, Jack. Ale...

- Ale? -powtórzył Jack. Czy zastanawiasz się, tak jak ja zastanawiam się od samego początku, jak ten wspaniały twórca skrzydlatych koni, ten kochający ojciec i mąż mógłby być tak nikczemną bestią? - Ale co, Sarah?

- Zastanawiam się, czy te zabójstwa były impulsywne, nie tak chłodno wykalkulowane, jak sądziliśmy. Może zamordowanie Ashley było zbrodnią z afektu, a potem, może dlatego, iż Paulina wiedziała, że on był z Ashley, Lucas musiał zabić i ją. Mógł upozorować romans po tych zabójstwach. Mówiłeś, że w żadnym z domów nie znaleziono kopert, co oznacza, że listy mogły zostać podrzucone, i to wszystkie trzy naraz, razem z szampanem i różami. Myślisz, że to możliwe?

- Tak, to jest możliwe.

- Czy nadal masz pytania, Jack? Nie o to, jak to zrobił, ale czy w ogóle to zrobił?

Wahanie Jacka trwało tyle, co bicie serca, a potem odpowiedział jej, nie odpowiadając na pytanie.

- Chyba próbuję zinterpretować fakt, że Lucas przyznał się do spotkania z Ashley.

- On myśli, że jest bezpieczny, nietykalny. Nie wie, że dobraliśmy się do niego, i bez wątplenia bardzo się tym wszystkim bawi.

- Nie wyglądał na kogoś, kto dobrze się bawi. Emma była wyraźnie wstrząśnięta informacją, że widział ich przyjaciółkę z przeszłości. Dlaczego Lucas po prostu nie skłamał w sprawie tego spotkania?

- Bo jest potworem. Chciał zranić swoją żonę.

Czuła się taka dotknięta.

- Widziałeś ją, Luc? - Byli w swojej sypialni, w miejscu, które od sylwestra było świadkiem jeszcze śmielszej namiętności, jeszcze zuchwalszej intymności między wiejską dziewczyną i mężczyzną, którego kochała-i któremu ufała, że jest wobec niej szczerzy, zawsze.

- To Ash zaaranżowała moją podróż do Los Angeles. To ona była tak zwanym kolekcjonerem dzieł sztuki. Była na przyjęciu Gemstone Pictures w Beverly Hills, kiedy Timothy pokazał jej zdjęcia moich prac. Ta część historii była prawdziwa. Ale Lenore Buchanan, ślicznotka z południa uwielbiająca sztukę, w rzeczywistości nigdy nie istniała, podobnie jak Daphne. Nie miałem o tym pojęcia, Emmo, dopóki Ashley nie weszła do holu mojego hotelu.

- Nadal cię pragnęła, po tylu latach. Wciąż miała obsesję.

- Ale ja nie miałem obsesji, Em. Właściwie byłem wściekły i powiedziałem jej o tym bardzo jednoznacznie.

- Ale nie powiedziałeś mnie.

- A po co? Zmarła następnego wieczoru. - I ta zdrada, moje kochanie, to zatajenie jest drobiazgiem w porównaniu z czymś innym, co przed tobą ukrywam.

- Ale...

- Mamo? Tato?

Stała w korytarzu, ich mała ukochana dziewczynka, a jej zatroskaną, śliczną twarzyczkę nagle rozświetliła błyskawica.

- Tak, kochanie?

- Ta burza jest taka głośna, tak rozwścieczona i wcale nie chce przestać! Mamo, ja się boję.

Ja też, pomyślała Emma. Tak się boję tego, czego nie wiem o moim ukochanym mężczyźnie... tego, czego mi nie powiedział... innych tajemnic, którymi się nigdy nie podzielił. Innych tajemnic? Zapytało błagalnie jej serce. Tylko dlatego, że Lucas nie powiedział ci, że widział się z Ashley...

Są jakieś inne tajemnice. Oświadczenie płynęło z głębi duszy, z tego kłębowiska mrocznych, udręczonych myśli, które tak starannie owinięta srebrzystą nadzieją w Boże Narodzenie. Teraz to opakowanie zostało rozerwane na drobne strzępy.

- Może będę spała dzisiaj z tobą, Jessie? - Emma nie patrzyła na Lucasa, nie była w stanie, podobnie jak nie mogła dziś z nim spać tutaj, w tym pokoju, na tym łóżku, gdzie mówili sobie tak intymne prawdy. - Jeśli nie będziemy mogli zasnąć, po prostu spędzimy noc rozmawiając. Dobrze?

- Dobrze, mamó. Ale czy ty nie będziesz miał nic przeciwko temu, tato? A co z Peggy? A jeśli wierzba przewróci się i zniszczy ją?

Och, moje małe kochanie, pomyślał Lucas. Zdruzgotany posąg z białego marmuru to naprawdę drobiazg w porównaniu z czymś innym, co jest niszczone tej nocy.

Zdobył się na uśmiech dla Jessie i dla Emmy. Ale Emma nie spojrzała na niego swoimi zbolętymi niebieskimi oczami i chyba nawet go nie słyszała, kiedy z łagodnością, która była zarazem dzika i surowa, zapewnił:

- Nic nikomu się nie stanie.

- Nie, nie, proszę!

Gorączkowy krzyk Sarah nie obudził Jacka. Jack nie spał całą noc. Z powodu burzy? Nie. To była mało znacząca, chociaż zdumiewająco gwałtowna przeszkoda. To jego nabrzmiałe zmartwienia, w połączeniu z faktem, że sprawował wartę, uniemożliwiały mu zaśnięcie.

Jack spędził noc w saloniku ich apartamentu. Było to jedyne wejście prowadzące do środkowego pomieszczenia. Masywne drewniane drzwi były zamknięte na zamek i cały czas obserwowane przez Jacka. Nie dlatego, żeby zabójca - zwłaszcza sprytny, wytrawny zabójca - miał popełnić morderstwo w swoim własnym domu.

Sarah była bezpieczna.

Tylko że teraz wydawała zdesperowany, przerażony, błagalny krzyk.

Ale była sama. Czuł pulsującą ulgę, kiedy wpadł do jej sypialni. Napastnik żył tylko w jej snach. Być może było to upiorne wspomnienie wojny. W tę noc, kiedy szalejąca natura naśladowała odgłosy bitwy, istniało prawdopodobieństwo, że okropne uśpione obrazy prześladowały umysł Sarah i wkradały się do jej snów.

Teraz wargi Sarah były milczące. Ale czyżby drżały? A jej twarz, szarość przystłonięta splątanymi czarnymi włosami, była taka zaszępiła. Kiedy Jack delikatnie dotknął jej ramię, przekonał się, że są napięte i ostrożne jak u wojownika, czujne nawet podczas snu. Jego delikatne ręce odkryły coś jeszcze, coś znacznie bardziej miękkiego. Kosztowny materiał, z którego była uszyta jego niebieska koszula.

- Sarah?

Jej powieki zatrzepotały z pełną wdziękiu perfekcją dwóch malutkich, czarnych jak węgiel wachlarzy. A zielone oczy za tymi cudownymi rzęsami? Były zmieszane, ale nie przestraszone.

- Jack.

- Dzień dobry. - Uśmiechnął się i odsunął, żeby mogła swobodnie usiąść. - Myślę, że miałaś koszmar senny.

- Och. Tak, chyba tak. - To było coś więcej niż domysł. Sarah wciąż pamiętała swój sen, dobrze go знаła, czy to na jawie, czy we śnie. Przebywała w tej wilgotnej, mrocznej piwnicy, była gwałcona, zdradzana, błagała Boga, żeby mogła wykrwawić się na śmierć.

- Sarah? Dobrze się czujesz?

- Tak. Jest rano, prawda?

- Już prawie.

- Ale ty już się ubrałeś.

- Spędziłem noc nastuchując burzy.

- I odgłosu kroków?

- No pewnie.

- W twoim głosie nie słychać takiej pewności.

- Przyznaję, że obraz Lucasa Caina, brutalnego mordercy, jakoś do mnie nie przemawia.

- Ale Cole przemawia?

- Nie. Niezupełnie.

- Nie?

- Nie. Ale, Sarah, w tej łamigłówce chodzi o fakty, nie o uczucia.

- Wiem. I wiem też, co Jessie czuje do Lucasa, jak bardzo go kocha. Bez względu na to, czego pragnę, Jack, nie chcę, żeby moja córka musiała się zmierzyć z faktem, iż ukochany przez nią ojciec jest zabójcą. Ale jeśli Lucas jest mordercą, albo jeśli jest nim Cole, to będą musieli ponieść odpowiedzialność. - Sarah uśmiechnęła się niepewnie. - Widzisz, jaka potrafię być logiczna.

- Widzę - odparł Jack.

Całkiem nagle Sarah uświadomiła sobie, co jeszcze widział Jack. Sarah Pembroke, z rozpuszczonymi włosami, tak jak kiedyś w Paryżu, roztrzepanymi po nocy i opadającymi na jego jasnoniebieską koszulę-jej koszulę nocną- i... - jestem tą dziewczyną w piwnicy, Jack, tą felearną, rozczarowującą dziewczyną, którą można rozporządzać.-Chyba pójde się przejść.

- Przejść się, Sarah?

- Żeby przewietrzyć głowę, narzucić sobie czystą logikę.
- Żeby poszukać w jego studiu serca wyrzeźbionego w kamieniu?
- Nie - odparła uroczyście. - Obiecuję, że tego nie zrobię. Pójdę tylko na klif i przez chwilę popatrzę na morze, a potem wrócę. Będę na widoku cały czas.

Jessica spała, skulona w ramionach Emmy, z dala od gościnnego apartamentu, w którym zatrzymali się Sarah i Jack. Nie mogła usłyszeć rozpaczliwego okrzyku Sarah. Mimo to obudziła się nagle właśnie w tym momencie.

- Jessie?

- Mamo.

- Nic ci nie jest? Obudziłaś się tak gwałtownie. Miałaś zły sen? Jessica zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Nie pamiętam. - Przestała marszczyć brwi, kiedy zdała sobie sprawę, że w sypialni jest mnóstwo perlisto szarego światła. - Och, to już dzień. I burza się skończyła, prawda? Zobaczę, czy u taty wszystko w porządku.

Powiedziawszy to Jessica wyskoczyła z łóżka i zniknęła w korytarzu, zostawiając Emmę z echem jej biegnących stóp... i z jej własnymi pogodnymi myślami.

Były to radosne myśli. Srebrzyste myśli. Tak, moje kochanie, burza dobiegła końca.

Emma spędziła noc szukając wytłumaczenia zdrady Luca, które mogłoby ocalić jej umierające serce. I w końcu znalazła takie wytłumaczenie. On był wściekły na Ashley. Przecież nawet sam to przyznał. Oczywiście, zważywszy na to, co przydarzyło się Ash, Lucas miał ogromne poczucie winy w związku z okrutnymi słowami, jakie wypowiedział pod jej adresem w przeddzień jej śmierci. Jednak zamiast podzielić się z Emmą tym poczuciem winy, tą udręką, zachowywał je dla siebie, podobnie jak prawdę o postępkach Ashley - o tym, że właściwie zdradziła ją, że bezczelnie usiłowała uwieść jej męża. Zachowując milczenie, oszczędzając Emmie zarówno prawdy, jak i udręki, umożliwił jej opłakiwanie śmierci kobiety, która kiedyś była jej przyjaciółką. Jej smutek był prawdziwy, nieskażony, bez żadnych plam.

Ach, więc to tak. Lucas chciał ją uchronić od niepotrzebnych rozterek. To właściwie nie była zdrada. A co do innych sekretów? Nie istniały, chyba że w jej wyobraźni.

W tym momencie Jessie przybiegła z powrotem, a jej oczy błyszczały niczym srebrzysta nadzieja Emmy.

- Nie ma go w twojej sypialni, ale w domku nadal pali się światło i wierzba nadal stoi, więc Peggy również nic się nie stało!

- Och, dobrze - szepnęła Emma. Nikomu nic się nie stało. Tak jak obiecywał Luc, Burza się skończyła i wszyscy przetrwaliśmy.

- Mamo?

Jessie stała teraz przy oknie swojej sypialni, nachmurzona, zatroskana. Emma szybko podeszła, żeby zobaczyć, co spowodowało tak gwałtowną zmianę na wyrazistej twarzy jej córki.

- Czyżby burza wywołała jednak jakieś szkody, Jessie?

- Nie. Chodzi o tatę i Sarah. Wydają się rozgniewani, mamo. Naprawdę rozgniewani.

Burza się nie skończyła. Jej prawdziwa furia i największe zniszczenia miały dopiero nadejść. Sarah i Lucas stali na klifie ponad morzem, w miejscu, w którym Emma i Lucas stali przed wielu laty, kiedy ona była taka oszołomiona, a on składał uroczyste przyrzeczenia. Będę ci wiemy, Emmo, i będę wobec ciebie uczciwy. Zawsze.

Namiętność. To słowo, nieproszone i zabarwione bólem, dobrze oddawało scenę na klifie. Nawet z tej odległości można było dostrzec aurę, która uwydatniała zdumiewające, czarnowłose postacie. Wydawało się, że emocje tych dwojga świecą jasnym blaskiem na tle perlisko szarego nieba, wręcz iskrzą się od gorąca i w każdej chwili mogą wybuchnąć, zamienić się w piekło płomieni.

Czy ten gorejący nimb kiedykolwiek zapłonął? Naturalnie, że tak. I ogień wciąż jeszcze się tlił, a jego żar nie chciał zgasnąć, rozpaczliwie pragnął zapalić się żywym ogniem jeszcze raz.

Pragnienie. Pożądanie. Tęsknota. Gniew. Takie emocje Emma dostrzegła w oczach Luca w sylwestra, kiedy wpatrywał się w tańczącą z Jackiem Sarah. I zaledwie parę minut później to Emma doświadczyła zdumiewająco rozpalonego Lucasa Caina, gorejącej magii, która płonęła w sercu zielonookiego czarodzieja.

Tamtej nocy Emma była kobietą, każdą kobietą dla mężczyzny, którego kochała. Narzeczoną, kurtyzaną, żoną... i kochanką.

Och, Lucas. Kiedy kochałeś się ze mną, kiedy potrzebowałeś mnie, jak nigdy przedtem, tak naprawdę byłam tylko jedną kobietą, prawda? Byłam Sarah.

- Mamo? Dlaczego oni sana siebie tacy wściekli?

W tej chwili Emma dorosła. A co z oszołomioną dziesiętnastolatka, w której ciągle biło serce? Z tą niewinną wiejską dziewczyną która była szczęśliwa mogąc oddychać tym samym powietrzem, co Lucas, i która tak świącie wierzyła w każde wypowiedziane przez niego słowo? Już nie istniała.

I teraz Emma, która zupełnie wydorosłała, uśmiechnęła się do swojej zmartwionej dziewczynki.

- Tak naprawdę nie są na siebie wściekli. Prawdopodobnie kłócą się o politykę. Chodź, kochanie. Weźmiemy prysznic i ubierzemy się. A potem, moja Jessie, będę potrzebowała twojej pomocy przy pieczeniu bułeczek na śniadanie.

Nie usłyszała, jak do niej podszedł. Wiatr wciąż jeszcze wiał, burza wydawała ostatnie posykiwania, wykorzystywała ostatnią szansę na ukaranie morza, skalistych cypli i żywych istot, które ośmieliły się błąkać po urwistych klifach.

- Witaj, Sarah.

- Lucas.

- Po co tu przyjechałaś?

- Spienione morze...

- Wiesz, co mam na myśli, Sarah. Przyjechałaś tu z powodu Jessie, prawda?

Był mordercą, a ona miała zachować w stosunku do niego tak wielką ostrożność, ukrywać swoją wiedzę i swój strach. Ale to nie Lucas Cain -bezlitosny morderca wyszedł do Sarah na smagane wiatrem klify. To był tylko Lucas Cain, kidnaper, złodziej. I teraz Sarah Pembroke, która specjalizowała się w takich drobnych przestępcach, wybuchnęła nieskrępowanym, nieustraszonym gniewem.

- Tak. Przyjechałam tutaj ze względu na swoją córkę, na moje dziecko.

- Dziecko, którego nie chciałaś, lady Pembroke. Dziecko, które oddałaś, odrzuciłaś. Było czymś wstydliwym, pamiętasz? Niepożądaną onsekwencją beztroskiego, a może bezmyślnego tygodnia przyjęć w Gstaad.

Właśnie tę historię jej rodzice, albo Simon, opowiedzieli Albertowi Duckworth- Parkerowi: historię o zwariowanej na punkcie seksu nastolatce, której cnota została wystawiona na szwank za sprawą trójki rozwyrzonych błękitnokrwistych - i gorącokrwistych - młodzieńców, alkoholu i swojej własnej, najwyraźniej nieokiełznanej namiętności. Była to opowieść zmyślona, ale Sarah nie śpieszyła się z jej dementowaniem. Poczęcie Jessiki w świątecznej, białutkiej od świeżo spadłego śniegu scenerii, było znacznie bardziej kuszącą wersją wydarzeń. A i to, że Sarah mogłaby mieć normalne, chociaż nieco nieobliczalne zachcianki seksualne, również osobliwie do niej przemawiało. Zwariowana na punkcie seksu, ale nie wariatka. Jakie dziwne było jednak to, że w historyjce naprędce wymyślonej podczas krótkiego porodu alkohol uznawano za jeden z powodów utraty niewinności. W tamtym czasie nawet nie brała alkoholu do ust. Jakimś sposobem jej rodzice wyczuli, jak ważny stanie się dla niej alkohol.

- Nie chciałaś jej.

- To nieprawda! Chciałam jej tak bardzo. Kochałam ją. Zamierzałam spędzić całe życie kochając ją. Powiedzieli mi, że ona nie żyje, Lucas. Moi rodzice i Simon Beckwith-Jones. Powiedzieli mi, że zmarła na parę chwil przed moim przyjściem na świat.

Sarah nie wyobrażała sobie rozmowy z zabójcą-złodziejem. Po prostu mieli ciskać na siebie gromy, jak wariatka na szaleńca, wykrzykując swoją wściekłość, nie słuchając się nawzajem, w ogóle nie zwracając uwagi na słowa drugiej strony.

Ale, jak gdyby była kupidynem, wyrzeźbionym z czarnego marmuru i uzbrojonym w specjalne strzały, które mogły przebić marmurową powłokę najczarniejszego z serc, jej słowa poraziły go - znalazły drogę do serca, które mimo wszystko nie było ani czarne, ani kamienne.

Lucas Cain był istotą ludzką, i został zraniony. Ale wciąż szalała w nim wściekłość.

- Nie wierzę ci, Sarah.

- To prawda. I to był tylko początek ich okrutnego oszustwa, ich upiornych kłamstw. Powiedzieli mi, że moje zmarłe dziecko jest chłopczykiem, synkiem. Udało im się nawet znaleźć martwego chłopczyka, żebym mogła go przytulić.

Jeśli ostre strzały jej poprzednich słów dowiodły, że był normalnym człowiekiem, a nie istotą z kamienia, to, co powiedziała teraz, pokazało, iż Lucas Cain jest w stanie nawet umrzeć. Sarah zobaczyła jego ból - rozdzierający, potworny, udrękę bliźniaczo podobną do tej, której ona sama doświadczała w tamtą sierpniową noc, kiedy powiedziano jej, że dziecko zmarło.

- Och - szepnęła. - On był twoim synem, prawda?

- Ja nigdy... go nie przytuliłem. - Jego udręczone oczy były rozbiegane, ale jednocześnie skupiały się z ogromną wyrazistością na obrazie sprzed wielu lat, którego nigdy nie miał zapomnieć. - Emma krwawiła, i umierała, i kiedy lekarze otrzymali ode mnie zgodę na błyskawiczną histerektomię, jedyną szansę uratowania jej życia, zmusili mnie do opuszczenia sali porodowej. Nie chciałem jej opuszczać, i jeszcze pragnąłem przytulić jego, i zdaje się, że zrobiłem się trochę szalony. Zacząłem niezłą bójkę.

Szalony. Właśnie to słowo prześladowało Sarah przez lata. Czy teraz spoglądała na człowieka obłąkanego? Na kogoś, z kim dzieliła szaleństwo? Nie. Patrzyła na ojca, męża, mężczyznę, który na własne oczy widział, jak rozpada się jego cały świat.

- Ale nigdy go nie przytuliłeś.

Lucas otrząsnął się ze wspomnienia krwi, śmierci, utraty, tej strasznej bezradności i lęku.

- Nie. Obiecali, że będę mógł. Później. Tylko w ten sposób mogli mnie zmusić do wyjścia z sali. Ale później - dodał łagodnie - nastąpiła pora cudów: wiadomość, że Em przeżyła operację i że właśnie urodziła się dziewczynka, która potrzebuje domu. Simon Beckwith-Jones powiedział mi, że jej nastoletnia matka bez męża nie chce tego dziecka, podobnie jak cała reszta jej arystokratycznego rodu, z wyjątkiem dziadków. Powiedział, że oni sprzeciwiają się adopcji, i że bez wątplenia zażądają dowodu, iż ich wnuczka umarła. - Zadrgały mu mięśnie szczęki. - Ale ci dziadkowie w ogóle nie istnieli, prawda?

- Nie. - W tamtym okresie zarówno dziadkowie ze strony matki, jak i ojca, już nie żyli. A gdyby żyli? Podjęliby tę samą decyzję, którą podjęli rodzice Sarah, żeby pozbyć się dziecka swojej córki, tak jak zawsze chcieli się pozbyć jej. Ale wiedzieli, jak bardzo ich córka pragnie tego dziecka. Dlatego znaleźli jego namiastkę: dziecko już nieżywe, a więc niegroźne, i dali je Sarah do potrzymania. - Tuliłam go przez bardzo długi czas, Lucasie. Przytulałam go i całowałam, i mówiłam o swojej miłości. Był śliczny... a jego malutka buzia była taka spokojna... i cały czas spoczywa w spokoju na uroczym cmentarzu w Norfolk. Kwiaty ozdabiają jego grób okrągły rok i wciąż go odwiedzam. - A kiedyś próbowałam ogrzać jego zimne, ukochane ciało gorącymi strugami mojej własnej krwi.

Słyszając jej słowa Lucas wyobraził sobie scenę, która nawet nie przyszła mu do głowy, gdy myślał o tamtej nocy, kiedy przeżywał śmierć i utratę w Penzance. Dał swojego syna nieznanym, rodzinie niezamężnej nastolatki, która nie chciała swojej zdrowej dziewczynki. Obiecali, że zaopiekują się jego synem i pochowają w jakimś spokojnym miejscu, ale wciąż prześladowały go obrazy tak dręczące, że nawet nie był w stanie ich nazwać.

Ale teraz zobaczył scenę wydarzeń bardzo wyraźnie, zobaczył cudowną scenę - Sarah kołyszącą w ramionach małe, pozbawione życia ciało, kochającą go, cieszącą się nim i mówiącą mu, nawet w godzinie śmierci, że jest i zawsze będzie kochany.

Wkrótce ta scena straciła jednak na wyrazistości i kiedy Lucas odezwał się, miał chrapliwy głos.

- Dziękuję, Sarah - wyszeptał. - Dziękuję za to, że kochałaś mojego syna.

Przez długą chwilę nie było na tym świecie ani szaleństwa, ani morderstw, ani porwań i brutalnych zbrodni w afekcie. On był ojcem, a ona matką i istniała tylko miłość dla ukochanego chłopczyka, który umarł, zanim dano mu szansę żyć.

Ta chwila nie mogła trwać w nieskończoność. Tak jak ów ukochany chłopczyk nie miała szansy na życie. Jej ciepło zmroził nagły powiew zimnego, chłostającego wiatru. I prawda. Malutki syn Lucasa Caina umarł, ale Jessica żyła. Żyła.

- Ona jest moją córką, Lucas. - Głos Sarah był spokojny i dobitny. - Teraz już wiem, że mi jej nie ukradłeś. Ale ona została ukradziona. Nie istniały żadne dokumenty adopcyjne, prawda?

- Nie.

Naturalnie, że nie istniały, pomyślała Sarah. Ot, prosta zamiana noworodków - zmarły chłopczyk za dziewczynkę, która tak radośnie wyśpiewywała powitanie - i dostarczenie sfałszowanych metryk. Żadnego śladu po przepływie dokumentów, dzięki temu sprytnemu prawnikowi, Simonowi Beckwith-Jonesowi.

- Mimo wszystko to jest nielegalne.

- Co masz na myśli, Sarah? - Karzący zimowy wiatr był całkiem przyjemny w porównaniu z jego głosem. - Że zamierzasz pójść z tym do sądu?

- Nie. Nie powinno do tego dojść, prawda? Jestem pewna, że ty i Emma, i ja...

- Emma nie wie.

- Domyśliłam się. - Sarah zmuszała swój głos do normalnego tonu, pomimo narastającego lęku. W Lucasie Cainie nie było już żadnych ludzkich cech. Był twardy jak kamień, dosłownie nieruchomy, a jednocześnie kipiała w nim energia. - A ty odgadłeś moje pokrewieństwo z Jessie, kiedy stałam się panią Simonową Beckwith-Jones?

- Tak.

- Czy Emma nigdy się nie zastanawiała?

- Nie. I nie będzie się zastanawiać. Emma nie wie.

- Czego nie wie, Lucas? - Och, nie. Nie.

- Emma nie wie, że jej dziecko zmarło i że Jessie jest...

- Zgadza się, Sarah. Emma nie wie i się nie dowie. Nigdy.

Wraz z jego ostrzeżeniem napłynęły stare, pełne udręki wspomnienia zdrady. Sarah zobaczyła obraz swojego ojca, bardzo wyraźny pomimo mrocznych cieni piwnicy, gdzie byli przetrzymywani. Robert Pembroke nawet nie kiwnął palcem, żeby ratować swoją córkę. Ale gdyby gwałciciele skierowali swoją żądzę i przemoc na jego żonę?

Emma nie wie i się nie dowie. Nigdy.

- Zależy ci tylko na Emmie, prawda? - zapytała kategorycznym tonem Sarah. - Zrobiłbyś wszystko, żeby ochronić swoją żonę, nawet jeśli to oznaczałoby poświęcenie Jessie.

- Jak śmiesz mówić mi coś takiego?- Miał teraz wyraz twarzy, który Sarah tak dobrze знаła u mężczyzn: to charakterystyczne spojrzenie wyrażające bezbrzeżną pogardę i zarezerwowane specjalnie dla niej. -Najwyraźniej nie masz pojęcia o byciu rodzicem, lady Pembroke. Absolutnie żadnego pojęcia. Ja nigdy nie przedłożyłbym szczęścia żony nad szczęście córki. Żaden ojciec by tak nie postąpił. Emma jest dorosłą kobietą. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, ona jakoś przetrwa. Ale czy przetrwa Jessie, Sarah? Możesz się nazywać jej matką, ale...

- Ja jestem jej matką. Wiesz o tym, podobnie jak Jessie. Ona rozpoznaje mój głos. Ona pamięta.

- Z okresu przed swoimi narodzinami? - zgnił ją Lucas. - To szaleństwo, Sarah. Twój głos i głos Emmy są dosłownie identyczne. Jessie rozpoznaje głos Emmy, a nie twój głos. Emma jest matką Jessie, a ja jestem jej ojcem. I jako jej ojciec nie pozwolę, żebyś ją zraniła.

- Nigdy bym jej nie zraniła!

- To prawda, Lucasie. - Nowy głos pochodził od trzeciej sylwetki w zimowym zmierzchu, wysokiego i mocno zbudowanego strażnika, który strzegł Sarah, chronił Sarah, kochał Sarah. - Sarah nigdy nie zraniłaby Jessie.

- Rozumiem, że wiesz o wszystkim, Jack?

- Tak.

- I nie zamierzasz napisać o tym? Zjadliwa sensacje w twoim rozdziale o Sarah?

- Nie - odparli chórem Jack i Sarah, potem zaś Jack podkreślił: - Nikt nie chce zranić Jessiki.

- To wyjedźcie i nigdy tu nie wracajcie.

- Nie mogę tego zrobić! - wykrzyknęła Sarah. - Kocham ją. Nie rozumiesz tego?

- Oto, co rozumiem, Sarah. To, czego chcesz, jest dla ciebie, nie dla Jessie. A musisz myśleć o niej, o tym, co jest najlepsze dla niej. Tylko dla niej. Nie dla ciebie. Nie dla mnie, ani dla Emmy, tylko dla Jessie.

Teraz Lucas Cain mimo wszystko oskarżał Sarah Pembroke o przejęcie charakterystycznej cechy jej rodziców. Może nie była jeźdźcem z marzeń Roberta i Genevy, ani tyżwiarką, ani koneserką zmysłowych uciech cielesnych. Teraz jednak Lucas twierdził, że naprawdę była ich córką w najbardziej znaczącym i godnym pogardy wymiarze, zdolną powtórzyć ich egoistyczne zbrodnie, przedłożyć własne pragnienia nad dobro dziecka.

Nie jestem taka jak oni. Nie mogę taka być.

- Nie mogę ci powiedzieć teraz, Lucasie, w tej chwili, że wyjadę i nigdy nie wrócę. Nie mogę. Potrzebuję czasu. Dam ci mój prywatny numer telefonu w Londynie i będziemy mogli porozmawiać jeszcze raz - musimy jeszcze porozmawiać - a w tym czasie nie zrobię niczego pochopnego. Obiecuję. Ja też o nią dbam. Ja też ją kocham.

Rozmowa, która towarzyszyła jedzeniu świeżo upieczonych przez Emmę bułeczek z borówkami, była nad wyraz pogodna. Zupełnie tak, pomyślała Sarah, jak gdyby wszyscy wyczuwali, że czegoś okropnie brakuje, i próbowali to zrekompensować. Nawet urocza Jessie.

Sarah i Jack wyjechali przed południem, usprawiedliwiając się długą jazdą do Londynu i potrzebą nadrobienia przez Sarah zaległości informacyjnych z weekendu. Jack zastanawiał się, czy spędzą tę podróż w milczeniu. Jednak zanim dotarli do St. Ives, Sarah już się odezwała:

- Myliłam się co do Lucasa, Jack. I miałeś rację. On nie mógłby być mordercą.

- Nie powiedziałem, że nie mógłby nim być.

- Wiem. Tylko że to mi jakoś nie pasowało. I zgadzam się z tobą, że Lucas Cain prędzej by umarł, niż pozwolił komukolwiek zranić Jessie. Poświęciłby własne życie, żeby ją ocalić. Nie uważasz?

- Tak. I tak samo postąpiłaby Emma. - I ty, moja śliczna Sarah, też.

- Właśnie to powinni robić rodzice dla swoich dzieci.

- Tak jest. Ale ten sam rodzic, który umarłby dla swojego dziecka, mógłby również zabić, żeby je ochronić. Jeśli chodzi o Lucasa, ty stanowisz dla Jessie poważne zagrożenie. Być może Ashley Alexander również stanowiła zagrożenie. Może i ona jakimś sposobem odkryła prawdę.

- Ale co z jego ręką, Jack? Lucas jest praworęczny. Jestem pewna, że nie przeoczyłeś tego faktu. I jest coś dziwnego w jego lewej ręce. Jest silna i całkowicie sprawna, ale wygląda to tak, jakby on musiał sobie przypominać, że ma jej używać. To również zauważyłeś, prawda?

Naturalnie, że zauważył. Było to subtelne spostrzeżenie, którego można było dokonać tylko wtedy, jeśli szukało się leworęcznego mordercy.

- Zauważyłem.

- A kiedy kłóciliśmy się na klifie i Lucas był zły - właściwie rozwścieczony - trochę gestykulował prawą ręką, ale wcale nie podnosił lewej. Przeważnie trzymał ręce przy sobie, pomimo furii. Fakt, miał mocno zaciśnięte pięści. Ale nie podnosił ich. To o czymś świadczy, prawda? Że nawet w największym gniewie nie kieruje się impulsem, by uderzać. Lucas nie jest zabójcą, Jack. Jestem tego pewna.

- Ani Cole?

- Zgadza się - odparła z powagą Sarah. - To ktoś inny. - To musi być ktoś inny.

Jack pomyślał o plikach dokumentów w swoim biurze w Scotland Yardzie - zwłaszcza o tym, który, w połączeniu z informacją na jej temat, mógłby wprowadzić Sarah w duże niezadowolenie. Pod pewnymi względami odkrycia tego weekendu sprawiały, że nazwisko na tym dokumencie brzmiało jeszcze bardziej intrygująco.

Staram się, Sarah. Próbuję odnaleźć mordercę, którego tożsamość nie zniszczy ani Claire czy Jessie... ani ciebie.

- Mówi Lucas, Sarah.

- Lucas.

Wiedziała, że zadzwoni. Ale nie sądziła, że tak szybko, zaledwie czterdzieści osiem godzin po tym, jak stali na zniszczonych wiatrami klifach Kornwalii. Oczywiście Sarah nie myślała o niczym innym. A odpowiedź, którą znajdowała, napawała ją przerażeniem.

Czy naprawdę była dostatecznie silna, dostatecznie normalna, by pożegnać się ze swoją córką na zawsze? Tak. Może. Tak. Ale nie aż tak szybko.

- Wybieram się do Londynu jutro. Chciałbym się z tobą zobaczyć, Sarah. Sam na sam. W ustronnym miejscu. Żadnych prawników. Żadnego Jacka. Tylko ty i ja. Dobrze?

- Tak. Dobrze.

- Kiedy i gdzie?

- Mój program informacyjny kończy się o ósmej, więc może dziewiąta? Tu, w moim domu?

- Będę.

W domu, w Harlanville, jej wspomnienia miłości były zachowane w malutkich płatkach śniegu wewnątrz szklanej kuli. Teraz istniały nowe i przez jakiś czas, kiedy te zaczarowane wspomnienia się tworzyły, wydawało się, że będą zbyt wspaniałe, zbyt cudowne, by można było je zawrzeć w czymkolwiek.

Ale teraz wspomnienia Claire o miłości miały granice; wokół marzenia stał biały płot, czarna żałobna krepa okalała radość. Ich miłość zaczęła się, rozkwitła i umarła w Monte Carlo.

Musiała umrzeć. Claire wiedziała o tym, jeszcze zanim miłość się zaczęła, podobnie jak Cole. Ale nie powiedzieli sobie tej prawdy. Po prostu żyli swoją miłością.

Wczoraj pożegnali się z Monte Carlo i z marzeniem. I kiedy lecieli z Nicei do Londynu, Cole wycofał się w zamyślane milczenie, a jej małe serduszko, kołoczące bez wytchnienia przez te trzy dni czystej radości, w końcu się zbuntowało, wprawiając ją w takie wyczerpanie, że ona również sennie odzywała.

W trakcie tych wspaniałych dni i nocy, kiedy wydawało się niemożliwe, żeby ich miłość mogła kiedykolwiek zgasnąć, dziewczyna znad rozlewiska wyobrażała sobie, że ponownie będzie śpiewała ze swoją panterą. Ale po powrocie do Londynu Claire nawet nie starała się stwarzać pozorów takiej odwagi. Nie poszła na próbę w poniedziałkowy wieczór, wymawiając się zmęczeniem i w ten sposób unikając kwestii śpiewania - niezdolności do śpiewu - przez resztę tygodnia.

Jeden z ważnych dyrektorów Gemstone Pictures przebywał w mieście, żeby zaplanować nowe wideoklipy Cole'a Taylora. To przedsięwzięcie miało pochłonąć cały tydzień. W ten wtorkowy rano Cole, Sydney, David i Mick znajdowali się w Asquith Towers, gdzie brali udział w „twórczym” spotkaniu, na które przyszedł również sam Timothy Asquith.

Claire odrzuciła zaproszenie Cole'a do udziału w sesjach planowania wideoklipów. Lekkie przeziębienie, wymamrotała, może nawet początki grypy. Czy Cole był rozczarowany? Nie wiedziała. Ale Claire zastanawiała się, czy w jego spokojnym głosie słyszy prawdę - że w tym tygodniu będą się koncentrować na stronie wizualnej, a zatem niewidoma kobieta nie pasowała tu tak samo, jak dziewczyna znad rozlewiska, która już nie była w stanie śpiewać, nie pasowała do studia nagraniowego.

Claire była w swojej sypialni w pomalowanym na wesoły róż apartamencie w hotelu Drake, nie w sali konferencyjnej dla kierownictwa Asquith Towers. Rozpamiętywała weekend miłości, ogarniała wspomnienia, zachowywała je i zmniejszała, aż osiągały rozmiary miniaturowych płatków śniegu: tych doskonałych kryształków, które tańczyły w gładkich ścianach jej szklanej kuli.

Przeżyłam z nim swój czas, ciociu Augusto. Swoje dni miłości. I czy żałuję tego? Nigdy. Ale dzisiaj dostałam miesięczkę - co oznacza, że tak jak ty, zawsze będę żałowała, że owocem naszej miłości nie jest jego dziecko.

W tym momencie zadzwonił telefon, już drugi raz tego ranka.

- Cześć, Claire. Mówi Sydney. Jak się miewasz?

- Dobrze, dziękuję, Syd. O wiele lepiej.

- To dobrze. Hm, bądź spokojna: nic nie tracisz nie będąc tutaj. Łagodnie rzecz ujmując, różnice artystyczne. Nie mówiąc już o tym, że Timothy jest tak zaferowany, że równie dobrze mogłoby go tutaj nie być, Mick jest w typowym dla siebie, uroczym porannym nastroju, a David jak zawsze nie mówi nic. Robimy sobie niezbędną przerwę, parę minut między rundami. Niestety chłopaki chyba nie rozumieją, że potrzebuję wytchnienia również od nich. Mick? David? Trochę samotności, por favor! Dziękuję. Cole chce z tobą pogadać, jak skończę. Ale on przynajmniej ma dość wdzięku, żeby zaczekać na zewnątrz. - Kiedy Sydney znowu się odezwała, nie było już wesołości w jej głosie, nie było zdesperowanego, ale pogodnego relacjonowania wydarzeń dnia - i nie towarzyszyli jej już David i Mick. - Co się dzieje z Cole'em, Claire? Wiesz coś o tym?

- Co się dzieje? - Nic. On jest wspaniały. - Nic. Dlaczego?

- Nie jest chory? Czy on nie ma jakiejś śmiertelnej choroby?

- Sydney! Przerażasz mnie.

- No, ja też jestem przerażona. Jakaś godzinę temu Cole miał telefon od lekarza w Nowym Orleanie. Uparł się, że odbierze, co rozdrażniło wszystkich z wyjątkiem już i tak roztargnionego Timothy'ego, a kiedy Cole wrócił do sali konferencyjnej, wyglądał okropnie, jak śmierć na chorągwi. Jakby

dopiero co powiedziano mu, że umrze. Pomyślałam, że może kiedy był w Luizjanie w zeszłym miesiącu, poszedł do lekarza w Nowym Orleanie i teraz dostał wyniki. Czy on widział się z jakimś lekarzem, Claire? Wiadomo ci coś o tym?

- Nie. Nic. Ale Cole wydaje się taki zdrowy. - Kochaliśmy się nieskończenie wiele razy, tak jak obiecywał w oświetlonej księżycem altance w Belle Reve. Nieskończenie wiele razy i zawsze było idealnie, a jego namiętność była taka mocna, a jednocześnie delikatna i tak pełna energii. -On jest zdrowy, Syd.

- A co z tobą, Claire? Nie jesteś chora, prawda? Wiem, jaka czasami jesteś zmęczona.

- Nie. Nie jestem chora, Sydney. - Jestem tylko niewidoma. A moje zmęczenie? To była miłość. Ale teraz jest lepiej. Wszystko wyleczone. Nawet moje serce już nie kołacze.

Claire czuła się świetnie, tylko że teraz, w swoim wyczerpanym ciele, gdzie kolibrze serce już nie kołatało, poczuła przyływ nagłej, czystej trwogi. Sen się skończył. Wspomnienia miłości zakrzepły w malutkie, doskonałe płatki śniegu. Ale czy nawet te otoczone szkłem wspomnienia były teraz zagrożone? Czy miała za chwilę dowiedzieć się czegoś, co rozbije nawet to szklane naczynie, rozleje jego drogocenną zawartość, niszcząc nawet te drobne uroczne wspomnienia, które zawsze wydawały się takie bezpieczne?

- Czy zdarzyło ci się kiedyś usłyszeć nazwisko lekarza, z którym rozmawiał Cole? Jeśli to jakiś wybitny specjalista z Nowego Orleanu, może bym je rozpoznała. Albo mogłabym zadzwonić do swojej przyjaciółki Millicent i poprosić, żeby to sprawdziła.

- Słyszałam to nazwisko i łatwo je zapamiętać. Po pierwsze, to ona. Dla ścisłości, doktor Angelica Gabriel. Anioł Gabriel. Słyszałaś o niej, Claire?

Och, tak. Była moją ekarką, neurooftalmologiem, która wyraziła chęć przeprowadzenia operacji, żeby spróbować uratować mi wzrok, choć może niekoniecznie moje życie.

Claire poczuła, że szkło zaczyna pękać, a uroczne wspomnienia gubią się gdzieś i ustępują miejsca wspomnieniom tak olbrzymim, tak monstrualnym, że nigdy nie dałoby się ich ogarnąć, wtłoczyć do szklanej kuli. Wyobrażała sobie telefon Cole'a do Andrew w Belle Reve. Wiem, że prawdopodobnie prowadziłeś wóz w swoją noc poślubną, Andrew, i że to ty, a nie Claire, ponosisz winę za ten wypadek. Ale nie martw się, to nie dlatego dzwonię. W końcu musiałeś myśleć o swojej karierze politycznej, a skoro Claire ci wybacza, to ja też. Mogę również wybaczyć ci żądanie, aby Claire poddała się operacji. Rozumiem aż nadto dobrze, dlaczego wolałeś martwą żonę od ślepej. Ja też mam teraz takie odczucie. Może to ty jesteś moim od dawna zaginionym bratem, Andrew. Ciekaw jestem. Tak czy owak, potrzebuję nazwiska lekarza Claire. Chcę się dowiedzieć, jak niebezpieczna byłaby taka operacja, gdyby zrobiło się ją dzisiaj. Lubię Claire, naprawdę. Ale jest trochę za bardzo niewidoma, jak na mój gust.

- Claire?

- Tak. Słyszałam o niej. I nie musisz się martwić o Cole'a, Sydney. Nic mu nie jest.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna. Specjalizacja doktor Gabriel w ogóle się nie wiąże z przypadkościami Cole'a. - A doktor Gabriel nie ma nic do zaoferowania. Szansa na odwrócenie mojej ślepoty już dawno przepadła.

- Ale... och, Timothy, witaj. Zaraz wracam.

- To brzmi tak, jakbyście mieli zaraz ponownie się zebrać.

- Tak, i wygląda na to, że może zwrócimy na siebie uwagę całkiem szczęśliwego Timothy'ego Asquitha. On również musiał właśnie otrzymać jakieś bardzo dobre wieści. Ciekawa jestem, co to była za wiadomość. No cóż. Wciąż jesteśmy umówione na jutrzejszą kolację, prawda? Dyrektor, nadęty jak na dyrektora przystało, zabiera nas dzisiaj na wyprawę w plener, żeby obejrzeć zamki. Ale mam nadzieję, że się nie pozabijamy i że wrócimy jutro wczesnym wieczorem. Dobrze?

- Tak. Chociaż to będzie kolacja tylko dla nas dwóch, Syd. Sarah zadzwoniła tuż przed tobą, żeby znowu odwołać spotkanie. Ale jeśli masz ochotę, ja mimo to chętnie bym się wybrała. Nawet chciałabym z tobą porozmawiać o paru rzeczach.

- No to jesteśmy umówione. Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

- Absolutnie. - Nigdy nie czułam się lepiej. Sen się skończył. Moja droga jest ściśle wytyczona. I z twoją pomocą, Syd, wypełnię swoją misję.

- Świetnie. O, jest Cole, właśnie sięga po słuchawkę. Do zobaczenia jutro, Claire.

Zaczekaj, Sydney! Nie chcę rozmawiać z Cole'em, już nigdy! Nie chcę słyszeć litości w jego głosie!

Ale nie było w nim litość, tylko czułość.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

- Dość dobrze, żeby wybrać się z nami dziś wieczorem? Pojedziemy do zamku Cadbury w Somerset. Jest uważany przez wielu za Camelot, więc pomyślałem, że ponieważ zawsze tak uwielbiałaś ten musical, będziesz chciała go zwiedzić.

Drogie sercu wspomnienia, małe płatki śniegu, jednak nie wyciekły, rozpuły się i nie umarły. Wciąż były w środku, małe i dzielne, zdeterminowane, by nadal tańczyć w swoim miniaturowym świecie radości. I teraz Claire ujrzała jedno z tych wirujących wspomnień: chłopca i dziewczynę, niewinnych i czystych, śpiewających piosenkę miłosną z musicalu Camelot. Jak postępować z kobietą? Po prostu kochać ją, kochać ją, kochać...

- Dziękuję, Cole, ale nie, chyba zostanę tutaj. - Widzisz, mam coś do zrobienia. Muszę się spakować i dokładnie przemyśleć to, co zamierzam powiedzieć Sydney. I muszę jeszcze zrobić rezerwację na

lot jutrzejszego wieczoru. Czerwone oko, zdaje się, że tak nazywane są takie loty. Czerwone jak skrzep krwi, którego postanowiłam nie usuwać, ponieważ chciałam żyć - dla cioci Augusty i dla siebie - pomimo tej wielkiej skazy. Muszę załatwić to „czerwone oko”, dostać się do Harlanville tak szybko, jak się da, żeby potrzywać w rękach moją szklaną kulę i cieszyć się skromnymi, uroczymi wspomnieniami, które należą do mnie.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Jack - powiedziała Sarah na powitanie, kiedy zjawił się w jej apartamencie we wtorkowy wieczór o dziewiątej trzydzieści.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czy miałaś jakieś wieści od Lucasa, Sarah? Czy to jest próba generalna?

Sam na sam. W ustronnym miejscu. Żadnego Jacka. Kiedy Sarah prowadziła go do surowego, czarno-kremowego wnętrza swojego salonu, odparła nieco wymijająco:

- Po prostu chcę porozmawiać, Jack. A może potrzebuję słuchać. Usiłuję kierować się logiką, znaleźć właściwą odpowiedź.

- Właściwa odpowiedź może nie istnieć. Nie w przypadku sprawy o takim ładunku emocjonalnym.

Sarah popatrzyła na gościa.

- Ale jeśli będę cały czas miała na względzie Jessie, tylko Jessie i jej dobro...

- Ale przecież to właśnie robiłaś, Sarah, prawda? A mimo to odpowiedź nie jest jasna.

- No cóż, w dużej mierze jest jasna. W dużej mierze zgadzam się z Lucasem. Ona jest szczęśliwa. Bezpieczna, kochana. Czegóż więcej mogłaby pragnąć matka dla swojego dziecka? A jeśli chodzi o więzy krwi, przypuszczam, że już wydedukowałeś, że moi rodzice nie zawsze brali pod uwagę moje dobro. Właściwie spędziłam większość dzieciństwa snując fantazje o ucieczce od nich. Uznałam, że gdybym tylko dotarła do Harlan-ville, wtedy Claire zostałaby moją siostrą, a ciocia Augusta moją matką i wszystko jasne, prawda, Jack? Muszę pozwolić jej odejść, muszę zniknąć z jej życia. Na zawsze.

Wyglądała jak uosobienie odwagi, miłości i nadziei, jak matka, która odczuwa wielki ból, ale promienieje -ponieważ jest matką, gotową oddać własne serce dla szczęścia swojego dziecka.

Jack powinien był uśmiechnąć się do niej, był taki dumny z jej odwagi, jej wspaniałomyślności, z niej samej.

Ale Jack nie był w stanie się uśmiechnąć, nie mógł się zgodzić, że decyzja Sarah jest właściwa albo najlepsza. Nie mógł kłamać. Owszem, zdarzyły się kłamstwa, a także akty zdrady. Ale one były niezbędne i, miał taką nadzieję, zasługiwały na wybaczenie, bo chodziło o zapewnienie jej bezpieczeństwa, aż łamigłówa śmierci zostanie rozwiązana.

A potem nie będzie już żadnych kłamstw. Po tym wszystkim... kiedy on i Sarah spędzą resztę swojego życia kochając się? Jack żywił taką nadzieję, modlił się, by tak było. Ale bez względu na to,

czy jemu i Sarah było przeznaczone tańczyć całą wieczność, Jack nie mógł jej teraz okłamywać. Nie w tej sprawie. Tak potworna zdrada nie mogłaby się spotkać z prawdziwym przebaczeniem.

- Co się stanie, Sarah, kiedy Jessie odkryje prawdę?

- Ależ ona nigdy nie odkryje prawdy, Jack - odparowała Sarah, czując, że jej nadzieja słabnie pod wpływem zaskoczenia i niepokoju. - Lucas nie powie jej o tym. Ja i ty też nie, a nie mogę sobie wyobrazić, żeby pani Duckworth-Parker zdecydowała się na taki krok... ale mogłabym ją ubiec i sama porozmawiać z nią- a wszyscy, którzy wiedzą, co zaszło w tamtym szpitalu w Penzance... - już nie żyją. -Nikt jej o tym nie powie, Jack, i nie istnieją żadne oficjalne dokumenty, na które mogłaby przypadkowo natrafić.

- Ale i tak może się dowiedzieć. - Przykro mi, Sarah. Muszę powiedzieć ci prawdę. Nawet jeśli masz wrażenie, że to zdrada, musisz wiedzieć.

- A co się stanie, jeśli w szkole każą jej narysować drzewo genealogiczne swojej rodziny? Kolor włosów i oczu nie będzie problemem, zresztą grupa krwi może też nie. Ale może być inaczej.

- Dlaczego to robisz, Jack? Dlaczego każesz mi wątpić w swoją decyzję?

- Ponieważ, Sarah, wiem, co się czuje odkrywając, że twoi rodzice -i siostry - o których myślałeś, że to twoja krew, w ogóle nie są z tobą spokrewnieni.

- Zostałeś adoptowany?

- Darowany. To był podarunek. Zwłaszcza dla mnie. Zostałem wychowany w wielkiej miłości. Ale mimo że bardzo ich kochałem, poznanie prawdy było dla mnie bardzo trudne. Czułem się oderwany, nie na swoim miejscu. Przez jakiś czas nawet odsunąłem się od nich, nie ze złości, po prostu miałem chaos w głowie. W końcu, w przypiływie desperacji, jak sądzę, mój ojciec zrobił dla mnie Pegaza, żeby mi przypomnieć o naszej wspólnej historii, o tych wszystkich latach opieki i miłości.

- A ty w zamian dałeś im firmę.

Jack spojrział za nią na obramowanie kominka, gdzie znajdowała się mała, błyszcząca społeczność figurek.

- To nie była świadoma decyzja. Ale z perspektywy czasu myślę, że to prawda. Chciałem, żeby członkowie naszej rodziny byli związani ze sobą na zawsze. W ten sposób podziękowałem im również za to, że mnie uratowali.

- Uratowali cię?

- Pochodziłem z patologicznego domu. W każdym razie mój ojciec bił mnie. Nie wiem nic o mojej matce, tylko tyle, że to nie ona uratowała mnie przed jego brutalnością.

- A kto?

- Chłopiec z sąsiedztwa.

Chłopiec z sąsiedztwa. W Teksasie, na postoju tirów, w oświetloną księżycem grudniową noc. Sam robił stolarkę w Corpus Christi i jechał prosto do domu, żeby na Boże Narodzenie być ze swoją żoną i córkami bliźniaczkami, i...

.. i dopiero, kiedy Jack zakończył krótką relację na temat tego, co mu powiedziano o tamtej nocy, przeniósł wzrok z posążków na nią i zobaczył jej poszarzałą twarz i oszołomione, ale dziwnie błyszczące zielone oczy.

- Sarah?

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

- W porządku. - Dobrze, poprawił się w duchu, kiedy przeniósł wzrok z jej poszarzałej twarzy na delikatne, blade ręce. Były splecione w taki sposób, że mogła objąć cienkimi palcami swoje nadgarstki, te miejsca na ciele, na których znajdowały się grube blizny jej potajemnej udręki. Opowiedz mi o swoich bliznach, moje kochanie. Powierz mi ten ból. - Możesz mi mówić wszystko, Sarah. Wszystko.

- Mam nadzieję, Jack.

- Wiem, że tak jest.

- Muszę coś zaorać z szafki w mojej sypialni. Zaraz wracam.

Uparła się, żeby usiadł na kanapie, a ona stała przed nim. Była jak aktorka na scenie, jak wykonawczyni monodramu, on zaś był jej publicznością.

Sarah ścisnęła swój scenariusz grubą, a raczej bardzo starą kopertę. Nie cytowała jednak jej zawartości, nie otworzyła jej, nie potrzebowała tego robić.

Jej pierwsze pytanie całkowicie go zaskoczyło.

- Czy kiedykolwiek próbowałeś odnaleźć swoją biologiczną rodzinę?

- Tak. - Ponieważ wydało mu się, że ona czeka na więcej szczegółów, kontynuował. - Chociaż moi rodzice ostrzegali mnie, że to będzie daremny trud. Sami zdążyli już przeprowadzić poszukiwania, kiedy mój ojciec przyniósł mnie do domu. Zdobyli egzemplarze lokalnych gazet, żeby się upewnić, że to, co mówił chłopiec z sąsiedztwa, jest prawdą- albo przynajmniej stwierdzić brak dowodów na to, że zostałem wykradzony z jakiejś kochającej rodziny. Spodziewali się czegośkolwiek, choćby jednozdaniowej notki o przypadkowym utonięciu dwulatka. Jednak nie było tam nic, jak gdyby mój biologiczny ojciec w ogóle się tym nie przejął albo nie chciał zawiadamiać nikogo o mojej śmierci. Tak czy owak, zasadniczo potwierdziło się to, co mówił ten chłopiec. Mimo to czternaście lat później, kiedy dowiedziałem się o tamtej grudniowej nocy, wszyscy pojechaliśmy do Teksasu,

nawet Marcy i Krys. Postój tirów wciąż tam był, i tym razem odwiedziliśmy firmy pogrzebowe i urząd statystyczny. Ale znowu nic. I nie dowiedziałem się niczego o moim starszym bracie.

- Twoim starszym bracie?

- Zmarł, a raczej został zabity przez mojego ojca - chociaż on najwyraźniej zdołał przekonać policję, że to był przypadek. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego nie chciał zawiadomić o kolejnej przypadkowej śmierci syna. Wiele lat później, kiedy zostałem konsultantem FBI, wróciłem do Teksasu, żeby porozmawiać z policją. Udostępnili mi swoje kartoteki. Ale wciąż nic. Wygląda na to, że niektóre łamigłówki nigdy nie dają się rozwiązać.

- Ale przecież tak bardzo się starałeś rozwiązać właśnie tę. Pomimo tego, co wiedziałeś o swoim ojcu, chciałeś go odnaleźć, poznać.

- Nic mnie nie obchodził mój ojciec. Chciałem poznać tego chłopca z sąsiedztwa, podziękować mu za to, co zrobił.

Och, Jack. Będziesz miał tę szansę. Modłę się tylko, żebyś nadal tego pragnął, kiedy się dowiesz.

- Sarah? Wydajesz się taka przygnębiona. Przestaśmy mówić o mnie i zacznijmy mówić o tobie.

- Ale to jest o tobie, Jack. - Mogłaby wręczyć mu ten list, żeby sam przeczytał zdumiewającą i może druzgoczącą prawdę. Jednak zamiast to zrobić ścisnęła list jeszcze mocniej. - Ten list jest od Claire. Został napisany dwanaście lat temu, w noc, kiedy zginął ojciec Cole'a. Śmierć Jeda Taylora i jej wpływ na Cole'a są tu szczegółowo opisane i ważne jest, żebyś to przeczytał. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, co usłyszała od Cole'a Claire w noc przed śmiercią Jeda. Och, Jack, to Cole. To on jest tym chłopcem.

- Jakim chłopcem?

- Tym, który cię oddał. Był zardzewiały wózek. Wciągnął cię do niego. I przykrył cię zniszczoną, zszytą z kawałków kołderką. Cole opowiedział Claire o obrazkach wyszytych na tej kołderce. Pamiętał je, nawet po tylu latach. I ja też je pamiętam, ponieważ ponownie przeczytałam ten list raptem dziesięć dni temu. Był tam perkalowy kociaczek i bukiet tulipanów...

I kraciasty wagonik, i uśmiechnięte słońce, i malutka żaglówka mknąca po pomarszczonym błękitnym morzu. Jak dobrze Jack znał tę kołderkę, jej wyblakłe, ale błyszczące obrazki radości.

Przez prawie dwa lata bystry, ale milczący chłopczyk, który został uratowany przez Daltonów, prawie nie rozstawał się ze swoją ukochaną kołderką, przytulał ją opiekuńczo, a czasem desperacko, swoimi małymi ramionami. Dopiero kiedy Jack przerwał milczenie, tak naprawdę przestał się interesować swoją kołderką. Potem była przechowywana w cedrowej komodzie i leżała tam po dziś dzień, w sypialni jego rodziców w Denver: jedyny trop w jedynej łamigłówce w życiu Jacka, którą próbował - bezskutecznie - rozwiązać.

- Śpiewał ci tamtej nocy, twoją ulubioną kołysankę. Nie wiem, jaka to była piosenka. Nie powiedział Claire. Jack?

- To był Cole? On był moim sąsiadem? - Chłopcem, który chronił mnie, i śpiewał mi, i kochał mnie, i uratował.

- Nie - odparła łagodnie Sarah. - Cole nie był twoim sąsiadem, Jack. On był twoim bratem. Jest twoim bratem.

Błąkał się po zupełnie ciemnych ulicach Londynu i przeszukiwał zupełnie czarne cienie swojego umysłu. Gdzieś w tej gęstej i zamglonej ciemności były wspomnienia... i światło. Księżyc w ogóle nie oświetlał tej angielskiej zimowej nocy. Żadne promienie księżyca nie prowadziły Jacka podczas tej wyprawy w przeszłość. Ale kiedyś, tamtej nocy, te promienie świeciły: wyglądały jak złociste smugi światła, przyzywały jego brata, gdy brnął przez pola Zachodniego Teksasu.

Jego brata. I zabójcę?

Nie. Nie. Tylko brata. Jego brata.

Jego frere.

Frere. Frere. Frere Jacques.

Nie było księżyca, ale nagle pojawiło się najwspanialsze światło, a chłodne nocne powietrze ogrzało się zapamiętanymi strzępkami tamtej ukochanej kołysanki, i prawdą.

Mówiliśmy po francusku. To był nasz sekretny język. A w Denver, przez te pierwsze dwa lata, kiedy wymawiałem tylko jedno słowo, które oni wszyscy traktowali jako Jack, tak naprawdę mówiłem: Jacques, Jacques, Jacques.

Wspomnienia popłynęły strumieniem, niby kalejdoskop obrazów, okruchy snów. I były spowite emocjami tak delikatnymi, tak zwiewnymi, jak girlandy porostów. Jack zobaczył rozlewisko i gęste listowie wzdłuż jego brzegów, i jeszcze dwóch chłopców trzymających się za ręce, mówiących po francusku i śmiejących się radośnie. I jak się czuł? Bezpiecznie. Był szczęśliwy. I kochany.

Jack wcale nie potrzebował księżyca, żeby zająć do mrocznych wspomnień z przeszłości, albowiem same wspomnienia były jak z czystego złota, jak lśniąca boja świecąca w ciemności.

Dziś wieczorem nie ma księżyca. Po prostu wyobrazimy sobie światło księżyca, prawda, suko? Jakież przewidujący okazał się ten tytuł, nie powiedziałaabyś? Zdecydowanie należałoby ci zalecić, żebyś wyobraziła sobie światło księżyca dziś wieczorem, bo to ostatnia noc przed twoją śmiercią.

Tak, tak, tak. Mam świadomość, że do czternastego lutego jest jeszcze parę tygodni. Ale w kwestii morderstwa należy wykazywać elastyczność. Ostatnim razem miała miejsce pomyłka w

wyliczeniach. Ale udało mi się znakomicie dopasować do okoliczności, tak jak to robię teraz. Zobaczysz, suko.

Cóż, dowiesz się.

31

Hyacinth House Sroda, 11 stycznia

- Wybieram się dzisiaj do Londynu, Emmo. Zostanę tam na noc.

Nie odwróciła się do niego. Tylko skinęła głową w geście rezygnacji, od którego zatańczyły jednak loki, a złocista płatanina wybuchnęła bezwiedną radością, tak błogo nieświadoma całunu, który spowijał Hyacinth House od niedzieli.

- Czy my kiedykolwiek porozmawiamy, Em? Powtórzę ci każde słowo, jakie zamieniliśmy z Ashley, jeśli tego chcesz, jeśli to pomoże. To były bardzo gniewne słowa. Byłem wściekły, że ona oszukała mnie - oszukała nas - a ona była wściekła, że ja nie cieszę się z jej małej niespodzianki. Ale to wszystko, co się stało, Emmo. To wszystko.

Emma odwróciła się do niego wyprostowując plecy, podnosząc ramiona, przygniecione niewidzialnym ciężarem smutku, i podbródek, kiedy patrzyła w jego ciemnozielone oczy.

- Ale to nie jest wszystko, Luc. I porozmawiamy. Musimy, ponieważ to mnie zabija i myślę, że Jessie również zaczyna się martwić. Wiem, dlaczego wybierasz się do Londynu. Żeby zobaczyć się z Sarah, prawda?

Proszę, powiedz nie! Nawet jeśli to kłamstwo. A potem w jakiś sposób przekonaj mnie, że to jest prawda. To nie będzie trudne. Chcę znowu w ciebie uwierzyć, być oszukiwana... i oszłamiana.

Ale Lucas Cain nie okłamał swojej żony.

- Tak. Mam zamiar zobaczyć się z Sarah. Skąd wiedziałaś?

- Zobaczyłam was dwoje na klifie w niedzielny poranek. Widziałam tę emocję, Lucas, tę namiętność. - Lekko pokręciła głową, co ponownie wywołało niemądry taniec radości loków. - Jestem taką idiotką, prawda? Małą naiwną Emmą. Podczas sylwestra wpatrywałeś się w Sarah z taką zawziętością, taką tęsknotą, a zaraz potem kochaliśmy się ze sobą jak nigdy wcześniej, a ja nie skojarzyłam tych faktów. I czy zechciałbyś łaskawie wysłuchać mojej głupiej interpretacji faktu, że ilekroć wracałeś z podróży do Londynu, miałeś podkrążone oczy? Wyobrażałam sobie, że trudno ci

było zasnąć w obcym łóżku. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ty nie próbowałeś zasnąć, i że łóżko, w którym spędzałeś noce w Londynie, wcale nie było dla ciebie obce.

- Myślisz, że Sarah i ja jesteśmy kochankami?

- Wiem, że jesteście.

- Och, Em, mylisz się całkowicie. Jestem ci wiemy, tak jak przyrzekałem, tak jak pragnąłem. Łóżka w Londynie są dla mnie obce i stanowczo zbyt puste bez ciebie.

Przecież właśnie tego chciała, prawda? Kłamstwa wypowiedzianego z takim przekonaniem, że mogła uwierzyć w jego prawdziwość i jeszcze raz poddać się magicznemu zaklęciu czarodzieja? Tak i nie. Albowiem nawet wtedy, w wieku dziewiętnastu lat, ta niewinna wiejska dziewczyna chciała czegoś więcej niż seks, chciała miłości.

- Okłamujesz mnie, Lucas.

- Chciałbym kłamać, Em. Chciałbym, żeby namiętność, którą dostrzegłaś między Sarah i mną, była zwykłą sprzeczką kochanków.

- Zwykłą sprzeczką? To znaczy, że nie uważasz niewierności za potworną zdradę?

- Nie w porównaniu z tajemnicą, którą ukrywałem przed tobą przez wszystkie te lata.

- Tajemnicą? Och, a więc mimo wszystko była jakaś Daphne? Narzeczoną, którą kochałeś całym...

- Nigdy nie kochałem nikogo oprócz ciebie.

Te słowa i żarliwość, z jaką je wypowiedział, zaparty jej dech w piersiach. On nie kłamał. I teraz ta cudowna, srebrzysta prawda rozświetlała cały świat

Lucas kochał ją, kochał ją. A mimo to istniała jakaś tajemnica, jakaś zdrada sprzed wielu lat, która według niego była o wiele poważniejsza niż zdrada cielesna. Czyżby była to zdrada serca? Ale jak to było możliwe, skoro on właśnie powiedział jej o swojej miłości?

- Jaka tajemnica, Luc? Proszę, powiedz mi. - Zanim to migoczące srebrne światło całkowicie zblednie, poszarzeje.

- Chodzi o Jessie, Em.

- Jessie? Och, Luc, czy ona jest chora?

- Nie, nic jej nie jest. Ale nasz syn...

- Nasz syn, Luc? - Nie, proszę, nie chcę tego wiedzieć. - Nasz syn?

- Od początku wiedziałaś, że nasze dziecko jest chłopcem. I był, Emmo. Był ukochanym chłopczykiem, który umarł jeszcze przed przyjściem na świat.

Wtedy poczuła to coś, doznała tego samego przerażającego uczucia, co w tamtą sierpniową noc, kiedy obudziła się w kałuży krwi, ponurej pewności, że wszystko jest stracone. Jej dziecko, jej syn umarł. A teraz przyszła kolej na Emmę.

Ale teraz, tak jak wówczas, gdy ogarnęła ją wirująca ciemność i zaczęła pogrążyć się w śmierci, usłyszała głos, jego głos. Taki mocny, taki czuły, bowiem Lucas starał się ukryć swój własny, paraliżujący lęk.

- Kiedy nasz syn umierał, Em, rodziła się mała dziewczynka. Jej matka miała tylko szesnaście lat i nie chciała jej. Tak przynajmniej mi powiedziano. Ale to nie była prawda. Sarah Pembroke pragnęła swojej córki.

- I nadal jej pragnie.

Jego głos był czuły. Ale słowa, nareszcie słowa prawdy, były takie surowe.

Emma spuściła głowę, przytłoczona rozpaczą, i nawet jej roztańczone loki zupełnie sienie poruszały. I pozostały nieruchome, zastygłe na skutek szoku i strapienia, kiedy znowu spojrzała na Lucasa.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Luc?

- Nie mogłem ci powiedzieć wtedy, nie w tamtą noc. Po prostu... nie mogłem.

Dlaczego? W tamtą targaną burzą noc Emma znalazła odpowiedź na kolejne „dlaczego”, odpowiedź, która pozwoliła jej przetrzymać wyznanie, że Lucas widział Ashley w przededniu jej śmierci. A teraz?

Teraz Emma Cain znowu znalazła sposób, by przetrwać kolejny raz.

- Ponieważ byłem taka słaba po operacji, a potem taka szczęśliwa, kiedy trzymałam Jessie w ramionach. Chciałaś oszczędzić mi smutku, prawda? Chciałaś mnie chronić.

Jego śliczna Emma wybrnęła z trudnej sytuacji. Ale jego tajemnica, częściowo odkryta, musiała zostać ujawniona do końca.

- Częściowo tak, Em, zwłaszcza tamtej nocy. Ale było coś jeszcze, coś o wiele mniej szlachetnego.

- O cóż więcej mogłoby chodzić, Luc? - Nie chcę, żeby było coś więcej. Mogę żyć z tą tajemnicą. Cały czas z nią żyję. Ale proszę, już nic więcej. - Naprawdę uwierzyłeś, że Jessie była niechciana, że nas potrzebowała. - Nie wykradłeś jej. Wiem, że tego nie zrobiłeś.

- Tak. - Jego głos był bardzo cichy. - Jessie potrzebowała nas, i ja potrzebowałem Jessie. Tamtej nocy nie myślałem o egoizmie swojej decyzji. Tamtej nocy w ogóle nie myślałem. Czułem tylko... - Taką utratę, taki strach... taki lęk, że utracę wszystko.

- Nie rozumiem. Co mogłoby być egoistyczne w twojej decyzji?

- Sama decyzja była egoistyczna. Nie miałem prawa podejmować jej za nas dwoje. Za ciebie. Pobraliśmy się ze względu na twoją ciężę, ze względu na nasze dziecko, naszego syna. I kiedy umarł, ty mogłabyś zacząć od nowa życie, które zawsze planowałaś: skończyć studia w Cambridge, poznać kogoś innego...

- Ty też mógłbyś, Luc.

- Tak. Ale już wiedziałem, Emmo, gdzie chcę spędzić moje życie i z kim. Z tobą.

- Och, Luc - szepnęła, a potem zmarszczyła brwi. Być może dlatego, że srebrzysta jasność była teraz prawie oślepiająca. A może z jakiegoś innego powodu.

- Co, Em? - Czy moja zdrada była zbyt wielka. Czy ostatecznie jednak cię utracę?

- Nie mogłeś mi wtedy powiedzieć, Luc. Nie w tamtym momencie i nie przez wszystkie minione lata. Nigdy bym ci nie uwierzyła. W głębi duszy wierzyłabym, że była to decyzja spowodowana poczuciem winy, a nie miłością- że postanowiłeś zostać ze mną i stworzyć rodzinę, bo kiedy straciłam twoje dziecko, straciłam szansę na urodzenie następnych. - I wiedziałeś o tym, pomyślała. Wiedziałeś, jak bardzo cię kochałam, jak bardzo byłam zadurzona... a przy tym jaka byłam niepewna, jaka młoda. Twoja tajemnica, ujawniona przez ciebie prawda, zepsułaby całe moje szczęście, skaziłaby je wątpliwościami. Wiedziałeś o tym i zdecydowałeś się chronić mnie, i czy w to wierzysz, czy nie, jesteś szlachetny. - Nigdy bym nie uwierzyła, że mnie kochałeś, pragnąłeś.

- Ale ja naprawdę cię kocham, Emmo. Wtedy. Teraz. Zawsze. Czy wierzysz w to teraz?

W błyszczącej mgle Emma zobaczyła to, czego nie była w stanie dostrzec nigdy przedtem. On również był oszołomiony. Był jej czarodziejem, a ona była jego baśniową czarodziejką, i...

- Tak - szepnęła, a złociste loki znowu rozpoczęły swój taniec, z niezmaconą i triumfującą radością. - Wierzę ci. I kocham cię także. Wtedy. Teraz. Zawsze.

Przez bardzo długi czas po prostu obejmowali się nawzajem. Pragnął tego uścisku od tak dawna, byli przytuleni tak mocno, że nie było już miejsca na żadne tajemnice. A kiedy Lucas w końcu się odezwał, wypowiedział obietnicę miłości.

- Naprawię to wszystko, Em. Przekonam Sarah, żeby zostawiła naszą córkę w spokoju.

Emma odsunęła się wtedy od niego. Nie wyrwała mu się z ramiona, ale chciała dobrze się przyjrzeć zaciętej powadze na jego przystojnej twarzy. Dotknęła tej ukochanej twarzy, delikatnie wodziła palcem po bruzdach, które wyrzył czas, bruzdach miłości i zatroskania. Potem wplotła smukłe palce w jego czarne jak noc włosy. Któregoś dnia w tych włosach zaczną się pojawiać srebrne nitki, tak błyszczące, jak jej nadzieja, ona zaś będzie z nim w ten dzień, będzie go dotykać, kochać - i zawsze będzie mu ufała.

- Zanim wyjedziesz, Luc, muszę ci coś powiedzieć.

Żadnych prawników. Żadnego Jacka. Tylko my dwoje. Sami. Na osobności.

Sarah nie powiedziała Jackowi o zbliżającym się spotkaniu z Lucasem. Ani zeszłego wieczoru, oczywiście, ani dzisiaj, kiedy zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, co u niego słychać, a on podzielił się z nią wspomnieniami o dwóch małych chłopcach, którzy mówili po francusku, kiedy trzymając się za ręce spacerowali nad rozlewiskiem.

Ponadto Jack wyjawiał jej, że zamierza porozmawiać z Cole'em, może jeszcze tego wieczoru. Było to wyznanie stanowiące dla Sarah idealną okazję, by powiedzieć mu o jej planach na ten środowy wieczór. W milczeniu, które zaległo po jego słowach, Sarah wyczuła nawet napięcie, sztywność, jak gdyby Jack jakimś sposobem już wiedział, że zamierzała się spotkać z Lucasem.

I czekał, aż ona mu o tym powie, dotrzyma obietnicy powiadomienia Scotland Yardu albo jego samego, albo obu miejsc naraz, że ktoś wybiera się do niej z wizytą.

Lucas Cain nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia. Był ojcem, a nie zabójcą. Sarah była tego pewna. Ale... Ciekawe, czy kiedykolwiek sobie zaufamy? Jack zapytywał nachmurzone szare niebo. Tak! Odważnie oznajmiała kobieta-cień. Mais oui, Jacques.

To właśnie to dzielne widmo wykręcało teraz numer telefonu, zarezerwowanego wyłącznie dla potrzeb Sarah, do pokoju Jacka w hotelu Drake.

W połowie czwartego dzwonka elektroniczny głos zaproponował jej zostawienie wiadomości na hotelowej sekretarce. Zrobiła to.

- Cześć, Jack. Tu Sarah. Muszę ci coś wyznać. To nic niepokojącego, po prostu dotrzymuję obietnicy. Dziś wieczorem zamierzam zobaczyć się z Lucasem. Przychodzi tutaj - jestem w domu - za jakieś piętnaście minut. Tak czy owak, chciałam, żebyś wiedział, chociaż pora jest już późna. Może akurat masz spotkanie z Cole'em. Mam nadzieję, że tak. Mam nadzieję, że wszystko idzie dobrze.

Był o wiele wyższy niż we wspomnieniu Sarah. Wyższy, silniejszy, bardziej groźny, zwłaszcza że w pobliżu nie było Jacka.

Ale Lucas Cain jest ojcem, nie zabójcą, przypomniała sobie Sarah. W tej małej, ciemnej torbie, którą ma przy sobie, nie ma ani butelki Cristale, arii noża myśliwskiego o wyszczerbionym ostrzu, ani eleganckiego, wyrzeźbionego w kamieniu serca. I chociaż znalazłoby się miejsce, nie ma kryształowych kieliszków do szampana i absolutnie żadnych więdnących, krwistoczerwonych róż.

Nie ma tych rzeczy. Nie mogłoby ich być. On nie mógłby być nim.

A jeśli jest? Jestem silna, Jack! Obwieściła z tak zuchwałą i głupią przekorą. Jej siła nie mogła się równać z siłą Lucasa Caina. Świetnie. Ale będę uzbrojona, w wiedzę i czujność, i, oczywiście, gaz.

Ta broń była blisko, w jej torebce w sypialni. Ale teraz Sarah nie potrzebowała gazu - nigdy nie będę go potrzebowała! - ponieważ Lucas już stanął w bezpiecznej odległości od niej, przeszedłszy przez obszerny salon po to, by uważnie przyjrzeć się posązkom firmy Pegasus.

Wpatrywał się w nie zaabsorbowanym wzrokiem. A może było to nie-widzące spojrzenie, po prostu okazja, by zebrać myśli i opanować emocje.

Sarah przerwała milczenie.

- Podjęłam pewną decyzję, Lucas.

Odwrócił się do niej.

- Naprawdę?

- Tak. Uznałam, że masz rację twierdząc, że dla Jessie będzie najlepiej, jeśli nigdy się o mnie nie dowie. I nie dowie się. Obiecuję. Zostawię w spokoju ją, ciebie i Emmę.

Szykowała to przemówienie, te niemal niemożliwe słowa, z myślą o ojcu, a nie o zjednywaniu sobie zabójcy. Sarah oczekiwała od tego ojca ulgi, może nawet wdzięczności. Jednak jego poważna mina stała się jeszcze bardziej uroczysta.

- Nie.

- Nie? - To nie wystarczy? Chcesz ubezpieczyć moje milczenie?

- Emma uważa, że powinniśmy powiedzieć wszystko Jessie.

- Emma?

- Widziała, jak sprzecamy się na klifie, i doszła do wniosku, że jesteśmy kochankami. Powiedziałem jej prawdę, włącznie z planem zatrzymania się tutaj, aż uda mi się przekonać ciebie, żebyś podjęła decyzję, którą mi właśnie oznajmiłaś. Kilka godzin temu dałbym wszystko, żeby usłyszeć, jak wypowiadasz te słowa, i nawet teraz uważam, że tak byłoby najlepiej.

- Ale Emma nie zgadza się.

- Ona wie - tak jak ja, Sarah - że Jessie zawsze była tobą zafascynowana. Chociaż wydaje się to zupełnie niemożliwe, być może ona naprawdę rozpoznaje twój głos. Ale to nie mistycyzm sprawia, że Em jest tak zdecydowana. To jej poczucie sprawiedliwości, uczciwości. Poza tym martwi się, że Jessie mogłaby się poczuć zdradzona, jeśli kiedyś w przyszłości odkryje prawdę. Gdyby nie to, że już ciebie poznała, i gdyby nie to, że chciałaś jej od początku, decyzja Emmy mogłaby być zupełnie inna. Ale Jessie poznała cię i wszyscy wiemy, że została ci ukradziona, i chociaż nie jestem tego taki pewny, jak Emma - właściwie wcale nie jestem pewny - obiecałem, że przekażę ci, co ona czuje. To nie są jakieś przelotne kaprysy, Sarah. Emma wierzy całym sercem, że Jessie powinno się o tym powiedzieć. I to szybko.

- A ty jesteś gotowy zgodzić się z nią?

- Tak-odparł cicho, nie mówiąc reszty, nawet nie zaczynając jej mówić.

Ale Sarah wiedziała, jakie są te niewypowiedziane słowa. Lucasa i Jessie łączyła wspólna, czuła, pełna miłości, niesamowita więź. Ale Emma była matką Jessie. To była najintymniejsza ze wszystkich więzi.

Teraz, do innej matki Jessiki Cain, do tej, która już stwierdziła, że będzie najlepiej, jeśli jej córka nigdy nie dowie się prawdy, Lucas powiedział:

- Wszystko zależy od ciebie, Sarah. Ty masz decydujący głos. Przez ostatnie trzy i pół dnia Sarah żegnała się z Jessie. Wierzyła, że robi to dla Jessie. Teraz podarowano jej odroczenie. Nie było to wstrzymanie egzekucji, ale całkowite ułaskawienie, szansa, by jej serce mogło być naprawdę wolne.

Emma - matka Jessie - uważała, że powinno się powiedzieć Jessie. Tak samo uważał Jack.

Sarah wpatrywała się w posąжки na obramowaniu kominka obok Lucasa, lśniące symbole zakończonych triumfem zmagania Jacka z wyznaniem na temat jego własnych rodziców. Chociaż z początku było to dla niego trudne, powodowało chaos i dezorientację, jego głęboka miłość dla Daltonów ostatecznie zyskała potwierdzenie. Poza tym gdyby Jack nigdy nie poznał prawdy, prawdopodobnie nie mógłby w tej chwili spotkać się ze swoim bratem.

W przypadku Jacka ujawnienie prawdy okazało się najlepszym rozwiązaniem, aktem prowadzącym raczej do zwycięstwa, niż do niepokoju...

Napływ myśli Sarah został przerwany nagle i dość bezceremonialnie. Lucas trzymał teraz jeden z posązków, i to samego Pegaza z białego marmuru. I cóż było w tym takiego niepokojącego? Przecież po prawidłowym złożeniu te układanki nie mogły ulec rozbiciu.

Ale... ale Lucas Cain trzymał Pegaza z wdziękiem, z siłą w lewej ręce.

- Myślałam, że jesteś praworęczny.

Lucas zerknął na nią znad skrzydlatego marmurowego posąжку.

- Mówiłaś coś, Sarah?

Teraz uświadomiła sobie, że powiedziała te słowa szeptem. Czy był to szept strachu? Przerżenia? Kiedy odezwała się ponownie, była Sarah Pembroke, kobietą-wojownikiem, z której emanował absolutny spokój nawet podczas szaleństwa wojny.

- W zeszły weekend w Hyacinth House zauważyłam, że niemal wyłącznie używasz prawej ręki. Nie wiem, dlaczego zwróciłam na to uwagę. Przypuszczam, że to dziennikarskie zamiłowanie do szczegółów.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza. Nie używam lewej ręki zbyt często. Tylko kiedy rzeźbię.

- Wejdz, Jack.

- Dziękuję.

Cole nie odzywał się, dopóki obaj nie usiedli w salonie jego hotelowego apartamentu.

- Mówiłeś, że powinniśmy o czymś ważnym porozmawiać.

- Tak. Chcę ci powiedzieć, kim jestem. Nie jestem pisarzem, Cole. -Jestem twoim bratem: tym, którego kochałeś tak bardzo, że go oddałeś, który dzięki tobie nie musiał przeżywać brutalnego dzieciństwa, które przeobraża młodzieńcze serca w zatwardziałe serca potworów. - Jestem konsultantem FBI. Pomagam rozwiązywać sprawy morderstw.

Cole Taylor wciąż spokojnie wpatrywał się w niego kamiennie szarymi oczami.

- I jesteś tutaj z powodu Ashley i Pauliny.

- I Sarah.

Wzrok Cole'a był nadal niezachwiany, ale dało się w nim zauważyć zatroskanie.

- Sarah?

On się martwi o Sarah, uznał Jack. O jej dobro. Nie o własne dobro.

- Jest następną ofiarą zabójcy.

- Skąd wiesz?

- Dojdę do tego. Jednak, jeśli nie masz nic przeciwko temu, najpierw chciałbym ci zadać parę pytań.

- Nie zabiłem ich.

Kamienne oczy. Kamienny głos. I kamienne serce? Nie. Nie.

- W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko moim pytaniom.

- Absolutnie nie.

- Dobrze. Chciałbym zacząć od początku. Urodziłeś się w Breaux Brid-ge, w stanie Luizjana...

- Czternastego lutego. Ja ich nie zabiłem, Jack. Nie zrobiłem sobie prezentu na urodziny.

- Musisz płynnie mówić po francusku.

Coś zaiskrzyło w granitowych oczach, małej płomyk z tlącego się węgielka. Żar miłości? Być może. Chociaż kiedy Cole znowu przemówił, to nie miłość wyczuwało się w jego głosie.

- Nie mówie.

Zaprzeczenie było surowe, karzące. I było kłamstwem. Musiało nim być. Dwaj chłopcy, dwaj bracia mówili po francusku nad zatoką.

- Czyż Breaux Bridge nie znajduje się w samym sercu francuskiej Luizjany?

- Tak. Ale geografia nie miała dla mojego ojca żadnego znaczenia. Był święcie przekonany, że Amerykanie powinni mówić po angielsku. Tylko. Zatem, Jack, jeśli szukasz mordercy, który uwodzi swoje ofiary po francusku. .. - Wzruszenie ramion Cole'a, chociaż lekkie, było demonstracyjnie lekceważące. - Ale już ci powiedziałem, że nie jestem zabójcą.

- Tak, powiedziałeś. Teraz proszę cię, żebyś mi opowiedział o swojej rodzinie.

- Co?

- Według Urzędu Statystycznego Breaux Bridge była to rodzina czteroosobowa. Dwoje rodziców, dwaj synowie.

Pytania Jacka Daltona były natrętne, bolesne i zupełnie bez związku. Więc dlaczego, Cole pytał samego siebie, pozwalam na takie wdzieranie się w moje życie? I dlaczego teraz mam zamiar udzielić mu odpowiedzi?

Czy dlatego, że czuł szacunek do Jacka, podziw dla mężczyzny, który był tak skoncentrowany, tak panował nad sobą, że pod żadnym pozorem nie pozwoliłby na śmierć - nawet przypadkową śmierć potwora, gdyby taka śmierć oznaczała kres wszystkich jego marzeń? A może to było coś zupełnie innego? Może chciał odpowiedzieć, ponieważ, o dziwo, Jack wydawał się teraz trochę niepewny, mimo wszystko nie tak skoncentrowany, jak zwykle, i poszukiwał czegoś - czyżby istniały jakieś marzenia, które jego również zwodziły?

Nie szukaj u mnie odpowiedzi na temat zagubionych marzeń, Jack.

Lecz Jackowi zależało właśnie na tym. A Cole Taylor, specjalista od zagubionych marzeń - potrafiący gubić marzenia, ale nieumiejący ich ratować - zaproponował cichą odpowiedź:

- Miałem młodszego brata. Utonął, kiedy miał dwa lata.

Podczas tego wyznania palce prawej ręki Cole'a Taylora poruszyły się lekko, jakby wspomnienie tamtej teksańskiej nocy sprzed wielu lat żyło w tym uszkodzonym fragmencie ciała. Wtedy, w noc, kiedy pożegnał się ze swoim bratem, jego ręka była cała. Jednak gdy wyciągnął ją, by dotknąć policzka ukochanego brata, jego palce zupełnie zdrętwiały, a potem płonęły. Cofnęły się, jakby coś je poparzyło, i cofały się teraz, zaciskały bardzo mocno, jakby sparzyła je absurdalność przypuszczenia, że Jack potrzebował od niego tej emocjonalnej prawdy.

Jack Dalton jest specem od morderstw i widać wyraźnie, że jestem dla niego podejrzanym numer jeden.

- Moja matka zostawiła mnie po tym wszystkim, a mój ojciec i ja jeździliśmy z miasta do miasta, aż w końcu wylądowaliśmy w Harlarville, gdzie mieszkaliśmy aż do wieczoru, podczas którego zabiłem go nożem myśliwskim. Do tego zmierza twoje śledztwo, prawda, Jack?

- Według szefa policji w Harlanville śmierć twojego ojca nastąpiła w obronie własnej. - A dziewczyna, która cię kochała, wierzyła, że to był wypadek.

- Ale ty zastanawiasz się, czy to było morderstwo? Czy zabiłem tego drania z zimną krwią? Chcesz, żebym ot tak przyznał się do morderstwa pierwszego stopnia? Żeby można było mnie sądzić za zabicie Jeda Taylora, ponieważ nie potrafisz powiązać mnie z tymi nowszymi morderstwami?

- Nie. Ja tylko... chcę wiedzieć.

I znowu to samo. To dziwne spojrzenie, jakby Jack Dalton szukał czegoś, potrzebował czegoś od Cole'a. Czegoś zupełnie innego niż przyznanie się do morderstwa.

- To był wypadek, Jack. Nie zrozum mnie źle. Jeśli ktokolwiek zasługiwał kiedyś na śmierć, to był mój ojciec. Ale dla mnie miało ogromne znaczenie, żeby go nie zabić, nawet przypadkowo. Usiłowałem go opanować, przytrzymać go do przyjazdu policji, a wtedy on upadł na roztrzaskaną gitarę. Kiedy wygiął się zdziwiony, nóż ugrzązł w jego sercu. - Chociaż teraz wcale nie wydajesz się pewny siebie, wiem, że tobie nic takiego by się nie przydarzyło. I widzę, że wolałbyś, aby to mi się nie przydarzyło - jak gdybyś rozumiał, że tamten wypadek zrujnował moje marzenia. - Nie zamordowałem swojego ojca. I nie zamordowałem Pauliny. I nie zamordowałem Ashley. - Cole zrobił przerwę, a potem dorzucił cicho: - I nigdy nie zraniłbym Sarah.

- Wierzę ci.

- Naprawdę? - W tym granitowym człowieku było teraz życie, emocja, iskra zaskoczenia, a może nadziei.

- Tak, wierzę ci. - Oczywiście, że wierzę. - Chciałbym jednak zadać ci kilka pytań w kwestii tych aktorek. Ponieważ znałeś je obie, mógłbyś, nawet nieświadomie, mieć wgląd w tożsamość mordercy.

- Proszę bardzo. Nikomu nie zależy na znalezieniu go tak bardzo, jak mnie.

- Dobrze. Czy byłeś związany z każdą z nich?

- Jeśli chodzi ci o kontakty seksualne, to tylko z Paulina. Ashley i ja byliśmy przyjaciółmi. Właściwie była to bliższa więź niż to, co łączyło mnie kiedykolwiek z Paulina.

- Chciałeś czegoś więcej od Ashley?

- Nie. Ona miała obsesję, to chyba właściwe słowo, na punkcie mężczyzny, którego poznała w college'u. Był żonaty, lecz ona wciąż snuła fantazje, że znowu się z nim zejdzie. - Oboje fantazjowaliśmy na temat dawnych miłości, do których nie było powrotu. - Ashley i ja byliśmy dla siebie odpowiednimi przyjaciółmi, traktowaliśmy się nawzajem bez taryfy ulgowej. Zmuszaliśmy się

do realistycznego patrzenia na świat. Ale nie było mnie wtedy, gdy ona naprawdę mnie potrzebowała, w tę noc, kiedy musiała się zmierzyć z najbardziej ponurą rzeczywistością.

- Czy ten mężczyzna nazywał się Lucas?

- Skąd to wiesz, u licha?

- Zbieg okoliczności. - Przeznaczenie? - Czy wiedziałeś, że był w Los Angeles w ostatnie walentynki?

- Co? Nie. Ale jeśli to prawda, Jack, w takim razie on jest twoim zabójcą. - Pantera była teraz ożywiona, chętna do zabijania, gotowa towarzyszyć Jackowi, kiedy ten zaaresztuje Lucasa Caina. - Kiedy Lucas i Ashley byli w college'u, wymyśliła jakieś kłamstwa, całkiem istotne, aby spróbować zniszczyć jego związek z kobietą, którą ostatecznie poślubił. Kiedy Lucas dowiedział się, co zrobiła Ashley, zażądał rozmowy. Powiedziała, że był wściekły. Naprawdę myślała, że on ją zabije...

- Rzeźbisz lewą ręką, Lucas?

- Od zawsze. Urodziłem się leworęczny, jeszcze jedna cecha odziedziczona po ojcu i wzbudzająca pogardę mojej matki. Wraz ze swoimi licznymi narzeczonymi postanowiła sobie, że pozbawi mnie tego niepożądanego dziedzictwa. Byłem karany, kiedy używałem lewej ręki, a nawet kiedy nią poruszałem. Stałem się praworęczny- to znaczy, oficjalnie. Na osobności, kiedy rzeźbiłem, a więc już w latach wczesnej młodości, zawsze posługiwałem się lewą ręką. Nie miałem wyboru. Jeśli mam jakiś talent, to istnieje on tylko w tej ręce. Sarah? Wyglądasz na przygnębioną tym, co powiedziałem. Dlaczego?

Ponieważ syn, którego matka wzywała na pomoc licznych kochanków, żeby karać go za posługiwanie się nią, mógł stać się mężczyzną, któremu ogromną przyjemność sprawiało nie tylko rzeźbienie tą samą surowo karaną ręką, ale i krojenie ciał i gardel kobiecych.

- Sarah? - Lucas odstawił Pegaza z białego marmuru na obramowanie kominka i zaczął iść w jej kierunku. - Co się stało?

Nic. Wszystko jest całkowicie w porządku. Podczas gdy ty będziesz odpakowywał szampana i róże, ja wyjmę gaz z mojej torebki i kiedy nadejdzie odpowiednia pora, kiedy będę pewna, że dam radę, sparaliżuję cię gazem i ucieknę. Pobiegnę schodami i chociaż masz długie, mocne nogi, nie będziesz w stanie mnie złapać. Jestem teraz w znakomitej kondycji, tak jak zawsze chcieli moi rodzice, i będę w stanie uciec, a potem Jessie i ja...

Myślisz, że odrobina gazu naprawdę jest w stanie powstrzymać szaleńca? Albo że potrafisz biec szybciej od niego? Albo że nawet kiedy będą go piekły oślepienie oczy, nie będzie mógł rzeźbić, ciąć, zabijać?

- Sarah?

Jeśli nie zdołam uciec, to nie będzie miało znaczenia. Moja Jessie będzie bezpieczna. Jack uratuje ją. Odbierze moją wiadomość tego wieczoru później, kiedy ja już nie będę żyła. Będzie wiedział, że Lucas był tutaj. Jack Dalton, który niczego nie przeoczy, znajdzie odciski palców, które Lucas zapomniał zetrzeć z marmurowego Pegaza, i to jest powód, dla którego żyłam aż do teraz: żeby uratować moją córkę.

Nagle Sarah poczuła całkowity spokój. Nawet uśmiechnęła się.

- Nic się nie stało, Lucas. Co jest w tej torbie? Coś dla mnie? Lucas zmarszczył brwi widząc to nagłe przejście od wyraźnego strachu do niemal kokieteryjnej nonszalancji.

- Tak.

- Ja też mam coś dla ciebie. Jest w mojej torebce w sypialni. Może pójdę tam, podczas gdy ty wypakujesz torbę?

Podczas gdy ty napełnisz kieliszki szampanem Cristale, ułożysz róże o długich łodygach i ukryjesz nóż myśliwski o wyszczerbionym ostrzu pod poduszką na czarnej jak śmierć kanapie...

.. Ale kiedy Sarah wróciła, nie zastała romantycznej scenerii, która stanowiłaby preludium do morderstwa. Na czarnym lakierowanym stole, gdzie powinien był stać szampan o złocistej, miodowej barwie i krwistoczerwone róże, leżał bukiet albumów fotograficznych w łagodnych odcieniach różu i kremu.

- Pomyśleliśmy, że chciałybyś zobaczyć zdjęcia Jessie od jej lat niemowlęcych.

- Lucas...

- Mamy negatywy i zrobimy wszystkie odbitki, jakich sobie zażyczysz. Ale Emma pomyślała, że powinienem je tutaj przynieść dzisiaj wieczorem. Chyba że wolałybyś ich nie oglądać?

- Nie, Lucas. - Jej ręce już prawie dotykały jasnoróżowego albumu, w którym znajdowały się pierwsze zdjęcia niemowlęcia. - Chcę.

- To oznacza, że już podjęłaś decyzję, prawda? Chcesz, żebyśmy jej powiedzieli.

Sarah nie cofnęła rąk znad albumu. Spojrzała jednak na Lucasa skupionym wzrokiem.

- Tak. Przykro mi. Wiem, że uważasz, iż to nie jest najlepsze rozwiązanie.

- Nie jest. Ale mówiłem ci, że zdam się na wolę Emmy i twoją. - Uśmiechał się lekko i na tyle szczerze, na ile pozwalały mu złe przeczucia. - Em uważa, że powinniśmy jej o tym powiedzieć w tym tygodniu, kiedy jeszcze nie chodzi do szkoły. Moglibyśmy powiedzieć jej o tym jutro, a ty mogłabyś zaplanować powrót do Kornwalii na weekend... tylko że marszczysz czoło. Coś ci nie pasuje, Sarah? Jesteś już umówiona?

Żadne inne spotkanie na świecie nie mogłoby przeszkodzić Sarah w zobaczeniu się z córką. Jednak rzeczywiście była już umówiona, było to rendez-vous ze śmiercią, i chociaż Jack nie miał zamiaru dopuścić do tego morderstwa, co będzie, jeśli jednak do niego dojdzie? Co by się stało, gdyby z własnej winy znalazła się w niebezpiecznej sytuacji, tak jak mogło się stać dzisiaj, kiedy powiadomiła Jacka o swoich planach zbyt późno, by mógł zdążyć z interwencją?

Może powiedzenie prawdy Jessie nie było w porządku. I to w każdym możliwym czasie. A może było w porządku. Wszyscy uznaliby jednak, że nie należy mówić jedenastoletniej dziewczynce o istnieniu matki, której nigdy nie знаła, raptem na miesiąc przed dniem, w którym ta matka zostaje zabita nożem.

- Chciałabym poczekać do dnia św. Walentego, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dobrze - zgodził się Lucas, chociaż był wyraźnie zaskoczony. - Kiedy tylko chcesz.

- Dziękuję, tylko że teraz to ty marszczysz czoło.

- Chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

Serca Sarah zdrząło. Była tak blisko ponownego spotkania ze swoją córką, a on miał taką uroczystą minę. Przysługa? To znaczy chcesz, żebym udawała, że jestem przyjaciółką rodzonej matki Jessie? Matki, która zmarła, ale na łożu śmierci wyraziła życzenie, bym spotkała się z jej córką ten jeden raz?

- Jaką przysługę?

- Emma i ja chcielibyśmy pojechać na grób naszego syna. Naszego. Jego głos uwzględnił wszystkich. Naszego syna. Naszą córkę.

- To nie jest przysługa.

- Nie. Przysługa polegałaby na tym, że... zastanawiałem się nad jego nagrobkiem.

- Chodzi ci o to, czy powinien mieć nowy nagrobek? Wyrzeźbiony w marmurze przez własnego ojca? Tak, Lucas. Powinien.

Przez chwilę milczenie wypełniało ich myśli, myśli o dwojgu dzieci, które przyszły na świat w tamtą sierpniową noc w Penzance. W końcu dał się słyszeć delikatny dźwięk. To Sarah otworzyła album, na którym dotychczas spoczywały jej dłonie.

Potem zapomniała o bożym świecie i patrzyła na zdjęcie Jessie zrobione kilka godzin po narodzinach, raptem kilka godzin po tym, jak przywitała świat - i swoją matkę - melodyjnym kwileniem.

Sarah nie zauważyła wycofującego się Lucasa.

A jeśli poruszał się za jej plecami? Żeby poderżnąć jej gardło? Żeby zbryzgać ten nowo narodzony cud radości karmazynowymi kroplami krwi matki?

To mogło się zdarzyć. Kobieta-wojownik była całkowicie rozbrojona, nieprzygotowana na atak; już nie miała się na baczności. Była matką, matką pochłoniętą oglądaniem swego dziecka po raz pierwszy w życiu.

- Nie wierzę, że Lucas jest zabójcą - powiedział spokojnie Jack. Ojciec Jessiki nie jest bezlitosnym mordercą, tak samo jak ty. To niemożliwe, żeby nim był. - Chcę ci coś pokazać, Cole. Ten symbol został wysłany przez zabójcę jego ofiarom. Muszę wiedzieć, czy spotkałeś się kiedykolwiek z czymś takim.

Widziałeś coś takiego, uświadomił sobie Jack, obserwując reakcję brata na stylowe czarne serce. Nie było to poczucie winy, ale rozpoznanie. I niepokój.

- Poznajesz je, prawda?

- Rozpoznaję pomysł, nie sam symbol.

- Pomysł?

- Serce wyrzeźbione w kamieniu i odbite w czarnym atramencie. Rozmawialiśmy o czymś takim.

- My?

Cole umilkł, żeby przywołać wspomnienie. Po chwili pojawiło się z krystaliczną wyrazistością. Byli w Hongkongu, w wykładanym zielonce białym marmurem holu pałacu Jadeitowego, gdzie rozmawiali o nabyciu stempli -swoich imion w języku chińskim, wyrzeźbionych w kamieniu - czekając, aż limuzyny rolls-royce przewiozą ich na kolację w restauracji na wodzie na przystani Aberdeen, i czekając na Lillith.

- Ja, Sydney, Mick, David i Timothy.

Oczywiście Jack miał kartoteki na temat każdej z tych osób. Jednak dwie z nich znajdowały się na samej górze jego prywatnej listy podejrzanych. Jedna z tych osób narzucała się z neodpartą logiką. Właściwie była niemal podana na srebrnej tacy, tak wiele było w jej przypadku zbiegów okoliczności i poszlak równie uderzających, jak tropy prowadzące do Cole'a. Drugie nazwisko było nielogiczne, nieprawdopodobne. A jednak pomimo poszukiwań, które, jak dotąd, nie zaowocowały żadnymi informacjami potwierdzającymi niepokój Jacka, prześladowało go z osobliwą siłą.

Najpierw Jack zajął się najbardziej logicznym nazwiskiem.

- Myślałem o Timothy.

- Jako o potencjalnym zabójcy?

- Tak.

- Nie - powiedział stanowczo Cole. - To nie mógłby być Timothy. Ależ mógłby, rozmyślał Jack. W każdym razie do tej pory nie znalazł niczego, co zdecydowanie wykluczyłoby miliardera z kręgu podejrzanych, a lista poszlak była całkiem zachęcająca. Timothy był właścicielem Gemstone Pictures, studia, dla którego Ashley Alexander zdobyła nagrodę Akademii, i z którym Paulina Bliss na krótko przed swoją śmiercią podpisała kontrakt na dwa filmy. Timothy był również właścicielem Global News i to on polecił Sarah opuszczenie skąpanych we krwi okopów wojny i powrót do Londynu. A jeśli chodziło o osobowość Timothy 'ego Asquitha, arystokratycznego mecenasa sztuk, który zlecił Lucasowi Cainowi wyrzeźbienie kupidyna w czarnym marmurze? Było w Timothy'ym coś dręczącego, targał nim jakiś wielki głód...

- Jeszcze nie ustaliłem, co robił w Los Angeles czternastego lutego. W każdym razie jego prywatny samolot nie opuszczał lądowiska w Nowym Jorku od dziesiątego do dwudziestego pierwszego lutego.

- Zgadza się. Timothy był w Nowym Jorku w noc, kiedy Ash i Paulina zostały zamordowane. Znajdował się w Sloan-Kettering, w szpitalnej sali, gdzie leżała jego żona. U Lillith właśnie wykryto raka piersi i była poddawana chemioterapii. - Cole nachmurzył się. - To była pilnie strzeżona tajemnica, chociaż kuracja dała bardzo dobre efekty. Wczoraj Timothy dowiedział się, że według najświeższych badań guz jest nadal w remisji.

- Pilnie strzeżona tajemnica, którą Timothy podzielił się z tobą.

- Wiedział, że martwiłem się o Lillith, kiedy byliśmy wszyscy w Hongkongu, że zauważyłem, jak jest zmęczona. I może Timothy potrzebował kogoś, oprócz Lillith, z kim mógłby porozmawiać o jej chorobie. Nie ma się co dziwić, że był taki przygnębiony.

Najbardziej upiorną wizytówką zabójcy o czarnym sercu była odbitka tego serca, wykonana za pomocą krwi ofiary na jedwabistej skórze jej lewej piersi. Czy to na tej części stwierdzono u Lillith Asquith raka? Czy Timothy żywił szaleńczy gniew wobec młodych kobiet, których piersi były nieuszkodzone, wolne od raka?

Było widać, że Cole bardzo szanuje Timothy'ego. Podobnie jak Sarah, która, co charakterystyczne, nie umieściła go na długiej liście mężczyzn życzących jej śmierci. Spokojnie, nieco przepraszającym tonem, Jack kontynuował.

- Timothy mógł polecieć do Los Angeles czternastego lutego - szybka podróż tam i z powrotem, dostatecznie długa, by popełnić te morderstwa.

- Mógł - zgodził się Cole. - Ale nie zrobił tego. Jestem jego alibi, Jack. Timothy był pierwszą osobą, którą zawiadomiłem, kiedy policja znalazła ciało Pauliny. Miała być najnowszą gwiazdą Gemstone Pictures. Ponieważ Timothy nie odebrał telefonu u siebie w hotelu, spróbowałem połączyć się ze szpitalem. Był tam w środku nocy, cztery godziny po zamordowaniu Pauliny i zaledwie dwie godziny po tym, jak została zabita Ash. On nie jest zabójcą, Jack.

Co oznacza, pomyślał Cole, że jest nim jeden z członków zespołu, chyba że ta rozmowa o sercu wyrzeźbionym w kamieniu jest tylko zbiegiem okoliczności.

W głowie Jacka pojawiła się podobna, choć znacznie bardziej sprecyzowana myśl. I przyszła jak podarunek, wraz z uporczywym wspomnieniem. Jednak zanim zdążył wymienić niepokojące nazwisko, odezwał się Cole, żeby odtworzyć najbardziej charakterystyczne punkty ważnej rozmowy, która miała miejsce w Hongkongu.

- To Sydney zaproponowała, żebym zrobił sobie symbol, zamiast rzeźbić swoje nazwisko w języku chińskim. Powiedziała, że powinno to być serce, ze względu na śpiewane przeze mnie piosenki o miłości. Mick wpadł na pomysł, żebym zanurzył je w czarnym atramencie, chociaż to akurat mógł powiedzieć każdy z nich. Pomysł z moim zimnym jak kamień, czarnym jak obsydian sercem był wałkowany od lat. David jak zwykle nie odzywał się. David jest milczący, a Mick otwarcie okazuje wrogość. Mick jest wręcz...

- To Sydney budzi mój największy niepokój, Cole. - To Sydney widziałem na scenie w przeddzień Nowego Roku.

Naturalnie Cole jej nie widział. Była za nim, w cieniu, grała na perkusji rękami, które były tak szczupłe, a zarazem takie mocne. Zdarzyła się chwila, ta niesamowita chwila, kiedy reflektor podążył za Cole'em przez całą scenę, oświetlając twarz Sydney i tworząc makabryczny taniec światła i cieni.

Jej twarz błyszczała w tym pełnym grozy oświetleniu, biała i złowieszcza jak u wampira, zaś ametystowe oczy aż płonęły z wściekłości.

Było to zupełnie ulotne wrażenie, i kiedy reflektor znowu odnalazł Sydney, uśmiechała się, zaabsorbowana muzyką, zakochana w niej, a chwilowy, rozedrgany portret zła wydawał się jedynie kapryśnym złudzeniem.

Ale ten obraz pozostał w pamięci Jacka i teraz, kiedy Jack przyznawał się przed Cole' em, że Sydney budzi j ego niepokój, Cole również podzielił się z nim czymś, co go prześladowało.

- Cóż takiego, Cole?

- Przypomniałem sobie dzień czternastego lutego. To był wczesny wieczór. Ash i Paulina jeszcze żyły. Sydney wpadła do mnie, żeby złożyć mi życzenia urodzinowe i życzyć szczęśliwych walentynek. Była w stanie euforii, tajemnicza i zadowolona z siebie, jakby ukrywała jakiś sekret. - Cole wziął oddech i wraz z nim w jego ciele pojawił się paniczny strach. - A dziś wieczorem, właśnie teraz, je kolację z Sarah i Claire.

Nie z Sarah, Cole. Kobieta, którą kocham, jest całkowicie bezpieczna. A kobieta kochana przez brata, który uratował mi życie?

- Dzisiejszego wieczoru nic się nie zdarzy, Cole. Nic się nie stanie aż do dnia św. Walentego, a do tego czasu...

- Nie, Jack. Nie rozumiesz. Sposób, w jaki Sydney zachowywała się dzisiaj po południu, był dokładnie taki sam, jak w ostatnie walentynki. Ona zamierza działać dzisiaj.

- Dobrze. - Głos Jacka był cichy, spokojny, pomimo że odczuwał coraz większy niepokój. Kobieta, którą kochasz, również będzie bezpieczna. Będzie. - Znajdziemy je, Cole. Mamy do dyspozycji cały Scotland Yard. Wiesz, dokąd zamierzały pójść?

- Nie. Pytałem, ale... Sydney była w stanie euforii, tajemnicza i zadowolona z siebie.

Nie mówiąc wiele, bracia Taylorowie natychmiast zaczęli działać. Podczas gdy Jack korzystał z jednej linii, żeby połączyć się ze Scotland Yardem i rozpocząć poszukiwania sławnej Elle Syd i jej niewidomej, miedzianowłosej towarzyszki, Cole polecił ochronie hotelowej, by weszła do pokoju każdej z kobiet.

- Pokoje były puste, nie było w nich śladu rzezi. Widziano Sydney i Claire, jak opuszczały hotel co najmniej godzinę wcześniej. Boy hotelowy doniósł, że poszły pieszo, i przypomniał sobie jeszcze radosne zapewnienie Sydney, że nie będą potrzebowały taksówki, bo dzisiejszego wieczoru zamierzają korzystać z metra.

Kobiety były gdzieś na terenie Londynu. Jedna była maniaczką, druga zaś znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, natomiast człowiek-pantera znalazł rozlewiska i jego brat tkwił w obszernym apartamencie Cole'a jak uwięzieni w klatce i nerwowo krążyli po pomieszczeniu.

- Nie mogę tu zostać - powiedział w końcu Cole ochryłym głosem, dając upust emocjom. - Nie mogę czekać, aż zadzwoni telefon.

- To może pójdziemy do holu? Jak tylko Scotland Yard je odnajdzie, zostanę o tym powiadomiony.

Pager Jacka zadzwonił już podczas krótkiej jazdy windy w dół, do holu. Zerknąwszy na numer wyświetlający się na ekraniku spojrzął w oczy swemu bratu i był zmuszony zgasić nagłą nadzieję w tej zatroskanej szarości.

- To nie dotyczy Claire. - Ale kobiety, którą kocham, i która jest bezpieczna. - Ale muszę odpowiedzieć.

- Poszedł sobie, Jack.

- I?

- Były chwile dużego napięcia, zarówno dla niej, jak i dla nas. Wiedzieliśmy, że on nie ma przy sobie broni. Jednak kiedy przyznał, że rzeźbi lewą ręką...

- Co?

- On jest praworęczny, o ile nie używa noża. Jack zaklął cicho, ale soczyście.

- Czy z nią wszystko w porządku?

- Czuje się dobrze. Gdyby on był zabójcą... no cóż, jesteśmy pewni, że zamierzała zrobić coś bohaterkiego. Prawie że słyszeliśmy jej myśli. Oczywiście w razie czego wkroczylibyśmy do akcji. Do diabła, niewiele brakowało, żebyśmy interweniowali. Ale ona o tym nie wiedziała. Myślała, że działa samotnie. Odważna kobieta.

- O, tak.

- Tak czy owak, skończyło się dobrze. Postanowili jednak powiedzieć Jessie o wszystkim, po dniu św. Walentego.

- Może nie będą musieli czekać tak długo.

- Masz coś?

- Myślę, że tak. Co oznacza, że może właśnie zaczynacie swoją wieczorną zmianę. - Ponieważ nasz zabójca morduje parami kobiety, które są przyjaciółkami.

Po wyjaśnieniu sytuacji i wydaniu dokładnych instrukcji na temat tego, co należało zrobić, Jack wrócił do holu, do Cole'a, którego już tam nie było.

Ale widziano, jak opuszczał hotel, pantera wyruszająca na łów... pantera, która nagle doskonale wiedziała, gdzie znaleźć swoją zdobycz.

Gdzie, Cole? Zapytał Jack. Na to milczące pytanie uzyskał zdumiewająco jasną odpowiedź. Jack powiedział portierowi, żeby ten skontaktował się ze Scotland Yardem, i podał, w które miejsce należy przysłać oddział policji.

A potem ruszył w noc, kierując się sercem własnego brata.

Studio nagraniowe Gemstone Waverton Street

Pojedyncze światło z przenośnego reflektora padało na dwie kobiety. Był to mały księżyc, otaczał je zamglonym, złocistym nimbem. Siedziały zwrócone twarzami do siebie na środku studia, na krzesłach z prostymi oparciami, przy niskim drewnianym stole, który ozdabiały kryształowe kieliszki do szampana, krwistoczerwone róże i kawałek jadeitu w lawendowym odcieniu, w którym wyryto ręcznie symbol serca. To była skąpana w księżycowej poświacie scena romansu i morderstwa - na

stole leżał również nóż myśliwski o srebrzystym wyszczerbionym ostrzu, które lśniło intensywnie w złocistej mgle.

Za małym błyszczącym księżycem panował spory rozgardiasz. Ostatecznie było to przecież studio nagraniowe i wszędzie wałały się rozmaite instrumenty muzyczne, łącznie z zestawem perkusyjnym słynnej Elle Syd, na podłodze zaś wiły się, na podobieństwo węży, poskręcane przewody elektryczne, które zapewniały połączenie z mikrofonami, wzmacniaczami, keyboardami i gitarami. Jednak wśród tych złowieszczych czarnych zwojów znajdowało się coś obcego. Cienka biała laska, delikatna i niewinna, została wrzucona w to kłębowisko węży przez morderczynię - tak, aby była daleko od szczupłych, delikatnych, śnieżnobiałych rąk Claire.

- Cole! - zawołała wesoło Sydney, pełna wdzięku gospodyni na tym romantycznym przyjęciu śmierci. - Tak się cieszę, że tu jesteś. Moja rozmowa z Claire, jakby to powiedzieć, pogorszyła się. Piłyśmy musujący ci-der, ponieważ ona jest abstynentką, zupełnie jak ty.. Ale ten cider jest wyjątkowy, ponieważ został doprawiony paroma kroplami - obawiam się, że było ich o wiele za dużo - każdego z moich ulubionych narkotyków. Głównie halucynogenami. Ty brałeś w swoim życiu sporo narkotyków, Cole, więc co o tym sądzisz? Co mogłyby zrobić halucynogeny osobie niewidomej? Claire jest z pewnością gdzieś indziej, w jakimś odległym kosmosie. Ale czy ona ma przywidzenia?

- Co ty wyrabiasz, Sydney?

- Myślę, że wiesz. A przynajmniej nie wydajesz się okropnie zszokowany, jeśli nie liczyć twojego wyraźnego - i obrzydliwego - niepokoju o małą pannę kosmonautkę. Ciekawe. Przypuszczam, że to oznacza, że Sarah pokazała komuś to serce. Może temu fantastycznemu Jackowi? Nigdy nie wierzyłam w to, że jest tym, za kogo się podaje. Prawdziwy biograf interesowałby się tobą. Nami. Cole'em Taylorem i zespołem Amethyst.

- To już koniec, Syd.

- Koniec? Och, nie, Cole. To dopiero początek. A skoro już mowa o zaczynaniu, czy zechciałbyś usłyszeć, jaki był mój mistrzowski plan, od samego początku?

- Jasne.-Bylebyś nie przestała mówić, Syd.

- Oczywiście ty miałeś zostać obwiniony. Czarne serce, zabójca, który nie pił szampana. To były tylko zachęcające informacje: za mało, żeby aresztować, ale wystarczająco dużo, żeby skierować policję we właściwym kierunku, a wtedy znaleziono by twoje dwie koszule umazane krwią ofiar - zauważysz, że mam nawet na sobie jedną z twoich koszul - i oczywiście narzędzie zbrodni. Zamierałam dyskretnie podłożyć te obciążające przedmioty w twoim domu, a ty miałeś gnić w więzieniu czekając na swoją kolejkę do egzekucji. Wtedy miałabym cię całego dla siebie i zobaczyłbyś, Cole, jaka jestem lojalna, jak bardzo cię kocham. Kiedy nie nagrywalibyśmy duetów miłosnych za kratkami, odwiedzałabym gubernatora, błagając go u darowanie ci życia. Ale nie podłożyłam tych dowodów. A wiesz dlaczego? Ponieważ zadzwoniłeś do mnie tamtego wieczoru, zaraz po tym, jak dzwoniłeś do Timothy'ego. Wyciągnąłeś do mnie rękę, Cole. I przez jakiś czas

wszystko było w porządku. Było niemal idealnie. Nie sypiałeś ze mną, a powinieneś być, ale przynajmniej nie było nikogo innego. Naprawdę wierzyłam, że z czasem przejrzysz na oczy. Ale jesteś tak samo ślepy jak Claire, ty draniu. Potem nadszedł ten brzemienny w skutki dzień w Denver. Byliśmy za kulisami i z włączonego telewizora Sarah Pembroke opowiadała nam o okropnej sytuacji w Goraździe. Jak ty na nią patrzyłeś, Cole. W taki sposób miałeś patrzeć na mnie - z tęsknotą, z miłością. Ale to spojrzenie nie było przeznaczone dla Sarah, prawda? Było dla jej przyjaciółki, korespondencyjnej przyjaciółki, dla Claire.

Cole wpatrywał się z powagą w Sydney, udając, że słucha jej bardzo uważnie. Dopóki mówiła i koncentrowała się całkowicie na nim, dopóty Claire nie groziło niebezpieczeństwo.

Claire była bezpieczna w tym momencie. Jednak dosłownie i w przenośni była okropnie daleko stąd. Przechylała swoją głowę w pełnej zamyślenia kontemplacji. Wydawało się, że jej ociemniałe niebieskie oczy naprawdę mogą dostrzegać jakiś wytwór tak obcych jej substancji chemicznych - i zaaplikowane w tak dużej dawce - reagują w ekstremalny sposób. Istniała też możliwość, że w swoim odległym świecie Claire słyszała jakieś głosy. Z pewnością nie słyszała ich głosów. Tego Cole był całkowicie pewny. Claire była głucha na mordercze wyznania Sydney, tak jak byłaby głucha na słowa miłości - i słowa zachęcające do ucieczki - które Cole pragnął wypowiedzieć.

Cole był wciąż za daleko od Sydney, żeby wykonać ruch. Zanim zdążyłby ją obezwładnić, mogłaby dobiec do noża i do Claire. Jednak cały czas powoli, dyskretnie, jak przyczajone zwierzę, przysuwał się do niej.

Gdyby Claire, ta odważna dziewczyna znad rozlewiska, nie była pod wpływem narkotyków, stałaby się jego najskuteczniejszą pomocniczką. Dokładnie w momencie ataku na Sydney Cole krzyknąłby „Uciekaj, Claire!”, a ona przebiegłaby po czarnych węzłach tak szybko - i z taką samą brawurą, nie widząc niczego - jak kiedyś mknęła po grubych pnączach, które wyściełały bujną zieleń ich drzewiastego raj.

Ale szybkonogi elf-anioł Cole'a nie usłyszy tej komendy. Co oznaczało, że Cole musiał się znaleźć jeszcze bliżej Sydney i mieć absolutną pewność, że mu się powiedzie, zanim wykona jakikolwiek ruch. Na razie sytuacja nie wymagała natychmiastowej interwencji. Claire była daleko i od prawdy, i od strachu. I wydawało się, że Sydney całkowicie zadowala się opowiadaniem mu - z tak wyraźną przyjemnością i z tak zdumiewającym obłędem-o swojej niegodziwości.

- To z Claire ciągle się spotykałeś, prawda, Cole? To Claire pożądałeś, albo tak przynajmniej ci się wydawało. Ale wtedy nie wiedziałeś, co się przydarzyło naszej ukochanej Claire. Nie miałeś, że tak powiem, wglądu w pułapkę w umowie: jej nieszczęsną - i niemożliwą do zaakceptowania ślepotę. Twoje serce naprawdę jest czarne, Cole. W gruncie rzeczy to ty jesteś czarnym charakterem, prawdziwym mordercą. Ja tylko wydobywam twoje ofiary z ich beznadziejnego położenia. Coup de grace, że się tak wyrażę. Zarówno Paulina, jak i Ashley były bardzo nieszczęśliwe. Chociaż trzeba przyznać, niedola Ashley nie była twoją winą, o czym przekonałam się trochę za późno. Ostatecznie ona nie pożądała cię skrycie.

Sydney zmarszczyła brwi w nieco teatralnym geście, jakby chciała uprzedzić, że to, co skłoniło ją do zamknięcia na chwilę, nie miało szczególnego znaczenia.

- Przypuszczam, że powinnam była spoić szampanem Paulinę i Ashley przed podjęciem decyzji o ich zabiciu. Żadna z nich nie stanowiła tak dużego zagrożenia, jak myślałam. Oczywiście dla Pauliny to nie miało znaczenia. Rezultat byłby taki sam. Nie byłeś w niej zakochany, ale sypiałeś z nią i za to musiała umrzeć. A jeśli chodzi o Ashley? Hm, przecież nie mogłam zjawić się u niej z szampanem i różami zaraz po zabiciu Pauliny, używając tych samych rekwizytów, a potem po prostu sobie pójść, prawda? Poza tym, byliście przyjaciółmi i po niefortunnej śmierci Pauliny moglibyście zostać kochankami. Tak czy owak, zabijając Ashley wyświadczyłam jej przysługę. Tamtej nocy cierpiała, naprawdę cierpiała, okropnie zraniona przez mężczyznę, którego określała jako zimnego faceta Luca. Pocziwa stara Ash. Była zabawna, nawet kiedy przeżywała ból, nieprawdaż? Muszę przyznać, że ten Luc wyglądał mi na niezłego drania. Ale i tak drobnego w porównaniu z tobą, Cole. Ty przecież żyjesz po to, żeby unieszczęśliwiać kobiety, prawda? Mnie. Paulinę. Tysiące innych. Nawet słodką małą Claire.

Nawet słodką małą Claire? Cole nie odzywał się, było to zbyt niebezpieczne. Przez chwilę nawet się nie skradał. Sydney patrzyła na niego uporczywie, próbując odnaleźć w jego twarzy prawdę, której nie wolno było jej zobaczyć - jak bardzo kochał Claire, jak dręczyła go myśl, że kiedyś ją ranił. Nie mógł nawet zdradzić się, że jest zaskoczony, iż Claire opowiedziała Sydney o jego okrutnych zbrodniach z przeszłości.

Jednak Sydney nie relacjonowała jego okrucieństw z przeszłości, tylko te nowe.

- Zanim Claire zniknęła w krainie fantazji, uczyniła parę wyznań. Istniał jakiś mroczny, głęboko ukryty sekret na temat twojej osoby, coś, w związku z czym potrzebowała mojej pomocy, ale jakoś nie zdążyła do tego dojść. Może ty odkryjesz mi tę tajemnicę, Cole? Mam nadzieję. Ale najpierw chcę ci powiedzieć o wyznaniu, na które Claire się zdobyła, żebyś wiedział, jakie to dla niej szczęście, że ma takiego anioła miłosierdzia jak ja. Tu chodzi o anioły, Cole. Anioła miłosierdzia, twojego prawdziwego anioła Gabriela. Claire wie, że zadzwoniła do dobrej pani doktor, wie, że nie mogła znieść jej ślepoty i chciała jej pomóc; nawet jeśli to by ją zabiło. Chciała, żeby Claire umarła dla ciebie, prawda, żeby była gotowa umrzeć? I ona umrze, Cole, dzięki mojemu nożowi, a nie skalpelowi doktor Gabriel. Na śmiertelną operację jest już za późno. Właśnie tego się dowiedziałeś, prawda? Claire będzie ślepa - zawsze - i to nie jest dla ciebie wystarczająco dobre. - Anioł miłosierdzia znajdował się teraz na wojennej ścieżce, oskarżał rzeczywistego mordercę, mężczyznę, który zostawiał za sobą tak boleśnie zranione serca, że śmierć była błogosławieństwem. - Czyż nie, draniu?

Proszę cię, Claire, nie usłysz moich słów. Nie tych słów. Nie tych kłamstw.

Zadzwonił do doktor Angeliki Gabriel tylko w jednym celu: żeby zaofiarować własne oczy, własną ciemność w zamian za ciemność Claire. Będzie żył w ciemności, która zawsze napawała go takim przerażeniem - dla Claire; i, jeśli ona go zechce, z Claire... albowiem jego ciemność nie będzie taka straszna, jeśli ona będzie u jego boku.

A jeśli Claire go nie zechce? Będzie żył w ciemności, zupełnie sam. Ale Claire będzie widziała.

Cole wyobrażał sobie, że w ciągu ostatnich sześciu lat medycyna zrobiła duży postęp. Właściwie spędził całą podróż do domu z Monte Carlo rozmyślając o tym, pragnąc tego. Tak bardzo zależało mu na tym, żeby to była prawda, że podczas jazdy w ogóle się nie odzywał. Ten postęp okaże się faktem i nie będzie niósł ze sobą żadnych zagrożeń. Zwyczajny przeszczep oczu - niebieskich na szare. Ale ta zmiana chorobowa - jak się wyraziła doktor Gabriel - była o wiele głębsza, bowiem nerw wzrokowy został zgnieciony i zniszczony przez skrzep krwi, którego Claire nie pozwoliła usunąć.

Taka była prawda. Cole Taylor był gotowy spędzić resztę życia w ciemności, dla Claire. Jednak teraz, na użytek Sydney, wypowiedział konieczne kłamstwo.

- Zgadza się, Syd. Ślepotą nie jest dostatecznie dobra. Szkoda mi jej. Współczuję jej. Ale jej nie chcę, nie mogę jej chcieć. Więc pozwól jej odejść.

Widzące oczy Sydney zapłonęły dzikim gniewem.

- Ale spałeś z nią, prawda, Cole? W Monte Carlo? Nie przyznała się do tego. Zapytałam o to, zanim zaczęły działać środki, i nasza damulka z południa wręcz się zarumieniła. Ale ja wiem, że spałeś z nią.

- To był błąd, Syd. Rozczarowanie. - Najcudowniejszy weekend w moim życiu, Claire. Marzenie. Nasze marzenie. Powiem ci to - powiem ci wszystkie prawdy - już niedługo. Jestem już prawie na miejscu, Claire, już prawie wystarczająco blisko, żeby uwięzić Syd w ramionach aż do pojawienia się policji. Będzie tutaj, wiem, że przyjedzie. Jack domyśli się wszystkiego i...

- Zaszedłeś dostatecznie daleko, Cole! - Wypowiedziawszy ten rozkaz, szybka jak kot Sydney chwyciła nóż myśliwski, stanęła za Claire i przycisnęła wyszczerbione ostrze do jej gardła. Claire zmarszczyła nieco brwi w związku z tężną presją, ale nie okazywała po sobie strachu, który Cole obserwował w tamten wieczór przed wielu laty, kiedy Jed Taylor przyłożył nóż do gardła Annabelle Prentice w uderzająco identyczny sposób. Identyczny... aż do chwili gdy Sydney wykonała szybki manewr ręką. - Oj. Muszę to zrobić lewą ręką, prawda? Jeszcze nie jestem gotowa, żeby to zrobić, Cole, żeby zadać to cięcie miłosierdzia. I nie zrobię tego. Chyba że mnie zmusisz. Masz zamiar mnie zmusić?

- Nie.

- Dobrze. - Sydney nagrodziła go olśniewającym uśmiechem opalanej, promiennej dziewczyny z Kalifornii, a zarazem kompletnie obłąkanym. Potem, ciągle z uśmiechem na ustach i z nożem przy gardle Claire, chwyciła czarny kabel, który łączył reflektor z gniazdkiem, tak że studio pograżyło się w zupełnej ciemności. - Teraz mamy równe szanse, nie uważasz? Wszyscy jesteśmy ślepi. Może z wyjątkiem naszej małej panny kosmonautki. Zdaje się, że będziemy musieli wyobrazić sobie światło księżycy, co, Cole? Napisałeś to dla niej, prawda? Dla naszej słodkiej, ślepej, małej Claire. Wtedy nie wiedziałeś, że ona jest niewidoma, prawda? Tak jak w dalszym ciągu nie uświadamiasz sobie, jaka

jest prawda, jeśli chodzi o tę piosenkę. Napisałeś ją dla dwóch osób, draniu. Duet miał być śpiewany z Claire. Ale może zaśpiewamy go teraz, Cole? Ty i ja. Och, wiem, że nie śpiewasz duetów. Jakże świetnie to wiem. Oczywiście robisz wyjątek dla Claire. Ale to przecież specjalna okazja, nie powiedziałabyś? Czy wspomniałam ci, że nagrywam naszą sesję? Że przygotowuję własny album z moimi ulubionymi przebojami? Paulina, Ashley, Claire. I my, Cole. My. No, zaczynaj. Pierwsza linijka Wyobraź sobie światło księżycy jest twoja.

Jest tak ciemno, Claire, i czuję węże pod stopami. Ale nadal idę w twoim kierunku, w kierunku głosu Sydney... ale tak naprawdę, moje kochanie, do ciebie.

- Śpiewaj, Cole.

Kiedy Cole usłuchał rozkazu Sydney, uświadomił sobie, że powiedziała prawdę. Napisał Wyobraź sobie światło księżycy, napisał ten utwór swoim sercem, tak aby móc go zaśpiewać w duecie z Claire. Śpiewana w pojedynkę, była to piosenka o stracie, o pożegnaniu, o pełnym udręki rozstaniu. A jako duet? Było to radosne powitanie, czczenie wiecznej miłości.

Cole zakończył miłosny wers i teraz Sydney miała odśpiewać swoją odpowiedź, ale nagle w studiu zabrzmiały dwa głosy. Głos Sydney i Claire. Nieprzytomna aż do tej pory Claire została obudzona jego miłosną piosenką –piosenką dla niej.

- Claire, nie śpiewaj.

Nie usłuchała jego naglącego polecenia. Jego dziewczyna znad rozlewiska śpiewała, wreszcie śpiewała, sopranem, w którym pobrzmiwała czysta radość.

- W porządku, Cole - przemówiła z ciemności Sydney. - Może najpierw zaśpiewasz Wyobraź sobie światło księżycy z Claire, a potem ze mną? Zobaczysz - chyba że jesteś tak samo ślepy, jak Claire - że tobie i mnie jest przeznaczone śpiewać razem, być razem. Trzeba przyznać, że to odkrycie pojawia się zbyt późno. Ale... teraz twoja kolej, Cole, twoja linijka, a następną linijkę śpiewacie razem.

Kiedy Cole i Claire śpiewali w ciemności tę najwspanialszą piosenkę o miłości, cały czas podchodził do niej. Czy ten mężczyzna, który zawsze tak bardzo bał się świata pogrążonego w ciemności, potknął się o czarne węże poskręcane u jego stóp? Nie zrobił tego. Był nadal panterą, skradającą się pewnie i cicho i prowadzoną teraz głosem swojego anioła.

Cole szybował ku Claire, wyobrażając sobie jej gardło, nóż, rękę Sydney - i wiedząc, że musi obezwładnić Sydney, zanim skończy się ta piosenka. .. ponieważ wiedział, i było to coś o wiele bardziej przerażającego niż jakiegokolwiek upiory ciemności, że w chwili gdy zakończy z Claire ten miłosny duet, jego ukochana zginie.

Ale Cole mylił się.

Zostały im jeszcze słowa do odśpiewania, więcej słów o miłości, radości, o powitaniu na zawsze. Teraz jednak w studiu zabrzmiał inny dźwięk. Nie była to muzyka, lecz raczej rytmiczne, głuche stukanie, jak dźwięk metronomu. I Cole doświadczał czegoś nowego w klatce piersiowej - to coś

było gorące i ostre, ale nie sprawiało bólu. Żaden ból nie mógł być większy niż strach przed utraceniem Claire, i nic nie liczyło się bardziej, niż pokonanie czarnego jak noc kłębowiska węży, by do niej dotrzeć.

Ale teraz coś blokowało Cole'owi drogę, przeszkoda, która powodowała nie tylko rytmiczny hałas, ale także wrażenie gorąca i czegoś ostrego w klatce piersiowej.

Na w półprzytomny, bowiem stracił już tak dużo krwi, a w dodatku skupiał myśli na Claire, a nie na samym sobie, uświadomił sobie jednak, że tą przeszkodą jest Sydney. Zadawała mu kolejne pchnięcia, jakby to była metodyczna rzeź, której zwieńczeniem miał być cios wyszczerbionego ostrza w osłabione serce.

Właśnie w tym momencie drzwi studia otworzyły się z trzaskiem, rzucając srebrzyste światło na scenę brutalnej rzezi i wypełniając powietrze jeszcze innym dźwiękiem: wyciem syren policyjnych.

Kolejny dźwięk doszedł z bliska. Był to rozpaczliwy krzyk Jacka, który zobaczył z szokującą wyrazistością błyszczący od krwi nóż, trzymany wysoko nad platynowymi włosami wariatki, ściskany oburącz w dzikim oczekiwaniu ostatniego, śmiertelnego pchnięcia... i spopielający posąg: swojego brata, upiornie bladego, chociaż jego zakrwawiona klatka piersiowa stanowiła dowód, że biernie przyjął podstępny atak Sydney... a po chwili lekki, upiorny uśmiech brata, albowiem Cole uświadomił sobie, że dzięki pojawieniu się Jacka Claire będzie bezpieczna. - Cole!

33

Sarah usłyszała ryk syren w środku nocy, tak jak przed dwunastu laty Claire. Teraz syreny również tworzyły nieharmonijny i mylący kontrapunkt dla chwili czystej radości.

W miarę jak jęklive piski stawały się coraz głośniejsze, Sarah oderwała wzrok od uśmiechniętej buzi swojej córki we wczesnym dzieciństwie i zaczęła nasłuchiwać niepokojących odgłosów. I tak jak Claire przed wielu laty, Sarah pocieszała się odważną myślą. Moi ukochani są bezpieczni.

Lucas był w drodze do Kornwalii, gdzie Emma i Jessie czekały na jego powrót w wygodnym i przytulnym Hyacinth House; Claire i Sydney jadły kolację w eleganckim miejscu, przy świecach; natomiast Cole i Jack prowadzili spokojną rozmowę, może po francusku...

W tym momencie zadzwonił telefon. Kolejne brutalne zakłócenie nocy, która powinna była być taka spokojna.

- Sarah? Tu Frances.

- Frances - mruknęła Sarah w roztargnieniu, wciąż jeszcze rozmyślając o uczuciowych spotkaniach po latach, o matkach i córkach, o braciach i przyjaciółach.

- Twoja sekretarka, Sarah. Dzwonię, ponieważ mój chłopak pracuje w Scotland Yardzie jako depešowicz, i właśnie zdarzyło się coś strasznego w studiu nagraniowym Gemstone na Waverton. To bardzo blisko twojego domu, prawda?

Sarah już nie była zagubiona, zdezorientowana.

- Coś strasznego, Frances?

- Zakłucie nożem. Szczegóły nie są jasne, ale w sprawę są w jakiś sposób zamieszani Cole Taylor i Jack Dalton. Pomyślałam, że chciałabyś...

- Tak, dziękuję ci, Frances.

Po kilku sekundach Sarah biegła po granitowej posadzce foyer apartamentu, żeby szybko dotrzeć do schodów.

- Lady Pembroke!

Głos należał do mężczyzny, było w nim słychać wyraźny amerykański akcent. Kiedy Sarah okręciła się na pięcie, zobaczyła dwóch wysokich, silnych mężczyzn, którzy wynurzali się z drugiego apartamentu. Tego, którego była właścicielką i w którym nikt nie mieszkał.

- Kim jesteście?

- Jestem Peter, a to jest Doug. My... Jack poprosił nas, żebyśmy pani pilnowali, zadbali o pani bezpieczeństwo.

- Jack?

- Nie chciał, żeby pani o nas wiedziała. Ale usłyszeliśmy telefon od Frances i, no cóż, wszyscy chcemy go dorwać, prawda? - Peter zobaczył odpowiedź na jej zatroskanej twarzy. - Zatem chodźmy.

Wyciągnął rękę w kierunku windy, tak okropnie wolno jeżdżącej między piętrami, że Sarah nawet nie zamierzała na nią czekać. Ale to winda czekała na nią, a jej lśniące mosiężne drzwi były otwarte na oścież.

- Dodaliśmy trochę obwodów do systemu - wyjaśnił Peter. - W razie nagłego wypadku. Winda przyjeżdża na zawołanie, pomijając inne piętra.

- Mamy jeszcze inne gadżety - powiedział Doug, kiedy winda zaczęła nieprzerwaną jazdę w dół. - Między innymi wykrywacze metalu. Wiedzieliśmy, że Lucas nie miał noża - w ogóle żadnej broni - i żałowaliśmy, że nie mogliśmy pani powiadomić, zwłaszcza kiedy przyznał, że zawsze rzeźbi lewą ręką.

- Słyszeliście wszystko-mruknęła Sarah.

- Słyszeliśmy i zapomnimy. Jack nie chciał naruszać pani prywatności, lady Pembroke. Wręcz nie znośli tego. Ale najistotniejsze było dla niego pani bezpieczeństwo. Nigdy nie prowadziliśmy nasłuchu, kiedy była pani sama, albo kiedy był z panią Jack.

Jack. Ta rozmowa była tak naprawdę o nim. Jack... który mógł w tej chwili wykrwawiać się na śmierć, zakłuty nożem przez swojego brata -albo, co gorsza, mógł sam zatopić nóż w morderczym sercu swego brata. Jack... którego Peter i Doug darzyli tak wielkim podziwem, że usprawiedliwiali jego poczynania - naruszenie przez niego jej prywatności - w imię szlachetności. Jack... który był jej pasterzem, jej osobistym rycerzem w błyszczącej zbroi.

W gruncie rzeczy Peter i Doug wygłaszali pochwalną mowę na cześć Jacka Daltona.

Nie. Jackowi nic sienie stanie, podobnie jak Cole'owi, i...

Ale już w momencie, gdy Sarah wyrażała swój buntowniczy protest, usłyszała samą siebie:

- Dzwoniłam do Jacka tuż przed przyjściem Lucasa, żeby go zawiadomić o naszym spotkaniu. - Żeby mu powiedzieć to, o czym już wiedział, chociaż cierpliwie czekał na moje wyznanie. Dotrzymałam swojej obietnicy, Jack!

- Powiedzieliśmy mu o pani wiadomości - zapewnił ją Peter w momencie, gdy drzwi windy otworzyły się na wykładany marmurem hol budynku. - On wie.

Peter i Doug zaparkowali swoją furgonetkę, wyposażoną w przenośną wersję najnowocześniejszego sprzętu podsłuchowego na Upper Brooke. Jednak to Sarah prowadziła ich na piechotę przez Grosvenor Square. Studio Waverton znajdowało się zaledwie pięć przecznic dalej, a wszyscy troje byli bardzo sprawni - dwóch stróżów stanowiących namiastkę jej najukochańszego stróża i pełna wdzięku wojowniczką, szybkonożną gazelą.

Innym razem, w bardziej szczęśliwy wieczór, Sarah mknęła przez Place Vendôme z Jackiem. Teraz biegła ku niemu, a ulica Waverton znajdowała się tuż przed nimi: jarzyła się od błyskających czerwonych świateł i pełno było na niej policjantów.

Sarah przedarła się przez tłum z nieubłaganą determinacją, żeby dotrzeć do Jacka. Drzwi studia były szeroko otwarte, jakby patrzyły z przerażeniem na scenę w środku, na krwawe następstwa tego, co zobaczył Jack otwierając te same drzwi, rzucając srebrną smugę światła na rzeź...

- Cole!

Krzyczeli w gorączkowym duecie. Basowy głos brata i łagodny sopran dziewczyny znad rozlewiska.

Sydney usłyszała oba głosy i uświadomiła sobie, że koniec jest blisko. Cole stał przed nią-jakoś wciąż utrzymywał się na nogach - i przypominał srebrzystobiały posąg okryty jasnym karmazynowym

płaszczem. Jakże pragnęła śmiertelnie ugodzić to zdradzieckie serce, poczuć za pośrednictwem wyszczerbionego ostrza jego ostatnie, pełne desperacji, ginące uderzenia.

Ale nie było czasu na ten krwawy luksus, na tę wyborną przyjemność. Cole był dosłownie martwy. Za kilka chwil jego rany wypłaczą ostatnie łzy. I może tak było jednak lepiej. Płakać będą rany Cole'a i on sam, gdyż zobaczy na własne oczy śmierć swojego anioła o cynamonowych włosach.

- Kochałam cię - syknęła Sydney patrząc na szarą jak popiół twarz Cole'a.

Ale nawet w godzinie śmierci Cole nie chciał jej niczego ofiarować. Patrzył na Claire, kochał Claire, umierał dla Claire, i jego spokojny wyraz twarzy świadczył o tym, że Cole nie walczy ze śmiercią, że całkowicie się z nią godzi. Zobaczył nóż wzniesiony przez Sydney i jej całkowicie obłąkane spojrzenie, szaleńczą radość z oczekiwania na to końcowe pchnięcie. Spokój na twarzy Cole'a świadczył o tym, że pozwoli na to śmiertelne pchnięcie, chętnie je przyjmie, ponieważ kiedy będzie umierał, Jack uratuje Claire.

Mylisz się, draniu. Spójrz tylko.

Sydney okręciła się na pięcie, wykonując piruet na czubkach palców. Jej ręce nadal były uniesione nad głową, jakby przybierała wdzięczną pozę baleriny, tyle że w tych rękach ścisnęła mocno broń.

Claire była kilka kroków dalej. Teraz już stała i zbliżała się do Sydney. To już nie jest mała panna kosmonautka, pomyślała Sydney. I wydawało się nawet, że to nie jest niewidoma kobieta. Claire podnosiła oczy, jakby naprawdę widziała błyszczące ostrze, a jej wyciągnięte ręce wcale nie błądziły po omacku, jak gdyby naprawdę zamierzała wyrwać nóż z rąk Sydney, i jeszcze ta twarz, tak niewinna, tak anielska, tak nieustraszona.

- Suka - warknęła Sydney, rozsierdzona koniecznością pośpiechu i wściekła, że Jack, ten fantastyczny, zdradziecki Jack jest tak niebezpiecznie blisko. Miała czas tylko na zadanie jednego ciosu - w serce Claire - ale jakże pragnęła zadać ich więcej. Jak uroczo byłoby przebić te niewidzące błękitne oczy, żeby całkowicie zniknęły, i usłyszeć okrzyki bólu Claire, a następnie poderznąć gardło kobiecie, którą Cole wybrał do swoich miłosnych duetów.

Ale czasu nie było. Właściwie musiała bardzo się śpieszyć. Brakowało jej dwóch szybkich kroków. Dwa szybkie kroki i ciągle wpatrywanie się w oczy, które nie widziały, a które udawały, że widzą.

Czarne węże, wyciągnięte i splątane u jej stóp, nie stanowiły problemu dla Sydney Quinn. W gruncie rzeczy w tym srebrzystym Edenie węże stawały się współnikami jej zła. Ale wśród tych węży znajdowało się obce stworzenie, ten nowiutki symbol ślepoty, który Sydney odrzuciła tak daleko od Claire...

.. i właśnie o tę delikatną, śnieżnobiałą laskę Sydney potknęła się dokładnie w momencie, gdy rzucała się do zadania śmiertelnego ciosu. Potknęła się i przewróciła, a ponieważ ścisnęła nóż tak kurczowo, tak bardzo pragnęła go zanurzyć w anielskim sercu Claire, nie miała wolnych rąk, żeby zapobiec upadkowi, złagodzić siłę uderzenia skroni o niski drewniany stolik.

Uderzyła głową właśnie w to miejsce, najbardziej wrażliwą częścią swojej idealnie ukształtowanej czaszki, łamiąc kość i uszkodzając pulsującą pod spodem tętnicę. Śmierć przyszła do sławnej Elle Syd bardzo szybko, na podłodze pośród czarnych węży i niewinnej białej laski. Romantyczne ślady spływały na nią ze stolika: miodowa rzeka musującego, zaprawionego narkotykami cydru, a wraz z nią wonne płatki krwistoczerwonych róż.

- Claire.

To słowo wypowiedział spopielały posąg.

- Cole - szepnęła i rzuciła się ku temu kochającemu, umierającemu głosowi.

Czarne węzowate zwoje nie stanowiły dla Claire większej przeszkody, niż to sobie wyobrażał Cole, nie stanowiły większego zagrożenia niż grube pnącza, na których tańczyła z zamkniętymi oczami w ich lesie nad rozlewiskiem. Po chwili była w jego ramionach i czuła takie ciepło, miała wrażenie, że przelewa się na nią płynny ogień. Krew, jego krew płynęła tak, jakby nigdy nie miała przestać, i przyprawiała ją o paniczny strach.

Już raz, w ramionach Cole'a, Claire poplamiła się krwią, krwią Jeda i Cole'a. Tamtego wieczoru Cole odepchnął ją okrucieństwem swoich słów. Teraz zabrzmiały inne słowa, pełne miłości, ale ponaglące ich do rozstania.

- Claire, to ja, Jack. Cole traci krew, traci przytomność. On musi się położyć, Claire, i to natychmiast.

Claire usłuchała błagania Jacka i napotkała opór. Cole nie chciał jej puścić, nie tym razem. A może tak reagowało ciało Cole'a. W przeczuciu śmierci instynktownie Ignęło do życia w jej ciele, do siły jej bijącego serca, bowiem jego własne serce słabło i umierało.

- Jack - szepnęła Sarah z niewymowną ulgą, kiedy wpadła do środka studia.

Zobaczyła go wyraźnie. W studiu świeciły się wszystkie światła, jak gdyby to było prosekitorium. Zobaczyła Jacka i krąg lekarzy oraz policjantów. Klęczeli na podłodze i wszyscy mieli tak poważne miny, a w środku tego kręgu... och, nie. Nie.

Pośrodku tego ponurego kręgu znajdowało się obnażone do pasa ciało. Z klatki piersiowej zmyto krew, ale wciąż się sączyła, wciąż bluzgała z głębokich otworów w upiornie bladej skórze.

Wciąż krwawił i wciąż żył. Ledwo.

Ta złowieszczą prawda była wyryta na wszystkich twarzach oprócz twarzy słynnej dziewczyny z okładek, która była już zupełnie martwa, ozdobiona płatkami róż i złocistymi jak miód łzami. Na twarzy Sydney widniał uśmiech, a jej ametystowe oczy, wciąż otwarte, sprawiały wrażenie triumfujących.

Cole nie umrze. Na zasępionych twarzach ludzi otaczających go można było wyczytać również i to pełne determinacji przekonanie. Byli pełni determinacji, ale bezradni. Nie było sposobu, żeby powstrzymać upływ krwi, nie tutaj, w studiu nagraniowym, które aż nazbyt przypominało pomieszczenie do sekcji zwłok. Arterie, które zostały pocięte i podziurawione rytmicznymi ciosami noża Sydney, znajdowały się głęboko pod umięśnionym ciałem okropnie białej klatki piersiowej Cole'a. Potrzebował teraz innego noża, skalpela chirurga.

Sarah wiedziała o tym dzięki swoim wojennym doświadczeniom. Wiedzieli o tym również policjanci i lekarze, ponieważ teraz nieśli nieruchome ciało Cole'a w kierunku drzwi studia, tam gdzie stała, i karetki, która czekała tuż za tymi drzwiami.

Oni. Jednym z mężczyzn niosących zakrwawione ciało Cole'a - szybko, ale z szacunkiem godnym żałobnika - był Jack. Żył, ale także umierał, wraz ze swoim bratem. Jego ciemnoniebieskie oczy przesłaniała udręka, ale kiedy ją zobaczył, pojawiła się w nich malutka, ledwo dostrzegalna isierka.

- Jack - szepnęła, dotykając go, gdyż potrzebowali dotyku, a on niósł przecież tak cenny ładunek. - On wyzdrowieje. Dojdzie do siebie.

Jack odpowiedział skinieniem głowy, odważnym gestem nadziei, która musi walczyć z rozpaczą.

- Wsiadam z nim do karetki, Sarah. Zaopiekuj się Claire.

Claire? Sarah nawet nie zauważyła swojej przyjaciółki w prosektorium ozdobionym węzami, płatkami róż i ponurym kręgiem ludzi o poważnych twarzach.

Ale teraz ich już nie było i Claire znajdowała się na zakrwawionej podłodze, całkiem blisko miejsca, w którym do niedawna leżał Cole. Miała podwinięte nogi, które przykrywała fałdzista spódnica. Przypominała pogniecioną, rudowłosą lalkę ze szmatek, którą ktoś beztrosko porzucił. Ale, oczywiście, nie odbyło się to bezboleśnie. Dla dobra Cole'a niewidoma kobieta została odsunięta na bok, a może przeniosła się na własne życzenie.

Teraz, w tym zbyt jasno oświetlonym pomieszczeniu, Claire kuliła się w swojej własnej ciemności. Ale nie była sama. Dwóch stróżów czuwało nad małą, strapioną lalką- byli bardzo opiekuńczy, ale wyraźnie niepewni, i odetchnęli z ulgą na widok Sarah.

- Sydney dała jej narkotyki - Doug powiedział tak cicho, że nawet gdyby Claire była całkowicie przytomna, nie usłyszałyby jego słów. - Środki halucynogenne. Wyglądało na dość mocną mieszankę.

- Skąd wiecie?

- Policjanci nam powiedzieli. Wszystko było nagrywane. Najwyraźniej Claire była przedtem całkiem świadoma, ale teraz... prawdopodobnie przez jakiś czas nie będzie miała kontaktu z rzeczywistością.

Co może się okazać najlepszym rozwiązaniem, pomyślała Sarah, uklękawszy na podłodze przed swoją przyjaciółką.

- Claire? To ja, Sarah.

Pogniecione ciało poruszyło się, uniosło głowę.

- Sarah?

Sarah była przygotowana na widok zaszklonych niebieskich oczu i całkowicie oszołomioną twarz. Albo na zupełny brak reakcji. Zamiast tego zobaczyła porażający dowód, jak dużo krwi utracił Cole. Gruba warstwa karmazynowej cieczy oblepiała miedziane włosy Claire, jej policzki, szyję i całe piersi.

Krew Cole'a Taylora była kiedyś gorąca, wręcz parzyła - podgrzewały ją tłące się płomienie i stopiona stal. Ale teraz, z dala od płonącego wnętrza silnej pantery, krew stała się zimna i mroziła Claire swą lodowatością, którą wzmagaly powiewy zimnego powietrza, wlatującego przez otwarte drzwi.

Wargi Claire, ledwo widoczne pod warstwą krzepnącej krwi Cole'a, były sine. W dodatku szczękała zębami.

- Musimy pójść do twojego pokoju w hotelu, Claire. Jest ci zimno i musisz wziąć gorący prysznic. Dobrze?

- Jest mi zimno, Sarah?

- Tak.

- Dlaczego?

Claire była wyraźnie zdezorientowana. Ale jak bardzo? Zastanawiała się Sarah. Jak otumaniona narkotykami i wstrząsem? Dowie się tego, dostarczając Claire najprostszyc odpowiedzi, mając nadzieję, że okażą się wystarczające. Pod żadnym pozorem nie będzie nabijała przyjaciółce głowy przerażającymi informacjami - albo wspomnieniami - z którymi na razie Claire nie była w stanie dać sobie rady.

- Ponieważ, Claire, noc jest zimna i mokra. - Kiedy Claire zareagowała marszcząc brwi, ale nie prosząc o więcej szczegółów, Sarah ciągnęła. - Jestem pewna, że ktoś - oficer policji - będzie mógł nas podwieźć do hotelu.

- A w tym czasie Doug i ja zabierzemy furgonetkę - dodał cicho Peter. - Potem poczekamy na panię w holu hotelu Drake. Na wypadek, gdyby później chciała się pani wybrać gdzieś indziej.

- Frere Jacques, frere Jacques, dormez-vous...

Nie był piosenkarzem. W każdym razie nie był nim dotychczas. Ten talent był udziałem jego starszego brata.

Ale teraz, kiedy karetka wyła na śliskich od deszczu ulicach Londynu, Jack śpiewał Cole'owi, tylko Cole'owi, chrapliwym, pełnym emocji szeptem, jakby osobiście błagał go o pamięć śpiewając w ich tajnym języku miłości.

- Proszę nie przestawać-polecił jeden z członków załogi karetki, ponownie sprawdzivszy niestabilne ciśnienie krwi pacjenta. - Cokolwiek pan mu mówi, panie Dalton, chyba pomaga.

Dlatego Jack śpiewał i chociaż tej nocy dla jego brata nie miało to żadnego znaczenia, odtwarzał melodię idealnie.

34

Karmazyn. Kardynalska purpura. Szkarłat. Rubin. Kiedy Claire stała pod gorącym strumieniem prysznic, przez jej umysł przemykały słowa, które kiedyś dzieliła z Cole'em, egzotyczne i magiczne nazwy dla cudownych kolorów Londynu, widzianych przez paletę wspomnień o ich domu nad rozlewiskiem.

I jeszcze cynober, nie zapominaj o tym bogatym, soczystym odcieniu. Róże na werandzie cioci Augusty dawno temu. Pączki hibiskusa w Ogrodzie Azjatyckim teraz.

Urocze nazwy płynęły i szybowały w powietrzu, wywołując wspaniałe wspomnienia i przynosząc ze sobą olśniewające kolory, aby zabarwić jej czarną ciemność. Czerwień. Krwista czerwień.

Te dwa słowa - ten kolor - powodowały ostry, przenikliwy ból. Dlaczego? Bo właśnie zaczęła jej się miesiączka? Ponieważ nie będzie miała dziecka? Claire nie widziała krwistoczerwonych łez wypłakiwanych przez jej łono, ale wiedziała, kiedy te łzy zaczęły płynąć.

Ale było coś jeszcze, również coś krwistoczerwonego i o wiele gorszego, źródło o wiele większego bólu. Co takiego? Co?

Pamięć zawodziła ją, oddalała się od niej, była tuż poza zasięgiem jej szybującego umysłu. Potem zaczęło w nim tańczyć nowe wspomnienie -tak blisko, że można było go dotknąć, usłyszeć je, zobaczyć.

Claire najpierw usłyszała to wspomnienie: księżycowy duet miłości, śpiewany z Cole'em. Potem ujrzała zapamiętany obraz srebrnego księżyca. Pragnęła, aby wspomnienie zatrzymało się w tym miejscu, tam, na zawsze. Ale jej umysł błędził w gęstej mgłę narkotykowych substancji. Trochę zaczynało jej się przejaśniać i teraz słyszała wspomnienie innego dźwięku, nie wypowiedzianie

okropnego, rytmicznego, głuchego stukania. A potem na jej oczach -jej oczach? - srebrny księżyc zmienił kształt z rozżarzonej piłki na coś całkowicie podłużnego i ostrego; wydawało się, że jest piorunem, który zastygł na czarnym jak noc niebie.

W tym budzącym się wspomnieniu piorun zaczął ją przyzywać, zmuszał ją, by szła w jego kierunku, a ona robiła to, i nawet zamierzała dotknąć tej ostrej jak miecz smugi światła, ale wtedy piorun uderzył, potem zaś rozległ się głos Cole'a i... och, wydawało jej się, że widzi jego srebrzyste oczy, błyszczące niczym jej wymagowany księżyc, a w chwilę później poczuła stal i ogień jego ciała, i...

- Sarah!

- Jestem tutaj, Claire!

Sarah krążyła po sypialni Claire, nastuchując szmeru wody z prysznic, która splukiwała zakrwawione ciało jej przyjaciółki, gotowa podać Claire miękki, ciepły ręcznik, gdy ten dźwięk ucichnie. Claire już sięgnęła po ów ręcznik, ręką, która była śnieżnobiała, tak jak jej całe ciało.

Ale wciąż było widać ślady rzezi. Sukienka Claire, jasnoczerwona od krwi Cole'a, była starannie złożona, złożona z szacunkiem, jakby Claire zamierzała wziąć jąze sobą, spakować razem z innymi, niedawno włożonymi do walizki ubraniami.

- O co chodzi, Claire?

- Co się stało z Cole'em? Czy on został pchnięty nożem, Sarah?

- Tak. Cole został ugodzony nożem. Jest teraz w szpitalu. Zadzwoiłam tam, kiedy brałaś prysznic. Jest już na sali operacyjnej.

- Muszę się do niego dostać!

- Pojedziemy do szpitala, Claire. Wkrótce.

- On dojdzie do siebie, prawda, Sarah? Wyzdrowieje?

Narkotyki powoli przestawały działać na umysł Claire. Sarah uświadomiła sobie jednak, że jeszcze wywierają na niego jakiś wpływ. Bez substancji chemicznych, całkowicie odzyskawszy pamięć, Claire będzie wiedziała, że rokowania w przypadku Cole' a wcale nie były pomyślne, i będzie w stanie zmierzyć się z ponurą prawdą.

Ale teraz Sarah zapewniła swoją oszołomioną i zdesperowaną przyjaciółkę:

- Tak. Absolutnie.

- Och, dobrze.

Sarah wiedziała, że już niebawem Claire będzie miała więcej pytań, więcej niepokojów i wątpliwości. Ale czy na razie można było odwrócić jej uwagę? Czy te substancje narkotyczne były w jakimś sensie błogosławieństwem?

- Claire? Kiedy czekałam w twojej sypialni, zauważyłam, że spakowałaś walizki.

Na czole zaskoczonej Claire pojawiły się jeszcze większe zmarszczki. Jednak narkotyki wciąż pozwalały jej myślowo odpływać, nawet tym myślowo, które pragnęła zatrzymać, toteż z łatwością przeszła na inny temat.

- Och. Tak, Sarah. Zgadza się. O siódmej rano wylatuję do Harlanville. No, do Nowego Orleanu, przez Nowy Jork. Miałam zamiar wykupić „czerwone oko”, ale to wydawało się zbyt pochopne. Chciałam mieć trochę czasu na spotkanie z Sydney, a potem na telefon do ciebie, i... - Z mgły wynurzyło się wspomnienie. - Sydney. To ona jest morderczynią, prawda?

- Tak. I już nie żyje, Claire.

- A Cole czuje się dobrze?

- Tak. Ale chciałabym, żebyś pomogła mi zrozumieć, dlaczego planujesz powrót do Harlanville.

- Muszę, Sarah. Tego pragnie Cole.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Och, ale to prawda. - Ślepotą nie jest dość dobra. Żal mi jej. Ale nie chcę jej, nie mogę jej chcieć. Wspomnienia słów Cole'a nie spowijała żadna mgła. Nawet drobny opar. Istniał tylko ból. - Muszę jechać do domu, Sarah. Ale.

- Ale co, Claire?

Ty mnie nie kochasz, Cole. Ale ja kocham ciebie. Nadal. Zawsze. I przybyłam tu z określonym celem, z marzeniem - dla ciebie.

- Ale co z bratem Cole'a? Zamierzałam poprosić Sydney, żeby ogłosiła to w moim imieniu. Sydney. Ale może teraz mógłby to zrobić Mick albo David, albo Timothy. Albo ty, Sarah?

- Zrobiłabym to, Claire. Ale nie muszę, już nie ma takiej potrzeby. On został odnaleziony. Brat Cole'a odnalazł się. Miałam ci o tym powiedzieć, jak tylko będzie o tym wiedział Cole. Gdy tylko Jack powie mu o tym. To Jack jest bratem Cole'a, Claire. Jack jest bratem, którego Cole oddał w tamtą grudniową noc.

Przez ostatnie kilka chwil Claire sprawiała wrażenie całkiem przytomnej. Sarah uświadomiła sobie, że było to złudne wrażenie, bowiem jej wstrząsająca nowina wywołała tak oszczędną, tak pozbawioną zaskoczenia reakcję, że Sarah zastanawiała się, czy Claire w ogóle usłyszała jej słowa.

Chyba usłyszała, ponieważ teraz na jej twarzy pojawił się uroczy uśmiech, a niebieskie oczy nabrały olśniewającej wyrazistości. Ale narkotyki najwyraźniej wciąż siały spustoszenie w myślach Claire, bo kiedy przemówiła, jej słowa nie miały sensu.

- Jack, no tak, oczywiście.

- Jak to oczywiście, Claire?

- Tak. Powinam była się domyśleć, ze sposobu, w jaki chodzą. Ależ ty nigdy nie widziałas, jak oni chodzą, Claire, pomyślała Sarah.

Ani jednego, ani drugiego. Podobnie jak nigdy nie widziałas twarzy Jacka.

Podobieństwo między braćmi Taylorami było uderzające, ale prawie niewidoczne. Chodziło raczej o ogólne podobieństwo, tę samą siłę i charakter, szlachetność i wdzięk. Ale Cole i Jack nie wyglądali tak samo. A co do sposobu, w jaki ci dwaj silni mężczyźni chodzili po ziemi?

- Powinam była się domyśleć - powtórzyła Claire, wciąż uśmiechnięta, wciąż zwodniczo przytomna. - Na sylwestrowym przyjęciu Timothy'ego wydawało mi się, że słyszę zbliżającego się Cole'a - byłam taka pewna! Ale to był Jack i ten dźwięk był... identyczny. - Dźwięk, jaki wydają wyruszające na łów pantery znad rozlewiska. Ale czy ci bracia, te pantery, nadal prowadzili poszukiwania, czyhali na zdobycz? A może w końcu się uspokoili? - Cole musi być taki zadowolony. Jest zadowolony, Sarah?

- Nie wiem. Nie jestem pewna, czy Jack już mu powiedział. - Albo czy Cole umrze, zanim Jack będzie miał szansę powiedzieć mu o tym.

- W takim razie nie wspomnę o tym, kiedy będę z nim rozmawiała.

- Z kim, Claire?

- Z Cole'em. Chciałabym pożegnać się z nim, zanim wylecę do Harlanville. Mam czas, prawda? Wciąż jest środa i wciąż jest noc?

- Tak: Mniej więcej północ. - Ale Claire, nie rozumiesz.

- W takim razie naprawdę mam czas. Przypuszczam, że najpierw powinnam wymeldować się z hotelu i zostawić swój bagaż u boya hotelowego, a potem ruszam w drogę, prawda? - Claire zmarszczyła brwi. - To na pewno narkotyki. Sydney dała mi narkotyki, prawda? Wciąż jestem trochę zamroczone, tak?

Trochę zamroczone, pomyślała Sarah, ale tak błogo nieświadoma...

W każdym razie tak się Sarah wydawało. Jednak tuż przed wyjazdem do szpitala i opuszczeniem pokoju hotelowego na zawsze, Claire po cichu spakowała jeszcze jedną rzecz - swoją zakrwawioną sukienkę, starannie złożoną i włożoną do jednego z zielono-kremowych worków na brudną odzież hotelu Drake.

Serce Cole'a Taylora nie było ani czarne, ani z kamienia. Właściwie serce Cole'a z pewnością by umarło, gdyby ugodził je nóż o wyszczerbionym ostrzu. Ponieważ jednak Jack zjawił się w porę, a morderczyni zwróciła swą dziką furię na Claire, ten śmiertelny cios w ogóle nie został zadany.

Co oznaczało, że kiedy chirurdzy badali rany zadane nożem na klatce piersiowej Cole'a, rozciągając je tak, aby móc zobaczyć i uleczyć porozrywane arterie pod skórą, mieli sojusznika w sercu Cole'a. Dostrzegali je przelotnie przez okienka, które stworzyli w ścianie klatki piersiowej, otwory zionące z poprzecinanych mięśni i pogruchotanych żeber. Chirurdzy nie byli w stanie zobaczyć tajemnic serca Cole'a ani jego cienistych zaułków. Widzieli jednak wyraźnie jego siłę, mocne, miarowe bicia, które przypominały niestrudzony, nigdy nie załamujący się śpiew.

Bum-bum. Frere Jacques. Bum-bum.

Frere Jacques.

O piątej nad ranem główny chirurg zjawił się w poczekalni, wyczerpany, ale triumfujący.

- Udało się.

- Czy on przeżyje?

- Tak. Już przetrwał największe niebezpieczeństwo. - Chirurg pozwolił sobie na kwaśny uśmiech. - Cole może się jednak z tym nie zgodzić, ponieważ dla niego najtrudniejsza część dopiero się zaczyna. Przez jakiś czas każdy oddech będzie mu sprawiał ogromny ból, i będzie coraz gorzej, bo my nie pozwolimy mu oddychać tak, jak on chce. Jego oddechy byłyby o wiele za płytkie. Zamierzamy oddychać za niego za pomocą respiratora. To będą głębokie oddechy. - Jego głos złagodniał, kiedy zaczął mówić do niewidzących, zmartwionych oczu Claire. - Ale konieczne. Komplikacje wywołane nieodpowiednią wentylacją mogą być poważne i jeśli teraz zrobimy to prawidłowo, pomimo straszliwej niewygody jego całkowite wyzdrowienie będzie pewniejsze i szybsze.

- Ale możecie dać mu jakiś środek przeciwbólowy, prawda?

- Tak. Właściwie już zaczęliśmy mu go podawać. Wybudził się ze znieczulenia zdumiewająco szybko i gdy tylko zdał sobie sprawę, że ma rurkę w gardle, zaczął z nią walczyć. Była to dosyć dramatyczna walka. Był całkowicie przytomny i czujny, i nie ulega wątpliwości, że zrozumiał nasze wyjaśnienia. Ale mimo to wciąż się wyrывał, żeby chwycić wewnątrz tchawiczą rurkę, i miotał się walcząc z wysiłkami respiratora. Musieliśmy dać mu dużą dawkę środków uspokajających. Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy nawet skrępować mu ręce. Obawiam się, że tak będzie musiało być przez co najmniej kilka dni. Ale proszę mi wierzyć, to absolutna konieczność.

- Czy on usłyszy, kiedy będziemy do niego mówić? Czy zrozumie?

- Tak, usłyszy was. Może zrozumie. A może nie. Ale za kilka dni...

- Dzisiaj wracam do Stanów Zjednoczonych. Chciałam tylko się pożegnać.

- No dobrze. Proszę tylko dać pielęgniarce parę minut, żeby go ulokowały na oddziale intensywnej terapii.

- Nie musisz wyjeżdżać dzisiaj, Claire.

- Muszę, Sarah. Wiem, że martwiłaś się o mnie wcześniej, i wiem dlaczego. W pokoju hotelowym i przez jakiś czas, kiedy przebywałyśmy tutaj, wciąż odczuwałam skutki zażycia narkotyków. Ale teraz przestały działać, zupełnie przestały działać.

Ależ działają, pomyślała Sarah.

Patrzyła, jak leki przestają wpływać na jej przyjaciółkę, obserwowała narastający lęk Claire, w miarę jak uświadamiała sobie coraz bardziej, że Cole może nie przeżyć. Claire znowu była sobą- osobą trzeźwo myślącą i bardzo zdeterminowaną.

- Wiem, że leki już nie działają. Ale mimo wszystko, Claire, to nie oznacza, że musisz jechać.

- Tak, Sarah. Muszę. Naprawdę. A pora jest idealna, prawda? Powiem tylko parę słów Cole'owi, a potem zadzwonię po taksówkę.

- Nie mamy zamiaru ot, tak, wsadzić cię w taksówkę na lotnisko, Claire.

- Naprawdę, Jack, to jest...

- Nie ma szans. Właściwie może Sarah i ja powinniśmy polecieć z tobą do Harlanville.

- Ty musisz być z Cole'em, Jack! Wiem, że nie powiesz mu nic, dopóki całkowicie się nie rozbudzi i nie wyjmą mu tej rurki z gardła. Ale powinieneś być z Cole'em, a Sarah powinna być z tobą, a dla mnie jest ważne, naprawdę ważne, żeby odbyć tę podróż samodzielnie.

I jestem w stanie odbyć tę podróż sama. Wystarczy, że będę podążała za szlakiem z malutkich płatków śniegu, który prowadzi do mojej szklanej kuli miłości.

- Cole, to ja, Claire. Jesteś w szpitalu, ale wyzdrowiejesz, zupełnie wyzdrowiejesz - chociaż przez jakiś czas będziesz czuł ból w piersiach. Rurka w twoim gardle jest konieczna, Cole. Tylko na parę dni i wiem, że nie możesz jej znieść, ale lekarze podają ci środki, żeby złagodzić ból. - Tak jak Sydney podała mi narkotyki, żeby złagodzić mój ból. Ale ból wcale się nie zmniejszył. Słyszałam, jak przyznawałeś, co czujesz, jeśli chodzi o moją ślepotę. Zawsze będę słyszała te słowa. Ale wierzę, że w Harlanville uda mi się wyciszyć je, stłumić innymi wspomnieniami. - Dzisiaj wracam do domu, Cole. Do Harlanville. Przyleciałam do Londynu - do ciebie - mając pewien cel, i, co zdumiewające,

zanim zdążyłam wprowadzić w życie mój plan, mój cel został osiągnięty. Stało się coś wspaniałego, Cole. Autentycznie cudownego. Nie mogę ci powiedzieć, co to takiego. Obiecałam, że nie powiem. I nawet nie wiem, czy słuchasz moich słów albo czy je zapamiętasz.

Ale zapamiętasz je, Cole, ta kja zapamiętałam twoje słowa, chociaż byłam otumaniona narkotykami, kiedy je wypowiadałeś. Narkotyki przestały działać. Ale wspomnienia pozostają. Żal mi jej. Ale nie chcę jej, nie mogę jej chcieć.

- Tak czy owak, jest wspaniale, Cole. Przekonasz się. Proszę, pomyśl o tym w ciągu paru następnym dni, kiedy bardzo będzie cię bolała klatka piersiowa i nawet nie będziesz mógł mówić. Kiedy miną te dni, czeka na ciebie wielkie szczęście. No cóż... muszę się zbierać. Żegnaj, Cole.

Jego ręce były uwięzione, przywiązane do boków, a silne nogi również zostały skrępowane, gardło wypełniała zaś plastikowa rurka, a w dodatku podano mu coś, co osłabiło jego mięśnie tak bardzo, że prawie nie mógł się ruszyć.

Ale usłyszał ją i zobaczył. I jego oczy, kamienne cienie, których ona nie mogła zobaczyć, patrzyły na nią bardzo wymownie. Odsłonięte płonęły intensywnie jak topiona stal.

Musiałem powiedzieć to, co powiedziałem Sydney, Claire. Żeby cię ocalić. Coś wspaniałego? Nie. Nie, jeśli wyjedziesz. Nigdy nie będzie wspaniale. Nie opuszczaj mnie, Claire. Proszę, ja kocham...

Cole patrzył, jak wychodziła, szeroko otwartymi, jaśniejącymi z bólu oczami. Te oczy wciąż były otwarte, kiedy przestał widzieć cynamonowe włosy. A potem, mimo wciąż szeroko otwartych oczu, cały świat Cole'a Taylora zrobił się czarny.

35

To już koniec, Sarah. Tak, rozmyślała. Zagadka śmierci została rozwiązana. Morderczyni o czarnym sercu już nie istniała. Claire jest w drodze powrotnej do Harlanvil-le. Straszne rany Cole'a zostaną wyleczone i chociaż wciąż jest wczesny

czwartkowy poranek i większość Londyńczyków dopiero wita ten zimny i ponury styczniowy dzień, dla nas on już się skończył.

- Koniec-po wtórzyła.-Tak. Dzięku...

- Zatem teraz możemy zacząć - przerwał łagodnie Jack. - Nie możemy, Sarah? Nie możemy teraz zacząć mówić sobie prawdę? Ufać sobie. -Kochać się nawzajem? - Okłamałem cię, Sarah. Obiecałem, że nie każę cię obserwować. Ale zrobiłem to. Musiałem.

- Wiem. Po prostu robiłeś, co do ciebie należy, Jack. Byłeś tutaj po to, by złapać zabójcę.

I zaraz pojawiła się fala dzikiej wściekłości, którą potrafiła wywołać tylko Sarah Pembroke. Jack zadbał o to, aby w jego głosie zabrzmiał tylko szept tej potężnej furii.

- Naprawdę w to wierzysz, Sarah? Że zależało mi tylko na złapaniu zabójcy?

- Nie - wyznała. - Ale są rzeczy - fakty - których o mnie nie wiesz. - Byłam kiedyś całkiem obłąkana i tak okropnie nielubiana i tak całkowicie można było mną rozporządzać... i wciąż jestem tak bardzo spustoszona.

- Opowiedz mi o tym, Sarah. Zaufaj mi.

On musi wiedzieć, zanim ta miłosna fantazja przerodzi się w coś więcej, zanim sam odkryje - zobaczy na własne oczy - jak bardzo jesteś spustoszona i rozczarowująca. Powiedz mu teraz. A wtedy będzie po wszystkim.

- Chcę, żebyś coś przeczytał. To list, który napisałam do Claire i którego nigdy nie wysłałam. Wyjaśnia wszystko. Dam ci go, możesz go zabrać i przeczytać, i... - Wtedy poznasz prawdę, oboje ją poznamy, gdyż ja dowiem się, w jakim stopniu można mną rozporządzać. W dalszym ciągu. - Jest w mojej sypialni. Pójdę go przynieść.

- Nie. - Jack złapał ją za nadgarstki, jakby próbował uwięzić ją w ten łagodny sposób. - Pozwól, że ci powiem, o czym jest ten list.

- Już go przeczytałeś?

Pytała go, czy dopuścił się w stosunku do niej jeszcze większej zdrady niż dotychczas, czy wdarł się do jej apartamentu, jej sypialni, przeczytał list będący jej najmtymniejszym pamiętnikiem. Ale mimo wszystko jej pytanie wydawało się pełne nadziei, a nie oskarżeń, jak gdyby pragnęła, aby on zdradził ją tak całkowicie, poznał każdą wstydliwą tajemnicę i nadal jej pragnął.

Przez chwilę Jack odczuwał pokusę, aby potargować się z przeznaczeniem. Pozwól mi jeszcze na to ostatnie kłamstwo. Powiem jej, że przeczytałem ten list i wiem wszystko, wszystko, i teraz możemy zacząć naszą miłość.

Ale w miłości Sarah i Jacka nie miało już być żadnych kłamstw.

- Nie, Sarah. Nie przeczytałem tego listu. Przeczytam go później, jeśli właśnie tego chcesz. Ale czy pozwolisz mi teraz powiedzieć ci, jaka jest według mnie jego treść? I czy powiesz mi, czy jestem w błędzie?

Będziesz go obserwowała, kiedy on będzie poznawał prawdę. Zobaczysz, jak znika jego czułość, a w jej miejsce pojawiają się obrzydzenie i rozczarowanie. Ale tak przecież będzie najlepiej, prawda? Potem nawet kobieta-cień nie będzie już miała odwagi fantazjować.

- Tak, Jack, powiem ci.

- Dobrze. - Podniósł jej lekko skrępowane nadgarstki do swoich ust i całował jej blizny, szepcząc: - Próbowałaś się zabić.

- Tak. - Oui! Wykrzyknęła z radością kobieta-cień. Już poznałeś ten dowód mojego szaleństwa, a mimo to widzę tak wielką miłość.

- I prawie ci się udało, chciałaś, żeby się udało.

- Tak. - Ten karzący szepc, to wyznanie miało odpędzić najbardziej zuchwałe cienie i najczulszą miłość.

Ale ani ten cień, ani czułość nie zniknęły.

- Kiedy, Sarah?

- Jedenaście lat temu, dwudziestego trzeciego grudnia, cztery miesiące po tym, jak mi powiedziano, że moje dziecko zmarło.

- Dwudziesty trzeci grudnia?

Nagle Sarah zobaczyła na jego przystojnej twarzy udrękę, burzliwy niepokój i gniew. Dlaczego? Bo dzień, w którym usiłowała popełnić samobójstwo, był rocznicą śmierci Jeda Taylora? Bo nawet wspomnienie tej daty - i podłego ojca - wywoływało tak ogromne emocje?

- Jack? - Wciąż więził jej nadgarstki, czule przytykając je do ust. Teraz jednak to ona wyciągnęła ręce do niego, rozkurczając palce, aż spoczęły z miłością i troskliwością na rozedrganych, stwardniałych policzkach. - Myślisz o Jedzie?

- Nie. - Już sam jego głos był jak burza. Ale gdzieś w środku, w oku cyklonu, była delikatność przeznaczona dla niej. - Myślałem o tobie, Sarah. Nigdy nie wierzyłem, że Jessie została poczęta podczas tygodnia rozpustnego seksu w Gstaad. Doszedłem do wniosku, że Simon jest jej biologicznym ojcem i że cię zgwałcił. Ale nawet to nie jest prawdą, tak? Zaszłaś w ciążę dwudziestego trzeciego grudnia, prawda? Podczas tych godzin, kiedy ty i twoi rodzice byliście przetrzymywani przez porywaczy.

A więc to ta rocznica napełniła go taką wściekłością. Rocznicą jej zejścia w otchłań szaleństwa. Sarah znowu podkurczyła palce, a jej paznokcie bezlitośnie wpiły się w dłonie, i kiedy zapragnęła uwolnić swoje ręce, ta wolność została jej dana.

- Wiedziałaś o porwaniu?

- Poprosiłem Scotland Yard o wszelkie informacje na temat twego dzieciństwa. To było konieczne, Sarah, chodziło o znalezienie jeszcze dalszych powiązań między tobą, Ashley i Paulina. Raport na temat porwania był krótki i uspokajający. Stwierdzono, że ty i twoi rodzice wyszliście z tej ciężkiej próby bez szwanku. - Jack patrzył na kobietę, która stała teraz w pewnej odległości od niego, wciąż blisko, a zarazem tak daleko. - Ale tobie stała się krzywda, prawda? Okropna, straszliwa krzywda.

Żadnych kłamstw, Sarah. Powiedz mu, jak niewarta byłaś miłości, jak można było tobą rozporządzać. Powiedz mu, że twoi rodzice nie mieli najmniejszych skrupułów poświęcając cię. - Porywacze chcieli mnie. A moi rodzice... no cóż, w ogóle nie protestowali, nawet nie kiwnęli palcem, nie powiedzieli ani słowa.

Była teraz wojownikiem, stała z wielką godnością przed plutonem egzekucyjnym, przygotowana na kule, które nieodwracalnie zniszczą jej serce.

- Sarah - szepnął, wyciągając jedną rękę, żeby pieścić, a nie Zabijać, żeby przytulać, a nie więzić, żeby kochać, a nie odrzucać.

Błagał ją, by wyszła mu na spotkanie, by splotła swoją rękę z jego ręką, by wybrała jego, tak jak on wybrał ją. Jednak Sarah wciąż trzymała zacisnięte pięści przy sobie, a jej paznokcie wpijały się jeszcze mocniej w dłonie. Jest coś więcej, Jack. Więcej. Zbyt dużo.

- Czy Scotland Yard odnotował mój pobyt w Avalon?

- Nie. - Po chwili ręka Jacka opadła i nie czekała już w tym specjalnym miejscu, gdzie kochankowie mieli się spotkać, ufać sobie i kochać się nawzajem. Opadła z własnej woli, a potem zacisnęła się w twardą pięść. Nie mogła jednak pomieścić kipiących w środku emocji. - Właśnie tam przebywałeś podczas ciąży?

- Tak. Ale to nie ze względu na ciążę zostałam tam odesłana. Nikt, z wyjątkiem mnie, nawet nie wiedział o mojej ciąży, dopóki nie zaczęłam rodzić. Avalon to zakład dla obłąkanych, Jack. A ja byłam ich wartościową pensjonariuszką. Wyjątkowo obłąkaną pensjonariuszką.

- Och, Sarah - powiedział cicho. - Nie byłaś obłąkana. Nigdy nie byłaś obłąkana. Tylko tak bardzo zraniona, tak straszliwie zdradzona. A zdrada w tamten dzień dwudziestego trzeciego grudnia była tylko początkiem, prawda? Osiem miesięcy później powiedziano ci, że twoje dziecko zmarło, zaś niespełna pół roku później poślubiłaś mężczyznę, który oddał Jessie. Dlaczego, Sarah? Dlaczego za niego wyszłaś?

Nie byłaś obłąkana. Nigdy nie byłaś obłąkana. Ale wciąż była obłąkana, ponieważ teraz jej głupie, spustoszone serce zaczynało bić w przyptywie nadziei.

- Byłam obłąkana, Jack. Cierpiałam na medycznie stwierdzony obłąd, który jeszcze się pogłębił, kiedy uwierzyłam, że mój syn umarł. Wtedy zaczęłam pić, dosłownie bez przerwy - z wyjątkiem tych godzin, kiedy mogłam być z nim, na jego grobie. Musiałam tam być, rozmawiać z nim, i w końcu podjęłam decyzję, żeby być z nim już na zawsze. - I już prawie tam byłam. Moja krew topiła małe kryształki lodu, przesączała się do niego, żeby go ogrzać. - Ale w samą porę zjawił się Simon, i później, kiedy zaproponował małżeństwo, przyjąłam jego ofertę, ponieważ obiecał, że będziemy mieli dzieci. Ale Simon Beckwith-Jones nie mógł mieć dzieci. Wiedział o tym, zadbał o to, żeby ich nie mieć. Simon nie chciał mieć dzieci z wariatką. On chciał tylko jej ciała.

- Chciałbym, żeby oni wszyscy nadal żyli.

Sarah nie patrzyła na niego. Wpatrywała się w czarną, porcelanową lampę, chociaż miała niewidzący wzrok i bardzo niewyraźnie słyszała swoje własne przyznanie się do szaleństwa. Teraz, również bardzo niewyraźnie, do jej uszu dobiegły słowa Jacka. Za to doskonale słyszała jego ton. Spokojny, ale zawzięty. Opanowany, ale rozszadany wściekłością.

Odwróciła się do niego.

- Co powiedziałaś, Jack?

- Chciałbym, żeby oni wszyscy nadal żyli. Nie porywacze. Oni byli pomniejszych graczami, zaledwie pionkami. Mam na myśli twoich rodziców, Sarah, i Simona. A wiesz dlaczego?

Sarah nie wiedziała, dlaczego Jack pragnął takiej rzeczy. Ale była przestraszona. Dla niej samej? Z powodu furii, wściekłości, która lśniła z tak zatrważającą siłą w jego indygowych oczach? Nie. Sarah nie bała się o siebie, tylko o niego.

- Nie, Jack. Dlaczego?

Najpierw odpowiedziały jego wargi - dyskretnym, ironicznym uśmiechem - a gdy popłynął z nich głos, Sarah usłyszała w nim gorzki ból.

- Ponieważ, Sarah, chciałbym zaznać wielkiej przyjemności zabicia ich. Jednego po drugim. Gołymi rękami. Naprawdę jestem synem Jeda Taylora, prawda? Czuję to teraz, czuję kipiący gniew, skłonność do przemocy, której Cole tak bardzo się obawiał. Ale wiesz, co jest naprawdę interesujące? Janie boję się przemocy. Wcale sienie boję. Zaakceptowałbym ją z chęcią, z chęcią, gdyby tylko oni nadal żyli.

- Och, Jack, ty nie jesteś gwałtownym człowiekiem.

- Myślę, że jestem.

- Nie. Nie jesteś gwałtownym człowiekiem, Jacku Daltonie. Ty jesteś wspaniałym człowiekiem.

Sarah podeszła do niego znacznie bliżej. Rozprostowała jego zaciśnięte pięści delikatnymi, ale pełnymi siły palcami, a potem wsunęła w nie swoje dłonie, ufając, że on ich nie zmiażdży, okazując mu swoje zaufanie.

Robiąc to Sarah Pembroke odkryła niezwykłą prawdę. Miała coś do zaofiarowania temu wspaniałemu człowiekowi. Swoją miłość. Tę bezwartościową, nieistotną, szaloną rzecz? Tak, ponieważ mimo wszystko nie była bezwartościowa. Nie była bezwartościowa, tylko potężna. Albowiem teraz, dzięki temu, że go dotykała, że okazywała mu miłość, na jej oczach znikła udręka Jacka, a gigantyczna furia ustępowała miejsca czemuś jeszcze większemu. Jego miłości dla niej.

Kobieta-cień pośpiesznie wypowiadała odważne słowa, wspaniałe wyznania, w języku francuskim, adresowane do Jacka. Czy Sarah ode-gnała to ulotne widmo, które wegetowało tak długo na czystym szaleństwie, na zwariowanych i wspaniałych fantazjach miłosnych?

Nie. Tylko uścisnęła ją. Jesteś częścią mnie, kobieto-cieniu. Zawsze nią byłaś. A teraz jesteśmy jednością.

Cicho, śmiało, królewską angielszczyzną, Sarah zagadnęła Jacka:

- Zatańczysz ze mną?

Tańczyli w jej surowym, obszernym salonie. Ale pokój nie wyglądał teraz odpychająco. Był wypełniony miłością i tam, gdzie nie było żadnych barw, zrobiło się kolorowo. Na czarnym lakierowanym stole, niczym doskonały bukiet pastelowych róż, leżały albumy ze zdjęciami, dokładnie tam, gdzie Sarah je zostawiła, kiedy pobiegła do studia, żeby być z Jackiem.

I słychać było muzykę. Nie odległe dźwięki Londynu, budzącego się miasta, ale muzyka wewnątrz. Ich serca śpiewały pełną radości miłosną pieśń i... czyżby w tym pokoju naprawdę znajdowali się kolędnicy? Malutki chór kryształu, srebra i złota, który otaczał skrzydlatego konia z białego marmuru?

Może jednak ta eklektyczna społeczność błyszczących figurek nie stłoczyła się tylko po to, by uciec od ponurego chłodu apartamentu Sarah. Może przeznaczone im było być razem, może zostały zebrane właśnie w tym celu - żeby w ten dzień mogły wyśpiewywać tancerzom swoją krystalicznie czystą serenadę, świętować przeznaczenie... i miłość.

Wyjdź za mnie, Sarah. Jack wypowie te słowa, kiedy będzie w stanie przemówić. I będzie więcej słów, będą obietnice miłości dla kobiety, która została zgwałconą a nigdy nie uprawiała miłości, i która potrzebowała szampana, żeby znieść jego dotyk. Będziemy tańczyli, moja ukochana, a kiedy nasze ciała zażądadają odpoczynku, będziemy spali, tylko spali, powierzając sobie nawzajem tę niewinną, de niesamowitą intymność. I kiedyś, kiedy będziesz naprawdę gotowa, kiedy twoje śliczne oczy nie będą pełne przerażenia, będziemy się kochali. A jeśli ten czas nigdy nie nadejdzie, nie będzie mógł nadejść? Kocham cię* Sarah, zawsze będę cię kochał, bez względu na...

- Kochaj się ze mną, Jack.

Jej zielone oczy lśniły jasnym blaskiem i były tak cudownie nieustraszone. Lecz mimo to...

- Nie mą pośpiechu, Sarah. Mamy przed sobą całe życie.

- Nie chcesz się kochać? Jack uśmiechnął się.

- Wiesz, że chcę.-Potem spowaźniał.-Ale, moje kochanie, przecież znałem cię jak osobę, która pije, musi pić, żeby pozwolić mi na dotykanie, tak bardzo byłaś przestraszona.

- Tak. Ale to nie był lęk zapamiętany, Jack. To był nowy rodzaj lęku. Kiedy dotknąłeś mnie w Paryżu... Nigdy przedtem nie czułam czegoś podobnego, takiego pragnienia, tej potrzeby. Wydawało mi się, że te cudowne uczucia nie mogą być prawdziwe, nie są dla mnie. A przede wszystkim bałam się swojego szaleństwa. Ale teraz...

- Ale teraz, Sarah Pembroke, jesteś kochana i chciana, i pożądana. Na zawsze. A jedynym szaleństwem jest nie kochać się teraz, w tej chwili, jeśli właśnie tego pragniesz.

Nie miała się czego bać. Ta jego wojowniczką była kobietą. Kochał ją ostrożnie, w powolnym tańcu miłości, leniwym, pełnym zachwytu walcu. I kiedy przytulili się do siebie po wszystkim, nadal roztańczeni, roztańczeni na zawsze, myśli Sarah poraż ostatni powędrowały do kobiety-cienia, tego paryskiego widma, które było już wolne.

Sarah i jej widmo były teraz wolne. Całkowicie wyzwolone. Kompletne. I wolne. I...

- Jack?

Przysunęła się, żeby widzieć jego twarz, wpatrywała się w nią takim natężeniem, że zmarszczył brwi.

- O co chodzi, Sarah?

- Chcę, żebyś o czymś wiedział. Nie jesteś gwałtownym człowiekiem, Jacku Daltonie. Ale jesteś mordercą. Zabiłeś ich, moich rodziców i Simona Beckwith-Jonesa. Oni byli wciąż żywi - ich upiory - ale teraz już ich nie ma.

To było odważne oświadczenie. Ale czy było prawdziwe? A może po kilku sekundach osłupiałego milczenia usłyszy znajomy chichot tych złośliwych duchów?

Ale Sarah wcale nie usłyszała chichotu, tylko mocne, miarowe bicie serca Jacka, a potem wypowiedziane szeptem słowa miłości i jeszcze coś w oddali, coś radosnego i niemal melodyjnego... łopot skrzydeł. Może były to skrzydła malutkiego, marmurowego konia.

36

Czwartek płynął na kędzierzawych obłoczkach miłości i pożegnania. Na kochaniu Jacka i żegnaniu się - au revoir - z Claire, a także mówieniu nieodwołalnego adieu morderczym o czarnym sercu.

Teraz był piątek i Sarah znajdowała się w swoim gabinecie w Asquith Towers i już miała pierwszy telefon. Zapewne dzwonił Timothy z napomnieniem, żeby wzięła przynajmniej jeszcze jeden dzień urlopu przed powrotem do pracy. Albo Jack, który kochał ją pomimo własnych zmartwień i tęsknił za nią, tak jak ona tęskniła za nim, gdyż godzinne rozstanie wydawało się o wiele za długie.

- Nie byłem pewny, czy będziesz dzisiaj w pracy.

- Lucas.

- Teraz wiem, dlaczego chciałaś zaczekać aż do dnia św. Walentego.

- Wiesz?

- Nie przeglądałaś porannych wydań gazet.

Nie, jeszcze ich nie przejrzała. Trudno jednak było się dziwić, że podczas jej szybującego dnia miłości i pożegnań dziennikarze ciężko pracowali tutaj i w Los Angeles, żeby ujawnić ponure szczegóły zbrodniczej wyprawy Sydney Quinn na drugi kontynent.

- Jessie zawsze była bezpieczna, Lucasie. Nikt nie jechał za mną Jackiem do Kornwalii. Upewniliśmy się co do tego. Nigdy nie narażałabym Jessie na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

- Wiem o tym, Sarah. Emma i ja oboje wiemy. Ale teraz, kiedy to wszystko już się skończyło, a Jessie jeszcze nie zaczęła szkoły, zastanawiamy się, czy powinniśmy jej powiedzieć.

- Dzisiaj?

Tak, dzisiaj, tego ranka, niebawem. Sarah dotykała słuchawki jeszcze długo po tym, jak zakończyła rozmowę z Lucasem, nie chcąc zerwać więzi z Kornwalia, z Jessicą, z miłością. Ta niewidzialna więź będzie się utrzymywała, stanie się jeszcze mocniejsza, kiedy podniesie tę samą słuchawkę i zadzwoni do Jacka, żeby mu powiedzieć, co przekazał jej Lucas. Przeprowadzi tę rozmowę już wkrótce.

Ale czy na pewno? Czy podzieli się z Jackiem swoimi nadziejami, swoimi zmartwieniami w ten dzień, kiedy on sam miał już ogromne problemy? Dzisiaj przynajmniej istniała nadzieja. Wczoraj, w tamtym szybującym dniu miłości, była tylko pełna niepokoju udręka.

Zaraz po tym, jak Claire pożegnała się z Cole'em, Jack stanął przy łóżku brata na oddziale intensywnej terapii, chcąc się upewnić, że może go zostawić na czas potrzebny do odwiezienia Claire na lotnisko Heathrow. Cole miał zamknięte oczy, jego mięśnie były sflaczałe, nie walczyły. Respirator doprowadzał powietrze do jego klatki piersiowej, rozszerzając ją bez oporu - bez bólu? - zaś powolny, miarowy dźwięk sygnalizował, że serce Cole'a bije we właściwym rytmie.

Stan Cole' a nie uległ zmianie, kiedy wrócili z lotniska. Dochodził do siebie i wydawał się spokojny. Właśnie wtedy Jack zabrał Sarah do domu, gdzie tańczyli i kochali się ze sobą. Ale czy rzeczywiście Cole był taki spokojny? A może ten obraz spokoju, ujarzmionej, potulnej pantery, oznaczał poddanie sienie lekarstwom, ale śmierci?

Jeśli to miała być kapitulacja wobec śmierci, świadome pogodzenie się z tym ostatecznym przeznaczeniem, w połowie dnia pantera zmieniła zdanie. Cole znowu podjął walkę, zaciekle bitwę na przekór coraz większym dawkom środków przeciwbólowych. Jack i Sarah byli przy jego łóżku, bezradnie obserwując jego niszczycielską mękę. Cole był jak bestia w klatce, a widok jego

uwięzienia był dostatecznie przerażający. Sprawę pogarszał fakt, że ta gorączkowa walka o wolność odbywała się kosztem niewielkich już zasobów energii, która była niezbędna dla uleczenia rozległych ran na ciele.

Cole był dziką, a na dodatek oślepioną bestią. Jego szare oczy były szeroko otwarte i ciemne od gniewu, ale niewidzące. Ślepe na zaniepokojone twarze przyjaciół i głuche na ich pełne troski błagania; gdyby nie przestał walczyć, zamęczyłby się na śmierć albo lekarstwa - w coraz większych, zdumiewających dawkach - w końcu okazałyby się ponad jego siły, a ich ogromna ilość przewyciężyłaby nawet silną wolę pantery.

Wreszcie gdy nad Londynem zapadła noc, Cole skupił swoje szare oczy. Na Jacku. Był to wzrok błagalny, a zarazem władczy. Tak jak podczas ich spotkania w holu hotelu Drake, Cole milcząco zmusił brata do spojrzenia na jego rękę. Tamtej nocy była to prawa ręka - Cole chciał, żeby Jack zobaczył tę okaleczoną rękę. Jednak dzisiejszej nocy Cole chciał zwrócić uwagę na lewą rękę - tę, którą nauczył się z takim trudem wykonywać rozmaite czynności, łącznie z pisaniem.

Teraz właśnie chciał coś napisać, lecz to zadanie wymagało przynajmniej częściowego poluzowania więzów, które były jak łańcuchy krępujące panterę. Jednak lekarze Cole'a zgodzili się. Należało koniecznie znaleźć sposób komunikowania się z pacjentem, który sam siebie zabijał.

Pomóż mi, Jack, napisał Cole. Mogę oddychać bez rurki. Będę oddychał. Powiedz im, żeby pozwolili mi spróbować. Proszę.

Oczywiście, to nie rurka oddychała za niego, tylko respirator. Jednak żeby zadośćuczynić żądaniu pacjenta, który wydawał się teraz całkiem przytomny, żeby pokazać mu, jak strasznie jest słaby i jak bardzo nie jest w stanie samodzielnie oddychać, lekarze przeprowadzili test. Rurka pozostała w gardle, ale na pewien czas została odłączona od respiratora, a następnie polecono Cole'owi oddychać.

To nie była uczciwa próba. Cole był jak apteka leków, które miały go osłabić, zahamować gwałtowne pragnienie samodzielnego oddychania i zmusić do poddania się wymogom respiratora. Jednak mimo to pantera oddychała. Cole brał głębokie oddechy. Obserwując go, Sarah pomyślała, że Cole wdycha czysty ogień, ale nie dba o to, ból nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Jednak osłabienie było istotne. Kilka głębokich oddechów nie wystarczyło, by przekonać lekarzy Cole'a, że można usunąć rurkę. Nie teraz, o tak późnej porze, kiedy zmęczenie Cole'a, nie mówiąc już o skumulowanym efekcie zażywania środków, mogło spowodować nagły zator oddechowy, i kiedy w pobliżu nie było żadnego lekarza, który mógłby go uratować.

Osiągnęli jednak kompromis, dzięki interwencji Jacka. Zdecydowano już nie podawać pacjentowi więcej leków, a rano, kiedy Cole się obudzi wolny od tych substancji, próba zostanie ponowiona. Cole przekona się wówczas, jaki jest naprawdę ogień, kiedy nie łagodzą go środki przeciwbólowe, a lekarze będą w stanie ocenić siłę nie krępowanych niczym mięśni, i wolę przeżycia u pacjenta. Potem zaś, jeśli będzie się to wydawało bezpieczne i jeśli Cole nadal będzie sobie tego życzył, przy świetle dziennym rurka zostanie wyjęta.

Kiedy Jack i Sarah opuścili szpital o północy, Cole był naprawdę spokojny. Tej nocy podda się oddechom respiratora i nawet zaśnie, a rano jego wypoczęte ciało zapewni sobie wolność. A jeśli chodziło o młodszego brata pantery? Nadal przeżywał udrękę.

Ta noc nie była dobra na kochanie się, na bycie tak wolnym, gdy jego brat był skrupowany. Czy była to noc odpowiednia na spanie, na dzielenie tak wielkiej intymności? Taki był plan, tego Jack pragnął dla niej. Ale czy uda jej się zasnąć, gdy on będzie się miotał i przekręcał z boku na bok? Nie... ponieważ leżał całkowicie nieruchomo, na plecach, z rękami przy bokach, jakby on również był spętany łańcuchami.

Ale Sarah nie spała. To jest mężczyzna, którego kocham, pomyślała, wyczuwając jego niemą udrękę. Wspaniały mężczyzna. A ja mam mu coś do zaofiarowania.

Wyciągnęła do niego rękę, żeby dotknąć jednej z tych skrupowanych niewidzialnymi pętami kończyn, i spędzili tę noc rozmawiając w ciemności, dzieląc się tą największą intymnością.

Dwie noce bez snu, lecz wypełnione takim zaufaniem, taką miłością.

Jack był teraz w szpitalu, czekając na wynik dzisiejszego „testu” i ewentualne usunięcie rurki, co, w przeciwieństwie do lekarzy Cole'a, uważał za nieuchronne. Sama ekstubacja wiązała się z pewnym ryzykiem, potencjalnie śmiertelnym skurczem krtani. Dlatego na wszelki wypadek przy zabiegu miał być obecny anestezjolog. Potem, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, Jack pokaże Cole'owi paczkę, która została nadesłana z Denver, i...

Zastanawiała się, czy naprawdę powinna teraz dzwonić do Jacka, powiedzieć mu, że dla niej ten dzień również wiązał się z ryzykiem i poznaniem prawdy? Czy skoro czuł takie brzemie żmartwień i nadziei, powinna dodatkowo go obciążać?

Tak. Bo było przecież między nimi takie zaufanie... i taka miłość.

- Nie! - Jej okrzyk rozpacz był taki sam, jak w przypadku jej matki, kiedy jedenaście i pół roku temu Sarah powiedziano, że jej ukochane dziecko zmarło. - Ty jesteś moją mamą. Prawda? Nie chcę, żeby ona była moją mamą. - Wydawało się, że rozpacz Jessiki już nie może być większa, a jednak była. - Ale ty mnie nie chcesz, prawda? Tata znał prawdę od dnia, w którym się urodziłam, ale ty o niczym nie wiedziałas, a teraz, kiedy się dowiedziałas...

- Och, moje kochanie - wyszeptła Emma, czując że jej własna rozpacz tworzy krąg strapienia wokół roztrzęsionego ciała. - Jesteś moją córką, Jessie. Moim dzieckiem, moim cudem. Kocham cię całym sercem. Przecież wiesz o tym. - Proszę cię, bądź tego świadoma.

- Właśnie, że nie. Gdybyś naprawdę mnie kochała, nie mówiłabyś mi takich rzeczy. Tata nie chciał, żebym wiedziała. Właśnie dlatego kłócił się z Sarah na klifie. On nie chce, żebym odeszła. Ale ty tego chcesz!

- Przestań, Jessica. - Córka Lucasa Caina jeszcze nie słyszała u swojego ojca tak surowego głosu, choć była to surowość dla niego samego, nie dla niej. To on utrzymywał sprawę w tajemnicy przez

tyle lat, a teraz Emma cierpiała za jego tajemniczość. Jessica nie poddawała w wątpliwość jego miłości. Wiedział od samego początku, właściwie wybrał ją. Ale Emma... - Przepraszam, jeśli to zabrzmiało podle, Jessie, ale proszę cię, nie rób tego mamie. Czy wiesz, jak bardzo ona cię kocha? Była gotowa zaryzykować utratę tego, co jest dla niej najważniejsze na świecie - ciebie, Jessie - ponieważ uważała, że powiedzenie ci tego jest uczciwe, słuszne i konieczne.

- Utracić mnie? - Jessie przeniosła wzrok z ojca, którego miłości nie kwestionowała, na matkę, w której miłość zwątpiła. I zobaczyła tak wielki ból. - Och, mammo. Ja nigdy bym ciebie nie opuściła.

I za chwilę padła Emmie w objęcia, ona zaś kołysała ją delikatnie.

- Tak mi przykro, moja Jessie, mój najdroższy skarbie. Nie miałam racji.

Jessie odsunęła się od niej, tak że widziała błyszczące oczy matki i mogła dotknąć wilgotnych od łez policzków.

- Nie, mammo, miałaś rację. Powiedzenie mi tego było uczciwe, słuszne i konieczne. Ale...

- Ale? - zagadnęła Emma, spoglądając na śliczną, przejętą twarz swojej córki. - Ale co, kochanie?

- Czy moglibyśmy po prostu udawać, że to się nigdy nie zdarzyło? Czy mogłoby być tak, jak do tej pory?

- Oczywiście - odparła Emma, modląc się w duchu, by mogło tak być, a jednocześnie bojąc się, że jest to już niemożliwe. - Tylko ty i ja, i tata. Zawsze.

Jessie popatrzyła w tym momencie na swojego ojca, a kiedy jego ciemnozielone oczy - czyżby one również błyszczały? - złożyły tę samą uroczystą obietnicę, zapytała:

- Czy mógłbyś zadzwonić do Sarah, tato? Teraz? Czy mógłbyś powiedzieć jej ... - Jessie zawahała się; w jej umyśle pojawiły się obrazy Sarah - nie jakiejś nierzeczywistej matki, ale Sarah - które udało się odpędzić. - Czy mógłbyś po prostu powiedzieć jej, że jest nam dobrze tak, jak teraz. Zrobisz to?

Znalazł ją na dachu, w jej prywatnym sanktuarium na dachu błyszczących Asquith Towers ze srebrzystego szkła. Stała nie tam gdzie zazwyczaj, w punkcie widokowym, z którego mogła patrzeć na Tamizę i Westminster. Tym razem znajdowała się na najbardziej wysuniętej na zachód krawędzi budynku, zwrócona twarzą do porywistego zimowego wiatru... i Kornwalii.

Włosy, które tydzień temu przestała upinać w ciasny, surowy węzeł, teraz nie były skrępowane nawet kolorową apaszką. Czarne jedwabiste włosy wirowały wokół jej głowy, jakby tańczyły albo smagały ją. Kiedy zbliżył się do niej, wydało mu się, że jej ciało przegina się ku wystawionemu na wiatr kornwalijskiemu wybrzeżu. Gdyby podjęła taką decyzję, gdyby dokonała takiego wyboru, zanim on zdążyłby jej dotknąć, mogłaby zrobić ten pojedynczy krok ku swojej córce i ku wieczności, która przyzywała ją czterdzieści pięter niżej.

- Sarah!

- Jack? - Usłyszała jego potworny lęk i kiedy pośpieszyła mu na spotkanie, a porywisty wiatr osuszył zalane łzami oczy, przekonała się, jak bardzo był wystraszony. - Och, Jack, czy coś stało się Cole'owi?

- Nie. Nie, Cole czuje się dobrze.

- Więc co się stało, Jack? Wyglądasz na tak zmartwionego.

- Martwię się o ciebie.

O nas. Sarah dostrzegła tę prawdę w czarnych cieniach jego ciemnozielonych oczu. Jack z pewnością dowiedział się, że dostała wiadomość od Lucasa, i pomyślał, że Sarah postanowiła nie dzielić się z nim swoim smutkiem. Ale to nie było prawdą.

- Dzwoniłam do ciebie - broniła się cicho. - Byłeś w pokoju Cole'a, razem z lekarzami, więc powiedziałam recepcjonistce, żeby ci nie przeszkadzała, że zadzwonię jeszcze raz. Poprosiłam ją, żeby ci nie mówiła, że dzwoniłam.

- Ale i tak mi powiedziała.

- Naprawdę? - To dlaczego masz taką minę, jakbyś został zdradzony?

- Tak. I kiedy zadzwoniłem do twojego biura, Frances powiedziała mi, jaka jesteś przygnębiona. Miałaś telefon od Lucasa, prawda? Po tym, jak powiedział Jessie o tobie?

- Tak.

- Nie marnował czasu, co? - W głosie Jacka wyczuwało się teraz gniew, gniew na Lucasa i na samego siebie. To on powinien był zadzwonić do Lucasa, upewnić się, że jeśli z Hyacinth House popłynie wiadomość o odrzuceniu Sarah przez córkę, Lucas najpierw da znać jemu, żeby mógł być z Sarah, żeby nie wbiegła tutaj sama, w tak niebezpieczne miejsce.

- Ta rozmowa nie sprawiła Lucasowi przyjemności. Chociaż był przeciwny temu, żeby powiedzieć o wszystkim Jessie, kiedy decyzja została podjęta chciał, żeby to poszło dobrze - dla Jessie, i Emmy, i dla mnie, jak sądzę. Najwyraźniej nie poszło dobrze. Chociaż Lucas nie mówił o tym szczegółowo. Mówił przepraszącym, bardzo łagodnym tonem i wyrażał nadzieję, że może z czasem...

- Czy zamierzałaś dać temu czas, Sarah?

- Nie. To znaczy, nie mogę sobie pozwolić na rozmyślanie o jakiejś przyszłości, która może nigdy nie... - urwała gwałtownie.

Jego oczy były smutne, takie udręczone, jakby prześladował je jakiś ponury duch z przeszłości. Teraz nawet nie patrzył na nią, tylko na miejsce, w którym dotychczas stała, na skraj budynku. W końcu domyśliła się, o co chodzi.

Wczoraj dzięki swojej miłości, dzięki swojemu kochaniu, Jack Dalton zamordował najgroźniejsze upiory jej rodzicowi Simona Beckwith-Jonesa. Ale istniał jeszcze inny duch, ten, którego tylko ona mogła zabić. A co z upiorem jej szaleństwa? Tym, który zmusił ją do nacięcia nadgarstków aż do kości ostatnim razem, gdy myślała, że utraciła swoje dziecko na zawsze?

Czy ten demon rozpaczy naprawdę był martwy?

Tak. Och, tak. Sarah wiedziała to. I teraz dotknęła zimnych jak lód policzków mężczyzny, którego kochała, otuliła jego twarz rękami, na których wciąż widniały ślady jej rozpaczliwego obłądzenia.

- Och, Jack - szepnęła. - To, co się stało, sprawia mi okropny smutek. Wiesz, jak wielką miałam nadzieję. Ale nie zamierzałam skoczyć. Nawet o tym nie myślałam. I nigdy bym nie pomyślała. Nigdy więcej.

Upiór mojego szaleństwa już dawno umarł.

Ogromnie cenne gardło najśłynniejszego na świecie odtwórcy piosenek o miłości nie dostało skurczu, kiedy usunięto z niego plastikową rurkę. Cole'owi udało się nawet nie zakaszleć - zablokował ten impuls dzięki silnym mięśniom szyi i świadomości, że taka reakcja jeszcze wzmogłaby palący ból, jaki odczuwał w całej klatce piersiowej.

Mówił, ponieważ nakazali mu to lekarze, a kiedy wyszli, znowu się odezwał, do Jacka, wydając ochryply szept przerażenia.

- Czy coś się stało Claire?

- Nie. Nic jej nie jest. Zadzwoiła ostatniego wieczoru z Nowego Orleanu.

- Z Nowego Orleanu? Nie z Harlanville?

- Zdecydowała się przenocować w Nowym Orleanie. Była z nią jakaś przyjaciółka, ktoś o imieniu Millicent. Dzisiaj wracają do Harlanville.

Cole mógłby powędrować myślami do Claire, poczuć ulgę, że jest bezpieczna, i ból z powodu jej odejścia. Jednak Cole znał tę udrękę zbyt dobrze, zaś przy jego łóżku stał Jack Dalton, tak jak większość poprzedniego dnia, i Cole widywał już u niego ten charakterystyczny wyraz twarzy, spojrzenie sugerujące, że Jack potrzebuje czegoś od niego, jakby ten całkowicie panujący nad swymi emocjami mężczyzna naprawdę wierzył, iż Cole ma dla niego jakieś odpowiedzi.

Odpowiedzi na co?

- Dlaczego tu jesteś, Jack? - Dlaczego wczoraj w nocy zabiegałeś o moją wolność jak gdyby to była twoja własna wolność? I dlaczego zdawałeś się dzielić ból, który odczuwałem?

- Z powodu tego - odparł cicho Jack, wręczając Cole'owi zawartość paczki, która została mu przesłana ze zdumiewającą szybkością przez jego rodziców w Denver.

Ręce Cole'a, już odwiązane, ale drżące, dotknęły zszytej z kawałków kołderki. Była mniejsza niż w jego wspomnieniach, z trudem dało się w nią zawinąć pobitego chłopca, uchronić ukochanego brata przed chłodem grudniowej nocy i okryć jego małą, posiniaczoną buzię przed oczami ciekawskich.

Cole przeniósł wzrok ze zniszczonej kołderki na silnego mężczyznę, który przed nim stał. Ale kto był kiedyś tym pobitym chłopcem? I kto chodził z nim, trzymając go za rękę, wzdłuż brzegów rozlewiska? I kto, dwie noce temu, śpiewał mu ich ulubioną kołysankę?

- Jesteś...?

- Jestem twoim bratem, Cole. Tym małym chłopcem, którego uratowałeś.

Coś wspaniałego obiecywała Claire. Obietnica, która wydawała się równie niemożliwa, jak ich miłość. Ale Claire, anioł o cyrkonowych włosach, wierzący we wszystkie marzenia, miała rację.

- Ty naprawdę mnie uratowałeś, Cole - powiedział cicho Jack, wstrząśnięty zachwytem, który ujrzął w oczach Cole'a, a zarazem pragnący powiedzieć słowa, które chciał wypowiedzieć przez tyle lat. - Moje dzieciństwo było szczęśliwe, pełne miłości.

Cole skinął głową. Nie mógł jednak mówić. Jeszcze nie mógł. Jego gardło, z którego usunięto obcą rurkę, znowu się napełniało czymś równie obcym-emocjami i miłością.

- Mówiliśmy po francusku, prawda?

- Tak. - Teraz Cole był w stanie mówić. A emocje? Jego głos był jak gwałtowne, zjadliwe cięcie, dyktowane ostrą jak nóż goryczą. - Nauczyłem cię mówić po francusku. To był nasz sekretny język. Byłeś bardzo gadatliwy, mówiłeś płynnie także po angielsku. Wiedziałaś, że w obecności ojca nigdy nie wolno mówić po francusku. Ale tamtego wieczoru nie wiedziałaś, że on jest w domu. Ja też o tym nie wiedziałem. Właśnie dlatego cię uderzył, Jack. To była moja wina. To ja mu się sprzeciwiłem ucząc cię francuskiego. Ale on uderzył ciebie. Żeby ukarać mnie.

- To nie była twoja wina - zaprotestował cicho Jack. - Ty uratowałeś mnie.

Jack nie pamiętał krzywdy, którą wyrządzono mu w tamtą grudniową noc, żadnych wspomnień koszmaru, w którym ojciec uderzył go pięścią w małą główkę. Ale dwie noce wcześniej, podczas swojej rozmowy telefonicznej z rodziną w Denver, Jack dowiedział się, że przemoc jego ojca rzeczywiście zostawiła ślad. Zawsze wyobrażał sobie, ponieważ miał tak szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa, że pomimo niechęci do wypowiedzania innych słów, radośnie i nieustannie powtarzał: „Jacques, Jacques, Jacques”.

To jednak nie było prawdą. On szeptał to zakazane słowo, przewyciężając zapamiętany - a jednak niezapamiętany - lęk potrzebą wypowiedzenia na głos tego cudownego fragmentu sekretnej kołysanki, którą śpiewał mu kiedyś ukochany brat.

Dla Jacka język francuski był przez całe życie językiem miłości. A teraz dotykał brata, który nauczył go tego języka, zaoferował mu ten dar. I jeszcze dużo więcej.

Jack dotknął okaleczonej ręki Cole'a, ręki, którą okaleczył kiedyś ich ojciec, a która kiedyś była taka mocna... i prowadziła małego brata na cudowne wyprawy po bujnych lasach nad znużoną błękitną zatoką... i tak delikatnie obudziła malca w tę noc, gdy się pożegnali... i dotknęła policzka tego brata, musiała go dotknąć ten ostatni raz, by nie stracić odwagi i siły.

I teraz, trzymając rękę brata, Cole znowu poczuł przyptyw siły. Poczuł siłę w tej beznadziejnie okaleczonej dłoni, jak gdyby zaczynała zdrowieć, jak gdyby on sam zaczynał zdrowieć.

A kiedy Jack wyszeptał te same słowa, ostatnie słowa, które Cole wyszeptał do niego w tamtą rozświetloną księżycem grudniową noc -Je t 'aime, je t 'aime - Cole Taylor poczuł się niemal całkowicie dobrze... prawie jak w domu.

37

Dzień w Hyacinth House nie był taki jak zwykle. Jak mógłby być? Lecz był to dzień miłości, przebywania razem, we troje przez cały czas. Poszli do domku, żeby pogłaskać Peggy, ale Lucas nawet nie brał do ręki dłuta. Tego dnia jego utalentowane ręce były całkowicie zaabsorbowane córką i żoną.

Rozmawiali o pójściu na lodowisko, żeby Jessie mogła im zademonstrować nowy piruet, ale tego rodzaju rozstanie wydawało im się zbyt dotkliwe, bo przecież ona byłaby na lodowisku, a oni za bandą. Zagrali w scrab-ble'a przed wesoło buzującym ogniem i sami również wesoło świergotali. Lucas podzielił się ze swoimi „dziewczętami” planem zabrania ich do Włoch na wiosnę.

Kiedy Jessie zadrżał głos? Kiedy na jej twarzy nagle pojawiło się oszołomienie, tak że wydawała się zagubiona? Rodzice otoczyli ją ramionami, tworząc idealny krąg miłości, tak kompletny w swej doskonałości, że nic nie mogłoby go przerwać.

A po kolacji usiedli w salonie i rozmawiali o weneckich gondolach. A czy telewizor był włączony, jak to zwykle bywało? Czy był włączony, żeby

Sarah Pembroke mogła im zrelacjonować wiadomości ze świata, jak to robiła przez ostatnie dwa tygodnie, będąc w ich oczach miłym gościem? Nie był włączony.

Dopóki Jessie nie zrobiła tego.

Cztery godziny później, kiedy Emma i Lucas stali w drzwiach jej sypialni, głos Jessie przemówił do nich z ciemności.

- Wyglądała na taką zasmuconą. Nie chcę, żeby była smutna.

- Sarah? Tu Emma. Jesteśmy w hotelu Drake. Jessie chciałaby cię zobaczyć. Chciała pojechać do ciebie zeszłej nocy, ale mimo to wyruszyliśmy o świcie.

I nie zadzwoniliście, żeby mnie uprzedzić, pomyślała Sarah... albowiem gdzieś między zaczarowaną krainą króla Artura i śliskimi od deszczu ulicami centrum Londynu, uroczą Jessie mogła zmienić zdanie.

Ale Jessica Cain nie zmieniła zdania i po niespełna godzinie szły spotkać się w Ogrodzie Azjatyckim w hotelu Drake. Po cichym powitaniu -pełnym nadziei i nieśmiałości z obu stron - zaczęły spacerować między gardeniami i wachlarzowatymi palmami, wpatrując się w wygładzone, zielone jak jadeit kamienie pod stopami, a ich bliźniacze warkoczki kołysały się w całkowicie harmonijnym rytmie.

- Nie chciałam, żebyś była smutna.

- To strasznie miło z twojej strony, Jessie. Ale proszę cię, nie martw się o mnie. Najważniej sze, żebyś ty nie była smutna.

- Nie jestem.

- Cieszę się.

Podczas krótkiej podróży ze swojego apartamentu do hotelu Drake Sarah ćwiczyła na głos tysiące rzeczy, które mogłaby powiedzieć. Jak strasznie by ją kochała, jak strasznie ją kochała, a jednocześnie jak wielką szczęściarą jest Jessie, mając rodziców, matkę i ojca. I jeszcze babcie i dziadków. Jeśli Jessie będzie się chciała z nią widywać najwyżej raz na rok, albo może zgodzi się tylko napisanie listów, to świetnie, wszystko byłoby świetne.

Jej słowa świadczyły o zbyt wielkiej arogancji. Sarah wiedziała o tym. A może Jessie nadal nie pragnęła niczego? Poza tym ze wstępnego cichego powitania Sarah wywnioskowała, że Jessie również ćwiczyła przedtem swoje kwestie.

A tylko słowa Jessie, tylko życzenia Jessie miały jakiegokolwiek znaczenie. Nawet jeśli przyszła tutaj po to, żeby się pożegnać.

Teraz jej śliczna córka powiedziała jej, żeby sienie smucić, i to był cudowny prezent. Jednak kiedy spacerowały pod arkadą jasnożółtych pióropuszy drzew w kierunku wielkiego stada rajskich ptaków, wydawało się, że Jessie chce powiedzieć coś więcej.

Sarah czekała z mocno bijącym sercem, pełna nadziei i lęku, ale jednocześnie rozkoszowała się radością przebywania w tym pachnącym ogrodzie razem ze swoją córką.

- Nie wracasz na wojnę, prawda? - Sarah uśmiechnęła się całą sobą.

- Nie wracam. Jack już mi tego zakazał. Oczywiście i tak nie miałabym na to ochoty.

- Czy ty i Jack...

- Mamy zamiar się pobrać, Jessie.

- O, to dobrze. Lubię Jacka. - W głosie dziewczynki wyczuwało się zdecydowanie, ale i ciekawość. - Kiedy?

- Myśleliśmy o dniu św. Walentego.

W tym momencie Jessica zatrzymała się i przestała wpatrywać w wygładzone, zielone jak jadeit kamienie. Zamiast tego spojrzała na Sarah, a jej żarliwe niebieskozielone oczy pasowały do uroczystej powagi tonu. - Zastanawiam się...

Nie dokończyła pytania, tylko zmarszczyła brwi.

Nad czym się zastanawiasz, kochanie? Czy Jack i ja planujemy mieć dzieci? Tak, planujemy, planowaliśmy, ale jeśli to ma znaczenie, jeśli to by cię zasmuciło, możemy poczekać, aż będziesz starsza.

- Nad czym się zastanawiasz, Jessie?

- Hm, mama robi... - Jessica ciężko odetchnęła. - Chodzi mi...

- Chodzi ci o mamę - powiedziała łagodnie Sarah. - Wszystko w porządku, Jessie. - Wszystko jest w porządku, moja Jessie, bez względu na to jak bardzo serce mi się kraje. - Ona jest twoją mamą, a ja jestem Sarah. Dobrze?

- Dobrze.

- No to powiedz mi, co ona robi.

- Torty weselne. Przepiękne. A Hyacinth House byłby pięknym miejscem na wzięcie ślubu, chociaż w lutym ta ceremonia musiałaby się odbyć w środku, no i kwiaty jeszcze by nie kwitły. Ale... o, nie. Ty płaczesz!

Delikatne palce, które jeszcze wczoraj dotykały łez lejących się po policzkach matki, teraz dotykały łez Sarah, ciepłych kropel, które lały się z oczu innej matki.

- Ale nie jestem smutna, Jessie. Właściwie jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

Pantera czmychnęła z Anglii o północy. Była to samotna podróż, ale nie była pozbawiona wsparcia. Po czulej, żarliwej - ale ostatecznie daremnej - próbie przekonania go, by został, by jeszcze trochę się podleczył, jego młodszy brat stał się współnikiem. I to właśnie Jack przekonał lekarzy, że nawet jeśli ta podróż jest nierozsądna, a może nawet niebezpieczna, stanowi nieodzowny warunek przetrwania Cole'a.

Timothy zapewnił samolot, a tym samym i prywatność, i o północy światła Londynu były już daleko w dole. I chociaż parzący ogień w klatce piersiowej Cole'a roztopiał szlak malutkich płatków śniegu, on również wracał do domu.

Znalazł ją o świcie, pod pastelowym niebem w ich lasku za rozlewiskiem. Woda była wciąż nieruchoma jak tafla szkła i miała szafirowy kolor. Tego ranka rozlewisko przypominało staw, idealnie odbijający cieniutkie woalki porostów i śnieżnobiałe ptaki, wzbijające się w powietrze.

Jego anioł śpiewał, tak jak śpiewał w ten pierwszy dzień przed wielu laty.

- Zadziwiająca łaska, jakże słodki to dźwięk...

- Który ocalił takiego łajdaka jak ja.

To była jego linijka i Cole zaśpiewał ją. Nieważne, że czuł rozdzierający ból w piersi albo że jego głos, głos wart wiele milionów dolarów, wciąż był ochrypły pod nieustępliwym naciskiem plastikowej rurki.

Liczyło się tylko to, że odwróciła się do niego, a jej przejrzyste niebieskie oczy promieniały.

Następna linijka również była jego, w duecie z Claire, którego nigdy przedtem nie zaśpiewał.

- Kiedyś byłem zagubiony, ale teraz odnalazłam drogę...

- Cole - szepnęła, przerywając mu. Musiała go powstrzymać. - Co ty tutaj robisz?

Przybyłem zobaczyć anioła. I widzę go. Ale pomimo że ona ma takie promienne niebieskie oczy, jest strasznie udręczonym aniołem.

- Powinniśmy byli się pobrać w Monte Carlo, Claire, jeszcze zanim zdecydowaliśmy się kochać. Obiecałem to sobie i nam dawno temu. Powinienem być dotrzymać tej obietnicy.

Jego głos ogrzewał chłodne poranne powietrze ciepłem miłości. A zatem dlaczego jej kolibrze serce nie szalało z radości? Dlaczego czuło się tak dziwnie, dlaczego było tak złowieszczo spokojne?

- Rozmawiałeś z doktor Gabriel, prawda?

Cole nachmurzył się. Wiedziała, że rozmawiał, chociaż nie wiedziała, czego naprawdę dotyczyła ta rozmowa. A teraz miała tak ponurą, tak smutną minę, że na pewno rozpamiętywała słowa, a raczej kłamstwa, które powiedział Sydney. Zatem dlaczego Claire w ogóle pytała, czy przeprowadził rozmowę z Angelica Gabriel?

- Tak. Myślałem, że wiesz. Rozmawiałem z nią dzień po naszym powrocie z Monte Carlo.

- Ale od tamtej pory nie? Nie rozmawialiście od piątku, kiedy złożyłam jej wizytę w gabinecie?

- Nie.

- Nie? - To dlaczego tu jesteś?

- Czy doktor Gabriel powiedziała ci, dlaczego do niej dzwoniłem, Claire?

- Nie. Ale ja wiem dlaczego, Cole. - Z powodu nieszczęsnej „pułapki w umowie”, tej niemożliwej do przyjęcia wady, ślepoty, która jest odrobinę za ostra jak na twój gust.

W jej ślicznych niewidzących oczach było tyle bólu... bólu tak wielkiego, że nawet złociste plamki, które zazwyczaj nadawały im taki blask, przestały lśnić.

Łagodnie, ale nagłym tonem, Cole przemówił do tego dzielnego -i zanikającego - złocistego blasku.

- Nie, Claire, nie wiesz dlaczego. Nie wiesz, jeśli nie powiedziała ci tego doktor Gabriel. Zadzwoiłem, żeby ją zapytać o operację, o możliwość przeszczepienia ci moich oczu. Moje oczy bardzo tego pragnęły, Claire. Widziałyby o wiele więcej, gdyby kierowało nimi twoje serce. I ja też bardzo tego pragnęłam. Ale w zamian chciałem prosić o ogromną przysługę. Zamierzałem zapytać, czy będziesz moją przewodniczką w tej ciemności. Na zawsze. Pytam o to teraz. Czy wyjdiesz za mnie, Claire? Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

On nie wiedział, a jego głos, taki delikatny i taki surowy, z oszałamiającą wyrazistością mówił o miłości i pragnieniu.

Claire podeszła do niego po grubych pnączach, które leżały na mięciutkim dywanie z mchu. To była podróż cieni, a nie mroku, podróż, która kiedyś, zdaniem doktor Gabriel, będzie j asna i wyrazista.

Regeneracja jej zmiążdżonego nerwu wzrokowego zaczęła się na długo przed bożonarodzeniowym powrotem Cole' a do Harlanville. Jednak aż do tej śnieżnej nocy, razem z nim, nie zauważała lśniących przebłysków barw, odcieni życia w powoli powracającym do zdrowia nerwie.

Czy zauważyłaby to kiedykolwiek bez niego? Albo, gdyby jego nie było, czyjej świat pozostałby na zawsze mrokiem?

Stała teraz przed nim i patrzyła na ukochaną twarz, którą miała ujrzeć któregoś dnia.

- Tak, Cole. Wyjdę za ciebie. Ja też cię kocham. Zawsze cię kochałam.

Claire miała wrażenie, że w tym momencie widzi jego oczy, jasne srebro błyszczące od łez radości. A może to było tylko złudzenie.

Ale Claire Chamberlain Taylor zobaczy te łzy radości w oczach swojej pantery, i to całkiem wyraźnie, za szesnaście miesięcy, kiedy Cole będzie kołysał w ramionach Augustę, ich malutką dziewczynkę o miedzianych włoskach, ich ukochaną Gussie.

Teraz jednak to Claire kołysała Cole'a w ramionach, w sanktuarium jego żaru i jego miłości, i kiedy poruszali się rytm muzyki rozlewiska, ich serca śpiewały ostatnią linijkę ich wspólnego utworu, wers, który był dla nich najwspanialszą prawdą.

Byłem ślepy, lecz teraz moje oczy widzą...